

Drugi tom **ŚWIATOWEGO BESTSELLERA**

Będzie jeszcze ciemniej, jeszcze mroczniej i...
o wiele, wiele głębiej!



TUNELE

GEARBIE

Roderick Gordon & Brian Williams

Roderick Gordon
Brian Williams

Tunele
Głębiej

(Tunnels Deeper)



Przełożył: Janusz Ochab



2008

*Gdym posłuchał, usłyszałem;
Młoty biją bez wytchnienia
Z mocą, która pałac nowy
W proch i pył na powrót zmienia.
Inne młoty, ciche młoty
Młoty czasu i zniszczenia.*

Ralph Hodgson (1871-1962),
„Młoty”

Część pierwsza

Wyjście z cienia

Rozdział pierwszy



Drzwi zamknęły się z sykiem, a kobieta została na pustym przystanku. Nie zważając na siekący deszcz i przenikliwy wiatr, tkwiła przez chwilę w bezruchu i odprowadzała wzrokiem autobus, który powoli oddalał się krętą drogą w dół stoku.

Dopiero gdy całkiem znikł jej z oczu, przesłonięty wysokim żywopłotem, odwróciła się i spojrzała na trawiaste zbocza ciągnące się po obu stronach ulicy. Gęsta ulewa okrywała je całunem szarości i upodabniała do pochmurnego nieba, tak że trudno było określić, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie.

Otuliwszy się szczelnie płaszczem, kobieta ruszyła w drogę, starannie omijając kałuże, które wzbierały w popękany asfalcie. Choć okolica była wyludniona, podróżna czujnie obserwowała ulicę przed sobą, a od czasu do czasu zerkała również przez ramię. Nie było w tym nic dziwnego – każda młoda kobieta w tak odludnym miejscu zachowywałaby się równie ostrożnie.

Z jej wyglądu nie dało się jednoznacznie wywnioskować, kim jest lub czym się zajmuje. Wiatr bez ustanku wicherzył ciemne włosy kobiety, rzucając je na twarz niczym delikatny, falujący welon. Ubrania również wydawały się całkiem zwyczajne, wręcz nijakie. Gdyby ktoś zobaczył ją w tej chwili, uznałby zapewne, że to mieszkanka pobliskiej wsi, wracająca do domu, do swej rodziny. Nie mógłby się bardziej pomylić.

Była to Sara Jerome, zbiegła Kolonistka, od lat żyjąca w ukryciu.

Pokonawszy jeszcze kilka metrów, Sara nagle zeszła z drogi i pospiesznie wsunęła się w wąską szczelinę w żywopłocie rosnącym wzdłuż pobocza. Wylądowała w niewielkim zagłębieniu po drugiej stronie i, nisko pochylona, obróciła się w miejscu, by obserwować drogę. Trwała tak w bezruchu przez pięć minut, nasłuchując uważnie i rozglądając się nieprzerwanie wokoło, czujna niczym dzikie zwierzę. Do jej uszu docierały jedynie nieustanny szum deszczu i wycie wiatru. Była zupełnie sama.

Okryła głowę chustą i wyszła z zagłębienia. Oddalając się pospiesznie od drogi, przemierzyła pole pod osłoną murku z luźno ułożonych kamieni. Potem, nie zwalniając kroku, wspięła się na strome zbocze i dotarła na grzbiet wzgórza.

Świadoma, że jej sylwetka jest w tej chwili doskonale widoczna na tle szarego nieba, ruszyła żwawym krokiem w dół przeciwległego stoku, ku otwierającej się poniżej dolinie.

Porywisty wiatr skręcał krople deszczu w grube warkocze, zamieniał je w miniaturowe wiry i trąby powietrzne. Nagle za tą szarą ścianą wody coś drgnęło.

Kątem oka Sara zarejestrowała ledwo dostrzegalny ruch. Zatrzymała się raptownie i obróciła w miejscu, śledząc spojrzeniem niewyraźną szarą plamę. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach... Tajemniczy kształt z pewnością nie był kępą wysokiej trawy ani wrzosów... Poruszał się w innym rytmie.

Kobieta wyteżyła wzrok i po chwili zrozumiała, co kryje się za zasłoną deszczu. Po przeciwnej stronie doliny, wśród kęp trawy biegała mała owieczka. Nagle zwierzę podskoczyło i skryło się za wysepką skarłowaciałych roślin, jakby czymś wystraszone. Sara zamarła w bezruchu. Co mogło spłoszyć owcę? Czyżby w pobliżu był ktoś jeszcze – jakiś inny człowiek? Młoda kobieta uspokoiła się nieco, kiedy jagnię wyszło ponownie zza drzew, ale już w towarzystwie swej

matki, która przeżuwać bezmyślnie trawę, nie zwracała uwagi na ocierające się o nią młode.

Tym razem był to fałszywy alarm, lecz na twarzy Sary nie zagościł choćby cień ulgi czy rozbawienia. Odwróciła wzrok od jagnięcia, które znów zaczęło hasać wśród traw, znacząc wilgocią swe śnieżnobiałe runo, zupełnie niepodobne do szarej, ubłoconej wełny starszej owcy. W życiu Sary nie było miejsca na takie rozrywki ani teraz, ani nigdy. Zamiast więc przyglądać się owieczce, uważnie obserwowała przeciwległą stronę doliny, szukając czegokolwiek, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Wreszcie ruszyła ponownie w drogę. Przemierzając stok porośnięty bujną roślinnością, omijała kępy soczyście zielonej trawy i stawiała stopy na wygładzonej wiatrem i deszczem powierzchni kamiennych płyt, aż dotarła do strumienia płynącego dnem doliny. Bez wahania weszła do płytkiej, kryształowo czystej wody i zmieniła kierunek marszu, poruszając się teraz z nurtem potoku. Czasami skakała po omszałych kamieniach wystających nad powierzchnię, uznawszy, że dzięki temu będzie przemieszczać się nieco szybciej.

Gdy woda stała się na tyle głęboka, że dalsze brodzenie groziło całkowitym przemoczeniem butów, Sara wyskoczyła na brzeg pokryty warstwą sprężystej trawy, ogryzionej przez owce. Utrzymując wciąż ostre tempo, poruszała się naprzód, aż wreszcie jej oczom ukazało się ogrodzenie z zardzewiałego drutu, a po chwili ciągnąca się za nim wiejska droga.

Potem zobaczyła to, po co przyszła. W miejscu, gdzie droga przecinała strumień, wznosił się prosty kamienny mostek o wyszczerbionych krawędziach i nawierzchni wymagającej pilnego remontu.

Trasa wzdłuż potoku prowadziła prosto do tego punktu; Sara poderwała się do biegu, pragnąc jak najszybciej znaleźć się u celu.

Kilka minut później już tam była.

Wchodząc pod mostek, przystanąła na chwilę, by zsunąć z głowy chustę i otrzeć nią wilgotną twarz. Potem przeszła na drugą stronę i zamarła w bezruchu, wpatrzona w horyzont. Nadciągał wieczór, a różowy blask latarni zapalonych przed momentem sączył się spomiędzy liści stojących w szpalerze dębów, nad którymi widać było sam czubek wieży kościoła w wiosce ukrytej za drzewami.

Kobieta, trzymając nisko głowę, by nie uderzyć nią o kamienie, wróciła w miejsce znajdujące się dokładnie pośrodku pod mostem. Odszukała wzrokiem nieregularny blok granitu, wystający nieco nad powierzchnię. Chwyciła go obiema rękami i zaczęła wyciągać, poruszając to w lewo, to w prawo, w górę i w dół, aż wysunął się całkiem ze ściany. Kamień był kilkakrotnie większy i cięższy od zwykłej cegły, dlatego Sara sapała z wysiłku, gdy schylała się, kładąc go na ziemi.

Wyprostowawszy się, zajrzała do otworu w murze, po czym wsunęła do niego rękę aż po ramię. Przyciskając twarz do kamieni, szukała czegoś po omacku, aż wreszcie dłonią natrafiła na żelazny łańcuch. Próbowała za niego pociągnąć, jednak ten ani drgnął. Choć wyteżęła wszystkie siły, nie mogła go poruszyć. Zakłęta pod nosem, wzięła głęboki oddech i spróbowała raz jeszcze. Tym razem skutecznie.

Choć Sara nie przestawała ciągnąć łańcucha jedną ręką, przez chwilę nic się nie działo. Nagle gdzieś w obrębie mostu dał się słyszeć dźwięk przypominający odległy grzmot.

Niewidoczne do tej pory przesła rozdzieliły się, wyrzucając przed siebie fontanny kurzu, spękanej zaprawy i suchego mchu, a część kamiennej ściany przesunęła się w tył i do góry, ukazując oczom kobiety nierówny otwór wielkości drzwi. Na koniec rozległ się potężny huk, który zatrzęsł całym mostem. Po nim zaś znów zapadła

cisza, mącona jedynie szmerem strumyka i jednostajnym szumem deszczu.

Wchodząc do mrocznego wnętrza, Sara sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej małą latarkę, będącą jednocześnie brelokiem do kluczy. Światło lampki wydobyło z ciemności kamienną komnatę o powierzchni około piętnastu metrów kwadratowych, na tyle wysoką, że Sara mogła się wyprostować. Rozejrzawszy się dokoła, dostrzegła mimochodem drobiny kurzu unoszące się w powietrzu i gęste pajęczyny okrywające ściany tuż pod sufitem.

Komnata została zbudowana przez prapradziadka Sary na rok przed tym, jak zabrał swą rodzinę pod ziemię, by zacząć nowe życie w Kolonii. Kamieniarz z zawodu i zamiłowania wykorzystał wszystkie umiejętności, by jak najlepiej ukryć to niewielkie pomieszczenie we wnętrzu starego, rozsypującego się mostu; celowo wybrał odludne miejsce przy rzadko używanej wiejskiej drodze. Rodzice Sary nie potrafili znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego właściwie to zrobił, jednak bez względu na to, co nim kierowało, pozostawiona przezeń komnata była jednym z niewielu miejsc, gdzie Sara czuła się naprawdę bezpieczna. Słusznie czy nie, wierzyła, że nikt jej tu nigdy nie znajdzie. Zdjęła z głowy chustę i rozpuściła włosy, pozwalając sobie na chwilę odprężenia.

Gdy zbliżała się do wąskiej kamiennej półki umieszczonej na ścianie naprzeciwko wejścia, szuranie stóp po podłodze pokrytej kurzem przerwało na moment grobową ciszę panującą w pomieszczeniu. Z obu stron półka zakończona była zardzewiałymi, skierowanymi pionowo ku górze żelaznymi prętami, które osłaniała gruba skóra.

– Niech stanie się światłość – powiedziała cicho Sara. Sięgnęła do pokrowców i ściągnęła je równocześnie, odsłaniając parę świetlistych kul zamkniętych w przezartych rdzą, żelaznych szponach

wieńczących oba kinkiety.

Szklane kule, choć nie większe od nektarynek, natychmiast rozbłysły dziwnym zielonym blaskiem z takim natężeniem, że Sara musiała na chwilę przysłonić oczy.

Wydawało się, iż energia zamknięta w przedmiotach kumulowała się przez długi czas, by teraz wybuchnąć z ogromną siłą i cieszyć się odzyskaną wolnością. Kobieta musnęła czubkami palców powierzchnię jednej z kul i zadrżała lekko, jakby ten dotyk połączył ją na moment z ukrytym miastem, gdzie tego rodzaju oświetlenie było w powszechnym użyciu.

Ileż bólu i cierpienia doznała w takim właśnie świetle.

Położyła rękę na półce i zanurzyła palce w grubej warstwie kurzu. Po chwili zamknęła dłoń na małej plastikowej torebce. Kobieta uśmiechnęła się do siebie, podnosząc i otrzepując znalezisko z pyłu. Torebka zawiązana była na ciasny węzeł, Sara jednak szybko się z nim uporała. Wyjęła ze środka starannie złożony kawałek papieru, podsunęła pod nos i powąchała. Pachniał wilgocią i stęchlizną, co oznaczało, że czekał tu na nią już od kilku miesięcy.

Choć nie podczas każdej wizyty znajdowała nową wiadomość, Sara była na siebie zła, że nie przyszła wcześniej. Z drugiej jednak strony raczej nie pozwalała sobie na odwiedziny tej skrzynki kontaktowej częściej niż raz na pół roku, gdyż każda taka wizyta narażała na poważne niebezpieczeństwo wszystkie osoby w jakikolwiek sposób z nią związane. Były to jedyne okazje, kiedy wchodziła w bezpośredni kontakt z kimś, kto należał do jej poprzedniego życia. Zawsze istniało ryzyko, choć niewielkie, że podczas wędrówki z Kolonii na powierzchnię, do Highfield, kurier jest śledzony. Sara nie mogła również lekceważyć możliwości, że i ona sama zostałaby zauważona podczas podróży z Londynu. Niczego nie mogła być pewna. Wiedziała, że nieprzyjaciel jest cierpliwy, niezwykle cierpliwy i

wyrachowany i nigdy nie ustanie w wysiłkach, by ją schwytać, a potem zabić. Musiała być sprytniejsza i pokonać go w jego własnej grze.

Spojrzała na zegarek. Zawsze starała się przebywać w skrytce jak najkrócej. Za każdym razem usiłowała też zmieniać trasę wędrówki do mostu i z powrotem do pobliskiej wioski, gdzie mogła złapać autobus do domu.

Powinna była już ruszać w drogę, lecz głód wieści o rodzinie był silniejszy. Ten kawałek papieru stanowił jedyny środek łączności z matką, bratem i dwoma synami – był dla niej niczym arteria życiowa.

Musiała się dowiedzieć, co jest w środku. Ponownie powąchała wiadomość.

Prócz ogromnej ciekawości było coś jeszcze, co skłaniało ją do odejścia od starannie zaplanowanych procedur, których przestrzegała do tej pory podczas każdej wizyty w komnacie pod mostem.

Wydawało się jej, że prócz zwykłego zapaszku stęchlizny papier wydziela jakąś inną wyraźną woń. Był to ostry i nieprzyjemny smród złych wiadomości. Intuicja dotychczas nie zawodziła Sary, kobieta nie zamierzała więc i teraz lekceważyć jej podszeptów.

Ogarnięta narastającym strachem, wbiła wzrok w jedną ze świetlistych kul i przesuwała kartkę między palcami, walcząc z pokusą. Wreszcie, zdegowana własną słabością, skrzywiła się i otworzyła list. Stojąc przed kamienną ścianą, spojrzała na arkusik papieru obłany zielonym blaskiem.

Zmarszczyła brwi. Zaskakujący był już sam fakt, że autorem listu nie był jej brat. Nie znała dziecinnego charakteru pisma, którym zanotowano wiadomość. Zawsze pisał do niej Tam. Przeczucie nie zawiodło Sary – od razu zrozumiała, że stało się coś niedobrego. Obróciła kartkę i spojrzała na zakończenie listu, by sprawdzić, czy jest tam jakiś podpis.

– Joe Waites – odczytała głośno, coraz mocniej zaniepokojona. Coś tutaj nie pasowało; od czasu do czasu Joe pełnił funkcję kuriera, jednak autorem wiadomości zawsze był Tam.

Kobieta przygryzła wargi, zatrwożona, i zaczęła czytać. Przebiegła wzrokiem kilka pierwszych linijek.

– O mój Boże... – wykrztusiła, potrząsając gwałtownie głową.

Jeszcze raz przeczytała pierwszą stronę listu, nie mogąc pogodzić się z tym, co zawierał. Wmawiała sobie, że musiała źle zrozumieć jego treść albo że nastąpiła jakaś pomyłka. Sprawa była jednak bezsporna; proste sformułowania nie pozostawiały miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. Sara nie miała też powodu, by kwestionować ich autentyczność te listy były jedyną rzeczą, na której mogła polegać, jedyną stałą w zmiennym, niespokojnym życiu. To one nadawały cel i sens jej działaniom.

– Nie, tylko nie Tam... nie Tam!– zawyła.

Zachwiała się i oparła o kamienną ścianę, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios.

Wzięła głęboki, drżący oddech, odwróciła kartkę i przeczytała drugą część, potrząsając nieustannie głową i mamrocząc: – Nie, nie, nie, nie... to niemożliwe...

Wieści z pierwszej strony listu były szokujące, jednak to, co znalazła na drugiej, zupełnie ją dobiło. Jęknąwszy cicho, odepchnęła się od ściany i stanęła na środku komnaty. Chwiejąc się i obejmując rękami, podniosła głowę, by skierować niewidzące spojrzenie w sufit.

Nagle poczuła, że musi jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Wypadła z pomieszczenia w szalonym popłochu i nie zatrzymując się ani na moment, popędziła wzdłuż strumienia. Biegła na oślep w gęstniejących z każdą chwilą ciemnościach i deszczu siąpiącym bez ustanku. Ślizgała się i upadała na wilgotnej trawie, nie myśląc wcale o tym, dokąd biegnie. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Nie odbiegła daleko, gdy zsunęła się z brzegu i runęła z pluskiem wprost do strumienia. Opadła na kolana, zanurzając się aż po pas w zimnej wodzie. Ogarnięta bezbrzeżną rozpaczą, nie czuła jednak lodowatego zimna. Kręciła jednostajnie głową, jakby straszliwy ból na moment pozbawił ją zmysłów.

Zrobiła coś, czego nie robiła od czasu ucieczki do Górnoziemia, od dnia, kiedy porzuciła dwójkę małych dzieci i męża. Zaczęła płakać, początkowo pozwalając sobie tylko na cichy szloch, później jednak straciła nad sobą panowanie, a łzy pociekły po jej policzkach szerokimi strumieniami, jakby pękła w niej jakaś tama.

Szlochała i szlochała, aż wreszcie rozpacz ustąpiła miejsca innemu uczuciu. Twarz kobiety zastygła w grymasie zimnej wściekłości, gdy Sara podniosła się, zmagając się z rwącym nurtem strumienia. Zaciśnęła wilgotne dłonie w pięści, wzniosła je ku niebu i wydała z siebie przeraźliwy okrzyk.

Przenikliwy, rozdzierający dźwięk przetoczył się po pustej, wilgotnej dolinie.

Rozdział drugi



Przynajmniej nie musimy iść jutro do szkoły! – zawołał Will do Chestera, przekrzykując łoskot Pociągu Górników, który zabierał ich coraz dalej od Kolonii, jeszcze głębiej do wnętrza Ziemi.

Obaj chłopcy wybuchli histerycznym śmiechem, wkrótce jednak umilkli, szczęśliwi, że znów są razem. Przez chwilę siedzieli nieruchomo na podłodze potężnego otwartego wagonu, w którym Will znalazł Chestera ukrywającego się pod brezentem.

Po paru minutach Will podciągnął nogi i pomasował kolano. Wciąż bolało go po tym, jak kilka kilometrów wcześniej po dość ryzykownym skoku wylądował na pędzącym pociągu. Zauważywszy to, Chester spojrzał pytająco na przyjaciela, jednak Will pokazał mu podniesione kciuki i skinął uspokajająco głową.

– Jak się tu dostałeś?! – spytał Chester, przekrzykując łoskot pociągu.

– Jestem z Calem! – odkrzyknął Will, wskazując głową na przednią część składu, gdzie zostawił brata. Potem spojrzał na sklepienie tunelu, przesuwanego się w zawrotnym tempie nad ich głowami. – ... Wskoczyliśmy tu... Imago nam pomógł.

– Co?

– Imago nam pomógł – powtórzył Will.

– Imago? A co to?! – krzyknął Chester jeszcze głośniejszym głosem, przykładając do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę.

– Nieważne – odparł bezgłośnie Will i potrząsnął powoli głową,

żałując, że żaden z nich nie potrafi czytać z ruchu warg. Uśmiechnął się szeroko do przyjaciela i zawołał: -Super, że nic ci nie jest!

Chciał pokazać Chesterowi, że nie mają powodu do zmartwień, choć sam był pełen obaw o przyszłość. Zastanawiał się, czy przyjaciel zdaje sobie sprawę, że zmierzają do Głębi, miejsca, o którym mieszkańcy Kolonii mówili z przerażeniem.

Will odwrócił głowę i spojrzał na znajdującą się za nim burzę wagonu. Zdążył się już przekonać, że pociąg i tworzące go wagony są kilkakrotnie większe od tych spotykanych na powierzchni. Zupełnie nie miał ochoty ruszać w drogę powrotną tam, gdzie czekał na niego brat. Samo dotarcie do miejsca, w którym stał teraz, było nie lada wyczynem; Will wiedział, że nawet najmniejsza pomyłka mogła zakończyć się upadkiem na tory, gdzie zapewne zostałyby zgniecione na miazgę przez potężne koła, toczące się ze zgrzytem po grubych szynach. Wolał nawet o tym nie myśleć. Wziął głęboki wdech.

- Gotów do drogi?! - krzyknął do Chestera.

Przyjaciel skinął głową na znak porozumienia i podniósł się niepewnie. Trzymając się kurczowo tylnej ściany wagonu, balansował ciałem tak, by zrównoważyć nieustanne kołysanie pociągu, który pokonywał właśnie serię zakrętów.

Chester ubrany był w krótki płaszcz i grube spodnie, jakie zazwyczaj nosili mieszkańcy Kolonii. Gdy poły płaszcza rozchyliły się na moment, Will przeraził się tym, co zobaczył.

W szkole, ze względu na imponującą posturę, do Chestera przylgnęło przezwisko Komoda. Jednak teraz wyglądał na wymizerowanego. Być może była to tylko wina słabego światła, lecz twarz chłopca zdawała się wychudzona, podobnie jak całe ciało.

Willowi trudno było uwierzyć w to, że przyjaciel może wydawać się niemal kruchy.

Dobrze wiedział, jak okropne warunki panują w areszcie. Wkrótce

po wtargnięciu do podziemnego świata zostali schwytani przez policjanta z Kolonii i wrzuceni do dusznej, ciemnej celi. Will jednak przebywał tam tylko przez dwa tygodnie, Chester zaś musiał znosić tę mękę znacznie dłużej. Przez kilka miesięcy.

Will zdał sobie nagle sprawę, że gapi się nachalnie na przyjaciela, i szybko odwrócił wzrok. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Wiedział bowiem dobrze, że to on jest winien wszystkiemu, co wycierpiał Chester. To właśnie Will, wiedziony ciekawością i pragnieniem odszukania zaginionego ojca, wciągnął kolegę w całą tę historię; on i tylko on był odpowiedzialny za wszystko, co spotkało ich od tamtej pory, kiedy wyruszyli w podróż.

Chester coś powiedział, lecz Will nie zrozumiał ani słowa. Przyglądając się mu w zielonym blasku kuli trzymanej w dłoni, próbował odgadnąć myśli przyjaciela. Twarz chłopca pokryta była grubą warstwą sadzy z kłębow dymu, nieustannie przepływającego nad ich głowami. Właściwie cała była jedną czarną plamą, w której lśniły tylko białka oczu.

Choć światło rzucane przez kulę nie było zbyt mocne, Will mógł dostrzec, że Chester nie wygląda teraz jak okaz zdrowia. Spod warstwy brudu tu i ówdzie prześwitywały fioletowe plamy i wybroczyny; gdzieś tam czerwone ślady znaczyły miejsca, w których skóra chłopca była popękana lub przecięta. Jego włosy, tak długie, że zaczynały się już kręcić na końcach, zlepił brud i przylegały po obu stronach głowy. Widząc, jakim wzrokiem Chester patrzy na niego, Will domyślił się, że i jego wygląd musi być szokujący.

Odruchowo przyglądał dłońmi białe, poprzetykane brudem włosy, których nie strzygł już od miesięcy.

Teraz jednak mieli ważniejsze sprawy. Will zbliżył się do tylnej ścianki wagonu i już miał się na nią wspiąć. Zatrzymał się jednak i

spojrzał na przyjaciela. Chester z trudem utrzymywał się na nogach, choć mogło to być skutkiem nieustannego kołysania wagonu.

– Dasz radę to zrobić?! – krzyknął Will. Chester pokiwał głową bez przekonania.

– Na pewno?! – zawołał Will ponownie.

– Tak! – odkrzyknął Chester, tym razem kiwając głową nieco energiczniej.

Jednak przeprowianie się z wagonu do wagonu było, mówiąc oględnie, dość trudne i po każdym przejściu Chester musiał coraz dłużej dochodzić do siebie. Sytuację komplikował fakt, że pociąg zaczął nabierać prędkości. Chłopcy czuli, jakby zmagali się z wiatrem o sile 10 stopni w skali Beauforta; pęd powietrza smagał im skórę twarzy; przy każdym oddechu wciągali w płuca gryzący dym. Jakby tego było mało, w każdej chwili mogli zostać poparzeni drobinami płonącego popiołu, które przelatwały nad ich głowami niczym superszybkie świetliki. Wraz ze wzrostem prędkości pociągu w ciągnącym się nad nim strumieniu powietrza było coraz więcej rozżarzonych okruchów. Wydzielany przez nie pomarańczowy blask rozpraszał ciemności otaczające chłopców, dzięki czemu Will nie musiał używać świetlnej kuli.

Wędrówka w stronę wagonu, w którym czekał na nich Cal, stawała się wolniejsza i bardziej mozolna. Zmęczony i wymizerowany Chester z coraz większym trudem utrzymywał się na nogach, choć dzielnie parł naprzód, przytrzymując się ścian.

Wkrótce było oczywiste, że chłopiec już nie daje sobie rady. Opadł na podłogę i szedł na czworakach za Willem, z nisko opuszczoną głową. Will nie zamierzał stać z boku i przyglądać się beczynie cierpieniem przyjaciela. Nie zważając na protesty, objął go wpół i pomógł mu podnieść się z kolan.

Chłopak musiał pomagać Chesterowi na każdym kroku, dlatego

pokonanie pozostałych wagonów wymagało od niego olbrzymiego wysiłku. Zadania nie ułatwiała też świadomość, że najdrobniejszy błąd mógłby kosztować ich życie.

Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że do przejścia został im już tylko jeden wagon.

Wątpił, czy miałyby jeszcze dość sił, by przenieść przyjaciela choćby kilka metrów dalej. Obejmując Chestera w pasie, podszedł do szczytowej ściany wagonu i chwycił jej górną krawędź.

Will odetchnął kilka razy głęboko, przygotowując się do działania. Kończyny Chestera poruszały się słabo, jakby stracił nad nimi kontrolę. Tak więc teraz Will musiał utrzymywać już niemal cały ciężar ciała kolegi, co sprawiało mu ogromną trudność. Skok z wagonu do wagonu był dużym wyzwaniem dla jednego człowieka, a wykonanie tego manewru z czymś, co przypominało olbrzymi worek ziemniaków pod pachą, wydawało się niemal niemożliwe. Will zebrał wszystkie siły i pociągnął przyjaciela za sobą. Po krótkich, lecz skrajnie wyczerpujących zmaganiach zdołali w końcu wylądować na podłodze następnego wagonu.

Natychmiast otoczył ich intensywny zielony blask. Po podłodze turlały się setki świetlnych kul wielkości piłeczek pingpongowych. Wysypały się z drewnianej skrzyni, która się rozpadła, amortyzując upadek Willa. Choć wiele kul leżało już schowanych w kieszeniach chłopca, musiał coś zrobić z pozostałymi – jeden z Kolonistów mógł przecież zauważyć podejrzanе światło i przejść do ich wagonu.

Jednak w tej chwili Will musiał zająć się przede wszystkim wycieńczonym przyjacielem. Pomógł mu wstać z podłogi, objął wpół i odsuwając kopnięciami kulki, na które mógł przypadkiem nastąpić i stracić równowagę, ruszył powoli naprzód.

Wprawione w ruch okrągłe przedmioty toczyły się na bok, zostawiając za sobą smugi zielonego światła. Zderzały się z innymi,

które też zaczynały się poruszać, jakby jedno dotknięcie stopy uruchomiło reakcję łańcuchową.

Will dyszał ciężko, pokonując ostatni odcinek długiej i mozolnej wędrówki; kosztowała go ona mnóstwo sił i chłopiec musiał wykazać się ogromną determinacją.

Choć Chester bardzo schudł w ostatnich tygodniach, wciąż sporo ważył.

Przygarbiony, słaniający się na nogach Will w zielonym blasku kul wyglądał jak żołnierz, który pomaga rannemu towarzyszowi wrócić do okopów i ciągnie go przez pas ziemi niczyjej, skąpany w świetle wrogich rac.

Chester zdawał się nie wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Pot spływał mu strumieniami z czoła i żłobił jasne linie w warstwie brudu pokrywającej jego twarz.

Will czuł, jak ciało przyjaciela drży przy każdym krótkim, płytkim oddechu.

– Już niedaleko! – krzyknął Chesterowi do ucha, kiedy dotarli do miejsca, gdzie stały sterty drewnianych skrzyń. – Cał jest kilka kroków stąd.

Chłopiec siedział zwrócony do nich plecami wśród rozbitych skrzyń. Dokładnie tam, gdzie Will go zostawił. Cał, młodszy brat Willa, był do niego zadziwiająco podobny.

Obaj albinosi, obaj mieli białe włosy i szerokie kości policzkowe odziedziczone po matce, której żaden z nich nie pamiętał. Teraz jednak głowa Cała zwisała nisko, a twarz była niewidoczna, gdy chłopiec pocierał delikatnie obolały kark. Nie miał tak miękkiego i szczęśliwego lądowania na przejeżdżającym pociągu jak jego brat.

Will zaprowadził Chestera do najbliższej skrzynki i pomógł mu usiąść. Potem podszedł do brata i postukał go lekko w ramię. Miał nadzieję, że chłopiec za bardzo się nie przestraszy. Imago

przykazywał im wcześniej, by przez cały czas mieli się na baczności. W każdej chwili mogli bowiem natknąć się na Kolonistów podróżujących pociągiem. Jednak w tym wypadku Will nie miał się czego obawiać; brat tak był pochłonięty uzalaniem się nad sobą, że w ogóle nie zareagował na dotyk. Dopiero po kilku sekundach i kilku niesłyszalnych burknięciach odwrócił się, wciąż masując obolały kark.

– Cal, znalazłem go! Znalazłem Chestera! – wołał Will, z trudem przekrzykując łoskot pociągu.

Cal i Chester spojrzeli na siebie, jednak żaden się nie odezwał. Dzielili ich zbyt duża odległość, by mogli prowadzić rozmowę. Choć spotkali się już wcześniej, nie mieli wtedy czasu na wymianę uprzejmości. Odbyło się to bowiem w bardzo niesprzyjających okolicznościach, gdy Styksowie dosłownie deptali im po piętach.

Chłopcy odwrócili wzrok, a Chester zsunął się ze skrzynki na podłogę wagonu i objął głowę obiema dłońmi. Wędrówka, którą przed chwilą odbyli z Willem, najwyraźniej pozbawiła go resztek sił. Cal tymczasem ponownie zajął się masowaniem karku. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony faktem, że Chester podróżował tym samym pociągiem co oni, a być może po prostu wcale go to nie obchodziło.

Will wzruszył ramionami.

– Boże, co za ofiary losu! – stwierdził normalnym głosem, by żaden z chłopców nie usłyszał go poprzez łoskot pociągu. Kiedy jednak znów zaczął rozmyślać o przyszłości, natychmiast zagościł w nim dojmujący niepokój, jakby coś zżerało go od środka.

Wszystko wskazywało na to, że przyjaciele zmierzają do miejsca, o którym nawet Koloniści mówią z lękiem.

Wygnanie tam, na okrutne pustkowia, było dla nich jedną z najokrutniejszych i najsroższych kar, jakie mogli sobie wyobrazić.

A przecież Koloniści byli niezwykle wytrzymałą rasą, która od wieków żyła w trudnych warunkach podziemnego świata. Skoro więc

miejsce, do którego wiozł ich właśnie Pociąg Górników, było takie przerażające dla Kolonistów, jak o n i mieliby tam przetrwać? Will doskonale zdawał sobie sprawę, że wszyscy trzej znów staną przed bardzo trudnym zadaniem. Wiedział też dobrze, że ani jego brat, ani przyjaciel nie są w stanie sprostać żadnym wyzwaniom. Nie teraz.

Will zgiął obolałą i zeszywniałą rękę, a potem wsunął dłoń pod kurtkę, by dotknąć zranionego ramienia. Kilka dni wcześniej pogryzł go jeden z ogromnych psów, wykorzystywanych przez Styksów do patrolowania Wiecznego Miasta. I choć rany zostały starannie opatrzone, chłopiec wciąż nie czuł się najlepiej. Odruchowo zerknął na ustawione dokoła skrzynie z owocami. Przynajmniej mieli dość jedzenia, by nie opaść z sił, jednak poza tym byli zupełnie nieprzygotowani do dalszej podróży.

Chłopiec czuł się przygnieciony ogromną odpowiedzialnością, jakby ktoś położył mu na barkach olbrzymi ciężar, którego w żaden sposób nie mógł z siebie zrzucić. To on wciągnął Chestera i Cala w szalone poszukiwania ojca, błakającego się teraz gdzieś po nieznanach krainach, do których oni trzej zbliżali się z każdym zakretem tunelu.

Oczywiście, jeśli doktor Burrows w ogóle jeszcze żył... Will potrząsnął głową.

Nie! Nie mógł pozwolić sobie na takie myślenie. Musiał iść naprzód, wierząc, że któregoś dnia znów spotka się z tatą i że wtedy wszystko ułoży się tak jak w jego marzeniach. Cała czwórka – doktor Burrows, Chester, Cal i on – utworzy jeden zespół i będzie pracowała razem, odkrywając cudowne, niewyobrażalne rzeczy... zaginione cywilizacje... może nowe formy życia... a potem... potem co?

Nie miał zielonego pojęcia. Tak daleko nie sięgał myślami. Choć starał się ze wszystkich sił, nie potrafił sobie wyobrazić, jak potoczą się ich losy. Wiedział tylko, że cała historia zakończy się szczęśliwie, jeśli tylko odnajdą ojca. Tak musiało być.

Rozdział trzeci



Z różnych miejsc hali dochodził terkot maszyn do szycia. Odpowiadał im syk pras parowych, jakby jedno i drugie próbowały się ze sobą porozumieć.

Tam, gdzie siedziała Sara, słychać było przytłumione odgłosy radia, bezskutecznie usiłujące przebić się przez mechaniczny hałas. Kobieta przesunęła stopę na pedale, ożywiając maszynę, która przeciągnęła nic przez materiał. Wszyscy pracowali bez chwili wytchnienia, by przygotować na następny dzień nową partię ubrań.

Sara podniosła wzrok, słysząc czyjś krzyk – jakaś szwaczka przeciskała się między stanowiskami pracy w stronę koleżanek, które czekały na nią przy wyjściu z olbrzymiej sali. Kiedy już do nich dołączyła, zaczęły głośno paplać, niczym stado podnieconych gęsi. Po chwili opuściły halę.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, Sara spojrzała w górę, na brudne szyby wysokich fabrycznych okien. Deszczowe chmury gromadzące się na niebie sprawiły, że zrobiło się ciemno jak pod wieczór, choć był dopiero środek dnia. W hali wciąż pracowało sporo kobiet, każda pochylona nad swoją maszyną i zamknięta w kręgu światła rzucanego przez lampy zawieszane nad warsztatami.

Sara nacisnęła guzik pod stołem i wyłączyła maszynę. Chwyciwszy swoją torbę i płaszcz, ruszyła do drzwi. Prześlizgnęła się przez nie, przytrzymując lekko ich skrzydła, by zamknęły się bez hałasu, i pomknęła w głąb korytarza. Po drodze, przez okno biura spostrzegła

kierownika hali, pochylonego nad biurkiem i zatopionego w lekturze gazety. Powinna była mu powiedzieć, że opuszcza miejsce pracy. Jednak spieszyła się na pociąg, a poza tym im mniej ludzi wiedziało, że wychodzi, tym lepiej.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, omiotła spojrzeniem chodniki, wypatrując osób, które nie pasowały do tego miejsca. Był to już odruch; nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że to robi. Instynktownie czuła, że jest bezpieczna, ruszyła więc w dół zbocza i skręciła z głównej ulicy, wybierając okrężną drogę.

Od wielu lat żyła jak duch. Co kilka miesięcy zmieniała pracę i miejsce zamieszkania, co stawiało ją w jednym szeregu z niewidzialnymi ludźmi – nielegalnymi imigrantami i drobnymi przestępcami. I choć rzeczywiście była swego rodzaju imigrantką, nie popełniła żadnego przestępstwa. Od czasu do czasu podawała jedynie fałszywe dane osobowe, poza tym jednak nigdy nie złamała prawa, nawet wtedy, gdy bardzo potrzebowała pieniędzy; zbyt wielkie było ryzyko, że zostanie aresztowana i wciągnięta w system. Wówczas zaczęłaby zostawiać wyraźny, łatwy do odkrycia ślad.

Przez pierwszych trzydzieści lat życie Sary wyglądało zupełnie inaczej.

Urodziła się pod ziemią, w Kolonii. Prapradziadek Sary wraz z kilkuset innymi mężczyznami pracował przy budowie ukrytego miasta, przysięgłszy posłuszeństwo Sir Gabrielowi Martineau, człowiekowi, który – jak wierzyli – był ich zbawcą.

Sir Gabriel mówił swoim wyznawcom, że w bliżej nieokreślonej przyszłości zepsuty świat zostanie całkowicie zniszczony przez gniewnego i mściwego Boga. Wszyscy ludzie, którzy zamieszkują powierzchnię – Górnoziemcy, zostaną uśmierceni, a wówczas Boża trzoda, niepokalany lud, powróci do swego prawowitego domu.

Sara bała się tego samego, czego obawiał się ów lud -Styksów. Ta

policja wyznaniowa narzucała Kolonii swój porządek z brutalną, nieprzejednaną skutecznością. Pomimo wielu przeciwności i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Sara zdołała uciec z Kolonii, wiedziała jednak, że Styksowie zrobią wszystko, by ją złapać i to zdarzenie wykorzystać jako przestrożę dla innych.

Kobieta weszła na plac i okrążyła go, aby się upewnić, że nikt jej nie śledzi. Nim wróciła na główną drogę, na moment schowała się za furgonetką zaparkowaną przy chodniku.

Po chwili zza samochodu wyłoniła się zupełnie inna osoba. Sara przewróciła płaszcz na drugą stronę, zmieniając zieloną kratę na jednostajną szarość, głowę zaś obwiązała czarną chustą. Kiedy pokonywała ostatni odcinek drogi dzielący ją od stacji kolejowej, wydawała się niemal zupełnie niewidoczna na tle ciemnych biurowców i sklepów; zlewała się w jedno z brudną szarością, niczym kameleon w ludzkiej skórze.

Na dźwięk nadjeżdżającego pociągu podniosła wzrok. Uśmiechnęła się do siebie – jak zwykle przyszła w samą porę.

Rozdział czwarty



Kiedy Chester i Cal spali, Will dokonał w myślach przeglądu sytuacji. Rozejrzawszy się dokoła, zrozumiał, że przede wszystkim powinni się lepiej ukryć. Zakładał, że dopóki pociąg jest w ruchu, żaden z Kolonistów nie będzie ryzykował wędrówki przez rozkołysane wagony. Jednak jako intruzi musieli być przygotowani i na to, że kiedy maszyna się zatrzyma, któryś ze strażników skontroluje skład. Cóż jednak mogli zrobić? Ich możliwości były bardzo ograniczone. Will uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie poprzestawianie nieuszkodzonych skrzyń. Zajął się przesuwaniem ich i rozmieszczaniem wokół śpiących chłopców – i w ten sposób utworzył prowizoryczną kryjówkę dla całej trójki.

Wykonując to zadanie, Will zauważył, że ściany wagonu przed nimi są znacznie wyższe niż tego, w którym znaleźli schronienie, a także wszystkich pozostałych, przez które przechodził podczas niedawnej wędrówki. Imago, szczęśliwym trafem lub też celowo, wtrącił ich w osłonięte miejsce, gdzie dym i sadza wyrzucane z komina lokomotywy nie były aż tak dokuczliwe jak gdzie indziej.

Kiedy Will ustawił ostatnią skrzynkę i cofnął się o krok, by podziwiać swoje dzieło, jego umysł już zaprzętał kolejny problem – kwestia wody. Przez jakiś czas mogli żywić się wyłącznie owocami, jednak wcześniej czy później musieli się czegoś napić. Dobrze byłoby też mieć pod ręką prowiant, w który zaopatrzyli się z Calem w Górnoziemiu. Oznaczało to, że ktoś musiał wybrać się do przednich

wagonów, aby odzyskać plecaki wrzucone tam przez Imaga. Will dobrze wiedział, że tym kimś będzie on.

Z rozłożonymi szeroko ramionami, chwiejąc się lekko na nogach, jakby stał na pokładzie statku kołyszącego się na falach, chłopak wpatrywał się przez chwilę w ścianę żelaza, na którą miał się zamiar wspiąć. Zatrzymał spojrzenie na jej górnej krawędzi, widocznej wyraźnie na tle pomarańczowego blasku rozsiewanego przez płonące drobiny popiołu. Przypuszczał, że wznosząca się przed nim przeszkoda ma jakieś cztery lub pięć metrów wysokości – prawie dwa razy więcej niż ściany, na które wspinał się do tej pory.

– Ruszaj się, mięczaku, dasz radę – mruknął do siebie, po czym poderwał się do biegu, wskoczył, rozpędzony, na ścianę wagonu, odbił się od niej i chwycił dłońmi krawędź kolejnej, wyższej ściany.

Przez moment wydawało mu się, że źle ocenił odległość i spadnie na tory. Zaciskając mocno palce na skraju żelaznej ściany, przesunął wyżej stopy i ustawił je w bardziej dogodnej pozycji.

Pozwolił sobie na chwilę samozadowolenia, zaraz jednak zrozumiał, że nie jest to zbyt bezpieczne miejsce. Oba wagony kołysały się gwałtownie i rzucały chłopcem na wszystkie strony, jakby chciały go strącić. Will wolał nawet nie spoglądać w dół na przemykające poniżej tory, bał się bowiem, że wówczas całkiem opuści go odwaga.

– Raz kozie śmierć! – krzyknął i zebrawszy wszystkie siły, przerzucił ciało na drugą stronę ściany. Potem ześlizgnął się na dół i wylądował niezdarnie na podłodze wagonu. Udało się!

Will wyjął z kieszeni świetlną kulę, rozejrzał się dokoła i stwierdził z rozczarowaniem, że nie licząc kilku stert węgla, wagon wydaje się całkiem pusty.

Ruszył jednak przed siebie i odetchnął z ulgą, dojrawszy dwa plecaki leżące pod przeciwległą ścianą. Wziął je i przeniósł na drugą

stronę, po czym przerzucił przez wysoką burtę, modląc się w duchu, by trafiły do sąsiedniego wagonu.

Kiedy wrócił do Chestera i Cala, obaj chłopcy wciąż pogrążeni byli w głębokim śnie.

Nawet nie zauważyli dwóch bagaży, które cudownym sposobem pojawiły się tuż obok ich kryjówki. Wiedząc, jak osłabiony jest Chester, Will natychmiast zaczął przygotowywać mu kanapkę.

Kiedy jakiś czas później, po długich namowach i energicznym potrząsaniu, Willowi udało się w końcu obudzić Chestera, ten dosłownie rzucił się na jedzenie.

Uśmiechając się do przyjaciela pomiędzy kolejnymi kęsami, pożarł je z iście wilczym apetytem, potem przepłukał gardło wodą z manierki i znów położył się spać.

W ten właśnie sposób spędzali kolejne godziny – jedząc i śpiąc. Robili sobie przedziwne kanapki, złożone z kromek białego chleba, pasków suszonego szczurzego mięsa i sałatki colesław. Poczęstowali się nawet mało apetycznymi kawałkami grzybów (był to podstawowy element pożywienia Kolonistów – olbrzymie borowiki hodowane na podziemnych polach), które układali na waflach posmarowanych grubą warstwą masła. Na koniec każdego posiłku jedli tyle owoców, że wkrótce pochłonęli całą zawartość rozbitych skrzyń i zmuszeni byli otworzyć kilka następnych.

Tymczasem pociąg wiozł ich coraz dalej i dalej w głąb płaszcza Ziemi.

Zrozumiawszy, że próby nawiązania rozmowy z towarzyszami podróży nie mają większego sensu, Will ułożył się na podłodze wagonu i zajął oglądaniem tunelu.

Obserwacja poszczególnych warstw skał była dla niego nieustającym źródłem fascynacji. Z uwagą przyglądał się mijanym pokładom skalnym i chwiejnym pismem sumiennie umieszczał

obserwacje w notesie. Miał nadzieję, że powstanie z nich raport, który przewyższy wszystkie opisy geograficzne stworzone do tej pory. Zdecydowanie przyćmiewało to wszelkie wykopaliska, jakie prowadził w Highfield, gdzie mógł ledwie poskrobać powierzchnię skorupy ziemskiej.

Chłopak zauważył również, że stopień nachylenia tunelu zmienia się co jakiś czas, i to dość znacznie – na niektórych kilkukilometrowych odcinkach, wydrążonych bez wątpienia przez człowieka, tunel łagodnie, lecz nieprzerwanie opadał. Gdzie indziej wracał do poziomu, a wówczas przejeżdżali zazwyczaj przez naturalne jaskinie, z dominującymi stalaktytami i stalagmitami. Ogrom tych struktur zapierał Willowi dech w piersiach – chłopiec nie mógł wprost uwierzyć, jak bardzo przypominają wielkie katedry średniowieczne. Czasami wjeżdżali w obszary pokryte ciemną wodą, która przelewała się przez tory i chlupotała głośno pod kołami pociągu. Wszystkie te niezwykle krajobrazy przetykane były odcinkami tak stromymi, że gdy skład pędził w dół, pogrążeni we śnie chłopcy wpadali na siebie i się budzili.

Nagle rozległ się ogłuszający łomot, jakby cały pociąg spadł ze skalnej półki.

Chłopcy wyprostowali się i rozejrzeli dokoła, wystraszeni. W tej samej chwili z góry zleciały na nich strumienie ciepłej wody, przemaczając ich tak skutecznie, jakby znaleźli się pod wodospadem. Wszyscy śmiali się głośno i wymachiwali rękami, zachłystując się ciepłą cieczą, gdy nagle prysznic ustał równie gwałtownie, jak się zaczął, a chłopcy umilkli, ponownie zaskoczeni.

Ponad ich ciałami i nad podłogę wagonu podniosły się kłęby pary, porwane natychmiast przez strumień powietrza wytwarzany przez pociąg. Will już wcześniej zauważył, że w miarę jak pociąg wjeżdżał w głąb Ziemi, robiło się coraz cieplej.

Początkowo ta zmiana była ledwie odczuwalna, później jednak temperatura zaczęła się podnosić niepokojąco szybko.

Po jakimś czasie wszyscy rozpięli koszule, zdjęli buty i skarpety. Wokół zrobiło się tak gorąco i sucho, że chłopcy wspinali się na zmianę na stertę skrzyń, usiłując odetchnąć chłodniejszym powietrzem płynącym nad pociągiem. Will zastanawiał się, czy będą musieli znosić taką temperaturę do końca podróży. Czy Głębia jest nieznośnie gorąca, jak powietrze buchające z otwartego paleniska? Wydawało się, że pędzą magistralą prowadzącą do samego piekła.

Rozmyślenia Willa brutalnie przerwał przeraźliwy pisk hamulców. Chłopcy musieli zatkać uszy. Pociąg zwolnił, a potem zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem.

Kilka minut później z przodu dobiegł głośny brzęk i zgrzyt metalu o skałę. Will szybko włożył buty i przeszedł do ściany wagonu. Podciągnął się wyżej i wyjrzał ponad krawędzią, by sprawdzić, co się dzieje w przedniej części składu.

Jego wysiłek okazał się jednak bezcelowy – w głębi tunelu widać było przytłumiony czerwony blask, poza tym jednak wszystko przysłaniały kłęby czarnego dymu.

Chester i Cal podeszli do Willa i wyciągając szyje, próbowali dojrzeć coś ponad wagonami. Lokomotywa pracowała na biegu jałowym, natężenie hałasu spadło więc nagle niemal do zera, dlatego każdy wydawany przez chłopców dźwięk, czy to szurnięcie buta, czy kaszel, zdawał się bardzo wyraźny, a zarazem dziwnie odległy i przytłumiony. Choć w końcu nadarzyła się okazja do rozmowy, tylko spoglądali na siebie niepewnie, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć. Wreszcie jako pierwszy odezwał się Chester: – Widzisz coś? – spytał.

– Wyglądasz już znacznie lepiej – odparł Will.

Jego przyjaciel poruszał się teraz całkiem sprawnie, więc bez trudu wspiął się na ścianę wagonu i stanął obok Willa.

– Byłem po prostu głodny – mruknął Chester lekceważąco, przyciskając otwartą dłoń do ucha, jakby w ten sposób próbował ochronić je przed niepokojącą ciszą.

Gdzieś z przodu rozległo się wołanie, głęboki męski głos odbił się echem od ścian tunelu. Chłopcy zamarli w bezruchu. Odległy krzyk przypomniał im w porę, że nie są sami. Prócz nich pociągiem podróżował oczywiście maszynista – prawdopodobnie w towarzystwie pomocnika, jak przestrzegał ich Imago – oraz jeszcze jeden mieszkaniec Kolonii w wagonie straży, na końcu składu. Choć ludzie ci wiedzieli, że w jednym z wagonów jest Chester i mieli za zadanie wyprawić go w drogę po przyjeździe do Stacji Górników, Cal i Will byli pasażerami na gapę, a za ich głowy zapewne już wyznaczono wysoką nagrodę. W żadnym wypadku nie mogli pozwolić, by odkryto ich obecność.

Chłopcy spojrzeli po sobie z przestachem, a potem Cal podciągnął się na krawędź wagonu i stanął przy Willu i Chesterze.

– Nic nie widzę – oznajmił.

– Spróbuję tam – oświadczył Will i przesunął się powoli na skraj, w nadziei, że stamtąd zobaczy coś więcej. Dotarłszy do celu, zmrużył oczy i wyjrzał zza burty wagonu, przekonał się jednak, że i tutaj wszystko przesłaniają kłęby czarnego dymu.

Wrócił na miejsce obok Chestera.

– Myślisz, że nas szukają? – zapytał Will Cala, ten jednak wzruszył tylko ramionami i obejrzał się nerwowo za siebie.

– O matko, ale tu gorąco – wyszeptał Chester, wydmuchując powietrze przez zęby.

Miał rację – gdy nie chłodził ich już nawet strumień powietrza płynący nad wagonami, temperatura zrobiła się wręcz nieznośna.

– To nasz najmniejszy problem – mruknął Will.

W tej samej chwili pociąg drgnął, lokomotywa szarpnęła wagony i

po kilku nierównych zrywach ruszyła naprzód.

Chłopcy zostali jeszcze przez chwilę na swoich miejscach. Przytuleni do wysokiej ściany, zanurzyli się ponownie w kłębach dymu i ogłuszającym hałasie.

Uznawszy, że mają już dość, zeskoczyli do wnętrza wagonu i wrócili do kryjówki, choć nadal raz po raz wyglądali z niepokojem zza skrzynek. Will jako pierwszy dojrzał to, co było powodem zatrzymania pociągu.

– Spójrzcie tam! – krzyknął, wskazując ręką na ściany tunelu, do których tuliły się skrzydła olbrzymich żelaznych wrót. Wszyscy wstali, by lepiej im się przyjrzeć.

– Grodzie burzowe! – krzyknął do Willa Cal. – Zamkną je z powrotem, kiedy już przejedziemy. Zobaczysz.

Nim brat Willa skończył mówić, zapiszczały hamulce, a pociąg zaczął zwalniać.

Potem zatrzymał się raptownie, tak że chłopcy przewrócili się na podłogę. Przez chwilę panowała zupełna cisza, później znów rozległo się przeraźliwe skrzypienie, tym razem dochodzące z końca pociągu. Kakofonia zgrzytliwych dźwięków zakończyła się głuchym tąpnięciem, od którego chłopcy zadrżeli, a ściany tunelu zatrzęśły się, jakby gdzieś z tyłu doszło do niewielkiej eksplozji.

– A nie mówiłem? – rzekł Cal, zadowolony z siebie, gdy na moment w tunelu zapadła cisza. – To grodzie burzowe.

– A do czego właściwie służą? – spytał Chester.

– Częściowo zatrzymują Lewantyński Wiatr, który dociera do Kolonii.

Chester spojrzał nań bez zrozumienia.

– No wiesz, Czarny Wiatr, który wypływa z Interioru wyjaśnił Cal.
– To chyba dość oczywiste, nie? – dodał, przewracając oczami, jakby uznał pytanie Chestera za absurdalne.

– On pewnie jeszcze nigdy nie widział Lewantyńskiego Wiatru – wtrącił szybko Will.

– To jakby burza piaskowa, która nadciąga stamtąd, dokąd jedziemy, z Głębi.

– Aha, rozumiem – odrzekł Chester i odwrócił się.

Jednak Will zdążył dostrzec grymas irytacji na jego twarzy. W tym momencie zrozumiał, że życie z ehesterem i Calem nie będzie łatwe i właściwie lepiej by było, gdyby ci dwaj nigdy się nie spotkali.

Kiedy pociąg znów jechał z dużą prędkością, chłopcy powrócili do kryjówki między skrzyniami. Przez następnych dwanaście godzin skład mijał kolejne grodzie. Podczas każdego postoju we trzech wyteżali wzrok i słuch na wypadek, gdyby któryś z Kolonistów postanowił sprawdzić, co się dzieje z ehesterem. Nikt jednak nie przyszedł, a po każdej przerwie chłopcy wracali do stałego rytmu jedzenia i spania.

Spodziewając się, że już wkrótce dojadą do stacji końcowej, Will prowadził przygotowania. Na warstwie świetlnych kul, które wrzucił wcześniej do plecaków, ułożył teraz tyle owoców, ile tylko się zmieściło. Nie miał pojęcia, gdzie i kiedy po dotarciu do Głębi uda się im znaleźć jedzenie, uznał więc, że powinni zabrać ze sobą wszystko, co zdołają unieść.

Z głębokiego snu wyrwał Willa brutalny dźwięk bijącego dzwonu. Wciąż nieco zamroczony, chłopiec pomyślał najpierw, że to budzik i za chwilę będzie pora wyjść do szkoły. Odruchowo sięgnął w bok, gdzie powinien był znajdować się nocny stolik, jednak palcami dotknął brudnej podłogi, a nie zegarka. Kiedy wreszcie natrętny odgłos dzwonu spełnił swoje zadanie, chłopak zerwał się na równe nogi i przetarł zaspane oczy. Dopiero wtedy zobaczył Cala, w pośpiechu zakładającego skarpety i buty, oraz Chestera, który przyglądał się temu z rozbawieniem. Ostry dźwięk dzwonu ani na

chwilę nie słabł; wędrował w głąb tunelu, odbijając się echem od kamiennych ścian.

– Zbierajcie się obaj! – wrzasnął Cal na cały głos.

– Dlaczego? – zapytał bezgłośnie Chester, zwracając się do Willa, który dojrzał na twarzy przyjaciela grymas strachu i udręki.

– Zaraz będziemy na miejscu! Przygotujcie się! – powtórzył Cal, zapinając pasek plecaka.

Chester spojrzał na niego pytająco.

– Musimy stąd spadać! – krzyknął młodszy chłopiec, wskazując na przód pociągu. – Przed stacją!

Rozdział piąty



Wcałkiem innym pociągu niż ten, który wiozł jej dwóch synów, Sara jechała do Londynu. Nie pozwalała sobie na sen, mimo że przez większą część drogi udawała drzemkę; przymykała powieki, by uniknąć kontaktu wzrokowego ze współpasażerami. Ostatni odcinek trasy naszpikowany był licznymi stacjami, a w wagonie robiło się coraz tłoczniej. Sara odczuwała bliżej nieokreślony niepokój. Na jednym z końcowych przystanków do pociągu wsiadł mężczyzna ze zmierzwioną brodą; kloszard w kraciastym płaszczu, który tulił do siebie całą stertę plastikowych toreb wypchanych różnymi śmieciami.

Musiąca uważać. O n i niekiedy przebierali się za włóczęgów i nędzarzy. Jedyne, czego potrzebował typowy, chudy Styks, to kilkumiesięczny zarost i gruba warstwa brudu, by niczym nie różnić się od tych nieszczęśników, których można spotkać w każdym większym mieście.

Był to dość sprytny wybieg. W takim przebraniu Styksowie wciskali się niemal wszędzie, nie budząc większych podejrzeń Górnoziemców. Co najważniejsze, w ten sposób mogli również utrzymywać stałe posterunki na co bardziej ruchliwych dworcach kolejowych, obserwując przewijających się pasażerów.

Sara już nawet nie pamiętała, ile razy widziała kręcących się po dworcu włóczęgów, którzy przyglądali się jej spod warstwy sklejonych brudem włosów; świdrowali ją spojrzeniem czarnych, wszyszkowidzących źrenic.

Czy ten kloszard był jednym z nich? Obserwowała jego odbicie w oknie pociągu, gdy wyjmował z torby puszkę piwa. Otworzył ją i zaczął pić, wylewając sporą część zawartości na brodę. Zauważyła, że kilkakrotnie patrzył prosto na nią. Miała też wrażenie, że co jakiś czas spogląda w jej stronę lekko nieprzytomnym wzrokiem.

Oczy mężczyzny także wydawały się podejrzane – były czarne jak węgiel, w dodatku kloszard mrużył je lekko, jakby nie był przyzwyczajony do światła dziennego.

Wszystko to budziło niepokój Sary. Nie miała jednak zamiaru ulec pokusie zmiany miejsca, wiedziała bowiem, że w ten sposób ściągnęłaby na siebie uwagę innych, a tego właśnie za wszelką cenę pragnęła uniknąć.

Zacisnęła więc zęby i siedziała w bezruchu, póki pociąg nie wjechał w końcu na stację St. Pancras. Wsiadła jako jedna z pierwszych, a minawszy barierki, podeszła niespiesznym krokiem do miejsca, gdzie mieściły się dworcowe sklepiki. Chcąc uniknąć kamer ochrony rozwieszonych w wielu miejscach na dworcu, pochyliła nisko głowę; gdy podejrzewała, że jej twarz i tak może zostać wychwycona przez maszyny, przykładała do nosa chustkę. Przystanęła przed wystawą jednego ze sklepów i obserwowała kloszarda, który przechodził właśnie przez główną halę.

Jeśli naprawdę był Styksem, albo nawet jednym z ich agentów, powinna trzymać się tłumu. Przez chwilę rozważała różne możliwości ucieczki. Właśnie zastanawiała się, czyby nie wskoczyć do jakiegoś odjeżdżającego pociągu, kiedy kloszard zatrzymał się, nie dalej niż piętnaście metrów od niej, i zaczął grzebać w plastikowych torbach.

Później, przeklinając bełkotliwie mężczyznę, który przez przypadek otarł się o niego, ruszył chwiejnym krokiem w stronę wyjścia. Wyciągał przed siebie wyprostowane ręce, jakby pchał niewidzialny wózek z zakupami. Sara obserwowała go, póki nie zniknął za

drzwiami dworcowego budynku.

Teraz miała już niemal stuprocentową pewność, że to prawdziwy włóczęga. Poza tym bardzo chciała ruszyć w dalszą drogę. Wybrała kierunek na chybił trafił, precyzyjnie się przez tłum i wymknęła z dworca bocznym wyjściem.

Wokoło było ładnie, a na londyńskich chodnikach kłębili się ludzie. Doskonale.

Właśnie to lubiła najbardziej. Lepiej, gdy dokoła kręcił się tłum przechodniów – im ich więcej, tym czuła się bezpieczniej. Mało prawdopodobne wydawało się, by Styksowie próbowali jej coś zrobić na oczach licznych świadków.

Ruszyła dziarskim krokiem na północ, w stronę Highfield. Na ruchliwej ulicy warkot samochodów zlewał się w jeden głuchy pomruk, który przenikał drzeniem chodnik, ogarniał jej stopy i sięgał niemal żołądka. Co ciekawe, to doznanie niosło Sarze ukojenie. Ledwie wyczuwalne wibracje nigdy nie ustawały, były niczym bicie serca żyjącego miasta.

Przemierzając kolejne ulice, przyglądała się nowym budynkom i odwracała głowę, gdy tylko na którymś z nich dostrzegła kamery telewizji przemysłowej. Była zdumiona, jak wiele zmieniło się od czasu jej ostatniej wizyty w Londynie. Kiedy to było, prawie dwanaście lat temu?

Mówi się, że czas leczy rany. Ale to zależy od tego, co działo się w owym czasie.

Przez wiele lat życie Sary było jednostajną, pozbawioną wyrazu i opustoszałą równiną; właściwie czuła się tak, jakby naprawdę w ogóle nie żyła. Choć zdarzyło się to tak dawno, wciąż pamiętała wyraźnie każdy bolesny szczegół ucieczki z Kolonii.

Wędrując ulicami Londynu, uświadomiła sobie, że nie może powstrzymać powodzi wspomnień, które zalewały i przytłaczały jej

umysł. Znow ogarnęło ją to samo zwątpienie w słusność własnego wyboru; te same dręczące wątpliwości, których doświadczała, gdy uciekła z jednego koszmaru tylko po to, by znaleźć się w środku innego; w tej obcej krainie, gdzie blask słońca zamieniał życie w udrękę, gdzie wszystko było tak odmienne i nieznajome. Najbardziej jednak dokuczało jej poczucie winy; świadomość, że porzuciła swoje dzieci, swych dwóch synów.

Ale nie miała wyjścia, musiała iść. Jej dziecko, zaledwie tygodniowy noworodek, dostało bardzo wysokiej gorączki; straszliwej, wyniszczającej gorączki, której towarzyszyły napady dreszczy, wstrząsające raz po raz maleńkim ciałkiem. Nawet teraz Sara wyraźnie słyszała nieustający płacz swojego dziecka; pamiętała okropne poczucie bezradności, które ogarnęło zarówno ją, jak i jej męża. Błagali lekarza o jakieś lekarstwo, lecz on odpowiedział, że nie ma w swej czarnej walizce niczego, co mógłby im dać. Sara wpadła w histerię, ale lekarz pokręcił tylko ponuro głową, unikając jej spojrzenia. Wiedziała, co to oznacza. Znała prawdę. W Kolonii zawsze brakowało lekarstw, takich jak antybiotyki. Ograniczone zapasy przeznaczone były wyłącznie dla klasy rządzącej, dla Styksów i może kilku wybrańców spośród Rady Gubernatorów.

Było jeszcze inne wyjście. Sara zaproponowała, żeby kupić penicylinę na czarnym rynku. Chciała poprosić o to swego brata Tama, lecz jej mąż był nieugięty.

– Nie mogę przyzwolić na podobne ekscesy – oświadczył, wpatrując się posępnie w chore dziecko, które słabło z każdą godziną. Potem plótł jeszcze coś o swojej pozycji w społeczeństwie i o obowiązku przestrzegania pewnych wartości. Dla Sary wszystkie te argumenty nie miały żadnego znaczenia. Chciała tylko, by dziecko wyzdrowiało.

Nie pozostało jej nic innego, jak nieustannie wycierać lśniąca od

potu twarzączkę płaczącego noworodka, by choć w ten sposób ulżyć mu w cierpieniu, i modlić się. W ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin płacz przycichł i zamienił się w żalosne kwilenie, jakby tylko w ten sposób maluszek mógł jeszcze oddychać. Próby karmienia nie przynosiły żadnego rezultatu; dziecko nie chciało ciągnąć pokarmu.

Maleńki synek Sary gasł w oczach, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Myślała, że oszaleje.

Od czasu do czasu dopadała ją ledwie hamowana wściekłość. Chowiała się wtedy w rogu pokoju i próbowała zrobić sobie krzywdę, rozpaczliwie drapiąc przedramiona i przygryzając język, by nie krzyczeć i nie przeszkadzać półprzytomnemu noworodkowi. Kiedy indziej osuwała się na podłogę, ogarnięta tak straszliwą bezsilnością, że modliła się, by śmierć zabrała ją wraz z dzieckiem.

W ostatniej godzinie maleńkie, blade oczy jej synka zrobiły się nienaturalnie szkliste i apatyczne. Sara siedziała obok kołyski w ciemnym pokoju, gdy nagle z odrętwienia wyrwał ją przytłumiony dźwięk; coś, jakby ledwie słyszalny szept, jakby ktoś próbował jej o czymś przypomnieć. Pochyliła się nad kołyską. Wiedziała instynktownie, że było to ostatnie tchnienie, które wypłynęło spomiędzy spękanych warg dziecka. Chłopiec leżał nieruchomo. To był koniec. Sara podniosła maleńkie rączki synka i pozwoliła, by opadły bezwładnie na materac. Czuła się tak, jakby dotykała jakiejś delikatnej, kunsztownie wykonanej lalki.

Wtedy jednak nie płakała. Jej oczy były suche i zimne. W tym właśnie momencie poczuła się całkowicie zwolniona z obowiązku zachowania lojalności względem Kolonii, swego męża i społeczeństwa, w którym żyła do tej pory. I w tej samej chwili zobaczyła wszystko tak wyraźnie, jakby ktoś włączył lampkę w jej głowie. Wiedziała już, co musi zrobić; była tak zdeterminowana, że

nic nie mogło jej powstrzymać. Wiedziała, że musi oszczędzić dwóm pozostałym synom takiego losu – bez względu na cenę.

Tego samego wieczoru, gdy ciało zmarłego noworodka, dziecka bez imienia, stygło w kołysce, Sara wrzuciła trochę rzeczy do torby podróżnej i złapała swych synów. W czasie, gdy jej mąż zajęty był przygotowaniami do pogrzebu, kobieta opuściła dom z dwójką dzieci i udała się w kierunku jednej z dróg ucieczki, opisanej jej niegdyś przez brata.

Zupełnie jakby Styksowie znali każdy jej ruch, wkrótce wyprawa zamieniła się w szaleńczą ucieczkę, zabawę w kotka i myszkę. Gdy kobieta przedzierała się przez labirynt tuneli wentylacyjnych, pościg bez przerwy deptał jej po piętach. Dobrze pamiętała moment, kiedy przystanęła na chwilę, by złapać oddech. Oparta o ścianę, kuliła się w ciemnościach, wyczuwając każdy, nawet najdrobniejszy ruch synków, których wsadziła sobie pod pachy. W głębi serca wiedziała, że nie ma wyboru, że wcześniej czy później będzie musiała zostawić jednego z nich. Brakowało jej sił, by dotrzeć do Górnoziemia z dwójką dzieci. Na zawsze utkwiła jej w pamięci udręka, którą wówczas przeżywała, gdy musiała podjąć tę potworną decyzję.

Jednak wkrótce potem napatoczył się przypadkiem jakiś Kolonista, pobratymiec, jak by się mogło zdawać. W gwałtownej bójce, która się wówczas wywiązała, Sara zdołała pokonać mężczyznę, ogłuszając go potężnym ciosem. Jednak podczas szarpaniny została poważnie raniona w ramię i nie miała się już nad czym dłużej zastanawiać.

Wiedziała, co robić.

Zostawiła Gala. Miał wtedy zaledwie roczek. Delikatnie umieściła ruszające się zawiniątko pomiędzy dwoma kamieniami na skalnym dnie tunelu. Głęboko w pamięć zapadł jej widok maleńkiego dziecka w beciku poplamionym krwią, jej krwią.

Pamiętała też dobrze dźwięki wydawane przez chłopca, ciche

gaworzenie. Była pewna, że wkrótce Styksowie go odnajdą i zanosą do taty, a on się nim zaopiekuje. Słaba pociecha. Ruszyła w dalszą drogę, niosąc na rękach drugiego synka. Bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom zdołała jakoś wymknąć się pościgowi Styksów i wyjść na powierzchnię.

Nad ranem, gdy w Górnoziemiu panowały jeszcze ciemności, szli przez dzielnicę Highfield, wzdłuż High Street. Najstarszy synek Sara dreptał po chodniku tuż obok niej. Nazywał się Seth, miał wówczas dwa i pół roku. Co rusz zbaczał z drogi, wpatrując się w nieznaną okolicę szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami.

Sara nie miała pieniędzy, nie miała też dokąd pójść. Wkrótce zrozumiała, że będzie się musiała naprawdę natrudzić, by zapewnić należyta opiekę nawet jednemu dziecku. Na domiar złego ramię zranione podczas walki z Kolonistą wciąż krwawiło, a ona czuła się coraz słabsza.

Słyszając w oddali ludzkie głosy, opuściła wraz z Sethem główną arterię. Przemierzali boczne uliczki, aż zobaczyli kościół. Dopiero tutaj kobieta pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia, znalazłszy schronienie na zarośniętym cmentarzu. Oboje siedzieli w bezruchu na omszałym grobowcu, po raz pierwszy w życiu wdychając świeże nocne powietrze i spoglądając z zachwytem na niebo. Sara pragnęła zamknąć oczy chociaż na kilka minut; bała się jednak, że jeśli będzie odpoczywać zbyt długo, już nigdy się nie podniesie. Choć kręciło się jej w głowie ze zmęczenia, zebrała resztki sił i wstała z zamiarem znalezienia jakiejś lepszej kryjówki, a przy odrobinie szczęścia – czegoś do jedzenia i picia.

Próbowała wytłumaczyć synkowi, co planuje, lecz on tylko chciał iść z nią. Biedny, mały, dezorientowany Seth. Nie mogła patrzeć na jego smutną buzię, na rozdzierający serce wyraz niezrozumienia, kiedy szybkim krokiem oddalała się od niego. Malec trzymał się

kurczowo bariery otaczającej największy i najbardziej imponujący grobowiec na całym cmentarzu, zwieńczony – co zastanawiające – dwoma kamiennymi posągami dzierżącymi kilof i łopatę. Seth wołał ją, gdy odchodziła. Nie oglądała się jednak, przekonana, że nie znalazłaby wówczas dość sił, by zostawić go samemu sobie.

Wyszła z cmentarza, kierując się w wybraną na chybił trafił stronę. Z każdym krokiem coraz mocniej kręciło się jej w głowie, jakby siedziała na karuzeli.

Nie pamiętała, co się stało potem.

Czyjeś szturchnięcia sprawiły, że odzyskała przytomność. Gdy otworzyła oczy, światło było nieznośnie jasne, tak jasne, że ledwie widziała postać pochylonej nad nią kobiety, która z troską pytała, co się stało. Dopiero wówczas Sara uświadomiła sobie, że zemdlała pomiędzy dwoma samochodami stojącymi na parkingu. Przysłaniając ręką oczy, podniosła się z ziemi i uciekła.

W końcu udało się jej odnaleźć drogę do Seta, z powrotem na cmentarz. Przystanęła jednak, ujrawszy kręcące się między grobowcami postacie w czarnych ubraniach.

Najpierw pomyślała, że to Styksowie, potem jednak zdołała odczytać przez lzy napis „Policja” na jednym z samochodów. Oddaliła się chyłkiem.

Od tego dnia tysiące razy powtarzała sobie, że właściwie dobrze się stało, że nie byłaby w stanie opiekować się małym dzieckiem, a tym bardziej bez ustanku uciekać z nim przed Styksami. Wciąż jednak nie mogła wymazać z pamięci obrazu zapłakanego malca, wyciągającego ku niej swą maleńką rączkę, gdy ona oddalała się w noc.

Maleńka dłoń, drżąca niepewnie w blasku latarni, sięgająca ku niej.

Bolesne wspomnienia ukryte w umyśle Sary zwinęły się w kłębek niczym ranione zwierzę.

Jej myśli były tak sugestywne i wyraźne, że gdy jakiś przechodzień

zerknął na nią ze zdumieniem, zastanawiała się przez moment, czy nie mówi głośno do siebie.

„Weź się w garść” – przykazała sobie w myślach. Musiała być skoncentrowana.

Potrząsnęła głową, by przegonić z pamięci obraz maleńkiej twarzyczki. Wszystko to działo się dawno temu i podobnie jak otaczające ją budynki się zmieniło, zmieniło się nieodwracalnie. Jeśli list zostawiony w skrzynce kontaktowej mówił prawdę – wciąż nie mogła pogodzić się z tą myślą – Seth stał się W i 11 e m; stał się kimś zupełnie innym.

Po kilku kilometrach Sara doszła do zatłoczonej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się sklepy i duży murowany budynek supermarketu. Zżymała się w myślach, zmuszona, by przystanąć na skrzyżowaniu i czekać w tłumie ludzi na zmianę świateł. Czuła się nieswojo, kuliła się, przygarbiona, pod płaszczem. Wreszcie zaświecił się zielony luzik, a Sara ruszyła naprzód, przepychając się wśród przechodniów obładowanych zakupami.

Chwilę później, gdy sklepy zaczęły się przersedzać, rozpadało się. Ludzie uciekali w pośpiechu do samochodów i wreszcie na ulicy zrobiło się luźniej. Sara szła dalej, niezauważana przez innych przechodniów, którym przyglądała się doświadczonego okiem. Usłyszała wyraźnie głos Tama, jakby brat siedł tuż obok niej: Patrz, ale nie daj się zobaczyć.

To on ją tego nauczył. We wczesnym dzieciństwie często lekceważyli polecenia rodziców i wymykali się z domu. Przebierali się wówczas w łachmany, smarowali twarze przypalonym korkiem i ryzykując życie, zapuszczali się w najgorsze, najniebezpieczniejsze miejsce w całej Kolonii – Slumsy. Nawet teraz bez trudu przywoływała w pamięci obraz Tama z tamtych czasów, jego młodzieńczą, uśmiechniętą twarz i oczy błyszczące w podnieceniu,

kiedy oboje pędzili na złamanie karku, po raz kolejny wymykając się śmiertelnemu niebezpieczeństwu. Tak bardzo brakowało jej brata.

Z zamyślenia wyrwał ją głos instynktu, natrętny niczym brzęczący dzwonek. Z przeciwnej strony wprost na nią szedł chudy chłopak w poplamionej wojskowej kurtce. Sara nie usunęła się z drogi, a młokos ominął ją w ostatniej chwili, dźgając mocno łokciem i kaszląc jej prosto w twarz. Kobieta zamarła w bezruchu, jej oczy płonęły niczym dwa rozżarzone węgle. Chłopak mruknął coś obraźliwego pod nosem i szedł dalej. Na plecach jego kurtki widniał wielki spękany napis wymalowany białą farbą: NIENAWIDZĘ. Po kilku krokach nieznajomy zorientował się, że Sara wciąż na niego patrzy, odwrócił się bowiem do niej i obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

– Zdzira! – warknął.

Sara napięła wszystkie mięśnie, niczym pantera szykująca się do skoku.

„Ty śmieciu” – pomyślała, nie odezwała się jednak do niego ani słowem.

Agresywny podrostek nie miał pojęcia, kim jest ta niepozorna kobieta ani do czego jest zdolna; nie miał też pojęcia, na jakie ryzyko właśnie się naraża. Sara była żądna krwi i chętnie dałaby mu nauczkę, której nie zapomniałby do końca życia – pragnienie to było tak silne, że przejmowało ją niemal fizycznym bólem. Nie mogła jednak pozwolić sobie na takie zachowanie, nie w tej chwili.

– Innym razem, w innym miejscu... – mruknęła, gdy chłopak oddalał się niedbałym, nonszalanckim krokiem, powłócząc znoszonymi trampkami po chodniku. Nie obejrzał się ponownie, pozostając w nieświadomości, że niemal otarł się o śmierć.

Sara jeszcze przez chwilę nie ruszała się z miejsca, zbierając myśli i dyskretnie obserwując mokrą ulicę, po której przemykały samochody. Spojrzała na zegarek.

Było wcześniej – szła za szybko.

Podniosła głowę, usłyszawszy głośnie rozmowę w jakimś nieznanym jej języku. Kilka budynków dalej dwaj robotnicy wychodzili właśnie z kawiarni o zaparowanych oknach, podświetlonych od wewnątrz blaskiem jarzeniówek. Bez chwili wahania Sara ruszyła w tę stronę i weszła do knajpki.

Kobieta zamówiła kawę, zapłaciła przy barze i zajęła miejsce przy stoliku obok okna.

Sącząc wodnisty, pozbawiony smaku napój, wyjęła z kieszeni pomietaną kartkę i raz jeszcze, powoli, odczytała list sporządzony niewprawną ręką. Wciąż nie mogła uwierzyć w jego treść. Czy Tam naprawdę nie żył? Jak to możliwe? Bez względu na to, jak trudny był jej los w Górnoziemiu, zawsze znajdowała pocieszenie w myśli, że jej brat wciąż żyje i ma się dobrze w Kolonii. Ta świadomość była niczym płomień świecy migoczący na końcu niezwykle długiego tunelu; dawała jej wiarę w to, że kiedyś, być może, znów się zobaczą. Teraz jednak, gdy Tam zginął, została pozbawiona nawet tej iskierki nadziei.

Przekręciła kartkę i przeczytała resztę listu, raz i drugi, potrząsając przy tym głową.

To wszystko nie mogło być prawdą, Joe Waites musiał się mylić, kiedy to pisał. Jak jej pierworodny syn Seth, niegdyś duma i radość matki, mógł zdradzić Tama i wydać go Styksom? Krew z jej krwi i kość z jej kości... Doprowadził do śmierci własnego wuja? Jeśli rzeczywiście była to prawda, to co mogło aż tak zdemoralizować chłopca? Co mogło doprowadzić go do takiego czynu?

W ostatniej części listu zawarta była jeszcze jedna, równie szokująca wiadomość.

Sara kilkakrotnie przeczytała linijki mówiące o tym, jak Seth porwał jej najmłodszego syna Cala i zmusił go, by wraz z nim opuścił

Kolonie.

– Nie – powiedziała głośno i pokręciła głową, odrzucając myśl, że Seth naprawdę był za to wszystko odpowiedzialny. No właśnie, jej syn nazywał się S e t h, a nie Will i z pewnością nie był zdolny do takiego czynu. Choć wiadomość pochodziła z całkowicie wiarygodnego źródła, być może ktoś ją zniekształcił, zmienił jej treść.

Może ktoś wiedział o tajemnej skrzynce kontaktowej. Ale skąd i dlaczego? I co właściwie ów ktoś mógłby zyskać na przekazaniu jej sfałszowanego listu? Nie, to nie miało sensu...

Nagle zdała sobie sprawę, że dyszy ciężko, a jej ręce drżą. Oparła je o stół i zmięła kartkę w dłoni. Próbując wyciszyć nadmiar emocji, rozejrzała się ukradkiem po kawiarni. Zaniepokoiła się, że ktoś mógł zwrócić na nią uwagę. Jednak pozostali klienci, głównie robotnicy budowlani – sądząc po ubraniach, byli zbyt pochłonięci jedzeniem, by zauważyć, co się dzieje wokół nich, a właściciel stał za szklaną ladą i nucił pod nosem jakąś melodię.

Sara pochyliła się do przodu i ogarnęła spojrzeniem całe wnętrze, jakby zobaczyła je po raz pierwszy. Przyglądała się przez chwilę ścianom, wyłożonym imitacją drewnianej boazerii, i wyblakłemu plakatowi przedstawiającemu młodą Marilyn Monroe opartą o wielki amerykański samochód. Zza baru dobiegały odgłosy jakiejś stacji radiowej, dla Sary było to jednak tylko irytujące brzęczenie, którego nawet nie próbowała słuchać.

Potem wytarła niewielkie kółko w warstwie pary pokrywającej okno kawiarni i wyjrzała na zewnątrz. Wciąż było zbyt wcześnie, zbyt jasno. Postanowiła więc posiedzieć jeszcze chwilę, rysując coś rogiem serwetki w malutkiej kałuży kawy na czerwonym, melaminowym blacie stołu. Kiedy kawa wyparowała, co uniemożliwiło dalsze rysowanie, Sara po prostu siedziała nieruchomo, wpatrzona w przestrzeń jak w transie. Gdy chwilę później drgnęła lekko i

oprzytomniała, zauważyła, że jeden z guzików u jej płaszcza wisi na nitce. Oderwała go gwałtownym szarpnięciem, wrzuciła do pustej filiżanki po kawie, a potem wlepiła wzrok w zaparowane okna, za którymi przesuwali się niewyraźne kształty ludzi idących ulicą.

W końcu podszedł do niej właściciel, po drodze przecierając niedbale brudne stoliki i ustawiając krzesła. Zatrzymał się przy szybie i przez kilka sekund wraz z Sarą wyglądał na zewnątrz. W końcu zapytał ją gburowatym tonem, czy czegoś jeszcze sobie życzy. Sara bez słowa wstała od stołu i ruszyła w stronę drzwi. Rozwścieczony gospodarz podniósł ze stołu filiżankę i w tej samej chwili zauważył leżący na dnie guzik.

Miarka się przebrała. Ta kobieta nie była jego stałą klientką, należała raczej do tej hołoty, która okupowała stoliki w lokalu, wydając tylko jakieś marne grosze.

– S... – zawołał za nią. Zdążył jednak wypowiedzieć tylko pierwszą głoskę obelgi, gdy jego wzrok padł na blat stolika, a słowa uwięzły mu w gardle.

Zacisnął na moment powieki i przechylił głowę, jakby nie wierzył własnym oczom. Z powierzchni czerwonej melaminy zerkał nań zaskakująco złożony i realistyczny obraz.

Była to twarz wielkości około dziesięciu centymetrów, ułożona z kilku warstw wysuszonej kawy, jakby namalowana temperą. Jednak tym, co tak poraziło właściciela kawiarni, nie były walory artystyczne portretu, lecz usta wykrzywione w przerażającym grymasie krzyku. Mężczyzna zamrugął; twarz wymalowana na stole budziła ogromny niepokój i była tak zaskakująca, że przez kilka chwil nie ruszał się z miejsca, wpatrzony w blat. Nie mógł uwierzyć, że to ta niepozorna, wyglądająca na zastraszoną kobieta, która przed chwilą opuściła bar, była autorką tego obezwładniającego portretu cierpienia. W końcu przełknął ciężko ślinę, zakrył obraz ścierką i zaczął go pospiesznie

zmazy wać.

Tymczasem na zewnątrz Sara starała się nie iść zbyt szybko, wciąż miała bowiem sporo czasu. Nim dotarła do Highfield, zboczyła nieco z pierwotnie wytyczonej trasy i wynajęła pokój w pensjonacie. W pobliżu było kilka wolnych kwater, wybrała jednak pierwszy z brzegu, niepozorny wiktoriański szeregowiec. Tak właśnie musiała postępować, jeśli chciała przeżyć.

Nigdy to samo dwa razy.

Nigdy dwa razy takie samo.

Była pewna, że gdyby popadła w rutynę i zaczęła działać według utartego schematu, Styksowie natychmiast wpadliby na jej trop.

Podawszy fałszywe nazwisko i adres, zapłaciła z góry gotówką za jedną noc. Wzięła klucz od właściciela, pomarszczonego staruszka o nieświeżym oddechu i rzadkich siwych włosach, i poszła do swojego pokoju, sprawdzając po drodze, gdzie znajduje się wyjście ewakuacyjne, i zapamiętując położenie drzwi, które prowadziły na dach.

Na wszelki wypadek... Gdy tylko znalazła się u siebie, zamknęła pokój na klucz i wsunęła oparcie krzesła pod klamkę. Potem zaciągnęła zasłony wyblakłe od słońca i przysiadła na krawędzi łóżka, próbując zebrać myśli.

Z zamyślenia wyrwał ją nosowy śmiech dobiegający z ulicy przed domem.

Natychmiast zerwała się na równe nogi, rozsunęła nieco zasłony i omiotła spojrzeniem samochody zaparkowane wzdłuż krawężnika. Ponownie usłyszała śmiech i dostrzegła dwóch mężczyzn ubranych w koszulki i dżinsy, zmierzających powolnym krokiem w stronę głównej ulicy. Wydawali się nieszkodliwi.

Wróciła do łóżka, położyła się na plecach i zsunęła buty. Ziewnęła szeroko, coraz bardziej senna. Nie mogła jednak pozwolić sobie na

sen. By więc zająć czymś myśli, otworzyła „Sygnały Highfield”, gazetę, którą zabrała wcześniej z recepcji. Jak zawsze wzięła do ręki długopis i zajrzała od razu na ostatnie strony, zakreślając drobne ogłoszenia o pracy sezonowej, które mogły jej odpowiadać. Przejrzawszy wszystkie anonse, przerzuciła kolejne kartki, spoglądając bez większego zainteresowania na nagłówki.

Pomiędzy artykułami omawiającymi za i przeciw zamknięciu rynku dla ruchu kołowego, propozycje ułożenia dodatkowych progów zwalniających i trasę nowego autobusu znajdowała się niewielka notka, która przyciągnęła uwagę Sary.

BESTIA Z HIGHFIELD? T.K. Martin, korespondent Podczas weekendu po raz kolejny widziano na błoniach Highfield tajemnicze stworzenie podobne do psa. Pani Croft-Hardinge z osiedla Clockdown spacerowała w sobotni wieczór ze swoim bassetem Goldym, kiedy zauważyła tajemnicze zwierzę siedzące na dolnych gałęziach drzewa. „Przeżuwało głowę czegoś, co wydawało mi się jakąś zabawką, ale potem zobaczyłam wszędzie krew i zrozumiałam, że to królik” – powiedziała pani Croft naszej gazecie. „Było olbrzymie, miało straszne oczy i przerażające zębiska. Kiedy mnie zauważyło, wypluło tylko głowę i mogłabym przysiąc, że patrzyło prosto na mnie”.

Doniesienia na temat zwierzęcia są sprzeczne. Niektórzy twierdzą, że to jaguar lub puma, stworzenie podobne do olbrzymiego kota, którego zaobserwowano w Bodmin Moor na początku lat osiemdziesiątych, podczas gdy inni utrzymują, że bestia przypomina raczej psa. Główny Inspektor Parków Highfield Kenneth Wood nadzorował niedawno poszukiwania, które wszczęto, kiedy jeden z okolicznych mieszkańców zgłosił, że tajemnicze stworzenie uciekło z jego miniaturowym pudlem po tym, jak wyrwało mu smycz z rąk. Wielu innych mieszkańców Highfield informowało w ostatnim czasie o zaginięciu swych psów. Zagadka pozostaje nierozwiązana...

Kreśląc krótkie, drapieżne kreski, Sara zaczęła rysować coś na marginesie gazety, obok artykułu o dzikim zwierzęciu. Choć posługiwała się jedynie zwykłym starym długopisem, już po chwili stworzyła niezwykle misterny obraz oblanego blaskiem księżyca cmentarza, podobnego do tego, na którym znalazła schronienie tuż po ucieczce z Kolonii. Na tym jednak podobieństwa się kończyły, gdyż pierwszy plan zdominowany został przez wielki, pozbawiony napisów nagrobek. Sara wpatrywała się w niego przez chwilę, aż wreszcie, posługując się górnoziemskim imieniem syna, napisała na płycie: Will Burrows. Obok nazwiska postawiła znak zapytania.

Zmarszczyła brwi. Wzbierający w niej gniew, wywołany śmiercią brata, był tak ogromny, że czuła się jakby niesiona falą, która w końcu gdzieś ją wyrzuci. Wiedziała też, że kiedy już tam dotrze, będzie musiała znaleźć winowajcę. Oczywiście źródłem wszelkiego zła byli Styksowie, teraz jednak po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, która wcześniej wydawała jej się niemożliwa: że jeśli Seth naprawdę zrobił to, o co oskarżał go Joe, to będzie musiał ponieść konsekwencje, i to surowe.

Wciąż wpatrzona w obrazek cmentarza, zacisnęła mocno palce. Długopis w jej dłoni pękł z trzaskiem, rozsiewając dokoła odłamki plastiku.

Rozdział szósty



Chłopcy z ponurymi minami trzymali się kurczowo burty wagonu. Tuż obok nich ściany tunelu przemykały w zawrotnym tempie, choć pociąg zwalniał, by wejść w ostry zakręt.

Plecaki wyrzucili chwilę wcześniej. Jako ostatni boczną ścianę wagonu pokonał Chester i przyłączył się do pozostałych dwóch towarzyszy. Przesunął stopy w dół metalowej powierzchni, zatrzymał je na niewielkim występie i przywarł z całych sił do burty. Will miał właśnie krzyknąć do kolegów, jednak jego brat postanowił nagle, że skoczy pierwszy.

– SKACZCIE! – zawołał Cal i z dzikim wrzaskiem odepchnął się od wagonu.

Will patrzył, jak sylwetka chłopca znika w ciemnościach, po czym spojrzał na Chestera, wiedząc doskonale, że przyjaciel boi się tej chwili. Nie miał innego wyjścia, jak tylko pójść w ślady brata. Zacisnął zęby i odepchnął się od ściany, obracając się jednocześnie wokół własnej osi. Wydawało się, że na ułamek sekundy zawisł w powietrzu. Wylądował jednak ciężko na ziemi i popędził na złamanie karku.

Szeroko rozpostarte ramiona miały chłopcu pomóc zachować równowagę.

Cały świat składał się w tej chwili z kłębow gryzącego dymu i przeraźliwego zgrzytu olbrzymich kół, które toczyły się zaledwie kilka metrów od niego. Will biegł w szalonym tempie, nim jednak zdążył

pokonać większą odległość, potknął się o własne nogi i przewrócił. Poleciał do przodu i upadł na jedno kolano, potem jednak siła rozpędu rzuciła go na twarz. Przez chwilę sunął na brzuchu po ziemi, wzbijając przy tym kłęby kurzu. Gdy wreszcie się zatrzymał, przetoczył się powoli na plecy i usiadł, wypluwając gryzący pył i kaszląc głośno. Olbrzymie koła wciąż toczyły się tuż obok, a Will dziękował w duchu losowi, że nie wpadł prosto pod nie. Zaraz potem wyciągnął z kieszeni świetlną kulę i zaczął szukać jakichkolwiek śladów obecności swoich towarzyszy.

Po chwili usłyszał głośne jęki dochodzące z ciągnącego się przed nim tunelu. Z ciemności wynurzył się Chester, który pełzł powoli na czworakach. Podniósł głowę niczym zirytowany żółw, a dojrzawszy Willa, przyspieszył.

– Wszystko w porządku? – zawołał do niego Will.

– O tak, po prostu fantastycznie! – krzyknął Chester, siadając ciężko obok przyjaciela.

Will wzruszył ramionami i zaczął masować nogę, na której wylądował po skoku z wagonu.

– Co z Calem? – spytał Chester.

– Nie wiem. Lepiej poczekajmy tu na niego. – Will nie był pewien, czy przyjaciel go usłyszał. Wyglądało jednak na to, że Chester, tak czy inaczej, nie ma najmniejszej ochoty wstawać i szukać trzeciego chłopca.

Kilka minut później, kiedy pociąg wciąż toczył się po torach, z kłębow dymu wyłonił się brat Willa z plecakiem na każdym ramieniu. Maszerował radosnym krokiem, jakby nie miał się zupełnie czym martwić. Przykucnął tuż obok Willa.

– Mam nasze kłamoty! Jesteście cali? – ryknął. Na jego czole widniało potężne obtarcie, a małe kropelki krwi zbierały się nad brwiami i spływały po nosie.

Will skinął głową i spojrzał ponad głową Cala.

– Kryć się! Wagon strażników! – ostrzegł, przyciągając brata do siebie.

Zbici w ciasną gromadkę i przytuleni do ściany tunelu, obserwowali zbliżające się ku nim światło. Żółty blask wypływał z okien wagonu strażników, kładł się szerokimi prostokątami na ścianach. Wreszcie przesunął się po nich, oślepiając ich na ułamek sekundy. Kiedy pociąg popędził w głąb skalnego korytarza, a światło zaczęło robić się coraz mniejsze i mniejsze, aż całkiem znikło im z oczu, Willa ogarnęło obezwładniające poczucie nieodwracalności.

W przedziwnej ciszy, która zapadła nagle w korytarzu, Will wstał i wyprostował obolałe nogi. Tak bardzo przywykł już do kołysania pociągu, że czuł się nieswojo, stojąc ponownie na terra firma¹.

Pociągnął nosem i chciał właśnie powiedzieć coś do swych towarzyszy, kiedy w oddali dwukrotnie rozległ się gwizd lokomotywy.

– Co to oznacza? – spytał wreszcie.

– Dojeżdża do stacji – odparł Cal, wciąż wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą znikł pojazd.

– Skąd wiesz? – zaciekał się Chester.

– Mój... nasz wujek mi powiedział.

– Wasz wujek? Czy może nam pomóc? Gdzie on jest? -Chester wyrzucił z siebie pytanie za pytaniem, wyraźnie podniecony myślą, że być może jest ktoś, kto przyjdzie im z pomocą.

– Nie! – warknął Cal, spoglądając gniewnie na Chestera.

1 Łac. – stały ląd (określenie używane żartobliwie w literaturze).

– Dlaczego nie? Nie rozumiem...

– Nie, Chester – wtrącił szybko Will, kręcąc energicznie głową.

Jego przyjaciel zrozumiał, że nie powinien więcej poruszać tego tematu. Will zwrócił się do brata: – I co teraz? Kiedy pociąg się zatrzyma, zobaczą, że Chester zniknął. Co wtedy?

– Nic – wzruszył ramionami Cal. – Zadanie wykonane. Pomyślał, że wyskoczył po drodze. Wiedzą, że sam długo nie pożyje... W końcu jest tylko Górnoziemcem. – Chłopiec roześmiał się ponuro i mówił dalej, jakby Chestera w ogóle tam nie było: – Nie będą go szukać.

– Skąd ta pewność? – dopytywał się Will. – Nie pomyślał, że zmierza z powrotem do Kolonii?

– Niezły pomysł, ale nawet gdyby udało mu się tam dotrzeć na piechotę, Czarnogłowi natychmiast by go dopadli – odparł Cal.

– Czarnogłowi? – zdziwił się Chester.

– Styksowie. Tak mówią o nich Koloniści za ich plecami wyjaśnił Will.

– Rozumiem – skinął głową Chester. – Cóż, tak czy inaczej, nie zamierzam wracać do tego paskudnego miejsca. Za nic w świecie! – dodał stanowczo, zwracając się do Cala.

Cal nie odpowiedział, zajęty zakładaniem plecaka. W tym czasie Will podniósł za paski drugi pakunek, sprawdzając jego wagę. Plecak był ciężki, wyładowany po brzegi sprzętem oraz dodatkowym jedzeniem i świetlnymi kulami. Will zarzucił go sobie na plecy, krzywiąc się, gdy pas wpił się w zranione ramię. Okład, który zrobił mu Imago, działał cuda, lecz choćby najmniejszy nacisk na jeszcze świeżą ranę był bardzo bolesny. Dlatego chłopiec starał się tak ułożyć plecak, by większość ciężaru spoczywała na zdrowym ramieniu, po czym wszyscy ruszyli w drogę.

Po krótkim czasie Cal popędził szybkim truchtem naprzód. Nie zwracał najmniejszej uwagi na Willa i Chestera, którzy mogli tylko obserwować znikającą w mroku tunelu, podskakującą sylwetkę. Obaj chłopcy szli równym krokiem pomiędzy potężnymi żelaznymi szynami kolejowymi.

Mieli sobie tak wiele do powiedzenia; jednak teraz, kiedy wreszcie zostali sami, żaden z nich nie wiedział, od czego właściwie zacząć.

Wreszcie Will odchrząknął z zakłopotaniem.

– Mamy trochę zaległości do nadrobienia – zaczął niepewnie. – Sporo się wydarzyło, kiedy siedziałeś w areszcie.

Will zaczął opowiadać o swojej rodzinie, o prawdziwej rodzinie, którą poznał dopiero w Kolonii, i o tym, jak wyglądało życie z bliskimi. Potem opisał plan uwolnienia Chestera, który przygotował wraz z wujem Tamem.

– Czułem się okropnie, gdy wszystko zaczęło się sypać. Po prostu nie mogłem w to uwierzyć, kiedy zobaczyłem Rebekę ze St...

– To wstrętne krówsko! – wybuchnął Chester. – Nigdy nie przyszło ci do głowy, że coś jest z nią nie tak?! Przez wszystkie te lata, kiedy wychowywaliście się razem?

– Cóż, wydawała mi się trochę dziwna, ale myślałem, że wszystkie młodsze siostry są takie – odparł Will.

– Trochę dziwna?! – zachnął się Chester. – Toż to zwykła wariatka! Musiałeś chyba wiedzieć, że nie jest twoją prawdziwą siostrą?

– A skąd miałbym to wiedzieć? Ja... nie wiedziałem nawet, że jestem adoptowany ani skąd naprawdę pochodzę.

– Nie pamiętasz, kiedy twoi rodzice przynieśli ją po raz pierwszy do domu? – dopytywał się Chester z niedowierzaniem.

– Nie. – Will pokręcił głową w zamyśleniu. – Miałem wtedy chyba ze cztery lata. Ile sam pamiętasz z czasów, kiedy byłeś czterolatkiem?

Chester burknął coś pod nosem, jakby nie był do końca przekonany, a Will kontynuował relację z ostatnich wydarzeń. Maszerując obok przyjaciela, Chester przysłuchiwał mu się z uwagą. Wreszcie Will opowiedział o rozmowie z Imagiem, kiedy to wraz z Calem musieli postanowić, czy wracają do Górnoziemia, czy też idą do Głębi.

Chester pokiwał głową.

– I tak właśnie trafiliśmy do Pociągu Górników i znaleźliśmy ciebie

– wyjaśnił Will, docierając do końca opowieści.

– Cóż, cieszę się, że to zrobiliście. – Uśmiechnął się do niego Chester.

– Nie mogłem cię tu zostawić – powiedział Will. – Musiałem się przecież upewnić, że nic ci nie jest. To i tak bardzo niewiele, co...

Głos Willa załamał się nagle. Chłopiec próbował wyrazić jakoś swoje emocje, poczucie winy, żal za wszystko, przez co przeszedł Chester.

– Bili mnie, wiesz – oświadczył nieoczekiwanie Chester. -Co?

– Po tym, kiedy znowu mnie złapali – odparł chłopiec tak cicho, że Will ledwie go słyszał. – Wrzucili mnie do celi i tłukli pałkami... wiele razy – mówił dalej. – Czasami Rebeka przychodziła popatrzeć.

– Och, nie... – wyszeptał Will.

Przez chwilę obaj milczeli, ostrożnie stawiając stopy pomiędzy potężnymi podkładami.

– Bardzo cię skrzywdzili? – spytał wreszcie Will, choć obawiał się odpowiedzi.

Chester nie odezwał się od razu.

– Byli na nas bardzo źli... Głównie na ciebie. Ciągłe coś krzyczeli o tobie, kiedy mnie bili, mówili, że zrobiłeś z nich głupców. – Chester odchrząknął i przełknął ciężko ślinę. -To było... ja... oni... – plątał się, szukając odpowiednich słów. Potem wziął głęboki oddech i zaczął raz jeszcze: – Nigdy nie bili mnie długo, a ja byłem pewien, że po prostu szykują coś znacznie gorszego. – Urwał na moment i wytarł nos. – Potem ten stary Styks skazał mnie na Wygnanie, co było jeszcze bardziej przerażające. Myślałem, że umrę ze strachu. – Chester opuścił wzrok, jakby zrobił coś złego, coś, czego trzeba się wstydić.

Po chwili przemówił ponownie, a w jego głosie pojawił się ton z trudem hamowanej wściekłości, mocnego postanowienia: – Wiesz, Will, gdybym mógł, zabiłbym ich wszystkich... Styksów. Tak bardzo

tego chciałem. To podłe gnojki... wszyscy. Zabiłbym ich wszystkich, nawet Rebeke. – Spojrzał na Willa z taką determinacją, że ten aż zadrżał zobaczył właśnie nowe oblicze przyjaciela, oblicze, którego istnienia nawet się nie domyślał.

– Och, tak mi przykro, Chester...

Wyraz twarzy Chestera zmienił się nagle, jakby przyszła mu do głowy zupełnie inna, równie ważna myśl. Zatrzymał się raptownie i drgnął, niczym uderzony w twarz, po czym odezwał się do przyjaciela: – Mówiłeś o Styksach i ich... Jak ich nazywałeś... Ich ludziach na powierzchni?

– Agentach – podsunął Will.

– Właśnie... agentach... – Chester zmrużył oczy. – Nawet gdyby udało mi się dostać z powrotem na powierzchnię, nie mógłbym wrócić do domu, prawda?

Will stał nieruchomo, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Gdybym to zrobił, moi rodzice zostaliby porwani jak ta rodzina, o której mówiłeś, Watkinsowie. Śmierdzący, cholerni Styksowie ścigaliby nie tylko mnie. Porwaliby moich rodziców i zrobili z nich niewolników albo zabiliby ich, prawda?

Will patrzył tylko w milczeniu na Chestera, ale to wystarczyło.

– Więc co właściwie mógłbym zrobić? Myślisz, że gdybym próbował ostrzec mamę i tatę, w ogóle by mi uwierzyli? A policja? Pomyśleliby, że brałem jakieś narkotyki albo coś w tym rodzaju. – Chester zwiesił głowę i westchnął. – Przez cały ten czas, kiedy siedziałem zamknięty w celi, myślałem jedynie o powrocie do domu. Chciałem tylko być w d o m u. To dodawało mi sił przez wszystkie te miesiące. – Chłopiec zaczął nagle kasłać, być może tylko po to, by ukryć płacz. Po chwili chwycił Willa za ramię i spojrzał mu prosto w oczy. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej rozpacz. – Nigdy już nie zobaczę światła dziennego, tak?

Will milczał.

– Tak czy inaczej, utknęliśmy tutaj na dobre, prawda? Nie mamy dokąd pójść, przynajmniej na razie. Will, co my, u diabła, zrobimy?

– Tak mi przykro – powtórzył Will zdławionym głosem. Z głębi tunelu dobiegł ich nagle podniecony głos Cala: – Hej! – wołał raz za razem.

– Nie! – odkrzyknął Will ze złością. – Nie teraz! – Pomachał świetlną kulą w geście irytacji. Chciał spędzić jeszcze trochę czasu z przyjacielem, a Cal mu na to nie pozwalał. –Poczekaj chwilę!

– Znalazłem coś! – wrzasnął Cal jeszcze głośniejszym głosem, nie słysząc odpowiedzi Willa albo po prostu ignorując.

Chester zerknął w stronę, z której dobiegał głos Cala, i oświadczył z mocą: – Mam nadzieję, że to nie stacja, bo ja nie dam się już więcej złapać. – Ruszył powoli naprzód.

– Nie, Chester – powstrzymał go raptownie Will. – Poczekaj jeszcze chwileczkę. Chcę ci coś powiedzieć.

Chester przystanął i spojrzał na przyjaciela zmęczonymi, podkrążonymi oczami. Will przesuwając nerwowo w dłoni świetlną kulę. W jej blasku wyraźnie widać było emocje malujące się na osmalonej twarzy chłopca.

– Dobrze wiem, co chcesz powiedzieć – stwierdził Chester. – To nie twoja wina.

– Właśnie, że tak! – wybuchnął Will. – To jest moja wina... Nie chciałem wciągnąć cię w to wszystko... Ty masz prawdziwą rodzinę, ale ja... ja nie mam do kogo wrócić.

Nie mam nic do stracenia.

Chester próbował odpowiedzieć, wyciągnął do przodu dłoń... Will jednak mówił dalej, coraz mniej składnie, próbując wyartykułować żal i emocje, które kłębiły się w jego głowie od kilku miesięcy: – Nie powinienem był cię w to wciągać... nigdy... Tylko mi pomagałeś...

– Posłuchaj... – zaczął Chester, ponieważ chciał uspokoić przyjaciela.

– Mój tata naprawi to wszystko, pomoże nam, ale jeśli go nie znajdziemy... Ja...

– Will... – Chester próbował ponownie przerwać potok słów kolegi, potem jednak nagle zamilkł, pozwalając mu dokończyć.

– Nie wiem, co zrobimy ani co się z nami stanie... Być może już nigdy... Być może zginiemy...

– Daj spokój – powiedział cicho Chester, kiedy głos Willa zmienił się w szept. – Żaden z nas nie wiedział, że sprawy tak się ułożą, a poza tym... – na twarzy Chestera pojawił się nieoczekiwane szeroki uśmiech – ... gorzej już chyba być nie może? – Chłopiec klepnął Willa w ramię, nieświadomie uderzając dokładnie w miejsce zmasakrowane przez psa Styksów w Wiecznym Mieście.

– Dzięki, Chester – jęknął Will, zaciskając mocno zęby, by powstrzymać okrzyk bólu.

Przedramieniem wytarł łzy napływające do oczu.

– Pospieszcie się! – wrzasnął ponownie Cal. – Znalazłem drogę. Chodźcie!

– Co on wyprawia? – spytał Chester.

Will próbował pozbierać myśli i wziąć się w garść.

– Zawsze to robi, biega gdzieś samopas – odparł, zwracając głowę ku miejscu, w którym w ciemnościach krył się jego brat, i przewracając wymownie oczami.

– Naprawdę? Nie przypomina ci to kogoś? – spytał z przekąsem Chester, unosząc brwi.

Nieco speszony Will skinął głową.

– Tak... trochę. – Udało mu się odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech Chestera, choć była to ostatnia rzecz, na którą miał w tej chwili ochotę.

Przyjaciele dogonili w końcu Cala, który dosłownie trząsał się z podniecenia i paplał coś o świetle.

– Mówiłem wam! Patrzcie tam! – Cal podskakiwał w miejscu z radości, wskazując na wielki przełaz, odchodzący od głównego tunelu. Will zajrzał ostrożnie do wnętrza korytarza i dojrzał delikatny niebieski blask, migoczący niepewnie, jakby jego źródło znajdowało się w sporej odległości.

– Trzymajcie się mnie! – rozkazał Cal i nie czekając na reakcję Willa ani Chestera, w szalonym tempie popędził w głąb korytarza.

Will próbował krzyczeć za nim, lecz Cal ani myślał się zatrzymać.

– Za kogo on się uważa?! – zachnął się Chester, spoglądając na Willa, który tylko wzruszył ramionami. Ruszyli śladem chłopca. – Nie mogę uwierzyć, że rozkazuje mi jakiś cholerny smarkacz – zrzędził Chester pod nosem.

Koledzy zauważyli, że temperatura podniosła się gwałtownie, aż obaj zaczęli ciężko dyszeć. Powietrze było tak suche i palące, że pot zniknął z ich skóry niemal natychmiast po tym, jak się pojawił.

– Kurde, jak tu gorąco. Jak w Hiszpanii, albo co... – narzekał Chester, rozpinając koszulę i drapiąc się po piersiach.

– Cóż, jeśli wierzyć geologom, w miarę jak zbliżamy się do jądra Ziemi, temperatura powinna wzrastać o jeden stopień na każde dwadzieścia metrów w dół – wyjaśnił Will.

– I co to oznacza?

– Ze do tej pory powinny zostać z nas tylko skwarki.

Will i Chester podążali za Calem, zastanawiając się, w jakie kłopoty wpakują się tym razem. Tymczasem światło wciąż przybierało na sile. Wydawało się, że pulsuje, oblewając niebieskim blaskiem poszarpane ściany tunelu, to znów przygasając tak bardzo, że wyglądało jak niebieskawa mgiełka ukryta gdzieś w mroku.

Koledzy dogonili Cala w momencie, gdy ten dotarł do końca

korytarza, i razem wyszli na zewnątrz. Przed nimi otworzyła się ogromna przestrzeń.

W samym środku z ziemi wypływał pojedynczy płomień wysokości około dwóch metrów. Kiedy wpatrywali się w niego, ogień zaczął się nagle rozrastać z głośnym sykiem. Błękitny płomień wydłużył się czterokrotnie, strzelając w górę, aż dosięgał okrągłego otworu w sklepieniu. Żar bijący od ognia był nie do wytrzymania, tak że chłopcy musieli się cofnąć i zakryć twarze rękami.

– Co to jest? – spytał Will.

Jednak pozostali chłopcy milczeli. Oczarowani pięknem płomienia, wpatrywali się w niego. Tuż przy podłodze, u samej podstawy, ogień był prawie przezroczysty, później jednak zmieniał barwę, ukazując niemal całe spektrum: od roziskrzanej żółci i czerwieni, przez oszałamiający pokaz zieleni, aż do ciemnej purpury na samym szczycie. Wszystkie te barwy składały się na jedno jasnoniebieskie światło, które wypełniało teraz jaskinię i przyciągnęło ich jak magnes do tego miejsca. Stali obok siebie, wpatrzeni w wielobarwną poświatę, aż wreszcie syk przycichł, a płomień zaczął się kurczyć i wrócił do pierwotnych rozmiarów.

Chłopcy, niczym uwolnieni nagle od magicznego zaklęcia, odwrócili się jednocześnie i zaczęli rozglądać dokoła. Ich oczom ukazały się liczne ciemne otwory w ścianach jaskini.

Will i Chester zbliżyli się do jednego z nich. Gdy weszli ostrożnie do środka, światło kul trzymany w dłoniach zmieszało się z niebieskim blaskiem płomienia, odsłaniając wnętrze otworu. Wszędzie dokoła stały oparte o ścianę toboły wielkości człowieka, czasami nawet dwa lub trzy w jednym miejscu. Pakunki owinięte zakurzonym płótnem przewiązane były w kilku miejscach sznurem czy linką. Kilka z nich wyglądało na nowsze od pozostałych, ponieważ okrywało je nieco czystsze i mniej poplamione sukno. Większość jednak była tak

brudna, że właściwie nie różniła się niczym od skalnych ścian pomieszczenia.

Will i Chester podeszli do jednego z tobołków i przysunęli bliżej świetlną kulę.

Zgniłe pasy materiału opadły tu i ówdzie na ziemię, dzięki czemu chłopcy mogli zobaczyć, co kryje się w środku.

– O mój Boże! – powiedział Chester tak szybko, że zabrzmiało to jak jedno słowo.

Will tylko wciągnął głośno powietrze.

Wysuszona skóra przywarła do czaszki, która patrzyła na nich pustymi oczodołami.

W kilku miejscach spod ciemnej popękanej powłoki wyglądały pożółkłe kości. Kiedy Will przesunął nieco świetlną kulę, zobaczyli pozostałe części szkieletu: spod tkaniny sterczały żebra, a przypominająca pajaka dłoń spoczywała na biodrze okrytym skórą naciągniętą tak mocno jak arkusz starego pergaminu.

– To pewnie martwi Koprolici – wymamrotał Will, idąc wraz z Chesterem wzdłuż ściany i przypatrując się innym pakunkom.

– O mój Boże! – powtórzył Chester, tym razem wolno. – Są ich tutaj setki.

– To pewnie jakieś cmentarzysko – przemówił Will przytłumionym głosem, jakby w ten sposób chciał okazać szacunek ciałom zgromadzonym w jaskini. – Podobnie postępowali północnoamerykańscy Indianie. Zostawiali swoich zmarłych na drewnianych platformach, na zboczach gór, zamiast grzebać ich w ziemi.

– Skoro to jakieś święte miejsce, to czy nie powinniśmy się stąd jak najszybciej wynosić? Nie chcemy przecież drażnić tych ludzi, tych Kupalików, czy jak oni się tam nazywają, prawda, chłopaki? – zaniepokoił się Chester nie na żarty.

– Koprolićów – poprawił go Will.

– Koprolićów – powtórzył starannie i dobitnie Chester. -No właśnie.

– Jeszcze jedno – dorzucił Will.

– Co? – spytał Chester, odwracając się do niego.

– Chodzi o tę nazwę: K o p r o l i c i – kontynuował Will, z trudem kryjąc uśmiech. – Wiesz, że tak nazywają ich Koloniści, prawda? Ale jeśli kiedykolwiek spotkasz Koprolićę, nie używaj przy nim tego określenia, dobrze?

– Dlaczego?

– Nie jest to zbyt miłe. Koprolić to odchody dinozaurów. Skamieniałe kupy dinozaurów. – Will uśmiechnął się pod nosem, idąc dalej wzdłuż ściany zmumifikowanych ciał.

Nagle jego uwagę przykuły zwłoki niemal zupełnie pozbawione okrycia. Przesunął świetlną kulę w dół, aż do stóp, a potem powoli z powrotem, do głowy. Choć ciało było wyższe zarówno od niego, jak i od Chestera, tak mocno się skurczyło, że wydawało się bardzo małe; zupełnie nie przypominało zwłok dorosłego człowieka.

Na kościstym nadgarstku nieboszczyka wisiała gruba złota bransoleta, w której osadzone były duże, prostokątne kamienie: czerwone, zielone, granatowe oraz kilka zupełnie pozbawionych barwy. Ich matowe powierzchnie pobłyskiwały słabo w blasku kuli jak stare żelki.

– Założę się, że to złoto, a te kamienie to pewnie rubiny, szmaragdy i szafiry... a nawet diamenty! – mówił Will z zapartym tchem. – Niesamowite, prawda?

– Tak – odparł Chester bez przekonania.

– Muszę zrobić zdjęcie.

– A nie możemy po prostu sobie stąd pójść? – nalegał Chester, kiedy Will zsunął z ramion plecak i wyjął z niego aparat, najwyraźniej szykując się do fotografowania.

Potem Chester zauważył, że chłopak wyciąga rękę ku złotej bransoletce na nadgarstku trupa.

– Co ty wyprawiasz, Will?!

– Muszę ją trochę przesunąć – odparł Will. – Będzie lepsze ujęcie.

– Will!

Ale on nie słuchał. Ujął bransoletkę między kciuk i palec wskazujący i przesuwał ją delikatnie.

– Will, nie rób tego! Och, Will, na litość boską! Nie powinienes...

Całe ciało zadrżało, a potem po prostu osunęło się na ziemię, wyrzucając w górę chmurę kurzu.

– A niech to! – syknął Will.

– Świetnie! Po prostu świetnie! – Chester przełknął ciężko ślinę, kiedy obaj cofnęli się pospiesznie o krok. – Patrz tylko, coś narobił!

Kiedy kurz opadł, Will z miną winowajcy przyjrzał się stercie kości i szarego popiołu, przypominającej kopczyk starych gałązek pozostałych po ugaszeniu ogniska. Ciało po prostu się rozpadło.

– Przepraszam – powiedział Will, zwracając się do popiołów. Zadrżał, uświadomiwszy sobie, że wciąż trzyma w dłoni złotą bransoletkę wysadzaną kamieniami, i upuścił ją pospiesznie na wierzch sterty.

Porzuciwszy wszelkie myśli o robieniu zdjęć, Will przykucnął obok swojego plecaka i schował aparat. Zapiął właśnie boczną kieszeń, kiedy zauważył, że ubrudził sobie ręce popiołem. Natychmiast przyjrzał się bliżej powierzchni, na której stali razem z ehesterem. Krzywiąc się z odrazą, gwałtownie wstał i wytarł dłonie w spodnie.

Uświadomił sobie, że chodzą po kilku centymetrach pyłu i odłamków kości, które pozostały po zwłokach wysuszonych na popiół. Chodzili po szczątkach setek zmarłych.

– Wycofajmy się – zaproponował, nie chcąc bez potrzeby niepokoić przyjaciela. – Chodźmy stąd.

– Jestem za – odparł Chester z wdzięcznością, nie pytając nawet dlaczego. – To miejsce jest naprawdę przerażające.

Ruszyli w powrotną drogę. Jeszcze na chwilę przystanęli, by Will mógł przyjrzeć się szeregom zmarłych ustawionym pod ścianą.

– Musi tu ich być ładnych parę tysięcy. Całe pokolenia stwierdził w zamyśleniu.

– Naprawdę powinniśmy... – Chester urwał w pół zdania. Will z niechęcią oderwał wzrok od z mumifikowanych zwłok i spojrzał na zatroskaną twarz przyjaciela.

– Widziałeś, dokąd poszedł Cal? – spytał Chester.

– Nie – odrzekł Will, natychmiast ogarnięty niepokojem. Wrócili biegiem do głównej komnaty. Przystanąwszy, przyjrzeni się uważnie wszystkim jej zakątkom. Później przesunęli się wzdłuż ściany, aby zbadać jej drugą stronę, przysłoniętą płomieniem, który znów zaczął syczeć i sięgać wierzchołkiem sklepienia.

– Jest tam! – krzyknął Will z ulgą, dojrawszy samotną sylwetkę zmierzającą zdecydowanym krokiem ku odległemu krańcowi jaskini.
– Dlaczego nigdy nie może usiedzieć w miejscu?

– Wiesz co, znam twojego brata od... ilu... jakichś czterdziestu ośmiu godzin i muszę ci powiedzieć, że mam go już dość – przyznał Chester, obserwując uważnie reakcję Willa, by przekonać się, czy przyjaciel nie poczuje się dotknięty. Jednak Will najwyraźniej się tym nie przejął.

– Może powinniśmy go do czegoś przywiązać? – Chester uśmiechnął się cierpko.

Will zawahał się na moment.

– Posłuchaj, chyba będzie lepiej, jeśli za nim pójdziemy. Pewnie coś znalazł... Może inne wyjście? – zastanawiał się głośno, patrząc na swego brata.

Chester zerknął z ukosa na komnatę kryjącą tysiące zmarłych.

– Dobry pomysł – mruknął i jęknąwszy mimowolnie, ruszył za Willem.

Obaj pobiegli truchtem, omijając szerokim łukiem płomień, który osiągnął właśnie maksymalną wysokość i wypełnił komnatę żarem trudnym do zniesienia. W oddali majaczyła im tylko sylwetka Cala; chłopiec dotarł właśnie do przeciwległego krańca jaskini i przeszedł pod olbrzymim łukiem wyciosanym w skale. Gdy podeszli do tego miejsca, przekonali się, że to nie kolejna komnata cmentarna, lecz coś zupełnie innego. Znaleźli się w pomieszczeniu wielkości boiska piłkarskiego, o wysokim skalnym sklepieniu. Cal stał odwrócony do nich plecami i na coś patrzył.

– Nie możesz ciągle od nas uciekać – skarcił go Will.

– To rzeka – oświadczył Cal, nie zwracając uwagi na irytację brata.

Przed nimi ciągnął się szeroki kanał. Woda mknęła wartko między skalnymi ścianami, wyrzucając w górę delikatną, ciepłą mgiełkę. Czuli ją na twarzach, mimo że od brzegu dzieliła ich spora odległość.

– Hej, patrzcie tam! – zawołał Cal, wskazując Willowi i Chesterowi kierunek.

Z wody wystawał pomost długości około dwudziestu metrów. Zbudowany był z rdzewiejących metalowych belek, które sprawiały wrażenie trochę nierównych, jakby ręcznie kutych. Choć konstrukcja nie robiła najlepszego wrażenia, wydawała się dość solidna. Chłopcy przeszli więc na sam koniec pomostu, gdzie znajdował się okrągły podest otoczony relingiem wykonanym z różnorodnych kawałków metalu.

Kiedy światło z kul, ledwo sięgające przeciwległego brzegu rzeki, wydobyło z ciemności białe skupiska piany, przecinające nieskazitelnie gładką taflę czarnej pędzącej wody, wydawało im się przez chwilę, że to oni suną wraz z nurtem. Od czasu do czasu spadały na nich pojedyncze krople wody, rozbryzgującej się o słupy

podtrzymujące pomost.

Cal zbliżył się do relingu i wychylił w przód.

– Nie widzę brzegu ani... – zaczął mówić.

– Uważaj! – ostrzegł go Will. – Nie wypadnij.

– ... ani żadnego miejsca, w którym moglibyśmy przejść przez rzekę – dokończył Cal.

– O nie! – obruszył się natychmiast Chester. – Ja nawet nie zamierzam zbliżać się do tej wody. Prąd jest na pewno bardzo silny.

Nikt nie próbował się z nim sprzeczać. Wszyscy trwali przez chwilę w milczeniu, wystawiając twarze i szyje na przyjemny dotyk ciepłej mgiełki.

Will zamknął oczy i wsłuchał się w szmer płynącej wody. Choć na pozór spokojny, w głębi duszy chłopak zmagał się z emocjami. Część umysłu mówiła mu, że powinien nalegać, by pokonali rzekę – choć nie miał nawet pojęcia, jak jest głęboka ani co leży po drugiej jej stronie – tylko po to, by wciąż iść naprzód.

Ale właściwie jaki był powód, by to robić? Nie mieli pojęcia, dokąd idą; nie musieli też zmierzać do żadnego konkretnego punktu. W tej chwili znajdowali się gdzieś w głębi płaszcza Ziemi, prawdopodobnie znacznie głębiej, niż dotarł wcześniej ktokolwiek z powierzchni. A dlaczego? Z powodu ojca Willa, który – nie można było tego wykluczyć – już od dawna nie żył. Choć nie przychodziło mu to łatwo, chłopiec musiał brać pod uwagę możliwość, że tylko traci czas, ścigając ducha.

Poczuł, jak lekka bryza rozwiewa mu włosy, i podniósł powieki. Spojrzał na swego przyjaciela Chestera i na brata Cala i dostrzegł ich oczy, lśniące jasno na tle brudnych twarzy, zauroczone obrazem podziemnej rzeki. Nigdy wcześniej nie byli bardziej ożywieni niż właśnie w tej chwili. Pomimo wszystkich trudów i cierpień, które musieli znosić do tej pory, wyglądali na szczęśliwych.

Nagle Willa opuściły wszelkie wątpliwości, znów czuł, że nad sobą panuje. Wiedział, że to wszystko musiało być warte zachodu.

– Nie będziemy przez nią przechodzić – oświadczył głośno. –
Wracajmy do torów kolejowych.

– Tak – odpowiedzieli chórem Chester i Cal.

– Świetnie! Sprawa jest więc przesądzona – oznajmił Will, kiwając do siebie głową, kiedy odwrócili się i ruszyli ramię w ramię w stronę brzegu.

Rozdział siódmy



Sara szła leniwym, niespiesznym krokiem wzdłuż High Street. Choć sama nie potrafiła tego zrozumieć, powrót do miejsca, w którym po raz pierwszy wyszła na powierzchnię, uspokajał ją i dodawał otuchy.

To tak, jakby wracając tam, upewniała samą siebie, że widmo, przed którym uciekała tyle lat, naprawdę istnieje. Zdarzało się jej już w przeszłości zastanawiać, czy przypadkiem nie wymyśliła sobie tego wszystkiego, czy treść jej życia nie jest tylko wytworem wyobraźni, ułudą.

Właśnie minęła siódma. Wnętrze niebudzącego zachwyty wiktoriańskiego budynku, który mienił się „Muzeum Highfield”, tonęło w ciemnościach. Sara spostrzegła ze zdumieniem, że położony nieco dalej Ciarke Bros., sklep spożywczy prowadzony przez braci Clarke’ów, jest nieczynny. Okienne, pomalowane grubą warstwą groszkowej farby, były zamknięte już od dłuższego czasu. Świadczyły o tym liczne plakaty okrywające niemal całą ich powierzchnię, między innymi wielkie ogłoszenie o noworocznym targu i zaproszenie na koncert jakiegoś niedawno reaktywowanego boysbandu.

Sara przystanąła i patrzyła przez chwilę na sklep. Mieszkańcy Kolonii od pokoleń mogli liczyć na regularne transporty owoców i warzyw, które zapewniali Clarkeowie. Oczywiście funkcjonowali też inni dostawcy, ale bracia i ich przodkowie od niepamiętnych czasów byli zaufanymi sprzymierzeńcami Kolonistów. Sara nie wyobrażała

sobie, by cokolwiek prócz śmierci obu braci zmusiło ich do zamknięcia sklepu.

Jeszcze raz spojrzała na pozamykane okiennice, a potem ruszyła w dalszą drogę, przypominając sobie to, co przeczytała w liście od Joe; Kolonia została niemal całkowicie zamknięta, a kontakty z Górnoziemiem, w tym zaopatrzenie, ograniczone do minimum. Widok opuszczonego sklepu Clarke'ow podkreślał tylko, jak daleko zaszły sprawy na dole.

Kilka kilometrów dalej skręciła w Broadlands Avenue. Kiedy zbliżyła się do domu Burrowsów, spostrzegła zaciągnięte zasłony w oknach. W okolicy nie było żadnych oznak życia. Wręcz przeciwnie – porzucona skrzynka pod przybudówką i zarośnięty ogródek świadczyły o miesiącach zaniedbań. Przechodząc koło domu, Sara ani odrobinę nie zwolniła, zerknęła tylko kątem oka na przewróconą tablicę agencji nieruchomości, leżącą w wysokiej trawie za ogrodzeniem. Szła dalej wzdłuż szeregu identycznych domów aż do końca ulicy, gdzie znajdowała się wąska alejka prowadząca na Błonia.

Kobieta odchyliła głowę i wciągnęła w nozdrza powietrze, mieszaną zapachów miasta i wsi. Spaliny samochodowe i kwaśnawy odór wielkiej masy ludzkich ciał zderzały się z wonią wilgotnej trawy i świeżej roślinności.

Wciąż było zbyt jasno, więc postanowiła pospacerować trochę po Błoniach. Nie uszła jednak daleko, gdy ciężkie chmury całkowicie zasnuły niebo, sprowadzając tym samym przedwczesny zmierzch. Sara uśmiechnęła się do siebie i natychmiast zmieniła kurs przechadzki, wracając do głównej alejki.

Przeszła nią kilkaset metrów, a potem skręciła nagle w bok, między drzewa.

Przedzierała się jakiś czas przez gęste listowie krzewów i drzew, aż dotarła na tyły domów stojących przy Broadlands Avenue.

Przemykając się od jednego do drugiego, obserwowwała zza płotu mieszkańców poszczególnych budynków. W jednym zobaczyła starszą parę siedzącą sztywno przy stole nad talerzami zupy. W innym jakiś otyły mężczyzna w koszulce i slipach czytał gazetę i palił papierosa.

Mieszkańcy dwóch następnych domów byli ukryci za zasłonami. Jednak w kolejnym przy oknie stała młoda kobieta, która bawiła się z małym dzieckiem, kołysząc je w górę i w dół. Sara przystanęła i wpatrywała się jak urzeczona w twarz nieznajomej.

Czując, jak wzbierają w niej emocje i poczucie straty, oderwała wzrok od tej scenki i ruszyła dalej.

Wreszcie dotarła do celu. Stała w tym samym miejscu za domem Burrowsów, w którym czekała już wiele razy, z nadzieją, że choć przez moment popatrzy na syna, który dorastał z dala od niej.

Po tym, jak zmuszona była zostawić go na przykościelnym cmentarzu, przeszukała każdy zakątek Highfield. Przez kolejne dwa i pół roku w ciemnych okularach, dzięki którym przyzwyczała się w końcu do dziennego światła, przeczesywała okoliczne ulice, a w godzinach popołudniowych kręciła się w pobliżu szkół i przedszkoli.

Wciąż jednak nie mogła odnaleźć syna. Powiększyła obszar poszukiwań, odchodząc coraz dalej i dalej, aż dotarła do sąsiednich podlondyńskich miasteczek.

Aż pewnego dnia, tuż po piątych urodzinach synka, kiedy znów trafiła do Highfield, zobaczyła go przed budynkiem poczty głównej. Biegał z zabawkowym dinozaurem w ręce. Zmienił się znacznie od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, rozpoznała go jednak od razu; trudno było nie zauważyć olśniewająco białej czupryny, dokładnie takiej samej jak jej włosy, które teraz musiała systematycznie farbować.

Śledziła Seta i jego matkę przez całą drogę do domu, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkają. Początkowo chciała go porwać i

zabrać ze sobą. Jednak ze względu na szukających ją Styksów uznała to za zbyt niebezpieczne. Wracała więc regularnie do Highfield, choćby tylko na chwilę, złakniona widoku swego dziecka. Przystawała zawsze po drugiej stronie ogrodu, który odgradzał ją od Setha niczym nieprzekraczalna otchłań. Chłopiec był coraz wyższy, a jego twarz zaokrąglą się, upodabniając się do jej własnej tak bardzo, że czasami, patrząc w oszklone drzwi, myślała, iż widzi tam swoje odbicie.

Za każdym razem miała ogromną ochotę zawołać do niego, by głos pokonał tę kusząco niewielką odległość. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Nie mogła. Zastanawiała się często, jak by zareagował, gdyby przeszła przez ogród, weszła do salonu i przytuliła go do siebie. Gdy wyobrażała sobie tę scenę, barwną i wyraźną niczym zwiastun jakiegoś telewizyjnego dramatu, czuła, jak wzruszenie ściska ją za gardło.

Ich oczy napęłniłyby się łzami, Seth rozpoznałby ją od razu i szeptał bezgłośnie: „Mamo, mamo”, nie mogąc pohamować emocji.

Ale to wszystko należało już do historii.

Jeśli wierzyć wiadomości od Joe Waitesa, jej dziecko było mordercą i musiało zapłacić za swoje zbrodnie.

Czuła się jak na torturach, rozdarta pomiędzy miłością do syna a głuchą nienawiścią, pomiędzy dwiema skrajnościami, targającymi nią bezlitośnie. Obie były tak silne, że schwytana pomiędzy nie, znalazła się w stanie otumanienia, całkowitego, przytłaczającego odrętwienia.

Przestań! Na litość boską, wyrwij się z tego!

Co się z nią działo? Jej życie, przez tyle lat w pełni kontrolowane i zdyscyplinowane, popadało teraz w chaos. Musiała wziąć się w garść. Przesunęła paznokciami jednej dłoni po wierzchu drugiej, raz i drugi, za każdym razem naciskając mocniej, aż paznokcie przeorały skórę, a piekący ból pozwolił wreszcie zająć myśli czym innym i przyniósł

ukojenie.

Syn Sary został ochrzczony w Kolonii jako Seth, jednak w Górnoziemiu ktoś nadał mu nowe imię: Will. Zaadoptowało go miejscowe małżeństwo o nazwisku Burrows.

Podczas gdy matka Willa, pani Burrows, była właściwie tylko cieniem człowieka, całymi dniami pochłonięta oglądaniem telewizji, chłopiec bez wątpienia uległ zauroczeniu przybranym ojcem, który pracował jako kustosz miejscowego muzeum.

Sara wiele razy śledziła Willa, kiedy ten wybierał się gdzieś na rowerze z lśniąca łopatą zarzuconą na plecy. Obserwowała z daleka samotną sylwetkę w czapce bejsbolowej naciągniętej na charakterystyczną białą czuprynę, gdy chłopiec był pochłonięty jakimiś wykopkami na obrzeżach miasta lub w pobliżu miejskiego wysypiska. Musiała przyznać, że Will drążył zadziwiająco głębokie korytarze, wspierany doświadczeniem i wiedzą doktora Burrowsa. „Cóż za ironia losu” – rozmyślała. Wydawało się, że umknąwszy przed tyranią Kolonii, teraz próbuje do niej wrócić, niczym łosoś płynący w górę strumienia, do tarliska.

Czy jednak zmianą imienia można wyjaśnić wszystko, co stało się z Willem? W jego żyłach, tak jak w żyłach Sary i jej brata Tama, płynęła krew Macaulayów; wywodził się z jednego z najstarszych rodów w Kolonii. Czy to możliwe, by lata spędzone na powierzchni tak bardzo zmieniły go na gorsze? Co mogło mieć na niego taki wpływ?

Jeśli wiadomość była prawdziwa, Will po prostu oszalał, niczym nieposłuszny pies, który zwrócił się przeciwko własnemu panu.

Nad głową Sary zaskrzeczał ptak. Kobieta wzdrygnęła się i skryła za gałęziami drzewa najeżonymi igłami. Nasłuchiwała przez chwilę uważnie, jednak do jej uszu dochodziły tylko szum drzew i alarm samochodowy wyjący kilka ulic dalej.

Obejrzawszy się za siebie, ruszyła powoli wzdłuż granicy ogrodu Burrowsów.

Przystanąła raptownie, wydawało jej się bowiem, że dostrzegła światło wypływające spod zasłony w salonie. Jednak po chwili się uspokoiła, uświadomiwszy sobie, że to tylko blask księżyca prześwitującego między chmurami. Spojrzała na okna pierwszego piętra, z których jedno – jak wiedziała – należało do pokoju Willa. Była niemal pewna, że dom jest pusty.

Prześlizgnęła się przez dziurę w żywopłocie w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się bramka, i przeszła przez trawnik do tylnego wejścia. Przystanąła ponownie, nasłuchując, po czym przesunęła stopą cegłę leżącą obok wycieraczki. Nie zdziwiła się wcale, gdy zobaczyła ukryty tam klucz -Burrowsowie nigdy nie byli zbyt ostrożni. Otworzyła drzwi i weszła do domu.

Kiedy je zamknęła, uniosła głowę i wciągnęła w nozdrza zatęchłe, stojące powietrze.

Tak, z pewnością nikt nie mieszkał tu już od miesiący. Choć niewiele widziała w ogarniętym mrokiem wnętrzu, nie włączyła światła. Byłoby to po prostu zbyt ryzykowne.

Zakradła się korytarzem do przedniej części domu i bezszelestnie weszła do kuchni.

Poruszając się po omacku, stwierdziła, że blaty kuchenne są puste, a w szafkach też nic nie ma. Potem wróciła do holu i udała się do salonu. Kopnęła w coś, co leżało na podłodze; okazało się, że była to rolka folii bąbelkowej. Wszystko zostało zabrane.

Dom był całkiem pusty.

Więc jednak to prawda. List mówił, że sprawy straszliwie się skomplikowały. Tutaj, w mrocznym domu Burrowsów, znalazła potwierdzenie; przekonała się osobiście, że górnoziemska rodzina Willa się rozpadła. Joe pisał, że doktor Burrows natknął się na Kolonię

pod Highfield i został wywieziony przez Styksów do Głębi.

Najprawdopodobniej już nie żył. Nikomu, kto zapuścił się w głąb Interioru, nie udało się ocaleć. Sara nie miała pojęcia, co stało się z panią Burrows oraz jej córką Rebeką, i niespecjalnie ją to obchodziło. Obchodził ją jedynie Will, i to bardzo.

Jej uwagę przykuła jaśniejsza plama na podłodze przy drzwiach frontowych. Kobieta przykucnęła, by lepiej się jej przyjrzeć. Była to sterta listów rozrzuconych na wycieracze. Natychmiast zaczęła je zbierać i upychać w swojej torebce. Kiedy to robiła, usłyszała jakieś dźwięki... trzaskające drzwi samochodu... przytłumione kroki... a potem czyjś szept.

Nerwy Sary zaiskrzyły niczym obwód elektryczny, w którym doszło do spięcia.

Zamarła w bezruchu. Odgłosy były niewyraźne – nie wiedziała, z jakiej odległości dochodzą, jednak nie mogła pozwolić sobie nawet na najmniejsze ryzyko. Wyteżyła słuch, lecz wokoło panowała całkowita cisza. Wmówiwszy sobie, że musiał to być jakiś przechodzień lub któryś z sąsiadów, Sara zebrała resztę listów. Nadszedł czas, by opuściła to miejsce.

Przeszła pospiesznie przez ciemny korytarz, przekroczyła próg tylnych drzwi i odwróciła się, by je zamknąć, kiedy nagle tuż nad jej uchem rozległ się męski głos.

Był pewny siebie i oskarżycielski zarazem.

– Mam cię! – oświadczył.

Wielka dłoń opadła na lewe ramię kobiety i zdecydowanym ruchem odciągnęła ją do tyłu. Sara przekręciła głowę, zerkając kątem oka na napastnika. W nikłym świetle dojrzała tylko szczupły policzek i coś, co zmroziło jej krew w żyłach: fragment białego kołnierza i bark okryty ciemnym materiałem.

Aż zakręciło jej się w głowie od jednej przerażającej myśli.

Styks!

Był silny i miał przewagę zaskoczenia, jednak Sara zareagowała niemal natychmiast.

Obróciła się w miejscu, napierając ramieniem na jego ramię i strącając dłoń nieznajomego ze swego barku. Dokończyła obrót, przechwyciła jego rękę i wykręciła ją jednym płynnym ruchem, zamykając w bolesnej dźwigni. Usłyszała, jak mężczyzna gwałtownie wciąga powietrze, świadom, że nie wszystko odbywa się tak, jak to sobie zaplanował.

Kiedy wygięła ciało w łuk, by wzmocnić uścisk, napastnik próbował przesunąć się do przodu i tym samym złagodzić nacisk na staw łokciowy. Ten manewr sprawił, że jego głowa znalazła się w zasięgu Sary. Gdy nieznajomy otworzył usta, by zawołać o pomoc, niepozorna kobieta uciszyła go jednym celnym ciosem w skroń. Mężczyzna bezwładnie osunął się na taras.

Unieszkodliwiła napastnika błyskawicznie i precyzyjnie, ale nie zamierzała zatrzymywać się dłużej, by napawać się zwycięstwem. Prawdopodobieństwo, że w pobliżu kręcą się inni Styksowie, było ogromne. Dlatego musiała jak najszybciej uciekać.

Przemierzając ogród, sięgnęła do torby po nóż. Kiedy dotarła do otworu w żywopłocie, sądziła, że jest już bezpieczna, i planowała w myślach najlepszą trasę odwrotu przez Błonia.

– COŚ TY MU ZROBIŁA?! – krzyknął nagle ktoś z wściekłością, a na ścieżce zamajaczył wielki cień.

Sara wyciągnęła nóż z torby. Plik listów, zabranych z domu Burrowsów, wy dostał się przy okazji na zewnątrz i teraz koperty unosiły się na wietrze. W pewnej chwili coś trafiło kobietę w rękę, wytrącając jej broń z dłoni.

W blasku księżyca dostrzegła srebrne emblematy, cyfry oraz litery na mundurze mężczyzny i uświadomiła sobie poniewczasie, że to nie

Styksowie. To byli policjanci. Górnoziemscy policjanci, a ona pozbawiła przytomności jednego z nich.

Tak się złożyło, że wszedł jej w drogę, a u niej zadziałał instynkt samozachowawczy.

Prawdopodobnie postąpiłaby dokładnie tak samo, nawet gdyby wiedziała kto to.

Próbowała wymknąć się mężczyźnie, ale ten szybkim ruchem zablokował jej drogę ucieczki. Natychmiast zamierzyła się, by zadać cios, lecz policjant był na to przygotowany.

– Stawianie oporu podczas aresztowania – warknął, biorąc szeroki zamach.

Sekundę przed uderzeniem dostrzegła, że funkcjonariusz trzyma w dłoni pałkę. Trafił ją prosto w czoło. Świat zawirował Sarze przed oczami. Nie upadła, lecz pałka uderzyła ponownie, prosto w usta. Tym razem kobieta osunęła się na ziemię.

– Masz dość, kanalio?! – syknął policjant, pochylając się nad nią i rzucając jej wściekłe słowa prosto w twarz.

Sara zebrała wszystkie siły i próbowała go uderzyć. Cios był jednak żałośnie słaby i policjant odparł go bez trudu.

– Tylko na tyle cię stać? – Roześmiał się ponuro i przykląkł, przyciskając kolano do jej piersi.

Nie miała sił, by mu się przeciwstawić, poza tym mężczyzna był naprawdę wściekły i o wiele za ciężki. Czuła się tak, jakby stanął na niej słoń.

Próbowała wyczołgać się spod niego, była jednak bez szans. Powoli ogarniała ją drętwota, czuła, jak balansuje na krawędzi świadomości. Świat zamienił się w wirujący kalejdoskop; widziała zarys metalowej pałki na tle ciemnych chmur i granatowego nieba, rozmazany krąg księżyca obejmujący twarz policjanta – upiorną, nienawistną maskę. Pomyślała, że za moment zemdleje i właściwie wcale nie byłoby to

nieprzyjemne doznanie. Nieświadomość była ucieczką przed bólem i przemocą, bezpiecznym schronieniem, gdzie nic się już nie liczyło. Wzdrygnęła się.

Nie, nie mogła się poddać. Nie teraz.

Na tarasie rozległ się jęk rannego policjanta, co na moment odwróciło uwagę napastnika od Sary. Trzymając w górze rękę gotową do kolejnego ciosu, spojrzał szybko na swego partnera. Jednocześnie przesunął kolano, którym przyciskał pojmaną do ziemi. Miażdżący ucisk zelżał na chwilę, co pozwoliło kobiecie zaczerpnąć powietrza i zebrać myśli.

Na oślep macała dłońmi ziemię wokół siebie, szukając noża, jakiegoś kamienia lub patyka, czegoś, co mogłoby posłużyć jej za broń. Nie znalazła jednak niczego prócz wilgotnej trawy. Nie miała się czym bronić. Tymczasem policjant znów całą uwagę skupił na niej; wrzeszczał i przeklinał ją, podnosząc pałkę jeszcze wyżej. Zacisnęła zęby, przygotowana na nieuniknione; wiedziała, że już nie ma szans.

Została pokonana.

Zupełnie niespodziewanie jakaś bezkształtna i rozmazana w pędzie plama dopadła ramienia policjanta. Sara zmrużyła oczy, a w następnej sekundzie ręka mundurowego znikła jej sprzed oczu, a kolano nie napierało już z taką siłą. Dokoła zapanowała dziwna cisza, gdy policjant przestał krzyczeć.

Zdawało się, że czas nagle stanął w miejscu.

Sara nie rozumiała, co się dzieje. Zastanawiała się przez moment, czy straciła przytomność. Potem dostrzegła parę wielkich oczu i rząd zębów ostrych jak brzytwa.

Zacisnęła na sekundę powieki, przekonana, że po tych wszystkich ciosach, które przed chwilą otrzymała w głowę, coś jej się stało ze wzrokiem.

Czas ruszył z miejsca. Policjant wrzasnął przeraźliwie i zsunął się z

niej, po czym niezdarnie podniósł się z ziemi. Próbował się bronić jedną ręką, podczas gdy druga wisiała mu bezwładnie u boku. Sara nie widziała jego twarzy. Stworzenie, które mężczyznę zaatakowało, zwinnym ruchem owinęło mu się wokół jego głowy i ramion. Długie, pozbawione sierści łapy, zakończone ostrymi pazurami, rozdrapywały twarz i szyję policjanta.

Funkcjonariusz nie utrzymał się długo na nogach i runął na ziemię niczym trafiony kulą kręgiel, wciąż atakowany przez tajemnicze stworzenie.

Sara usiadła, zmagając się z zawrotami głowy. Odgarnęła z czoła zakrwawioną grzywkę i zmrużyła oczy, próbując zrozumieć, co się wokół niej dzieje.

Chmury rozstały się na moment, a na ziemię padła smuga księżycowego blasku.

Sara zobaczyła sylwetkę zwierzęcia.

NIE, TO NIEMOŻLIWE!

Przyjrzała się raz jeszcze, nie wierząc własnym oczom.

To był Łowca, odmiana wielkiego kota, wyhodowana w Kolonii.

CO ON TU ROBI, NA LITOŚĆ BOSKĄ?

Wykonując nadludzki wysiłek, Sara podczołgała się do najbliższego słupka bramki i podpierając się na nim, powoli zdołała się podnieść. Gdy wreszcie stanęła nieco pewniej, czuła się tak słaba i oszołomiona, że musiała odczekać kilka chwil, by zebrać myśli.

– Nie masz na to czasu – zganiła się, wracając w końcu do rzeczywistości. – Weź się w garść.

Ignorując jęki i błagania policjanta, który wciąż próbował uwolnić się od siedzącego mu na głowie Łowcy, Sara pokuśtykała powoli do ogrodu, by odszukać zgubiony nóż. Schowała go do torby, a potem pozbierała porzucane wokoło listy. Choć miała problemy ze skupieniem uwagi, nie zamierzała zostawić po sobie żadnych śladów.

Doszedłszy już nieco do siebie, odwróciła się w stronę pierwszego policjanta.

Mężczyzna tkwił nieruchomo na schodach, tam gdzie go zostawiła, nie stanowił więc dla niej żadnego zagrożenia.

Kiedy dotarła znów na koniec ogrodu, drugi policjant leżał na boku i przyciskał dłonie do twarzy, jęcząc przeraźliwie. Łowca już dał mu spokój i siedział teraz obok, oblizując łapę. Gdy Sara się zbliżyła, przerwał, owinął ogon wokół łap i spojrzał na nią w skupieniu. Wcześniej zerknął obojętnie na jęczącego mężczyznę, jakby nie miał nic wspólnego z jego opłakany stanem.

Sara musiała podjąć decyzję, co teraz zrobi, i to szybko. Fakt, że obaj policjanci byli ranni i potrzebowali pomocy, niespecjalnie ją obchodził. Nie czuła żalu ani wyrzutów sumienia; musiała to zrobić, by przetrwać, a oni stali się jedynie przypadkowymi ofiarami – niczym więcej, niczym mniej. Podeszła do przytomnego policjanta i nachyliła się nad nim, by odpiąć krótkofalówkę od kieszeni munduru.

Mężczyzna zaskakująco sprawnie i szybko chwycił ją za nadgarstek. Był jednak osłabiony i mógł poruszać tylko jedną ręką. Sara bez problemu wyzwoliła się z uścisku i oderwała krótkofalówkę od bluzy – policjant stracił ochotę do walki i tym razem nie próbował jej nawet powstrzymać. Rzuciła radio na ziemię i rozgniotła obcasem.

Z pewną obawą zbliżyła się do Łowcy. Choć te wielkie zwierzęta były urodzonymi zabójcami, rzadko atakowały ludzi. W Kolonii krążyły opowieści o przypadkach zdiczałych kotów, które zwracały się przeciwko swym panom, a także wszystkim, których napotkały na drodze. Sara nie wiedziała, czy może ufać stworzeniu po tym, co zrobiło z policjantem. Sądząc po wyglądzie – łysa skóra opinała zebra zwierzęcia niczym płachta źle naciągniętego namiotu kot był niedożywiony i w nie najlepszej kondycji. Zastanawiała się, od jak dawna zdany był tylko na siebie.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała cicho, zatrzymując się w bezpiecznej odległości od zwierzęcia.

Kot pochylił ku niej głowę, jakby próbował ją zrozumieć, i zmrużył oczy. Sara przysunęła się bliżej i powoli wyciągnęła do niego rękę. Łowca powąchał jej palce.

Głowa bestii znajdowała się niemal na tej samej wysokości co biodra kobiety – zapomniała już, jak duże są te zwierzęta. Nagle kot wyciągnął do niej szyję. Sara zamarła w bezruchu, oczekując najgorszego, lecz zwierzę jedynie otarło się łbem o jej dłoń. Słyszała, jak w jego trzewiach powoli narasta głębokie mruczenie, przypominające warkot silnika. Jak na Łowcę było to zaskakująco przyjazne zachowanie. Albo życie na ziemi pomieszało mu nieco w głowie, albo z jakiegoś powodu wydawało mu się, że ją zna. Sara nie miała teraz jednak czasu, by się nad tym zastanawiać – musiała szybko obmyślić następny ruch i przejść do działania.

Najważniejsze było jak najszybsze opuszczenie tego miejsca. Drapiąc łuszczącą się, pokrytą strupami skórę pod szerokim pyskiem kota, pomyślała, że ma wobec niego dług wdzięczności. Z pewnością została by aresztowana, gdyby nie przyszedł jej z pomocą. Nie mogła zostawić go samego – była przekonana, że zostałby schwytyany w obławie, będącej reakcją policji na wypadki tego wieczoru.

– Chodź – rzuciła do kota, ruszając w stronę Błoni.

W jej posiniaczonej głowie powoli się rozjaśniało, kiedy zobaczyła przed sobą pustą ścieżkę. Gdy Łowca przemknął obok, zauważyła, że zwierzak lekko kuleje.

Zastanawiając się, co mogło być tego przyczyną, usłyszała podniesione głosy i dostrzegła w oddali grupę ludzi. Szybko zeszła ze ścieżki i ukryła się za parą wielkich krzewów różanecznika, zaciskając mocno zęby w reakcji na przeszywający ból w szyi i boku.

Ludzie byli coraz bliżej, Sara przywarła więc do ziemi, przyciskając

czoło do wilgotnej trawy. Czują nadchodzącą falę mdłości i miała nadzieję, że nie zacznie zaraz wymiotować. Nie wiedziała, dokąd poszedł Łowca, przypuszczała jednak, że będzie miał dość rozumu, by podobnie jak ona ukryć się gdzieś w krzakach.

Minęło kilka sekund, a głosy rozległy się ponownie, bliżej i wyraźniej. Należały do młodych ludzi, prawdopodobnie nastolatków. Tuż przed nią, po ścieżce potoczyła się puszka, a w następnej chwili rozległ się głuchy trzask, kiedy któryś z dzieciaków ją kopnął. Sara poczuła podmuch powietrza, gdy kawałek aluminium przemknął zaledwie kilka centymetrów od jej głowy i zatrzymał się w gęstwinie gałęzi tuż za nią. Zastygła w bezruchu, modląc się, by któryś z nastolatków nie zechciał odszukać puszkę. Na szczęście nikt tego nie zrobił, a rozbawione głosy zaczęły się powoli oddalać.

Czekając, aż młodzież odejdzie wystarczająco daleko, Sara wyjęła z torby chustę i próbowała oczyścić rany na twarzy. Poddała się jednak szybko, czując, że po policzku płynie jej świeża strużka krwi. Potem dokonała szybkiego przeglądu reszty obrażeń; prócz siniaków i rozcięć na głowie dokuczał jej paskudny ból w boku, szczególnie dotkliwy, gdy wciągała powietrze. Nie przejęła się tym jednak za bardzo – doświadczenie mówiło jej, że żadne żebro nie jest złamane.

Wyjrzała z kryjówki, zastanawiając się, czy któryś z rannych policjantów zdołał już dowlec się do ścieżki. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, a bała się, że jeden z nich mógłby wszcząć alarm. Na razie jednak dokoła panowała cisza, nawet rozbrykane nastolatki ucichły gdzieś w oddali.

Łowca zmaterializował się u jej boku, bezgłosny niczym duch, gdy tylko wyszła zza zasłony różanecznika. Powróciwszy na ścieżkę, pobiegli razem w stronę metalowego łuku wieńczącego wejście na Błonia. Sara przechodziła właśnie przez drogę, zmierzając w kierunku High Street. Obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy kot podąża jej

śladem, i przystanąła na chwilę. Łowca siedział na chodniku przy łuku, spoglądając na drogę po prawej, jakby chciał jej w ten sposób coś powiedzieć.

– Chodź! Tędy! – zawołała zniecierpliwiona, wskazując palcem w stronę centrum i hotelu, w którym się zatrzymała. – Nie mamy czasu na takie gierki – dodała, uświadamiając sobie nagle, jak trudno będzie jej przeprowadzić zwierzaka przez miasto i przemycić do pokoju, tak by nikt go nie zauważył.

Tymczasem kot siedział niewzruszenie w miejscu, zwracając pysk na prawo, podobnie jak pies myśliwski wskazujący swemu panu, że zwietrył trop.

– O co chodzi? Co tam jest? – spytała zniecierpliwiona Sara, cofając się do bramy.

Czuła się dość absurdalnie, rozmawiając z kotem.

Spojrzała na zegarek i rozważyła różne możliwości. Wiedziała, że wkrótce ktoś odkryje, co się wydarzyło przy domu Burrowsów, a na Błoniach i w całym Highfield zaroi się od policji. Z drugiej zaś strony pocieszała się tym, że zmierzch dopiero co zapadł. Była w swoim żywiole; mogła wykorzystać ciemność do osiągnięcia celu.

Tak czy inaczej, teraz musiała jak najszybciej oddalić się od domu Burrowsów, a wędrówka przez zatłoczone ulice mogła w takiej sytuacji okazać się błędem. Nie miała złudzeń, że jej twarz obita pałką przyciągnęłaby uwagę wszystkich przechodniów.

Próbowała zobaczyć, co kryje się w ulicy wskazanej przez kota; być może warto było zostawić fałszywy trop i w razie konieczności wrócić do hotelu dłuższą, określną trasą. Kiedy Sara rozważała wszystkie za i przeciw, Łowca przebierał łapami w miejscu, chcąc jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Spojrzała na kota, zdając sobie sprawę, że być może będzie musiała porzucić go po drodze. Tylko przyciągałby uwagę i zmniejszał jej szanse.

– W porządku, niech ci będzie – powiedziała, nagle podejmując decyzję. Mogłaby przysiąc, że kot wyszczerzył zęby w uśmiechu, nim poderwał się z miejsca i pobiegł tak szybko, że ledwie mogła za nim nadążyć. Wyglądało na to, że idą po obrzeżach starego miasta.

Dwadzieścia minut później weszli w nieznaną jej ulicę. Po napisach na drogowskazie zorientowała się, że zacierają w stronę miejskiego wysypiska. Kot zatrzymał się na chwilę tuż przy ścieżce odchodzącej w bok na końcu długiego szeregu billboardów, a potem skręcił w nią. Sara ruszyła jego śladem i przekonała się, że idą po nierównym terenie, porośniętym chwastami i krzewami.

Kot przebiegł obok wraku samochodu i popędził w róg rozległego pola. Wyglądało na to, że doskonale wie, dokąd zmierza. Potem zatrzymał się, podniósł pysk i wciągnął w nozdrza powietrze. W tym samym czasie Sara próbowała go dogonić.

Miała do pokonania jeszcze kilkadziesiąt metrów, kiedy wiedziona ostrożnością obejrzała się i sprawdziła, czy nikt ich nie śledzi. Chwilę później odwróciła się z powrotem, lecz kota już nie było. Choć widziała w ciemnościach naprawdę dobrze, nie domyślała się, gdzie się podziało zwierzę. Ogarnęła spojrzeniem niewielkie krzewy porastające błotnistą glebę, po czym wyjęła z torby mały breloklatarkę i oświetliła teren wokół siebie. Po chwili dostrzegła głowę kota, która nagle wynurzyła się spod ziemi kilka metrów dalej.

Zaraz znikła ponownie. Chcąc wiedzieć, o co chodzi, Sara podeszła bliżej i zobaczyła, że w tym miejscu znajduje się coś w rodzaju rowu, przykrytego w dużej części arkuszem sklejk. Włożyła pod nią rękę – najwyraźniej kryła się tam sporych rozmiarów dziura. Odsunęła płytę, pojękując cicho z bólu, który przeszywał obite żebra, i powiększyła otwór na tyle, by się w nim zmieścić.

Wyciągając nogę przed siebie, w smolistą ciemność, straciła równowagę na osuwającej się ziemi. Przez moment wymachiwała

rozpaczliwie ramionami i próbowała się czegoś chwycić, jednak nie znalazła w zasięgu ręki nic, co by się do tego nadawało.

Przeleciała niemal osiem metrów i wylądowała z głośnym chrzęstem w pozycji siedzącej. Klnąc cicho, poczekała, aż ból nieco osłabnie, po czym ponownie włączyła latarkę.

Stwierdziła ze zdumieniem, że wpadła do jamy wypełnionej czymś, co wyglądało na wielką stertę kości. Podłoga pokryta była grubą warstwą kostek i kosteczek, starannie ogryzionych z mięsa i połyskujących w blasku latarki. Sięgnęła dłonią, podniosła małą kość udową i przyjrzała się jej uważnie. Rozejrzawszy się dokoła, zauważyła również kilka małych czaszek. Na wszystkich widniały ślady zębów, a sądząc po rozmiarze kości, należały niegdyś do królików lub wiewiórek. Potem dostrzegła znacznie większą czaszkę z potężnymi kłami.

– Pies – powiedziała głośno, natychmiast rozpoznawszy kość. Czerep opięty był grubą, poplamioną krwią skórzaną obrożą.

Była w legowisku kota!

Nagle przypomniała sobie artykuł, który czytała w hotelu.

– Więc to ty porywasz psy! – stwierdziła. – To ty jesteś bestią z Błoni Highfield – dodała ze zdumionym chichotem, zwracając się do ciemności, z której dobiegał regularny oddech kota.

Sara podniosła się, rozgniatając przy tym trochę kości, i ruszyła w dół korytarza, odchodzącego od cmentarzyska ofiar Łowcy. Ściany tunelu obite były deskami, które jej wprawnemu oku nie wydawały się zbyt solidne – w wielu miejscach porastał je grzyb, tu i ówdzie widać było również ślady nadmiernej wilgoci. Co gorsza, liczba stempli podpierających sufit była zdecydowanie za mała – wyglądało to tak, jakby ktoś usunął część z nich, nie zastanawiając się, co z tego wyniknie. Pokręciła obolałą głową. Z pewnością nie trafiła do szczególnie bezpiecznego miejsca, ale w tej chwili i tak było to

najmniejsze z jej zmartwień. Potrzebowała jakiejś kryjówki, by odzyskać siły i wyleczyć rany.

Korytarz zaprowadził ją jeszcze niżej, prosto do większego pomieszczenia.

Zauważyła na ziemi drewnianą kładkę, której powierzchnię pokrywały białe smugi pleśni. Stały tam dwa fotele, jeden obok drugiego, a na jednym z nich siedział nieruchomo kot, zupełnie jakby czekał na nią od jakiegoś czasu.

Sara omiotła okolicę promieniem latarki i aż zachłysnęła się ze zdumienia. W najszerszym miejscu podziemna komnata miała jakieś piętnaście metrów szerokości, ale po drugiej stronie ściana najwyraźniej się zawaliła, a osypisko sięgało niemal do samych foteli. Ze sklepienia kapął ciurkiem woda i kiedy kobieta zbliżyła się do ściany, wdepnęła prosto w kałużę. Ta okazała się zaskakująco głęboka i Sara straciła równowagę.

Przeklinając głośno, z nogą tkwiącą w błotnistej mazi, chwyciła się najbliższego przedmiotu, który mógł jej posłużyć za podpórę – jednego ze stempli. Jednak dłoń, zamiast znaleźć oparcie w solidnej drewnianej belce, wyrwała garść przemoczonych drzazg. Sara osunęła się na ścianę, a jej noga jeszcze bardziej zagłębiła się w kałużę.

Co gorsza, przegniła podpora przesunęła się na bok i w ułożonym z desek poszyciu pokrywającym sklepienie powstała dziura. Kaskada wilgotnej ziemi posypała się na kobietę, która bez skutku usiłowała odsunąć się od ściany.

– Na litość boską! – wybuchła. – Co za cholerny idiota wykopał ten tunel?!

Wyszła wreszcie z kałuży i przetarła oczy. Przynajmniej udało jej się nie zgubić latarki, dzięki czemu mogła teraz uważnie obejrzeć całą komnatę. Obeszła ją ostrożnie dokoła i przyglądając się stemplom, stwierdziła z przerażeniem, że wszystkie są mniej lub bardziej

zbutwiałe.

Wydawszy usta, Sara zastanawiała się, co, u diabła, skłoniło ją do przyjścia w to miejsce. Odwróciła się do kota, który przez cały ten czas siedział nieruchomo niczym posąg i przyglądał się wszystkiemu z wysokości fotela. Mogłaby przysiąc, że w jego oczach migotały iskierki rozbawienia, wywołane jej nieporadnym zachowaniem.

– Kiedy następnym razem będziesz chciał mnie gdzieś zabrać, dobrze się nad tym zastanowię! – oświadczyła ze złością.

Ostrożnie!

Zamknęła szybko usta, przypomniawszy sobie, z czym ma do czynienia. Choć kot wyglądał na spokojnego, Łowcy, szczególnie zdziczali, mogli być nieobliczalni, nie powinna więc robić niczego, co mogłoby go zaniepokoić. Przysunęła się bliżej do pustego fotela, starając się przy tym nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

– Pozwolisz, że usiądę? – spytała łagodnym tonem, podnosząc jednocześnie zabłocone ręce, by pokazać, że nie ma złych zamiarów.

Kiedy usiadła w fotelu, zaczęła ją dręczyć pewna myśl. Rozglądała się właśnie po komnacie i próbowała dociec, co właściwie wzbudza jej niepokój, gdy kot pochylił się nagle w jej stronę. Wciąż niepewna jego zamiarów, Sara cofnęła się odruchowo.

Uspokoiliła się jednak, gdy zobaczyła, że zwierzę tylko pociera pyskiem o oparcie fotela.

Kobieta zauważyła, że leży tam jakieś zawiniątko, i sięgnęła powoli, by go dotknąć; wyglądało na wilgotną tkaninę. Oparła się wygodniej i rozłożyła materiał. Była to ubłocona koszulka do rugby w czarno-żółte pasy. Powąchała ją.

Pomimo ciężkiego odoru wilgoci i zgnilizny, który wypełniał całe pomieszczenie, do jej nozdrzy dotarł delikatny, ledwie wyczuwalny zapach. Cień zapachu. Sara powąchała koszulkę raz jeszcze, by upewnić się, że nie ulega złudzeniu, i spojrzała uważnie na kota.

Zmarszczyła brwi, tknięta myślą, która początkowo była niewyraźna i niepewna, teraz zaś zaczęła nabierać kształtów; nabierała rozpędu i, niczym bańka zmierzająca ku tafli wody, wypłynęła nagle na powierzchnię.

– To było jego, prawda? – zapytała, podsuwając koszulkę pod pocięty bliznami pysk kota. – Mój syn Seth to nosił... Więc... to on musiał wykopać te tunele! Mój Boże, nigdy nie przypuszczałam, że dotrze aż tak głęboko!

Przez chwilę rozglądała się po jaskini z rozbudzonym na nowo zainteresowaniem, potem jednak wpadła w wir sprzecznych emocji. Gdyby nie list Joe, byłaby zachwycona, że trafiła do komnaty wykopanej przez syna, jakby to zbliżało ją nieco do niego. Teraz jednak nie potrafiła się cieszyć tym odkryciem – czuła się nieswojo w tym miejscu na myśl o rękach, które je stworzyły.

Zadrzała, gdy w jej głowie eksplodowała kolejna myśl. Zwróciła się do zwierzęcia, które ani na moment nie odrywało od niej spojrzenia: – Cal? Byłeś Łowcą Cala?

Na dźwięk tego imienia pysk kota drgnął lekko, a krople wody na jego wąsach rozbłysnęły jaśniej w świetle latarki. Sara uniosła brwi.

– Dobry Boże! – wyszeptała. – Więc jednak byłeś jego kotem, prawda?

Zmarszczywszy czoło, kobieta na chwilę głęboko się zamyśliła. Jeśli zwierzę rzeczywiście należało do Cala, potwierdzałoby się to, co Joe Waites napisał w swoim liście – że Seth po prostu zmusił Cala, by wyszedł z nim do Górnoziemia, zanim zaciągnął go do Głębi. To wyjaśniałoby obecność kota w tym miejscu – towarzyszył Calowi, kiedy ten przybył na powierzchnię.

– Więc wyostałeś się jakoś z Kolonii z... z Sethem? powiedziała, myśląc na głos. – Ale znasz go jako Willa, prawda? – Starannie wymówiła ponownie imię „Will”, obserwując uważnie kota, tym

razem jednak nie doczekała się żadnej reakcji.

Umilkła. Jeśli prawdą było, że Cal wyszedł na powierzchnię, to czy prawdą były też wszystkie inne informacje dotyczące Setha? Nie mogła pogodzić się z wynikiem takiego rozumowania. Miała wrażenie, że wszystkie głębokie uczucia, ogromna miłość, którą żywiła do starszego syna, ustępowały powoli, by zrobić miejsce czemuś ohydnyemu i mściwemu.

– Cal – powiedziała głośno, chcąc jeszcze raz zobaczyć reakcję zwierzęcia.

Kot przechylił głowę w jej stronę, a potem spojrział w kierunku wejścia do jaskini.

Żałując, że Łowca nie może odpowiedzieć na setki pytań, które kłębiły się w jej głowie, Sara opadła ponownie na oparcie fotela. Miniony dzień był wyjątkowo obfity w zdarzenia, powoli więc poddawała się zmęczeniu.

Słyszając trzaski i pojękiwania desek oraz szmer osypującej się tu i ówdzie ziemi, Sara ostatkiem sił ogarnęła spojrzeniem korzenie zwisające z sufitu, po czym powieki przesłoniły jej oczy. Gdy palec ześlizgnął się z przycisku na latarce, jaskinia pogrążyła się w ciemnościach, a kobieta niemal natychmiast zasnęła.

Rozdział ósmy



Chłopcy przeszli ponownie obok syczącego niebieskiego płomienia i wrócili do tunelu kolejowego. Po dwudziestu minutach dotarli do miejsca, gdzie pociąg się zatrzymał.

Ukryci za wagonem strażników, którego zakurzone okna były teraz całkiem ciemne, przesuwali wzrokiem wzdłuż długiego szeregu wagonów, aż do miejsca, gdzie stała lokomotywa. Nie dostrzegli jednak nikogo – wydawało się, że pociąg jest zupełnie pusty.

Potem rozejrzeli się uważnie wokoło; rozciągająca się przed nimi jaskinia miała co najmniej dwieście metrów szerokości.

– Więc to jest Stacja Górników – wyszeptał pod nosem Will, spoglądając na lewą część grotty, w której paliły się światła znaczące miejsce, gdzie stało kilka zwykłych, jednopiętrowych budynków, a raczej chałup.

– Nie wygląda to zbyt imponująco, co? – mruknął ponurym głosem Chester.

– Nie... Myślałem, że będzie znacznie większe – odrzekł Will, nie kryjąc rozczarowania. – Nic nadzwyczajnego – dodał, używając frazy, którą posługiwał się jego ojciec, opisując coś, co nie zrobiło na nim większego wrażenia.

– Nikt nie zatrzymuje się tutaj na dłużej – zauważył Cal. Chester wyglądał wyraźnie nieswojo.

– Myślę, że my też nie powinniśmy – wyszeptał nerwowo. – Gdzie oni wszyscy się podzieli? Strażnik i maszynista?

– Pewnie są w którymś z budynków – odparł Cal.

Nagle chłopców dobiegł przytłumiony pomruk, przypominający odległy grzmot, a potem rozległy się ogłuszający stukot i brzęk.

– Co to, u diabła, jest?! – krzyknął wystraszony Chester, kiedy wszyscy odruchowo cofnęli się w głąb tunelu.

Cal wskazywał na coś ponad pociągiem.

– Patrzcie, ładują towary na podróż powrotną.

Zobaczyli wielkie zsuwnie ustawione ponad wagonami o wysokich burtach. Każda z nich miała kształt rynny o średnicy równej co najmniej średnicy przeciętnego kosza na śmieci i wykonana była z kawałków metalu połączonych nitami. Coś, czego chłopcy nie mogli rozpoznać, wylatywało ze zsuwni z wielką prędkością i uderzało z hukiem o metalową podłogę wagonów.

– Teraz mamy okazję! – zawołał Cal. Wstał, okrążył wagon strażników i gnał wzdłuż składu, nim Will zdążył zaprotestować.

– Znów to samo – jęknął Chester, ale razem z Willem ruszyli śladem młodszego chłopca, podobnie jak on kryjąc się za pociągiem.

Przebiegli wzdłuż niższych wagonów, mijając również ten, w którym spędzili całą podróż, a potem pomknęli wzdłuż wyższych. Kurz i gruz sypały im się na głowy, musieli więc przystawać kilka razy, by przetrzeć oczy. Chłopcom wystarczyła minuta na przebiegnięcie wzdłuż całego pociągu – dokładnie tyle, ile trwał załadunek. Ze zsuwni wypadały jeszcze resztki różnych towarów, a powietrze wypełniło się gryzącym kurzem.

Wciąż odczepiona od pociągu lokomotywa parowa stała nieco dalej, Cal skrył się jednak za ostatnim z wyższych wagonów. Gdy tylko pozostali chłopcy dołączyli do niego, Will trzepnął brata w ucho.

– Au! – syknął Cal, podnosząc pięści i gotując się do bitki. – Za co?

– Za to, że znowu nam uciekłeś, ty głupi smarkaczu! odparł Will z

wściekłością. – Jeśli nadal będziesz to robił, wkrótce nas złapią.

– Przecież nas nie widzieli... A poza tym jak inaczej moglibyśmy się tu dostać? – bronił się gwałtownie najmłodszy chłopak.

Will nie odpowiedział.

Cal mrugnął powoli, jakby chciał powiedzieć, że jego brat robi się nudny, a potem ostentacyjnie odwrócił głowę i spojrzał w dal.

– Musimy dostać się do...

– Absolutnie, nie ma mowy! – przerwał mu zdecydowanym głosem Will. – Chester i ja sprawdzimy najpierw wszystko, a dopiero potem pójdziemy dalej. Ty się nie ruszaj z miejsca!

Cal zastosował się niechętnie do tego polecenia, siadając na ziemi z gniewnym jękiem na ustach.

– Nic ci nie jest? – spytał Will Chestera, usłyszawszy za sobą głośne pociąganie nosem. Odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

– To świństwo wpycha się wszędzie – mruknął Chester, a potem wydmuchał nos, zatykając po kolei obie dziurki.

– To obrzydliwe – obruszył się Will, gdy Chester wziął między palce rozkołysane smarki i rzucił je na ziemię. – Musisz to robić?

Nie przejmując się odrazą przyjaciela, Chester spojrzał z ukosa na jego twarz, a potem uważnie obejrzał własne ramiona i dłonie.

– Z pewnością jesteśmy bardzo dobrze zamaskowani stwierdził.

Ich twarze i ubrania były brudne już po podróży pociągiem, kiedy okryła je warstwa sadzy, teraz jednak, gdy spadł na nich deszcz pyłu i gruzu, skorupa brudu stała się znacznie grubsza.

– No dobrze, jeśli już skończyłeś, obejrzyjmy sobie stację powiedział Will.

Przeczołgali się razem za wagon, skąd mieli dobry widok. Obserwowali uważnie okolice, nie dostrzegli jednak najmniejszych oznak ruchu.

Nie wysilając się nawet na tyle, by schylić głowę, Cal zlekceważył

polecenie Willa i dołączył do nich. Wydawało się, że nie jest w stanie usiedzieć w miejscu choćby przez chwilę; dosłownie drżał z niecierpliwości.

– Posłuchajcie, kolejarze są teraz w budynkach stacji, ale zaraz ją opuszczą. Musimy się stąd wydostać, zanim to nastąpi – nalegał.

Will jeszcze raz przyjrzał się zabudowaniom.

– W porządku, ale trzymamy się razem i biegniemy tylko . do lokomotywy.

Zrozumiałeś, Cal?

Wysunęli się z za zasłony wagonu i przebiegli, zgięci w pół, do lokomotywy. Od czasu do czasu potężna maszyna wypuszczała z sykiem kłęby pary, niczym smok pogrążony w głębokim śnie. Czuli ciepło dochodzące z olbrzymiego kotła.

Chester bezmyślnie położył dłoń na jednej z ogromnych stalowych płyt, z których wykonana była lokomotywa, i cofnął ją szybko.

– Au! – syknął. – Wciąż jest naprawdę gorąca.

– Co ty nie powiesz – mruknął sarkastycznie Cal, kiedy przeszli do przedniej części maszyny.

– Jest niesamowita! Wygląda jak czołg – ocenił Chester w chłopięcym zachwycie.

Rzeczywiście, lokomotywa okryta potężnymi stalowymi płytami i wyposażona w wielki zgarniacz przypominała pojazd wojskowy, stary czołg.

– Chester, naprawdę nie mamy teraz czasu na podziwianie ciuchci!
– zirytował się Will.

– Wcale tego nie robiłem – burknął Chester, ukradkiem zerkając na lokomotywę.

Chłopcy zaczęli się naradzać nad następnym ruchem.

– Powinniśmy pójść tam – twierdził z przekonaniem Cal, wskazując kciukiem wybrany kierunek.

– Bla, bla, bla – mruknął Chester pod nosem, obrzucając Cala pogardliwym spojrzeniem. – Znów się zaczyna.

Will przyglądał się miejscu wskazanemu przez brata. Po drugiej stronie otwartej przestrzeni szerokości około pięćdziesięciu metrów znajdowało się coś, co mogło być otworem w ścianie jaskini. Z dwóch stron ustawione były metalowe pochylnie, odchodzące od dziwnej konstrukcji umieszczonej powyżej. Całość okrywał jednak mrok na tyle gęsty, że Will nie miał pewności, czy rzeczywiście jest tam wyjście.

– Nie wiem, co to jest – zwrócił się do Cala. – Za ciemno.

– Właśnie dlatego powinniśmy tam pójść – odparł jego brat.

– A co, jeśli Koloniści wyjdą z budynku, zanim dotrzemy na miejsce? – spytał Will. – Wtedy na pewno nas zauważą.

– Piją teraz herbatę – odrzekł Cal, kręcąc głową. – Nikt nas nie zauważy, jeśli pójdziemy już teraz.

– Możemy się przecież wycofać – wtrącił się Chester. – Wrócić do tunelu i poczekać, aż pociąg odjedzie.

– To może potrwać nawet kilka godzin. Musimy iść teraz! – upierał się Cal, wyraźnie zirytowany. – Póki jeszcze mamy okazję.

– Poczekajmy – odparował natychmiast Chester, zwracając się do Cala.

– Idziemy! – upierał się Cal.

– Nie, zrobimy... – zaczął Chester, lecz Cal podniósł głos i nie pozwolił mu dokończyć: – Ty nic nie wiesz! – Uśmiechnął się szyderczo.

– Kto mianował cię szefem? – Chester odwrócił się do przyjaciela, szukając u niego poparcia. – Chyba nie będziesz go słuchał, Will? To tylko głupi smarkacz.

– Zamknijcie się! – syknął Will przez zaciśnięte zęby, wpatrzony w stację.

– Mówię wam, powinniśmy... – zaczął głośno Cal. Will gwałtownie zakrył dłonią usta brata.

– Powiedziałem, żebyś się zamknął. Cal! Jest ich dwóch. Tam – wyszeptał Calowi do ucha i dopiero potem odsunął rękę.

Cal i Chester odszukali wzrokiem dwóch kolejarzy stojących pod portykiem², który biegł wzdłuż kilku budynków stacji. Najwyraźniej dopiero co wyszli z jednej z chałup, zostawiwszy otwarte drzwi, zza których dochodziły pojedyncze dźwięki jakiejś dziwnej muzyki.

Mężczyźni mieli na sobie obszerne niebieskie mundury, na głowach zaś nosili dziwne aparaty tlenowe. Obaj podnieśli je teraz, by napić się z wielkich kufli, które trzymali w dłoniach. Nawet z pewnego dystansu chłopcy słyszeli ich zrzędlive głosy, kiedy kolejarze przeszli kilka kroków i zatrzymali się, spoglądając od niechcienia na pociąg; potem odwrócili się w przeciwną stronę, wskazując gdzieś na sklepienie tunelu, wysoko ponad składem.

Po kilku minutach oczekiwania chłopcy ponownie odwrócili się na pięcie i weszli do budynku, zamykając z trzaskiem drzwi.

– Dobra! Chodźmy! – rzucił Cal, spoglądając tylko na Willa i starannie omijając wzrokiem Chestera.

² Dach oparty z jednej strony na kolumnach.

– Przestań! – warknął Will. – Pójdziemy, kiedy wszyscy tak postanowimy. Jesteśmy tu razem.

Cal zaczął odpowiadać, podnosząc górną wargę w nieprzyjemnym grymasie.

– To nie jest jakaś cholerna zabawa, zrozum to! – syknął Will, nim chłopiec zdążył się odezwać.

Cal parsknął głośno i zamiast dalej sprzeczać się z bratem, odwrócił się do Chestera i zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

– Ty... ty Górnoziemcu! – syknął.

Chester, kompletnie zaskoczony tym atakiem, podniósł tylko brwi,

spojrzał uważnym wzrokiem na Willa i wzruszył ramionami.

Zostali więc obok lokomotywy. Will i Chester obserwowali uważnie stację, podczas gdy Cal żłobił w ziemi rysunki przypominające do złudzenia Chestera – postacie 0 kwadratowych ciałach i kanciastych głowach. Od czasu do czasu chichotał złośliwie pod nosem, zamazywał szkice i znów zaczynał coś kreślić.

Po pięciu minutach, kiedy na stacji nadal było pusto, Will odezwał się: – W porządku, wygląda na to, że nie zamierzają na razie wychodzić. Myślę, że powinniśmy ruszać. Zgadzasz się, Chester?

Chester skinął głową, choć nie wyglądał na szczęśliwego.

– Wreszcie – mruknął Cal, zrywając się na równe nogi i wycierając w ubranie zakurzone dłonie. W mgnieniu oka znalazł się na otwartej przestrzeni, w pełnym blasku lamp, maszerując zuchwałym krokiem ku ścianie jaskini.

– Co mu jest? – spytał Chester Willa. – Za którymś razem zabije nas wszystkich!

Kiedy już znaleźli się w mroku przy murze, weszli pomiędzy pochylnie i odkryli, że rzeczywiście znajduje się tam przejście – szczelina w skale sporych rozmiarów.

Propozycja Cala okazała się trafna, a chłopiec nie zamierzał pozwolić, by jego towarzysze o tym zapomnieli.

– Miałem ra... – zaczął.

– Tak, wiem, wiem – przerwał mu Will. – Tym razem.

– Co to jest? – spytał Chester, zauważywszy dziwne konstrukcje przy wejściu do tunelu. Były one niemal zupełnie zasypane wielkimi zwałami szlamu, ciągnącymi się wzdłuż ściany. Niektóre wyglądały jak ogromne sześciiany, inne sprawiały wrażenie okrągłych. Dokoła leżały porozrzucane bezładnie kawałki metalu i gruz. Chłopcy podeszli do jednej z konstrukcji, z bliska przypominającej olbrzymi plaster miodu zbudowany z szarej cegły. Kiedy Will przedzierał się

przez szlam, natrafił stopą na coś twardego. Pochylił się, by to podnieść. Tajemniczy przedmiot dorównywał wielkością jego dłoni, był płaski i miał pofalowane brzegi. Will trzymał go w ręce, gdy zbliżał się do ceglanej konstrukcji.

– Tutaj powinien być włącz – powiedział Cal, przepychając się obok brata.

Odgarnął butem szlam nagromadzony pod ceglana ścianą. Rzeczywiście, znajdowały się tam drzwiczki szerokości pół metra. Gdy Cal przykucnął obok nich i pociągnął za uchwyt, drzwi uchyliły się, skrzypiąc na nienaoliwionych zawiasach. Ciemny popiół rozsypał się wokoło.

– Skąd wiedziałeś? – spytał Will.

Cal podniósł się, wyjął twarde przedmiot z dłoni brata i postukał nim mocno w ceglana ścianę konstrukcji. Przedmiot wydał z siebie stłumiony dźwięk, przypominający odgłos tłuczonego szkła, a od jego powierzchni oderwało się kilka odłamków.

– To kawałek żużlu. – Chłopiec kopnął w stertę szlamu, rozsypując go na wszystkie strony. – Mogę się założyć, że pod spodem będzie węgiel drzewny.

– No i? – spytał Chester, unosząc brwi.

– To są piece odlewnicze – odrzekł Cal z przekonaniem.

– Naprawdę? – Will schylił się i zajrzał do wnętrza pieca.

– Tak, widziałem już takie w odlewniach w Południowej Jaskini, w Kolonii. – Cal podniósł głowę i spojrzał wyzywająco na Chestera, jakby udowodnił właśnie swą wyższość nad starszym chłopcem. – Koprolici pewnie wytapiali tu surówkę.

– W poprzednim wieku, sądząc po wyglądzie – stwierdził Will, rozglądając się dokoła.

Cal skinął głową. Uznawszy, że w pobliżu nie ma już nic godnego uwagi, chłopcy ruszyli w dalszą drogę w głąb tunelu.

– Straszny z niego cwaniaczek – powiedział Chester, kiedy Cal oddalił się od nich.

– Posłuchaj, Chester – odparł szeptem Will. – Cal okropnie boi się tego miejsca, jak wszyscy Koloniści. Nie zapominaj też, że on jest znacznie młodszy od nas. To jeszcze dzieciak.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie!

– Może i nie, ale musisz być dla niego wyrozumiały – poprosił Will.

– Tutaj nie ma miejsca na wyrozumiałość, Will, dobrze o tym wiesz! – zirytował się Chester. Zauważywszy, że Cal najwyraźniej usłyszał jego wybuch i odwrócił się, zaciekawiony, w ich stronę, natychmiast ściszył głos. – Po prostu nie stać nas na popełnianie błędów. Myślisz, że będziemy mogli poprosić Styksów o drugie życie jak w jakiejś głupiej grze komputerowej? Wróć do rzeczywistości, dobrze?

– Cal nas nie zawiedzie – oświadczył Will.

– Gotów jesteś postawić na to własne życie? – spytał poważnie Chester.

Will potrząsnął tylko głową, po czym obaj kontynuowali wędrówkę w milczeniu.

Chłopak wiedział, że żadnymi słowami nie zdoła zmienić opinii przyjaciela o Calu; a może Chester miał rację...

Kiedy już się oddalili od pieców i hałd szlamu, przekonali się, że dno tunelu jest twarde i zbite, jakby udeptały je tysiące stóp. Trzymali się głównego korytarza, choć od czasu do czasu odchodziły od niego mniejsze odnogi. Niektóre były na tyle wysokie, że mogliby iść wyprostowani, w większości jednak musieliby się czołgać.

Chłopcy nie zamierzali opuszczać centralnej arterii – żaden z nich nie miał ochoty zagłębiać się w boczne przejścia, a poza tym i tak nie wiedzieli, dokąd właściwie idą.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie tunel się rozdzielał.

– Którędy teraz? – spytał Chester, kiedy wraz z Willem zbliżyli się do Cala, który chwilę wcześniej przystanął.

Chłopiec zauważył jakiś przedmiot leżący pod ścianą; podszedł bliżej i trącił go czubkiem buta. Był to drogowskaz wykonany z wyblakłego, popękanego drewna.

Dwie „dłonie” przymocowane do złamanego słupka wskazywały przypominającymi palce strzałkami w przeciwne strony. Na każdej z nich znajdowały się wyryte w drewnie, ledwie czytelne napisy. Cal podniósł drogowskaz i przytrzymał go tak, by Will mógł je odczytać. Chłopiec zaczął odszyfrowywać: – Tutaj jest napisane: „Miasto w Szczelinie”... To tunel na prawo. A tu... – Will zawahał się na moment. – Nie mogę odczytać... Końcówka jest oderwana... Czyba: „Wielka coś”?

– Wielka Równina – podsunął natychmiast Cal. Will i Chester spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Słyszałem, jak kiedyś przyjaciele mojego wujka mówili o tym – wyjaśnił.

– Co jeszcze słyszałeś? Jak wygląda to miasto? Czy to osada Koprolitów? – wypytywał Will.

– Nie wiem.

– No, powiedz, powinniśmy tam iść? – naciskał Will.

– Naprawdę nic więcej nie wiem – odparł Cal obojętnie, rzucając drogowskaz na ziemię.

– Cóż, podoba mi się nazwa tego miasta. Założę się, że tata by tam poszedł. Jak myślisz, Chester, idziemy w tę stronę?

– Wszystko jedno – odrzekł Chester, wciąż wpatrując się nieufnie w Cala.

Jednak kiedy ruszyli w drogę, już po kilku godzinach przekonali się, że wybrany przez nich tunel nie jest główną trasą; nie przypominał w niczym drogi, którą szli wcześniej. Dno było nierówne

i sypkie; tu i ówdzie leżały porozrzucone kamienie, co sugerowało, iż nie wykorzystywano tego przejścia zbyt często. Co gorsza, od czasu do czasu chłopcy musieli wspinać się na wielkie hałdy kamieni, które oderwały się od ściany lub sklepienia tunelu.

W chwili, gdy zaczęli zastanawiać się, czy nie lepiej zawrócić, wyszli zza rogu, a światło ich kul wydobyło z ciemności konstrukcję blokującą drogę. Była foremna i bez wątpienia wykonana ludzką ręką.

– Więc jednak coś tutaj jest – powiedział z ulgą Will.

Kiedy zbliżyli się do przeszkody, tunel rozszerzył się i zamienił w obszerną jaskinię.

Po chwili wyraźnie zobaczyli coś na kształt ogrodzenia, z dwiema wieżami o wysokości około dziesięciu metrów tworzącymi rodzaj bramy. Stanąwszy tuż przy konstrukcji, przekonali się, że między wieżami wisi metalowa płyta, a na niej koślawy napis: „Miasto w Szczelinie”.

Brnąc z chrzęstem przez żużel i żwir, posuwali się ostrożnie naprzód. Po obu stronach ciągnął się wysoki płot, który ograniczał obszar jaskini. Wydawało się, że chłopcy nie mają innego wyjścia, niż tylko przejść przez otwartą bramę. Skinąwszy do siebie głowami, przemknęli przez nią, a gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie, zobaczyli budynki osady.

– Wygląda jak wymarłe miasto – stwierdził Chester, spoglądając na szeregi chat ustawionych wzdłuż głównej alei, którą właśnie szli. – Tu raczej nikt już nie mieszka – dodał.

Jeśli którykolwiek z chłopców łudził się nadzieją, że domy mogą być zamieszkane, stracił ją natychmiast, zobaczywszy, w jakim są stanie. Wiele chat po prostu się zawaliło. W tych, które się jeszcze trzymały, drzwi były otwarte lub w ogóle ich nie było; wszystkie szyby zostały wybite.

– Sprawdź tylko, co jest w tej – oznajmił Will. Odprowadzany

zaniepokojonym spojrzeniem Chestera, przedarł się przez stertę desek blokujących wejście do domu. Musiał przytrzymać się futryny, by nie stracić równowagi. Krzyknął, zaskoczony, gdy cały budynek zakołysał się i zaskrzypiał złowieszczo.

– Uważaj, Will! – ostrzegł go Chester, wycofując się na bezpieczną odległość. – To może się w każdej chwili zawalić.

– Tak – mruknął Will, nie zamierzał się jednak poddawać. Wszedł do środka i oświetlił wnętrze chaty, stąpając ostrożnie między śmieciami zaścielającymi podłogę.

– Tu jest pełno piętrowych łóżek – zawołał do pozostałej dwójki.

– Piętrowych łóżek? – powtórzył z zaciekawieniem Cal, podczas gdy Will nadal myszkował po domu. Nagle rozległ się głośny trzask, a noga chłopca zapadła się w podłogę.

– A niech to! – Will wyciągnął stopę i zaczął się ostrożnie wycofywać. Przystanął jeszcze na moment, by spojrzeć na ciemny przedmiot w rogu, który mógł być rodzajem pieca. Uznał jednak, że widział już dość, szczególnie biorąc pod uwagę opłakany stan podłogi.

– Tu nic nie ma! – krzyknął do towarzyszy i wyszedł na zewnątrz.

Koledzy ruszyli ponownie wzdłuż głównej alei. Po chwili Cal przerwał milczenie: – Czujesz ten zapach? – spytał Willa. – Ostry, jak...

– Wygląda jak wymarłe miasto – stwierdził Chester, spoglądając na szeregi chat ustawionych wzdłuż głównej alei, którą właśnie szli. – Tu raczej nikt już nie mieszka – dodał.

Jeśli którykolwiek z chłopców łudził się nadzieją, że domy mogą być zamieszkane, stracił ją natychmiast, zobaczywszy, w jakim są stanie. Wiele chat po prostu się zawaliło. W tych, które się jeszcze trzymały, drzwi były otwarte lub w ogóle ich nie było; wszystkie szyby zostały wybite.

– Sprawdzę tylko, co jest w tej – oznajmił Will. Odprowadzany

zaniepokojonym spojrzeniem Chestera, przedarł się przez stertę desek blokujących wejście do domu. Musiał przytrzymać się futryny, by nie stracić równowagi. Krzyknął, zaskoczony, gdy cały budynek zakołysał się i zaskrzypiał złowieszczo.

– Uważaj, Will! – ostrzegł go Chester, wycofując się na bezpieczną odległość. – To może się w każdej chwili zawalić.

– Tak – mruknął Will, nie zamierzał się jednak poddawać. Wszedł do środka i oświetlił wnętrze chaty, stąpając ostrożnie między śmieciami zaścielającymi podłogę.

– Tu jest pełno piętrowych łóżek – zawołał do pozostałej dwójki.

– Piętrowych łóżek? – powtórzył z zaciekawieniem Cal, podczas gdy Will nadal myszkował po domu. Nagle rozległ się głośny trzask, a noga chłopca zapadła się w podłogę.

– A niech to! – Will wyciągnął stopę i zaczął się ostrożnie wycofywać. Przystanął jeszcze na moment, by spojrzeć na ciemny przedmiot w rogu, który mógł być rodzajem pieca. Uznał jednak, że widział już dość, szczególnie biorąc pod uwagę opłakany stan podłogi. – Tu nic nie ma! – krzyknął do towarzyszy i wyszedł na zewnątrz.

Koledzy ruszyli ponownie wzdłuż głównej alei. Po chwili Cal przerwał milczenie: – Czujesz ten zapach? – spytał Willa. – Ostry, jak...

– Amoniak. Tak – dokończył Will. Zbliżył światło kuli do gruntu przed stopami. – Wydaje się, że to wydobywa się... z ziemi. Jest chyba trochę wilgotna – zauważył, przesuwając czubkiem buta po podłożu. Potem przykucnął, wziął w palce szczyptę gleby i przysunął ją do nosa. – Fuj, to rzeczywiście t o. Śmierdzi. Wygląda na wysuszone ptasie odchody. Zdaje się, że to się nazywa guano, prawda?

– Ptaki. W porządku – odetchnął z ulgą Chester, przypomniawszy sobie stado nieszkodliwych ptaków, na które natknęli się w Kolonii.

– Nie, nie ptaki, to jest trochę inne – natychmiast poprawił się Will.
– I jest chyba całkiem świeże. Wydaje się bardzo lepkie.

– O jejku! – jęknął Chester, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony.

– Fuj! W tym coś jest – zauważył Will, przenosząc ciężar ciała z jednej stopy na drugą i nie podnosząc się z kucek.

– Ale co? – Chester omal nie podskoczył.

– Owady. Widzisz je?

Kiedy Chester i Cal poświecili na ziemię, przekonali się, o czym mówi Will. Po śliskiej powierzchni zbitej masy odchodów pełzały żuki wielkości dobrze odżywionych karaluchów. Miały kremowobiałe pancerze, a czułki w tym samym kolorze poruszały się w rytm kroków. Wokół nich były także inne, ciemniejsze owady, chłopcy nie mogli im się jednak przyjrzeć, gdyż szybko uciekały przed światłem.

Jeden z wielkich żuków widocznych w kręgu światła rzucanego przez świetlne kule zaczął powoli otwierać pancerz. Will zachichotał, zafascynowany, kiedy skrzydła owada ożyły nagle z dźwiękiem przypominającym buczenie nakręcanej zabawki. Żuk oderwał się niezdarnie od ziemi, niczym objedzony trzmiel. Kiedy już znalazł się w powietrzu, ruszył powoli przed siebie, kołysząc się z boku na bok, aż zniknął w ciemnościach.

– Tu jest cały ekosystem – stwierdził Will, pochłonięty różnorodnością owadów zamieszkujących jaskinię. Kiedy pogrzebał w odchodach, znalazł grubego bladego pędraka wielkości kciuka.

– Weź go. Może będziemy mogli go zjeść – powiedział Cal.

– Fuuuuj! – zadrżał Chester i tupnął nogą. – To obrzydliwe!

– On mówi poważnie – stwierdził beznamiętnie Will.

– Słuchajcie, możemy już iść dalej? – błagał Chester.

Will niechętnie oderwał się od owadów, po czym wszyscy ponownie ruszyli w dół głównej alei. Dotarli właśnie do ostatniej

chaty, kiedy Will nakazał im gestem, by przystanąli. Smród stawał się coraz bardziej wyraźny. Will wskazywał właśnie na coś ręką, kiedy wszyscy poczuli na twarzach lekki podmuch.

– Czujecie to? Wydaje mi się, że dochodzi z góry – zauważył Will. – Całe to miejsce przykryte jest jakąś siatką. Spójrzcie na te dziury.

Chłopcy spojrzeli w górę i przekonali się, że ponad chatami rozciąga się gęsta siatka, którą początkowo uznali za sklepienie jaskini. Obciążona gruzem, w niektórych miejscach zwieszała się tak nisko, że niemal dotykała dachów chat; miejscami zaś w ogóle jej nie było. Koledzy próbowalipoświecić w górę i sięgnąć ku ciemności kryjącej się za podartą siatką, jednak blask był zbyt słaby.

– Myślicie, że to może być ta szczelina, od której nazwano całe miasto? – zastanawiał się głośno Will.

– HEJ! – krzyknął Cal na cały głos, a pozostali chłopcy aż podskoczyli, wystraszeni.

Słyszeli, jak krzyk odbija się echem od odległych ścian skalnych. – To jest duże – stwierdził Cal, całkiem zbytecznie.

Potem dobiegł ich jakiś hałas. Początkowo łagodny, podobny do szelestu przewracanych kartek, przybierał na sile w zastraszająco szybkim tempie.

Coś się poruszało, budziło.

– Kolejne żuki? – spytał Chester z nadzieją.

– Nie, nie sędzę – odparł Will, spoglądając w górę. – To chyba nie był najlepszy pomysł, Cal.

Chester natychmiast odwrócił się do Cala.

– Coś ty znowu narobił, cymbale? – wyszeptał nerwowo. Cal skrzywił się tylko.

Niski pomruk był coraz bliżej. Zupełnie niespodziewanie z dziur w siatce nad głowami chłopców wyleciały ciemne sylwetki, które sunęły prosto na nich. Miały ogromne skrzydła i wydawały z siebie

przeraźliwe piski, odbijające się echem od ścian i wracające do chłopców niczym głosy upiorów.

– Nietoperze! – wrzasnął Cal, natychmiast rozpoznając te dźwięki. Chester krzyknął, przerażony. Razem z Willem stali w bezruchu, zahipnotyzowani widokiem atakujących zwierząt.

– Uciekajcie, idioci! – ryknął na nich Cal, podrywając się do biegu.

Sekundę później w powietrzu zaroilo się od nietoperzy, tak wielu, że nie dało się ich zliczyć. Były niczym rój rozwścieczonych, mściwych os. Poruszały się tak szybko, że Will nie dawał rady śledzić lotu choćby jednego z nich.

– Nie jest dobrze! – krzyknął, kiedy błoniaste skrzydła biły powietrze tuż obok ich głów.

Nietoperze zaczęły nurkować prosto na nich, zmieniając tor lotu w ostatniej chwili, tuż przed uderzeniem.

Will i Chester popędzili w dół alei za Calem, nie zastanawiając się, dokąd właściwie biegną, byle tylko uciec przed szturmem latających potworów. Nie wiedzieli, czy nietoperze stanowią dla nich jakieś zagrożenie; gnały ich tylko jedna myśl i niemal pierwotny strach, przemożne pragnienie ucieczki przed tymi przerośniętymi, diabelskimi monstrami.

Nagle, jakby w odpowiedzi na ich ciche modlitwy, z ciemności wyłonił się dom.

Dwupiętrowy budynek o surowej fasadzie dominował nad niskimi chatami. Wyglądało na to, że został zbudowany z jasnego kamienia, a wszystkie okna skryte były za okiennicami. Po obu stronach domu znajdowały się przybudówki. Cal obejrzał je w pośpiechu, szukając desperacko miejsca, w którym mogliby się schronić.

– Szybko! Tutaj! – zawołał, zauważywszy, że frontowe drzwi domostwa są lekko uchylone.

W całym tym koszmarnym zamieszaniu Will spojrzął za siebie

dokładnie w chwili, gdy wyjątkowo duży nietoperz uderzył z głośnym odgłosem prosto w tył głowy Chestera. Ciało zwierzęcia, dorównujące wielkością piłce do rugby, było czarne i masywne. Siła ciosu powaliła chłopca na ziemię. Will natychmiast pospieszył mu z pomocą, próbując jednocześnie osłaniać sobie twarz ramieniem.

Krzycząc, poderwał Chestera, pomagając mu się podnieść. Poprowadził oszołomionego i chwiejącego się lekko przyjaciela w stronę dziwnego domu. Will wymachiwał przed sobą wolną ręką, starając się odegnać atakujące bestie, kiedy jedna z nich wpadła prosto na jego plecak. Chłopak poleciał na bok, zdołał jednak zachować równowagę, przytrzymując się wciąż zamroczonego Chestera.

Will zobaczył, że nietoperz spadł na ziemię i leżał tam, wymachując bezradnie skrzydłem. Natychmiast dopadł go inny nietoperz, potem obok przysiadł jeszcze jeden. Wkrótce zleciało się tyle zwierząt, że rannego osobnika niemal całkowicie przesłoniła warstwa czarnych ciał i błoniastych skrzydeł. Napastnicy przepychali się i popiskiwali głośno, jakby kłócili się ze sobą. Kiedy ranne stworzenie usiłowało bezskutecznie umknąć, odczołgując się na bok, Will zauważył, że pozostałe nietoperze szarpiały je maleńkimi, ostrymi jak igiełki zębami, jasnoczerwonymi od jego krwi. Atakowały bezlitośnie, rozszarpując klatkę piersiową i brzuch ofiary, która zaczęła przeraźliwie piszczeć.

Pochyliwszy się nisko, Will i Chester przemierzyli ostatni odcinek alei, potykając się o własne nogi; pokonali chwiejnym krokiem schody i ganek, po czym weszli przez drzwi, które Cal otworzył na całą szerokość. Gdy tylko znaleźli się w środku, Cal zatrzasnął drzwi. Usłyszeli kilka trzasków, kiedy rozpedzone nietoperze uderzyły w drewnianą przeszkodę, a potem szelest skrzydeł ocierających się o jej powierzchnię.

Wkrótce odgłosy ucichły, a do uszu chłopców docierały tylko przytłumione, ledwie słyszalne popiskiwanie.

W ciszy, która zapanowała wokół, Will, Chester i Cal próbowali złapać oddech, rozglądając się jednocześnie dokoła. Stali w okazałym holu, wyposażonym w olbrzymi, misternie zdobiony żyrandol, okryty teraz grubą warstwą szarego kurzu. Po obu stronach korytarza znajdowały się kręcone schody, które prowadziły na półpiętro. Pomieszczenie wydawało się puste; nie było w nim żadnych mebli, tylko tu i ówdzie z ciemnych ścian zwisały strzępy starej tapety. Wyglądało na to, że nikt nie mieszkał tu od wielu lat.

Will i Cal zaczęli przechadzać się po holu, brodząc w warstwie kurzu grubej niczym świeżo spadły śnieg. Chester, wciąż wstrząśnięty, stał oparty o ścianę przy frontowych drzwiach i dyszał ciężko.

– Nic ci nie jest? – zawołał do niego Will. Jego głos wydawał się dziwnie cichy i przytłumiony w tym tajemniczym domu.

– Chyba nie. – Chester wyprostował się i wyciągnął głowę do tyłu, pocierając obolałą szyję. – Czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie piłką do krykieta. – Kiedy ponownie pochylił głowę w przód, coś zauważył.

– Hej, Will, powinienes to chyba zobaczyć.

– Co takiego?

– Wygląda to, jakby ktoś się tu włamał – odparł Chester nerwowo.

Rozdział dziewiąty



Mały płomyk tańczył na szczapkach drewna, wypełniając ziemną komnatę migotliwym blaskiem. Sara obracała nad ogniem prowizoryczny rożen, na którym tkwiły dwa małe korpusy. Widok brązowiejącego powoli mięsa i jego zapach uświadomiły jej, jak bardzo zgłodniała. Kot najwyraźniej czuł się podobnie, sądząc po strużkach mętnej śliny, zwisających po obu stronach pyska.

– Dobra robota! – powiedziała Sara, zerkając z ukosa na zwierzę, które nie potrzebowało żadnej zachęty, by wyjść na zewnątrz i zdobyć pożywienie dla nich obojga. Wydawało się wyraźnie zadowolone, że mogło wreszcie robić to, do czego zostało wytresowane. W Kolonii zadaniem Łowców było tropienie szkodników, zwłaszcza pozbawionych oczu szczurów, które uważano za prawdziwy przysmak.

W blasku ognia Sara miała wreszcie okazję przyjrzeć się uważniej kotu siedzącemu nieruchomo w sąsiednim fotelu. Jego łysa skóra, przypominająca stary, nieco sflaczały balon, pokryta była siatką blizn i nacięć. W okolicach karku kobieta dostrzegła kilka zaczerwienionych, świeżych szram.

Bark zwierzęcia przecinała paskudna głęboka rana, upstrzona żółtymi plamami.

Widać było, że mocno mu dokucza, gdyż kot bez ustanku próbował czyścić ją przednią łapą. Sara wiedziała, że wkrótce będzie musiała opatrzeć zakażone miejsce – oczywiście, jeśli zechce, by zwierzę nadal

żyło, a jeszcze nie podjęła takiej decyzji. Jeżeli jednak Łowca miał rzeczywiście jakiś związek z jej rodziną, nie mogła go tak po prostu porzucić.

– Do kogo więc właściwie należałeś? Do Cala czy mojego... mojego... męża? – spytała, z trudem wymawiając ostatnie słowo.

Delikatnie pogłaskała pysk kota, który wpatrywał się jak urzeczony w ociekające tłuszczem mięso. Nie nosił obroży, na której mógłby znaleźć się jakiś znaczek identyfikacyjny, jednak Sara nie była zdziwiona. Mało kto w Kolonii decydował się na to; Łowcy musieli często przeciskać się przez wąskie tunele i korytarze, a obroża mogłaby zaczepić się o skałę, utrudniając polowanie.

Sara zakasłała i przetarła oczy. Palenie ogniska w podziemnym pomieszczeniu nie było najlepszym pomysłem; musiała utrzymywać i tak już wilgotne drewno z dala od kałuż pokrywających glebę. Kładła je na podwyższeniu zmontowanym wcześniej z kamieni. Na dodatek gryzący dym nie miał żadnej drogi ujścia, gęstniał więc w jaskini, powodując, że kobiecie łzawiły oczy.

Pomijając wszystko inne, Sara miała nadzieję, że znajdują się na tyle daleko od ludzkich domostw, iż nikt nie wyczuje zapachu pieczonego mięsa. Spojrzała na zegarek. Minęła już prawie doba od wydarzeń przy domu Burrowsów, a poszukiwania, szczególnie te prowadzone z pomocą psów, nie sięgały zapewne aż na wyludnione obrzeża miasteczka. Policja skupiała się prawdopodobnie na najbliższym otoczeniu domu oraz Błoniach.

Nie, nie sądziła, by ktokolwiek ją tu znalazł – żaden z policjantów nie miał tak doskonale rozwiniętego zmysłu powonienia jak większość Kolonistów. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bezpiecznie czuje się w kryjówce – wiedziała, że niemałe znaczenie miało to, iż znajdowała się pod ziemią. Ten prymitywny wykop przypominał jej dom.

Wzięła do ręki nóż i wbiła czubek w każdą z pieczeni.

– W porządku, kolacja gotowa – oznajmiła, zwracając się do siedzącego obok kota.

Zwierzak raz po raz przenosił spojrzenie z jej twarzy na mięso i z powrotem, kręcąc przy tym głową z regularnością metronomu. Sara zsunęła z rożna pierwszy kawałek stawy, gołębia, i ułożyła go na zwiniętej gazecie, którą trzymała na kolanach.

– Uważaj! Gorące – ostrzegła, podsuwając kotu zwisającą z rożna wiewiórkę.

Nie przejmując się jej radami, Łowca rzucił się do przodu, zatrzasnął zęby na mięsie i zerwał je jednym ruchem. Natychmiast pobiegł do ciemnego rogu, skąd po chwili dało się słyszeć głośne odgłosy jedzenia i jeszcze głośniejsze mruczenie.

Sara przerzucała gołębia z ręki do ręki i dmuchała na niego, jakby był to gorący ziemniak. Kiedy już nieco ostygł, zabrała się do skrzydła, ogryzając je starannie.

Pożerając łapczywie kawałki pieczeni, odrywane raz po raz z piersi ptaka, zaczęła zastanawiać się nad swoją sytuacją.

Kardynalna zasada, dzięki której kobieta przetrwała do tej pory, głosiła, że nie powinna przebywać w jednym miejscu dłużej niż to konieczne, że musi wciąż się przemieszczać, szczególnie gdy robi się niebezpiecznie. Choć po potyczce z policjantem jej twarz wciąż nie wyglądała najlepiej, Sara zdołała oczyścić ją z krwi i zamaskować najgorsze siniaki. Wykorzystała do tego swój podręczny zestaw do makijażu; coś, co nosiła ze sobą wszędzie. Brak pigmentu, albinizm, zmuszał ją do używania mieszanki filtrów przeciwsłonecznych i podkładu, aby ochronić skórę przed słońcem. Była przekonana, że jej wygląd nie będzie przyciągał niczyjej uwagi, gdy w końcu zdecyduje się wyjść na powierzchnię.

Ogryzając w zamyśleniu maleńką kość, przypomniała sobie o

papierach, które zabrała z domu Burrowsów. Wytarła chusteczką tłuste palce i wyjęła z torby plik listów. Były tam ulotki reklamujące usługi hydrauliczne i malarskie. Sara oglądała je, jedną po drugiej, w blasku dogasającego ognia, a potem wrzucała do płomieni.

Wreszcie trafiła na coś, co wyglądało znacznie bardziej interesująco – szarą kopertę zaadresowaną niechlujnie do Pani C. Burrows. Nadawcą była miejscowa opieka społeczna.

Sara natychmiast rozerwała papier. Kiedy czytała list, w ciemnościach rozległ się głośny trzask – kot rozgryzł czaszkę wiewiórki i zaczął łapczywie wylizywać mózg długim szorstkim językiem.

Sara podniosła wzrok znad kartki. W jednej chwili wiedziała, co ma robić.

Rozdział dziesiąty



Will i Cal podeszli do frontowych drzwi i skierowali światło tam, gdzie wskazywał Chester. Miał rację krawędź drzwi została wyłamana, i to niedawno, co można było stwierdzić po jaśniejszym kolorze drewna w tym miejscu.

– Wygląda na świeżą robotę – oznajmił głośno Cal.

– My tego nie zrobiliśmy, prawda? – spytał Will, spoglądając na Calą, który w odpowiedzi tylko pokręcił głową. – Powinniśmy w takim razie dokładnie rozejrzeć się tutaj, tak dla pewności.

Trzymając się razem, ruszyli w głąb holu, aż dotarli do wielkich drzwi. Otworzyli je na oścież. Fale kurzu uniosły się w powietrze. Nim pył zdążył opaść, chłopcy już podziwiali ogromnych rozmiarów pokój i jego imponujący wystrój. Ozdobne listwy przypodłogowe i misterne gzymsy – złożona siatka gipsowych zdobień splatających się ponad ich głowami – mówiły o minionej świetności tego pomieszczenia. Mogła być to niegdyś sala balowa lub jadalna, wzięwszy pod uwagę jej rozmiary i położenie. Stojąc na środku pokoju i rozglądając się dokoła, chłopcy nie mogli powstrzymać chichotu, wszystko to bowiem wydawało im się tak zaskakujące i niewytłumaczalne.

Will kichnął kilka razy, gdy kurz podrażnił mu nozdrza.

– Coś wam powiem – oświadczył, wycierając nos.

– Co? – spytał Chester.

– To miejsce wygląda fatalnie. Gorzej nawet niż moja sypialnia.

– Tak, pokojówka najwyraźniej pominęła tę salę – zachichotał

Chester. Kiedy wykonał kilka ruchów przypominających odkurzanie dywanu, obaj zanieśli się głośnym, niepohamowanym śmiechem.

Cal pokręcił głową i spojrzał na nich tak, jakby uważał, że postradali zmysły. Po chwili wszyscy trzej na nowo podjęli przeszukiwanie domu; stąpali delikatnie po warstwie kurzu, zaglądając do sąsiednich pokoi. Były to głównie małe pomieszczenia gospodarcze, wszystkie zupełnie puste. Wkrótce więc chłopcy powrócili do holu, a Will otworzył drzwi znajdujące się u podstawy schodów.

– Hej! Książki! – zawołał. – Tu jest biblioteka!

Nie licząc dwóch wielkich okien przesłoniętych drewnianymi okiennicami, wszystkie ściany po sam sufit pokryte były regałami pełnymi książek. Pokój miał około trzydziestu metrów kwadratowych powierzchni; w pobliżu przeciwległego końca stał stół, a przy nim leżały dwa przewrócone krzesła.

Jak na komendę wszyscy trzej chłopcy dostrzegli ślady stóp. Trudno było ich nie zauważyć na idealnie gładkim dywanie kurzu. Cal przyłożył but do jednego ze śladów, by zmierzyć jego długość. Był o kilka centymetrów większy od jego stopy.

Spojrzał porozumiewawczo na Willa, który skinął głową, a potem zaczął rozglądać się nerwowo po pokoju.

– Ślady prowadzą tam – wyszeptał Chester. – Do stołu. Rzeczywiście, odciski stóp biegły od drzwi, przy których stali teraz chłopcy, do półek, potem okrążyły kilkakrotnie stół i niknęły w gęstwinie śladów za nim.

– Ktokolwiek to był, w końcu stąd wyszedł – zauważył Cal. Pochylił się, by przyrzeć się uważnie słabiej widocznym znakom, pozostawionym obok półek i na drodze do drzwi.

Wszedłszy głębiej do pokoju, Will przyglądał się badawczo kątom okrytym mrokiem, unosząc nieco wyżej źródło światła.

– Tak, nikogo tu nie ma – potwierdził, gdy pozostali chłopcy dołączyli do niego, stając przy długim stole.

Umilkli, nasłuchując przez chwilę dochodzących zza okiennic piskliwych nawoływań nietoperzy.

– Nie wyjdę tam, dopóki te cholerstwa nie wrócą, skąd przyleciały – oświadczył Chester, opierając się o stół. Opuścił ramiona, wydmuchując ze znużeniem powietrze.

– Tak, myślę, że powinniśmy się tu zatrzymać na jakiś czas – zgodził się z nim Will, po czym ściągnął z ramion plecak i położył go na stole, obok Chestera.

– Sprawdzimy resztę domu czy nie? – dopytywał się Cal.

– Nie wiem jak wy, ale ja muszę najpierw coś zjeść – odparł Chester.

Will zauważył, że dość niespodziewanie Chester zaczął mówić coraz bardziej bełkotliwie, a jego ruchy stały się dziwnie spowolnione. Najwyraźniej długa wędrówka i ucieczka przed nietoperzami pozbawiły go sił. Will przypomniał sobie, że przyjaciel prawdopodobnie wciąż nie doszedł do siebie po okrutnym traktowaniu, jakiego doznał w areszcie.

Ruszając w stronę drzwi, Will zwrócił się do Chestera: – Może ty zostaniesz tutaj i popilnujesz naszych rzeczy, a ja z Calem... – urwał nagle, gdy jego wzrok padł na książki na półkach. – Te oprawy są fantastyczne – stwierdził, oświetlając grzbiety grubych tomów. – Wyglądają na dosyć stare.

– Naprawdę? – mruknął Chester bez zainteresowania. Odpiął klapę plecaka Willa i wyjął jabłko.

– Tak. Ta wygląda interesująco. Narodziny i rozwój religii w duszy... autorstwa... – Will star! warstwę kurzu i nachylił się, by odczytać złocone litery na grzbiecie – Wielebnego Philipa Doddridgea.

– Brzmi porywająco – skomentował Chester z pełnymi ustami.

Jego przyjaciel ostrożnie wysunął księgę spomiędzy innych, równie dostojnie wyglądających tomów i otworzył ją. Fragmenty stronic wystrzeliły mu prosto w twarz, reszta papieru zaś, zamieniona w drobny pył, wysypała się na podłogę.

– A niech to! – zirytował się Will, spoglądając z ogromnym rozczarowaniem na puste okładki. – Jaka szkoda... To pewnie przez tę temperaturę.

– Myślałeś, że trochę sobie poczytasz, co? – zachichotał Chester, rzucając przez ramię ogryzek i szukając w plecaku jeszcze czegoś do jedzenia.

– Cha, cha, cha, bardzo śmieszne – odparował Will.

– Chodźmy już, dobrze? – zaproponował Cal, zniecierpliwiony.

Will ruszył z bratem na górę, by sprawdzić, czy pozostała część domu rzeczywiście jest niezamieszkana. Zaglądając do kolejnych pustych pokoi, Cal trafił na małą łazienkę. Z pokrytej płytkami ściany wystawał obrośnięty kamieniem kran, pod nim zaś znajdowała się stara miedziana miednica, osadzona w drewnianej półce. Chłopiec przesunął dźwignię umieszczoną na kranie. Najpierw rozległ się delikatny syk powietrza, a potem, po kilku sekundach, przeraźliwy stukot wydobywający się z wnętrza ścian domu.

W reakcji na hałas, który zamieniał się powoli w niskie, jęklive drżenie, Will wypadł z eksplorowanego właśnie pokoju i długim korytarzem pobiegł w stronę schodów.

Przystanął na chwilę, by spojrzeć w dół przez popękaną barierkę, a potem popędził w kierunku przejścia, gdzie chwilę wcześniej zostawił Cal. Wykrzykując imię brata, zaglądał przez każde drzwi, aż wreszcie znalazł chłopca w małym pomieszczeniu na samym końcu korytarza.

– Co się dzieje? Coś ty zrobił? – spytał Will.

Cal nie odpowiedział, nie odrywając wzroku od kranu. Kiedy Will

spojrzał w to samo miejsce, z kranu pociekła ciemna lepka ciecz, a zawodzący dźwięk ucichł. Przez kilka kolejnych sekund nic się nie działo, a potem, ku zdumieniu i radości chłopców, z kranu wytrysnęła czysta woda.

– Myślisz, że można ją pić? – spytał Will.

Cal natychmiast włożył głowę pod kran i spróbował.

– Mmm... cudowna. Na pewno nie ma się czego obawiać. Pewnie pochodzi z jakiegoś źródła.

– Cóż, przynajmniej problem wody został rozwiązany pogratiłował mu Will.

Najadłszy się do syta, Chester przespał kilka godzin na stole w bibliotece. Kiedy się wreszcie obudził i dowiedział od Willa o odkryciu Cala, natychmiast poszedł do pokoiku z kranem i zniknął na dłuższy czas.

W końcu wrócił, a jego twarz i szyja były czerwone i pokryte plamami, co oznaczało, że próbował zmyć w tych miejscach grubą warstwę brudu i podrażnił przy tym.

wrażliwą skórę. Włosy chłopca również były wilgotne i zaczesane do tyłu. Ten widok przypomniał Willowi, jak było dawniej; chłopak sięgnął wspomnieniami do spokojniejszych czasów, kiedy mieszkali w Highfield i nie mieli pojęcia o istnieniu Kolonii.

– Tak lepiej – mruknął Chester pod nosem, unikając spojrzeń pozostałej dwójki.

Cal, który drzemał na podłodze, podniósł teraz głowę i wciąż nieco zaspany, przyglądał się Chesterowi z rozbawieniem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał.

– Wąchałeś się ostatnio? – odparował Chester. -Nie.

– A ja owszem. – Chester zmarszczył nos z obrzydzeniem. – I nie było to przyjemne!

– Myślę, że to świetny pomysł – wtrącił się natychmiast Will, by

oszczędzić Chesterowi wstydu; wydawało się jednak, że komentarze Cała wcale go nie dotyczą.

Chester był całkowicie pochłonięty czymś, co znajdowało się na końcu jego małego palca, którym przed chwilą energicznie grzebał w uchu.

– I ja zamierzam zrobić dokładnie to samo – oznajmił najstarszy chłopiec, kiedy Chester zajął się czyszczeniem drugiego ucha. Will pokręcił głową i sięgnął do plecaka w poszukiwaniu czystych ubrań.

Znalazłszy jakieś ciuchy, postanowił przyjrzeć się swojemu ramieniu, ciekaw, czy nadszedł już czas na zmianę opatrunku. Delikatnie obmacał skórę w pobliżu bandaża, a potem uznał, że powinien zdjąć koszulę, by przekonać się, jak wygląda okolica rany.

– Kurde, Will, co ci się stało? – spytał Chester, zapominając na moment o uchu.

Zbladł jak ściana, ujrawszy czerwoną plamę prześwitującą spod bandażu na ramieniu Willa.

– To po ataku psa Styksów – wyjaśnił Will. Przygryzł wargę i jęknął, podnosząc opatrunek i zaglądając pod spód. – Faj! – wykrzyknął. – Chyba powinienem zmienić okład. – Odwrócił się do plecaka, chcąc znaleźć w bocznych kieszeniach zapasowe bandaże i małe paczuszki z proszkiem, który dał mu Imago.

– Nie wiedziałem, że aż tak cię poturbował – powiedział Chester. – Pomóc ci?

– Nie, dzięki... teraz zresztą i tak jest już znacznie lepiej odparł Will, kłamiąc w żywe oczy.

– W porządku. – Chester próbował się uśmiechnąć, wyszedł mu jednak tylko bliżej nieokreślony grymas.

Jakiś czas później, gdy Will już wrócił z łazienki, nawet Cal, który wcześniej kpił sobie z ablucji Chestera, skorzystał z okazji i poszedł umyć się w letniej wodzie.

Wydawało się, że w obrębie domu czas płynie wolniej, jakby jego grube mury stanowiły granicę innego świata. Całkowita cisza panująca we wnętrzu sprawiała wrażenie, że sam budynek pogrążony jest we śnie. Ten spokój udzielił się także chłopcom; nawet nie próbowali ze sobą rozmawiać, tylko drzemali na długim bibliotecznym stole, używając plecaków jako poduszek.

Po jakimś czasie Will zaczął się jednak niecierpliwić i uznał, że ma już dość spania.

By zabić czas, kontynuował oględziny biblioteki, zastanawiając się, kto mieszkał kiedyś w tym domu. Chodził od półki do półki, odczytując tytuły wytłoczone na grzbietach starych, ręcznie robionych ksiąg. Większość z nich dotyczyła religii i powstała zapewne przed wiekami. Było to nieco frustrujące zajęcie, Will wiedział bowiem, że zamknięte w oprawach stronice to teraz tylko konfetti i pył. Niemniej jednak fascynowały go nieznane nazwiska autorów i absurdalnie długie tytuły. W chwili, gdy postawił sobie niemal za punkt honoru odnalezienie jakiejś książki, o której przynajmniej słyszał, natknął się na coś dziwnego.

Na jednej z niższych półek stało kilka podobnych do siebie tomów, pozbawionych tytułów. Otarłszy księgi z kurzu, Will przekonał się, że ich grzbiety mają ciemnobordowy kolor, a na każdym znajdują się trzy maleńkie złożone gwiazdy, ułożone w równej odległości od siebie.

Natychmiast spróbował wyciągnąć jeden z tomów, jednak w odróżnieniu od poprzednich książek, które niemal rozsypywały się mu w palcach, ta nawet nie drgnęła, jakby ktoś przymocował ją do półki. Co dziwniejsze, książka wydawała się twarda i solidna. Spróbował jeszcze raz, lecz bez poJakiś czas później, gdy Will już wrócił z łazienki, nawet Cal, który wcześniej kpił sobie z ablucji Chestera, skorzystał z okazji i poszedł umyć się w letniej wodzie.

Wydawało się, że w obrębie domu czas płynie wolniej, jakby jego grube mury stanowiły granicę innego świata. Całkowita cisza panująca we wnętrzu sprawiała wrażenie, że sam budynek pogrążony jest we śnie. Ten spokój udzielił się także chłopcom; nawet nie próbowali ze sobą rozmawiać, tylko drzemali na długim bibliotecznym stole, używając plecaków jako poduszek.

Po jakimś czasie Will zaczął się jednak niecierpliwić i uznał, że ma już dość spania.

By zabić czas, kontynuował oględziny biblioteki, zastanawiając się, kto mieszkał kiedyś w tym domu. Chodził od półki do półki, odczytując tytuły wytłoczone na grzbietach starych, ręcznie robionych ksiąg. Większość z nich dotyczyła religii i powstała zapewne przed wiekami. Było to nieco frustrujące zajęcie, Will wiedział bowiem, że zamknięte w oprawach stronice to teraz tylko konfetti i pył. Niemniej jednak fascynowały go nieznane nazwiska autorów i absurdalnie długie tytuły. W chwili, gdy postawił sobie niemal za punkt honoru odnalezienie jakiejś książki, o której przynajmniej słyszał, natknął się na coś dziwnego.

Na jednej z niższych półek stało kilka podobnych do siebie tomów, pozbawionych tytułów. Otarłszy księgi z kurzu, Will przekonał się, że ich grzbiety mają ciemnobordowy kolor, a na każdym znajdują się trzy maleńkie złożone gwiazdy, ułożone w równej odległości od siebie.

Natychmiast spróbował wyciągnąć jeden z tomów, jednak w odróżnieniu od poprzednich ksiąg, które niemal rozsypywały się mu w palcach, ta nawet nie drgnęła, jakby ktoś przymocował ją do półki. Co dziwniejsze, książka wydawała się twarda i solidna. Spróbował jeszcze raz, lecz bez powodzenia, sięgnął więc po jedną z sąsiednich ksiąg – z tym samym rezultatem.

Zauważył jednak, że gdy użył większej siły, poruszyła się cała

kolekcja takich samych woluminów, zajmująca na półce około pół metra. Uradowany, że być może znalazł w końcu coś, co da się czytać, a zarazem zaintrygowany faktem, że książki połączone są ze sobą, pociągnął je obiema rękami.

Wszystkie tomy wysunęły się razem, w jednym bloku. Will położył je ostrożnie na podłodze i przyglądał się im uszczęśliwiony – książki były ciężkie, a stronice wyglądały na nienaruszone. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego nie może oddzielić od siebie poszczególnych ksiąg. Dotykał krawędzi stron i próbował rozdzielić je paznokciem, lecz bez skutku. Wreszcie postukał w nie pięścią. Odpowiedział mu głuchy odgłos – dopiero wtedy dotarło do niego, że książki nie są zrobione z papieru, lecz z drewna wyrzeźbionego tak, by przypominało do złudzenia grzbiety i stronice.

Obejrzał je dokładnie i odnalazł zatrzask, który bez zastanowienia otworzył. Górna powierzchnia prostopadłościanu podniosła się ze skrzypnięciem, niczym wieko z ukrytymi zawiasami. To wcale nie były książki. To była skrzynka.

Podeksycytowany Will pospiesznie zerwał warstwę poszarpanej tkaniny, zakrywając pudło od góry, i zajrzał do środka. Ciemne dębowe wnętrze zawierało jakieś dziwne przedmioty. Chłopak podniósł jeden z nich i przyjrzał się mu z zaciekawieniem.

Była to bez wątpienia jakaś lampa. Składała się z dwóch części: metalowego korpusu w kształcie walca o długości około ośmiu centymetrów i połączonej z nim okrągłej pokrywy z grubą szklaną soczewką w środku. Na drugim końcu walca znajdował się dziwny zaczep ze sprężyną, tuż zaś za soczewką – przełącznik.

Całość do złudzenia przypominała lampę rowerową, została jednak bardzo solidnie wykonana (z mosiądzu, sądząc po zielonych plamach na powierzchni). Will próbował przesunąć przełącznik, lecz bez powodzenia, potem zaś pociągnął za koniec metalowego cylindra, na

którym znajdowały się dwa niewielkie nacięcia. Końcówka walca odskoczyła z trzaskiem, ukazując niewielkie zagłębienie we wnętrzu. Jeśli rzeczywiście była to lampa lub latarka, trzeba było włożyć do niej baterię, choć Will nie miał pojęcia, jak taka mała bateria mogłaby zasilić urządzenie tej wielkości; nie widział też żadnych styków ani kabli. Zbity z tropu, zawołał do brata: – Hej, Cal, wiesz może, co to jest? Pewnie tylko jakiś bezużyteczny śmieć...

Cal, zaspany, zbliżył się chwiejnym krokiem. Gdy tylko zobaczył tajemniczy przedmiot, rozpromienił się. Wyrwał go z dłoni Willa i podniósł przed oczy.

– Hej, to jest fantastyczne! – zawołał. – Masz przy sobie niepotrzebną świetlną kulę?

– Proszę – powiedział Chester, spuszczać nogi ze stołu i schodząc na ziemię.

– Dzięki – mruknął Cal, biorąc kulę od Chestera. Najpierw oczyścił urządzenie z kurzu; odwracał je do góry nogami, stukał w nie i dmuchał do środka. – Patrzcie.

Wsunął kulę do zagłębienia we wnętrzu walca i nacisnął na nią, aż rozległo się ciche pstryknięcie.

– Podaj mi górną część.

Will wręczył mu końcówkę walca, a Cal nasunął ją na miejsce. Potem wytarł soczewkę o spodnie.

– Za pomocą tej dźwigni – mówił, zwracając się do Willa i Chestera – ustawiacie wielkość otworu i natężenie strumienia światła. – Podniósł urządzenie tak, by mogli widzieć, jak porusza małą dźwigienką umieszczoną tuż za soczewką. – Trochę ciężko chodzi – mruknął, napierając na przełącznik kciukami. Gdy ten wreszcie ustąpił, Cal uśmiechnął się szeroko. – Udało się!

Z soczewki wypłynął strumień światła, a Cal przesuwając nim przez chwilę po ścianach biblioteki. Choć pokój był już całkiem dobrze

oświetlony blaskiem innych kul, które chłopcy porozkładali na półkach, promień latarki wydawał się o wiele jaśniejszy.

– Niesamowite – powiedział Chester.

– Tak. Nazywa się latarnia Styksów. To bardzo rzadka rzecz; a to jest w nich najlepsze – powiedział Cal, odchylając sprężynowy zaczep na końcu mosiężnego walca i mocując w kieszeni koszuli. Odsunął ręce i odwrócił się do chłopców. Lampa trzymała się na miejscu, a jej promień świecił prosto w twarze Chestera i Willa, aż zmrużyli oczy.

– Masz wolne ręce – zauważył Will.

– No właśnie. Bardzo przydatna funkcja, kiedy człowiek jest w ruchu. – Cal pochylił się nad otwartym pudełkiem. – Jest ich tu więcej! Jeśli wszystkie są w takim stanie, przygotuję po jednej dla każdego z nas.

– Świetnie – odparł Chester.

– Czyli... – zaczął powoli Will, tknięty nagłą myślą – ten dom, cały ten budynek należał kiedyś do Styksów!

– Tak – potwierdził Cal. – Myślałem, że o tym wiecie! – Skrzywił się lekko, jakby to było oczywiste od samego początku. – Styksowie mieszkali tutaj, a Koproliców przetrzymywali w chatkach na zewnątrz.

Will i Chester wymienili spojrzenia.

– Przetrzymywali? Po co? – spytał Will.

– Jako niewolników. Przez dwieście lat Koprolici wydobywali materiały, których potrzebowała Kolonia. Teraz jest trochę inaczej; robią to w zamian za jedzenie i świetlne kule, których potrzebują do życia. Styksowie nie zmuszają ich już do pracy, jak robili to kiedyś.

– To miło z ich strony – powiedział cierpko Will.

Rozdział jedenasty



Pani Burrows siedziała w pokoju dziennym Humphrey House, placówki, która mieniła się przystanią rekonwalescentów lub „miejscem wytchnienia od codziennych zmartwień i sporów”, jeśli wierzyć reklamie na ulotce. Pokój dzienny był królestwem pani Burrows. Zawłaszczyła największy fotel i jedyny podnózek w całym ośrodku.

Podczas długich wieczornych posiedzeń przed telewizorem posilała się landrynkami, które trzymała w plastikowej torbie, upchniętej z boku fotela.

Namówiła jedną z sanitariuszek, by kupowała jej regularnie ten przysmak podczas wizyt w mieście, rzadko jednak dzieliła się nim z innymi pacjentami.

Kiedy skończyli się Sąsiedzi, kobieta zaczęła w pośpiechu przerzucać kanały.

Sprawdziła kilkakrotnie wszystkie tylko po to, by przekonać się, że nie ma na nich nic, co choćby trochę ją interesowało. Sfrustrowana, wyłączyła głos i oparła głowę o fotel. Brakowało jej obszernego zbioru filmów i ulubionych programów, którymi mogła ratować się w podobnej sytuacji w domu; opłakiwała jej brak niemal tak, jak normalny człowiek opłakiwałby utratę kończyny.

Wydała z siebie długie, przeciągłe westchnienie; ogarniająca ją irytacja ustąpiła miejsca poczuciu bezradności. Zaczęła nuciła posępnie główny motyw z serialu Izba Przyjęć, kiedy drzwi pokoju

otworzyły się z hukiem.

– Znów się zaczyna – mruknęła pod nosem pani Burrows, gdy do pokoju wpadła przełożona pielęgniarek.

– Co mówiłaś, kochana? – spytała siostra, chuda jak patyk kobieta z siwymi włosami ściągniętymi w ciasny kok.

– Nic takiego – odparła niewinnie pani Burrows.

– Ktoś chciałby się z tobą zobaczyć. – Przełożona podeszła prosto do okien i odsunęła zasłony; pokój wypełnił się blaskiem dnia.

– Goście? Do mnie? – spytała bez entuzjazmu pani Burrows, osłaniając oczy przed światłem. Nie wstając z fotela, próbowała wsunąć stopy w kapcie, tandetne, poplamione mokasyny z przydeptanymi piętami. – To raczej nikt z rodziny; zresztą, tak czy inaczej, niewiele jej już zostało – dodała ze smutkiem. – Nie wierzę, żeby Jean jechała taki kawał drogi tylko po to, żeby przywieźć mi córkę... Od Bożego Narodzenia nie miałam wiadomości od żadnej z nich.

– To nie rodzina... – próbowała powiedzieć jej pielęgniarka, lecz pani Burrows mówiła dalej: – A jeśli chodzi o moją drugą siostrę, Bessie, to nie rozmawiamy ze sobą od...

– To nie jest rodzina, tylko pani z opieki społecznej zdołała wtrącić przełożona, nim otworzyła na całą szerokość okno, powtarzając przy tym swe stałe zaklęcie: -Od razu lepiej.

Pani Burrows nie zareagowała w żaden sposób na tę wiadomość. Pielęgniarka ułożyła kwiaty w wazonie stojącym na parapecie, pozbierała kilka uschniętych płatków, po czym odwróciła się do niej.

– Jak się dzisiaj miewamy? – spytała.

– Och, nie najlepiej – odparła pani Burrows pełnym przygnębienia, zawodzącym tonem, pojękując nieco na koniec.

– Wcale mnie to nie dziwi. To niezdrowo siedzieć przez cały dzień w czterech ścianach; powinna pani zaczerpnąć trochę świeżego

powietrza. Może po spotkaniu z gościem wybrałaby się pani na spacer do parku?

Pielęgniarka przystanąła i odwróciła się z powrotem do okna, przeczesując wzrokiem ogród widoczny na zewnątrz, jakby czegoś szukała. Wzbudziło to ciekawość pani Burrows, której uwadze nie uchodziły najmniejsze zmiany w zachowaniu przełożonej. Starsza pielęgniarka bez ustanku była w ruchu, przedstawiała ludzi i rzeczy, jakby jej życiowym powołaniem było zaprowadzenie jakiegoś porządku w tym niedoskonałym świecie. Była ludzkim perpetuum mobile, nigdy się nie zatrzymywała – właściwie była całkowitym przeciwieństwem pani Burrows, która przerwała na moment zmagania z drugim zbuntowanym kapciem, by przyjrzeć się znieruchomiałej kobiecie.

– Czy coś się stało? – spytała pani Burrows, nie mogąc już dłużej zapanować nad ciekawością.

– Och, nic takiego... Tylko pani Perkiss przysięga, że znów widziała tego człowieka.

Była ogromnie zdenerwowana, naprawdę.

– Ach tak. – Pani Burrows skinęła ze zrozumieniem głową. – Kiedy to było?

– Dziś, z samego rana. – Przełożona odwróciła się z powrotem do drzwi. – Przyznam, że nie mogę tego zrozumieć. Wydawało się, że radzi sobie coraz lepiej i nagle zaczęła się ta historia z człowiekiem w kapeluszu. – Pielęgniarka zmarszczyła brwi i spojrzała na panią Burrows. – Pani pokój jest dokładnie pod jej pokojem; nie widziała tu pani nikogo obcego, prawda?

– Nie, wątpliwe zresztą, żebym go zobaczyła.

– A czemuż to? – zdziwiła się przełożona.

– To chyba dość oczywiste, prawda? – odrzekła pani Burrows szorstko, wsunąwszy w końcu stopę do kapcia.

– To osoba, której w głębi duszy wszyscy się boimy... Koniec przedstawienia... Wielki sen... Jak tam to sobie pani nazwie. Miecz Damoklesa wisi nad nią już od dłuższego czasu... Biedna stara krowa.

– Chce pani powiedzieć... – zaczęła pielęgniarka, kiedy dotarło do niej, co sugeruje pani Burrows. Spojrzała na nią wymownie i wydała z siebie lekkie „phi”, dając jej w ten sposób do zrozumienia, co sądzi o tej teorii.

Pani Burrows nie przejęła się ani trochę reakcją przełożonej.

– Niech pani zapamięta moje słowa, to właśnie jest to – powiedziała z przekonaniem, spoglądając przy tym na ekran telewizora; przypomniawszy sobie, że lada moment zacznie się talkshow Odliczanie.

Pielęgniarka skrzywiła się sceptycznie.

– Od kiedy to śmierć przybiera postać mężczyzny w czarnym kapeluszu? – spytała retorycznie i spojrzała na zegarek, wracając do swego normalnego zachowania. -To już ta godzina? Muszę iść. – Zmierzyła panią Burrows stanowczym spojrzeniem. – Niech pani nie każe swojemu gościowi czekać. Chcę, żeby potem wyszła pani na żwawy spacer do ogrodu.

– Oczywiście. – Pani Burrows skinęła energicznie głową, choć w głębi duszy uważała wszelkie ćwiczenia fizyczne za coś zbytecznego i niesmacznego. Nie miała najmniejszego zamiaru wybierać się na „żwawy spacer”; wiedziała, że jak zawsze przy takiej okazji pokaże wszystkim, jak to wybiera się na przechadzkę, przejdzie raz wokół budynku, a potem schowa się szybko w kuchni. Jeśli dopisze jej szczęście, może nawet dostanie od kucharza filiżankę herbaty i trochę ciastek.

– Świetnie – pokiwała głową przełożona, sprawdzając raz jeszcze, czy wszystko w pokoju podopiecznej jest na swoim miejscu.

Pani Burrows uśmiechnęła się do niej słodko. Już w pierwszych

dniach pobytu w ośrodku zrozumiała, że jeśli będzie żyć w zgodzie z pielęgniarkami i ich przełożoną, dostanie od nich wszystko albo prawie wszystko, czego potrzebuje, tym bardziej że w porównaniu z wieloma innymi pacjentami sprawiała naprawdę mało kłopotów.

Pacjenci ci tworzyli dość zróżnicowaną grupę, a pani Burrows traktowała ich wszystkich z jednakową pogardą. W Humphrey House przebywało sporo Płaczek, jak je nazywała. Były to ponure indywidua, które pozostawione same sobie rozstawiały się po całym budynku, zajmując zazwyczaj miejsca w ciemnych kątach, gdzie mogły chlipać całymi godzinami niczym osieroczone, bezdomne dzieci. Jednak pani Burrows bywała świadkiem zdumiewających zmian, jakie zachodziły w zachowaniu tych osobników, do których dochodziło najczęściej wieczorami. Bez najmniejszego ostrzeżenia po zgaszeniu światel ulegali pewnego rodzaju transformacji, niczym gąsienice zamknięte w kokonach, które wczesnym rankiem wykluwały się jako Krzykacze.

Wówczas ta zazwyczaj spokojna rasa wyła, zawodziła i niszczyła sprzęty w swoich pokojach, dopóki nie przyszedł ktoś z personelu, by uspokoić pacjentów i podać im jakieś tabletki. Zwykle następowała wtedy kolejna cudowna przemiana i nim nadszedł ranek, Krzykacze znów stawali się Płaczkami.

Inną grupę stanowili Zombi, snujący się po budynku niczym odurzeni statyści na planie filmowym, którzy nie wiedzą, co mają robić albo dokąd iść, i z całą pewnością nigdy nie pamiętają swoich kwestii (większość z nich nie była w stanie prowadzić normalnej rozmowy). Pani Burrows zazwyczaj nie zwracała na nich uwagi, kiedy przemieszczali się po korytarzach swoimi chaotycznymi, pozbawionymi celu trasami.

Jednak najgorsi byli Komiwojażerowie, straszliwy gatunek profesjonalistów w średnim wieku, którzy wypalili się, realizując

nazbyt ambitne kariery w księgowości, bankowości czy jakiejś innej, równie nieistotnej – zdaniem pani Burrows – dziedzinie.

Czuła odrazę do tych typów w prążkowanych garniturach – czasami ich zachowanie i pozbawione wyrazu twarze tak bardzo przypominały jej męża Rogera Burrowsa.

Widziała u niego pewne niepokojące oznaki tego samego obłędu tuż przed tym, jak się z nią pokłócił i znikł Bóg wie gdzie.

Pani Burrows nienawidziła swego męża z całego serca.

Nawet w pierwszych latach małżeństwa sprawy nie układały się gładko. Niezdolność do spłodzenia dzieci położyła się cieniem na ich związku. Skomplikowane procedury i formalności związane z adopcją oznaczały, że nie mogła skoncentrować się na pracy i zmuszona była z niej zrezygnować. Kolejne marzenie pogrzebane. Kiedy już udało się im zaadoptować dwójkę małych dzieci, chłopczyka i dziewczynkę, starała się dać im wszystko, czym sama cieszyła się w dzieciństwie – od ładnych ubrań po znajomości z właściwymi ludźmi.

Ale okazało się to niemożliwe; po latach prób stworzenia z rodziny czegoś, czym ta nigdy nie mogła być – a z pewnością nie przy mizernej pensji doktora Burrowsa – poddała się. Pani Burrows przestała zwracać uwagę na otoczenie i swoją sytuację, szukając pocieszenia w innych światach, po drugiej stronie szklanego ekranu telewizora. Pograżona w tym ograniczonym, nierzeczywistym stanie, zrezygnowała z macierzyństwa, zrzucając odpowiedzialność za dom, zmywanie, gotowanie i całą resztę na barki córki Rebeki, która przejęła te zadania ze zdumiewającą łatwością, wzięwszy pod uwagę, że miała wtedy zaledwie siedem lat.

Pani Burrows nie miała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia, uważała bowiem, że jej mąż nie dotrzymał umowy złożonej, gdy się pobierali. A potem, na domiar złego, doktor Burrows, ten wieczny nieudacznik, miał czelność odejść od niej i zabrać nawet tę

odrobinę, którą jeszcze miała.

Zrujnował jej zrujnowane życie.

Nienawidziła go za to. A cała ta nienawiść i odraza fermentowały w niej, zawsze tuż pod powierzchnią.

– Pani gość – przypomniała jej ponownie przełożona.

Pani Burrows skinęła głową, oderwała wzrok od telewizora i podniosła się ociężale z fotela. Wyszła powoli z pokoju, zostawiając w nim pielęgniarkę układającą na kredensie pudełka z puzzlami. Pani Burrows nie miała ochoty z nikim się spotykać, szczególnie z pracownicą opieki społecznej, gdyż ta mogła przynieść ze sobą niechciane wspomnienia rodziny i życia, które odeszło w niepamięć.

Nie spiesząc się wcale na miejsce spotkania, przesuwała apatycznie kapciami po wypolerowanym linoleum. Mijała właśnie Starą Panią L., dwudziestosześcioletką, która choć młodsza od pani Burrows o dziesięć lat, miała szokująco mało włosów.

Siedziała w swej zwykłej pozie, pogrążona w głębokim śnie na krześle ustawionym pod ścianą korytarza. Szeroko otwarte usta sprawiały wrażenie, jakby ktoś próbował przepiłować jej głowę na pół, a wydatna krtani i migdałki wystawione były na publiczny widok.

Kobieta wypuściła szeroki strumień powietrza, wydając przy tym dźwięk niczym przecięta opona ciężarówki.

– Obrzydliwe! – oświadczyła pani Burrows, kontynuując powolną wędrówkę korytarzem. Zatrzymała się przy drzwiach opatrzonych topornie wykonaną, czarnobiałą tabliczką z napisem: „Szczęśliwy Pokój” i je otworzyła.

Pomieszczenie znajdowało się na rogu budynku, a okna umieszczone na dwóch ścianach wychodziły na różany ogród rozciągający się poniżej. Jeden z członków personelu wpadł na genialny pomysł, by zachęcić pacjentów do ozdobienia pozostałych ścian malowidłami.

Okazało się jednak, że końcowy rezultat odbiegał nieco od pierwotnych wyobrażeń.

Nad przedziwną zbieraniną człekokształtnych postaci wznosiła się szeroka na dwa metry tęcza, złożona z pasów brązu o różnych odcieniach. Jeden jej koniec opadał prosto do morza, gdzie na desce surfingowej stał uśmiechnięty od ucha do ucha mężczyzna z rękami rozłożonymi szeroko w jakimś dziwnym, błazeńskim pozdrowieniu; w wodzie u jego stóp szerokie koło kreśliła płetwa rekina. Na niebie ponad brązową tęczę przelatowały mewy, wykonane tą samą naiwną kreską co inne postacie malowidła. Na pierwszy rzut oka wydawały się nawet urokliwe; czar jednak pryskał, gdy tylko ktoś zauważył odchody wylatujące przerywanymi liniami spod ich ogonów, które wyglądały niczym strzały z karabinu na obrazku sporządzonym dziecięcą ręką. Ekskrementy spadały prosto na głowy grupki postaci o rozdętych ludzkich ciałach i mysich głowach.

Pani Burrows nie czuła się dobrze w tym pokoju, jakby chaotyczne, tajemnicze obrazy próbowały przekazać jej jakąś ukrytą wiadomość; nie mogła też w żaden sposób zrozumieć, dlaczego właśnie w tym pokoju odbywały się wizyty.

Zwróciła w końcu uwagę na swego niechcianego gościa, przyglądając się pogardliwie kobiecie w nijakim ubraniu, która trzymała na kolanach papierową teczkę. Przybyła natychmiast podniosła się z krzesła i spojrzała na nią bladymi oczyma.

– Jestem Kate O’Leary – powiedziała Sara.

– Widzę – burknęła pani Burrows, spoglądając na plakietkę przyczepioną do swetra rozmówczyni.

– Miło mi panią poznać, pani Burrows – ciągnęła niezrażona Sara, uśmiechając się zdawkowo i podając rękę na powitanie.

Pani Burrows mruknęła coś w odpowiedzi, ale nie uścisnęła wyciągniętej ku niej dłoni.

– Usiąźmy – zaproponowała Sara, ponownie zajmując swoje miejsce.

Pani Burrows spojrzała na rozstawione dokoła plastikowe krzesła i wybrała to, które stało najbliżej drzwi, jakby obawiała się, że będzie musiała szybko uciec na korytarz.

– Kim pani jest? – spytała pani Burrows szorstko, taksując kobietę spojrzeniem. – Nie znam pani.

– Rzeczywiście, nie znamy się. Jestem z opieki społecznej – odparła Sara, podnosząc na moment list, który znalazła na wycieraczce w domu Burrowsów. Pani Burrows przekrzywiła głowę, próbując odczytać treść wiadomości. – Informowaliśmy panią o tym spotkaniu – powiedziała Sara, odkładając szybko list na kolana.

– Nikt nic mi nie mówił o żadnym spotkaniu. Proszę mi to pokazać – poprosiła pani Burrows, podnosząc się z krzesła i sięgając po kartkę.

– Nie, nie... Teraz nie ma to już znaczenia. Przypuszczam, że dyrektor tej placówki zapomniał panią poinformować, zresztą to i tak nie potrwa długo. Chciałam się tylko upewnić, czy nie ma pani jakichś kłopotów i czy...

– Nie chodzi chyba o opłaty, co? – przerwała jej pani Burrows, sadowiąc się wygodniej na krześle i zakładając nogę na nogę. – O ile mi wiadomo, ubezpieczenie wszystko opłaca, a kiedy ono się skończy, zostaną jeszcze pieniądze ze sprzedaży domu.

– Jestem pewna, że w tej sprawie wszystko gra, ale obawiam się, że to nie mój dział – odparła Sara, obdarzając panią Burrows kolejnym zdawkowym uśmiechem.

Otworzyła teczkę leżącą na kolanach i wyjęła z niej bloczek papieru.

Sięgała właśnie po długopis, kiedy zauważyła misia w kolorze kawy, namalowanego na ścianie tuż nad głową pani Burrows. Wokół misia widniały starannie wymalowane kostki do gry, wszystkie w

jaskrawych kolorach, takich jak czerwony, pomarańczowy lub jasnoniebieski; każda przedstawiała inną cyfrę. Sara pokręciła głową i spojrzała ponownie na panią Burrows, przygotowując długopis i czystą kartkę papieru.

– Proszę mi powiedzieć, Celio, kiedy została pani tu przyjęta? Mogę się do pani zwracać po imieniu?

– Jasne, wszystko jedno. Przyszłam tu w listopadzie zeszłego roku.

– I jak pani sobie radzi? – spytała Sara, udając, że robi notatki.

– Doskonale, dziękuję – odparła pani Burrows, po czym dodała szybko, jakby się usprawiedliwiając: – Ale ciągle jeszcze nie doszłam do siebie po tej... e... traumie... i będę musiała spędzić tu jeszcze trochę czasu. Potrzebuję odpoczynku.

– Tak – zgodziła się z nią Sara. – A pani rodzina? Ma pani od nich jakieś wieści?

– Nie, żadnych. Policja mówi, że prowadzi śledztwo w sprawie tych zniknięć, ale są kompletnie bezradni.

– Policjanci?

– Mieli nawet czelność przyjść tutaj wczoraj – odpowiedziała pani Burrows żalonym, monotonnym głosem. – Słyszała pani pewnie, co wydarzyło się dwa dni temu... O tym incydencie w moim domu? – Spojrzała sennie na Sarę.

– Owszem, czytałam o tym – odparła kobieta. – Okropna sprawa.

– Zgadza się. Dwóch policjantów zaskoczyło jakąś bandę pod moim domem i rozpętała się straszna bijatyka. Obaj policjanci dostali porządne lanie, jednego z nich poszczuli nawet psem. – Odkaszlęła i sięgnęła po brudną chusteczkę ukrytą w rękawie. – Jestem pewna, że to ci cholerni Cyganie. Są gorsi od zwierząt! – oświadczyła z mocą pani Burrows.

„Gdyby tylko wiedziała, jak było naprawdę” – pomyślała Sara. Pokiwała głową, pokazując w ten sposób, że całkowicie zgadza się ze

swoją rozmówczynią, podczas gdy w jej umyśle pojawił się na moment obraz nieprzytomnego policjanta leżącego na tarasie domu Burrowsów.

Pani Burrows wysmarkała głośno nos i z powrotem wsunęła chusteczkę do rękawa.

– Naprawdę nie wiem, dokąd zmierza ten kraj. Tak czy siak, tym razem wybrali niewłaściwe miejsce. Nie ma tam nic do ukradzenia... Wszystko zostało oddane na przechowanie, bo dom jest na sprzedaż.

Sara ponownie pokiwała głową; pani Burrows tymczasem ciągnęła dalej: – Ale policja jest niewiele lepsza. Po prostu nie dają mi spokoju. Mój adwokat próbuje ich powstrzymać, ale oni ciągle chcą mnie przesłuchiwać. Zachowują się tak, jakbym to ja była wszystkiemu winna... zniknięciu rodziny... nawet temu napadowi na policjantów... Proszę mi powiedzieć, co ja mogę mieć z tym wspólnego; siedzę tutaj dwadzieścia cztery godziny na dobę, na litość boską! – Wyprostowała nogi, po czym znów je skrzyżowała, poprawiwszy się na krześle. – I jak w takich warunkach można odpoczywać! Wszystko to wyprowadza mnie z równowagi, sama chyba pani rozumie...

– Tak, tak, doskonale rozumiem – przytaknęła szybko Sara. – I bez tego miała pani ostatnio dość wrażeń.

Pani Burrows skinęła lekko głową i podniósłszy wzrok, spoglądała za okno.

– Ale policja nie przestała szukać pani męża i syna? spytała cicho Sara. – Nie miała pani o nich żadnych wiadomości?

– Nie, najwyraźniej nikt nie ma zielonego pojęcia, gdzie teraz są. Na pewno wie pani, że mój mąż odszedł ode mnie, a potem syn znikł bez śladu, jakby zapadł się pod ziemię stwierdziła ze smutkiem. – Podobno widziano go tu i ówdzie, kilka razy nawet w Highfield. Był też film z kamery przemysłowej ze stacji metra, na którym widać

kogoś podobnego do Willa z drugim chłopcem... i dużym psem.

– Dużym psem? – wtrąciła Sara.

– Tak, owczarkiem alzackim albo czymś takim. – Pani Burrows pokręciła głową. – Ale policja mówi, że nie może potwierdzić żadnego z tych świadectw. – Westchnęła ciężko. – A córka Rebeka jest u mojej siostry, ale od miesiący nie miałam od nich żadnej wiadomości. – Głos pani Burrows zniżył się do szeptu, jej twarz przybrała nieodgadniony wyraz. – Wszyscy, których znam, odchodzą... Może wszyscy znaleźli sobie jakieś lepsze miejsce.

– Mogę tylko wyrazić najgłębsze wyrazy współczucia powiedziała Sara łagodnym, pocieszającym tonem. – Myśli pani, że pani syn wyruszył na poszukiwania ojca?

Czytałam, że oficer prowadzący śledztwo nie wykluczał takiej możliwości.

– Myślę, że Will jest do tego zdolny – odparła pani Burrows, wciąż spoglądając za okno, gdzie ktoś próbował bez większego przekonania przywiązać cherlawe pędy pnących róż do taniej, plastikowej pergoli. – Wcale bym się nie zdziwiła.

– Więc po raz ostatni widziała pani syna... Kiedy to było... W listopadzie?

– Nie, wcześniej. Potem nie widziałam go już ani razu westchnęła pani Burrows.

– Jak on... Jaki był stan jego umysłu tuż przed zaginięciem?

– Naprawdę nie potrafię pani powiedzieć. Sama nie czułam się wtedy najlepiej i nie...

– Pani Burrows przerwała nagle i przeniosła spojrzenie z okna na Sarę. – Chwileczkę, przecież musiała pani czytać moje akta, dlaczego zadaje pani tyle pytań? – Nagle zachowanie pensjonariuszki uległo radykalnej zmianie, jakby w jej umyśle zapaliła się lampka; w głosie pojawiła się na powrót nuta zniecierpliwienia i wrogości. Kobieta

wyprostowała się na krześle, ściągnęła ramiona i zaczęła z uwagą przyglądać się Sarze.

Zmiana w zachowaniu starszej rozmówczynie nie umknęła uwadze Sary, która natychmiast zerwała kontakt wzrokowy i udawała, że spogląda na nic nieznaczące notatki ułożone na kolanach. Odczekała kilka sekund i odezwała się ponownie, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i beznamiętnie: – To całkiem proste, dopiero od niedawna zajmuję się pani sprawą i chciałam zasięgnąć informacji u źródła. Przepraszam, jeśli sprawia to pani przykrość.

Sara czuła, jak spojrzenie pani Burrows przeszywa ją na wylot niczym promienie rentgenowskie. Powoli wyprostowała się na krześle. Na pozór była całkiem spokojna, w rzeczywistości jednak przygotowywała się do odparcia ataku, który nadszedł kilka sekund później.

– O’Leary... Irlandka, tak? Nie ma pani irlandzkiego akcentu.

– Moja rodzina przeniosła się do Londynu w latach sześćdziesiątych. Czasem jeżdżę do domu na wakacje i...

Pani Burrows, wyraźnie ożywiona, nie pozwoliła jej jednak dokończyć.

– To nie jest prawdziwy kolor pani włosów, pokazują się już odrosty – zauważyła. – Wyglądają na białe. Farbuje pani włosy, prawda?

– Ee... owszem, farbuję. Dlaczego pani o to pyta?

– Widzę też, że coś jest nie tak z pani okiem... Jest podbite? I pani warga... wygląda na spuchniętą... Ktoś panią pobił?

– Nie, przewróciłam się na schodach – odparła Sara cierpko, odpowiednio dozując oburzenie i zniecierpliwienie, by jej reakcja wyglądała naturalnie.

– Stara śpiewka! Jeśli się nie mylę, nosi pani grubą warstwę makijażu, maskującą bardzo jasną skórę, zgadza się?

– Hmm... no tak... – mruknęła Sara, zbита z tropu.

Była zdumiona niezwykłą spostrzegawczością pani Burrows, która powoli, lecz skutecznie zdzieraa z niej przebranie, jakby obrywała płatki kwiatu, by się przekonać, co znajduje się w środku.

Zastanawiała się właśnie, jak powstrzymać potok pytań płynący nieprzerwanie z ust pani Burrows, kiedy jej wzrok padł na pęk balonów namalowanych na ścianie tuż nad lewym ramieniem rozmówczyni. Ponad balonami pyszniło się błękitne niebo, które niemal całkowicie je przytłaczało i pochłaniało, zamieniając jaskrawe barwy w szarzyznę. Sara wzięła płytki oddech i powiedziała: – Chciałabym zadać pani jeszcze kilka pytań, Celio. – Odchrząknęła, by ukryć zakłopotanie. – Wydaje mi się, że nasza rozmowa staje się nieco zbyt... e... osobista...

– Zbyt osobista? – roześmiała się drwiąco pani Burrows. – A nie sądzi pani, że wszystkie te pani idiotyczne pytania są nieco zbyt osobiste?

– Muszę...

– Masz bardzo charakterystyczną twarz, Kate, choć pieczołowicie starasz się to ukryć.

Jak się tak nad tym zastanowić, to masz też bardzo znajomą twarz. Gdzie ja cię mogłam wcześniej spotkać? – Pani Burrows zmarszczyła brwi i przechyliła głowę, jakby próbowała sobie przypomnieć. Było to coś więcej niż tylko teatralny gest – pani Burrows doskonale się bawiła.

– To nie ma nic wspólnego z...

– Kim jesteś, Kate? – przerwała ostro pani Burrows. – Na pewno nie pracujesz w opiece społecznej. Znam ten – Nie, przewróciłam się na schodach – odparła Sara cierpko, odpowiednio dozując oburzenie i zniecierpliwienie, by jej reakcja wyglądała naturalnie.

– Stara śpiewka! Jeśli się nie mylę, nosi pani grubą warstwę

makijażu, maskującą bardzo jasną skórę, zgadza się?

– Hmm... no tak... – mruknęła Sara, zbita z tropu.

Była zdumiona niezwykłą spostrzegawczością pani Burrows, która powoli, lecz skutecznie zdzierła z niej przebranie, jakby obrywała płatki kwiatu, by się przekonać, co znajduje się w środku.

Zastanawiała się właśnie, jak powstrzymać potok pytań płynący nieprzerwanie z ust pani Burrows, kiedy jej wzrok padł na pęk balonów namalowanych na ścianie tuż nad lewym ramieniem rozmówcy. Ponad balonami pyszniło się błękitne niebo, które niemal całkowicie je przytłaczało i pochłaniało, zamieniając jaskrawe barwy w szarzyznę. Sara wzięła płytki oddech i powiedziała: – Chciałabym zadać pani jeszcze kilka pytań, Celio. – Odchrząknęła, by ukryć zakłopotanie. – Wydaje mi się, że nasza rozmowa staje się nieco zbyt... e... osobista...

– Zbyt osobista? – roześmiała się drwiąco pani Burrows. – A nie sądzi pani, że wszystkie te pani idiotyczne pytania są nieco zbyt osobiste?

– Muszę...

– Masz bardzo charakterystyczną twarz, Kate, choć pieczołowicie starasz się to ukryć.

Jak się tak nad tym zastanowić, to masz też bardzo znajomą twarz. Gdzie ja cię mogłam wcześniej spotkać? – Pani Burrows zmarszczyła brwi i przechyliła głowę, jakby próbowała sobie przypomnieć. Było to coś więcej niż tylko teatralny gest – pani Burrows doskonale się bawiła.

– To nie ma nic wspólnego z...

– Kim jesteś, Kate? – przerwała ostro pani Burrows. – Na pewno nie pracujesz w opiece społecznej. Znam ten typ, a ty do niego nie należysz. Więc kim naprawdę jesteś?

– Myślę, że na dzisiaj już wystarczy. Muszę iść. – Sara postanowiła

zakończyć spotkanie. Zebrała dokumenty i schowała je do teczki, a potem pospiesznie podniosła się z miejsca. Zdejmowała właśnie płaszcz z oparcia krzesła, kiedy pani Burrows zerwała się na równe nogi ze zdumiewającą szybkością i stanęła przed drzwiami, blokując Sarze drogę.

– Nie tak szybko! – wykrzyknęła. – Mam do ciebie kilka pytań.

– Widzę, że popełniłam błąd, przychodząc tutaj, pani Burrows – odparła Sara stanowczo, przerzucając płaszcz przez ramię. Zrobiła krok w stronę rozmówczyni, ta jednak nawet nie drgnęła; stały więc nieruchomo, mierząc się wzrokiem niczym bokserzy przed walką. Sara miała już dość udawania, a pani Burrows najwyraźniej nie знаła obecnego miejsca pobytu Willa. A jeśli nawet znała, to nie chciała o tym mówić.

– Możemy dokończyć następnym razem – powiedziała w końcu Sara, uśmiechając się kwaśno do pani Burrows i odwracając bokiem, jakby chciała precyzyjnie się między nią i ścianą.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – rozkazała jej władczym tonem pani Burrows. – Bierzesz mnie chyba za idiotkę. Przychodzisz tutaj w tych swoich wytartych ciuchach, odgrywasz kiepską komedię i myślisz, że ja w to wszystko uwierzę? – W jej przymrużonych, złośliwych oczach pojawił się błysk satysfakcji z odkrycia. – Naprawdę myślałaś, że się nie domyśle, kim jesteś? Masz twarz Willa i żadna ilość farby do włosów ani głupich komedii... – uderzyła mocno wierzchem dłoni w teczkę, którą trzymała Sara -... tego nie ukryje. – Pokiwała ukradkiem głową. – Jesteś jego matką, prawda?

Była to ostatnia rzecz, jaką Sara spodziewała się usłyszeć podczas tego spotkania.

Stojąca przed nią kobieta posiadała naprawdę przerażający zmysł obserwacji.

– Nie wiem, o czym pani mówi – odparła najspokojniej, jak tylko

potrafiła.

– Biologiczną matką Willa.

– To jakiś absurd. Ja...

– Z jakiej dziury wypełzłaś? – parsknęła szyderczo pani Burrows.

Sara pokręciła tylko głową.

– Dlaczego wróciłaś dopiero po tylu latach? I dlaczego właśnie teraz? – ciągnęła pani Burrows.

Sara milczała, przesywając morderczym spojrzeniem czerwoną twarz kobiety.

– Porzuciłaś swoje dziecko... Oddałaś je do adopcji... Z jakiej racji przychodzisz tu teraz węszyć? – pytała pani Burrows.

Sara głośno wypuściła powietrze. Bez większego wysiłku mogłaby odepchnąć rozmówczynię, zmieść ją ze swej drogi, postanowiła jednak na razie nic nie robić.

Przez chwilę stały nieruchomo w narastającej ciszy: przybrana i naturalna matka Willa, nieodłącznie ze sobą związane i świadome swych ról.

Pani Burrows przerwała milczenie.

– Zakładam, że go szukasz, inaczej pewnie byś się tu nie pokazała – syknęła ze złością. Uniosła brwi niczym detektyw z serialu telewizyjnego, który dokonuje właśnie kluczowego odkrycia. – A może to ty jesteś odpowiedzialna za jego zniknięcie?

– Nie mam z tym nic wspólnego. Jest pani obłąkana. Pani Burrows parsknęła głośno.

– Och... obłąkana, powiadasz... Czy to właśnie dlatego trafiłam do tego okropnego miejsca? – spytała nieco melodramatycznym głosem, przewracając oczami, niczym przerażona bohaterka starego niemego filmu. – O mój Boże!

– Proszę mnie przepuścić – poprosiła Sara uprzejmie, lecz stanowczo, przesuając się o krok do przodu w stronę wyjścia.

– Jeszcze nie! – odparła pani Burrows. – Może doszłaś do wniosku, że chcesz Willa z powrotem?

– Nie...

– Może to właśnie t y go porwałaś? – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Nie, ja...

– Cóż, przypuszczam, że jesteś z tym w jakiś sposób powiązana. Nie wtykaj tego cholernego nosa w nie swoje sprawy. To moja rodzina! – Pani Burrows ściągnęła gniewnie brwi. – Spójrz tylko na siebie. Nie nadajesz się na czyjąkolwiek matkę!

Sara miała dość.

– Czyżby? – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – A co ty dla niego zrobiłaś?

Pani Burrows uśmiechnęła się triumfalnie: Sara w końcu potwierdziła jej podejrzenia.

– Co j a dla niego zrobiłam? Wszystko, co mogłam. To t y go porzuciłaś – oświadczyła gniewnie, nieświadoma, że Sara zмага się z przemożną żądzą mordy. – Dlaczego nie przyszedłaś zobaczyć się z nim wcześniej? Gdzie się ukrywałaś przez wszystkie te lata?

– Do diabła! – wybuchła Sara, pokazując wreszcie pogardę i urazę, które czuła do stojącej przed nią kobiety. Jej twarz wyrażała w tej chwili cały gniew i agresję.

Jednak pani Burrows wcale się tym nie przejęła. Odsunęła się o krok od drzwi, lecz nie po to, by zrobić miejsce Sarze, lecz by położyć palec na wielkim czerwonym guziku alarmowym umieszczonym na ścianie. Sara miała teraz wolną drogę, podeszła więc do wyjścia, położyła dłoń na klamce i lekko uchyliła drzwi. W chwili, gdy to zrobiła, na korytarzu rozległy się odgłosy burdy – histeryczne krzyki i głośne brzęczenie. Pani Burrows domyśliła się od razu, że to któryś z Krzykaczy rozpoczął swój koncert. Było to dość dziwne – zwykle tego

rodzaju spektakle odbywały się wczesnym rankiem.

Na ułamek sekundy uwaga Sary została rozproszona przez dobiegające hałasy, jednak chwilę potem kobieta znów skupiła się na pani Burrows, która niezmiennie trzymała dłoń na przycisku.

Sara przeszła ją gniewnym spojrzeniem i pokręciła głową.

– Nie chcesz tego zrobić – stwierdziła tonem pogróżki. Pani Burrows roześmiała się nieprzyjemnie.

– Czyżby? Tak naprawdę chcę tylko, żebyś po prostu się stąd wyniosła...

– Och, już mnie tu nie ma! – warknęła Sara, przerywając jej w pół zdania.

– ... i obyś nigdy więcej się tutaj nie pokazywała. Nigdy!

– Nie martw się... Widziałam już wszystko, co chciałam zobaczyć – odparła Sara zjadliwie, otwierając drzwi z taką siłą, że uderzyły z hukiem o ścianę z dziwaczным malowidłem. Zrobiła krok do przodu, zawahała się jednak, uświadomiwszy sobie, że nie powiedziała jeszcze wszystkiego, co mogła i chciała powiedzieć, kiedy już zrzuciła maskę i przeszła do otwartej konfrontacji. W tej właśnie chwili zrozumiała, że w końcu może dopuścić do siebie myśl, którą tak długo starała się zanegować – że wieści przekazane przez Joe Waitesa mogły być prawdziwe.

– Powiedz mi, co zrobiłaś Sethowi...

– Sethowi? – przerwała ostro pani Burrows.

– Nazywaj go sobie jak chcesz, Seth czy Will, to nie ma znaczenia. To t y zamieniłaś go w potwora, we wcielone zło! – wykrzyczała prosto w twarz kobiety. – W plugawego mordercę!

– Mordercę? – powtórzyła pani Burrows, tracąc sporo z dotychczasowej pewności siebie. – Co ty wygadujesz, na litość boską?!

– Mój brat nie żyje! Will go zabił! – zawyła Sara, z trudem hamując łzy.

Była coraz bardziej przekonana, że wszystko, co opisał Joe Waites, naprawdę się wydarzyło; jakby to spotkanie dostarczyło jej ostatnią część układanki, składającej się na straszliwą, ohydną scenę. Wybuch Sary był tak przekonujący, tak autentyczny, że pani Burrows właściwie nie miała wątpliwości, iż kobieta mówi prawdę. Albo przynajmniej, że wierzy w prawdziwość swych słów.

Pani Burrows zaczęła drżeć – po raz pierwszy podczas tej rozmowy została całkowicie zbita z tropu. Dlaczego ta kobieta oskarża Willa o morderstwo? I dlaczego nazywa go Sethem? Był to dla niej szok większy nawet od wiadomości, że telewizja zrezygnowała z nadawania bardzo ciekawego i obiecującego serialu po wyemitowaniu zaledwie kilku odcinków. To nie ma sensu. Skonfundowana, odsunęła rękę od guzika i wyciągnęła ją w błagalnym geście ku Sarze.

– Will... zamordował... twojego brata? Co...? – jąkała się, próbując ogarnąć umysłem to, co mówiła do niej Sara.

Ta jednak posłała jej tylko przelotne, miazdzące spojrzenie i wybiegła z pokoju.

Popędziła w dół schodów, mijając po drodze dwóch sanitariuszy, którzy biegli w przeciwnym kierunku.

Zmierzali do źródła przeraźliwego wycia, przystanęli jednak, gdy Sara przemknęła obok nich; nie wiedzieli, czy nie powinni jej zatrzymać.

Jednak kobieta nie dała im ani chwili do namysłu i pognała za róg, z trudem utrzymując równowagę na wyslizganym linoleum – nie zamierzała zatrzymywać się pod żadnym pozorem. Sanitariusze spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i ruszyli ponownie ku wyjącej pacjentce.

Sara otworzyła szklane drzwi holu. Kiedy tylko weszła do środka, zauważyła zamocowaną na ścianie kamerę przemysłową – była skierowana prosto na nią. A niech to! Kobieta pochyliła nisko głowę,

wiedziała jednak, że jest już za późno.

Za kontuarem siedziała ta sama recepcjonistka, która wpuściła Sarę do budynku.

Rozmawiała właśnie przez telefon, jednak na jej widok natychmiast opuściła słuchawkę i zawołała: – Hej, nic pani nie jest? Pani O’Leary, co się stało?

Gdy Sara nie zareagowała na pytanie, recepcjonistka zrozumiała, że dzieje się coś niedobrego, i zerwała się z krzesła, nawołując, by kobieta się zatrzymała.

Lekceważąc krzyki recepcjonistki, Sara pokonała sprintem parking, a potem skierowała się po podjeździe w stronę drogi. Nie zwolniła, dopóki nie znalazła się na głównej ulicy. Zobaczyła zatrzymujący się autobus i szybko do niego wsiadła.

Musiała jak najszybciej opuścić okolicę, na wypadek gdyby ktoś z personelu Humphrey House wezwał policję.

Siedząc na końcu autobusu, z dala od pozostałych pasażerów, Sara usiłowała uspokoić oddech. Wrzały w niej myśli i emocje. Jeszcze nigdy podczas całego pobytu w Górnoziemiu nie zdemaskowała się – i to przed kim: przed panią B u r r o w s. Nie powinna była ujawniać swojej tożsamości. Powinna była zachować spokój. Wszystko potoczyło się w niewłaściwym kierunku. C o ona sobie właściwie myślała?

Serce waliło jej jak młotem, kiedy odtwarzała w myślach cały incydent. Była wściekła na siebie za brak samokontroli, a zarazem głęboko poruszona rozmową z tą dziwną, nieudolną kobietą, która stanowiła tak wielką część życia jej syna... która miała to szczęście, że mogła obserwować, jak on dorasta... i która odpowiedzialna była za uczynienie zeń tego, kim się stał. Sara powiedziała pani Burrows rzeczy, w które do tej pory sama nie pozwalała sobie wierzyć -że Will był zdrajcą i mordercą.

Będąc już w Highfield, nie mogła się powstrzymać i ostatni odcinek drogi do wysypiska pokonała truchtem. Nim dotarła do klapy ze sklejki, zdołała się nieco opanować; wskoczyła do ciemnego otworu, gdzie przywitał ją znajomy chrzęst gniecionych kości.

Sięgnęła do kieszeni po latarkę, postanowiła jej jednak nie używać; przeszła do głównego pomieszczenia, przytrzymując się ściany tunelu.

– Kocie, jesteś tu? – spytała, włączając w końcu oświetlenie.

– Sara Jerome, jak sądzę – rozległ się nieznajomy głos, a pomieszczenie wypełniło się oślepiającym blaskiem, znacznie mocniejszym od tego, który emitowała jej latarka.

Sara przysłoniła oczy, na wpół oślepiona; to, co ujrzała, przyprawiło ją o zawrót głowy.

Próbowała skupić wzrok na osobie, która wypowiedziała te słowa.

– Kim...? – zaczęła, cofając się o krok. Co to miało znaczyć?

Na jednym z foteli siedziała dwunastoletnia, może trzynastoletnia dziewczynka z grzecznie ułożonymi nogami i kokieteryjnym uśmiechem na ładniutkiej twarzy.

Jednak tym, co przede wszystkim przykuło uwagę Sary i napełniło ją zwierzęcym niemal strachem, był fakt, że dziewczynka miała na sobie ubranie Styksów.

Wielki biały kołnierz na czarnej sukience.

Dziecko Styksów?

Obok dziewczynki stał Kolonista, wielki, gburowaty drab. Mężczyzna w trzymał dłoni sznur, którego drugi koniec obwiązany był wokół szyi szarpiącego się wściekłe kota.

Kierowana instynktem, Sara błyskawicznie otworzyła torbę i wyjęła z niej nóż.

Odrzuciła pakunek i trzymając przed sobą obnażone ostrze, cofała się, skulona, pod ścianę. Rozejrzawszy się nerwowo dokoła, dostrzegła, skąd pochodzi światło wypełniające komnatę; pod

ścianami jarzyły się dziesiątki kul podtrzymywanych przez innych Kolonistów. Przysadziści, umięśnieni mężczyźni stali tam nieruchomo niczym posągi, niczym niemi strażnicy.

Na dźwięk trzeszczącego, niezrozumiałego języka Sara zerknęła w stronę przejścia, którym dotarła przed chwilą do komnaty. Grupa Styksów w czarnych płaszczach i białych koszulach stanęła właśnie przy wejściu do tunelu, odcinając jej ostatnią drogę ucieczki. Siły reżimu stawily się więc w komplecie – Białe Szyje też tu były.

Została otoczona. Wiedziała, że nie zdoła się wymknąć. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Za bardzo się spieszyła – jej umysł pochłonięty był czym innym, kiedy weszła do wykopu, nie zachowując zwykłych środków ostrożności.

Ty głupia, głupia babo!

Teraz miała zapłacić za swój błąd. Słono zapłacić.

Odrzuciwszy latarkę, uniosła w górę nóż i przyłożyła sobie ostrze do szyi. Miała dość czasu. Nie mogli jej powstrzymać.

Wtedy dziewczynka po raz kolejny przemówiła spokojnym głosem:
– Nie chcesz tego zrobić.

Sara wychrypiała coś niezrozumiałego, z trudem wydobywając głos z gardła ściśniętego strachem.

– Znasz mnie. Jestem Rebeka.

Sara potrząsnęła głową, przerażona. Jakiś przytomny fragment jej umysłu zastanawiał się, dlaczego dziecko Styksów używa górnoziemskiego imienia. Nikt nie znał ich prawdziwych imion.

– Widziałas mnie w domu Willa.

Sara ponownie potrząsnęła głową, a potem zamarła w bezruchu. W dziewczynce było coś znajomego. Sara uświadomiła sobie, że to właśnie ona była siostrą Willa, a raczej tylko ją udawała.

– Nóż – nalegała Rebeka. – Odłóż go.

– Nie! – próbowała powiedzieć Sara, lecz z jej ust wydobył się

tylko jęk.

– Mamy ze sobą tyle wspólnego. Mamy wspólne cele. Powinnaś wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

– Nie mamy o czym rozmawiać! – wykrzyknęła Sara, odzyskawszy wreszcie głos.

– Powiedz jej, Joe! – rozkazała dziewczynka, obracając się lekko w fotelu.

Ktoś odsunął się od ściany. Był to człowiek, który napisał do niej list – Joe Waites, jeden z towarzyszy Tama. Joe był dla niej i Tama niczym członek rodziny, lojalny przyjaciel, który poszedłby za jej bratem na koniec świata.

– No, już! – ponagliła go Rebeka. – Powiedz jej.

– Saro, to ja – odezwał się Joe. – Joe Waites – dodał pośpiesznie, gdyż Sara nie okazała w żaden sposób, że go rozpoznaje. Przesunął się do przodu i wyciągnął do niej drżące ręce, przemawiając jednocześnie rozhisteryzowanym głosem i wyrzucając z siebie bezładne frazy i słowa: – Och, Saro... – błagał – proszę... Odłóż to... Rzuć ten nóż...

Zrób to ze względu na swojego syna... ze względu na Cala... Na pewno widziałaś moją wiadomość... To wszystko prawda, Bóg mi...

Sara mocniej przycisnęła ostrze noża do skóry tuż nad tętnicą szyjną, a Joe Waites zatrzymał się w pół kroku i znieruchomiał, rozczapierzając tylko palce. Mężczyzna drżał na całym ciele tak gwałtownie, jakby lada moment miał zemdleć.

– Nie, nie, proszę, nie... Posłuchaj jej... Musisz to zrobić. Rebeka może ci pomóc.

– Nikt cię nawet nie dotknie, Saro. Masz na to moje słowo – powiedziała spokojnie dziewczynka. – Przynajmniej mnie wysłuchaj. – Wzruszyła lekko ramionami i przekrzywiła głowę. – Ale jeśli chcesz, to zrób to... Poderżnij sobie gardło... I tak nie zdołam cię powstrzymać. – Westchnęła przeciągle. – To byłaby ogromna strata,

ogromna, głupia strata. Nie chcesz uratować Cala? On cię potrzebuje.

Odwracając się raz w jedną, raz w drugą stronę i dysząc ciężko, niczym osaczone zwierzę, którym w rzeczywistości była, Sara spoglądała szeroko otwartymi oczyma na Joe Waitesa, jego charakterystyczną twarz, myckę przylegającą ciasno do głowy i samotny ząb, wyrastający z górnej szczęki.

– Joe – wyszeptała chrapliwie, z cichą rezygnacją kogoś, kto szykuje się na śmierć.

Wbiła ostrze jeszcze głębiej. Joe Waites zaczął wymachiwać szaleńczo rękami i krzyczeć, gdy po jej białej skórze pociekły pierwsze krople krwi.

– SARO! PROSZĘ! – wołał. – NIE! NIE RÓB TEGO! NIE!

Rozdział dwunasty



Will objął na ochotnika pierwszą wartę, pozostali mogli więc trochę odpocząć. Próbował pisać coś w swoim dzienniku, jednak nie mógł się skoncentrować i po jakimś czasie odłożył go na bok. Przez chwilę chodził wokół stołu, wsłuchany w regularne chrapanie Chestera, potem zaś postanowił wykorzystać wolny czas na bardziej szczegółowe oględziny domu. Nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie użyje nowej latarki, przygotowanej przez Cala. Przyczepił ją z dumą do kieszeni koszulki, jak demonstrował brat, i ustawił szerokość promienia.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na drzemiących towarzyszy, otworzył cicho drzwi i wyszedł na korytarz.

Najpierw udał się do pokoju po przeciwnej stronie holu; wcześniej, gdy myszkował po domu wraz z Calem, zbadał go bardzo pobieżnie. Pokonał na palcach pokrytą kurzem podłogę, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Pokój miał te same rozmiary co biblioteka, pozbawiony był jednak jakichkolwiek mebli czy chociażby półek. Will obszedł pomieszczenie dokoła, spoglądając na szerokie listwy przypodłogowe, za którymi tkwiły poobrywane fragmenty żółtozielonego papieru, zapewne niegdyś zdobiące ściany.

Podszedł do okien ukrytych za okiennicami. Przez chwilę miał ochotę je otworzyć, oparł się jednak pokusie i jeszcze kilkakrotnie okrążył pokój, wodząc promieniem latarki po ścianach i podłodze. Nie

zauważył nic ciekawego i już miał wyjść, kiedy nagle coś przyciągnęło jego wzrok. Nie zwrócił na to uwagi podczas poprzedniej krótkiej wizyty, kiedy dysponowali tylko zwykłymi kulami świetlnymi; teraz jednak, zaopatrzone w mocniejsze źródło światła, nie mógł tego przeoczyć.

Mniej więcej na wysokości jego głowy znajdowały się wyryte na ścianie słowa: ZAJMUJĘ TEN DOM JAKO MOJE ZNALEZISKO DR ROGER BURROWS

Poniżej, obok daty i jakiejś liczby, która nic Willowi nie mówiła, znajdował się kolejny napis: PS OSTRZEŻENIE – OŁÓW NA ŚCIANACH – WYSOKA RADIOAKTYWNOŚĆ NA ZEWNĄTRZ?!

Will, zadziwiony, wyciągnął rękę i przesunął dłonią po kilku literach, które odbijały światło latarki, jakby wyryto je w metalu.

– Tata! Tata tutaj był! – zaczął krzyczeć. Z radości i podniecenia zapomniał, że do tej pory wszyscy starali się zachowywać w tym domu jak najciszej. – Mój tata był tutaj!

Chester i Cal, zbudzeni okrzykami, wypadli na korytarz.

– Will? Co się stało? – zawołał Chester od drzwi, zatroskany o przyjaciela.

– Spójrzcie na to! On tutaj był! – paplał Will, wciąż nie mogąc opanować podniecenia.

Chłopcy przeczytali oba napisy, jednak na Calu nie zrobiły one żadnego wrażenia, gdyż chłopiec niemal natychmiast oparł się o ścianę i ziewnął szeroko, przecierając zaspane oczy.

– Ciekaw jestem, kiedy to zrobił – rozmyślał głośno Will.

– Nieprawdopodobne! – przyznał Chester, przeczytawszy wiadomości napisane ręką doktora Burrowsa. – Po prostu niesamowite! – Uśmiechnął się szeroko do Willa, szczerze dzieląc radość swego przyjaciela. Potem zmarszczył brwi, tknięty pewną myślą. – Sądzicie, że to jego ślady są w bibliotece?

– Założę się, że tak – odparł Will. – Czy to nie dziwne? Naprawdę niezwykły zbieg okoliczności: wybraliśmy tę samą drogę co on.

– Jaki ojciec, taki syn. – Chester poklepał Willa po plecach.

– Ale on nie jest jego ojcem – odpowiedział im pełen urazy głos wypływający z ciemności za plecami Chestera. Cal potrząsał głową. – Nie jest prawdziwym ojcem – dodał nieprzyjemnym tonem. – Nie miał nawet dość odwagi, żeby ci o tym powiedzieć, prawda, Will?

Chłopak nie zareagował, nie pozwalając, by brat pozbawił go radości z tego odkrycia.

– Cóż, nie możemy siedzieć tutaj zbyt długo, jeśli tata nie mylił się w kwestii radioaktywności. – Will ze szczególnym naciskiem wymówił słowo „tata”, nie spoglądając jednak na Cal. – Ściany rzeczywiście wyłożone są ołowiem. Myślę, że ma rację; dotknijcie tylko. – Pogładził płaszczyznę pod wiadomością. Chester zrobił to samo. – To pewnie jakiś ekran ochronny.

– Rzeczywiście, zimne jak metal. Pewnie w innych pomieszczeniach jest tak samo – przytaknął Chester, rozglądając się dokoła.

– To oczywiste. Mówiłem wam, że powietrze w Głębi jest zepsute, idioci – syknął Cal pogardliwie i ruszył z powrotem do biblioteki, nie zważając na towarzyszy.

– A już zaczynałem myśleć, że jednak nie jest takim bucem – burknął Chester, potrząsając głową. – Potrafi naprawdę wszystko zepsuć.

– Po prostu nie zwracaj na niego uwagi – odparł Will.

– Może i wygląda jak ty, ale nic poza tym – wściekał się Chester, oburzony zachowaniem młodszego chłopca. – Tego gówniarza obchodzi tylko jedna osoba, czyli on sam! Wiem dobrze, o co mu chodzi, zawsze próbuje mnie zdenerwować, żeby... – Chester przerwał w pół zdania, zauważywszy nieobecny wyraz twarzy

przyjaciela.

Will wcale go nie słuchał, wpatrzony w napis na ścianie i pochłonięty myślami o ojcu.

Przez następną dobę chłopcy głównie leniuchowali; czasami spali na stole w bibliotece, czasem zaś włóczyli się po wielkim domostwie. Choć Will oglądał kolejne pokoje z zaciekawieniem, czuł się trochę nieswojo, wiedząc, że niegdyś zamieszkiwali je Styksowie, nawet jeśli działo się to przed wielu, wielu laty. Pomimo długich i starannych poszukiwań, nie udało mu się znaleźć innych śladów ojca. Tym bardziej nie mógł się doczekać, kiedy znów ruszą w drogę – nie dawała mu spokoju myśl, że doktor Burrows może wciąż przebywać gdzieś w okolicy i – być może – uda im się go dogonić. Z każdą godziną robił się coraz bardziej niespokojny, aż wreszcie nie mógł już tego dłużej znieść. Zebrał więc towarzyszy, kazał im spakować rzeczy, po czym wyszedł z biblioteki, by poczekać na nich w holu.

– Nie wiem, o co chodzi, ale ten dom ma w sobie coś dziwnego – odezwał się, gdy Chester dołączył do niego przy drzwiach frontowych. Will uchylił je lekko, a promienie z trzymanyh przez chłopców latarek oświetliły ponure kształty chat.

Przyjaciele czekali, aż Cal przygotuje się do dalszej drogi. Po kłótni na temat ojca Willa Cal był markotny i małomówny, więc pozostali chłopcy starali się nie przebywać zbyt często w jego towarzystwie.

– Czuję się w nim jakoś tak... niepewnie – kontynuował Will. – Wiesz, chodzi o wszystkie te chaty na zewnątrz i myśl, że Styksowie zmuszali Koproliatów do życia w takiej ciasnocie, jak niewolników. Założę się, że bardzo źle ich traktowali.

– Styksowie to najgorsze łajdaki, jakich znam – stwierdził Chester. Potem syknął przez zęby i pokręcił głową. – Mnie też się tutaj nie podoba, Will. To dziwne, że... – urwał na moment, jakby się nad czymś zastanawiał.

– O co chodzi?

– Że ten dom stał pusty od tylu lat, może wieków, dopóki nie włamał się do niego twój tata. Był po prostu zamknięty, jakby nikt nie odważył się tutaj wejść.

– Tak, masz rację – odparł Will w zamyśleniu.

– Myślisz, że ludzie omijają to miejsce, bo kiedyś było tutaj tak okropnie? – spytał Chester.

– Cóż, te nietoperze z pewnością są mięsożerne; widziałem, jak atakowały jednego z nich, kiedy złamał skrzydło, ale nie sądzę, żeby były jakoś szczególnie niebezpieczne odpowiedział Will.

– Co takiego? – przeraził się Chester. – My jesteśmy zrobieni z mięsa.

– Owszem, ale przypuszczam, że bardziej interesują je owady – wyjaśnił Will. – Albo zwierzęta, które nie umieją się bronić. – Pokręcił głową. – Masz rację; jestem pewien, że to nie tylko nietoperze odstraszą ludzi od tego miejsca.

Kiedy rozmawiali, Cal przemierzył powolnym krokiem zakurzony hol, rzucił plecak na ziemię i usiadł na nim ciężko.

– No właśnie, nietoperze – mruknął. – Jak sobie z nimi poradzimy?

– W tej chwili nie widać ani jednego – odrzekł Will.

– Cudownie! – warknął zjadliwie Cal. – Więc nie macie żadnego planu.

Will nie dał się sprowokować i odparł spokojnym tonem: – W porządku, tym razem przysyłamy światło, nie hałasujemy ani nie krzyczymy.

Zrozumiałeś, Cal? Na wszelki wypadek, gdyby nas jednak zaatakowały, będę miał pod ręką sztuczne ognie. To powinno odstraszyć te paskudztwa. – Will otworzył boczną kieszeń plecaka skrywającą ognie rzymskie, których nie zużył w Wiecznym Mieście.

– To wszystko? Cały plan? – spytał zaczepnie Cal.

- Tak – odpowiedział Will, wciąż starając się zachować spokój.
- Fantastyczny! – parsknął młodszy chłopiec.

Will posłał mu mordercze spojrzenie i powoli otworzył drzwi.

Cal i Chester wysunęli się na zewnątrz jako pierwsi, Will szedł na końcu, trzymając w jednej dłoni sztuczne ognie, w drugiej zaś zapalniczkę. Od czasu do czasu słyszeli popiskiwanie nietoperzy, na tyle jednak oddalone, że nie budziły ich niepokoju.

Chłopcy przesuwali się szybko i bezgłośnie, oświetlając drogę przytłumionym blaskiem kul. Z mroku zalegającego pod ich stopami dochodziły szmery i szelesty, które aż nazbyt pobudzały ich wyobraźnię i przywodziły na myśl rzeczy, o jakich woleliby w tej sytuacji nie myśleć.

W końcu zostawili za sobą bramę miasta i ruszyli w głąb tunelu. Pokonali już spory dystans, kiedy Cal przystanął nagle i wskazał dłonią boczny korytarz. Chłopiec wyprzedził znacznie Chestera i Willa, a teraz czekał na nich w milczeniu, wciąż trzymając uniesioną rękę.

– Czy ten smarkacz próbuje nam coś powiedzieć? – spytał sarkastycznie Chester, kiedy zbliżyli się z Willem do naburmuszonego chłopca.

Will przysunął się bliżej, aż jego twarz niemal dotykała twarzy brata.

– Na litość boską, spoważnij wreszcie trochę, co?! Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji.

– Znak – odparł krótko Cal.

– Z nieba? – mruknął złośliwie Chester.

Cal bez słowa odsunął się na bok, a chłopcom ukazał się drewniany metrowy słup wyrastający z dna tunelu. Był cały czarny i popękany, jakby ktoś próbował go spalić, a na szczycie widniała strzałka wskazująca w głąb bocznego przejścia. Nie zauważyli go w drodze do

miasta, bo znajdował się wewnątrz tunelu.

– Przypuszczam, że możemy tędy dojść do Wielkiej Równiny – zwrócił się Cal do Willa, starannie unikając agresywnego spojrzenia Chestera.

– Ale dlaczego mielibyśmy tam iść? – spytał Will. – Cóż jest tam takiego niezwykłego?

– Prawdopodobnie właśnie tam poszedł twój tata – odrzekł Cal.

– W takim razie i my to zrobimy – powiedział Will, po czym bez słowa odwrócił się od brata i wszedł do tunelu.

Wędrówka bocznym przejściem nie nastroczała im większych trudności – korytarz okazał się całkiem spory, a dno równe, tylko skwar robił się z każdym krokiem coraz bardziej nieznośny. Idąc za przykładem Chestera i Cala, Will zdjął kurtkę; nadal jednak czuł, że jego plecy wilgotne są od potu.

– Idziemy we właściwym kierunku, prawda? zwrócił się do Cala, który choć raz szedł obok nich, a nie z przodu.

– Mam nadzieję, a ty nie? – odrzekł chłopiec zuchwale i splunął na ziemię.

W tej samej chwili wydarzyło się coś niesamowitego. Korytarz rozbłysnął światłem znacznie silniejszym od tego, które sączyło się z latarek przypiętych do ich koszul.

Wydawało się, że wszystkie skalne powierzchnie, nawet dno, emanują czystym, jasnożółtym blaskiem. Zjawisko to nie ograniczało się do miejsca, w którym stali; przepływało rytmicznie wzdłuż korytarza, w obu kierunkach, oświetlając wszystko tak jasno, jakby ktoś włączył nagle wokół nich mocne żarówki, jakby ktoś chciał oświetlić im drogę. Wszyscy przystanęli raptownie, oszołomieni.

– Nie podoba mi się to, Will – wyszeptał Chester.

Will odsunął kurtkę przewiazaną na szczycie plecaka i sięgnął do wnętrza bagażu; wyjął rękawice i założył jedną z nich.

– Co robisz? – spytał Cal.

– Mam pewne przeczucie – odpowiedział Will, pochylając się i podnosząc świecący jasno kamień wielkości kuli bilardowej. Zamknął go w garści, pozwalając, by kremowy blask sączył się przez szpary między palcami. Potem otworzył dłoń i przyjrzał się badawczo tajemniczej skale.

– Spójrzcie tylko – powiedział po chwili. – To jest pokryte jakąś roślinnością, czymś w rodzaj porostu – stwierdził, po czym splunął na kamień.

– Will! – wykrzyknął Chester.

Skąła rozbłysnęła jeszcze mocniej. Will był zafascynowany; jego umysł pracował na pełnych obrotach.

– Jest ciepły. Wygląda na to, że wilgoć pobudza ten organizm, pewnie jakąś bakterię, która wydziela wtedy światło. Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym, może prócz tych dziwnych roślin, które można znaleźć w oceanach. – Splunął ponownie, tym razem jednak na ścianę tunelu.

W miejscu, gdzie spadły krople śliny, ściana zaświeciła jeszcze jaśniej, jakby ktoś musnął ją fosforyzującą farbą.

– Na litość boską, Will! – syknął Chester głosem pełnym przerażenia. – To może być niebezpieczne!

Will zignorował go.

– Widzicie, jak woda na to działa. To coś zachowuje się jak nasiona w stanie spoczynku... dopóki ktoś ich nie podleje. – Odwrócił się do pozostałych chłopców. – Lepiej tego nie dotykać; wolę nie myśleć, co mogłoby się wtedy stać. Mogłoby wyssać całą wilgoć...

– Dzięki, cholerny profesorku. Wynośmy się stąd, i to szybko, dobrze? – przerwał mu Chester, wściekły na przyjaciela.

– Tak, to by było na tyle – zgodził się z nim Will, odrzucając kamień na bok.

Reszta podróży przebiegała bez przeszkód. Dopiero po wielu godzinach monotonnej wędrówki opuścili tunel i weszli do czegoś, co Will wziął najpierw za kolejną jaskinię.

Ruszyli naprzód i już po chwili zrozumieli, że mają do czynienia z czymś bardzo odmiennym od wielkich grot, które widzieli do tej pory.

– Poczekaj, Will! – zawołał Cal. – Wydaje mi się, że widzę jakieś światła.

– Gdzie? – spytał Chester.

– Tam... i tam jeszcze więcej. Widzicie?

Will i Chester wbili wzrok w nieprzeniknioną na pozór ciemność.

By coś dojrzeć, trzeba było jednak spojrzeć w bok – gdy próbowali patrzeć na wprost, migotliwe, ledwie widoczne kropki znikwały im z oczu.

Chłopcy w milczeniu obracali powoli głowami, spoglądając na drobiny światła rozmieszczone w równych odległościach wzdłuż linii horyzontu. Wydawały się nieprawdopodobnie odległe i niewyraźne, przesłonięte grubą warstwą powietrza i roziskrzone niczym gwiazdy na letnim niebie.

– To właśnie jest Wielka Równina – oświadczył nagle Cal. Will cofnął się mimowolnie o krok. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, jak olbrzymia jest rozciągająca się przed nim przestrzeń. Było to przedziwne, onieśmielające doznanie, gdyż ciemność przytępiła mu zmysły i nie pozwalała określić, czy tajemnicze światła znajdują się w ogromnej odległości czy też całkiem blisko.

Po chwili chłopcy ponownie ruszyli naprzód. Nawet Cal, który całe życie spędził w wielkich jaskiniach Kolonii, nigdy nie spotkał się z czymś podobnym. Choć sklepienie znajdowało się mniej więcej na tej samej wysokości, jakieś piętnaście metrów ponad ziemią, cała reszta – olbrzymia, niezmierna otchłań – pochłaniała blask latarek, mimo że te nastawione były na maksymalną moc. Ciągnęła się przed nimi

nieprzenikniona czerń, której nie przecinała żadna kolumna, żaden stalaktyt ani stalagmit. Co najbardziej zdumiewające, chłopcy odczuwali delikatne podmuchy powietrza, przynoszące minimalne ochłodzenie.

– Wygląda na cholernie wielką! – stwierdził Chester, ubierając w słowa to, co Will tylko myślał.

– Tak, ciągnie się bez końca – przyłączył się Cal bez większego entuzjazmu.

Chester odwrócił się do niego.

– Jak to, bez końca? Jakiej jest wielkości?

– Ma jakieś sto mil średnicy – odrzekł Cal obojętnym tonem i oddalił się, zostawiając pozostałą dwójkę.

– Sto mil! – powtórzył Will z niedowierzaniem.

– Ile to będzie w kilometrach? – spytał Chester, Will jednak milczał, zbyt zafascynowany ogromem jaskini, by odpowiedzieć na pytanie przyjaciela.

Nagle Chester wybuchnął gniewem: – Wszystko pięknie, tylko dlaczego twój brat nie powie nam wszystkiego, co wie? To miejsce nie ciągnie się „bez końca”. Matko, co to za dupek! Albo ciągle wszystko wyolbrzymia, albo nigdy nie mówi nam całej prawdy – pieklił się chłopak. Krzywiąc gniewnie twarz, przechylił głowę w jedną stronę, a potem w drugą, naśladując Cala: – To jest Miasto w Szczelinie... bla, bla, bla ... Tu jest Wielka Równina... bla, bla...

Wiesz co, Will, ciągle mam wrażenie, że on celowo ukrywa przed nami pewne rzeczy, żeby potem pokazać, że jest lepszy ode mnie.

– Od nasprostował Will. – Ale spójrz tylko na to miejsce. W głowie się nie mieści, prawda? – Will robił wszystko, by zmienić temat i odwieść Chestera od myśli, które wcześniej czy później musiały doprowadzić do gwałtownego starcia z Calem.

– Tak, w mojej na pewno nie – odparł Chester sarkastycznie i

zaczął oświetlać ciemność latarką, jakby próbował udowodnić, że Cal się mylił.

Jednak rzeczywiście jaskinia sprawiała wrażenie, jakby ciągnęła się bez końca. Will natychmiast zaczął snuć teorie dotyczące jej powstania.

– Gdyby w wyniku na przykład... ruchów tektonicznych powstało wielkie ciśnienie między dwiema luźno powiązаныmi warstwami – mówił, kładąc jedną dłoń na drugiej, by zademonstrować ten proces Chesterowi – jedna mogłaby się podnieść nad drugą. – Przesunął wyżej górną dłoń i wygiął ją w łuk. – I wtedy właśnie mogłoby powstać coś takiego.. Coś jak słoje drewna rozszczepione pod wpływem wilgoci.

– No dobrze, świetnie, ale co będzie, jak znowu się zamknie? Co wtedy?

– Myślę, że kiedyś może do tego dojść. Po kilku tysiącach lat.

– Znając moje zezowate szczęście, stanie się to pewnie dzisiaj – mruknął Chester posepnie. – I zostanę zgnieciony na miazgę, jak mrówka.

– Daj spokój, prawdopodobieństwo, że dojdzie do tego właśnie dzisiaj, jest bardzo niewielkie.

Chester chrząknął sceptycznie.

Rozdział trzynasty



Wsprytnie ukrytym wejściu, w pustej piwnicy dawnego przytułku dla ubogich w Highfield, niedaleko High Street, Sara właśnie weszła do windy. Położyła torbę obok swoich stóp i mocno obejmując się ramionami, skuliła się najbardziej jak mogła. Wcisnąwszy się w róg, rozejrzała się żałośnie dokoła, próbując ocenić wielkość unoszącego ją dźwigu. Nie znosiła takich ciasnych pomieszczeń, pozbawionych jakiegokolwiek drogi ucieczki. Winda miała około czterech metrów kwadratowych, a jej ściany wykonane były z ciężkiej, żelaznej kratownicy, wewnątrz zaś najwyraźniej pokryte zostało niegdyś grubą warstwą smaru, którego resztki obrosły brudem i kurzem.

Kobieta usłyszała krótką, przytłumioną wymianę zdań pomiędzy Styksem i Kolonistami czekającymi w piwnicy, a potem do windy weszła Rebeka; zupełnie sama. Dziewczynka nie spojrzała nawet na Sarę. Obróciwszy się zręcznie na pięcie, stanęła tyłem do kobiety; jeden ze Styksów zamknął za nią drzwi. Rebeka przesunęła do dołu mosiężną dźwignię umieszczoną przy wejściu, a winda zadrżała i zaczęła jechać w dół, przy akompaniamencie zgrzytliwego dźwięku dochodzącego gdzieś z góry.

Metalowa klatka przesuwała się jednostajnie, skrzypiąc przy tym głośno i uderzając od czasu do czasu o ściany szybu, czemu towarzyszył przeraźliwy jazgot.

Powoli zbliżali się do Kolonii.

Choć starała się z tym walczyć, w sercu Sary budziło się nowe uczucie, silniejsze nawet od strachu i niepokoju. Było to niecierpliwe wyczekiwanie. Wracała do Kolonii! Swojego prawdziwego domu! Czowała się tak, jakby nagle ktoś dał jej możliwość przeniesienia się w czasie. Z każdym metrem pokonywanym przez windę zegar cofał się godzina po godzinie, rok po roku. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczała, że kiedyś będzie mogła znów ujrzeć to miejsce. Odrzuciła od siebie tę myśl tak definitywnie, że teraz trudno jej było uwierzyć w to, co się z nią działo.

Odetchnęła kilka razy głęboko, rozluźniła ramiona i wyprostowała się.

Słyszała o istnieniu tych wind, nigdy jednak żadnej nie widziała, nie mówiąc już o tym, by nią jechać.

Sara oparła głowę o żelazną kratę i patrzyła na przesuwaną się obok ścianę szybu.

W blasku lampy Rebeki widać było liczne nieregularne otwory i zagłębienia, świadczące o tym, że szyb został wykuty prawie przed trzema stuleciami, za pomocą prymitywnych ręcznych narzędzi.

Kiedy przed jej oczami przesuwały się kolejne warstwy skał, brązy, czerwienie i szarości, Sara myślała o tym, ile krwi i potu kosztowało stworzenie Kolonii. Tylu ludzi, pokolenie po pokoleniu, pracowało ciężko przez całe życie, by zbudować ten świat. A ona, Sara, odrzuciła to wszystko i uciekła do Górnoziemia.

W górnej części szybu, znajdującej się kilkaset metrów wyżej, wciągarka zawyła głośniejszym, zmieniając bieg, a winda nagle przyspieszyła.

Ta droga dostępu do Kolonii różniła się od trasy, którą Sara uciekła niegdyś na powierzchnię, jak niebo od ziemi.

Wówczas musiała wspinać się przez całą drogę, korzystając ze spiralnych schodów zamkniętych w ceglanym szybie. Była to

wędrówka długa i męcząca, szczególnie że kobieta niosła ze sobą małego Willa. Najgorszy był jednak moment, kiedy wyszła w końcu na zewnątrz przez stary, obrosnięty sadzą komin. Szukała wtedy po omacku jakiegoś oparcia dla stóp na popękanej, wyszczerbionej powierzchni komina, trzymając jednocześnie zmęczone, zapłakane dziecko i starając się za wszelką cenę nie ześlizgnąć się i nie runąć w dół głębokiego szybu.

„Nie myśl o tym teraz” – skarciła się Sara, potrząsając głową. Uświadomiła sobie, jak bardzo wymęczyły ją wydarzenia mijającego dnia, musiała jednak wziąć się w garść.

Dzień jeszcze nie dobiegł końca. „Skup się” – przykazała sobie w myślach, zerkając na dziewczynkę stojącą obok.

Rebeka, odwrócona tyłem do Sary, nie ruszyła się z miejsca tuż przy wejściu. Od czasu do czasu pocierała tylko stopą o stalową płytę, z której wykonana była podłoga windy, najwyraźniej nie mogąc się doczekać końca podróży.

Mogłabym ją teraz załatwić. Ta myśl pojawiła się raptownie w głowie Sary.

Dziewczyna nie miała eskorty, nikt więc nie stanąłby w jej obronie. Natrętna myśl nie dawała jej spokoju, a Sara wiedziała, że nie zostało już dużo czasu, nim dotrą do dna.

W torbie Sary wciąż leżał nóż – z jakiegoś niezrozumiałego powodu Styksowie nie zabrali jej broni. Kobieta spojrzała na tobołek leżący u swych stóp, zastanawiając się, ile czasu zajęłoby wyjęcie noża. Nie, to zbyt ryzykowne. Lepszy będzie po prostu cios w głowę. Zacisnęła dłoń w pięści, a potem rozluźniła je ponownie.

NIE! Sara przywołała się do porządku. Fakt, że pozostawiono ją sam na sam z dziewczyną, był świadectwem zaufania, jakim obdarzyli ją Styksowie, wiary w jej dobre intencje.

Wszystko, co od nich usłyszała, wydawało się spójne i rozsądne,

postanowiła więc na razie nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Odetchnęła kilka razy głęboko, próbując się uspokoić. Potem podniosła dłoń do szyi i dotknęła ostrożnie opuchlizny wokół rany, którą sama sobie zadała.

Naprawdę niewiele już brakowało – zaczęła wbijać nóż, gotowa zatopić ostrze po samą rękojeść. Gdy jednak Joe Waites zaczął krzyczeć i błagać ją jak szaleniec, zatrzymała dłoń. Była przygotowana na to; żyła w przekonaniu, że któregoś dnia Styksowie w końcu ją dopadną i już tysiące razy ćwiczyła różne formy samobójstwa.

Trzymając nóż przy szyi, otoczona milczącym kręgiem Styksów i Kolonistów stojących pod ścianami, słuchała, co mieli jej do powiedzenia Rebeka i Joe.

Pomyślała, że kilka sekund nie zrobi różnicy komuś, kto i tak jest już martwy.

W swoim mniemaniu nie miała nic do stracenia, bo już była martwa. Wydawało się to nieuniknione. Jednak opowieść, którą od nich usłyszała, potwierdziła wszystko, co zostało napisane w liście, i brzmiała całkiem wiarygodnie. W końcu Styksowie mogli zabić ją od razu, w tej komnacie; dlaczego zadawaliby sobie tyle trudu, by ją uratować?

Rebeka powiedziała jej, co wydarzyło się tego pamiętnego dnia, gdy Tam stracił życie. Mówiła o tym, jak Wieczne Miasto zostało spowite nieprzeniknioną mgłą, a podły Will odpalił jakieś środki pirotechniczne, by zwabić żołnierzy Styksów. W zamieszaniu Tam został wciągnięty w pułapkę i zabity, wzięty omyłkowo za Górnoziemca. Co gorsza, Rebeka powiedziała, że najprawdopodobniej Will sam zranił Tama maczetą i zostawił go jako przynętę dla żołnierzy Styksów. Ta ostatnia informacja wzburzyła krew w żyłach Sary. Bez względu na to, co rzeczywiście się stało, Will ocalał swoje

bezwartościowe życie i zmusił Cala, by poszedł za nim.

Rebeka powiedziała także, że świadkiem tych wydarzeń był Imago Freebone, przyjaciel Sary i Tama z dzieciństwa. I jak wynikało z dalszej relacji dziewczyny, potem Imago zniknął bez śladu, a ona mogła tylko przypuszczać, że Will również z tym miał coś wspólnego. Sara widziała łzy w oczach Joe Waitesa, gdy Rebeka snuła tę opowieść. Jako członek gangu Tama Imago był też przyjacielem Joe.

Sara nie mogła zrozumieć okrutnego zachowania Willa, nie wspominając już o braku szacunku dla życia własnego brata. Jak to możliwe, by mój syn zamienił się w tak bezłitosne, perfidne zwierzę?

Kiedy Rebeka skończyła opowieść, Sara spytała, czy mogłaby porozmawiać przez chwilę sam na sam z Joe Waitesem, a dziewczynka, ku ogromnemu zdumieniu Sary, przystała na tę prośbę. Wraz z całym oddziałem Styksów i Kolonistów opuściła komnatę, zostawiając ich we dwoje.

Dopiero wtedy Sara odłożyła nóż. Usiadła na pustym fotelu obok Joe. Rozmawiali przez chwilę, podczas gdy Rebeka i jej eskorta czekali w tunelu prowadzącym do wyjścia. Mężczyzna jeszcze raz opowiedział Sarze gorączkowym szeptem, co zaszło w ostatnich miesiącach, potwierdzając informacje zawarte w liście oraz wersję wydarzeń przedstawioną przez Rebeke. Sara chciała usłyszeć tę historię raz jeszcze, od początku do końca, tym razem jednak z ust kogoś, komu mogła bezgranicznie zaufać.

Gdy Rebeka wróciła do sali, złożyła Sarze pewną propozycję. Gdyby kobieta zechciała połączyć siły ze Styksami, miałyby do dyspozycji dość środków, by odszukać Willa. Mogłaby wtedy naprawić dwie krzywdy – pomścić śmierć brata i uratować Cala.

Była to oferta, której Sara nie mogła odrzucić. Zbyt wiele spraw pozostało niezłatwionych.

I oto stała tutaj, w metalowej klatce, w towarzystwie

zdeklarowanego wroga – Styksa!

Co ona właściwie myślała?

Sara próbowała wyobrazić sobie, co zrobiłby Tam, gdyby znalazł się w tej samej sytuacji. Nie potrafiła jednak niczego wymyślić; ze zdenerwowania zaczęła skubać strup na szyi, nie przejmując się wcale tym, że może otworzyć ranę i ponownie wywołać krwawienie.

Rebeka odwróciła lekko głowę, nie spoglądała jednak w stronę Sary, jakby wyczuwała zamęt panujący w umyśle kobiety. Odchrząknęła i zapytała cicho: – Jak się czujesz, Saro?

Sara spojrzała na tył głowy Rebeki, na kruczoczarne włosy opadające na śnieżnobiały kołnierz, i odpowiedziała głosem pełnym tłumionej agresji: – Po prostu fantastycznie. Coś podobnego przydarza mi się prawie codziennie.

– Wiem, jakie to dla ciebie trudne – stwierdziła kojącem głosem Rebeka. – Czy chciałabyś o czymś porozmawiać?

– Owszem – przytaknęła Sara. – Wkradłaś się do rodziny Burrowsów. Przez wszystkie te lata mieszkałaś z moim synem pod jednym dachem.

– Z Willem, tak, zgadza się – odparła Rebeka bez wahania, przestała jednak szurać butem o podłogę windy.

– Opowiedz mi o nim – zażądała Sara.

– Nie da się wyprostować tego, co urosło krzywe – powiedziała dziewczyna, pozwalając, by jej słowa zawisły na moment w powietrzu, gdy winda powoli przemieszczała się w dół. – Było w nim coś dziwnego, od samego początku. Z trudem nawiązywał przyjaźnie, a w miarę jak dorastał, robił się coraz bardziej skryty i zamknięty w sobie.

– Bez wątplenia był samotnikiem – zgodziła się z nią Sara, przypominając sobie, jak obserwowała Willa, gdy wyruszał na samotne wyprawy do podziemnych korytarzy.

– Niewiele o nim wiesz – odparła Rebeka lekko drżącym głosem. – Potrafił być naprawdę przerażający.

– Co masz na myśli? – spytała Sara.

– Cóż, domagał się, żeby ktoś robił wszystko za niego: pranie, posiłki... wszystko, i dostawał białej gorączki, kiedy choćby najmniejszy drobiazg nie wyglądał tak, jak tego oczekiwał. Szkoda, że go wtedy nie widziałaś; w jednej chwili był całkiem spokojny, a w następnej dosłownie wpadał w szal, wrzeszczał jak obłąkany i niszczył wszystko dokoła. W szkole ciągle pakował się w kłopoty. W zeszłym roku ciężko pobił kolegów z klasy, choć nic mu nie zrobili. Po prostu stracił nad sobą panowanie i zaczął okładać ich swoją łopatą. Kilku z nich trafiło potem do szpitala, ale Will wcale nie żałował tego, co zrobił.

Sara milczała, próbując ogarnąć to, co właśnie usłyszała.

– Nie, nie masz pojęcia, do czego on był zdolny – mówiła cicho Rebeka. – Jego macocha wiedziała, że Will potrzebuje pomocy, ale była zbyt leniwa, żeby coś z tym zrobić. – Dziewczynka przesunęła dłonią po czole, jakby te wspomnienia sprawiały jej ból. – Być może... być może to właśnie przez nią stał się taki, a nie inny.

Zaniedbywała go.

– A ty... po co tam mieszkałaś? Żeby mieć go na oku... czy żeby złapać mnie?

– Jedno i drugie – odparła Rebeka beznamiętnie i odwróciła tułów, by zmierzyć Sarę spokojnym spojrzeniem. – Ale priorytetem było ściągnięcie cię z powrotem pod ziemię. Gubernatorzy koniecznie chcieli cię powstrzymać; twoja nieobecność była zagrożeniem dla Kolonii. Luźny koniec. Bałagan.

– A ty zdołałaś odnaleźć ten luźny koniec, prawda? Nawet schwyciłaś mnie żywą.

Będą z ciebie cholernie zadowoleni.

– To nie tak. Poza tym to ty sama postanowiłaś wrócić do domu. – Nic w zachowaniu Rebeki nie wskazywało na to, że chełpi się swym sukcesem. Odwróciła się ponownie do drzwi. Od czasu do czasu światła znaczące wejścia na różne poziomy rozjaśniały jej twarz i odbijały się w lśniących kruczoczarnych włosach.

Po chwili dziewczynka przemówiła ponownie: – Dokonałaś nie lada sztuki, żyjąc tyle czasu na powierzchni, wyprzedzając nas zawsze o krok i stykając się codziennie z Poganami. – Zamilkła na kilka sekund. – Chyba ciężko było ci żyć z dala od wszystkiego, co znałaś?

– Owszem, czasami – przytaknęła Sara. – Mówią, że wolność ma swoją cenę. – Wiedziała, że nie powinna otwierać się przed tą dziewczyną, czuła jednak dla niej mimowolny szacunek. To właśnie z powodu Sary Rebeka została wrzucona w zupełnie obce miejsce, jakim było Górnoziemie. I to w takim młodym wieku.

Dziewczynka spędziła niemal całe życie na powierzchni, mieszkała bowiem w domu Burrowsów; stwierdzenie, że miały ze sobą coś wspólnego, było grubym niedopowiedzeniem. – A jak ty sobie radziłaś?

– Dla mnie było to zupełnie coś innego – odparła Rebeka. – Życie na Wygnaniu było moim obowiązkiem. Przez cały czas traktowałam to trochę jak rodzaj gry, ale nigdy nie zapomniałam, gdzie jest mój prawdziwy dom.

Sara zadrżała. Choć słowa te nie brzmiały jak wyrzut, były niczym cios, który uderzył w samo jądro jej poczucia winy. Wcisnęła się ponownie w róg windy i skrzyżowała ręce na piersiach.

Przez chwilę obie milczały, podczas gdy winda przesuwała się w dół, skrzypiąc nieustannie.

– Już niedaleko – oświadczyła w końcu Rebeka.

– Mam jeszcze jedno pytanie – odezwała się Sara.

– Jasne – odparła Rebeka w roztargnieniu, zerkając na zegarek.

– Kiedy to wszystko się skończy... Kiedy zrobię to, co muszę zrobić... pozwolicie mi żyć?

– Oczywiście. – Rebeka obróciła się z gracją w miejscu, zwróciła swe lśniące oczy ku Sarze i uśmiechnęła się szeroko. – Wrócisz na łono rodziny, do Cala i swojej matki.

Jesteś dla nas bardzo ważna.

– Dlaczego? – zdziwiła się Sara.

– Dlaczego? Czyż to nie oczywiste, Saro? Jesteś c ó rą marnotrawną. – Rebeka uśmiechnęła się jeszcze szerzej, lecz Sara nie była w stanie odpowiedzieć tym samym. W jej umyśle kłębiły się dziesiątki sprzecznych myśli. Może po prostu trochę za bardzo chciała uwierzyć, że to, co mówiła dziewczyna, jest prawdą. Głos rozsądku dręczył ją bezustannie, sprawiając, że nerwy miała napięte do granic wytrzymałości.

Nie próbowała zagłuszyć tego głosu. Doświadczenie nauczyło ją, że jeśli coś wydaje się zbyt dobre, by było prawdziwe, to niemal na pewno prawdziwe nie jest.

Wreszcie winda uderzyła o odbijacze na dnie szybu, potrząsając gwałtownie obiema pasażerkami. Na zewnątrz przesunęły się jakieś cienie. Sara ujrzała, jak okryta czerwonym materiałem ręka odsuwa drzwi windy. Rebeka bez namysłu wyszła na zewnątrz.

„Czy to pułapka? Koniec?” – przebiegło Sarze przez myśl. . Została w windzie, wpatrzona w mroczny korytarz wyłożony metalem i w dwóch Styksów, którzy czekali na nią w ciemnościach. Stali po obu stronach grubych metalowych drzwi, znajdujących się w odległości około dziesięciu metrów. Rebeka podniosła lampę i gestem nakazała Sarze, by poszła za nią do drzwi, stanowiących jedyne wyjście z ciemnego korytarza. Były one pokryte czarną błyszczącą farbą i widniało na nich wielkie koślawe zero. Sara wiedziała, że są na najniższym poziomie, że wrota naprzeciwko prowadzą do śluzy, a za

następnymi znajduje się już Ćwiartka.

Tak, to był właśnie ten ostatni krok: jeśli przejdzie przez tę śluzę, naprawdę wróci do Kolonii i znajdzie się ostatecznie w szponach Styksów.

Skrzypiąc długim do kostek, skórzanym płaszczem, jeden ze Styksów wszedł w krąg światła, zacisnął szczupłe białe palce na krawędzi drzwi windy i odsunął je do końca z taką siłą, że uderzyły z brzękiem o ścianę. Nikt się nie odzywał, gdy dźwięk odbił się echem w ciasnym wnętrzu. Czarne włosy Styksa, ściągnięte ciasno do tyłu, poznaczone były tu i ówdzie pasmami siwizny, zaś jego żółtawą twarz przecinały liczne zmarszczki. Bruzdy na policzkach były tak głębokie, że wydawało się, iż jego twarz za chwilę złoży się do środka.

Rebeka patrzyła na Sarę i czekała, aż ta wejdzie do śluzy.

Sara wahała się jednak, słuchając głosu instynktu, który mówił jej, by nie przechodziła przez te drzwi.

Drugi Styks stał w cieniu za plecami dziewczynki i był mniej widoczny. Kiedy w końcu padło na niego trochę światła, Sara odniosła wrażenie, że jest znacznie młodszy od swego towarzysza; miał bowiem gładszą skórę i zupełnie czarne włosy.

Gdy jednak przyjrzała się mu uważniej, stwierdziła, że jest starszy, niż jej się wydawało; jego twarz była wychudzona do tego stopnia, że policzki zapadały się niemal do środka, a w nikłym świetle oczy mężczyzny wyglądały jak dwie tajemnicze jaskinie.

Rebeka nie odrywała od niej wzroku.

– My już pójdziemy. Ty przyjdź, jak będziesz gotowa – powiedziała. – Dobrze, Saro? – dodała łagodnie.

Starszy Styks wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Rebeką i skinął lekko głową, po czym wszyscy troje ruszyli do śluzy. Sara słyszała stukot ich butów o karbowaną podłogę korytarza i syk otwieranych drzwi, a później poczuła na twarzy podmuch ciepłego

powietrza.

Potem wszystko ucichło.

Weszli do Ćwiartki – szeregu wielkich, połączonych tunelami jaskiń, w których mieszkali tylko najbardziej zaufani obywatele. Garstka spośród nich, nadzorowana przez Styksów, miała prawo handlować z Górnoziemcami, by zdobyć w ten sposób materiały, których nie dało się wyhodować ani wydobywać w Kolonii lub na niższym poziomie, w przerażającej Głębi. Ćwiartka była czymś w rodzaju miasta frontowego, gdzie panowały surowe warunki życia, mieszkańcy musieli bowiem liczyć się z nieustannym ryzykiem zawalenia się stropu jaskini i zalania górnoziemskimi ściekami.

Sara odchyliła głowę, by spojrzeć w ciemne wnętrze ciągnącego się nad nią szybu.

Zrozumiała, że oszukiwała samą siebie, przypuszczając, że istnieje jeszcze jakaś alternatywa. Nie miała dokąd uciec, nawet gdyby chciała. Oddała swój los w ręce Styksów w chwili, gdy odsunęła nóż od gardła. Przynajmniej wciąż żyła. Co właściwie mogli jej zrobić w najgorszym razie? Poddać straszliwym torturom, a potem zabić? Ostateczny rezultat byłby taki sam. Martwa teraz albo później. Nie miała nic do stracenia.

Po raz ostatni ogarnęła spojrzeniem wnętrze windy i ruszyła w stronę śluzy. Mroczne pomieszczenie miało około pięciu metrów wysokości i owalny kształt, wzdłuż niego ciągnęły się grube fałdy. Przytrzymując się ścian i ostrożnie stawiając stopy na śliskich, pokrytych smarem brzdach, zbliżała się z narastającym strachem do otwartych drzwi po drugiej stronie.

Wychyliła się na zewnątrz. Usłyszała wstrętny język Styksów – piskliwe, trzeszczące słowa, które ucichły, gdy tylko cała trójka ją zobaczyła. Czekali na nią nieco dalej, po drugiej stronie wielkiego tunelu. Blask lampy trzymanej przez Rebeke tylko częściowo

rozpraszał ciemności; wydawało się jednak, że tunel jest pusty, a jego dno zostało wyłożone brukowaną drogą i chodnikiem, na którym stali Styksowie. Nie było tu żadnych domów; Sara natychmiast zrozumiała, że jest to tunel drogowy, prowadzący być może do jednej z jaskiń magazynów, rozsianych wokół Ćwiartki.

Powoli przeniosła stopę nad krawędzią drzwi śluzy i postawiła ją na lśniących wilgocią kamieniach. Potem, równie wolno, przełożyła drugą nogę, opuszczając całkowicie śluzę. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę wróciła do Kolonii. Chciała zrobić kolejny krok, zawahała się jednak. Obejrzała się przez ramię, spoglądając na ścianę, która pięła się eleganckim łukiem do miejsca, gdzie spotykała się z podobnie ukształtowaną ścianą przeciwległą, choć szczyt owego łuku nikał w ciemnościach.

Sara wyciągnęła rękę i dotknęła muru przy drzwiach, przyciskając dłoń do jednego z wielkich bloków starannie ociosanego piaskowca. Czuła delikatne drzenie, wywoływane przez olbrzymie wentylatory tłoczące świeże powietrze do tuneli. Ten jednostajny rytm, tak różny od wibracji wielkiego miasta w Górnoziemiu, przynosił jej spokój i ukojenie, niczym bicie matczyne serca.

Wzięła głęboki oddech. Poczowała charakterystyczny zapach stęchlizny; esencję zapachu wszystkich ludzi żyjących w Ćwiartce i położonej niżej Kolonii. Nie czuła tej charakterystycznej woni od tylu lat.

Była w domu.

– Gotowa? – zawołała Rebeka, wrywając kobietę z zamyślenia.

Sara odwróciła się gwałtownie w stronę trójki Styksów. Skinęła głową.

Rebeka pstryknęła palcami, a z mroku wynurzył się powóz zaprzęzony w konie. Jego wielkie żelazne koła stukotały głośno o bruk. Tego rodzaju pojazdy – czarne i kanciaste, ciągnięte przez

cztery śnieżnobiałe konie – były w Kolonii dość powszechnym widokiem.

Zaprzęg zatrzymał się przy Rebecce; konie przebierały w miejscu nogami i parskały głośno, chcąc jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.

Powóz zakołysał się, gdy wsiadła do niego trójka Styksów. Sara powoli ruszyła w ich stronę. Na koźle siedział Kolonista, starszy mężczyzna w filcowym kapeluszu; wbił w Sarę surowe, małe oczy. Przechodząc obok koni, kobieta poczuła się dziwnie onieśmielona tym ciężkim spojrzeniem. Domyślała się, co sądzi o niej woźnica; nie wiedział zapewne, k i m ona właściwie jest, wystarczyło jednak, że miała na sobie górnoziemskie ubrania i jechała pod eskortą Styksów – była wrogiem, obiektem nienawiści.

Kiedy Sara weszła na chodnik, Kolonista odchrząknął, przesadnie chrapliwie i głośno, po czym splunął na ziemię, tuż obok jej stóp. Kobieta natychmiast się zatrzymała i celowo stanęła na jego plwocinie, rozcierając ją butem, jakby rozgniatała robaka. Potem podniosła oczy na mężczyznę i wbiła weń wyzywające spojrzenie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Oczy woźnicy rozbłysły gniewem, po kilku długich sekundach mrugnął jednak i odwrócił głowę.

– Dobra, ruszajmy – powiedziała głośno Sara i weszła do powozu.

Rozdział czternasty



Napijesz się czegoś? – zaproponował Will. – Zaschło mi w gardle.
– Świetny pomysł – uśmiechnął się Chester, odzyskując dobry humor. – Tylko najpierw dokończmy tego skauta.

Zbliżali się właśnie do Cala, który maszerował szybko w stronę jednego z odległych światła, kiedy chłopiec odwrócił się gwałtownie do nich, mówiąc: – Wuj Tam opowiadał, że Koprolici mieszkają w ziemi... jak szczury w norach.

Mówił, że mają miasta i magazyny wykopane w...

– Uważaj! – krzyknął Will.

Cał zatrzymał się w ostatniej chwili na krawędzi pasa ciemności, rozciągających się w miejscu, gdzie powinien znajdować się stały ląd. Zachwiał się i usiadł ciężko na sypkim podłożu, strącając stopami garść pyłu z krawędzi uskoku. Chłopcy usłyszeli chlupot wody, do której wpadły grudki ziemi.

Kiedy Cał się podnosił, Will i Chester ostrożnie zbliżyli się do brzegu i spojrzeli w dół. Blask ich latarek odsłonił skarpe wysokości około czterech metrów, a dalej pomarszczoną, czarną tafłę wody, w której odbijały się ich światła. Wydawało się, że ciecz przesuwa się łagodnie, znacznie wolniej niż podziemny strumień, na który natknęli się kilka dni wcześniej.

– To dzieło człowieka – zauważył Will, wskazując na przycięte równo skalne płyty ułożone wzdłuż brzegu. Wychylił się najdalej jak mógł, by zbadać, co znajduje się poniżej. Cała skarpa obłożona była

płytkami, które sięgały do samej powierzchni wody. Przeciwny brzeg wyglądał podobnie.

– Raczej dzieło Koprolić – odparł cicho Cal, jakby mówiąc do siebie.

– Co takiego? – spytał Will.

– Koprolić to zbudowali – powtórzył Cal, nieco już głośnie. – Tam mówił mi kiedyś, że mają olbrzymią sieć kanałów, którymi spławiają wydobyte surowce.

– Bardzo przydatna informacja... Szkoda tylko, że nie poznaliśmy jej trochę wcześniej – zirytował się Chester. – Masz dla nas jeszcze jakieś niespodzianki, Cal? Jakieś mądrości wuja Tama?

. By zapobiec kłótni, do jakiej niechybnie doprowadziłaby ta rozmowa, Will zaproponował szybko, by zatrzymali się na odpoczynek. To nieco rozładowało atmosferę. Rozsiedli się wygodnie na brzegu kanału, oparli o plecaki i popijali wodę z manierek. Spoglądając na ciągnący się przed nimi kanał, wszyscy myśleli o tym samym – że w pobliżu nie widać żadnego mostu i będą musieli iść wzdłuż brzegu, dopóki jakieś rozwiązanie nie nasunie im się samo.

Siedzieli w milczeniu jeszcze przez jakiś czas, aż do działania pobudziło ich ciche skrzypienie dobiegające z ciemności. Zaniepokojeni, natychmiast podnieśli się z ziemi, wpatrując się w nieprzenikniony mrok i świecąc latarkami w miejsce, z którego, ich zdaniem, dochodził dziwny odgłos.

Nagle w krąg blasku rzucanego przez ich latarki wsunął się niczym duch dziób statku. Poruszał się tak cicho, że chłopcy zamrugali ze zdumienia, zastanawiając się, czy nie jest to tylko złudzenie.

Po chwili, gdy statek podpłynął bliżej, mogli się mu lepiej przyjrzeć – była to barka, brązowa od rdzy, nieprawdopodobnie szeroka i zanurzona głęboko w wodzie.

Wkrótce przekonali się, co było tego przyczyną – była bardzo

mocno obciążona, na śródkręciu piętrzył się stos czegoś bliżej nieokreślonego.

Will nie mógł uwierzyć, że barka jest aż tak długa – ciągnęła się i ciągnęła bez końca.

Odległość dzieląca burtę od brzegu, na którym stali chłopcy – co najwyżej dwa metry – była taka, że bez trudu mogliby wskoczyć na pokład, gdyby tylko przyszła im na to ochota. W tej chwili wszyscy trzech stali jednak jak wryci, sparaliżowani mieszaniną fascynacji i strachu.

Wreszcie w blasku lamp pojawiły się rufa i niski komin, z którego wypływały wstęgi dymu. Z wnętrza barki dobiegał także przytłumiony, głuchy odgłos pracy silnika.

Dźwięk ten brzmiał zaskakująco łagodnie, niczym przyspieszone, lecz regularne bicie serca, wydobywające się spod powierzchni wody. Potem zobaczyli coś jeszcze.

– Koprolici – wyszeptał Cal.

Na rufie stały nieruchomo trzy przysadziste postacie, jedna z nich trzymała w rękach ster. Chłopcy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w nadpływających Koproliłów.

Potem, gdy rufa znalazła się tuż obok nich, mogli przyjrzeć się uważniej tym rozdętym, przypominającym robaki karykaturom ludzi, okrągłym ciałom i owalnym kończynom. Ich skafandry miały barwę kości słoniowej i wchłaniały światło padające na powierzchnię. Głowy Koproliłów dorównywały rozmiarami małym piłkom plażowym, jednak najbardziej zadziwiające było to, że w miejscu oczu lśniły dwa bliźniacze światła przypominające reflektory punktowe. Ze względu na owe światła trudno było powiedzieć, gdzie właściwie patrzą te dziwne stworzenia.

Chłopcy wciąż nie byli w stanie ruszyć się z miejsca; mogli jedynie gapić się z rozdziawionymi ustami na Koproliłów, którzy z kolei w

ogóle nie zwracali na nich uwagi. Było to o tyle zdumiewające, że ze względu na płonące jasno latarki, które cała trójka trzymała w dłoniach, po prostu nie dało się ich nie zauważyć.

Koprolici nie okazywali jednak w żaden sposób zaciekawienia obecnością trzech osób na pustym brzegu. Poruszali się bardzo niespiesznie, niczym pasące się krowy; promienie światła wypływające z ich oczu przemieszczały się powoli po barce, jak leniwe latarnie, i ani razu nie spoczęły na chłopcach. Potem dwaj Koprolici odwrócili się ociężale, a ich światła przesunęły się wzdłuż prawej burty do przodu, w stronę dziobu, by po chwili znów zastygnąć w bezruchu.

Nagle trzeci Kopolita zwrócił się w stronę chłopców. Poruszał się szybciej niż jego towarzysze; snopy światła wypływające z jego oczu raz po raz omiatały intruzów.

Will usłyszał, jak Cal wciąga głośno powietrze, a potem szepcze coś do siebie. W tym czasie Kopolita przesunął pulchną dłoń przed oczami, drugą zaś podniósł w geście pozdrowienia, a może nią pomachał. Jego głowa kiwała się z boku na bok, jakby próbował lepiej przyjrzeć się nieznanym, na których wciąż padał blask jego oczu.

Ten niemy dialog pomiędzy Kopolita a chłopcami nie trwał długo, gdyż barka wciąż sunęła naprzód, w mrok zalegający nad wodami kanału. Kopolita pozostawał zwrócony w ich stronę, jednak coraz większa odległość i kłęby dymu wypływające z komina przyćmiewały światło wydobywające się z jego hełmu, aż wszystko znikło w ciemności.

– Chyba powinniśmy się stąd zmywać – przemówił w końcu Chester. – Zaraz pewnie podniosą alarm albo coś takiego...

Cal machnął lekceważąco ręką.

– Nie, skąd... Oni w ogóle nie zwracają uwagi na obcych. To

głupcy... Pracują tylko w kopalniach, a potem wymieniają to, co wykopali, na owoce i kule świetlne, które znaleźliśmy w pociągu.

– A co, jeśli powiedzą o nas Styksom? – dopytywał się Chester.

– Mówiłem ci... Są głupi i z nikim nie rozmawiają – odparł ze znużeniem Cal.

– Kim oni właściwie są? – spytał Will.

– To ludzie... rodzaj ludzi... Noszą te skafandry ze względu na kurz i zepsute powietrze – odparł Cal.

– Radioaktywność – poprawił go Will.

– W porządku, nazywaj to sobie, jak chcesz. To wydobywa się z tych skał. – Cal wykonał szeroki gest ręką. – Dlatego żaden Kolonista nie zostaje tutaj na dłużej.

– Och, cudownie. Robi się coraz ciekawiej – jęknął Chester. – Nie możemy więc wrócić do Kolonii, a teraz się okazuje, że nie możemy też zostać tutaj.

Radioaktywność! Twój tata miał rację, Will, usmażymy się tutaj jak skwarki.

– Jestem pewien, że póki co nic nam nie będzie. – Will próbował uspokoić przyjaciela, jego słowa nie zabrzmiały jednak zbyt przekonująco.

– Świetnie, cudownie, naprawdę fantastycznie – warknął Chester i wciąż mrucząc coś pod nosem, wrócił do miejsca, gdzie zostawili plecaki.

– Na tym statku działo się coś dziwnego – powiedział Cal konfidencjonalnym tonem, kiedy został sam na sam ze swoim bratem.

– Co masz na myśli?

– Widziałeś, jak ten ostatni Kopolita nam się przyglądał? – spytał Cal, potrząsając z niedowierzaniem głową.

– Owszem, zauważyłem – potwierdził Will. – Ale przed chwilą powiedziałeś, że oni nie zwracają uwagi na obcych.

– Bo tak właśnie jest... Mówię ci. Widziałem ich z tysiąc razy w Południowej Jaskini i zawsze zachowywali się tak samo. Oni nigdy nie patrzą prosto na ciebie. A ten dziwnie się też poruszał... O wiele za szybko jak na Kopro-łitę. Mówię ci, nie zachowywał się normalnie. – Cal umilkł na moment i podrapał się w zamyśleniu w głowę. – Może tutaj, na swoim terenie, zachowują się trochę inaczej. Ale tak czy inaczej, to dosyć dziwne.

– Pewnie tak – odparł Will w zamyśleniu, nie przypuszczając nawet, jak niewielka odległość dzieliła go właśnie od ojca.

Rozdział piętnasty



Doktor Burrows podniósł głowę, przekonany, że usłyszał przed chwilą łagodny dźwięk dzwonu, sygnał pobudki, który rozbrzmiewał co rano w osadzie Koproliatów.

Nasłuchiwał przez chwilę, a potem zmarszczył brwi. Wokół panowała zupełna cisza.

– Musiałem zaspać – mruknął, pocierając ze zdumieniem twarz; odkrył właśnie, że ma kilkudniowy zarost. Polubił potarganą brodę, którą nosił już od tak dawna; przekonał się, jak bardzo mu jej brakuje, gdy w końcu ją zgolił. Jakaś część jego psychiki czuła się bardzo dobrze z obrazem brodatego naukowca. Obiecał sobie, że wyhoduje zarost na czas triumfalnego powrotu na powierzchnię, bez względu na to, kiedy miałyby to nastąpić. Wyglądałby naprawdę imponująco na pierwszych stronach gazet. Oczami wyobraźni widział już te nagłówki: Robinson Crusoe podziemi, Dzikus z Głębi, Doktor Hades...

– Wystarczy – nakazał sobie surowo, kładąc kres tym mrzonkom.

Niestrudzony naukowiec odsunął na bok szorstki koc, podniósł się i usiadł na materacu wypełnionym materiałem przypominającym słomę. Łóżko było za krótkie nawet jak dla człowieka średniego wzrostu, jakim był Burrows; nogi doktora wystawały więc niemal pół metra za niewygodne legowisko.

Burrows włożył okulary i podrapał się po głowie. Próbował samodzielnie obciąć włosy, jednak nie wyszło mu to najlepiej; w kilku miejscach wygolił je niemal do skóry, podczas gdy w innych sterczały

nierówne, kilkucentymetrowe kępki.

Poczochrał beładną czuprynę ze zdwojoną siłą, a potem drapał się po piersiach i pod pachami. Chwilę później, krzywiąc się z odrazą, spojrzał lekko nieprzytomnym wzrokiem na swoje paznokcie.

– Dziennik! – przemówił nagle. – Nic wczoraj nie napisałem.

Wrócił tak późno, że zupełnie zapomniał o opisanu wydarzeń minionego dnia.

Cmokając z niesmakiem, wyciągnął dziennik spod łóżka i otworzył go na pustej stronie, opatrzonej jedynie napisem: Dzień Pogwizdując od czasu do czasu jakąś nieskładną melodię, zaczął pisać: W nocy omal nie zadrapałem się na śmierć.

Przerwał na moment, polizał w zamyśleniu koniec ołówka, po czym ponownie przystąpił do pisania: Te wszy są po prostu nieznośne i robią się coraz gorsze.

Rozejrzał się po małym, niemal okrągłym pokoju o średnicy około czterech metrów, później zaś przeniósł wzrok na wklęsły sufit. Powierzchnia ścian była nierówna, jakby tynk lub błoto, czy też jakaś inna substancja, z której je wykonano, nakładane były ręcznie. Ze względu na kształt pomieszczenia doktor Burrows czuł się tak, jakby został zamknięty w wielkim słoju; bawiła go myśl, że teraz już wie, jak czuł się dzin uwięziony w butelce. Wrażenie to pogłębiał fakt, że jedyna droga wyjścia znajdowała się poniżej, na środku podłogi, i przykryta była kawałkiem pogiętego metalu, przypominającego starą pokrywę pojemnika na śmieci.

Doktor spojrzał na swój skafander, zawieszony na drewnianym kołku na ścianie, niczym skóra zrzucona przez jaszczurkę. Z otworów umieszczonych na wysokości oczu wypływał blask emitowany przez świetlne kule. Powinien założyć odzienie, czuł się jednak w obowiązku uzupełnić najpierw wpis z poprzedniego dnia. Notował więc dalej: Czuję, że nadszedł już czas, bym ruszał w dalszą drogę.

Koprolici...

Zawahał się na moment, zastanawiając się, czy powinien używać nazwy, którą wymyślił dla tych ludzi, zakładając, że byli gatunkiem odmiennym od homo sapiens, czego nie mógł jeszcze stwierdzić z całą pewnością.

– Homo caves – powiedział i potrząsnął głową, uznawszy, że nie powinien jednak tego robić. Nie chciał wprowadzać niepotrzebnego zamieszania, nim wszystkie fakty zostaną potwierdzone. Zabrał się ponownie do pisania: Wydaje mi się, że Koprolici próbują mi przekazać, iż powinienem odejść, choć nie wiem dlaczego.

Nie sądzę, żeby miało to coś wspólnego z moją osobą, a dokładniej rzecz biorąc, z tym, co robiłem. Być może się myłę, ale jestem niemal pewien, że ostatnio zmieniła się atmosfera w obozowisku. W ciągu minionej doby widziałem tu większą aktywność niż przez ostatnie dwa miesiące. Jeśli dodatkowo wziąć pod uwagę to, że zaczęli gromadzić większe zapasy żywności i zabronili kobietom oraz dzieciom wychodzić na zewnątrz, można by dojść do wniosku, że grozi im jakieś obłędzenie.

Oczywiście, mogą to być tylko specjale środki ostrożności, które przedsięwzięją od czasu do czasu – jestem jednak pewien, że wkrótce coś się tutaj wydarzy.

Wygląda więc na to, że czas, bym na nowo podjął przerwana podróż. Będzie mi ich bardzo brakowało. Przyjęli mnie do swej łagodnie nastawionej społeczności, w której wszyscy tak świetnie czują się ze sobą, i – co dziwniejsze – nawet ze mną. Być może dzieje się tak dlatego, że nie jestem Kolonistą ani Styksem, a oni wyczuwają, że nie stanowią żadnego zagrożenia dla nich ani ich dzieci.

To właśnie ich potomstwo, zawsze rozbrykane i skore do zabawy, stanowi dla mnie szczególne źródło fascynacji. Często muszę sobie przypominać, że młode osobniki należą do tego samego gatunku co

dorośli.

Doktor przestał na moment pogwizdywać i zachichotał pod nosem, przypominając sobie, jak początkowo dorośli nie chcieli nawet patrzeć mu w oczy, gdy próbował się z nimi porozumieć. Odwracali małe, szare ślepia, komunikując językiem ciała krępującą i niezrozumiałą uległość. Od tych skromnych ludzi dzieliła go tak ogromna różnica temperamentu, że czasami myślał o sobie jako o bohaterze z Zachodu, samotnym rewolwerowcu, który przejechał przez prerię i trafił do miasta farmerów czy górników, albo kogoś w tym rodzaju. Dla nich doktor Burrows był potężnym, wszechmocnym zdobywcą, bohaterem. Ha! On!

– Bierz się do roboty, dobrze? – przykazał sobie głośno i powrócił do pisania: Ogólnie rzecz biorąc, są to bardzo łagodni i zarazem powściągliwi ludzie, a ja nie mogę powiedzieć, bym naprawdę ich poznał. Być może rzeczywiście pokorni posiadli tę ziemię.

Nigdy nie zapomnę aktu miłosierdzia, którym było uratowanie mi życia. Pisałem o tym już wcześniej, ale teraz, kiedy mam odejść, częściej o tym myślę.

Doktor Burrows przerwał i podniósł wzrok, wpatrując się przez moment w przestrzeń, jak ktoś, kto usiłuje sobie coś przypomnieć, ale zapomniał właściwie, dlaczego mu na tym zależy.

Potem przekartkował dziennik do tyłu, aż znalazł zapiski dotyczące pierwszego dnia w Głębi i przeczytał je głośno: Koloniści byli nieprzyjaźni i małomówni, kiedy zaprowadzili mnie do wąskiego, powulkanicznego korytarza, położonego w sporej odległości od Pociągu Górników.

Powiedzieli, że powinienem iść dalej tym tunelem, w stronę Wielkiej Równiny, i że to, co chcę zobaczyć, znajduje się po drodze. Kiedy próbowałem zadawać im jakieś pytania, robili się agresywni.

Nie chciałem wdawać się z nimi w kłótnie, zrobiłem więc to, co mi

kazali.

Odszedłem szybkim krokiem we wskazanym kierunku, zatrzymałem się jednak, gdy tylko zniknęli mi z oczu. Nie byłem wcale przekonany, że idę we właściwą stronę.

Podjeżdżałem, że wysłali mnie tam specjalnie, bym zabłądził w labiryncie tuneli, wróciłem więc do punktu wyjścia...

W tym momencie doktor Burrows ponownie mlasnął językiem i pokręcił głową.

... i w rezultacie zupełnie się pogubiłem.

Przewrócił stronę, jakby wciąż był zły na siebie, potem zaś przejrzał opis pustego domu, który odkrył podczas wędrówki, oraz otaczających go chat.

Przerzucił szybko te notatki, jakby nie wydawały mu się szczególnie interesujące, i zatrzymał się na usmarowanej, brudnej stronie. Jego pismo, które nigdy nie było zbyt wyraźne, tutaj robiło się jeszcze gorsze; napisane w pośpiechu wyrazy przecinały kartkę pod różnymi kątami, ignorując zupełnie wyrysowane tam linie. Miejscami poszczególne zdania zachodziły jedno na drugie, niczym literackie bierki. Na dole trzech kolejnych stron widniał napis ZAGINIONY wypisany wielkimi, coraz bardziej koślawymi wersalikami.

– Niechlujnie, niechlujnie – skarcił sam siebie. – Ale byłem w kiepskim stanie.

Potem jego uwagę przyciągnął pewien zapisek na tej stronie, więc głośno go przeczytał: Trudno mi określić, jak długo włóczyłem się po tej gęstwinie korytarzy. Czasami nadzieja zupełnie mnie opuszczała, zaczynałem się wówczas godzić z faktem, że być może nigdy już nie wyjdę z tego labiryntu, jednak teraz mogę stwierdzić, że warto było...

Dokładnie poniżej znajdował się podtytuł, obwieszczający z dumą: KAMIENNY

KRĄG. Kolejne strony pokryte były niezliczonymi szkicami kamieni tworzących podziemny monument, na który doktor natknął się podczas długiej wędrówki.

Odwzorował nie tylko pozycję i kształty samych kamieni, ale na każdej stronie rysował w rogu kółko, niczym widok przez szło powiększające, gdzie skrupulatnie kopiował symbole i dziwne znaki wyciosane na powierzchni głazów. Odkrycie tych skał podniosło go ogromnie na duchu, choć wciąż dokuczały mu głód i pragnienie.

Nie wiedząc, na jak długo będą musiały wystarczyć mu zapasy, starał się każdego dnia jeść tak mało, jak tylko się da.

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech samozadowolenia, gdy przeglądał te strony, podziwiając swoje dzieło.

– Doskonale, doskonale.

Zatrzymał się ponownie na następnej kartce, a potem wydał usta i wydał z siebie bezgłośnie: „Ach!”, czytając wielki nagłówek: JASKINIE TABLICZEK

Kilka linijek poniżej napisał: Kiedy znalazłem kamienny krąg, myślałem, że dopisało mi ogromne szczęście. Nie miałem pojęcia, że wkrótce odkryję coś, co moim zdaniem może być równie ważne albo nawet ważniejsze. Jaskinie wypełnione były tabliczkami, setkami tabliczek, pokrytych pismem podobnym do tego, które znalazłem wcześniej na menhirach³ w kręgu.

Na kolejnych dziesięciu stronach znajdowały się rysunki tabliczek, staranne, drobiazgowo kopie znaków wyrytych na ich powierzchni. W miarę jednak jak doktor przewra-3 Nieociosane lub częściowo obrobione głazy, w kulturze celtyckiej ustawiane pionowo na grobie zmarłego; pochodzą głównie z neolitu i wczesnej epoki brązu.

cał kartki, rysunki robiły się coraz bardziej niestaranne, aż w końcu wyglądały tak, jakby nakreślone zostały ręką dziecka.

MUSZĘ PRACOWAĆ – głosił tekst umieszczony pod jednym z

niedbałych szkiców; zapisany był z taką siłą, że linie wcinały się głęboko w papier, a miejscami nawet go porozrywały.

MUSZĘ ODCZYTAĆ TO PISMO! TO JEDYNY SPOSÓB, BY DOWIEDZIEĆ SIĘ, KTO TU ŻYŁ! MUSZĘ WIEDZIEĆ, MUSZĘ...

Doktor przesunął czubkiem palca po zapisanych słowach, próbując przypomnieć sobie stan swego umysłu w tamtej chwili. Pamiętał to jak przez mgłę. Skończyło mu się jedzenie, jednak on nadal pracował gorączkowo, nie przejmując się szczególnie malejącym zapasem wody. Gdy w końcu jej zabrakło, był ogromnie zaskoczony.

Wciąż próbując sobie przypomnieć tamte chwile, spojrzał na notatkę sporządzoną staranniejszym, niemal rozpaczliwym pismem, pośrodku zarysu tabliczki, której nigdy nie skończył szkicować.

Muszę nadal pracować. Opuszczają mnie siły. Tablice robią się coraz cięższe, kiedy taszczę je tutaj ze sterty, by potem je opisać. Żyję w strachu, że w końcu którąś upuszczę. Muszę. |.

Tutaj notka się kończyła. Doktor Burrows nie pamiętał, co działo się potem, wiedział tylko, że w stanie zbliżonym do delirium wyszedł na poszukiwanie źródła, nie znalazłszy jednak nic, zdołał dotrzeć z powrotem do Jaskiń Tabliczek.

Kolejna strona była pusta, na następnej zaś znajdował się nagłówek DZIEN? oraz słowa: Koprołici. Wciąż zastanawiam się, czy żyłbym jeszcze, gdyby dwoje dzieci nie natknęło się na mnie i nie sprowadziło dorosłych. Musiało być ze mną naprawdę kiepsko. Zachowałem w pamięci obraz dziwnych postaci pochylających się nad moim dziennikiem, ich światła skierowanych na rysunki. Nie jestem jednak pewien, czy rzeczywiście to widziałem, czy też tylko mój umysł podpowiada mi, jak mogło to wyglądać.

– Tracę czas. Niedobrze – powiedział do siebie surowym tonem doktor, potrząsając jednocześnie głową. – Wczorajszy wpis! Muszę skończyć wczorajszy wpis. – Przerzucił kartki, aż znalazł stronę, na

której zaczął notować, i przyłożył ołówek do papieru.

Napisał: Rankiem, kiedy już włożyłem skafander, szedłem do spiżarni po śniadanie. Po drodze mijałem płac, na którym grupa dzieci Koprołitów bawiła się w coś, co przypominało grę w kulki. Około dziesiątki dzieciaków w różnym wieku kucalo i toczyło po płaskim, wysprzątanym podłożu kule wykonane z materiału przypominającego wypolerowany łupek. Wszystkie próbowały przewrócić rzeźbiony, kamienny kręgiel w kształcie człowieka.

Jedno po drugim rzucały kulami do kręgła, a gdy przeszła już cała kolejka, kręgiel wciąż stał. Któreś z młodszych dzieci wręczyło mi taką kulę. Była lżejsza, niż przypuszczałem; na początku upuściłem ją więc kilka razy (wciąż nie mogę przyzwyczaić się do tych rękawic), aż wreszcie, z pewną trudnością, zdołałem ją umieścić między kciukiem i palcem wskazującym. Próbowałem, dość niezdarnie, przymierzyć się do rzutu, kiedy – wyobraźcie sobie moje zaskoczenie! – szara kuła nagle ożyła. Rozwinęła się i uczepiła mojej dłoni! Była to olbrzymia stonoga, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem.

Muszę przyznać, że byłem zdumiony i upuściłem ją. Przypominała *Armadillidium vulgare*, kulankę pospolitą, tyle że hodowaną na sterydach! Miała wiele par połączonych stawowo nóg, z których zrobiła doskonały użytek, uciekając z zawrotną prędkością. Kilkoro dzieci natychmiast rzuciło się w pościg za robolem. Słyszałem, jak inne chichoczą w swoich skafandrach; uważały, że było to bardzo zabawne.

Nieco później tego samego dnia spostrzegłem, że dwóch starszych członków obozowiska przygotowuje się do wyjścia. Dotykali się hełmami skafandrów i zapewne rozmawiali ze sobą, choć nigdy nie słyszałem ich języka – nie mogę nawet wykluczyć, że jest to angielski.

Poszedłem za nimi, a oni najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu – nigdy nie mają.

Wyszliśmy z obozowiska, a kiedy już wdrapaliśmy się na górę, jakiś inny Koprołita przetoczył głaz na miejsce, blokując wejście. Fakt, że ich osady wydrążone są w dnie Wielkiej Równiny oraz prowadzących do niej korytarzy, a czasem nawet w suficie, sprawia, że są w ogóle niewidoczne dla postronnego obserwatora. Wlokłem się za dwoma Koprołitami przez kilka godzin, aż opuściliśmy Wielką Równinę i weszliśmy do korytarza prowadzącego stromo w dół. Kiedy tunel wrócił ponownie do poziomu, przekonałem się, że jesteśmy na terenie jakiegoś portu.

Był naprawdę duży, zaopatrzony w szyny kolejowe o szerokim rozstawie, które ciągnęły się wzdłuż basenu portowego. (Przypuszczam, że to Koprołici byli odpowiedzialni za realizację dwóch potężnych przedsięwzięć, to jest ułożenie torów pod Pociąg Górników oraz wykopanie systemu kanałów). Przy nabrzeżu stały zacumowane trzy łodzie kanałowe; ucieszyłem się ogromnie, kiedy Koprołici wsiedli do jednej z nich, nigdy wcześniej bowiem nie miałem okazji płynąć niczym podobnym. Jednostka załadowana była niedawno wydobytym węglem i napędzana silnikiem parowym – przyglądałem się, jak sypali węgiel do paleniska i podpalali go, używając krzesiwa.

Kiedy już się wytworzyło odpowiednie ciśnienie, ruszyliśmy w drogę; wypłynęliśmy z portu i pokonywaliśmy kolejne mile kanałów wyłożonych kamieniem.

Zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie, by otworzyć i zamknąć śluzy; mogłem wtedy zejść na brzeg i przyglądać się, jak za pomocą korb Koprołici obsługują wielkie grodzie.

Nieco później tego samego dnia spostrzegłem, że dwóch starszych członków obozowiska przygotowuje się do wyjścia. Dotykali się hełmami skafandrów i zapewne rozmawiali ze sobą, choć nigdy nie słyszałem ich języka – nie mogę nawet wykluczyć, że jest to angielski.

Poszedłem za nimi, a oni najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu – nigdy nie mają.

Wyszliśmy z obozowiska, a kiedy już wdrapaliśmy się na górę, jakiś inny Koprolicita przetoczył głaz na miejsce, blokując wejście. Fakt, że ich osady wydrążone są w dnie Wielkiej Równiny oraz prowadzących do niej korytarzy, a czasem nawet w suficie, sprawia, że są w ogóle niewidoczne dla postronnego obserwatora. Wlokłem się za dwoma Koprolicitami przez kilka godzin, aż opuściliśmy Wielką Równinę i weszliśmy do korytarza prowadzącego stromo w dół. Kiedy tunel wrócił ponownie do poziomu, przekonałem się, że jesteśmy na terenie jakiegoś portu.

Był naprawdę duży, zaopatrzony w szyny kolejowe o szerokim rozstawie, które ciągnęły się wzdłuż basenu portowego. (Przypuszczam, że to Koprolicici byli odpowiedzialni za realizację dwóch potężnych przedsięwzięć, to jest ułożenie torów pod Pociąg Górników oraz wykopanie systemu kanałów). Przy nabrzeżu stały zacumowane trzy łodzie kanałowe; ucieszyłem się ogromnie, kiedy Koprolicici wsiedli do jednej z nich, nigdy wcześniej bowiem nie miałem okazji płynąć niczym podobnym. Jednostka załadowana była niedawno wydobytym węglem i napędzana silnikiem parowym – przyglądałem się, jak sypali węgiel do paleniska i podpalali go, używając krzesiwa.

Kiedy już się wytworzyło odpowiednie ciśnienie, ruszyliśmy w drogę; wypłynęliśmy z portu i pokonywaliśmy kolejne mile kanałów wyłożonych kamieniem.

Zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie, by otworzyć i zamknąć śluzy; mogłem wtedy zejść na brzeg i przyglądać się, jak za pomocą korb Koprolicici obsługują wielkie grodzie.

Kiedy tak płynęliśmy, rozmyślałem sporo o tym, jak bardzo ci ludzie i Koloniści uzależnieni są od siebie; tworzą rodzaj mimowolnej

symbiozy, choć powiedziałbym, że owoce i świetlne kule to niewielka cena za olbrzymie ilości węgla i żelaza, które Kolonia otrzymuje w zamian. Ci ludzie to prawdziwi mistrzowie górnictwa, choć mają do dyspozycji narzędzia napędzane silnikami parowymi (moje rysunki w Załączniku nr 2).

Mijałyśmy obszary straszliwego gorąca, które opisywałem już wcześniej, gdzie lava najprawdopodobniej przepływa tuż za skałami. Wolę nawet nie myśleć, jaka temperatura panowała na zewnątrz mojego skafandra; wówczas też nie miałem ochoty tego sprawdzać. W końcu wróciliśmy na Wielką Równinę, i to w całkiem niezłym tempie; silnik pracował już na pełnych obrotach. Zaczynałem odczuwać ogromne zmęczenie (te skafandry wydają się piekielnie ciężkie, kiedy nosi się je dłużej), – gdy zobaczyliśmy na brzegu kanału grupę Kolonistów, bo nie sędzę, by mógł to być ktokolwiek inny.

Z pewnością nie byli Styksami i wydaje mi się, że mogliśmy ich trochę wystraszyć.

Było ich trzech i z tego, co zaobserwowałem, tworzyli dość przypadkową zbieraninę.

Wyglądali też na nieco zagubionych i zdenerwowanych. Nie widziałem ich zbyt wyraźnie, bo lampy skafandra w połączeniu z okularami dają mocny blask, który w znacznym stopniu osłabia mój wzrok.

Nie wyglądali na dorosłych Kolonistów, nie mam więc zielonego pojęcia, co robili tak daleko od pociągu. Gapili się na nas, podczas gdy dwaj towarzyszący mi Koprolici zgodnie ze swym zwyczajem w ogóle nie zwracali na nich uwagi.

Próbowałem do nich pomachać, ale chyba tego nie zauważyli być może oni także zostali Wynnani z Kolonii, tak jak i ja zostałem, gdybym nie pojechał do Interioru na własną prośbę.

Doktor Burrows przeczytał ostatni akapit; jego oczy zaszyły mgłą,

gdy znów zaczął marzyć. Wyobraził sobie swój zniszczony dziennik, otwarty na tej właśnie stronie i zamknięty w szklanej gablocie w Bibliotece Brytyjskiej albo nawet w Instytucie Smithsona.

– Historia – powiedział do siebie poważnym głosem. -Tworzysz historię.

W końcu włożył skafander, odsunął drzwi w kształcie kłapy śmietnika i zszedł niżej, korzystając ze schodów wykutych w ścianie. Gdy stanął na dole, na starannie zagrabionym gruncie, rozejrzał się dokoła, wsłuchany w swój głośny oddech.

Miał rację, kiedy myślał, że zmiany wiszą w powietrzu.

Coś się stało.

Osada tonęła w mroku i była kompletnie pusta.

Na środku placu płonęło samotne migotliwe światło. Doktor Burrows ruszył w jego stronę, spoglądając na sklepienie jaskini i umieszczone, w nim włazy. Światła skafandra pozwoliły mu przekonać się, że wszystkie włazy są otwarte. Koprolici nigdy ich tak nie zostawiali.

Przecucie go nie myliło. Obozowisko zostało ewakuowane, kiedy on spał.

Zbliżył się do światła płonącego na środku placu. Była to lampka oliwna, wisząca nad stołem o obsydianowym blacie, który osadzono w rdzewiejącej żelaznej ramie.

Wypolerowana czarna powierzchnia, upstrzona rozproszonymi jaśniejszymi plamami, odbijała światło niczym lustro. Doktor Burrows zauważył, że na stole leżą jakieś przedmioty podświetlone od dołu tym dziwnym, odbitym blaskiem.

Prostokątne paczuszki starannie opakowane w coś, co wyglądało jak papier ryżowy, i ułożone w rzędki. Podniósł jedną z nich i zważył w dłoni.

– Zostawili mi trochę jedzenia – powiedział. Ogarnięty nagle falą

wzruszenia i sympatii dla tych łagodnych stworzeń, z którymi spędził tyle czasu, podniósł rękę, by otrzeć łzy napływające do oczu. Jednak dłoń okryta rękawicą natrafiła tylko na szklane soczewki hełmu.

– Będzie mi was brakowało – powiedział drżącym głosem, stłumionym przez grube warstwy skafandra. Gwałtownie pokręcił głową, otrząsając się z nadmiaru emocji.

Bał się takich napadów sentymentalizmu. Wiedział, że gdyby im się poddał, wróciłoby poczucie winy i tęsknota za rodziną, którą zostawił na powierzchni, za żoną Celią i dziećmi – Willem i Rebeką.

Nie. Emocje były luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić, nie teraz. Miał swój cel, nic nie mogło go od niego odwieść.

Zaczął zbierać paczuszki. Kiedy podniósł ostatnią, zobaczył, że na stole leży jeszcze zwój pergaminu. Szybko odłożył paczki z powrotem na miejsce i rozwinął papier.

Była to bez wątpienia mapa, wyrysowana wyraźnymi, zamazystymi liniami i obwiedziona stylizowanymi symbolami. Obrócił pergamin w jedną stronę, potem w drugą, próbując odszukać miejsce, w którym właśnie przebywał. Z triumfalnym „Tak!” rozpoznał wreszcie opuszczoną osadę Koproliatów, a potem powiodł palcem wzdłuż najmocniej zaznaczonego kształtu na mapie – granicy Wielkiej Równiny. Od krawędzi odchodziły maleńkie, równoległe linie, którymi najwyraźniej oznaczono tunele. Obok linii znajdowało się mnóstwo symboli, których doktor na razie nie rozumiał. Zmarszczył brwi, całkowicie pochłonięty oglądaniem mapy.

Te ciche, skromne istoty dały mu to, czego potrzebował. Pokazały mu drogę.

Złożył razem dłonie i unióś je na wysokość twarzy, zaciskając mocno w dziękczynnej modlitwie.

– Dziękuję, dziękuję – powtarzał, myśląc już tylko o czekającej go podróży.

Część druga

Powrót do domu

Rozdział szesnasty



Sara odciągnęła skórzaną zasłonkę, by wyrzec przez maleńkie okienko w drzwiach powozu. Droga wiodła przez ciąg ciemnych tuneli, aż wreszcie, gdy pojazd wyjechał z za rogu, kobieta ujrzała przed nimi jakieś światła.

W blasku rzucanym przez latarnie ukazały się pierwsze bryły szeregowców. Kiedy je mijali, Sara zauważyła, że drzwi niektórych domów są otwarte; nie widziała jednak żadnych ludzi, a małe trawniki od frontu pokryte były wysokimi kępami czarnych porostów i grzybów. Po chodnikach walały się przedmioty, które niegdyś zapewne stanowiły wyposażenie tych domów: garnki, ubrania i kawałki połamanych mebli.

Powóz zwolnił, by ominąć skalne zwalisko. Zawał był poważny; część tunelu się osunęła, a olbrzymie wapienne bloki spadły na dach domu, niemal całkowicie go niszcząc.

Zaskoczona Sara spojrzała na siedzącą naprzeciwko Rebece.

– Ta część jaskini ma być zasypana, żebyśmy mogli ograniczyć liczbę przejść do Górnoziemia. To jeden z rezultatów tego, co zrobił twój syn, wkradając się do Kolonii – oznajmiła Rebecka rzeczowo, kiedy powóz znów przyspieszył i zaczął się mocniej kołysać, trzęsąc pasażerami.

– To wszystko z powodu Willa? – spytała Sara, wyobrażając sobie, jak mieszkający tu ludzie zostali bezwzględnie zmuszeni do opuszczenia swych domów.

– Mówiłam ci już, wcale go nie obchodzi, kogo może skrzywdzić – odparła Rebeka. – Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny. To socjopata i ktoś musi go powstrzymać.

Stary Styks siedzący obok Rebeki skinął z powagą głową.

Pokonując kręte tunele i brukowane gościńce, zjeżdżali coraz niżej i niżej, aż dotarli do promenady ze sklepami. Zabite deskami witryny świadczyły o tym, że wiele z lokali zostało zamkniętych.

Końcowy odcinek drogi do Kolonii nie oferował żadnych ciekawych widoków, więc Sara zasłoniła okienko i usiadła. Czuła ogromne skrępowanie; spuściła wzrok i siedziała nieruchomo, wpatrzona w swoje kolana. Nagle powóz najechał na jakąś nierówność i przechylił się niebezpiecznie, rzucając pasażerów na ściany. Pani Jerome spojrzała z niepokojem na Rebeke, ta jednak obdarzyła ją tylko kojącym uśmiechem; powóz znów jechał prosto. Dwaj pozostali Styksowie trwali niewzruszeni, tak jak podczas całej podróży. Sara zerknęła na nich ukradkiem i wzdrygnęła się mimowolnie.

Nie mogła w to uwierzyć.

Wrogowie, których nienawidziła dotychczas każdą cząstką swej duszy, siedzieli tuż obok. Byli jej towarzyszami podróży. Czuła ich zapach. Po raz tysięczny zastanawiała się, czego tak naprawdę od niej chcą. Być może po przybyciu do Kolonii zamierzali po prostu wrzucić ją do celi, a potem zabić albo Wygnać.

Dlaczego jednak odgrywaliby tę całą komedię, gdyby rzeczywiście chodziło im tylko o to? Narastało w niej pragnienie ucieczki, wyrwania się z tego miejsca. Jej umysł krzyczał, by jak najszybciej brała nogi za pas. Zaczęła nawet kalkulować, jak daleko udałoby się jej dotrzeć. Patrzyła na klamkę w drzwiach, ruszając przy tym bezwiednie palcami. Rebeka wyciągnęła ku niej rękę i położyła ją na niespokojnych dłoniach współpasażerki.

– Już niedaleko.

Sara próbowała się uśmiechnąć, gdy nagle w blasku mijanej lampy spostrzegła, że stary Styks patrzy prosto na nią. Jego źrenice nie były całkiem czarne, jak oczy innych Styksów; widniał w nich delikatny błysk koloru, którego sama nie potrafiła określić – coś między czerwienią i brązem – a który jej zdaniem był ciemniejszy i głębszy od samej czerni.

Spojrzenie Styksa wprawiało ją w ogromny niepokój i skrępowanie; jakby ten starzec wiedział dokładnie, o czym ona myśli. Po chwili mężczyzna skierował wzrok na okno i nie odwrócił go aż do końca podróży; nawet wtedy, gdy zaczął mówić.

Odezwał się tylko raz w czasie całej drogi. Przemawiał jak człowiek doświadczony życiowo; nie było to mściwe łajanie i pouczanie, które Sara słyszała wielokrotnie z ust innych Styksów. Wydawało się, że starannie waży słowa, zastanawia się nad nimi, nim pozwoli im opuścić usta.

– Nie różnimy się od siebie aż tak bardzo, Saro.

Kobieta gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na niego. Fascynowała ją sieć głębokich zmarszczek w kącikach jego oczu; kurczyły się czasami, jakby miał się uśmiechnąć – choć nigdy tego nie robił.

– Jeśli czegoś nam brakuje, to świadomości, że niektórzy z mieszkających tu ludzi, nieliczni, wcale nie różnią się tak bardzo od nas, Styksów.

Zamrugnął powoli, gdy mijali wyjątkowo dużą latarnię, a powóz wypełnił się rzucanym przez nią blaskiem. Sara zauważyła, że nikt z pozostałej dwójki pasażerów nie patrzy na starego Styksa ani na nią.

– Oddzielamy się od reszty społeczeństwa, a czasami pojawia się ktoś taki jak ty.

Masz siłę, która odróżnia cię od innych; stawiasz nam opór z pasją

i ferworem, jakich oczekujemy od nas samych. Walczysz jedynie o uznanie swoich praw, o coś, w co wierzysz – nieważne, w co – a my cię nie słuchamy – umilkł na moment i wziął głęboki oddech. – Dlaczego? Bo musieliśmy dominować i kontrolować mieszkańców Kolonii od tylu już lat – dla wspólnego dobra – i zazwyczaj traktujemy wszystkich tak samo. Ale ty jesteś ulepiona z innej gliny. Choć należysz do Kolonistów, jesteś bezkompromisowa, oddana bez reszty swojej sprawie, krótko mówiąc, inna...

zupełnie inna. Może powinniśmy cię tolerować, chociażby w uznaniu dla twojego niezłomnego ducha.

Sara patrzyła na niego jeszcze długo po tym, jak zamilkł, i zastanawiała się, czy oczekiwał od niej jakiejś odpowiedzi. Nie miała pojęcia, co chciał jej przed chwilą przekazać. Czy próbował okazać współczucie? Może był to rodzaj styksowej kokieterii?

A może składał jej niesłychaną, bezprecedensową propozycję, by przyłączyła się do Styksów? To niemożliwe. Nie do pomyślenia. Coś podobnego nigdy się nie zdarzyło; Styksowie i Koloniści to były dwie różne rasy – ciemniejscy i ciemniejsi, o czym zresztą wspomniał stary Styks. Tej pary nie da się pogodzić... Tak zawsze było i zawsze będzie, na wieki wieków...

Sara nie mogła jednak przestać o tym myśleć; wciąż się zastanawiała, do czego zmierzał ów mężczyzna, aż przyszła jej do głowy inna możliwość. Czy jego słowa nie były po prostu przyznaniem się do błędu, spóźnionymi przeprosinami za to, jak ją potraktowano, gdy umierało jej dziecko? Wciąż to rozważała, kiedy powóz zatrzymał się przed Bramą Czaszki.

Przejeżdżała przez nią tylko kilka razy w życiu, towarzysząc mężowi podczas jakichś oficjalnych wizyt w Czwartce. Zwykle musiała wtedy czekać na ulicy, a jeśli już nawet mogła wejść na zebranie, nie wolno jej było zabierać głosu.

Tak zawsze odbywało się to w Kolonii; powszechny był pogląd, że kobiety nie są równe mężczyznom, i nie pozwalano im zajmować żadnych odpowiedzialnych stanowisk.

Krażyły plotki, że wśród Styksów wyglądało to nieco inaczej. Właściwie żywym dowodem na tę odmienność przekonań była siedząca przed nią Rebeka. Sara nie mogła uwierzyć, że to dziecko ma aż taką władzę. Słyszała również, głównie od Tama, że wśród Styksów istnieje wewnętrzny krąg, coś w rodzaju rodziny królewskiej, która znajduje się na samym szczycie ich hierarchii, choć były to prawdopodobnie czyste spekulacje. Styksowie żyli z dala od mieszkańców Kolonii, nikt więc nie wiedział do końca, co się wśród nich dzieje. Po tawernach krążyły jednak pogłoski o ich przedziwnych praktykach religijnych, przekazywane szeptem z ust do ust i wyolbrzymiane przy każdym powtórzeniu.

Spoglądając na dziewczynę i starego Styksa, Sara pomyślała nagle, że być może ci dwoje są ze sobą spokrewnieni. Jeśli wierzyć plotkom, Styksowie nie żyli w normalnych rodzinach; dzieci zabierane były od rodziców we wczesnym wieku i wychowywane przez opiekunów lub nauczycieli w szkołach prywatnych.

Jednak patrząc na siedzącą w ciemności parę, Sara wyczuwała instynktownie, że coś ich łączy; coś więcej niż zwykła lojalność Styksa wobec Styksa. Pomimo zaawansowanego wieku i nieprzeniknionego oblicza w zachowaniu starca w stosunku do dziewczynki dało się wyczuć rodzaj ojcowskiej troski i dobroćliwości.

Rozmyślenia Sary przerwało pojedyncze stuknięcie w drzwi powozu, które w następnej chwili się otworzyły. Wnętrze pojazdu rozświetlił oślepiający blask, tak że kobieta musiała przesłonić oczy. Siedzący obok niej młodszy Styks zamienił ze strażnikiem kilka zdań w szeleszczącym języku i ten natychmiast wycofał się, zabierając lampę z powozu. Z przodu dobiegł zgrzyt unoszącej się Bramy

Czaszki. Sara nie pochyliła się do okna, by wyrzeć na zewnątrz, wyobraziła sobie jednak grubą żelazną kratę, która wsuwa się do umieszczonej powyżej olbrzymiej czaszki wykutej w kamieniu.

Brama miała za zadanie zatrzymać mieszkańców wielkiej jaskini, którzy chcieliby ją opuścić bez pozwolenia władz. Oczywiście, Tam znalazł mnóstwo dróg omijających przeszkodę. Traktował to jak zabawę w podchody; za każdym razem, gdy któryś z jego przemytniczych szlaków został odkryty, znajdował inną trasę do Górnoziemia.

Sara również skorzystała z jednej z takich dróg, ukrytej w tunelu wentylacyjnym.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, wspominając, jak ten wielki mężczyzna o dłoniach niczym bochny chleba przygotował dla niej szczegółową mapę ucieczki; wyrysował ją starannie brązowym tuszem na kawałku materiału wielkości chusteczki do nosa.

Wiedziała, że ta droga jest teraz bezużyteczna – z pewnością Styksowie z typową dla siebie sprawnością zablokowali ją już kilka godzin po jej ucieczce.

Powóz ruszył naprzód. Przemieszczając się z niesamowitą prędkością, zjeżdżał coraz głębiej i głębiej. Potem zmieniło się powietrze; nozdrza Sary wypełnił zapach spalenizny, a pojazd zaczął drżeć w rytm głębokiego, wszechogarniającego dudnienia. Mijali właśnie główne wentylatornie. Ukryte w olbrzymiej jaskini, wysoko nad Kolonią, potężne wentylatory pracowały dzień i noc, wyrzucając na powierzchnię dym i zastałe opary.

Sara wciągnęła powietrze w nozdrza. Tutaj, w górze, wszystko było wyraźniejsze: dym z kominów, kuchenne zapachy, smród stęchlizny i zgnilizny, a także stężony odór olbrzymiej liczby ludzi żyjących na kilku połączonych ze sobą, aczkolwiek całkiem dużych obszarach. Esencja życia w Kolonii.

Powóz skręcił gwałtownie. Sara chwyciła się krawędzi drewnianego siedzenia, by utrzymać się w miejscu i nie wpaść na młodszego Styksa siedzącego obok niej.

Blżej.

Zbliżała się.

Pojazd wciąż jechał w dół, gdy Sara nachyliła się do okna i wyrzwała na zewnątrz. Nie mogła powstrzymać się od patrzenia na miejsce, które niegdyś było jedynym światem, który znała.

Z tej odległości wzniesione z kamienia domy, warsztaty, sklepy, świątynie i wielkie gmachy rządowe, z których składała się zabudowa Południowej Jaskini, wyglądały tak samo jak wtedy, gdy widziała je po raz ostatni. Nie zaskoczyło jej to. Życie na dole było równie niezmiennie i jednostajne jak blade światło kul, świecących tu dzień i noc od trzystu lat.

Zaprzęg wjechał na dno jaskini i nabrał takiej prędkości, że ludzie zeskakiwali na chodniki lub spychali ręczne wózki ku krawężnikowi, by nie wpaść pod koła.

Sara widziała, że niektórzy Koloniści przyglądają się powozowi ze zdumieniem.

Dzieci pokazywały go sobie palcami, jednak rodzice odciągali je na bok, gdy tylko zorientowali się, że w środku jadą Styksowie. Nie należało gapić się na członków klasy rządzącej.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczyła Rebeka, otwierając szeroko drzwi, jeszcze nim powóz całkiem się zatrzymał.

Sara przełknęła ciężko ślinę, rozpoznając znajomą ulicę. Była w domu. Nie pozbierała jeszcze myśli, nie była gotowa. Uniosła się na drżących nogach, by pójść śladem Rebeki, która zeskoczyła zgrabnie ze stopnia pojazdu prosto na chodnik.

Sara stanęła na progu powozu, jakby jednak nie chciała go opuszczać.

– Chodź – przemówiła do niej Rebeka łagodnym tonem. -Chodź ze mną.

Wzięła Sarę za rękę, kierując trzęsącą się kobietę w półmrok jaskini. Sara pozwoliła się prowadzić; odchyliła głowę, spoglądając na olbrzymi skalny baldachim ciągnący się nad podziemnym miastem. Pionowe wstęgi dymu, wypływające leniwie z kominów, wyglądały niczym wstążki zawieszane pod kamienną płachtą, falujące lekko w podmuchach świeżego powietrza pompowanego przez olbrzymie wentylatory.

Rebeka wciąż trzymała Sarę za rękę i ciągnęła za sobą. Z tyłu rozległ się turkot kół, a za ich powozem zatrzymał się następny. Sara przystanęła, opierając się dziewczynce, i obejrzała się przez ramię. W oknie pojazdu dojrzała sylwetkę Joe Waitesa. Potem odwróciła się i omiotła wzrokiem szereg jednakowych domów, ciągnący się wzdłuż chodnika. Ulica była zupełnie pusta, co o tej porze było rzeczą niezwykłą. Sara poczuła, że znów narasta w niej niepokój.

– Pomyślałam, że wolisz pewnie, by ludzie nie gapili się na ciebie – stwierdziła Rebeka, jakby czytała w myślach Sary. – Kazałam więc zamknąć ten teren.

– Ach... – mruknęła cicho Sara. -Jego tutaj nie ma, prawda?

– Zrobiliśmy dokładnie to, o co prosiłaś.

Jeszcze w podziemnej komnacie, w Highfield, Sara domagała się spełnienia jednego warunku: nie mogła znieść myśli o spotkaniu z mężem, nawet po tylu latach. Nie wiedziała sama, czy boi się, że wówczas wrócą wspomnienia i obrazy martwego dziecka, czy też wstyd jej tego, co wówczas zrobiła, zdradzając i porzucając własną rodzinę.

Wciąż nienawidziła męża, choć kiedy pozwalała sobie na brutalną szczerość wobec samej siebie, musiała przyznać, że nadal równie mocno go kochała.

Poruszała się jak we śnie, gdy wraz z innymi podeszła do swojego domu. Wyglądał znajomo; zupełnie jakby opuściła go wczoraj, a nie przed dwunastoma laty. Wróciła tu po długich latach nieustannej ucieczki, kiedy to żyła z dnia na dzień, niczym zwierzę.

Dotknęła głębokiej rany na szyi.

– W porządku, nie wygląda najgorzej – powiedziała Rebeka, ściskając jej dłoń.

I znów! Dziecko Styksów, najgorsze plugastwo, jakie można sobie wyobrazić, próbowało ją pocieszać! Trzymało ją za rękę i zachowywało się tak, jakby było jej przyjacielem. Czy świat oszalał?

– Gotowa? – spytała Rebeka, a wzrok Sary spoczął na domu. Kiedy widziała go po raz ostatni, jej martwe dziecko leżało ubrane do pogrzebu tamspojrzała na okna na pierwszym piętrze – w małżeńskiej sypialni, gdzie wcześniej czuwała przy kołysce owej straszliwej nocy. Przeniosła wzrok niżej, na okno salonu, a w jej umyśle pojawiły się obrazy z przeszłości, z czasów, gdy żyła tu z dwoma synami: cerowanie ich ubrań, poranne czyszczenie kominka, przynoszenie herbaty mężowi czytającemu gazetę, głęboki głos jej brata Tama dochodzący z sąsiedniego pokoju, jego śmiech i brzęk stukających o siebie szklanek. Och, gdyby tylko on żył. Kochany, kochany Tam.

– Gotowa? – spytała ponownie Rebeka.

– Tak – odparła Sara zdecydowanie. – Jestem gotowa. Przeszły powoli ścieżką przez ogród, kiedy jednak dotarły do drzwi, Sara nagle się zatrzymała i cofnęła o krok.

– Wszystko będzie dobrze – przemówiła kojąco Rebeka. – Twoja matka już czeka. – Otworzyła drzwi i weszła do środka, ciągnąc za sobą Sarę. – Jest tam. Idź do niej. Ja poczekam na zewnątrz.

Sara spojrzała na znajomą tapetę w zielone paski, a także na surowe portrety przodków męża – pokolenia kobiet i mężczyzn, które

nigdy nie widziały tego co ona: słońca. Dotknęła niebieskiego abażuru lampy stojącej na stoliku w korytarzu, jakby chciała się upewnić, że wszystko to jest rzeczywiste, że nie znalazła się w objęciach jakiegoś przedziwnego snu.

– Zostań tak długo, jak tylko chcesz – to powiedziawszy, Rebeka obróciła się na pięcie i wyszła z domu, zostawiając Sarę samą.

Kobieta wzięła głęboki wdech i sztywnym krokiem, niczym automat, przeszła do salonu.

W kominku płonął ogień, a pokój wyglądał tak jak zawsze, może był nieco bardziej zniszczony i okopcony, ale wciąż ciepły i przytulny. Podeszła cicho do perskiego dywanu i wielkich skórzanych foteli i okrążyła je powoli, aż mogła przekonać się, kto tam siedzi. Wciąż przypuszczała, że lada moment się obudzi, a to wszystko zniknie, rozwieje się jak dym.

– Mamo?

. Starsza pani podniosła trochę głowę, jakby drzemała. Sara wiedziała jednak, że tak nie jest, gdy zobaczyła łzy na jej pomarszczonych policzkach. Siwe włosy matki związane były w niechlujny kok, a ciało okryte czarną suknią z prostym koronkowym kołnierzem, przypiętym z przodu zwykłą broszką. Sara czuła, jak robi się jej słabo ze wzruszenia.

– Mamo – próbowała powtórzyć, emocje jednak odebrały jej głos i z gardła wydobył się tylko niewyraźny skrzek.

– Sara – powiedziała staruszka i podniosła się z trudem z fotela, a potem wyciągnęła do niej rękę. Sara widziała, że matka wciąż płacze, sama również nie mogła powstrzymać łez. – Mówili mi, że wrócisz, ale nie chciałam się łudzić.

Staruszka objęła córkę; jej ramiona wydawały się kruche i wątłe, a uścisk nie był już tak silny jak niegdyś. Stały w milczeniu, tuląc się do siebie, aż matka Sary wydyszała cicho: – Muszę usiąść.

Opadła ciężko na fotel, córka zaś uklękła obok, wciąż trzymając ją za rękę.

– Dobrze wyglądasz, moje dziecko – powiedziała matka.

Sara szukała w myślach właściwej odpowiedzi, była jednak zbyt poruszona i zdenerwowana, by móc normalnie rozmawiać.

– Życie na górze musi ci odpowiadać – mówiła dalej staruszka. – Czy naprawdę jest takie nikczemne, jak nam tu opowiadają?

Sara już chciała odpowiedzieć, ale zamknęła usta. Nie wiedziała, od czego zacząć, a poza tym w tej chwili słowa i tak dla żadnej z nich nie miały większego znaczenia.

Liczyło się bycie razem, spotkanie po tyłu latach rozłąki.

– Tak wiele się wydarzyło, Saro – staruszka zawahała się na moment. – Styksowie byli dla mnie dobrzy. Codziennie przysyłają tu kogoś, kto pomaga mi chodzić do kościoła, żebym mogła się modlić za duszę Tama. – Podniosła wzrok na okno, jakby widok córki był dla niej zbyt bolesny. – Mówili mi, że wrócisz do domu, ale nie śmiałam im wierzyć. Nie chciałam się łudzić nadzieją, że jeszcze cię zobaczę... choć ten jeden, ostatni raz... nim umrę.

– Nie mów tak, mamo, masz jeszcze przed sobą ładnych parę lat życia – odrzekła Sara łagodnie i ścisnęła delikatnie dłoń matki, jakby chciała ją upomnieć.

Gdy staruszka odwróciła głowę, Sara zajrzała jej głęboko w oczy. Był to naprawdę rozdzierający widok; wydawało się, że zgasło w nich wszelkie światło. Zawsze napętnione były energią, iskrą radości, teraz jednak wydawały się pozbawione blasku i nieobecne. Wiedziała, że w dużej mierze była to jej wina, i czuła, że powinna wytłumaczyć się ze swych czynów.

– Wyrządziłam tyle zła, prawda? Rozbiłam rodzinę. Naraziłam syna na niebezpieczeństwo... – Sara przerwała na chwilę, czując, że znów traci głos. Wzięła kilka głębokich oddechów. – I nie mam pojęcia, jak

czuje się mój mąż... John...

– Opiekuje się mną – odparła szybko matka. – Teraz nie mam już nikogo innego.

– Och, mammo... – wychrypiała drżącym głosem Sara. – Ja... ja nie chciałam, żebyś została sama... Kiedy odeszłam... Tak mi przykro...

– Saro – wtrąciła staruszka, ściskając jej dłonie i pozwalając, by łzy ciekły strumieniami po pokrytych zmarszczkami policzkach. – Nie zadreńczaj się. Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne.

– Ale Tam... Tam nie żyje... Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Nie... – powiedziała staruszka tak cicho, że trzask ognia niemal zagłuszył jej głos.

Pochyliła głowę, kryjąc ściągniętą bólem twarz. – Ja też nie mogę w to uwierzyć.

– Czy to prawda... – Sara zawahała się, a później zadała pytanie, którego tak bardzo się bała: – Czy to prawda, że Seth maczał w tym palce?

– Nazywaj go W i l l, a nie Seth! – warknęła jej matka, podnosząc wzrok na Sarę.

Wybuch gniewu był tak niespodziewany, że córka aż się przestraszyła. – To nie jest Seth. To nie jest już twój syn – mówiła staruszka, a gniew napinał jej ścięgna na szyi i zamieniał oczy w wąskie szpary. – Nie po tych wszystkich krzywdach, które tu wyrządził.

– Wiesz to na pewno?

Uniesiona gniewem matka Sary zaczęła mówić bez ładu i składu: – Joe... Styksowie... policja... Wszyscy wiedzą to na pewno! – bełkotała. – A t y nie wiesz, co się stało?

Sara bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej, choć z drugiej strony wolałaby nie narażać matki na jeszcze większe zdenerwowanie. Musiała jednak za wszelką cenę poznać całą prawdę.

– Styksowie powiedzieli mi, że Will wciągnął Tama w pułapkę – mówiła Sara, ściskając dłonie matki w pocieszającym geście. Były sztywne i napięte.

– Tylko po to, żeby uratować swoją bezwartościową skórę – syknęła staruszka. – Jak on mógł?! – Pochyliła głowę, jednak nie spuszczała wzroku z Sary. Wydawało się, że gniew opuścił ją na moment, ustępując miejsca wyrazowi kompletnego niezrozumienia. Przez chwilę wydała się Sarze podobna do osoby, którą była kiedyś; do miłej starszej pani przez całe życie ciężko pracującej dla swej rodziny.

– Nie wiem – wyszeptała Sara. – Mówią, że zmusił Cala, by poszedł razem z nim.

– Zrobił to! – W jednej chwili twarz jej matki znów zmieniła się w mściwą, brzydką maskę. Kobieta zgarbiła i tak już okrągłe ramiona i wyrwała ręce z uścisku Sary.

– Przyjeliśmy Willa z otwartymi rękami, ale on już wcześniej zamienił się we wstrętne, zepsutego Górnoziemca. – Zaciśnęła zęby i uderzyła pięścią w oparcie fotela. – Oszukał nas... Oszukał nas wszystkich, a Tam zginął przez niego.

– Nie rozumiem tylko, jak... dlaczego zrobił to Tamowi. Dlaczego mój syn zrobił coś takiego...

– ON NIE JEST TWOIM CHOLERNYM SYNEM! – zawyła staruszka, dysząc ciężko.

Sara aż się skuliła – nigdy wcześniej nie słyszała, by matka przeklinała, nigdy w życiu. Martwiła się także o jej zdrowie; bała się, że jeśli nadal będzie tak przygnębiona, może sobie zrobić krzywdę.

Staruszka uspokoiła się w końcu i spojrzała na Sarę błagalnym wzrokiem.

– Bez względu na to, co się stanie, musisz uratować Cala. – Pochyliła się do przodu, a po jej policzkach znów pociekły łzy. –

Sprowadzisz go tutaj z powrotem, prawda? w głosie kobiety pojawiły się twarde, stalowe nuty. – Uratujesz go. Obiecuj mi to!

– Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu – wyszeptała Sara i odwróciła się, wbijając wzrok w ogień.

Ta chwila ponownego spotkania z matką, o której marzyła tyle razy od wielu już lat, została skalana, sprofanowana przez dwulicowość Willa. Przekonanie, z jakim matka mówiła o zbrodniach chłopca, pozbawiło ją wszelkich wątpliwości. Tym jednak, co wydawało jej się teraz szczególnie bolesne, był fakt, że po dwunastoletniej rozłące łączyło je przede wszystkim przemożne pragnienie zemsty.

Siedziały w milczeniu, wsłuchane w trzask ognia. Nie miały nic do powiedzenia; nie miały też ochoty na rozmowę, trawione gniewem i czystą nienawiścią do Willa.

Tymczasem przed domem Rebeka przyglądała się koniom niecierpliwie gryzącym wędzidła i potrząsającym łbami. Stała oparta o drzwi drugiego powozu, w którym siedział zdenerwowany Joe Waites w otoczeniu kilku Styksów. Patrzył na Rebeke przez małe okienko powozu, a jego ściągnięta, wystraszona twarz pokryta była lśniąca warstwą potu.

Przy wejściu do domu Jerome'ów pojawił się Styks. Ten sam, który siedział obok Sary podczas ich wspólnej podróży do Kolonii i który zakradł się tylnymi drzwiami, by podsłuchać rozmowę córki z matką. Uniósł głowę, spoglądając na Rebeke. Ta odpowiedziała mu tym samym na znak, że rozumiała.

– Wszystko dobrze? – spytał szybko Joe Waites, przysuwając się bliżej okna powozu.

– Siedź! – syknęła Rebeka z gwałtownością rozgniewanej żmii.

– Ale co z moją córką, z moją żoną? – spytał chrapliwie, spoglądając z rozpaczą na dziewczynę. – Będą mogły do mnie wrócić?

– Może. Jeśli będziesz dobrym Kolonistą i nadal będziesz robił to, co ci każemy – odpowiedziała Rebeka z drwiącym uśmiechem. Potem zwróciła się do eskorty, przemawiając w trzeszczącym, nosowym języku Styksów: – Kiedy już tu skończymy, zawieźcie go do rodziny. Zajmiemy się nimi wszystkimi, gdy sprawa zostanie zamknięta.

Joe Waites przyglądał się z lękiem, jak siedzący obok niego Styks skinął głową, a potem uśmiechnął się cynicznie do Rebeki.

Dziewczynka wróciła do pierwszego powozu, kręcąc biodrami w sposób podpatrzony u przedwcześnie rozwiniętych nastolatek w Górnoziemiu. Wyglądało to na marsz zwycięstwa; upajała się swoim sukcesem. Był już tak blisko, że niemal czuła jego smak. Ojciec byłby z niej naprawdę dumny. Zajęła się dwoma problemami, dwoma luźnymi końcami i nasyłała jeden na drugi. Najlepiej by było, gdyby wzajemnie się zneutralizowały, ale jeśli pod koniec gry jeden z nich pozostałby przy życiu, sama mogła go bez trudu, wykończyć. Ach, cudownie!

Zatrzymała się przy drzwiach pojazdu, w którym siedział stary Styks.

– Jakież postępy? – zagadnął.

– Połknęła przynętę razem z haczykiem i żyłką.

– Świetnie – mruknął Styks. – A co z tym? – spytał, wskazując głową na stojący za nimi powóz.

Rebeka posłała mu ten łagodny uśmiech, który z takim powodzeniem stosowała podczas rozmów z Sarą.

– Kiedy Sara znajdzie się już w Pociągu Górników, poszatkuje drobno Joe Waitesa z całą rodziną i rozsypie ich na polach w Zachodniej Jaskini. Kompost dla borowików. – Pociągnęła nosem i skrzywiła się, jakby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach. – To samo zrobimy z tą bezużyteczną jędzą – dodała, wskazując kciukiem na

dom Jerome'ów.

Zachichotała, gdy stary Styks skinął głową z aprobatą.

Rozdział siedemnasty



Jedzenie... bez dwóch zdań... to jedzenie – powiedział Cal, odchylając głowę do tyłu i wciągając powietrze w nozdrza.

– Jedzenie? – zareagował natychmiast Chester.

– Ja tam nic nie czuję. – Will spojrział na swoje umęczone nogi. Od kilku już godzin wlekli się przed siebie, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierzają ani dlaczego.

Wiedzieli jedynie, że idą cały czas wzdłuż kanału i do tej pory nie znaleźli niczego, co przypominałoby drogę lub jakiś szlak.

– Znalazłem wodę w tym starym domu, prawda? Teraz znajdę dla nas trochę świeżego jedzenia – oświadczył Cal z typowym dla siebie tupetem.

– Mamy jeszcze trochę zapasów – odparł Will. – Czy nie powinniśmy raczej kierować się na to światło z przodu albo znaleźć jakiejś drogi, zamiast pchać się do miejsca, gdzie mogą być Koloniści? Moim zdaniem należy zejść niżej i dostać się na następny poziom, bo tam pewnie poszedł mój tata.

– Otóż to! – zgodził się z nim Chester. – Szczególnie jeśli po dłuższym pobycie w tym przeklętym miejscu zaczniemy świecić w ciemnościach.

– Hm... – mruknął Will. – To byłoby dość wygodne.

– Nie wygłupiaj się – Chester uśmiechnął się szeroko do przyjaciela.

– Przykro mi, ale ja się z wami nie zgadzam – oświadczył Cal,

przerywając przekomarzanie się. – Jeśli to jest jakiś magazyn z jedzeniem, to być może jesteśmy blisko wioski Koprolików.

– I co z tego? – uniósł brwi Will.

– Cóż, twój tak zwany tata... też na pewno szuka jedzenia – odparł Cal.

– To prawda – zgodził się Will.

Przez chwilę szli w milczeniu, wzbijając nogami obłoki kurzu, aż nagle Cal oświadczył śpiewnym głosem: – Robi się coraz wyraźniejszy.

– Wiesz co, chyba masz rację. Ja też coś czuję – powiedział Will, kiedy przystanęli, pociągając nosami.

– Hm, jakiś bar hamburgerowy? – zasugerował tęsknym tonem Chester. – Bez wahania oddałbym mały palec za powiększony Mac zestaw.

– To jakby coś... słodkiego – oświadczył Will, skupiony, po czym znów kilkakrotnie pociągnął nosem.

– Cokolwiek by to było, lepiej dajmy temu spokój – zaproponował Chester. Wyraźnie zaniepokojony, rozglądał się nerwowo na boki, niczym wystraszony gołąb. – Naprawdę wolałbym nie spotykać się z tymi Koproliłami.

Cal odezwał się do niego: – Ile razy mam wam to powtarzać? Koprolici są zupełnie nieszkodliwi. Ludzie w Kolonii mówią, że można im zabrać, co się tylko chce, oczywiście, jeśli najpierw uda się komuś ich znaleźć.

Kiedy Chester nie zareagował w żaden sposób na te słowa, Cal mówił dalej: – Musimy sprawdzać wszystko, co wydaje się nam niezwykle. Skoro my to zauważyliśmy, to mógł to także zauważyć ojciec Willa, a właśnie z jego powodu tu trafiliśmy, prawda? – dodał sarkastycznie. – Tak czy inaczej, musimy zostać po tej stronie kanału, bo nie chcieliście moczyć sobie nóg. – Cal podniósł skalny odłamek i

wrzucił go ze złością do wody. Kamyk uderzył z pluskiem o powierzchnię.

– Boże, ty naprawdę nie możesz przestać, co? – jęknął Chester.

– Co ty nie powiesz? – skrzywił się Cal.

– To zabawne, ale jakoś nie widziałem, żebyś ty zdejmował ubranie i skakał do wody. – Chester zgromił młodszego chłopca spojrzeniem. – Jak to się mówi: przykład idzie z góry?

– Jak to z góry? Przecież wszyscy jesteśmy tu równi, nikt nie jest przywódcą.

– Może dałbym się nabrać...

– Przestańcie, chłopaki – poprosił Will. – Dajcie już sobie spokój. Niepotrzebne nam te kłótnie.

Chester i Cal spojrzeli na siebie z ukosa, porzuciwszy na chwilę spory, po czym cała trójka ruszyła ponownie naprzód, pogrążona w grobowym milczeniu.

Chwilę później Cal odłączył się nagle od pozostałych chłopców, skręcając w prawo, prostopadle do kanału.

– To dochodzi stamtąd.

Zatrzymał się, gdy blask jego latarki wydobył z ciemności skalny występ. Tuż obok, w dnie jaskini ciągnęła się szeroka szczelina, przypominająca olbrzymi otwór na listy.

Kiedy Will i Chester podeszli bliżej, Will zauważył krzyż wbity w ziemię obok skalnego występu. Został on ułożony z dwóch kawałków drewna białych jak kości i związanych kawałkiem sznurka.

– Co to znaczy? – spytał Cala, wskazując na krzyż.

– Założę się, że to znak Koprolitów – odpowiedział mu brat, kiwając entuzjastycznie głową. – Jeśli dopisało nam szczęście, tam na dole jest ich osada i na pewno mają coś do jedzenia. Możemy sobie wziąć, co tylko zechcemy.

– Nie byłbym tego taki pewien – pokręcił głową Will.

– Will, dajmy temu spokój i chodźmy dalej – namawiał przyjaciela Chester, zagładając z lękiem do otworu. – Mnie też się to nie podoba.

– Tobie nic się nie podoba! – parsknął Cal. – Zostańcie tu na chwilę, a ja zajrzę do środka – powiedział, po czym zniknął szybko w otworze. Po kilku sekundach zawołał, że znalazł przejście.

Will i Chester byli zbyt zmęczeni, by wdawać się z nim w dyskusję, wiedzieli bowiem, że doprowadzi to tylko do następnej kłótni. Chcąc nie chcąc, ruszyli więc jego śladem. Gdy zeszli na dół, znaleźli się w poziomym korytarzu. Cal nie czekał na nich, lecz wysforował się do przodu. Towarzysze szli za nim, nie była to jednak łatwa wędrówka. Kiedy korytarz zmniejszył się do rozmiarów wąskiego tunelu, Will zmuszony był zdjąć plecak i zostawić go obok bagażu Cala.

– Nie cierpię tego – jęknął Chester.

Zarówno on, jak i Will dyszelili ciężko, czołgając się w ciasnym tunelu i przeciskając przez przewężenia.

Chesterowi przychodziło to z coraz większym trudem. Will wiedział, że przyjaciel ma kłopoty z poruszaniem się, słyszał bowiem z tyłu jego ciężki oddech.

Najwyraźniej kolega wciąż nie doszedł do siebie po długim pobycie w areszcie; nie pomogły nawet krótkie okresy odpoczynku w pociągu i w starym domu.

– Może zawrócisz? Spotkamy się za chwilę przy wejściu zaproponował Will.

– Nie, jakoś sobie poradzę – stęknął Chester, przeciskając się przez wyjątkowo wąski otwór. – Jakoś tu doszedłem, prawda? – dodał.

– W porządku. Jeśli jesteś pewien.

Choć Will chciał iść szybciej i dogonić brata, celowo się hamował, by nie zostawić Chesterą samego. Po kilku minutach odetchnął z ulgą, gdy sufit korytarza podniósł się na tyle, że mogli się wyprostować.

Cal stał jakieś dwadzieścia metrów dalej przed czymś, co

wyglądało jak wejście do kolejnej długiej jaskini. Kiedy Will i Chester wyciągali obolałe kończyny, pokiwał im dłonią, po czym znów ruszył naprzód, wymachując przed sobą latarką. Will i Chester odprowadzili go spojrzeniami.

– Jest szybki, muszę mu to przyznać. Może ma w sobie coś z królika – powiedział Chester, odzyskując powoli oddech.

– Lepiej się czujesz? – spytał Will, przyglądając się, jak przyjaciel rozciera obolałe ramiona. Zauważył również, że po jego twarzy spływają duże krople potu.

– Jasne.

– W takim razie spróbujemy go dogonić – powiedział. -Nie podoba mi się ten zapach.

Jest naprawdę paskudny dodał, marszcząc brwi.

Dotarli do miejsca, gdzie przed chwilą stał Cal, i zajrzeli do środka.

Powietrze było tu niepokojąco suche, a woń jeszcze bardziej intensywna. Wydawała się nieprzyjemnie mdląca, nieokreślona, a w głowie Willa rozległ się dzwonek alarmowy. Chłopiec instynktownie wyczuwał, że jest w nim coś fałszywego, coś przesłodzonego.

Cal przypatrywał się z uwagą dnu tunelu, na którym leżały porozrzucane głązy. Z kamieni wyrastały w górę kępki dziwnych, rurkowatych tworów; niektóre z nich osiągały wysokość dwóch metrów. Will nie miał pojęcia, co to może być. Nie wyglądały tak, jakby powstały w wyniku działania wody, podobnie jak stalagmity; świadczyło o tym choćby ich rozmieszczenie – były zbyt uporządkowane. Na środku każdej kępki znajdowało się kilka większych rurek o średnicy około dziesięciu centymetrów, dokoła zaś rosły nieco mniejsze, rozchodzące się promieniście i skierowane ku górze.

Rurki były nieco jaśniejsze od kamieni, na których stały. Will nawet z daleka widział, że co kilka centymetrów opasują je wyraźne

pierścienie. Jego zdaniem oznaczało to tyle, że w miarę rozrostu zrzucały z siebie za małe osłony. Zauważył również, iż twory przymocowane są do głązów za pomocą jakiejś żywicznej wydzieliny, organicznego kleju. To były żywe stworzenia.

Zafascynowany, zbliżył się do nich o krok.

– Myślisz, że to bezpieczne? – spytał Chester, chwytając go za ramię i próbując powstrzymać.

Will tylko wzruszył ramionami i spojrzał na Cala, który poślizgnął się właśnie i broniąc się przed upadkiem na ziemię, chwycił jedną z rurek. Cofnął szybko rękę, gdy rozległ się dźwięk przypominający pstryknięcie palcami, tylko znacznie ostrzejszy. Cal odzyskał równowagę i wyprostował się.

– Au – powiedział cicho, spoglądając ze zdumioną miną na swoją dłoń.

– Cal? – zawołał Will.

Przez chwilę chłopiec stał nieruchomo, odwrócony do nich plecami, wciąż wpatrzony w rękę. Potem po prostu osunął się na ziemię.

– CAL!

Will i Chester wymienili przerażone spojrzenia i natychmiast skierowali wzrok w stronę, gdzie leżał Cal. Will chciał ruszyć do brata, przekonał się jednak, że Chester wciąż trzyma go za ramię.

– Puść mnie! – krzyknął, próbując wyrwać się z uścisku.

– Nie! – odpowiedział mu krzykiem Chester.

– Muszę! – odkrzyknął Will, szarpiąc się.

Chester puścił go w końcu, jednak po kilku krokach Will się zatrzymał. W jaskini coś się działo. Słyszeli to.

– Co, do...? – zaczął Chester, gdy usłyszeli kolejne pstryknięcia, coraz liczniejsze i głośniejsze. Przytłumione, suche trzaski, nabierające coraz większej prędkości, które w końcu zlały się w jeden

nieustający hałas. Przerażeni chłopcy rozglądali się na boki, próbując dociec, skąd wydobywa się ta gwałtowna rytmiczna kakofonia. Nie mieli jednak pojęcia; na pozór w jaskini, na której dnie leżał teraz Cal, nic się nie zmieniło.

– Musimy go stamtąd zabrać! – wrzasnął Will i poderwał się do biegu.

Obaj dopadli chłopca w tej samej chwili. Chester przyglądał się podejrzliwie otaczającym ich kolumnom, podczas gdy Will ukląkł, by przewrócić brata na plecy.

Jego ciało było bezwładne i nieruchome, otwarte oczy wpatrywały się tępo w przestrzeń.

Początkowo myśleli, że jest tylko oszołomiony. Jednak nagle zauważyli, jak spod oczu chłopca rozchodzą się siniofioletowe linie, podkreślające sieć ukrytych pod skórą naczyń włosowatych, podobne do pasm atramentu rozplływającego się w wodzie. Siniaki rozrastały się w przerażającym tempie i po chwili sięgały już policzków. Wyglądało to tak, jakby Cal miał dwoje wielkich, czarnych oczu.

– Co się dzieje?! Co mu się stało?! – krzyczał Will głosem ochrypłym ze strachu.

Chester spojrzał tępo na przyjaciela.

– Nie mam pojęcia – odrzekł.

– Uderzył w coś głową?! – wrzeszczał Will.

Chester natychmiast zbadał głowę Cala, przesuwając dłonią od ciemienia po kark.

Nie znalazł żadnych śladów uderzenia.

– Sprawdź oddech – mruknął do siebie, próbując przywołać w pamięci procedury udzielania pierwszej pomocy. Odgiął głowę Cala w tył i nachylił się tak, by umieścić ucho nad ustami i nosem chłopca, po czym zaczął nasłuchiwać. Wyprostował się na moment, zatroskany. Potem pochylił się ponownie i odciągnął w dół zuchwę Cala,

sprawdzając, czy nic nie tamuje dopływu tlenu. Teraz przekrzywił głowę na bok i wyteżył słuch.

Wypuściwszy powietrze, przykucnął i położył dłoń na piersi chłopca.

– Kurde, Will! Wydaje mi się, że on nie oddycha! Will chwycił bezwładną rękę brata i potrząsnął nią.

– Cal! Cal! No dalej! Obudź się! – krzyczał.

Położył dwa palce na szyi chłopca, szukając w popłochu tętnicy i próbując zmierzyć mu puls.

– Tutaj... nie... Gdzie to jest?... Nic... GDZIE TO, U DIABŁA, JEST?! – wrzasnął. – Dobrze to robię? – Spojrzał na Chestera szeroko otwartymi oczami, w których kryła się przerażająca, rozdzierająca świadomość, że nie może znaleźć pulsu.

Ze jego brat nie żyje.

W tym samym momencie suche trzaski ustąpiły miejsca innemu dźwiękowi, który przypominał odgłos strzelających korków szampana, tyle że przytłumiony, jakby dochodził zza ściany.

Powietrze natychmiast wypełniło się strumieniami falującej bieli, która otoczyła chłopców niczym gęsta mgła, przesłoniła blask latarek i zamieniła świat przed ich oczami w ruchomą, nieprzeniknioną ścianę. Maleńkie cząsteczki, przypominające miliony białych płatków, płynęły całymi strumieniami; być może wydobywały się z tajemniczych rurek, jednak chłopcy nie byli w stanie tego stwierdzić.

– Nie! – krzyknął przeraźliwie Will.

Zakrywając dłonią usta i nos, złapał brata za ramię i zaczął ciągnąć go po ziemi w stronę wyjścia z jaskini. Wkrótce przekonał się jednak, że nie może zaczerpnąć powietrza; białe drobiny były niczym piasek, zapychały usta i nos.

Will wygiął się w łuk i zaczerpnął odrobinę tlenu, dość, by wykrzyknąć kilka słów do Chestera: – Zabierzmy go stąd! – zawołał

poprzez nieustający hałas. Chesterowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Podniósł się znad ciała Cala, chwiejąc się pod naporem białych drobin, kaszłąc i przesłaniając oczy. Powietrze było tak gęste, że kiedy pomachał do Willa, wokół jego ręki tworzyły się białe wiry.

Will poślizgnął się i upadł na ziemię, krztusząc się i charcząc.

– Nie mogę oddychać – wychrypiał, wykorzystując resztki powietrza w płucach.

Leżał na boku i próbował odetchnąć. Zaklął w duchu na myśl o maskach przeciwgazowych, których używali z Calem w Wiecznym Mieście. Wyrzucili je, przekonani, że już im się nie przydadzą. Mylili się.

Zakrywając twarz dłońmi, Will dyszał ciężko, niezdolny do żadnego ruchu. W białej zamieci widział sylwetkę Chestera, który ciągnął za sobą bezwładne ciało Cala.

Will zebrał wszystkie siły i zaczął się czołgać, choć płuca domagały się tlenu, a świat wirował mu przed oczami. Nie mógł myśleć teraz o bracie; wiedział, że i o n sam zginie, jeśli nie wydostanie się z jaskini. Jego usta i nozdrza były całkiem zapchane, jakby przysypała go góra mąki. Z największym trudem podniósł się z ziemi i zdołał przejść kilka kroków; próbował nawet wołać Chestera, lecz bez powodzenia. Nie mógł zaczerpnąć tchu i wydać z siebie głosu, a Chester, wciąż odwrócony do niego plecami, ciągnął po ziemi ciało Cala.

Will rzucił się do przodu. Pokonał jednak zaledwie pięć metrów i znów runął na ziemię. To wystarczyło. Wyrwał się z najgęstszej wiry bieli i mógł wciągnąć w płuca odrobinę czystego powietrza.

Czołgał się powoli naprzód, jednak nie zdołał dotrzeć zbyt daleko, gdy zgął się w pół i zaniósł kaszlem, który doprowadził go do gwałtownych torsji. Widok wymiocin pełnych maleńkich białych cząsteczek i drobnych plam krwi zdumiał go i przeraził.

Przejęty tylko jedną myślą, pragnieniem przeżycia, Will ruszył w

głąb tunelu; przecisnął się na oślep przez wąski przełaz i nie zatrzymywał się, dopóki nie dotarł do wyjścia.

Wyczołgał się na powierzchnię Wielkiej Równiny i leżał przez chwilę bezwładnie, krztusząc się, charcząc i wymiotując plamistym płynem. Okazało się jednak, że to nie koniec męczarni. Białe cząsteczki, które przykleiły się do odsłoniętej skóry na twarzy i szyi, zaczęły ją coraz mocniej drażnić; wkrótce doznanie to zamieniło się w straszliwy palący ból. Will próbował się drapać, ale to tylko pogorszyło sytuację; plamki odrywały się z kawałkami skóry. Gdy spojrzął na swe dłonie, zobaczył, że całe są umazane krwią.

Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić, chwycił garść ziemi i natarł nią energicznie szyję, twarz i rękę. Najwyraźniej odniosło to pewien skutek, gdyż straszliwy ból i swędzenie nieco zelżały. Nadal jednak okropnie piekły go oczy, a wytarcie ich wewnętrzną stroną rękawa koszuli zajęło kilka minut.

Potem pojawił się Chester. Wygramolił się ze skalnej szczeliny i upadł na kolana, kaszląc i wymiotując. Will zauważył, że przyjaciel coś ze sobą przytaszczył. Przez moment miał nadzieję, że to Cal, kiedy jednak otarł zażawione oczy i przyjrzał się uważniej, stwierdził z rozpaczą, że to tylko plecaki, które chłopak zabrał z tunelu.

Chester zawył, wbijając sobie palce w twarz i oczy. Will zobaczył, że przyjaciel cały jest pokryty białymi drobinami, które zlepiły mu włosy i przylgnęły do spoconej twarzy. Skowycząc z bólu, chłopiec drapał się gwałtownie po szyi, jakby chciał zedrzeć z niej skórę.

– Cholerne paskudztwo! – jęknął zduszonym, umęczonym głosem.

– Weź trochę ziemi, zetrzyj to! – krzyknął do niego Will.

Chester natychmiast zrobił, co kazał przyjaciel; nabrał pełne garście ziemi i natarł nią szyję i twarz.

– Uważaj, żeby nie wpadły ci do oczu!

Chester pogrzebał w kieszeni spodni, wyciągnął chusteczkę i

ostrożnie przetarł powieki. Po chwili jego ruchy stały się mniej gwałtowne, choć wciąż ciekło mu z nosa, a czerwone oczy łzawiły. Twarz chłopca pokryta była mieszaniną ziemi i krwi, jakby nosił upiorną maskę. Spojrzał na Willa z udręką.

– Nie mogłem już dłużej tego znieść – wychrypiał. – Nie mogłem tam zostać... Nie mogłem oddychać. – Zaniósł się charczącym kaszlem, a potem splunął.

– Muszę go stamtąd wyciągnąć – powiedział Will, ruszając w stronę szczeliny. – Wracam.

– Nigdzie nie wracasz! – warknął Chester, zrywając się na równe nogi i chwytając Willa za ramię.

– Muszę! – odparł chłopiec, próbując wyrwać się z uścisku przyjaciela.

– Nie bądź głupi, Will! Jeśli to świństwo dopadnie i ciebie, nie będę mógł cię stamtąd wyciągnąć! – krzyczał Chester.

Will zmagał się przez chwilę z przyjacielem, który nie zamierzał go puścić. W akcie desperacji spróbował uderzyć Chestera, a potem zaniósł się płaczem. Wiedział, że jego towarzysz ma rację. Ciało chłopca zwiotczało, jakby nagle zupełnie opadł z sił.

– W porządku, już dobrze – powiedział słabym głosem, podnosząc rękę do Chestera, który wypuścił go wreszcie z żelaznego uścisku. Zakasłał i obrócił głowę do góry, jakby chciał spojrzeć w niebo, choć wiedział, że przesłania je kilkukilometrowa warstwa płaszcza Ziemi. Wydał z siebie głębokie przeciągłe westchnienie i zadrżał na całym ciele, uzmysłowivszy sobie ostatecznie, co się stało.

– Masz rację, Cal nie żyje – powiedział.

Chester spojrzał mu w twarz i powoli skinął głową.

– Bardzo mi przykro, Will, naprawdę.

– Próbowałem tylko pomóc. Próbowałem znaleźć jakieś jedzenie... i zobacz tylko, co się stało. – Will zgarbił się i opuścił głowę.

Westchnąwszy raz jeszcze, potarł obolałą i swędzącą szyję, a jego dłoń zamknęła się mimowolnie na jadeitowym wisiorze, który nosił pod ubraniem. Dał mu go wuj Tam, tuż przed tym, jak zginął z rąk Styksów.

– Obiecałem wujowi Tamowi, że będę się opiekował Calem. Dałem mu słowo – powiedział posepnie, odwracając głowę. – Co my tu robimy? Jak do tego wszystkiego doszło? – Zakasłał, a potem dodał zdławionym głosem: – Tata pewnie leży gdzieś martwy, jak Cal, a my jesteśmy idiotami i wkrótce też zginiemy. Przykro mi, Chester, gra skończona. To koniec.

Zostawiwszy latarkę na ziemi, oddalił się od przyjaciela w stronę sąsiedniego głazu.

Usiadł na nim w zupełnych ciemnościach i wpatrywał się tępo w pustkę, która wypełniała bez reszty również jego umysł i duszę.

Rozdział osiemnasty



Woźnica strzelił głośno z bata, a zaprzęg stojący przed domem Jerome'ów ruszył w drogę. Policjanci usunęli pospiesznie kordon blokujący ulicę, by przepuścić czarny powóz. Nieco dalej, w głębi kręcił się tłum ludzi, którzy próbowali udawać, że zajmują się swymi codziennymi sprawami. Nie szło im to najlepiej, wszyscy bowiem przechylali głowy i próbowali dojrzeć, kto siedzi we wnętrzu pojazdu podobnie zresztą zachowywała się większość policjantów.

Sara patrzyła nieobecny wzrokiem za okno, nieświadoma obecności innych ludzi i ich zaciekawionych spojrzeń. Spotkanie z matką ogromnie ją wyczerpało.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteś swego rodzaju gwiazdą – powiedziała Rebeka, usiadłszy obok starego Styksa. Młodszy mężczyzna został w domu Jerome'ów.

Sara obdarzyła ją szklistym spojrzeniem, po czym znów odwróciła się do okna.

Powóz przemierzał kolejne ulice, kierując się w stronę najodleglejszego zakątka Południowej Jaskini, gdzie znajdowała się dzielnica Styksów. Dzielnica ta otoczona była dziesięciometrowym ogrodzeniem z kutego żelaza, za którym wznosiła się olbrzymia złowroga budowla. Siedmiopiętrowa konstrukcja wykuta została w litej skale, a po obu stronach jej frontonu znajdowały się kwadratowe wieże. Cytadela Styksów, bo tak nazywali ją Koloniści, wydawała się surowa i nieprzystępna; na ścianach z szorstkiego kamienia trudno

było dopatrzeć się choćby najmniejszej ozdoby, która naruszałaby jej bezduszną prostotę. Nigdy jeszcze żaden Kolonista nie postawił stopy w tym wnętrzu, nikt więc nie wiedział, jakie są jej prawdziwe rozmiary ani co się dzieje w środku. Przypuszczano tylko, że sięga ona daleko w głąb skalnego podłoża.

Mówiono też, że Cytadela połączona jest z powierzchnią licznymi korytarzami, by Styksowie mogli wychodzić na górę, kiedy tylko zechcą.

W tej samej dzielnicy, obok Cytadeli, znajdował się duży, choć znacznie niższy budynek o charakterystycznych małych okienkach rozmieszczonych w równych odległościach na całej długości obu pięter. Powszechnie uważano, że jest to centrum wojskowych operacji Styksów – choć oczywiście nikt nie wiedział tego na pewno – i nazywano go Garnizonem. W odróżnieniu od Cytadeli do Garnizonu Koloniści mogli wchodzić, wielu z nich pracowało tam zresztą w służbie u Styksów.

Właśnie przed budynek Garnizonu podjechał powóz. Sara bez słowa przeszła za Rebeką do wejścia, nie zauważywszy nawet policjanta stojącego w budce wartowniczej, który przyłożył z szacunkiem dłoń do daszka, odwracając jednocześnie wzrok. Gdy znalazły się we wnętrzu budynku, dziewczynka przekazała Sarę jakiemuś Koloniście i szybko odeszła.

Sara, przygarbiona i ledwie żywa ze zmęczenia, spojrzała bez większego zainteresowania na Kolonistę. Podwinięte rękawy jego koszuli odsłaniały mocno umięśnione przedramiona; dostrzegła też potężną klatkę piersiową. Był przysadzisty i mocno zbudowany, podobnie jak wielu innych mieszkańców Kolonii. Miał na sobie długi czarny, gumowy fartuch z białym krzyżem na piersiach. Na głowie ogolonej niemal do łysa pokazywały się koniuszki śnieżnobiałych włosów, zaś pod olbrzymimi, krzaczastymi brwiami kryły się małe

jasnoniebieskie oczy. Podobnie jak Sara należał do „czystej rasy”, jak Koloniści nazywali albinosów, co oznaczało, że był potomkiem pierwszych budowniczych i założycieli Kolonii. Pożegnawszy z należyty szacunkiem Rebekeę, ruszył w głąb korytarza, od czasu do czasu zerkając ukradkiem na Sarę, która wlokła się za nim ospale.

Gdy prowadził ją w górę schodów i przez kolejne korytarze, ich buty stukały głośno o wypolerowaną kamienną podłogę. Monotonie gładkich jednobarwnych ścian przerywały liczne drzwi z ciemnego żelaza, wszystkie zamknięte. Kolonista zatrzymał się przy takich właśnie drzwiach i je otworzył. Oczom Sary ukazało się niewielkie pomieszczenie ze skalną posadzką i wąskim okienkiem umieszczonym wysoko pod sufitem. W rogu pokoju, przy oknie, leżał materac, obok niego zaś stały biała emaliowana miska z wodą oraz taki sam kubek, a także talerz z kilkoma starannie ułożonymi paskami borowika. Prostota i surowość tego pomieszczenia przywodziły na myśl klasztorną celę.

Sara przystanęła na progu i nie wykonała żadnego ruchu, żeby wejść do środka.

Towarzyszający jej mężczyzna otworzył usta, a potem znów je zamknął. Zrobił tak kilkakrotnie, niczym ryba wyrzucona na brzeg, w końcu jednak zebrał się na odwagę.

– Saro – przemówił łagodnym tonem, pochylając ku niej głowę.

Kobieta powoli podniosła wzrok w jego stronę, zbyt zmęczona, by się odzywać.

Kolonista rozejrzał się po korytarzu, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje.

– Nie powinienem mówić do ciebie w ten sposób, ale... Nie poznajesz mnie? – spytał.

Sara zmrużyła oczy, jakby próbowała skupić wzrok na jego twarzy, potem jednak otworzyła je szerzej, zdumiona.

– Joseph... – wyszeptała, rozpoznając przyjaciela. Byli w tym samym wieku, przyjaźnili się ze sobą, będąc nastolatkami. Straciła z nim kontakt, kiedy jego rodzina wpadła w kłopoty i zmuszona była przenieść się do Zachodniej Jaskini, by tam pracować przy uprawach borowików.

Joseph obdarzył ją nieśmiałym uśmiechem, który na pozór zupełnie nie pasował do jego nalanej twarzy i – paradoksalnie – właśnie dlatego wydawał się szczególnie ujmujący.

– Powinnaś wiedzieć, że wszyscy rozumiemy, dlaczego uciekłaś i... nigdy... – przez chwilę szukał właściwych słów – ... nigdy o tobie nie zapomnieliśmy, to znaczy niektórzy z nas... ja.

Gdzieś w głębi budynku trzasnęły drzwi, a Joseph obejrzał się nerwowo przez ramię.

– Dziękuję ci, Joseph – powiedziała cicho, dotykając jego ramienia, po czym weszła powoli do pokoju.

Kolonista mruknął coś w odpowiedzi i zamknął za nią drzwi; Sara jednak nawet tego nie zauważyła. Rzuciła torbę na podłogę, osunęła się bezwładnie na materac i zwinęła w kłębek. Przez chwilę wpatrywała się w miejsce, gdzie wypolerowane kamienie ścian łączyły się z podłogą. Na wapiennej powierzchni widać było zarysy wielu skamielin, głównie amonitów i innych małży; delikatne i precyzyjne, jakby nakreślone ręką boskiego projektanta. .

Kiedy próbowała uporządkować jakoś skłębione myśli i emocje, zgromadzone w kamieniach szczątki prehistorycznych stworzeń, przemieszane, lecz zamknięte na zawsze w tym samym kształcie, niemal ułożyły się w jakiś wzór. Wydawało się, że nagle je zrozumiała, że dostrzegła w tym chaotycznym układzie swoisty ład, tajemny klucz, który mógł jej wszystko wyjaśnić. Wkrótce jednak przebłysk świadomości minął, a Sara pogrążyła się w głębokim śnie.

Rozdział dziewiętnasty



Pierwsze promienie słońca wychynęły z za linii horyzontu, barwiąc wąski pas nieba całą gamą żółci i czerwieni. Blask przybierał powoli na sile, pełzł po dachach domów i przeganiał noc, obwieszczając początek nowego dnia.

Poniżej, na Trafalgar Square, trzy czarne taksówki ruszyły właśnie ze świateł. Nim zdążyły nabrać prędkości, przemknął między nimi jakiś samotny, lekkomyślny rowerzysta. Skręcił ostro przed pierwszym pojazdem, zmuszając kierowcę do gwałtownego hamowania. Wyśluzone hamulce wydały z siebie charakterystyczny pisk, a oburzony taksówkarz pomachał pięścią i krzyknął coś przez otwarte okno.

Rowerzysta odpowiedział mu jednak tylko wulgarnym gestem i popędził w stronę Pall Mail, naciskając z całych sił pedały.

Po drugiej stronie placu pojawił się sznur czerwonych piętrusów, które zatrzymały się na przystankach, choć mało kto korzystał z nich tak wczesnym rankiem. Do godzin szczytu zostało jeszcze sporo czasu.

– Wstaje dzień, robaki wychodzą z dziur – roześmiała się ponuro Rebeka, spoglądając z góry na puste chodniki i samotnego przechodnia.

– Ja nie myślę o nich jak o robakach; są gorsi niż bezrozumne stworzenia – powiedział stary Styks, spoglądając na ulicę lśniąco oczami, ożywionymi tak samo jak wzrok Rebeki.

W blasku świtu jego twarz wydawała się tak blada i nieruchoma,

jakby wyrzeźbiono ją z kości słoniowej. Odziany w sięgający kostek, skórzany płaszcz, z rękami złożonymi na plecach, wyglądał niczym zwycięski generał spoglądający na pole bitwy. Stał z Rebeką na krawędzi dachu Admiralty Arch i patrzył śmiało w dół, jakby przepaść otwierająca się pod stopami nie budziła w nim najmniejszego lęku.

– Są wśród nich tacy, którzy stawiliby nam opór i próbowali zablokować nasze działania – mówił Styks, wciąż wpatrując się w plac. – Zaczęłaś oczyszczać Głębię z renegatów, ale to jeszcze nie koniec. Wciąż nie brakuje reakcyjnych grup działających zarówno tutaj, na powierzchni, jak i w Kolonii, a zwłaszcza w Slumsach, dla których przez długi czas byliśmy zdecydowanie zbyt pobłażliwi.

Zaczęłaś realizować plany zmarłego ojca, a teraz, gdy jesteśmy gotowi do ostatecznej rozgrywki, nie możemy pozwolić, żeby jeden drobiazg zniweczył nasze zamiary.

– Zgoda – skinęła głową Rebeka, nie zdradzając w żaden sposób, że podjęła tym samym decyzję o zamordowaniu kilku tysięcy ludzi.

Stary Styks przymknął oczy, nie dlatego jednak, że przeszkadzało mu coraz silniejsze górnoziemskie słońce, lecz ze względu na dokuczliwą, powracającą myśl.

– Ten dzieciak Burrowsów...

Rebeka już otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, powstrzymała się jednak, gdy Styks mówił dalej: – ... Ty i twoja siostra świetnie się spisałyście, zatrzymując i neutralizując Sarę Jerome. Wasz ojciec też nie lubił takich niedokończonych spraw. Obie odziedziczyłyście po nim instynkt – dodał tak cicho, że mogło to zostać poczytane za wyraz czułości. Potem jednak jego głos stał się na powrót surowy i bezwzględny: – Na razie jednak tylko schwytaliśmy węża, a nie zabiliśmy go. Will Burrows chwilowo jest nieszkodliwy, ale może jeszcze stać się prawdziwym bożyszczem, symbolicznym przywódcą naszych wrogów. Być może będą próbowali wykorzystać go

przeciwko nam i udaremnić realizację naszych planów. Nie możemy pozwolić, by włóczył się swobodnie po Interiorze. Trzeba go stamtąd wypłoszyć i zatrzymać. – Stary Styks odwrócił wreszcie głowę do Rebeki, która nadal patrzyła na plac w dole. – Ten chłopak może się jeszcze domyślić, co robimy, i pokrzyżować nam szyki. Nie muszę ci chyba mówić, że należy temu zapobiec... za wszelką cenę – dodał z naciskiem.

– Zajmę się tym – zapewniła go Rebeka z irytującą pewnością siebie.

– Mam nadzieję – odrzekł stary Styks, po czym wyprostował splecione za plecami ręce, przełożył je do przodu i klasnął lekko w dłonie.

Rebeka wiedziała, co oznacza ten gest.

– Tak – skinęła głową. – Bierzmy się do roboty.

Wiatr rozwiał poły jej czarnego płaszcza, gdy odwróciła się do oddziału Styksów czekających w milczeniu za ich plecami.

– Pokażcie mi jednego – rozkazała władcym tonem, opuściwszy krawędź dachu i zbliżywszy się do szeregu mężczyzn odzianych w czerni. Było ich około pięćdziesięciu, ustawionych w idealnie równym, nieruchomym jak skała szeregu.

Jeden ze Styksów ożył nagle i wystąpił z szyku. Przyklęknął i włożył okrytą rękawicą dłoń pod wieko jednego z wielkich wiklinowych koszyków, które stały u stóp każdego z żołnierzy. Z pojemnika dobiegło ciche gruchanie, a po chwili Styks wyciągnął na zewnątrz śnieżnobiałą gołębicę i ponownie zamknął wieko. Gdy podawał ją Rebecce, gołębica próbowała zatrzepotać skrzydłami, dziewczyna zamknęła ją jednak mocno w obu dłoniach.

Przechyliła ptaka na bok, by przyjrzeć się jego nogom. Na obu znajdowały się jakieś pierścienie, jakby gołąb został zaobrączkowany; nie były to jednak zwykłe kawałki metalu. Wykonane z białawego

materiału, lśniły blado w blasku wschodzącego słońca. W każdym z pasków osadzone były maleńkie kulki, które w ciągu kilku godzin miały się rozłożyć pod wpływem promieniowania ultrafioletowego i wypuścić w powietrze ukryty we wnętrzu ładunek. W praktyce więc to słońce było mechanizmem zegarowym, impulsem wyzwajającym.

– Gotowe? – spytał stary Styks, podchodząc do Rebeki.

– Tak – potwierdził inny mężczyzna, stojący nieco dalej w szeregu.

– Świetnie – skinął głową starzec, przechadzając się powoli wzdłuż zastępu żołnierzy.

Wszyscy mieli na głowach aparaty tlenowe i byli ubrani w jednakowe skórzane płaszcze. Ustawieni w ciasnym szyku, w bladym świetle poranka wyglądali jak niepodzielny czarny monolit.

– Bracia! – zwrócił się do nich stary Styks. – Koniec życia w ukryciu. Czas, byśmy odebrali to, co do nas należy. – Zamilkł na moment, pozwalając, by żołnierze zrozumieli wagę jego słów. – Dzisiejszy dzień zostanie zapamiętany jako pierwszy dzień wspaniałej, nowej epoki w naszych dziejach. Jako dzień naszego ostatecznego powrotu na powierzchnię. – Styks zatrzymał się i uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Przez ostatnich sto lat staraliśmy się dopilnować, by Górnoziemcy odpokutowali za swoje grzechy, i rozpuszczaliśmy wśród nich zarazki, które oni nazywają grypą.

Pierwszy atak miał miejsce w 1918 roku – starzec roześmiał się ponuro. – Choroba, którą ci biedni głupcy nazwali „hiszpanką”, posłała do grobu miliony Górnoziemców. Po raz kolejny pokazaliśmy im, na co nas stać, w roku 1957 i 1968, wypuszczając odmianę azjatycką i hongkońską.

Uderzył w otwartą dłoń z jeszcze większą siłą, a odgłos odbił się echem od powierzchni dachu.

– Jednak te epidemie to nic więcej niż zwykłe przeziębienia w porównaniu z tym, co spadnie na nich wkrótce. Dusze Górnoziemców

zepsute są do cna, ich moralność to moralność szaleńców. To ich chciwość, ich zachłanność obraca naszą ziemię obiecaną w ruinę. Ale ich czas dobiega już końca, wkrótce świat zostanie oczyszczony z pogan – mrucał groźnie, niczym ranny niedźwiedź, wodząc wzrokiem wzdłuż szeregu Styksów. Po chwili podjął przerwany marsz, stukając obcasami o płaski dach. – Dziś bowiem testujemy pierwszy szczep Dominium, naszej świętej zarazy. Efekty ciężkiej pracy potwierdzą, że zaraza może rozprzestrzenić się na całe miasto, na cały kraj, a potem na resztę świata. – Podniósł rękę, wskazując na niebo. – Gdy ptaki wzbiją się w przestworza, słońce sprawi, iż fale powietrza zanoszą do grzeszników naszą wiadomość, wiadomość, która zostanie wypisana na powierzchni Ziemi krwią i bólem.

Dotarłszy do końca szeregu, zawrócił i milczał przez chwilę, dopóki nie znalazł się ponownie na środku.

– A więc, moi towarzysze, kiedy pojawimy się tutaj następnym razem, przyniesiemy ze sobą prawdziwie śmiertelny ładunek. Wówczas nasi wrogowie, Górnoziemcy, szeszą bez śladu, jak to jest zapisane w Księdze Katastrof. A my, prawdziwi dziedzice tej ziemi, odzyskamy wreszcie to, co się nam należy – starzec zrobił dramatyczną pauzę, po czym zwrócił się do podwładnych cichszym, bardziej rzeczowym tonem: – Do dzieła.

Żołnierze natychmiast pochylili się nad koszykami, a przed szeregiem stanęła Rebeka, która ponownie przejęła dowodzenie.

– Na mój znak... trzy... dwa... jeden... już! – krzyknęła, wyrzucając jedną gołębicę wysoko w powietrze.

Styksowie natychmiast otworzyli kosze, a ptaki poderwały się do lotu, unosząc się białą chmurą nad głowami zgromadzonych.

Rebeka obserwowała swoją gołębicę, dopóki tylko mogła, gdy jednak dołączyły do niej setki innych, ta natychmiast znikła w stadzie, które zawisło na chwilę nad kolumną Nelsona, po czym rozpierchło

się we wszystkich kierunkach, niczym chmura białego dymu rozgoniona przez wiatr.

– Lećcie, lećcie, lećcie! – wołała za nimi Rebeka, śmiejąc się głośno.

Część trzecia

Drake i Elliott

Rozdział dwudziesty



To straszne, po prostu straszne – powtarzał raz za razem Chester, gdy w pełni uświadomił sobie ogrom nieszczęścia, jakie spadło na ich głowy. – Ale nie mogliśmy nic zrobić. Nie miał pulsu.

Chester karciał samego siebie, dręczony coraz większymi wyrzutami sumienia.

Uważał, że częściowo jest winny śmierci Cala. Być może, gdyby nie był wobec niego taki krytyczny, gdyby mu nie dokuczał, Cal nie postąpiłby tak lekkomyślnie i nie wszedł sam do jaskini.

– Nie mogliśmy tam wrócić... – mówił do siebie Chester, jakby chciał zagłuszyć poczucie winy.

Był wstrząśnięty do głębi. Nigdy nie widział śmierci z tak bliska, nie oglądał ludzkiej agonii. Przypomniał sobie dzień, gdy jechał wraz z ojcem w samochodzie i mijał pozostałości straszego wypadku motocyklowego. Nie wiedział, czy poskręcane ciało leżące na poboczu było martwe – nigdy się tego nie dowiedział – ale to było coś zupełnie innego. Tutaj umarł ktoś dobrze mu znany; konał na jego oczach. W jednej chwili Cal był z nimi, w następnej patrzyli już tylko na jego bezwładne ciało. Martwe ciało. Chester nie mógł się z tym pogodzić. To było tak absolutne, tak brutalnie ostateczne; zupełnie jakby rozmawiał z kimś przez telefon i nagle coś ich rozłączyło na zawsze.

Po chwili umilkł wreszcie i maszerował u boku Willa, wzbijając butami fontanny pyłu. Will szedł z nisko pochyloną głową, ogarnięty bezbrzeżną rozpaczą. Nie zwracając uwagi na otoczenie, przestawiał

mechanicznie nogę za nogą, niczym lunatyk, i pokonywał w ten sposób kolejne mile pustkowi ciągnących się wzdłuż kanału.

Chester przyglądał się koledze z uwagą, zatroskany zarówno o niego, jak i samego siebie. Nie miał pojęcia, jak sobie poradzą, jeśli Will nie otrząśnie się z przygnębienia. W tym miejscu nie mogli liczyć na żadną taryfę ulgową; by przeżyć, musieli przez cały czas mieć się na baczności, czego najlepszym dowodem była nieoczekiwana, tragiczna śmierć Cala. Jedyne, co Chester mógł zrobić w tej chwili, to pilnować, by nie zboczyli z trasy prowadzącej wzdłuż kanału, który zmienił niedawno kierunek i wiódł ich teraz ku jednemu z migocących światła. Z każdą godziną blask stawał się coraz jaśniejszy i jaśniejszy, niczym gwiazda przewodnia.

Nie wiedzieli, do czego prowadzi ich ta gwiazda, ale Chester nie miał najmniejszego zamiaru przeprowiać się przez kanał, przynajmniej dopóki Will nie dojdzie trochę do siebie.

Następnego dnia zbliżyli się do światła na tyle, by zobaczyć nierówną powierzchnię skały, odbijającą migotliwy blask. Najwyraźniej dotarli na skraj Wielkiej Równiny.

Chester nalegał, by zatrzymali się na chwilę i zbadali okolicę, a kiedy się upewnił, że nic im nie grozi, ponownie ruszyli przed siebie. Podczas gdy Chester skradał się najostrożniej, jak tylko mógł, Will po prostu włókł się za nim, nie zwracając najmniejszej uwagi na przybliżające się światło ani na otoczenie.

W końcu dotarli do źródła blasku. Ze skalnej ściany wyrastało metalowe ramię długości około półtora metra, a na jego końcu tańczył niebieskawy płomień. Od czasu do czasu ogień syczał i trzaskał w delikatnych powiewach wiatru, jakby nie pochwałał obecności chłopców w tym miejscu. Płomień oświetlał wyraźnie wody kanału, które sunęły w jednostajnym, leniwym tempie i wpływały do otworu w ścianie, tak idealnie okrągłego, że musiał on być dziełem człowieka

albo co najmniej Koprolicy. Kiedy jednak przyjaciele zajrzeli do wnętrza dziury, przekonali się, że nie ma tam żadnej półki ani kładki umożliwiającej im dalszy marsz.

– Cóż, to by było na tyle – stwierdził Will żalnym tonem. – Jesteśmy załatwieni.

Odsunął się od kanału, nie zerknąwszy nawet na mały strumyk wypływający ze ściany przy brzegu. Woda sączyła się ze szczeliny przecinającej skałę mniej więcej na wysokości piersi Chestera. Jednostajny, wąski ciek, który wyłobił w powierzchni kamienia gładką bruzdę, wpadał do niewielkiego zagłębienia u podstawy ściany, przelewał się nad jego krawędzią i pokonawszy kilka miniaturowych płaskowyżów, łączył się wreszcie z kanałem. Woda zostawiła na powierzchni skały brązowy nalot, lecz to nie odwiódło Chestera od chęci spróbowania jej.

– Dobra. Może chcesz trochę? – zawołał do Willa, po raz pierwszy od kilku godzin próbując nawiązać z nim normalną rozmowę.

– Nie – odrzekł Will posępnie, opadając na ziemię z żalnym westchnieniem.

Podciągnął kolana do piersi, oplótł ramiona wokół nóg i przyciągnął je do siebie, kołysząc się lekko na boki. Pochylił też głowę, by schować twarz przed Chesterem.

Sfrustrowany ponad miarę, Chester postanowił przemówić do rozsądku przyjacielowi i podszedł do niego.

– W porządku, Will – zaczął spokojnym, opanowanym głosem, który w jego ustach brzmiał tak nienaturalnie, że Will aż zaniepokoił się, co nastąpi dalej. – Posiedzimy sobie tutaj, aż uznasz, że jednak chcesz coś zrobić. Nie spiesz się. Nieważne, czy to potrwa kilka godzin, dni czy nawet tygodni. Siedź, ile tylko chcesz. Nie mam nic przeciwko temu. – Chłopiec westchnął ciężko. – Właściwie, jeśli chcesz, żebyśmy siedzieli tutaj, dopóki nie zgnijemy, to też nie będę

się spierał. Przykro mi z powodu Cala, ale to przecież nie zmienia przyczyny, dla której tu trafiliśmy... Tego, że poprosiłeś mnie o pomoc w odnalezieniu twojego taty, a jeszcze tego nie zrobiliśmy. – Chester zamilkł na chwilę, pochylony nad przyjacielem. – A może po prostu o nim zapomniałeś?

Ostatnie zdanie podziałało na Willa niczym cios w żołądek. Chester usłyszał szmer szybkiego oddechu, a głowa przyjaciela drgnęła lekko, jednak chłopiec nadal chował twarz w kolanach.

– W porządku, rób, co chcesz! – warknął Chester, po czym cofnął się o kilka kroków i ułożył na ziemi.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, nim usłyszał, że Will coś do niego mówi. Słyszał jego słowa jak przez sen i uświadomił sobie, że musiał się zdrzemnąć.

– ... masz rację, musimy iść – mówił Will. -Co?

– Ruszajmy. – Will zerwał się na równe nogi i podszedł prosto do strumyka, by dokładniej go obejrzeć. Potem zaczął przyglądać się otworowi, do którego wpływały wody kanału, oświetlając latarką jego wnętrze, gdzie nie docierało światło gazowego płomienia. Skinąwszy do siebie głową, skupił uwagę na pionowej skalnej ścianie nad kanałem.

– Chodźmy, droga już na nas czeka – oświadczył, podchodząc do plecaków i zarzucając jeden z nich na ramiona.

– Co? Jaka droga?

– To chyba jasne – brzmiała enigmatyczna odpowiedź Willa.

– Jasne jak cała ta przeklęta jaskinia!

– Idziesz czy nie? – spytał chrapliwym głosem, podczas gdy Chester przyglądał mu się podejrzliwie, zaskoczony tak nagłą zmianą w zachowaniu przyjaciela.

Will był już przy kanale i przyczepiał latarkę do kieszeni koszuli. Przez chwilę patrzył na skałę, a potem zaczął się na nią wspinać.

Wyszukując oparcia dla stóp i rąk, przeszedł szerokim łukiem pod syczącym płomieniem i nad otworem, do którego wpływał kanał, aż stanął bezpiecznie po jego drugiej stronie.

– Nie takie rzeczy już robiłem – oświadczył. Potem zawołał do Chestera, który wciąż stał na drugim brzegu: -Chodź, nie stój tam jak kołek! To łatwizna! Nawet się nie spocisz; ktoś wykuł w ścianie uchwyty.

Chester wydawał się oburzony i zaintrygowany zarazem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, potem się jednak rozmyślił i zamruczał: – Zadanie jak każde inne.

Choć Will nie trzymał się żadnej widocznej drogi ani ścieżki, wydawał się całkowicie przekonany, że idą we właściwym kierunku. Chester posłusznie dreptał za nim.

Maszerując w szybkim tempie, zapuszczali się coraz dalej w głąb bezkresnej, jednostajnej równi. Nie napotkawszy po drodze żadnych kanałów ani innych charakterystycznych obiektów, dotarli w końcu do miejsca, gdzie dno robiło się sypkie i stopniowo się podnosiło. Być może miało to coś wspólnego z faktem, że sklepienie nad ich głowami także wznosiło się coraz wyżej. Co więcej, w miarę jak pieli się w górę, owiewający ich wiatr coraz wyraźniej przybierał na sile.

– Od razu lepiej! – stwierdził Will, przeciągając palcem wzdłuż kołnierza koszuli przesiąkniętego potem. – Nareszcie trochę chłodniej.

Chester czuł ogromną ulgę, widząc, że Will otrząsnął się wreszcie ze straszliwego przygnębienia, w które popadł po śmierci Cala. Zachowywał się i rozmawiał całkiem normalnie, choć wydawało się, że pod nieobecność młodszego chłopca i bez jego ciągłych wymówek obaj przemieszczają się znacznie ciszej niż dotychczas. Chester miał też dziwne wrażenie, że Cal nadal im towarzyszy, i od czasu do czasu rozglądał się dokoła, szukając go wzrokiem w ciemnościach.

– Hej, to mi wygląda na kredę – zauważył Will, kiedy wspinali się

na stok, ślizgając się na sypkiej jasnej substancji.

Pod koniec zbrocze zrobiło się tak strome, że musieli wchodzić na nie na czworakach.

Will przystanął nagle, by podnieść kamień wielkości piłki tenisowej.

– Spójrz! Piękny okaz róży pustyni.

Chester zobaczył jasnorożowe blaszki wyrastające z jednego punktu i tworzące skalną kulę o dziwnym wyglądzie. Przypominało to jakiś kubistyczny kwiat. Will podrapał paznokciem jedną z blaszek.

– Zgadza się, to gips. Ładne, prawda? – zwrócił się do Chestera, nim jednak ten zdążył zareagować, przemówił ponownie: – Piękny okaz – powtórzył i rozejrzał się dokoła. – To oznacza, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat było tu sporo pary wodnej, chyba że akurat ten egzemplarz leżał zagrzebany w ziemi i jest znacznie starszy. Tak czy siak, myślę, że go zatrzymam – oznajmił, ściągając plecak.

– Co zrobisz? Przecież to kawał skały!

– Nie, to nie jest skała; to formacja mineralna. Wyobraź sobie, że tutaj jest morze. – Will otworzył szeroko ramiona. – Kiedy wysycha, zostaje zawarta w nim sól i...

pozostałe osady. Wiesz, co to są skały osadowe, prawda?

– Nie, nie wiem – wyznał Chester, przyglądając się uważnie przyjacielowi.

– Cóż, rozróżniamy trzy rodzaje skał: osadowe, magmowe i metamorficzne – nadawał dalej Will. – Moje ulubione to osadowe, podobne do tych, które tu widzimy, bo kryją w sobie historię, a właściwie kryją ją zamknięte w nich skamieliny. Tworzą się...

– Will – powiedział łagodnym tonem Chester.

– ... tworzą się zazwyczaj na powierzchni Ziemi zwykle pod wodą. Ciekawe, skąd tyle skał osadowych na takiej głębokości? – Przez chwilę zastanawiał się nad własnym pytaniem, wreszcie odpowiedział

na nie: – Tak, myślę, że kiedyś było tu podziemne jezioro, albo coś w tym rodzaju.

– Will! – spróbował ponownie Chester.

– Tak czy inaczej, skały osadowe są zimne, w odróżnieniu od skał gorących, ale nie gorących jak lawa, bo to skały magmowe, które z kolei...

– Will, przestań! – krzyknął Chester, nie na żarty przestraszony dziwnym zachowaniem przyjaciela.

– ... można podzielić na plutoniczne i wulkaniczne, choć jedno i drugie powstają z gorącej, płynnej... – Will przerwał nagle w pół zdania.

– Weź się w garść, Will! O czym ty mówisz? – pytał Chester głosem zachrypłym z przerażenia. – Co się z tobą dzieje?!

– Nie wiem – odparł Will, potrząsając głową.

– No to się zamknij i skup na tym, co tutaj robimy. Nie potrzebuję teraz żadnych cholernych wykładów!

– Racja. – Will zamrugał i rozejrzał się dokoła, jakby wyszedł z gęstej mgły i nie wiedział, gdzie się właściwie znalazł. Uzmysłowił sobie, że wciąż trzyma w dłoni różę pustyni; odrzucił ją na bok, a potem założył plecak. Gdy ruszali w dalszą drogę, Chester przyglądał się z troską przyjacielowi.

Zbliżali się do najwyższego punktu zbocza, a grunt pod ich nogami powoli stawał się płaski. Chester spostrzegł snop światła, który przeciął ciemność, przemieszczając się po suficie; dochodził z oddali i wyglądał jak promień reflektora. Na wszelki wypadek chłopak zmniejszył moc latarki, tak że rzucała tylko słaby blask; a na wyraźne życzenie przyjaciela Will zrobił to samo.

Ostatni odcinek drogi pokonali niemal na czworakach, nisko pochyleni. Chester pilnował, by Will, którego zachowanie było w tej chwili zupełnie nieprzewidywalne, trzymał się tuż za jego plecami.

Gdy znaleźli się na szczycie i wyjrzeni na drugą stronę wzniesienia, ich oczom ukazała się ogromna okrągła przestrzeń wielkości stadionu, przypominająca pusty krater księżycowy pokryty pyłem.

– Kurde, Will, spójrz tylko na to – wyszeptał Chester, przywołując gestem przyjaciela i pospiesznie wyłączając latarkę. – Widzisz ich? Wyglądają zupełnie jak Styksowie, tyle że są ubrani jak żołnierze, czy ktoś w tym rodzaju.

Na dnie krateru stało około dziesięciu Styksów – mimo że ich stroje wydawały się chłopcom nieznajome, nie mogli pomylić z nikim innym wysokich, chudych sylwetek i charakterystycznego sposobu poruszania się; dwóch osobników trzymało na smyczach psy. Wszyscy ustawieni byli w szeregu, prócz jednego Styksa, który stał kilka kroków przed nimi i trzymał w ręce wielką latarkę. Choć wnętrze krateru oświetlały cztery potężne kule umocowane na trójnogach, latarka trzymana przez Styksa świeciła znacznie mocniej; jej promień padał na coś, co znajdowało się tuż przed mężczyzną.

Zimny dreszcz przebiegł Chesterowi po plecach – patrząc na Styksów, czuł się tak, jakby natknął się na gniazdo najgorszych i najbardziej jadowitych węży, jakie tylko można sobie wyobrazić.

– Kurde, jak ja ich nienawidzę! – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Hm... – odparł Will w roztargnieniu, przyglądając się prążkowanemu kamieniowi, który przykuł jego uwagę. Skończywszy oględziny, odrzucił kamień za siebie.

po suficie; dochodził z oddali i wyglądał jak promień reflektora. Na wszelki wypadek chłopak zmniejszył moc latarki, tak że rzucała tylko słaby blask; a na wyraźne życzenie przyjaciela Will zrobił to samo.

Ostatni odcinek drogi pokonali niemal na czworakach, nisko pochyleni. Chester pilnował, by Will, którego zachowanie było w tej chwili zupełnie nieprzewidywalne, trzymał się tuż za jego plecami. Gdy znaleźli się na szczycie i wyjrzeni na drugą stronę wzniesienia, ich

oczom ukazała się ogromna okrągła przestrzeń wielkości stadionu, przypominająca pusty krater księżycowy pokryty pyłem.

– Kurde, Will, spójrz tylko na to – wyszeptał Chester, przywołując gestem przyjaciela i pospiesznie wyłączając latarkę. – Widzisz ich? Wyglądają zupełnie jak Styksowie, tyle że są ubrani jak żołnierze, czy ktoś w tym rodzaju.

Na dnie krateru stało około dziesięciu Styksów – mimo że ich stroje wydawały się chłopcom nieznajome, nie mogli pomylić z nikim innym wysokich, chudych sylwetek i charakterystycznego sposobu poruszania się; dwóch osobników trzymało na smyczach psy. Wszyscy ustawieni byli w szeregu, prócz jednego Styksa, który stał kilka kroków przed nimi i trzymał w ręce wielką latarkę. Choć wewnątrz krateru oświetlały cztery potężne kule umocowane na trójnogach, latarka trzymana przez Styksa świeciła znacznie mocniej; jej promień padał na coś, co znajdowało się tuż przed mężczyzną.

Zimny dreszcz przebiegł Chesterowi po plecach – patrząc na Styksów, czuł się tak, jakby natknął się na gniazdo najgorszych i najbardziej jadowitych węży, jakie tylko można sobie wyobrazić.

– Kurde, jak ja ich nienawidzę! – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Hm... – odparł Will w roztargnieniu, przyglądając się prążkowanemu kamieniowi, który przykuł jego uwagę. Skończywszy oględziny, odrzucił kamień za siebie.

po suficie; dochodził z oddali i wyglądał jak promień reflektora. Na wszelki wypadek chłopak zmniejszył moc latarki, tak że rzucała tylko słaby blask; a na wyraźne życzenie przyjaciela Will zrobił to samo.

Ostatni odcinek drogi pokonali niemal na czworakach, nisko pochyleni. Chester pilnował, by Will, którego zachowanie było w tej chwili zupełnie nieprzewidywalne, trzymał się tuż za jego plecami. Gdy znaleźli się na szczycie i wyjrzel na drugą stronę wzniesienia, ich oczom ukazała się ogromna okrągła przestrzeń wielkości stadionu,

przypominająca pusty krater księżycowy pokryty pyłem.

– Kurde, Will, spójrz tylko na to – wyszeptał Chester, przywołując gestem przyjaciela i pospiesznie wyłączając latarkę. – Widzisz ich? Wyglądają zupełnie jak Styksowie, tyle że są ubrani jak żołnierze, czy ktoś w tym rodzaju.

Na dnie krateru stało około dziesięciu Styksów – mimo że ich stroje wydawały się chłopcom nieznanym, nie mogli pomylić z nikim innym wysokich, chudych sylwetek i charakterystycznego sposobu poruszania się; dwóch osobników trzymało na smyczach psy. Wszyscy ustawieni byli w szeregu, prócz jednego Styksa, który stał kilka kroków przed nimi i trzymał w ręce wielką latarkę. Choć wewnątrz krateru oświetlały cztery potężne kule umocowane na trójnogach, latarka trzymana przez Styksa świeciła znacznie mocniej; jej promień padał na coś, co znajdowało się tuż przed mężczyzną.

Zimny dreszcz przebiegł Chesterowi po plecach – patrząc na Styksów, czuł się tak, jakby natknął się na gniazdo najgorszych i najbardziej jadowitych węży, jakie tylko można sobie wyobrazić.

– Kurde, jak ja ich nienawidzę! – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Hm... – odparł Will w roztargnieniu, przyglądając się prądkowanemu kamieniowi, który przykuł jego uwagę. Skończywszy oględziny, odrzucił kamień za siebie.

Nie trzeba było psychologa, by stwierdzić, że z Willem działo się coś niedobrego, że śmierć brata była dla niego potężnym ciosem.

– Zachowujesz się naprawdę dziwnie, Will – wyszeptał Chester. – Tam na dole są S t y k s o w i e, na litość boską!

– Tak – przyznał Will. – Pewnie, że są.

Chester był zszokowany całkowitą beztróską, jaką okazywał jego przyjaciel.

– Skóra mi cierpie, gdy na nich patrzę. Chodźmy stąd zaproponował nagłym tonem i zaczął się wycofywać.

– Patrz na tych Koprołitów – powiedział Will, wskazując niedbale na scenę poniżej. ‘

– Co? – Chester zmarszczył brwi, próbując ich zlokalizować. – Gdzie?

– Tam... naprzeciwko Styksów... – odparł Will, podnosząc się na rękach, by lepiej widzieć, co się dzieje w kraterze. – Ten Styks z wielką latarką świeci prosto na nich.

– Gdzie? – wyszeptał raz jeszcze Chester. Zerknął na Willa i natychmiast warknął: – Kurde! Schowaj głowę, pajacu. Zobaczą cię!

– W porządku, już się nie denerwuj – odrzekł Will, pochylając się niżej.

Chester ponownie spojrzał na dno krateru, lecz mimo” blasku płynącego z latarki Styksa nie zobaczył nic, dopóki jeden z nich się nie poruszył (albo jedno – Chesterowi wciąż trudno było pogodzić się z myślą, że Koprolici to l u d z i e). W jasno oświetlonym wnętrzu oczy Koprołitów były niemal niewidoczne, a ich beżowe skafandry tak dobrze zlewały się z kamieniem tworzącym krater, że Chester z trudem rozróżniał poszczególne sylwetki. W rzeczywistości była to całkiem spora grupa, stojąca w nierównym szeregu naprzeciwko Styksów.

– Ilu ich tam może być? – spytał Will.

– Trudno powiedzieć. Około dwudziestu?

Samotny Styks przechadzał się w tę i z powrotem pomiędzy obiema grupami. Od czasu do czasu zatrzymywał się raptownie i odwracał do Koprołitów, oświetlając ich latarką. Choć ze względu na dużą odległość i szum wiatru chłopcy nie słyszeli, o czym mówi, z jego gestów, gwałtownych i gniewnych, można się było domyślić, że krzyczy na nich. Przyjaciele przyglądali się temu przez kilka minut, aż Will zrobił się niespokojny i zaczął się wiercić.

– Głodny jestem. Masz tę gumę do żucia?

. – Chyba żartujesz; jak możesz być głodny w takiej chwili? – spytał z niedowierzaniem Chester.

– Nie wiem... Daj mi tę gumę, co? – jęczał Will.

– Weź się w garść, chłopie! – odparł przyjaciel, nie odrywając spojrzenia od Styksów.

– Wiesz, gdzie jest guma.

Will, wciąż znajdujący się w stanie dziwnego zamroczenia, długo mocował się ze sprzączką plecaka Chestera. Potem mrucząc coś do siebie, pogrzebał chwilę w bocznej kieszeni, aż wreszcie znalazł paczkę zielonej gumy. Położył ją przed sobą i zapiął plecak.

– Chcesz jedną? – spytał kolegę. -Nie.

Zdobycz kilkakrotnie spadała na ziemię, jakby palce Willa były zdrętwiałe, aż wreszcie chłopak zdołał rozedrzeć opakowanie i wyjąć jeden listek. Właśnie miał zdjąć z niego srebrną folię, gdy w jednej sekundzie razem z ehesterem wydali z siebie stłumiony jęk.

Poczułi ogromny nacisk na plecach, a na gardłach ostrza noży.

– Ani mrumru! – Głos był niski i gardłowy, jakby nienawykły do mówienia.

Dochodził tuż zza głowy Willa.

Chester przełknął głośno ślinę, przekonany, że Styksowie zakradli się od tyłu i zaskoczyli ich.

– I nie ruszać się!

Will wypuścił z dłoni listek gumy do żucia.

– Już czuję to śmierdzące paskudztwo, a ty go jeszcze nawet nie otworzyłeś.

Will próbował coś powiedzieć.

– Mówiłem, żebyście trzymali gęby na kłódkę! – Nóż wbił się głębiej w szyję Willa.

Chłopiec poczuł, że nacisk na jego plecy narasta, a potem zobaczył okrytą rękawicą dłoń, która sięgnęła między niego i Chestera i zaczęła

kopać dziurę w sypkim żwirze.

Chłopcy obserwowali tę czynność kątem oka, nie wając się poruszyć głowami. Był to niemal hipnotyczny widok, oddzielona od ciała ręka w czarnej rękawicy, powoli kopiała dołek.

Nagle Chester zaczął drżeć na całym ciele. Czy wpadli w łapy Styksów? A jeśli nie Styksów, to kim byli ci ludzie? Jego umysł wypełnił się pełnymi grozy pytaniami o najbliższą przyszłość. Czy ci ludzie chcieli poderznąć im gardła i pogrzebać ich tutaj, w tym dole? Nie mógł oderwać oczu od tajemniczej dłoni.

Potem ręka ujęła paczkę gumy do żucia między kciuk i palec wskazujący i wrzuciła ją do dołka.

– Ten kawałek też – rozkazał głos. Will posłusznie wrzucił do dołka nierozpakowany jeszcze listek.

Czarna dłoń precyzyjnymi ruchami zaczęła zasypywać wgłębienie, aż guma znikła pod grubą warstwą żwiru.

– Trochę lepiej, ale zapach nadal jest silny – znowu rozległ się głos mężczyzny. – Gdybyście to otworzyli, pies siedzący bliżej nas... – głos umilkł na chwilę, a potem przemówił ponownie: – ... widzicie go tam na dole... zwęszyłby go w ciągu... jak myślicie?

Zapadła cisza. Will zastanawiał się przez moment, czy to on miał odpowiedzieć na pytanie, potem jednak usłyszeli inny, delikatniejszy głos, dochodzący z za pleców Chestera: – Stoją z wiatrem – odezwał się. – Najwyżej kilka sekund. Znowu przemówił mężczyzna: – Już czuję to śmierdzące paskudztwo, a ty go jeszcze nawet nie otworzyłeś.

Will próbował coś powiedzieć.

– Mówiłem, żebyście trzymali gęby na kłódkę! – Nóż wbił się głębiej w szyję Willa.

Chłopiec poczuł, że nacisk na jego plecy narasta, a potem zobaczył okrytą rękawicą dłoń, która sięgnęła między niego i Chestera i zaczęła kopać dziurę w sypkim żwirze.

Chłopcy obserwowali tę czynność kątem oka, nie waząc się poruszyć głowami. Był to niemal hipnotyczny widok, oddzielona od ciała ręka w czarnej rękawicy, powoli kopiająca dołek.

Nagle Chester zaczął drżeć na całym ciele. Czy wpadli w łapy Styksów? A jeśli nie Styksów, to kim byli ci ludzie? Jego umysł wypełnił się pełnymi grozy pytaniami o najbliższą przyszłość. Czy ci ludzie chcieli poderżnąć im gardła i pogrzebać ich tutaj, w tym dole? Nie mógł oderwać oczu od tajemniczej dłoni.

Potem ręka ujęła paczkę gumy do żucia między kciuk i palec wskazujący i wrzuciła ją do dołka.

– Ten kawałek też – rozkazał głos. Will posłusznie wrzucił do dołka nierozpakowany jeszcze listek.

Czarna dłoń precyzyjnymi ruchami zaczęła zasypywać wgłębienie, aż guma znikła pod grubą warstwą żwiru.

– Trochę lepiej, ale zapach nadal jest silny – znowu rozległ się głos mężczyzny. – Gdybyście to otworzyli, pies siedzący bliżej nas... – głos umilkł na chwilę, a potem przemówił ponownie: – ... widzicie go tam na dole... zwęszyłby go w ciągu... jak myślicie?

Zapadła cisza. Will zastanawiał się przez moment, czy to on miał odpowiedzieć na pytanie, potem jednak usłyszeli inny, delikatniejszy głos, dochodzący z za pleców Chestera: – Stoją z wiatrem – odezwał się. – Najwyżej kilka sekund. Znow przemówił mężczyzna: – Wtedy Granicznicy spuściliby psy ze smyczy i poszli za nimi. A wówczas bylibyście trupami jak ci nieszczęśnicy na dole. – Głos westchnął posepnie. – Powinniście to obejrzeć.

Choć ostrza noży wciąż dotykały ich gardeł, Will i Chester odwrócili jednocześnie głowy, by zobaczyć, co się dzieje na dole.

Dowodzący Styks odkręcił się i wydał jakiś rozkaz. Na środek krateru wyprowadzono trzech mężczyzn w bezbarwnych ubraniach; każdego eskortowało dwóch Styksów. Will i Chester nie widzieli ich

wcześniej, stali oni bowiem w cieniu, poza blaskiem lamp. Styksowie zagonili ich do grupy Koprolićów, a potem wrócili do swych towarzyszy.

Dowódca Styksów wydał kolejną komendę i trzymał uniesioną dłoń, gdy kilku spośród jego podwładnych wystąpiło przed szereg i przyłożyło karabiny do ramion.

Potem Styks krzyknął, opuszczając rękę, a lufy karabinów plutonu egzekucyjnego plunęły ogniem. Dwie spośród trzech postaci natychmiast runęły na ziemię, trzecia chwiała się jeszcze, by po chwili paść na ciała swych towarzyszy. Kiedy ostatnie echa strzałów wybrzmiały w pustym kraterze i ustąpiły miejsca upiornej ciszy, cała trójka leżała już nieruchomo na ziemi. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Will i Chester nie zdążyli ogarnąć myślą tego, co właśnie zobaczyli.

– Nie... – wyszeptał Will, nie wierząc własnym oczom. – Styksowie... oni nie...?

– Byliście właśnie świadkami egzekucji – przemówił beznamiętnym tonem głos za jego głową. – To byli nasi ludzie, nasi przyjaciele.

Na dźwięk kolejnego rozkazu członkowie plutonu egzekucyjnego przekazali karabiny stojącym najbliżej żołnierzom. Potem wszyscy wyciągnęli coś z pasa i zrobili kilka kroków do przodu. Chłopcy patrzyli ze zgrozą, przejęci poczuciem straszliwej nieuchronności, jak Styksowie zbliżają się krok po kroku do stojących naprzeciwko Koprolićów.

Will i Chester obserwowali atak żołnierzy Styksów na Koprolićów, którzy po prostu padli na ziemię, niczym zwalone drzewa; dostrzegli, jak stojący najbliżej nich Styks opuszcza rękę, w której trzyma coś lśniącego.

Pozostali Koprolici stali w bezładzie, zwróceni w różnych kierunkach. Żaden z nich nie ruszył na pomoc swym braciom; co

dziwniejsze, najwyraźniej w ogóle nie zareagowali na ich śmierć. Wyglądało to tak, jakby pośrodku wielkiego stada zginęło kilkoro zwierząt, a pozostałe po prostu to zaakceptowały.

Szorstki głos odezwał się raz jeszcze: – Już wystarczy. Czujecie na gardłach nasze noże. Użyjemy ich, jeśli nie będziecie robić dokładnie tego, co wam każemy. Zrozumiano?

Obaj chłopcy wymamrotali „tak”, czując, jak ostrza wbijają się mocniej w ich skórę.

– Połóżcie ręce na plecach! – rozkazał łagodniejszy głos. Tajemniczy napastnicy związali im nadgarstki, potem złapali za włosy, unieśli ich głowy i obwiązali oczy chłopców czarnymi opaskami.

Silne dłonie chwyciły ich za kostki u nóg i zaczęły bezlitośnie ciągnąć brzuchami po ziemi, w dół zwirowego zbocza. Nie będąc w stanie się przeciwstawić, chłopcy usiłowali przynajmniej unieść nieco głowy, by uchronić twarze od kontaktu z przesuwającym się pod nimi podłożem.

Potem zostali równie brutalnie poderwani z ziemi i poczuli, jak coś jest mocowane do więzów na nadgarstkach. Szarpnęło ich do przodu, tak że byli zmuszeni do szaleńczego biegu przez pozostałą część zbocza. Słyszając stękanie i jęki, Will domyślił się, że Chester biegnie przed nim i że zostali związani razem, niczym zwierzęta prowadzone do rzeźni.

Na samym dole stoku Chester potknął się i runął na ziemię, ciągnąc za sobą Willa.

– Wstawać, gnojki! – syknął mężczyzna. – Róbcie, co wam każemy, albo załatwimy was obu, tu i teraz!

Podpierając się nawzajem, zdołali się jakoś podnieść.

– Ruszać się – warknął drugi napastnik, uderzając Willa w zranione ramię z taką siłą, że chłopiec mimowolnie zawył z bólu. Usłyszał, jak

jego oprawca cofa się o krok, zaskoczony.

Strach i ból, połączone z ogromem rozpacz po stracie Cala, sprawiły, że w głowie Willa nagle coś przeskoczyło. Odwrócił się w stronę, gdzie przed chwilą słyszał kroki, i przemówił niskim, groźnym głosem: – Zrób to jeszcze raz, a...

– Co? – odpowiedział mu głos. Brzmiał łagodniej niż poprzednio, a Will zauważył po raz pierwszy, że wydaje się młodzieńczy i kobiecy. – Co zrobisz? – spytał.

– Jesteś dziewczyną, prawda? – stwierdził Will z nutą niedowierzania w głosie. Nie czekając na odpowiedź, zacisnął spętane dłonie i odwrócił się w jej stronę. Nie było to łatwe, ponieważ nie miał pojęcia, gdzie właściwie może się ona znajdować.

– Wezwę wsparcie – oświadczył z mocą, przypominając sobie kwestię z jednego spośród ulubionych seriali przybranej matki.

– Wsparcie? A co to takiego? – spytał z wahaniem kobiecy głos.

– Grupa naszych ludzi obserwuje każdy wasz ruch – odparł Will, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej wiarygodnie. – Wystarczy tylko, że dam im znak, a zostaniecie unieszkodliwieni.

– Blefuje – rozległ się męski głos. On także stał się jakby mniej surowy, pojawiła się w nim nawet nuta rozbawienia. – Są sami. Nie widzieliśmy z nimi nikogo, prawda, Elliott?

Jeśli nie będziesz z nami współpracował, nadzieję twojego przyjaciela na nóż – dodał, zwracając się do Willa.

To oświadczenie przyniosło zamierzony skutek, ściągając wreszcie Willa na ziemię.

– W porządku, zrobię, co chcecie, ale lepiej miejcie się na baczności. Nie zadzierajcie z nami, bo... – Will nie dokończył zdania. Uznawszy, że powiedział już dość, ruszył naprzód, wpadając na Chestera, który przysłuchiwał się jego słowom z najwyższym zdumieniem.

Rozdział dwudziesty pierwszy



Zapisane jest w Księdze Katastrof, że ludzie powrócą Ado należnego im miejsca z Arki Ziemi, gdy wypełni się czas i ustąpią wody potopu. I znów będą orać pola, odbudują zniszczone miasta i napełnią spustoszone ziemie czystymi nasionami. Tako rzecze Księga i tak będzie – grzmiał kaznodzieja Styksów.

W ciasnym kamiennym pokoju Garnizonu Styks górował nad klęczącą Sarą. Płonące oczy i czarny płaszcz upodabniały rosnego mężczyznę do upiornej zjawy, gdy gwałtownie wymachiwał w powietrzu swymi chudymi, szponiastymi rękami.

Poły płaszcza rozchyliły się nieco, ukazując chude ciało, gdy Styks podszedł do Sary i prawą ręką wskazał na sufit, lewą zaś na podłogę.

– Jako w niebiosach, tak i w ziemi – wyrzekł piskliwym głosem. – Amen.

– Amen – odpowiedziała Sara.

– Niech Bóg wspomaga cię we wszystkim, co robisz w imieniu Kolonii. – Nagle Styks wyciągnął ręce, chwycił jej głowę i wcisnął kciuki w bladą skórę tak mocno, że gdy w końcu zwolnił uścisk i odsunął się o krok, na czole Sary pozostały dwa czerwone znaki.

Zebrał poły płaszcza, obrócił się w miejscu i wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Sara klęczała jeszcze przez chwilę z pochyloną głową, aż usłyszała stłumione chrząknięcie dochodzące z korytarza. Podniosła wzrok i ujrziała Josepha, który w olbrzymich dłoniach trzymał talerz z

jedzeniem.

– Błogosławieństwo, co? Sara skinęła głową.

– Nie chciałbym przeszkadzać, ale moja mama zrobiła to dla ciebie.

Trochę ciastek.

– Lepiej wnieś je szybko do środka. Myślę, że doktor Doom nie byłby zachwycony, gdyby to zobaczył.

– Na pewno – zgodził się Joseph i wszedł pospiesznie, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Potem zatrzymał się i rozejrzał niepewnie, jakby zapomniał, po co tu przyszedł.

– Rozgość się, proszę – zaproponowała Sara, podchodząc do materaca.

Usiadłszy u jej boku, Joseph ściągnął z talerza serwetę, odsłaniając ciasteczka pokryte lukrem w nieciekawym kolorze kajmaku. Były zrobione z szarych grzybowych włókien, których używano w Kolonii do pieczenia. Podał talerz Sarze.

– Ach, lukrowane ciasteczka – uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie bezkształtne, lecz pyszne ciacha, które jej matka piekła na niedzielne podwieczorki.

Sara poczęstowała się jednym, pogryzając je bez większego zainteresowania.

– Mama przekazuje ci pozdrowienia – powiedział Joseph. – W tym roku kończy osiemdziesiąt lat i... – przerwał nagle w pół zdania i wziął głęboki oddech, jakby postanowił w końcu powiedzieć to, co naprawdę chciał. – Saro, czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście, o co tylko chcesz – odparła, patrząc przyjacielowi prosto w oczy.

Zebrał poły płaszcza, obrócił się w miejscu i wszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Sara klęczała jeszcze przez chwilę z pochyloną głową, aż usłyszała

stłumione chrząknięcie dochodzące z korytarza. Podniosła wzrok i ujrzała Josepha, który w olbrzymich dłoniach trzymał talerz z jedzeniem.

– Błogosławieństwo, co? Sara skinęła głową.

– Nie chciałbym przeszkadzać, ale moja mama zrobiła to dla ciebie. Trochę ciastek.

– Lepiej wnieś je szybko do środka. Myślę, że doktor Doom nie byłby zachwycony, gdyby to zobaczył.

– Na pewno – zgodził się Joseph i wszedł pospiesznie, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Potem zatrzymał się i rozejrzał niepewnie, jakby zapomniał, po co tu przyszedł.

– Rozgość się, proszę – zaproponowała Sara, podchodząc do materaca.

Usiadłszy u jej boku, Joseph ściągnął z talerza serwetę, odsłaniając ciasteczka pokryte lukrem w nieciekawym kolorze kajmaku. Były zrobione z szarych grzybowych włókien, których używano w Kolonii do pieczenia. Podał talerz Sarze.

– Ach, lukrowane ciasteczka – uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie bezkształtne, lecz pyszne ciacha, które jej matka piekła na niedzielne podwieczorki.

Sara poczęstowała się jednym, pogryzając je bez większego zainteresowania.

– Mama przekazuje ci pozdrowienia – powiedział Joseph. – W tym roku kończy osiemdziesiąt lat i... – przerwał nagle w pół zdania i wziął głęboki oddech, jakby postanowił w końcu powiedzieć to, co naprawdę chciał. – Saro, czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście, o co tylko chcesz – odparła, patrząc przyjacielowi prosto w oczy.

– Kiedy zrobisz już to, co ci każą, wrócisz do domu na stale?

– Wiesz może, dlaczego tu jestem? – odpowiedziała pytaniem, przyglądając mu się z uwagą.

Joseph potarł brodę, jakby chciał w ten sposób zyskać na czasie.

– To nie moja rzecz, ale... założę się, że ma to coś wspólnego z tym, co dzieje się w Górnoziemiu...

– Nie, ja wybieram się w drugą stronę – odparła Sara, wskazując głową w kierunku Głębi.

– Więc nie uczestniczysz w operacji w Londynie? – zdumiał się Joseph, a potem zamilkł, uznawszy zapewne, że powiedział o kilka słów za dużo. – Nie chciałbym popaść w niełaskę u... – próbował dodać szybko, nim Sara mu przerwała.

– Nie, nie zajmuję się tym. I nie martw się, zatrzymam w tajemnicy wszystko, co mi powiesz.

– Nie dzieje się tu teraz najlepiej – powiedział Joseph ściszym głosem. – Ludzie znikają bez śladu.

Ponieważ takie rzeczy zdarzały się w Kolonii od zawsze, Sara nie skomentowała tej uwagi, a Joseph milczał, jakby wciąż czuł się zawstydzony swoją niedyskrecją.

– Więc wrócisz? – spytał w końcu. – Jak wszystko będzie skończone?

– Tak, Białe Szyje mówią, że będę mogła zostać w Kolonii, kiedy już załatwię dla nich pewną sprawę. – Sara strąciła okruszek, który utkwiał w kąciku jej ust, spojrzała tęsknie na drzwi i westchnęła. – Nawet jeśli uda ci się przed nimi uciec... dostać do Górnoziemia, jakaś część ciebie nigdy nie zdoła stąd odejść. Tracisz wszystko, co jest ci drogie, wszystko, co kochasz, rodzinę... Zrozumiałam to... – dodała głosem pełnym skruchy – o wiele za późno.

Joseph podniósł się z materaca i wziął od niej pusty już talerz.

– Nigdy nie jest za późno – wymamrotał, ruszając do drzwi.

Zgodnie z poleceniem Styksów przez kilka kolejnych dni Sara

odpoczywała i zbierała siły. W końcu, gdy miała już dość bezczynności i myślała, że oszaleje z nudów, została wezwana do innego pokoju. Tym razem nie przyszedł po nią Joseph, lecz inny Kolonista – drobniejszy i znacznie starszy, ubrany w taki sam fartuch. Był kompletnie łysy i poruszał się w ślimaczym tempie, kiedy prowadził ją przez korytarz.

Spojrzał przez ramię na Sarę i uniósł brwi w przeproszającym geście.

– To przez te moje stawy – wyjaśnił. – Wilgoć się do nich dobrała.

– Zdarza się nawet najlepszym – odparła, przypominając sobie cierpienia własnego ojca, dotkniętego chronicznym artretyzmem.

Mężczyzna wprowadził ją do dużego pomieszczenia. Pośrodku był długi stół, a pod ścianami ciągnęły się niskie szafki. Starzec wyszedł bez słowa, zostawiając Sarę samą. Przez chwilę stała w bezruchu, zastanawiając się, dlaczego właściwie ją tu wezwano. Po obu stronach stołu znajdowały się dwa krzesła z wysokimi oparciami.

Kobieta podeszła do bliższego i stanęła za nim. Gdy rozglądała się po pokoju, jej uwagę przykuła mała kapliczka w rogu, gdzie pomiędzy dwiema zapalonymi świeczkami widniał kuty żelazny krzyż, a przed nim leżał otwarty egzemplarz Księgi Katastrof.

Potem jej wzrok spoczął na przedmiocie znajdującym się na blacie stołu. Był to duży arkusz papieru upstrzony kolorowymi plamami. Sara zerknęła przez ramię na drzwi, wciąż nie wiedząc, co właściwie ma robić. W końcu uległa ciekawości, podeszła bliżej i pochyliła się nad kolorową kartką.

Była to mapa. Sara spojrzała najpierw na jej górny lewy róg, gdzie dostrzegła dwie maleńkie równoległe linie, połączone drabinką jeszcze mniejszych, ledwie widocznych kreseczek. Kobieta dostrzegła, że linie ciągnęły się na długości kilku centymetrów, prowadząc do miejsca, w którym na mapie widniał szereg niewielkich prostokątów.

Obok znajdowały się napis: „Stacja Górników” i jakieś nieznane Sarze symbole. Przeniosła spojrzenie nieco dalej, na słowa: „Styksowa Rzeka” wypisane obok krętej ciemnoniebieskiej linii.

Następnie przyglądała się innym częściom mapy, zaczynając od wielkiej jasnobrązowej powierzchni, upstrzonej licznymi połączonymi ze sobą plamami.

Niektóre z nich obwiedzione były tylko czarną linią, inne zaś wypełnione różnymi barwami, takimi jak ciemny brąz, pomarańczowy i cała gama odcieni czerwonego, od karmazynowego po bordowy – właściwie kolory te wyglądały jak krew w różnych stadiach krzepnięcia. Sara postanowiła sprawdzić, czy uda się jej rozpoznać, co przedstawiają na mapie.

Wybrawszy na chybił trafił jedną z kolorowych plam, pochyliła nad nią głowę. Był to jasnoszkarłatny prostokąt, na którym dorysowano maleńki, czarny jak smoła obrazek – trupa czaszkę. Sara próbowała odczytać umieszczoną z boku legendę, kiedy nagle usłyszała jakiś dźwięk, cichy, ledwie słyszalny oddech.

Natychmiast podniosła wzrok.

Cofnęła się odruchowo i wpadła na krzesło, z trudem powstrzymując okrzyk przerażenia.

Po drugiej stronie stołu znajdował się żołnierz Styksów w charakterystycznym szarozielonym mundurze Dywizji. Wydawał się nieprawdopodobnie wysoki; stał ze złożonymi przed sobą rękami nie dalej niż metr od niej i przyglądał się jej w milczeniu. Nie miała pojęcia, od jak dawna był w pokoju.

Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła, że z klapy jego płaszcza wystaje wiele krótkich, bawełnianych nici w rozmaitych kolorach; dostrzegła różne odcienie czerwieni, fioletu, błękitu i zieleni. Wiedziała, że były to odznaczenia przyznawane za niezwykle czyny i akty odwagi, podobnie jak górnoziemskie medale. Stojący przed nią Styks miał ich

tyle, że nie dało się zliczyć. Przeniosła wzrok jeszcze wyżej.

Czarne włosy mężczyzny ściągnięte były w ciasny kucyk. Kiedy spojrzała na jego twarz, znów omal nie cofnęła się o krok. Był to przerażający widok. Lewą stronę twarzy przecinała olbrzymia blizna, podobna nieco do kalafiora, zarówno pod względem faktury, jak i koloru. Obejmowała jedną trzecią jego czoła, szła przez lewe oko, tak zniekształcone, że wydawało się, iż zostało obrócone o dziewięćdziesiąt stopni, rozszerzała się na policzku i sięgała aż do tylnej części żuchwy. Jego usta, złożone z niezwykle cienkich, typowych dla Styksów warg, zostały rozciągnięte do tego stopnia, że odstaniały zęby aż po dziąsła i sięgały niemal zębów trzonowych.

Był to obraz rodem z sennego koszmaru.

Sara szybko spojrzała w zdrowe oko Styksa, starając się nie patrzeć na drugie, zażawione, obwiedzione krwistą tkanką i przetykane siatką niebieskich żyłek.

Wyglądało ono jak rezultat niedokończonego badania anatomicznego, jakby ktoś przerwał w połowie dysekcję (daw. rozcięcie ciała ludzkiego lub zwierzęcego w celu poznania jego budowy lub stwierdzenia przyczyny śmierci; sekcja) twarzy.

– Widzę, że zaczęłaś beze mnie – powiedział. Słowa wypływające z jego zniekształconych ust były trochę niewyraźne, a głos chropawy i cichy, lecz władczy. – Wiesz, co przedstawia ta mapa? – spytał.

Sara zawahała się, a potem zrobiła krok do przodu i z ulgą przeniosła wzrok na mapę.

– Głębie – odparła. Styks skinął głową.

– Widziałem, że już odszukałaś Stację Górników. To dobrze. Powiedz mi... – Wyciągnął rękę nad linie oznaczające tory kolejowe, a Sara zobaczyła, że mężczyzna nie ma kilku palców, pozostałe zaś to tylko krótkie kikuty. Styks ogarnął szerokim gestem całą mapę. – ... Czy wiedziałaś o istnieniu tego wszystkiego?

– Wiedziałam o Stacji Górników, owszem, ale nie o tym wszystkim – odparła zgodnie z prawdą. – Słyszałam różne opowieści o Interiorze... wiele opowieści.

– Ach, opowieści... – uśmiechnął się przelotnie. Wyglądało to dość zabawnie: lśniący pasek warg wokół jego zębów zafalował i wygiął się w sinusoidę, a potem znów wyprostował. Mężczyzna usiadł, wskazując, by Sara zrobiła to samo. – Moim zadaniem jest dopilnować, byś mogła swobodnie działać na Wielkiej Równinie i w jej okolicach. Nim skończymy... – jego wzrok powędrował ku przedmiotom leżącym na końcu stołu – ... będziesz umiała posługiwać się naszą bronią i sprzętem oraz prowadzić działania w ramach naszych procedur. Zrozumiano?

– Tak jest – odparła, zwracając się do Styksa w sposób odpowiedni do jego zajęcia.

Wydawał się mile zaskoczony.

– Wiemy, że się do tego nadajesz, inaczej nie udałoby ci się unikać nas tak długo, jak to robiłaś.

Skinęła głową.

– Twoim jedynym celem będzie wytropić i unieszkodliwić buntownika za pomocą wszelkich dostępnych środków.

Atmosfera zgęstniała nagle, gdy Sara wbiła wzrok w straszliwie zdeformowaną twarz rozmówcy.

– To znaczy Willa Burrowsa?

– Tak, Setha Jeromea – odparł krótko. Wierzchem dłoni otarł załzawione oko, a potem strzelił niezdarnie palcami, wykorzystując do tego kikuty kciuka i palca wskazującego.

– Co...? – Sara usłyszała za sobą stukot i odwróciła głowę. Przez otwarte drzwi przemknął jakiś cień.

Był to Łowca, olbrzymi kot, który przyszedł jej z pomocą na powierzchni. Zwierzę zatrzymało się na moment, rozejrzało dokoła i

wciągnęło powietrze w nozdrza, po czym podbiegło do boku Sary i zaczęło ocierać się o jej nogę z taką czułością i siłą, że aż przesunęło krzesło.

– To ty! – wykrzyknęła kobieta. Była na równi zaskoczona, co uradowana jego widokiem. Przypuszczała, że Styksowie zabili go jeszcze na powierzchni, w podziemnej komnacie. Wydawało się jednak, że stało się coś wręcz przeciwnego: obok niej stało teraz stworzenie zupełnie różne od budzącego litość okazu, który widziała w Górnoziemiu.

Sądząc po sposobie poruszania się i wyglądzie kota, musiał być on należycie karmiony. Dostrzegła to, gdy zwierzak oddalał się na chwilę, chcąc obwąchać jakiś przedmiot w rogu pokoju. Opatrzono mu także ranę na łopatce; szary bandaż opasujący pierś Łowcy utrzymywał w miejscu opatrunek z gazy nałożony na rozcięcie. Ktoś sprawił mu również nowiutką skórzaną obrozę, a ponieważ w Kolonii nikt by tego nie zrobił, Sara domyśliła się, że zwierzę przebywa pod opieką Styksów, a nie Kolonistów.

– Nazywa się Bartleby. Uznaliśmy, że może być pomocny – oświadczył Styks.

– Bartleby – powtórzyła Sara, a potem spojrzała pytająco na starego Styksa.

– To oczywiste, że zwierzę będzie chciało odnaleźć dawnego pana, czyli twojego syna, a wykorzysta do tego niezwykle czuły węch – wyjaśnił mężczyzna.

– Ach, tak – skinęła głową. – To prawda. – Pomoc Łowcy mogła się okazać nieoceniona podczas poszukiwań w Głębi, tym bardziej że zapach Cala był dla kota ogromną zachętą do działania.

Sara uśmiechnęła się do Styksa, a potem zawołała: – Bartleby, do nogi!

Kot posłusznie wrócił do jej boku, usiadł i spojrzał na nią,

oczekując następnej komendy. Pomasowała szorstką skórę na szerokiej głowie zwierzęcia.

– Więc tak się nazywasz... Bartleby?

Kot mrugnął do niej wielkimi oczami i zaczął mrużyć basowo, przebierając w miejscu przednimi łapami.

– Razem odnajdziemy Cala, prawda, Bartleby? – Uśmiech znikł nagle z twarzy Sary. – A przy okazji wypłoszymy z nory wielkiego szczura.

W różanym ogrodzie przed Humphrey House kilka gołębi usiadło na stoliku, na którym kucharki regularnie zostawiały dla nich kawałki czerstwego chleba i inne resztki z kuchni. Pani Burrows podniosła wzrok znad czasopisma, leżącego przed nią na stole, i próbowała skupić na ptakach spojrzenie czerwonych, opuchniętych oczu.

– A niech to! Nie mogę nawet normalnie patrzeć, nie mówiąc już o czytaniu! – zrzędziła, mrużąc raz jedno, raz drugie oko. – Wstrętny, wstrętny wirus!

Od tygodnia telewizyjne serwisy informacyjne donosiły o wybuchu nowej tajemniczej epidemii, która pojawiła się najpierw w Londynie, a potem rozprzestrzeniła w błyskawicznym tempie po całym kraju. Sięgnęła nawet tak odległych miejsc, jak Stany Zjednoczone i Daleki Wschód. Eksperci mówili, że choć choroba ta, będąca czymś w rodzaju megazapalenia spojówek, nie trwa długo, bo zaledwie cztery do pięciu dni, to tempo, w jakim się rozprzestrzenia, daje poważne powody do obaw. Media określały chorobę mianem „Ultrawirusa”, ponieważ miał niezwykłą zdolność przenoszenia się zarówno w wodzie, jak i w powietrzu. Było to naprawdę niezwykle połączenie, które umożliwiało zarazkom wędrówkę na wielkie odległości.

Według tych samych ekspertów nawet gdyby rząd zdecydował się wyprodukować szczepionkę, proces pełnej identyfikacji wirusa i wytworzenie surowicy w ilości wystarczającej dla wszystkich

mieszkańców Anglii mogły potrwać kilka miesięcy, jeśli nie lat.

Naukowe wywody jednak wcale nie interesowały pani Burrows – to niedogodności związane z nową chorobą wyprowadzały ją z równowagi. Opuściwszy łyżkę do miski z kaszą, znów zaczęła trzeć oczy.

Poprzedniego wieczoru czuła się wyśmienicie, ale gdy na korytarzu rozbrzmiał poranny dzwonek, zaczęło się prawdziwe piekło. Bez ustanku dokuczały jej obolałe zatoki, a owrzodzony język i gardło doprowadzały ją niemal do szaleństwa.

Wszystko to jednak okazało się niczym w porównaniu z próbą otwarcia oczu, kiedy to przekonała się, że są sklezione tak mocno, iż nie może nic zobaczyć. Dopiero po przemyciu ich obficie ciepłą wodą, klnąc przy tym jak szewc, udało się jej rozchylić nieco powieki. Mimo tych zabiegów wciąż miała wrażenie, że oczy pokrywa skorupa, którą można tylko zdrapać lub zetrzeć.

Siedząc teraz przy stole, pani Burrows jęknęła żałośnie. Intensywne pocieranie tylko pogarszało sprawę. Nie zważając na łzy ciekące po policzkach, nabrała łyżkę płatków i podjęła kolejną próbę przestudiowania gazety z programem telewizyjnym, mrużąc przy tym przekrwione oczy. Był to najnowszy numer, który wykradła z pokoju dziennego, nim ktokolwiek inny miał okazję dostać go w swoje ręce. Jednak i tym razem musiała się poddać; z trudem odczytywała nagłówki, nie mówiąc już o wydrukowanym poniżej spisie programów.

– Cholerny, śmierdzący wirus! – zaklęła ponownie.

Tego ranka w jadalni panowała niezwykła cisza; zazwyczaj nawet podczas pierwszej tury śniadania siedziało tu sporo osób.

Pani Burrows, zgrzytając zębami ze złości, złożyła serwetkę i delikatnie otarła rogiem załzawione oczy. Wydawszy z siebie serię porykiwań, które miały jej pomóc oczyścić zajęte zatoki – co okazało

się zadaniem niewykonalnym pani Burrows głośno wydmuchała nos w serwetkę. Potem, mrugając szybko, spróbowała raz jeszcze skupić wzrok na stronach czasopisma.

– To nie ma sensu. Nic nie widzę. Zupełnie, jakby ktoś nasypał mi piasku do oczu! – stwierdziła, odsuwając od siebie miskę z płatkami.

Opuściła powieki, opadła na oparcie krzesła i sięgnęła po filiżankę z herbatą. Gdy przyłożyła do brzegu usta i pociągnęła pierwszy łyk, parsknęła głośno, wypływając cały płyn, który opadł drobną mgiełką na blat stołu. Herbata była zimna jak lód.

– FUJ! Obrzydliwe! – wrzasnęła. – Obsługa w tym lokalu jest beznadziejna! – Głośno odstawiła filiżankę na talerzyk. – Nic nie działa dzisiaj normalnie – poskarżyła się nie wiadomo komu, mając świadomość, że większość personelu nie stawiała się tego ranka do pracy. – Można by pomyśleć, że trwa wojna.

– Bo trwa – odpowiedział jej dystyngowany głos.

Pani Burrows uniosła jedną spuchniętą powiekę, by zobaczyć, kto do niej mówi.

Mężczyzna w tweedowej marynarce zanurzał kawałek posmarowanego masłem tosta w gotowanym jajku powolnymi, wystudiowanymi ruchami. Wyglądało na to, że podobnie jak ona wolał przebywać tylko we własnym towarzystwie, wybrał bowiem mały stolik przy drugim oknie. Prócz nich dwojga w sali nie było nikogo. Ostatnie dwa dni w sanatorium wyglądały naprawdę dziwnie; okrojony do minimum personel z czerwonymi, załzawionymi oczami robił, co w jego mocy, by zaspokoić potrzeby pacjentów, którzy i tak prawie nie opuszczali pokojów.

– Hm – powiedział mężczyzna i skinął głową, jakby zgadzając się z samym sobą.

– Słucham?

– Powiedziałem, że wojna trwa – oświadczył, wkładając do ust

kawałek unurzanego w żółtku tosta. Z tego, co widziała pani Burrows, wirus obszedł się z nim wyjątkowo łagodnie.

– Dlaczego pan tak uważa? – spytała pani Burrows agresywnym tonem i natychmiast pożałowała, że w ogóle się odezwała. Wyglądał na Komiwojżera – profesjonalistę, który wypalił się psychicznie, a teraz wracał do zdrowia. Pacjenci tego typu wraz z poprawą samopoczucia robili się niezwykle aroganccy i nieznośnie napuszeni – gdy przechodzili przez tę fazę rekonwalescencji, trudno ich było ignorować. Pani Burrows uważała jednak, że warto uczynić taki wysiłek.

Pochyliła głowę, modląc się, by nieznajomy zostawił ją w spokoju i zajął się jedzeniem. Nie miała jednak tyle szczęścia.

– A my tę wojnę przegrywamy – dodał, przeżuwając. – Jesteśmy obiektem nieustającego ataku wirusów. Mogą nas wykończyć, nim policzymy do trzech.

– Co pan wygaduje? – mruknęła pani Burrows, nie mogąc się powstrzymać. – Co za bzdury!

– Wręcz przeciwnie – odparł mężczyzna i zmarszczył brwi. – Na Ziemi panuje ogromne przeludnienie, a to idealne warunki dla wirusów, które mogą mutować i zamienić się w końcu w coś śmiertelnie niebezpiecznego. Idealna wylęgarnia.

Pani Burrows zastanawiała się, czy nie wyjść z jadalni. Nie miała ochoty słuchać paplaniny tego starego piernika, a poza tym niemal zupełnie straciła apetyt. Zaletą tej tajemniczej pandemii było to, że nikt nie organizował pacjentom dodatkowych zajęć, co oznaczało, że pani Burrows mogła oglądać telewizję do woli, wybierając programy według własnego widzimisię. Nawet jeśli niewiele widziała, to przynajmniej mogła posłuchać.

– Wszyscy cierpimy teraz z powodu tego paskudnego wirusa, wystarczyłoby jednak przestawić parę genów, żeby zamienić go w

nieuleczalną, śmiertelną chorobę. – Mężczyzna podniósł solniczkę i posolił jajko. – Wspomni pani jeszcze moje słowa; któregoś dnia na horyzoncie pojawi coś naprawdę paskudnego i wykończy nas wszystkich, położy jak kosa zboże – ciągnął mężczyzna, ocierając oczy rogiem chusteczki. – Wtedy odejdziemy na dobre w przeszłość, jak dinozaury. A to wszystko – ogarnął gestem jadalnię – stanie się tylko krótkim i mało istotnym rozdziałem w historii świata.

– Cóż za radosna wizja. Brzmi jak jakaś pieprzona powieść science fiction – stwierdziła szyderczo pani Burrows, wstając od stołu i ruszając niepewnym krokiem w stronę wyjścia.

– Wiem, że nie jest to miłe, ale to bardzo prawdopodobna wizja naszego końca – odrzekł.

To ostatnie stwierdzenie naprawdę rozsierdziło panią Burrows. Nie dość, że dokuczało jej jakieś paskudne choróbsko, to jeszcze musiała wysłuchiwać tych bzdur.

– Ach tak, więc wszyscy już jesteśmy przegrani? A skąd pan to wie? – spytała z pogardą w głosie. – Kim pan właściwie jest, niespełnionym pisarzem czy kimś w tym rodzaju?

– Nie, jestem lekarzem. Pracuję tutaj i w Szpitalu Świętego Edmunda, może pani o nim słyszała?

– Och... – wymamrotała pani Burrows nieco zbита z tropu, zatrzymując się w pół kroku i odwracając w stronę mężczyzny.

– Wygląda na to, że i pani jest w tych sprawach ekspertem. Tym bardziej więc żałuję, że nie dzielam pani optymizmu i wiary, że nie ma się czym martwić.

Pani Burrows, która nigdy jeszcze nie czuła się tak upokorzona, stała jak przykuta do miejsca.

– I niech pani spróbuje nie dotykać oczu, to tylko pogarsza dolegliwości – dodał szorstko mężczyzna i odwrócił głowę, obserwując gołębie, które walczyły ze sobą o kawałek chleba.

Rozdział dwudziesty drugi



Przez kilka kilometrów słyszeli jedynie chrzęst własnych butów na warstwie pyłu.

Dla Willa i Chestera była to bardzo męcząca wędrówka. Napastnicy szarpali ich brutalnie, gdy tylko któryś z chłopców się potknął lub poślizgnął; od czasu do czasu popychali ich też lub nawet bili, ponagłając do szybszego marszu.

Po jakimś czasie zupełnie niespodziewanie zarządzono postój i więźniowie zostali pozbawieni zasłaniających oczy opasek. Wciąż nieco oszołomieni, rozejrzeli się dokoła. Bez wątpienia wciąż byli na Wielkiej Równinie, nie widzieli jednak niczego poza kręgiem szarego pyłu oświetlonego blaskiem czołówki, którą nosił wysoki mężczyzna stojący przed nimi. Blask lampki nie pozwalał dojrzeć jego twarzy, widzieli jednak, że ma na sobie długi płaszcz, przewiązany pasem, do którego przymocowane były małe woreczki. Sięgnął do jednego z nich i wyjął kulę świetlną; trzymał ją przed sobą. Potem wolną ręką wyłączył czołówkę.

Odwinął szal zakrywający mu szyję i usta, spoglądając jednocześnie na obu chłopców. Był wysoki i barczysty, jednak uwagę Willa i Chestera przykuła przede wszystkim jego twarz: charakterystyczna, wąska twarz o silnie zarysowanym nosie, która spoglądała na nich błyszczącym niebieskim okiem. Drugie przysłonięte było jakimś urządzeniem zamocowanym na głowie za pomocą szerokiego paska.

Urządzenie to przypomniało Willowi ostatnią wizytę u okulisty; lekarz, który go wówczas badał, nosił podobny aparat. Ten jednak wyposażony był w młeczne soczewki i podświetlony – Will miał stuprocentową pewność – delikatnym pomarańczowym blaskiem. Chłopiec uznał natychmiast, że oko mężczyzny zostało niegdyś uszkodzone, potem jednak zauważył parę poskręcanych kabli przymocowanych do obrzeża urządzenia i biegnących wzdłuż opaski, na tył głowy.

Drugie, odkryte oko bez ustanku im się przyglądało, wodząc przenikliwym, ostrym wzrokiem od jednego do drugiego chłopca.

– Nie jestem zbyt cierpliwy – zaczął mężczyzna.

Will próbował oszacować jego wiek. Nieznajomy mógł mieć jednak zarówno trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat, a jego imponująca postura wzbudzała nie tylko respekt, ale i lęk obu chłopców.

– Nazywam się Drake. Nie mam w zwyczaju zbierać z równiny wyrzutków z Kolonii... – mężczyzna zrobił krótką przerwę, po czym dodał: – Czasami, kiedy spotykam ludzkie wraki, tych, którzy byli torturowani albo są zbyt słabi, by utrzymać się dłużej przy życiu... uwalniam ich od cierpień. – Uśmiechnął się ponuro i położył dłoń na wielkiej pochwie przymocowanej do pasa. – To najlepsze, co można dla nich zrobić.

Uznawszy, że powiedział już, co należało, odsunął dłoń od noża.

– Chcę szczerych odpowiedzi. Śledziliśmy was od jakiegoś czasu i wiemy, że nie ma żadnego wsparcia, prawda? – spojrzał groźnie na Willa, ten jednak milczał.

– Ty, duży, jak się nazywasz? – zwrócił się do Chestera, który przestępował nerwowo z nogi na nogę.

– Chester Rawls, proszę pana – odparł chłopiec drżącym głosem.

– Nie jesteś Kolonistą, prawda?

– E... nie – wychrypiał Chester.

– Górnziemcem?

– Tak. – Chester spuścił wzrok, nie mogąc już dłużej wytrzymać spojrzenia zimnego niebieskiego oka.

– Więc jak tu trafiłeś?

– Zostałem Wagnany.

– Jak wielu innych – mruknął Drake, odwracając się do Willa. – Ty, odważny albo bardzo głupi. Imię?

– Will – odrzekł chłopiec spokojnie.

– Zastanawiam się, kim ty właściwie jesteś. W twoim przypadku sprawa jest trudniejsza. Poruszasz się i wyglądasz jak zwykły Kolonista, ale jest też w tobie coś z Górnziemca.

Will skinął głową. Drake mówił dalej: – Co czyni z ciebie dość niezwykły egzemplarz. Na pewno nie jesteś agentem Graniczników.

– Kogo? – zdziwił się Will.

– Przed chwilą widzieliście ich w akcji.

– Nie mam pojęcia, kim są Granicznicy – wymamrotał Will beczelnym tonem.

– To specjalne oddziały Styksów. Ostatnio pojawia się ich tu wyjątkowo dużo.

Wygląda na to, że Głębia im trochę spowszedniała – mruknął Drake. – Więc ty dla nich nie pracujesz.

– Nie, do cholery, nie pracuję! – odparł Will z taką siłą, że oko Drake'a otworzyło się na chwilę szerzej, co mogło oznaczać zdumienie, a ten westchnął i skrzyżował ręce, ciągnąc się w zamyśleniu za brodę.

– Tak właśnie myślałem. – Przez moment wpatrywał się w Willa, potrząsając lekko głową. – Nie lubię jednak sytuacji, gdy nie mogę pojąć czegoś od razu. Często działam wtedy zbyt pochopnie...

Pozbywam się tego, czego nie rozumiem. Powiedz mi, chłopcze, ale szybko, kim jesteś?

Will wiedział, że lepiej będzie, jeśli wykona polecenie mężczyzny i odpowie na jego pytanie.

– Urodziłem się w Kolonii, ale mama mnie stamtąd zabrała. Wyniosła mnie na powierzchnię – wyjaśnił.

– Kiedy to było?

– Jak miałem dwa lata, mama...

– Wystarczy – przerwał mu mężczyzna, podnosząc rękę. -Nie prosiłem o historię twojego życia – warknął. – Ale wydaje mi się, że nie kłamiesz. A to oznacza, że jesteś... dziwakiem. – Drake spojrział w ciemność rozciągającą się za chłopcami. – Proponuję, żebyśmy ich stąd zabrali. Później zdecydujemy, co z nimi zrobić. Zgoda, Elliott?

W krąg światła weszła drobniejsza, poruszająca się z kocią gracją postać. Nawet w nikłym blasku kuli dostrzegli krągłości jej ciała, ukryte pod luźną kurtką i spodniami, podobnymi do tych, jakie miał na sobie Drake. Beżowa chusta, arafatka, okrywała szczelnie jej twarz i głowę, odsłaniając jedynie oczy.

Nie spojrzawszy nawet w stronę Willa i Chestera, dziewczyna zdjęła z ramienia strzelbę, wbiła kolbę w ziemię i oparła się na niej. Sądząc po wyglądzie, broń była ciężka; w połowie długości grubej lufy znajdował się celownik, który lśnił blado niczym niewypolerowany mosiądz. Strzelba okazała się niemal tak wysoka jak dziewczyna i wydawała się ogromnie nieporęczna dla kogoś o delikatnej, kruchej budowie ciała.

Chłopcy wstrzymali oddech, czekając, aż Elliott przemówi. Ta jednak po kilku sekundach milczenia skinęła tylko głową i zarzuciła broń na ramię z taką łatwością, jakby to był bambusowy kijek.

– Chodźcie! – rozkazał Drake.

Darował chłopcom przesłanianie oczu, ale nadal mieli związane ręce. Prowadzeni światłem czołówki Drake'a, podążali za jego barczystą sylwetką przez niezmiennie monotony krajobraz.

Wydawało się, że pomimo braku jakichkolwiek znaków orientacyjnych mężczyzna doskonale wie, w którą stronę powinni iść. Po wielu godzinach wędrówki przez pustynny teren dotarli wreszcie na skraj Wielkiej Równiny, gdzie w skalnej ścianie otwierał się okrągły tunel powulkaniczny. Nie zwalniając tempa marszu, ruszyli w głąb korytarza. Will pomyślał, że wygląda to niemal tak, jakby Drake posiadał zdolność widzenia w ciemności.

Przemierzając ciasny, wąski tunel, nieustannie obserwowali zarys głowy Drake'a; gdy jednak odwracali się od czasu do czasu, by zobaczyć, gdzie jest Elliott, ani razu nie dostrzegli jej sylwetki, nie słyszeli także kroków. Will doszedł do wniosku, że dziewczyna poszła inną drogą albo z jakiegoś nieznanego mu powodu została z tyłu.

Potem wszyscy trzej, Drake, Will i Chester, skręcili w boczną odnogę i wkrótce dotarli do miejsca, które na pierwszy rzut oka wyglądało na ślepy zaułek.

Drake kazał im się zatrzymać. Podniósł czołówkę i odwrócił się do nich, podczas gdy Will i Chester zerkali nerwowo za jego plecy, próbując odgadnąć, co się tam kryje.

Nie znali powodu, dla którego zatrzymali się właśnie tutaj. Chester wstrzymał oddech, gdy Drake sięgnął nagle do pochwy i wyjął z niej nóż.

– Przetnę wam więzy – powiedział, nim chłopcy zdążyli pomyśleć o najgorszym. – Chodźcie tu! – przywołał ich gestem noża, a potem, gdy podnieśli ręce, przeciął sznury dwoma silnymi szarpnięciami.

– Macie w plecakach coś, co nie może się zamoczyć? Jedzenie, jakieś rzeczy, które zniszczą się w wodzie?

Will zamyślił się na moment.

– Szybko! – ponaglał ich Drake.

– Tak, mam notesy i aparat fotograficzny, sporo jedzenia i... i trochę sztucznych ogni – odparł rzeczowo Will. -To jest w moim

plecaku. – Spojrzał na pakunek należący do brata, niesiony teraz przez Chestera. – U Cala jest głównie jedzenie.

Nim skończył mówić, Drake rzucił im do stóp dwie zwinięte paczki.

– Użyjcie tego. I uwijajcie się.

Chłopcy podnieśli po jednym tobołku i rozwinęli je. Były to worki wykonane z lekkiego, woskowanego materiału i ściągane sznurkiem.

Will przewrócił swój plecak na bok, wybierając szybko te rzeczy, które chciał schować do nieprzemakalnych toreb. Zaciągnął szczelnie sznurek, a potem odwrócił się do Chestera. Chłopiec nie znał zawartości swego plecaka i w związku z tym nie radził sobie tak szybko jak Will.

– Pośpiesz się, dobrze? – warknął cicho Drake.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Will, odpychając Chestera na bok i wykonując całe zadanie w ciągu kilkunastu sekund.

– Dobrze – burknął Drake. – To wszystko? Chłopcy skinęli głowami.

– Mała rada. Sugeruję, żebyście następnym razem zostawili sobie choć po parze suchych skarpetek.

Chester i Will byli tak pochłonięci pakowaniem najważniejszych rzeczy, że nawet o tym nie pomyśleli.

– Tak jest, proszę pana – powiedział Will, podniesiony nieco na duchu frazą „następnym razem” i niemal ojcowską radą, której udzielił im ten zupełnie obcy człowiek.

– Nie jestem żadnym panem – odrzekł ostro Drake, a Will znów poczuł się nieswojo.

Nie zamierzał tego mówić, wymknęło mu się samo, jakby zwracał się do nauczyciela w szkole.

– Przepraszam, pr... – zaczął chłopiec, zdołał jednak powstrzymać się w porę. Dojrzał też szydery uśmiezek na ustach Drakea, nim ten

przemówił ponownie: – Przepłyniecie przez to. – Drake stuknął czubkiem buta w dno tunelu, u podnóża ściany.

Chłopcy zobaczyli, że tam, gdzie w ich przekonaniu znajdował się stały grunt, pod grubą warstwą kurzu leniwie przelewa się woda. Mieli przed sobą niewielką sadzawkę o średnicy około dwóch metrów.

– Przepłyniemy? – powtórzył Chester i przełknął ciężko ślinę.

– Chyba potrafisz wstrzymać oddech na trzydzieści sekund, zgadza się, chłopcze?

– Tak – wyjąkał Chester.

– Dobrze. To jakby niewielki zbiornik ściekowy, który łączy się z innym pomieszczeniem. Coś jak syfon.

– Tak jak z tyłu klozetu? – spytał Chester łamiącym się ze strachu głosem.

– Świetne porównanie, Chester – skrzywił się Will. Drake spojrział na nich przeciągle, a potem wskazał ręką na wodę pokrytą kurzem.

– Właźcie!

Will ruszył jako pierwszy. Założył plecak na ramiona i szedł naprzód, tuląc do siebie nieprzemakalną torbę. Powoli, z ociąganiem, wszedł do sadzawki, z każdym krokiem zanurzając się coraz głębiej w letniej wodzie. Potem wziął głęboki oddech, pochylił głowę i zniknął pod powierzchnią.

Wypuszczając z ust bąbelki powietrza, które sunęły w górę jego twarzy, wolną ręką podciągał się do przodu. Zaciskał mocno powieki, a uszy wypełniały mu szum wody i bicie własnego serca. Dzięki temu, że tunel nie był zbyt szeroki – w najwęższym miejscu dochodził do około metra – pokonanie go nie nastęczało większych trudności, mimo że Will musiał dodatkowo zмагаć się z plecakiem i wodoszczelną torbą.

Miał wrażenie, że choć przesuwają się do przodu w całkiem niezłym tempie, ani trochę nie zbliżają się do wyjścia. Otworzył oczy i ujrzał

przed sobą tylko nieprzeniknioną czerń. Serce zaczęło bić mu jeszcze szybciej. Otaczająca go woda wydawała się lepka i oporna. To był jego najgorszy koszmar.

Czy to jakiś podstęp? Może powinienem zawrócić...

Starał się zachować spokój, lecz pozbawione powietrza ciało zaczęło się buntować.

Czuł, jak ogarnia go coraz większa panika, i zaczął wymachiwać rozpaczliwie rękami, szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby mu przesuwać się szybciej do przodu. Musiał wydostać się z tej czarnej cieczy. Poruszał się teraz z szaleńczą desperacją, przecinał wodę ruchami przypominającymi sprint w zwolnionym tempie.

Zastanawiał się przez chwilę, czy Drake postanowił zabić ich obu w ten właśnie sposób. Powiedział sobie jednak, że nieznajomy nie musiałby zadawać sobie aż tyle kłopotu mógłby po prostu poderżnąć im gardła na Wielkiej Równinie, gdyby tylko miał taki kaprys.

Choć wszystko trwało zapewne nie dłużej niż pół minuty, Will miał wrażenie, że minęła wieczność, nim wychynął wreszcie nad powierzchnię z głośnym pluskiem.

Dysząc ciężko, sięgnął po lampkę i włączył ją, ustawiając najśłabszy z możliwych promieni. Przytłumione światło tylko częściowo rozjaśniło pomieszczenie, w którym się znalazł. Zauważył jednak, że zarówno dno, jak i ściany lśnią w blasku latarki.

Pomyślał, że dzieje się tak z powodu okrywającej je wilgoci. Szczęśliwy, że znów może normalnie oddychać, czekał na Chestera.

Tymczasem po przeciwnej stronie sadzawki drugi chłopiec niechętnie założył plecak i powłókł się powoli w stronę wody, ciągnąc za sobą wodoszczelną torbę.

– Na co czekasz, chłopcze? – spytał Drake surowym, nieustępliwym tonem.

Chester przygryzł wargę, zatrzymał się przy brzegu wody i obrócił

głowę, spoglądając bojaźliwie w niebieskie oko Drakea.

– E... – zaczął, zastanawiając się, jak mógłby uniknąć wejścia do brudnej sadzawki. – Ja nie mogę...

Drake chwycił go za ramię, choć niezbyt mocno.

– Posłuchaj, nie chcę wam zrobić krzywdy. Musicie mi zaufać. – Podniósł głowę i odwrócił wzrok od twarzy chłopca. – Wiem, że niełatwo jest zaufać zupełnie obcej osobie, szczególnie po tym, co przeszliście. Macie prawo zachowywać ostrożność; dobrze, że to robicie. Ale ja nie jestem Styksem i nie zamierzam was skrzywdzić.

Rozumiesz? -Ponownie odwrócił głowę do chłopca.

Chester spojrział mu prosto w twarz i zrozumiał, że ten człowiek jest z nim zupełnie szczery. Nagle poczuł się znacznie pewniej.

– W porządku – skinął głową i nie wahając się dłużej, wszedł w ciemną, brudną wodę.

Kiedy przesuwiał się do przodu, podobnie jak Will, trochę płynąc, a trochę biegnąc po dnie, nie pozwolił, by choć na moment dopadły go wątpliwości.

Will już czekał po drugiej stronie i pomógł mu wyjść.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Długo cię nie było. Myślałem, że utknąłeś, albo co...

– Żadnych problemów – odparł Chester, dysząc ciężko i ocierając oczy.

– Teraz mamy okazję na pozbycie się tego towarzystwa powiedział szybko Will, próbując zobaczyć, co kryje się w ciemnościach, a potem zerkając na sadzawkę.

Drake się na razie nie pojawiał, z pewnością jednak był już niedaleko. – Powinniśmy teraz dać nogę.

– Nie, Will – odrzekł Chester stanowczo.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się chłopiec, który poderwał się już do ucieczki i ciągnął przyjaciela za sobą.

– Nigdzie nie idę. Myślę, że z nim będziemy bezpieczni wyjaśnił Chester. Stał w szerszym rozkroku, by stawić opór Willowi, który zrozumiał, że chłopak naprawdę nie żartuje.

– Za późno – syknął z wściekłością Will, widząc blade światło prześwitujące przez wodę. Była to czołówka Drake’a. Chłopiec burknął coś ze złością do Chestera w chwili, gdy nad powierzchnią pojawiły się głowa i ramiona mężczyzny, a potem cała reszta. Poruszał się on tak cicho, że przypominał raczej upiora wstającego z wody niż żywego człowieka.

Jego lampka świeciła znacznie mocniej niż latarki chłopców. Gdy snop jasnego światła padł na ścianę, Will przekonał się, że to, co brał za wilgoć, jest w rzeczywistości czymś zupełnie innym. Ściany i podłogę, na którym stali chłopcy, poprzecinane były mnóstwem cienkich złotych żyłek, jakby, ktoś oplótł je drogocenną pajęczyną. Żyłki świeciły tysiącem maleńkich drobin, wypełniając jaskinię kalejdoskopem ciepłych żółtych barw.

– A niech to... – zachłysnął się z wrażenia Chester.

– Złoto! – mruknął z niedowierzaniem Will. Spojrzał na swoje ręce i zobaczył, że upstrzone są mieniącym się brokatem. Potem przekonał się, że tak samo wyglądają Chester i Drake. Wszyscy mieli na sobie mnóstwo złotych drobin, które unosiły się warstwą złotego kurzu na powierzchni wody.

– Obawiam się, że nie – stwierdził Drake, stając obok niego. – To tylko piryt.

– Jasne – skinął głową Will, przypominając sobie lśniący sześcian pirytu, który tata przyniósł kiedyś do domu, wzbogacając kolekcję minerałów syna. – Piryt – powtórzył, nieco zawstydzony, że nie zorientował się od razu.

– Mogę pokazać wam miejsca, gdzie jest prawdziwe złoto; gdzie jest go tyle, że moglibyście wyładować nim te plecaki – powiedział

Drake, spoglądając na ściany. – Ale jaki z niego pożytek, skoro i tak nie ma go gdzie sprzedać? – jego głos na powrót stał się zimny i władczy. Wskazał na trzymane przez chłopców pakunki, mówiąc: – Uporządkujcie bagaże. Musimy iść dalej.

Gdy byli już gotowi, Drake odwrócił się i ruszył w drogę, oddalając się długimi zdecydowanymi krokami w głąb przedziwnego złotego tunelu.

Przez jakiś czas znów maszerowali zwawo w milczeniu przez labirynt skalnych korytarzy, aż wreszcie dotarli do stromego podejścia, za którym znajdowało się przejście sklepione nierównym łukiem. Drake sięgnął w głąb ciemnego otworu, jakby szukał czegoś po omacku, i wyciągnął grubą linę.

– Na górę – rozkazał, podając im sznur.

Will i Chester posłusznie wspięli się po linie, pokonując w pionie odległość około dziesięciu metrów, i czekali na górze, dysząc ze zmęczenia. Po chwili dołączył do nich Drake, który pokonał tę samą drogę z taką łatwością, z jaką zwykły człowiek otwiera drzwi. Cała trójka znalazła się w ośmiobocznym atrium, z którego odchodziły korytarze prowadzące do innych, słabo oświetlonych pomieszczeń. Dno jaskini było równe i pokryte warstwą szlamu; gdy Will poruszał butem, z sąsiednich komnat dobiegło echo świadczące o tym, że są one całkiem spore.

– Przez jakiś czas to będzie wasz dom – oświadczył Drake, rozpinając pas.

Ściągnąwszy płaszcz, zarzucił go sobie na ramię, po czym odchylił urządzenie zakrywające oko. Okazało się, że aparat był umocowany na zawiasie, a drugiemu oku Drake'a nic nie dolegało.

Dopiero teraz, gdy mężczyzna zdjął wierzchnie okrycie, zobaczyli jego muskularne ramiona i szczupłe, a zarazem wspaniale umięśnione ciało. Miał wystające kości policzkowe i twarz tak chudą, że tworzące

ją grupy mięśni niemal przebijały się przez skórę. Ta zaś, pokryta teraz warstwą brudu i ciemna niczym łupina orzecha, porwana była bliznami; niektóre, naprawdę duże, wyglądały jak szerokie białe narośla, podczas gdy inne, znacznie mniejsze, przypominały raczej drobne wąskie włókna oplecione wokół jego twarzy i szyi.

Oczy Drake'a, osadzone pod wydatnymi brwiami, miały intensywnie niebieską barwę i lśniły srogością, budzącą taką trwogę, że chłopcy z trudem znosili ich spojrzenie.

Wydawało się, że kryją w głębi obrazy jakiegoś przerażającego miejsca, którego żaden z nich nie chciałby zobaczyć.

– Dobrze, poczekajcie tam.

Chłopcy ruszyli w stronę pomieszczenia wskazanego przez Drake'a.

– Ale plecaki zostawcie tutaj – rozkazał i nie odwracając się od nich, dodał: – Wszystko w porządku, Elliott?

Will i Chester nie mogli się powstrzymać, by nie spojrzeć za Drake'a. Obok liny stała dziewczyna, nieruchoma jak skala. Przez cały czas szła w niewielkiej odległości za nimi, choć dopiero teraz dostrzegli jej obecność.

– Zwiążesz ich, prawda? – spytała zimnym, nieprzyjaznym głosem.

– Nie ma takiej potrzeby, prawda, Chester? – powiedział Drake.

– Nie – odparł chłopiec tak ochoczo, że Will spojrzał nań z ledwie skrywanym zdumieniem.

– A jak z tobą?

– E... nie – mruknął Will mniej entuzjastycznie.

Gdy już znaleźli się w sąsiednim pokoju, usiedli w milczeniu na prymitywnych łózkach, jedynych meblach, które dostrzegli w wypełnionym półmrokiem wnętrzu.

Leżanki były wąskie i krótkie – ledwie mieściły niewyrośniętych przecież jeszcze chłopców – a do tego miały bardzo cienkie obicie. Przypominały raczej wąskie stoły, na które narzucono koce.

Czekając z niepokojem na dalszy rozwój wydarzeń, przyjaciele wsłuchiwali się w odgłosy dobiegające z korytarza. Najpierw słyszeli strzępy przytłumionej rozmowy Drakea i Elliott, potem zaś dźwięki świadczące o tym, że cała zawartość ich plecaków została wysypana na podłogę. Po jakimś czasie usłyszeli jeszcze oddalające się kroki, aż w końcu zapadła cisza.

Will wyjął z kieszeni świetlną kulę i zaczął bezmyślnie przetaczać ją po rękawie.

Jego kurtka była już sucha, więc przy każdym ruchu od materiału odrywały się drobiny pirytu i opadały na ziemię złotym deszczem.

– Wyglądam, jakbym był na jakiejś cholernej dyskotecce mruknął, po czym bez najmniejszego ostrzeżenia zaatakował przyjaciela: – W co ty pogrywasz, Chester?!

– O co ci chodzi?

– Wydaje się, że postanowiłeś związać swój los z tymi okropnymi ludźmi. Dlaczego im ufasz? – pytał Will. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że zabiorą nam jedzenie, a potem zostawią nas na jakimś pustkowiu na pastwę losu? A najprawdopodobniej po prostu nas zabiją, złodziejskie nasienie.

– Nie sądzę – odparł Chester z oburzeniem, marszcząc brwi.

– Co miało znaczyć to twoje zachowanie? – Will wskazał kciukiem na ciemny korytarz, z którego przed chwilą przyszli.

– Przypuszczam, że to są jacyś rebelianci, prowadzący wojnę ze Styksami – bronił się Chester. – No, wiesz, bojownicy o wolność.

– Tak, jasne.

– To całkiem możliwe – nie poddawał się Chester, choć z mniejszym już przekonaniem. – Dlaczego ich po prostu o to nie zapytasz, Will?

– Dlaczego ty ich nie zapytasz?! – warknął Will. Ogarniał go coraz większy gniew.

Śmierć Cala była dla niego ogromnym wstrząsem, a sposób, w jaki potraktowali ich Drake i Elliott, przelał czarę goryczy. Pograżył się w milczeniu, konstruując plan śmiałej i błyskawicznej ucieczki. Miał już poinformować Chestera o tym, jak jego zdaniem powinien wyglądać ich następny ruch, gdy w drzwiach pokoju stanął Drake. Oparł się o futrynę i spojrzał na chłopców, podjadając coś. Był to ulubiony przysmak Willa – baton Caramac. Kupili z Calem kilka w górnoziemskim supermarkecie i trzymali je na specjalną okazję.

– Co to jest? – spytał Drake, wskazując głową na dwa ciemnobrązowe kamyki, które trzymał w dłoni. Potrząsnął nimi jak kostkami do gry, a potem zacisnął dłoń i zaczął pocierać jednym o drugi.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – powiedział Will.

– Dlaczego?

– Można popsuć sobie wzrok – odparł Will, wykrzywiając usta w mściwym uśmiechu, gdy mężczyzna nadal bawił się kamykami.

Były to ostatnie z guźlaków, które Tam dał kiedyś Willowi; Drake musiał je wyciągnąć z plecaka chłopca, nieświadom, że wystarczy rozbić lub zgnieść ów niepozorny kamień, by eksplodował oślepiającym białym światłem.

– Wybuchną ci prosto w twarz – ostrzegł go Will.

Drake zerknął na chłopca, nie wiedząc, czy mówi on poważnie, czy też żartuje.

Odgryzłszy jednak kolejny kęs batona, przyjrzał się guźlakom uważniej, starając się nie potrząsać nimi zbyt mocno.

Will był wściekły.

– Smakuje, prawda?! – syknął ze złością.

– Owszem – odrzekł Drake spokojnie, kończąc baton. – Potraktujmy to jako drobną opłatę za uratowanie wam życia.

– A to daje ci prawo do grzebania w moich rzeczach, tak? – Will

zerwał się na równe nogi, zaciskając mocno pięści i krzywiąc twarz w gniewnym grymasie. – Poza tym wcale nie trzeba było nas ratować.

– Och, naprawdę? – odparł swobodnie Drake, wciąż przeżuując. – Spójrzcie tylko na siebie. Wyglądacie jak ofiary losu.

– Doskonale sobie radziliśmy, zanim was spotkaliśmy odparował Will.

– Jasne. W takim razie powiedz mi, co stało się z tym C a l e m, o którym wspominałeś? Jakoś go tu nie widzę. -Drake rozejrzał się po pokoju, a potem uniósł brwi. – Ciekaw jestem, gdzie on się schował.

>

– Mój brat... on... on... – zaczął Will z wojowniczą miną, nagle jednak uszły z niego cały gniew i oburzenie. Przygnębiony, usiadł ciężko na łóżku.

– On nie żyje – odezwał się Chester.

– Jak zginął? – spytał Drake, przełykając ostatni kęs batona.

– Wszedł do tej jaskini i... i... – głos po prostu uwiązł Willowi w gardle.

– Do jakiej jaskini? – spytał natychmiast Drake śmiertelnie poważnym tonem.

– Wydobywał się z niej słodki zapach i rosły tam jakieś bardzo dziwne rośliny... – odpowiedział Chester, wyręczając przyjaciela. – Ugryzły go albo ukąsiły, a potem całe to paskudztwo...

– Pułapka cukrowa – przerwał mu Drake, odsuwając się od drzwi i spoglądając na chłopców z uwagą. – I co zrobiliście? Chyba nie zostawiliście go w tej jaskini?!

– Nie oddychał – powiedział Chester.

– Umarł – dodał Will ze smutkiem.

– Gdzie i kiedy to było? – dopytywał się Drake. Will i Chester spojrzeli na siebie.

– Mówcie! – ponaglał ich mężczyzna.

– Jakież dwa dni temu... chyba – stwierdził Will.

– Tak, to było przy pierwszym kanale – potwierdził Chester.

– Więc może jeszcze jest szansa – powiedział Drake, ruszając do wyjścia. – Niewielka.

– Co masz na myśli? – spytał Will.

– Musimy iść – warknął w odpowiedzi Drake.

– Co? – zdumiał się Will, nie pojmując tego, co słyszał. Lecz Drake szedł już energicznym krokiem przez korytarz.

– Chodźcie ze mną! Musimy zabrać trochę jedzenia! krzyknął do nich przez ramię. – Elliott! Zbieraj się! Nie zapomnij o broni!

Zatrzymał się przy plecakach chłopców, obok których leżały ich wszystkie rzeczy ułożone w staranne stosiki.

– Weźcie to, to i to – mówił Drake, wskazując różne rodzaje jedzenia. – Powinno wystarczyć. Zabierzemy też trochę dodatkowej wody. Elliott! Woda! – krzyknął i odwrócił się do nich. Chłopcy stali jak wryci; przyglądali się mu ze zdumieniem, nie rozumiejąc, co właściwie mają robić i dlaczego. – Pospieszcie się i zapakujcie te rzeczy... Oczywiście, jeśli chcecie uratować brata.

– Nie rozumiem – powiedział Will, klękając i pakując w pośpiechu rzeczy wskazane przez Drake’a. – Cał nie oddychał. Nie żyje.

– Nie czas teraz na wyjaśnienia – odrzekł krótko Drake, gdy w drzwiach innego pokoju pojawiła się Elliott. Wciąż miała chustę na głowie i karabin przerzucony przez plecy. Wręczyła Drake’owi dwa workowate pojemniki, w których chlupotała woda.

– Weźcie to! – rozkazał mężczyzna, przekazując bukłaki chłopcom.

– Co się dzieje? – spytała cicho Elliott, podając Drake’owi kolejne przedmioty.

– Było ich trzech. Trzeci wszedł do pułapki cukrowej – odparł, zerkając w stronę chłopców i biorąc od Elliott wiązkę cylindrycznych pojemników o długości około piętnastu centymetrów. Rozchylił

kurtkę i wsunął je do kieszeni, jeden po drugim.

Potem przypiął do pasa ładownicę z nieco krótszymi pudełeczkami, przypominającymi ołówki – każdy z nich wsunięty był do oddzielnej pętli – i zabezpieczył ją dodatkowo krótkim sznurkiem, który obwiązał wokół uda.

– Co to jest? – spytał Will.

– Środki ostrożności – odparł z roztargnieniem Drake. -Pójdziemy najkrótszą drogą przez równinę. Nie mamy czasu na subtelności.

Zapiął kurtkę i ponownie nałożył na oko dziwne urządzenie.

– Gotowa? – zwrócił się do Elliott.

– Gotowa – potwierdziła dziewczyna.

Rozdział dwudziesty trzeci



Tego samego wieczoru Sara oglądała w swoim pokoju mapę Głębi, którą dał jej żołnierz Styksów. Siedziała po turecku i pochylała się nad rozłożoną na podłodze płachtą, starając się zapamiętać nazwy różnych nieznanymi jej jeszcze miejsc.

– Miasto w Szczelinie – powtórzyła kilkakrotnie, a potem przeniosła wzrok na północny skraj Wielkiej Równiny, skąd dochodziły ostatnio meldunki o wzmożonej aktywności renegatów. Zastanawiała się, czy Will nie ma z tym jakiegoś związku – biorąc pod uwagę jego ostatnie wyczyny, wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby się okazało, że sieje ferment w Głębi.

Z zamyślenia wyrwały ją ciężkie, równe kroki dochodzące zza drzwi. Podeszła do nich, otworzyła najciszej, jak mogła, i zobaczyła znajomą potężną sylwetkę zmierzającą w głąb korytarza.

– Joseph! – zawołała cicho.

Odwrócił się i cofnął do niej, wsuwając pod pachę starannie złożone ręczniki.

– Przepraszam bardzo, nie chciałem przeszkadzać – powiedział, spoglądając przez uchylone drzwi na podłogę, gdzie leżała mapa.

– Trzeba było wejść. Tak się cieszę, że wróciłeś – uśmiechnęła się do niego. – Zastanawiałam się... e... – zaczęła, a potem umilkła.

– Jeśli chcesz, bym coś dla ciebie zrobił, wystarczy poprosić – zaofiarował się Joseph.

– Myślę, że nie zostanę tutaj długo – powiedziała, a potem znów

zawahała się na moment. – Przed wyjazdem chciałabym jednak zrobić jeszcze jedną rzecz.

– Co tylko sobie zażyczysz – powtórzył Joseph. – Wiesz, że jestem do twoich usług. – Uśmiechnął się do niej promiennie, zadowolony, że obdarzyła go zaufaniem.

– Chciałabym, żebyś mnie stąd wyprowadził – oświadczyła Sara ściszym głosem.

Przemykając jak cień, Sara trzymała się blisko ściany. Udało się jej już uniknąć krążących po ulicach policjantów i teraz nie chciała dać się złapać. Wsunęła się do wnęki za starą fontanną z wodą pitną, przykucnęła i obserwowała przez chwilę ciemne wejście po drugiej stronie ulicy.

Podniosła wzrok i spojrzała na wysokie, pozbawione okien ściany zewnętrznego pierścienia budynków. Właśnie z tego miejsca przed wielu laty patrzyła na te same domy oczami dziecka. I wtedy, i teraz sprawiały wrażenie, jakby szczególnie nie opierały się niszczącemu działaniu czasu. Ich powierzchnia poprzecinana była siecią szerokich złowieszczych szczelin, nie brakowało też wielkich ciemnych dziur znaczących miejsca, gdzie kamienie okładzinowe po prostu odpadły. Mury budynków były w tak fatalnym stanie, że wydawało się, iż lada moment runą na ziemię, grzebiąc pod sobą jakiegoś pechowego przechodnia.

Jednak pozory mogą mylić; dzielnica, do której właśnie zamierzała wejść Sara, była jedną z najstarszych w Kolonii, a mury domów dość mocne, by wytrzymać wszystko, czym mogli je zaatakować człowiek i czas.

Wzięła głęboki oddech i przemknęła przez ulicę, chowając się w ciemnym przejściu.

Było tak wąskie, że mieściło się w nim co najwyżej dwóch idących obok siebie ludzi.

Od razu poczuła smród. Kwaśny odór mieszkańców, fetor niemytych ciał tak intensywny, że niemal namacalny, zmieszany z zapachem ścieków i gryzącym smrodem gnijącego jedzenia.

Wyszła na słabo oświetloną alejkę. Podobnie jak wszystkie ulice i tunele przebiegające przez tę dzielnicę, droga była niewiele szersza od przejścia, które właśnie opuściła.

– Slumsy – powiedziała do siebie. Rozglądając się dokoła, uświadomiła sobie, że nic się nie zmieniło w tym miejscu zamieszkanym przez ludzi, którzy nie mieli dokąd pójść. Zaczęła przemieszczać się powoli, dostrzegając tu i tam znajome budynki, wciąż poplamione resztkami tej samej farby, którą zapamiętała z dzieciństwa.

Spoglądała na nie i upajała się wspomnieniami z czasów, gdy wraz z Tamem zapuszczała się na ten niebezpieczny i zakazany plac zabaw.

Rozkoszując się ciepłem odległych wspomnień, spacerowała środkiem alejki.

Unikała przy tym rynsztoku, którym płynęła cienka strużka ścieków przypominających roztopiony smalec. Po obu stronach alei stały rozpadające się budynki, pochylone ku sobie tak mocno, że ich górne piętra niemal stykały się ze sobą.

Przystanęła właśnie, by poprawić chustę na głowie, gdy minęła ją grupa obszarpanych uliczników. Byli tak umorusani, że niemal nie odróżniali się od warstwy brudu okrywającej każdą powierzchnię w tym miejscu.

Dwaj z nich, mali chłopcy, krzyczeli na całe gardło, ścigając jednocześnie inną grupkę: – Styks może połamać mi kości jak kamień, lecz słowa nigdy mnie nie zranią!

Sara uśmiechnęła się do siebie na myśl o lekceważącym sloganie; gdyby zrobili to poza granicami Slumsów, kara byłaby nieuchronna i surowa. Jeden z chłopców przeskoczył nad rynsztokiem na środku

drogi, omijając stadko staruszek okrytych chustami podobnymi do tej, którą miała na sobie Sara. Stare kobiety plotkowały o czymś zawzięcie, kiwając przy tym głowami. Jedna z nich, nie spojrzawszy nawet za siebie, odwróciła się od pozostałych w chwili, gdy chłopiec znalazł się tak blisko, że mogła go dosięgnąć. Trzepnęła go mocno w ucho i dała mu ostrą reprimendę. Twarz kobiety, pomarszczona i kostropata, była blada jak oblicze ducha.

Chłopiec zatoczył się lekko, pocierając głowę i mamrocząc coś pod nosem, a potem popędził dalej, niezrażony. Sara nie mogła powstrzymać śmiechu. Dostrzegła w dziecku małego Tama, tę samą wytrzymałość i nieustępliwość, które niegdyś tak podziwiała u brata. Maluchy nadal dokuczały sobie nawzajem, wrzeszczały cienkimi głosikami i piszczwały z radości, aż wreszcie popędziły w głąb bocznej alejki i znikły jej z oczu.

Dziesięć metrów dalej, w drzwiach budynku stało dwóch groźnie wyglądających mężczyzn. Obaj mieli długie włosy i zmierzwione brody, obaj też ubrani byli w brudne surduty. Sara zauważyła, że przyglądają się jej z paskudnymi uśmieszkami na twarzach. Większy z nich pochylił głowę, niczym buldog szykujący się do ataku, odwrócił się w jej stronę i wyjął zza pasa sękatą pałkę przypominającą korzeń. Sara widziała, że posługuje się nią z wielką swobodą. To nie były czcze pogroźki – z pewnością potrafił zrobić użytek ze swej broni.

Ci ludzie nie lubili obcych, którzy zapuszczali się na ich teren. Sara obdarzyła mężczyznę lodowatym spojrzeniem i zwolniła kroku. Wiedziała, że jeśli zamierza się trzymać obranej drogi, będzie musiała przejść tuż koło niego – nie miała innego wyjścia. Mogła oczywiście zawrócić, ale to zostałoby odczytane jako przejaw słabości z jej strony. Gdyby nieznajomi choć przez ułamek sekundy podejrzewali, że się boi i że nie powinno jej tutaj być, natychmiast by ją pobili takie panowały tu zasady. Tak czy inaczej, Sara wiedziała, że musi

prowadzić dalej grę z groźnym mężczyzną i znaleźć wyjście z tej nieprzyjemnej sytuacji.

Choć nie miała najmniejszych wątpliwości, że w razie potrzeby poradzi sobie z napastnikiem, poczuła cień dawnego strachu, znajomy dreszcz biegnący w dół kręgosłupa. Trzydzieści lat wcześniej oboje z Tamem byli od tego uzależnieni; uwielbiali tę chwilę tuż przed początkiem potyczki. Sara odkryła ze zdumieniem, że i teraz to uczucie sprawia jej przyjemność.

– Hej! Ty! – krzyknął ktoś nagle za jej plecami, wyrywając ją z rozmyślań. – Jerome!

– Co? – zdumiała się Sara.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła, że jedna ze staruch wlepiła w nią swe zaczerwienione oczy. Jej twarz poznaczona była wielkimi plamami wątrobowymi, a pokrzywiony palec wskazywał na Sarę w oskarżycielskim geście.

– Jerome! – wychrypiła ponownie starucha, jeszcze głośniej i z większym przekonaniem, otwierając usta tak szeroko, że Sara widziała różowe, bezzębne dziąsła kobiety.

Uświadomiła sobie, że okrywająca ją chusta zsunęła się na ramiona, a stojące obok kobiety mogły zobaczyć wyraźnie jej twarz. Ale skąd, na litość boską, wiedziały, kim jest?

– Jerome. Tak, Jerome! – zakrakała inna starucha. – To Sara Jerome, to ona!

Nadal nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia, Sara próbowała naprędce ocenić szanse na ucieczkę. Spojrzała szybko na najbliższe drzwi, zakładając, że jeśli dojdzie do najgorszego, może zdoła przedrzeć się do wnętrza jednego z budynków i zgubić w labiryncie wąskich korytarzy i uliczek. Wyglądało jednak na to, że musi odrzucić taki plan – wszystkie pobliskie drzwi były zamknięte lub zabite deskami.

Znalazła się w potrzasku. Mogła iść tylko do przodu lub do tyłu. Spoglądała na alejkę za plecami staruch, zastanawiając się, czy zdoła przedrzeć się tędy i uciec ze Slumsów, kiedy jedna z kobiet wrzasnęła przeraźliwie: – SARA!

Sara wzdrygnęła się, wystraszona siłą tego krzyku; na ulicy zapadła dziwna, pełna wyczekiwania cisza.

Kobieta obróciła się na pięcie, oddalając się od staruszek i maszerując prosto na brodacza z pałką. Trudno! Będzie musiała to jakoś załatwić.

Kiedy zbliżyła się do niego, mężczyzna podniósł broń na wysokość ramienia, a Sara przygotowała się do walki, ściągając chustę z głowy i owijając ją wokół ręki. Była na siebie wściekła, że nie zabrała noża.

Niemal zrównała się z mężczyzną, gdy ten, ku zdumieniu i uldze Sary, zaczął uderzać pałką o futrynę i wykrzykiwać jej imię chrapliwym głosem. Wkrótce przyłączył się do niego towarzysz, a także grupa staruszek: – SARA! SARA! SARA!

Nagle dokoła zapanował ogromny ruch, jakby ożyły nawet ściany budynków.

– SARA! SARA! SARA!

Pałka nadal uderzała rytmicznie o futrynę, a z domów wysypywali się ludzie, tylu ludzi, że Sara nie mogła uwierzyć własnym oczom. Otwierały się okiennice w pozbawionych szyb oknach, a z wnętrza wychylały się zaciekawione twarze. Kobieta mogła jedynie pochylić głowę i iść dalej.

– SARA! SARA! SARA! – dochodził zewsząd coraz głośniejszy krzyk; ludzie dostrajali się do rytmu wybijanego przez pałkę, hałas przybierał na sile, gdy coraz to ktoś nowy chwycił za jakieś metalowe naczynie i uderzał nim o ścianę, parapet lub futrynę. Brzmiało to jak więzienny chór, tak głośny, że zaczęły od niego drzeć dachówki.

Wciąż ogarnięta paniką, Sara nie zwolniła kroku, zaczęła jednak

dostrzegać uśmiechnięte, pełne zachwyty twarze. Starsi mężczyźni, przygęci do ziemi chorobami, i wymizerowane kobiety, wyeksploatowani ludzie, których Kolonia wyrzuciła na to złomowisko, witali ją radośnie, wykrzykiwali z entuzjazmem jej imię: – SARA! SARA! SARA!

Setki ust z połamanymi i poczerniałymi zębami, wszystkie krzyczące jednym głosem.

Uśmiechnięte, dzikie, nawet groteskowe twarze, wszystkie jednak wyrażające podziw, a nawet czułość.

Ustawiali się teraz wzdłuż drogi – Sara nie mogła uwierzyć, że aż tylu ludzi zgromadziło się w jednym miejscu. Ktoś wepchnął jej w dłoń pożąłką kartkę.

Spojrzała na nią. Była to prosta akwaforta wykonana na szorstkim papierze, podobna do tych, jakie podziemna prasa rozdawała mieszkańcom Slumsów – Sara widziała już kiedyś podobne rysunki.

Ten jednak sprawił, że serce zamarło jej na moment w piersiach. Największy wizerunek, znajdujący się na środku arkusza, przedstawiał ją samą, kilka lat młodszą niż teraz, choć ubraną niemal identycznie. Twarz na rysunku przepełniona była niepokojem i spoglądała melodramatycznie na bok, jakby ktoś ją ścigał. Była to całkiem udana podobizna, pozwoliła też Sarze zrozumieć, jak została rozpoznana. Z pewnością w całej Kolonii rozeszły się już plotki, że została ściągnięta przez Styksów pod ziemię. Na kartce znajdowały się także cztery inne, podobnie stylizowane obrazki, umieszczone w każdym z rogów; Sara nie miała jednak czasu, by im się teraz przyglądać.

Złożyła papier i wzięła głęboki oddech. Wyglądało na to, że nie ma się czego obawiać, że nic jej nie grozi. Podniosła więc głowę i poprawiła chustę, maszerując aleją, wzdłuż której tłoczyli się ludzie.

Nie pozdrawiała ich, nie rozglądała się na boki, lecz szła prosto przed siebie, choć zgiełk przybierał na sile. Zewsząd dochodziły

pohukiwania i radosne okrzyki; jednostajne „Sara! Sara! Sara!” dosięgło sufitu jaskini i wróciło echem na dół, mieszając się z otaczającym ją hałasem.

Sara dotarła do wąskiego przejścia prowadzącego na drugą stronę Slumsów. Nie oglądając się za siebie, weszła do wnętrza, zostawiając tłumy za sobą. Ich krzyk wciąż jednak wypełniał jej uszy, a ogłuszające dudnienie niosło się za nią w głąb korytarza.

Gdy już znalazła się na zewnątrz, na szerszej ulicy, gdzie stały domy zwykłych Kolonistów, zatrzymała się, by uporządkować myśli. Kręciło jej się w głowie, gdy próbowała ogarnąć to, co się przed chwilą wydarzyło. Nie mogła po prostu uwierzyć, że wszyscy ci ludzie, których nigdy wcześniej nie widziała, rozpoznali ją i powitali z takim entuzjazmem. Byli przecież mieszkańcami Slumsów, którzy nie szanowali ani nie podziwiali nikogo spoza swojej dzielnicy; to do nich niepodobne. Do tej pory nie miała pojęcia, że jest tak popularną postacią.

Przypomniawszy sobie o kartce papieru, którą wciąż ścisnęła z dłoni, otworzyła ją i zaczęła się uważnie przyglądać. Sam papier był szorstki i miał postrzępione brzegi, Sara jednak nawet tego nie zauważyła, wpatrzona w imię wykaligrafowane starannie na tle powiewającej flagi.

Poniżej, na środku ulotki znajdował się jej portret; nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości – artysta wykonał naprawdę dobrą robotę i wiernie oddał wygląd. Jej postać otaczała strzępiasta mgła, a może ciemność, tworząca owalną ramkę. W rogach kartki widniały cztery podobne obrazki, którym nie miała czasu się przyjrzeć wcześniej.

Były równie udane jak główny rysunek; jeden z nich ukazywał ją pochyloną nad dziecięcym łóżeczkiem. Jej twarz lśniła od łez, a w tle widać było zarys jakiejś postaci, jej męża, jak się domyślała, stojącego

z boku – tak właśnie stał wtedy, gdy umierało ich dziecko.

Następny obrazek przedstawiał ją wraz z oboma synami, wybiegającą z domu, na kolejnym zaś walczyła dzielnie z Kolonistą w mrocznym tunelu. Ostatni ukazywał wielki oddział Styksów z obnażonymi nożami w dłoniach, pędzących za postacią w spódnicy, która uciekała w głąb tunelu. Tutaj artysta pozwolił sobie na odrobinę fantazji; w rzeczywistości wcale tak to nie wyglądało, ale przekaz był jasny. Sara instynktownie złożyła kartkę. Portretowanie Styksów w jakikolwiek sposób było surowo zabronione – tylko mieszkańcy Slumsów mogli się odważyć na coś podobnego.

Nie mogła w to uwierzyć. Jej życie... w pięciu obrazkach!

Wciąż kręciła głową z krańcowym niedowierzaniem, gdy usłyszała delikatne skrzypienie skóry i podniosła wzrok. Zamarła, ujrawszy, kto przed nią stoi.

Blask latarni odbijał się w śnieżnobiałych kołnierzach i długich czarnych płaszczach.

Styksowie. Duży patrol było ich dobrze ponad dwudziestu. Przyglądali się jej w milczeniu, ustawieni w nierównym szeregu po drugiej stronie ulicy. Scena ta przypominała stare fotografie z Dzikiego Zachodu – oddział pościgowy zgromadzony wokół szeryfa tuż przed rozpoczęciem obławy. Jednak na tym obrazie szeryf wyglądał zupełnie inaczej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Kiedy Sara powiodła spojrzeniem nieco dalej, zobaczyła, jak niższy Styks, stojący pośrodku oddziału, robi krok do przodu. Natychmiast rozpoznała Rebekę. Stała, dumna i pewna siebie, przed szeregiem swoich ludzi, emanując poczuciem mocy i władzy. Ale Rebeka była nastoletnią dziewczynką!

Były równie udane jak główny rysunek; jeden z nich ukazywał ją pochyloną nad dziecięcym łóżeczkiem. Jej twarz lśniła od łez, a w tle widać było zarys jakiejś postaci, jej męża, jak się domyślała, stojącego

z boku – tak właśnie stał wtedy, gdy umierało ich dziecko.

Następny obrazek przedstawiał ją wraz z oboma synami, wybiegającą z domu, na kolejnym zaś walczyła dzielnie z Kolonistą w mrocznym tunelu. Ostatni ukazywał wielki oddział Styksów z obnażonymi nożami w dłoniach, pędzących za postacią w spódnicy, która uciekała w głąb tunelu. Tutaj artysta pozwolił sobie na odrobinę fantazji; w rzeczywistości wcale tak to nie wyglądało, ale przekaz był jasny. Sara instynktownie złożyła kartkę. Portretowanie Styksów w jakikolwiek sposób było surowo zabronione – tylko mieszkańcy Slumsów mogli się odważyć na coś podobnego.

Nie mogła w to uwierzyć. Jej życie... w pięciu obrazkach!

Wciąż kręciła głową z krańcowym niedowierzaniem, gdy usłyszała delikatne skrzypienie skóry i podniosła wzrok. Zamarła, ujrawszy, kto przed nią stoi.

Blask latarni odbijał się w śnieżnobiałych kołnierzach i długich czarnych płaszczach.

Styksowie. Duży patrol było ich dobrze ponad dwudziestu. Przyglądali się jej w milczeniu, ustawieni w nierównym szeregu po drugiej stronie ulicy. Scena ta przypominała stare fotografie z Dzikiego Zachodu – oddział pościgowy zgromadzony wokół szeryfa tuż przed rozpoczęciem obławy. Jednak na tym obrazie szeryf wyglądał zupełnie inaczej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Kiedy Sara powiodła spojrzeniem nieco dalej, zobaczyła, jak niższy Styks, stojący pośrodku oddziału, robi krok do przodu. Natychmiast rozpoznała Rebekę. Stała, dumna i pewna siebie, przed szeregiem swoich ludzi, emanując poczuciem mocy i władzy. Ale Rebeka była nastoletnią dziewczynką!

„Kim ona, u diabła, jest? – pomyślała Sara nie po raz pierwszy. – Członkiem osławionej klasy rządzącej Styksów?” Żaden ze zwykłych Kolonistów nie zbliżył się nigdy do Styksów na tyle, by sprawdzić, czy

ta klasa rzeczywiście istnieje. Jeśli jednak Sara potrzebowała takiego potwierdzenia, to miała przed sobą żywy dowód.

Rebeka bez wątpienia stała na samej górze, na wierzchołku tego społeczeństwa, przeznaczona do obejmowania najwyższych stanowisk.

Rebeka machnęła od niechcienia ręką, dając innym Styksom znak, by pozostali na swoich miejscach. Przez moment wsłuchiwała się w skandowanie dobiegające ze Slumsów, a potem uśmiechnęła się lekko. Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała krzywo na Sarę.

– Powitanie godne prawdziwego bohatera! – zawołała, stukając stopą w bruk. – Jak to jest być taką gwiazdą? – dodała cierpko.

Sara wzruszyła nerwowo ramionami, świadoma spojrzeń wszystkich Styksów stojących naprzeciwko.

– Mam nadzieję, że zdążyłaś się tym nacieszyć, bo za kilka dni Slumsy i wszystkie męty, które się tam kryją, będą już tylko złym wspomnieniem – warknęła Rebeka. – Czas na porządki, jak to mówią.

Sara nie wiedziała, jak na to zareagować – czy były to tylko ciche groźby, którymi chciała postraszyć ją Rebeka, dlatego że opuściła dzielnicę Styksów i wybrała się do Slumsów?

W oddali rozbrzmiał głos dzwonu.

– Dość tego! – oświadczyła dziewczynka. – Najwyższy czas... – pstryknęła palcami, a otaczający ją Styksowie natychmiast zabrali się do działania – ... byśmy ruszali w drogę. Musimy zdążyć na pociąg.

Rozdział dwudziesty czwarty



Miejsce Krzyża – powiedział głośno Drake, spoglądając z uwagą i skupieniem na znak stojący przy skalnej szczelinie.

Will szacował, że potrzebowali około dziesięciu godzin, by pokonać szybkim marszem – a czasami truchtem – odległość dzielącą ich od okolicy, w której, jak do tej pory sądził, umarł Cal. Zarówno on, jak i Chester byli kompletnie wyczerpani, jednak wciąż przepelnieni nadzieją.

Zgodnie z sugestią Drake'a zrobili po drodze kilka krótkich przerw; nikt jednak nie odezwał się ani słowem, gdy pili wodę i żuli jakieś słone paski o nieokreślonym smaku, którymi częstował ich przywódca wyprawy.

Gdy przemierzali biegiem rozciągającą się wokół równinę, prowadzeni ledwie widocznym blaskiem czołówki Drake'a, Elliott bezustannie podążała za nimi ukryta w ciemnościach. Teraz jednak dołączyła do nich i stanęła obok Drake'a zaglądającego do wnętrza szczeliny. Miejsca, którego Will wolałby już nigdy nie oglądać; miejsca strachu i rozpacz, bramy do świata śmierci.

Drake rozpiął pasek i zsunął go na ziemię wraz z kompletem różnego rodzaju torebek i pojemników. Elliott podała mu maskę, którą założył na usta i nos.

– Dostałem to od martwego Granicznika – uśmiechnął się cierpko do chłopców, a potem sprawdził, czy dziwna soczewka ustawiona jest dokładnie przed jego okiem.

– Chcę pomóc – oświadczył Will. – Idę z tobą.

– Nie, nie idziesz.

– Cal jest moim bratem. Byłem za niego odpowiedzialny.

– To nie ma z tym nic wspólnego. Zostaniesz z Elliott i będziesz stał na straży.

Złamaliśmy po drodze wszystkie zasady bezpieczeństwa i nie chciałbym, żeby ktoś dopadł nas w chwili, gdy będę w cukrowej pułapce. – Drake wskazał na Chestera. – On jest silniejszy od ciebie, więc mi pomoże.

– Jasne – Chester skwapliwie pokiwał głową.

Elliott klepnęła Willa w ramię. Stała tak blisko chłopca, że ten niemal się jej przestraszył. Wskazała na występ skalny za szczeliną.

– Stań po tej stronie – wyszeptwała. – Jeśli coś zobaczysz, nie krzycz, powiedz mi tylko.

Zrozumiałeś? – Chciała podać mu jeden z małych cylindrycznych pojemników, które niósł przy pasie Drake, ten jednak zauważył to i pokręcił głową.

– Nie, Elliott, on nie wie jeszcze, jak tego używać. W razie potrzeby po prostu zmyj się stąd i zabierz ich ze sobą. Spotkamy się przy wyjściu awaryjnym, zgoda?

– W porządku. Połamania nóg! – odparła Elliott z uśmiechem, po czym wyjęła pojemnik z dłoni zdumionego Willa i schowała do kurtki.

– Dzięki – mruknął Drake, podchodząc do szczeliny. Po chwili zniknął z Chesterem w jej wnętrzu.

Po ich odejściu Will przykucnął i oparł się plecami o skałę, wbijając wzrok w ciemność. Mijały minuty. -Hej!

To była Elliott.

Will rozejrzał się dokoła. Nie widział jej.

– HEJ! – rozległo się ponownie, tym razem głośniejsz.

Już miał ją zawołać, kiedy nagle wylądowała tuż obok niego, jakby

spadła z nieba.

Natychmiast domyślił się, że siedziała na szczycie skalnego występu.

– Coś się tam dzieje – wyszeptała, wskazując w ciemność. – To daleko stąd, więc nie wpadaj w panikę. Miej tylko oczy szeroko otwarte – to powiedziawszy, dziewczyna zniknęła, nim Will zdążył ją zapytać, co właściwie zobaczyła. Wyteżył wzrok, spoglądając we wskazanym przez nią kierunku, niczego jednak nie zauważył.

Po kilku minutach po równinie przetoczył się odległy głęboki huk. Nie towarzyszył mu żaden błysk, Will poczuł jednak na twarzy delikatne uderzenie fali ciepłego powietrza, odmiennego od wiejącego tu stale wiatru. Wstał, a Elliott natychmiast znalazła się obok niego.

– Tak myślałam – wyszeptała mu do ucha. – To Granicznicy wysadzają kolejną osadę Koprolików.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Drake myślał, że może w y nam to powiecie.

Will dojrzał błysk jej brązowych oczu, zerkających nań spod chusty.

– Nie – odparł z wahaniem. – Skąd miałbym to wiedzieć?

– Wszystko to: polowanie na naszych przyjaciół i Koprolików, którzy z nami handlują, zaczęło się mniej więcej w tym samym czasie, gdy się tu pojawiliście. Może to wy jesteście winni temu zamieszaniu. Czym tak bardzo rozgniewaliście Styksów?

– Ja... ja... – jękał się Will, zaskoczony sugestią, że w jakiś sposób mógł być odpowiedzialny za destrukcyjne działania Styksów.

– Cóż, bez względu na to, co zrobiliście, nie puszczą tego płazem. Dobrze o tym wiem. – Odwróciła od niego wzrok. – Bądź czujny – dodała, a potem wskoczyła lekko niczym kot na zbocze skalnego występu, trzymając w rękach olbrzymią strzelbę.

Willowi aż kręciło się w głowie od natłoku myśli. Czy ona mogła

mieć rację? Czy rzeczywiście ściągnął gniew Styksów na renegatów i Koproliatów? Czy był w jakiś sposób odpowiedzialny za to wszystko?

REBEKA!

Na samą myśl o swej fałszywej siostrze omal się nie zakrztusił. Czy to możliwe, by wciąż chciała się zemścić? Wydawało się, że jej nikczemny duch bez ustanku go ścigał, sunął za nim niczym jadowity wąż. Czy to właśnie ona stała za tymi wydarzeniami? Nie; próbował sobie wmówić, że to wszystko brzmiało zbyt nieprawdopodobnie.

Wrócił myślami do chwili, gdy on i Chester weszli po raz pierwszy do podziemnego świata przez jedną ze śluz prowadzących do Ćwiartki, co uruchomiło łańcuch zdarzeń, nad którymi nie miał żadnej kontroli. Potem, choć było to dla niego naprawdę bolesne, zaczął myśleć o wszystkich ludziach, których życie zmieniło się na gorsze właśnie z jego powodu.

Na początku listy znajdował się Chester, wciągnięty w to straszliwe bagno tylko dlatego, że z dobroci serca zaoferował mu pomoc w poszukiwaniach ojca. Potem był Tam, który stracił życie, broniąc go w Wiecznym Mieście. Nie mógł też zapomnieć o ludziach Tama: Imagu, Jacku i innych, których imion już nie pamiętał, a którzy najprawdopodobniej musieli teraz bezustannie uciekać przed Styksami. Wszystko przez niego. Ta świadomość stanowiła ogromny, przytłaczający ciężar, z którym nie był sobie w stanie poradzić. „Nie – próbował przekonywać samego siebie – to niemożliwe, żebym był winny temu wszystkiemu. Niemożliwe”.

Kilka minut później Will usłyszał jakieś odgłosy dochodzące ze skalnej szczeliny i zobaczył wybiegającego z niej Drake'a, za którym ciągnął się pióropusz białych drobin przypominających konfetti. Mężczyzna niósł na rękach bezwładne ciało Cala. Tuż za nim z otworu wygramolił się Chester.

Drake zatrzymał się na chwilę, gwałtownym ruchem głowy zrzucił

maskę, a potem podjął szalony bieg, zmierzając prosto do kanału.

– Chodź! – rzuciła Elliott do Willa, który w osłupieniu przyglądał się tej scenie.

Ruszyli śladem Drakea, wysokiej sylwetki z nieruchomym ciałem na rękach, otoczonej chmurą białych cząsteczek. Kiedy mężczyzna dotarł do kanału, wcale się nie zatrzymał; zeskoczył z brzegu prosto do ciemnej wody, która rozstała się przed nim z głośnym pluskiem, a potem zakryła całkowicie jego i Cala.

Will i Chester stali na brzegu, wpatrując się w kanał i nie rozumiejąc zupełnie, co się dzieje. Po chwili powierzchnia wody wygładziła się ponownie i tylko garść pęcherzyków powietrza znaczyła miejsce, gdzie przed chwilą zniknął Drake. Will spojrzał na Chestera pytającym wzrokiem.

– Co on robi?

– Nie wiem – wzruszył ramionami Chester.

– Widziałeś Cala?

– Tylko przez moment.

Usłyszeli ciche pluśnięcie, jakby gdzieś w głębi woda poruszyła się mocniej. Na powierzchni ukazały się drobne zmarszczki wywołane niewidocznym zamieszaniem, a potem znów wszystko się uspokoiło. Mijały kolejne sekundy, a Will zaczął podejrzewać, że wydarzyło się coś niedobrego.

Wciąż wpatrzony w wody kanału, Chester przemówił przygnębionym tonem: – Dla mnie wyglądał na martwego, ale naprawdę niewiele widziałem.

– Nie byłeś w jaskini?

– Drake kazał mi czekać na zewnątrz. Wszedł do środka bardzo powoli... Myślę, że nie chciał dotykać tych roślin. Ale potem wybiegł...

Chester umilkł nagle, gdy nad powierzchnię wychynęła głowa

Drake'a. Mężczyzna kołysał się przez chwilę w wodzie, biorąc kilka głębokich oddechów. Nie widzieli ciała Cala, Drake trzymał je bowiem pod wodą.

Posługując się tylko jedną ręką, dopłynął do brzegu i oparł się ramieniem o kamienną krawędź. Podniósł Cala, wysuwając nad wodę górną część jego tułowia, i potrząsnął nim energicznie. Głowa chłopca kiwała się z boku na bok, jakby za moment miała się oderwać. Wreszcie Drake przestał tarmosić chłopca i zajrzał w twarz Cala.

– Poświećcie na niego! – rozkazał.

Will i Chester natychmiast wykonali polecenie. Twarz chłopca wyglądała przerażająco. Była trupio sina i upstrzona licznymi białymi krostami. Cal nie dawał najmniejszych oznak życia. Nic. Will wpadł w rozpacz, myśląc, że wyprawa była tylko stratą czasu. Jego brat nie żył i w żaden sposób nie mogli tego zmienić.

Wtedy Drake potrząsnął Calem ponownie i uderzył go mocno w twarz.

Will i Chester usłyszeli ciche westchnienie.

Głowa chłopca drgnęła. Wziął płytki oddech, a potem zakasłał słabo.

– Bogu dzięki, Bogu dzięki... – powtarzał bez końca Chester.

Przez chwilę obaj chłopcy patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Will pokręcił głową.

Zdumienie odebrało mu mowę. Do tej pory nie wiedział, czego się właściwie spodziewać. Nie śmiał robić sobie nadziei. To, co się wydarzyło, przekroczyło jego najśmielsze oczekiwania – oto był świadkiem, jak jego brat powstał z martwych.

Cal wziął jeszcze kilka chrapliwych oddechów i zakasłał ponownie, tym razem mocniej. Potem krztusił się bez ustanku, wydając przy tym chrapliwe dźwięki, jakby nie mógł wciągnąć w płuca wystarczającej ilości powietrza. Głowa chłopca znów kiwała się na boki, aż wreszcie

zwymiotował gwałtownie.

– Świetnie, chłopcze! Bardzo dobrze! – zachęcał go Drake. – O to właśnie chodzi!

Mężczyzna przytrzymał się mocniej brzegu i podniósł Calą najwyżej, jak mógł.

– Weźcie go! – rzucił do chłopców.

Will i Chester złapali przyjaciela pod ręce i wyciągnęli na brzeg.

– Nie, nie kładźcie go! – powiedziała Elliott. – Niech stoi, a wy zdejmijcie mu koszulę.

Prowadźcie go pod ręce, musi być w ciągłym ruchu; wtedy szybciej pozbędzie się toksyn.

Gdy zdjęli Calowi koszulę, ukazała się im sina skóra w całej okazałości, pokryta mnóstwem białych, nabrzmiąłych krost. Oczy chłopca były czerwone jak ogień, a usta poruszały się bezgłośnie. Stojąc po obu stronach drobnego ciała, przyjaciele zaczęli zataczać szybkim krokiem niewielkie kręgi. Cal nie był w stanie zrobić o własnych siłach nawet jednego kroku.

Drake wyszedł z kanału i przykucnął na brzegu, podczas gdy Elliott wpatrywała się w horyzont przez lunetę zamocowaną na strzelbie.

Wysiłki Chestera i Willa nie przynosiły żadnego rezultatu. Po chwili Cal zamknął oczy, przestał poruszać ustami i znów stracił przytomność.

– Stójcie – powiedział Drake, podnosząc się z kucek. Podszedł do chłopców, jedną ręką podniósł głowę Calą, drugą zaś wymierzył mu kilka siarczystych policzków.

Robił to niemal bez ustanku, aż Will miał wrażenie, że sina barwa powoli ustępuje z twarzy brata.

Nagle Cal poruszył lekko brwiami, a Drake przestał go policzkować i przyglądał mu się uważnie.

– Musimy zabrać go stąd jak najszybciej. Jeszcze chwila i narkotyki

odurzyłyby go na dobre, a zarodniki zapuściłyby korzenie – powiedział mężczyzna. – Po jakimś czasie po prostu by go strawiły. Stałby się ludzkim kompostem.

– Zarodniki? – zdziwił się Will.

– Tak, te – Drake potarł mocno jedną z białych krost na szyi Cala. Jej fragment oderwał się, odsłaniając jeszcze bielszy kawałek skóry, z którego sączyły się krople krwi, jakby ktoś ją podrapał. – Kiełkują, tak jak tu, i wypuszczają wąsy. Te z kolei wrastają w ciało ofiary i wchłaniają wszystkie substancje odżywcze z żywej tkanki.

– Ale jemu nic nie będzie, prawda? – spytał szybko Will.

– Był nieprzytomny przez długi czas – odrzekł Drake, wzruszając ramionami. – Pamiętajcie tylko, gdyby któryś z was był na tyle głupi, by popełnić po raz drugi ten sam błąd i wejść do cukrowej pułapki, musicie go jak najszybciej wybudzić. Układ nerwowy ofiary niemal się wyłącza i trzeba prawdziwego szoku, by znów zmusić go do działania. Jednym ze sposobów jest zanurzenie chorego w wodzie. Trzeba go niemal utopić, żeby go uratować.

Wydawało się, że Cal znowu traci świadomość, więc Drake ponownie zaczął go policzkować tak mocno, że odgłos uderzeń dźwięczał Willowi w uszach. Nagle najmłodszy chłopiec zaczął się szarpać i podniósł głowę. Wziął głęboki oddech i wydał z siebie przerażający krzyk; Willem i Chesterem wstrząsnęły dreszcze. Był to dźwięk niehumaniczny, przypominający wycie zwierzęcia, które niosło się echem przez otaczające ich zapyłone pustkowia. Jednocześnie napełnił chłopców nową nadzieją, jakby usłyszeli pierwszy krzyk noworodka. Drake opuścił ręce.

– To jest to. Znow go poprowadźcie.

Chłopcy ponownie zaczęli chodzić w kółko i wydawało się, że wreszcie stopniowo życie wraca do ciała Cala. Na początku były słabe, ledwie widoczne ruchy, nieudane próby postawienia kroku, później

nabierał powoli sił, unosił coraz wyżej nogi, choć wciąż nie mógł utrzymać głowy w pionie.

– Drake, powinieneś to zobaczyć! – zawołała Elhott, ustawiając ostrość w lunecie.

Drake natychmiast znalazł się u jej boku, wziął od niej strzelbę i spojrział przez lunetę. – Tak... widzę... Dziwne...

– Co o tym myślisz? – spytała Elliott. – Wzbijają dużo kurzu. Drake opuścił broń i spojrział na nią ze zdumieniem.

– Styksowie... na koniach!

– Nie – odrzekła z niedowierzaniem.

– Musieli zauważyć nasze światła – oznajmił mężczyzna, oddając strzelbę. – Nie możemy tu zostać. – Podeszedł do Willa i Chestera. – Przykro mi, ale nie mamy teraz czasu na jedzenie ani odpoczynek. Poniosę wasze rzeczy, ale wy musicie się zająć pacjentem. – Zarzucił sobie plecaki chłopców na ramiona i bezzwłocznie ruszył w drogę.

Will i Chester taszczyli Cala między sobą; Will trzymał go pod pachami, a Chester za nogi. Obaj truchtali śladem przytłumionego blasku czołówki Drake'a.

– Nie mogą wjechać za nami na koniach do tuneli! – zawołał ściszym głosem Drake, odwracając się do nich. – Ale przed nami jeszcze szmat drogi. Pospieszcie się!

– To jest wykańczające – jęknął Will, gdy po raz kolejny potknął się o jakiś kamień i omal nie upuścił brata na ziemię. – On waży chyba z tonę!

– Nie poddawaj się! – warknął na niego Drake. – Tempo, chłopcy, tempo!

Pot lał się z nich strumieniami, dokuczały im coraz większe zmęczenie i głód. Will czuł w ustach nieprzyjemny posmak, jakby jego ciało spalało już ostatnie rezerwy.

Kręciło mu się w głowie i zastanawiał się, czy dla Chestera jest to

równie męczące jak dla niego. Wędrówkę utrudniał im jeszcze sam Cal, który bez ustanku kręcił się i wyrywał. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, i próbował ich obu odepchnąć.

Wreszcie dotarli na skraj Wielkiej Równiny. Ręce i nogi ciążyły chłopcom jak ołów, najchętniej po prostu padliby na ziemię i leżeli bez ruchu. Weszli jednak do krętego tunelu, a gdy skręcili za róg, Drake odwrócił się do nich.

– Poczekajcie chwilę! – rozkazał i zdjął z ramienia jeden z plecaków. – Napijcie się.

Zeszliśmy z równiny trochę wcześniej, niż powinniśmy... To bezpieczniejsze, ale oznacza też dłuższą wędrówkę do domu.

Chłopcy z ulgą osunęli się na dno tunelu, przytrzymując Calą między sobą.

– Elliott, załóż dwie łapki! – zawołał Drake.

Dziewczyna wychyłała z ciemności niczym duch, przykucnęła i korzystając z blasku czołówki Drake'a, ustawiła coś obok skalnej ściany. Był to gruby cylindryczny pojemnik, mniej więcej wielkości puszki konserwowego groszku, ale szarobrazowy.

Gdy przymocowała go już do kamienia za pomocą paska, odsunęła się powoli, rozwijając w poprzek tunelu drut tak cienki, że Will i Chester ledwie go widzieli.

Potem obwiązała drut wokół skalnego występu na przeciwległej ścianie i szarpnęła nim lekko – zabrzączał cicho.

– Doskonale – szepnęła Elliott, wracając do pojemnika. Położyła się obok niego na brzuchu, delikatnie wyciągnęła ze środka maleńki bolec, po czym wstała. – Gotowe – oświadczyła cicho.

Drake odwrócił się do Willa i Chestera.

– Musimy przesunąć się dalej, żeby Elliott mogła założyć drugą – oświadczył, podnosząc plecak.

Will i Chester wstali powoli, zabierając ze sobą Calą. Już od

jakiegoś czasu chłopiec zaczął wydawać z siebie dziwne, absurdalne dźwięki, wśród których pojawiały się od czasu do czasu zniekształcone, lecz zrozumiałe słowa, takie jak „głodny” lub „pić”.

Jednak ani Will, ani Chester nie mieli teraz czasu ni sił, by się tym przejmować.

Przenieśli go kilkaset metrów dalej i zatrzymali się, gdy Drake przystanął.

– Nie, nie siadajcie! – zakazał im mężczyzna.

Stali więc posłusznie, czekając, aż Elliott założy następną „łapkę”, jak nazywał je Drake.

– Jak to właściwie działa? – spytał Will, opierając się o ścianę tunelu i przyglądając poczynaniom Elliott.

– Wybucho – odparł krótko Drake. – To ładunki.

– Ale dlaczego zakładacie aż dwa?

– Pierwszy eksploduje z opóźnieniem. Białe Szyje uruchamiają go i wchodzi na drugi mniej więcej w tej samej chwili, gdy wybucho pierwszy, i proszę bardzo: zostają uwięzieni w krótkim odcinku tunelu. Cóż, tak przynajmniej wygląda to w teorii.

– Sprytne – Will pokiwał głową z podziwem.

– Tak naprawdę – pochylił się ku niemu Drake – zastawiamy dwie albo i więcej, bo te kanale często je wykrywają. Są w tym naprawdę dobrzy, niestety.

– Ach, rozumiem – mruknął Will już z mniejszym podziwem.

Według obliczeń Willa uszli dobrych parę kilometrów, nim usłyszeli eksplozje obu ładunków, przypominające dwa potężne klaśnięcia w dłonie. Potem, po upływie kilkunastu sekund na spoconych szyjach poczuli powiew ciepłego wiatru. Drake nawet nie odwrócił głowy, maszerując wciąż w tempie, któremu ledwo mogli sprostać. Gdy nie szli tak szybko, jak tego chciał, mężczyzna warczał na nich groźnie, niczym zły pies. Will był już tak zmęczony, że

trzymał Cala za jedną rękę, podczas gdy druga objęła się o jego golenie.

Pokonywali tunel za tunelem, wspinając się i schodząc. Czasami musieli przeciskać się przez wąskie jaskinie, kiedy indziej znów brodzić w głębokich sadzawkach – podnosili wówczas Cala niemal na wysokość ramion, by jego głowa nie zanurzyła się w wodzie.

Wydawało się, że chłopiec powoli odzyskuje siły, co sprawiało, że utrzymanie go było coraz trudniejsze; wił się i szarpał w ich uścisku. Czasami nie dawali już rady i upuszczali go. Gdy za którymś razem znów wyslizgnął się z ich rąk i uderzył z głośnym plaśnięciem o mokre podłoże, nawet nie próbowali go ratować, ledwie żywi ze zmęczenia. Stek bełkotliwych, chrapliwych obelg wydobył się z ust Cala, podnoszonego przez przyjaciół.

– DANG TYJUSE FIRKS!

– JUSE SNEKEN TRIP!

Te niezrozumiałe przekleństwa w połączeniu z bezsilną złością chłopca były tak komiczne, że Will nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Jego rozbawienie udzieliło się Chesterowi, który także zachichotał. To z kolei sprawiło, że Cal zaczął wyrzucać z siebie niezrozumiałe obelgi w jeszcze większym tempie i wymachiwać gwałtownie rękami. Ogromne zmęczenie i ulga wywołane powrotem Cala do świata żywych działały na chłopców jak narkotyk, powodowały zawroty głowy i niepohamowaną radość.

– Hm... chyba jeszcze nikt mnie tak nie nazwał – stwierdził Chester, z trudem chwyając oddech. – Sneken trip? powtórzył, starannie wymawiając oba słowa.

– Muszę przyznać – chichotał Will – że zawsze wyglądałeś mi trochę na tripa.

Znów obaj wybuchli histerycznym śmiechem, a Cal, który najwyraźniej słyszał i rozumiał wszystko, co mówili, zaczął jeszcze

wścieklej wymachiwać rękami.

– CHLER SKINSY! – ryknął chrapliwie, a potem zaniósł się głośnym kaszlem.

– Zamknijcie się! – syknął z przodu Drake. – Zdradzicie naszą pozycję!

Cal uspokoił się trochę. Nie dlatego jednak, że przejął się słowami Drake'a, lecz kiedy uświadomił sobie, że przeklinanie nic nie da. Spróbował więc chwycić Willa za nogę i przewrócić go. Will natychmiast przestał chichotać i bardziej już zirytowany niż rozbawiony odtrącił ręce brata.

– Cal, dość tego! – warknął. – Albo zostawię cię tutaj na łaskę Styksów!

W końcu dotarli z powrotem do bazy. Ponieważ nie musieli przechodzić przez sadzawkę, Will domyślił się, że tym razem wybrali inną drogę. Obwiązawszy Cala liną, wciągnęli go na górę i położyli w jednym z łóżek w pokoju najbardziej oddalonym od wejścia. Drake kazał im napić chłopca za pomocą gąbki. Cal krztusił się i pluł, a większość płynu ściekała mu po brodzie. Nim jednak zapadł w głęboki sen, zdołał się porządnie napić.

– Chester, pilnuj go. Will, ty idziesz ze mną.

Will posłusznie ruszył za Drakiem. Czuł dziwny niepokój, jakby został wezwany do gabinetu dyrektora szkoły i miał dostać burę.

Weszli do ciemnego korytarza, przekroczyli próg grubych metalowych drzwi i znaleźli się w dużym pomieszczeniu, które oświetlała zawieszona pośrodku sufitu jasna kula. Pokój miał co najmniej trzydzieści metrów długości i niewiele mniej szerokości. W rogu stały dwa piętrowe łóżka wykonane z grubych arkuszy blachy, a ściany niemal w całości zakryte były ogromną masą różnorakiego sprzętu. Wyglądało to jak wojskowa jaskinia skarbów. Will powiódł spojrzeniem po ścianach i dostrzegł liczne półki zastawione ciasno

cylicydrycznymi pojemnikami podobnymi do tego, który chciała dać mu Elliott w Miejscu Krzyża. Zauważył też beżowe skafandry, jakie nosili Koprolici, a także mnóstwo taśm, pasów, zwojów sznurów i toreb ze sprzętem, rozwieszonych w równych rzędach.

Idąc dalej za Drakiem, Will spostrzegł Elliott stojącą między łózkami. Dziewczyna była zwrócona do niego tyłem, widział jednak, że zdjęła kurtkę oraz spodnie i wkładała je właśnie do szafki. Miała na sobie koszulkę koloru kości słoniowej i szorty; Will nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na jej szczupłe, umięśnione nogi. Były usmarowane brudem i podobnie jak twarz Drake'a poznaczone licznymi bliznami, które odcinały się pasmami bieli od czerwonobrazowego kurzu okrywającego każdy milimetr jej skóry. Skonsternowany widokiem kobiety, Will stanął w miejscu jak wryty. Natychmiast jednak poczuł na sobie uważne spojrzenie Drake'a.

– Siadaj! – rozkazała mężczyzna, wskazując miejsce przy ścianie. W tej samej chwili Elliott wyszła pomiędzy łóżek.

Miała zadziwiająco kobiecą twarz; wystające kości policzkowe, delikatne, pełne usta i kształtny nos. Will dostrzegł błysk w ciemnych oczach, gdy zerknęła na niego przelotnie, a potem ziewnęła i zmierzwiła dłonią krótko przycięte ciemne włosy. Jej ramiona i nadgarstki były tak szczupłe, że Will nie mógł uwierzyć, iż patrzy na tę samą osobę, która nosiła wielką strzelbę z taką swobodą, jakby to był suchy patyk.

Wzrok chłopca padł na biceps Elliott, gdzie znajdował się przerażająco głęboki dołek. Skóra wokół zagłębienia poprzecinana była różowymi bruzdami, a jej powierzchnia nierówna, jakby ktoś wylał na nią roztopiony воск. Will pomyślał od razu, że coś musiało ugryźć dziewczynę, wyszarpując przy tym spory kawałek ciała.

Wszystko to jednak wydawało się niczym w porównaniu z faktem, że – przynajmniej zdaniem Willa – Elliott była bardzo młoda, być

może nawet niewiele starsza od niego. Nigdy by się tego nie spodziewał, biorąc pod uwagę jej groźny wygląd i zachowanie na Wielkiej Równinie.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją Drake, kiedy ziewnęła ponownie i podrapała się w roztargnieniu po barku.

– Tak. Idę wziąć prysznic – odparła i ruszyła na bosaka do drzwi, nie zerknąwszy nawet na Willa, który stał nieruchomo, z rozdziawionymi ustami.

Gdy Drake pstryknął mu palcami tuż przy twarzy, Will uświadomił sobie, że gapi się na Elliott, i szybko odwrócił wzrok.

– Tutaj – powiedział Drake z naciskiem, po czym obaj usiedli naprzeciwko siebie na dwóch żelaznych skrzyniach ustawionych pod ścianą pokoju. Choć Will nie zdążył jeszcze pozbierać całkiem myśli, zaczął mówić: – Ja... e... chciałem podziękować wam za uratowanie Cala. Źle oceniłem ciebie i Elliott – przyznał, spoglądając mimowolnie w stronę drzwi, choć dziewczyna dawno już wyszła z pokoju.

– Jasne – Drake machnął lekceważąco ręką. – Nie to mnie teraz martwi. Coś się dzieje i chciałbym wiedzieć, co wiesz.

Will był nieco zaskoczony tym pytaniem i spojrzał na mężczyznę z konsternacją.

– Widziałeś sam, co robią Styksowie. Zabijają renegatów dziesiątkami.

– Zabijają renegatów – powtórzył Will i wzdrygnął się, przypomniawszy sobie incydent, którego byli świadkami.

– Tak. Muszę przyznać, że niektórych wcale mi nie żal, ale tracimy także przyjaciół, i to w zastraszającym tempie. Do niedawna Styksowie dawali nam spokój, z wyjątkiem sytuacji, gdy zabijali z zemsty, bo jakiś traper posunął się za daleko i któryś z Graniczników ginął bez śladu. Teraz wygląda to zupełnie inaczej; Styksowie wycinają nas jak chwasty i nie sądzę, by spoczęli, dopóki nie pozbędą

się wszystkich.

– Ale dlaczego zabijają także Koproliatów? – spytał Will.

– By dać im do zrozumienia, że nie wolno z nami handlować ani nam pomagać.

Właściwie to nic nowego. Białe Szyje od czasu do czasu dokonują eksterminacji kilku osad, żeby ograniczyć ich liczbę – odparł Drake, masując sobie skronie, jakby ta sprawa głęboko go niepokoiła.

– Co to jest eksterminacja? – dopytywał się zdenerwowany Will.

– Masowa zagłada – wyjaśnił krótko Drake.

– Och... – wymamrotał chłopiec.

– Nie ma wątpliwości, że Styksowie coś knują. Granicznicy wysłali zbrojne hufce w teren, a na Stację Górników niemal codziennie przyjeżdżają wysocy rangą przedstawiciele Białych Szyj. – Drake zmarszczył brwi. – Wiemy też z wiarygodnych źródeł, że ich naukowcy przeprowadzają eksperymenty na ludziach. Podobno stworzyli nawet obóz badawczy, choć nie udało nam się go jeszcze zlokalizować. Z niczym ci się to nie kojarzy? – spytał mężczyzna i umilkł na chwilę, przesywając Willa srogim spojrzeniem niebieskich oczu. – Nie wiesz nic na ten temat, prawda? – spytał ponownie.

Will pokręcił głową.

– No dobrze, w takim razie chciałbym wiedzieć wszystko, co jednak wiesz. Kim właściwie jesteś?

– E... no dobrze – zająknął się Will, nie wiedząc właściwie, od czego zacząć ani czego tak naprawdę chciałby się dowiedzieć Drake. Czuł się zupełnie wycieńczony długim marszem i noszeniem Cala, bolały go wszystkie mięśnie, gotów był jednak pomóc Drake'owi, na ile tylko mógł. Zaczął więc opowiadać szczegółowo o wydarzeniach ostatnich miesięcy. Mężczyzna przerywał mu co jakiś czas, dopytując o to i owo; widać też było, że z każdą chwilą zmienia się jego stosunek do chłopca, aż w końcu zaczął odnosić się do niego niemal z

serdecznością.

Will opowiadał, jak jego przybrany ojciec, doktor Burrows, obserwował w Highfield grupę ludzi, którzy nie pasowali do otoczenia, i postanowił w końcu zająć się bliżej tą sprawą. Informacje zebrane podczas prywatnego śledztwa skłoniły go do wykopania tunelu prowadzącego wprost do Kolonii. Potem chłopiec wyjaśnił, jak doktor Burrows dobrowolnie wsiadł do Pociągu Górników. Kończąc historię, mówił ze ściśniętym gardłem: – Tak więc mój tata jest teraz gdzieś tutaj. Nie widziałeś go, co? – dodał szybko.

– Nie, ja nie. – Drake podniósł rękę, widząc ogromne poruszenie chłopca. – Ale choć nie chciałbym ci robić nadziei, rozmawiałem ostatnio z pewnym traperem... – Drake zawahał się na moment.

– I? – dopytywał się Will, zniecierpliwiony.

– Słyszał plotki, że ktoś z zewnątrz kręci się przy jednej z osad. Nie jest to raczej Kolonista ani Styks... Podobno nosi okulary...

– Tak? – Will pochylił się do przodu, patrząc wyczekująco na twarz mężczyzny.

– ... i ciągle coś zapisuje w notesie.

– To tata! To na pewno on! – przerwał mu Will, śmiejąc się z ulgą.

– Musisz mnie do niego zabrać!

– Nie mogę – odparł Drake krótko.

Ogromna radość chłopca natychmiast ustąpiła miejsca irytacji.

– Jak to, nie możesz?! Musisz! – błagał Drakea, potem jednak, nie panując już dłużej nad nerwami, zerwał się na równe nogi. – To mój tata! Musisz mi pokazać, gdzie on jest!

– Usiądź! – rozkazał Drake tonem nieznoszącym sprzeciwu. Will nawet nie drgnął.

– Powiedziałem, usiądź... i uspokój się, żebym mógł dokończyć to, co mówiłem.

Will powoli usadowił się na żelaznej skrzyni, wciąż ogromnie

wzburzony.

– Powiedziałem, że nie chciałbym ci robić wielkiej nadziei. Traper nie mówił, gdzie dokładnie jest ten człowiek, a Głębia ciągnie się na przestrzeni wielu mil. Poza tym ze względu na tę dziwną aktywność Białych Szyj Koprolici przenoszą swoje osady, najprawdopodobniej więc i on przemieszcza się z nimi.

Will milczał przez chwilę.

– Ale jeśli to rzeczywiście jest tata, to nic mu nie jest, prawda? – spytał w końcu, szukając w oczach Drake’a potwierdzenia. – Myślisz, że nic mu nie będzie?

Mężczyzna potarł brodę w zamyśleniu.

– Jeśli tylko nie wpadnie na pluton egzekucyjny Graniczników.

– Och, Bogu dzięki – westchnął Will, zamykając na chwilę oczy.

Choć Drake nie potrafił powiedzieć, gdzie jest jego przybrany ojciec, Will był tak uradowany uzyskaną informacją, że poczuł nagły przypływ świeżych sił.

Zaczął opowiadać własną historię; o tym, jak po zniknięciu przybranego ojca poprosił Chestera o pomoc i jak obaj trafili do Kolonii. Chłopiec mówił o pobycie w areszcie i okrutnych przesłuchaniach prowadzonych przez Styksów. Potem opowiedział o pierwszym spotkaniu z prawdziwym bratem i ojcem, o odkryciu, że jest adoptowany i że przybrany ojciec nigdy mu tego nie powiedział. Kiedy wspomniał o prawdziwej matce i o tym, że była jedyną osobą, której udało się uciec z Kolonii i przeżyć, Drake przerwał mu raptownie: – Jej nazwisko? Jak ona się nazywa?

– E... Jerome. Sara Jerome.

Drake odetchnął głośno, a w pokoju zapadła cisza. Will był niemal pewien, że dostrzegł jakąś zmianę w ciemnych, przenikliwych oczach mężczyzny; wydawało mu się, że patrzy nań teraz w zupełnie inny sposób.

– Mówisz więc, że jesteś jej synem – przemówił wreszcie Drake, prostując plecy. – Synem Sary Jerome?

– Tak – potwierdził Will, zaskoczony jego reakcją. – Cał też – dodał już ciszej.

– Twoja matka ma brata.

Will nie był pewien, czy było to pytanie, czy też stwierdzenie.

– Owszem – skinął głową. – To był mój wuj Tam.

– Tam Macaulay.

Will ponownie przytaknął, zaskoczony, że Drake zna jego nazwisko.

– Słyszałeś o nim?

– To i owo. Nie był ulubieńcem władz Kolonii... Uważano go za wichrzyciela – odrzekł Drake. – Ale dlaczego powiedziałaś b y ł ? Co się z nim stało?

– Zginął, ratując mnie i Cala przed Styksami – odpowiedział ze smutkiem Will.

Gdy Drake zmarszczył brwi i spojrzał nań pytająco, chłopiec opowiedział mu o Rebecce i o tym, jak Tam zabił jej ojca w pojedynku.

Drake gwizdnął cicho.

– Widzę, że najciekawsze zachowałeś na koniec – oznajmił, a potem przyglądał się Willowi przez chwilę. – Więc... zaczął cicho – wkurzyłeś kogoś na samym szczycie hierarchii Styksów... – zrobił krótką pauzę – a teraz ten ktoś chce twojej głowy.

Will był tak zszokowany tym stwierdzeniem, że nie wiedział, jak ma zareagować.

– Ale... – zaczął drżącym głosem. Drake nie dał mu dokończyć.

– Na pewno nie pozwolą ci pozostać na wolności. Sara jest swego rodzaju symbolem, bohaterem wszystkich zbuntowanych Kolonistów, a ty będziesz postrzegany w ten sam sposób.

– Ja? – spytał z niedowierzaniem Will.

– Owszem – pokiwał głową Drake. – Powinieneś mieć się na baczności.

– W jakim sensie?

– W takim to, mój przyjacielu, że bardzo niebezpiecznie jest przebywać w twoim towarzystwie – wyjaśnił Drake oszołomionemu chłopcu. – Być może właśnie z twojego powodu na równinie aż roi się od Graniczników. – Drake oparł łokcie na kolanach, pochylił głowę i wbił wzrok w podłogę, pogrążając się na chwilę w rozmyślaniach. – To stawia wszystko w zupełnie innym świetle – stwierdził w końcu.

– Dlaczego? Nie ja jestem winien temu, co się dzieje, to niemożliwe – protestował gwałtownie Will. – Wiesz, jak to jest w Kolonii...

– Nie, nie wiem – zaprzeczył ostro Drake, podnosząc głowę. – Nie zaglądałem tam już od jakiegoś czasu.

– No dobrze, ale dlaczego mieliby mnie ciągle ścigać? Co im mogę zrobić?

– Nie o to chodzi. Nie może być tak, że zadzieras z nimi, a potem po prostu odchodzisz – parsknął Drake. – Styksowie nie kierują się zasadą „żyj i pozwól żyć innym”.

– Ale mówiłeś, że przyjeżdżają tu wszyscy ważniacy. Chyba nie robiliby tego tylko ze względu na mnie, prawda?

– Nie... masz rację – Drake zmrużył oczy i pokiwał głową. – Mogą chcieć cię wyeliminować, ale skoro pojawia się tutaj tylu wysokich rangą Styksów i naukowców, to pewnie pracują nad jakimś dużym projektem. Nie wiem, co to za sprawa, ale na pewno jest dla nich bardzo ważna.

– Nie domyślasz się nawet, co to może być? – spytał Will. Mężczyzna pokręcił głową w milczeniu.

– Mogę cię o coś zapytać? – poprosił Will, wciąż nieco oszołomiony.

Drake skinął głową.

– Hm... Chester myśli, że jesteś bojownikiem o wolność. To prawda?

– Nie, nic z tych rzeczy. Należę do Górnoziemców, tak jak ty.

– Żartujesz! – wykrzyknął Will. – Więc jak...

– To długa historia. Może innym razem – przerwał mu Drake. – Chciałbyś wiedzieć coś jeszcze?

Will zebrał się na odwagę i postanowił zadać pytanie, które dręczyło go już od jakiegoś czasu.

– Dlaczego...? – zaczął drżącym głosem, jakby się bał, że może prosić o zbyt wiele.

– Śmiało – zachęcił go Drake.

– Dlaczego... dlaczego uratowałeś Cala? Dlaczego nam pomagasz?

– Ten kamień, który nosisz na szyi – odparł Drake wymijająco, jakby nie chciał udzielić mu odpowiedzi.

– Ten? – spytał Will, dotykając jodełkowego wisiora.

– Owszem. Skąd go masz?

– Dostałem od Tama. – Chłopiec dotknął ozdoby, przesuwając czubkami palców wzdłuż trzech zbiegających się linii. – Czy to coś ważnego?

– Legendy mówią o tajemniczej rasie żyjącej głęboko w dole, na dnie Czeluści; tak starej jak sama Ziemia. Widziałem ten symbol już wiele razy... na ruinach ich świątyń. – Drake zapatrzył się w wisior, a w pokoju znów zapadła krępująca cisza.

Gdyby nie był tak zmęczony, Will zasypałby Drake'a setkami pytań o Czeluść i tajemniczą starożytną rasę. W tej chwili jednak zajmowały go bardziej praktyczne sprawy. Poprawił się na żelaznej skrzyni, a potem przemówił niepewnie: – E... tak właściwie nie odpowiedziałeś na moje pytanie... Dlaczego nam pomagasz...?

Drake spojrział na niego i po raz pierwszy obdarzył chłopca prawdziwym, szczerym uśmiechem.

– Uparciuch z ciebie, co? Wydaje mi się, że twój przyjaciel Chester nie jest taki natrętny. Cóż, jedni przewodzą, drudzy podążają za nimi – powiedział cicho, odchylając się lekko w tył.

– Co? – spytał Will, nie zrozumiałszy jego słów.

– W odpowiedzi na twoje pytanie – przemówił Drake głośniejszym głosem, prostując się. – Życie tutaj jest ciężkie, ale to, że żyjemy jak zwierzęta, nie oznacza wcale, że musieliśmy zatracić ludzkie odruchy. Nie brakuje tu renegatów znacznie mniej życzliwych niż ja czy Elliott, którzy zabiliby was tylko dla butów albo zachowali przy życiu dla, jak to nazwać, własnej rozrywki. Wiele lat temu ocalałem Elliott od podobnego losu. – Potarł piersi, jakby przypominając sobie rany, które odniósł w tamtym czasie. – Nie chciałbym, by przydarzyło się to któremuś z was.

– Och... – odparł słabym głosem Will.

Drake znów wydał z siebie długie, przeciągłe westchnienie.

– Ty i Chester nie jesteście jak ci poranieni ludzie, Wygnani z Kolonii. Nie zostaliście okaleczeni, nie jesteście załamani i wyczerpani wieloletnią służbą. – Zacierając ręce, mówił dalej: – Przyznaję, że nie spodziewałem się, iż jest was aż trzech – mężczyzna przerwał na moment i spojrzał Willowi prosto w oczy. – Ale zobaczymy, jak poradzi sobie twój brat.

Mimo że był bardzo zmęczony, Will zrozumiał aluzję mężczyzny.

– A ty, synku, możesz być dla nas sporym obciążeniem, bo Styksowie na pewno nie przestaną cię szukać – oświadczył Drake, ziewając szeroko. Przybrałszy ponownie obojętną minę, rozejrzał się po pokoju i dodał: – Zanim jednak opuścimy równinę, muszę się dowiedzieć, co właściwie knują Styksowie. Dzięki temu twój brat zyska trochę czasu, by wrócić do zdrowia. Kiedy już dotrzemy tam, dokąd się wybieramy, każda para rąk będzie na wagę złota. Will skinął głową.

– Fakt, że jesteś synem Sary Jerome i znasz dobrze Górnoziemie, może okazać się dla nas cennym atutem.

Chłopiec ponownie skinął głową, potem jednak znieruchomiał, zastanawiając się, dlaczego było to takie ważne dla Drake'a.

– Co masz na myśli?

– Cóż, jeśli instynkt mnie nie zawodzi, to rzecz, nad którą pracują Styksowie, może mieć bardzo poważne konsekwencje dla Górnoziemców. A nie sądzę, by którykolwiek z nas siedział sobie spokojnie i pozwolił im realizować nieczne plany, prawda? – Drake uniósł brew i spojrzał pytająco na Willa.

– Nie ma mowy! – wybuchnął chłopiec.

– Więc jaka jest twoja decyzja? – spytał mężczyzna rzeczowo.

– Co?

– Wchodzisz w to czy nie? Przyłączysz się do nas?

Will przygryzł wargę, skonfundowany. Był kompletnie zaskoczony zarówno ofertą, którą przedstawił mu ten onieśmielający mężczyzna, jak i sugestią, że Cal może być z niej wyłączone. Co się stanie, jeśli jego brat nie odzyska pełni sił? Czy Drake po prostu go porzuci? Will zastanawiał się także, co się wydarzy, jeśli Granicznicy naprawdę zamierzali go pojmać. A co, jeśli jego towarzystwo rzeczywiście okaże się zbyt niebezpieczne? Czy Drake po prostu przekaże go żołnierzom? Will wiedział jednak, że gotów jest zrobić wszystko, by powstrzymać Styksów. Byłby to godziwy rewanż za śmierć Tama.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko przystać na propozycję Drake'a. Poza tym on, Chester i Cal nie byli w stanie samodzielnie kontynuować wędrówki, gdy na równinie aż roiło się od Graniczników; szczególnie biorąc pod uwagę stan Cala.

Drake przyglądał mu się, czekając, a Will zrozumiał, że nie powinien się wahać – to na pewno nie robiło dobrego wrażenia. Co innego mógł powiedzieć, jeśli nie „tak”?

Miał nadzieję, że jeśli dobrze to rozegra, Drake doprowadzi go przynajmniej do przybranego ojca.

– Tak – powiedział.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Drake odesłał Willa do pokoju. Dotarłszy na miejsce, chłopiec zobaczył, że Chester śpi jak suseł na podłodze obok łóżka, w którym leżał Cal.

Will zamierzał powiedzieć coś Chesterowi, przeprosić, że nawet nie próbował go wysłuchać i pochopnie osądził Drake'a i Elliott. Chłopiec spał jednak jak zabity, a Will nie zamierzał go budzić. On także poddał się zmęczeniu i wypiwszy kilka łyków wody, zwinął się w kłębek na sąsiednim łóżku, po czym zapadł w pozbawioną snów drzemkę.

Rozdział dwudziesty piąty



Przez kolejne dni Will i Chester opiekowali się Calem, podając mu jedzenie dostarczane przez Drake'a i Elliott. Cal chciał jedynie leżeć i spać na wąskim łóżku, chłopcy zmuszali go jednak do ćwiczeń. Stawiając niezgrabne, krzywe kroki, jak gdyby nie miał czucia w stopach, zerkał na nich z urazą, jakby chcieli zrobić mu krzywdę.

Mówił już nieco wyraźniej, a jego skóra odzyskiwała powoli normalną barwę. Drake przychodził codziennie, wypytując o zdrowie chłopca, a potem wysyłał jednego z pozostałej dwójki na rekonesans, by „uczyli się rzemiosła”, jak to określił.

Kiedy Chester był właśnie na jednej z takich wypraw, Will postanowił wykorzystać okazję i porozmawiać poważnie z bratem.

– Wiem, że nie śpisz – powiedział do Cala, który leżał na łóżku, zwrócony twarzą do ściany. – Co myślisz o Drake'u?

Cal nie odpowiedział.

– Spytałem, co myślisz o Drake'u?

– Wydaje się w porządku – wymamrotał chłopiec po chwili.

– Och, myślę, że „w porządku” to w jego przypadku zdecydowanie za mało – odparł Will. – Mówił mi, że są w Głębi tacy, którzy poderznąliby ci gardło tylko dla twoich ubrań albo jedzenia. Oczywiście, gdyby wcześniej nie dopadli cię Granicznicy.

– Hm... – mruknął Cal bez przekonania.

– Powinieneś wiedzieć, że jeśli nie przestaniesz się obijać i nie weźmiesz się w garść, cierpliwość Drake'a może się skończyć.

Cal odwrócił się do Willa i przeszył go wściekłym spojrzeniem.

– To ma być groźba? Grozisz mi? Co Drake mi zrobi, wyrzuci mnie stąd? – Chłopiec usiadł na łóżku.

– Owszem, coś w tym rodzaju – potwierdził Will.

– Skąd wiesz? Tak tylko mówisz.

– Nie – odrzekł Will z mocą. Wstał i ruszył do drzwi.

– Więc pozwoliłbyś mu wyrzucić mnie jak worek śmieci? -Cal obdarzył brata kolejnym morderczym spojrzeniem.

– Och, Cal – jęknął Will, odwracając się w drzwiach. -Co mogę zrobić, jeśli ty sam nie chcesz sobie pomóc? Wiesz, że Drake chce jak najszybciej stąd odejść. On i Elliott nie mieszkają tu na stałe. Mówi też, że zabierze nas ze sobą.

– Wszystkich?

– To zależy. Myślisz, że chce się opiekować całą naszą trójką, zwłaszcza gdy jeden z nas sprawia tylko same kłopoty?

Cal opuścił nogi na ziemię i spojrzał nerwowo na Willa.

– Mówisz poważnie? Will skinął głową.

– Pomyślałem tylko, że powinieneś o tym wiedzieć – odparł, wychodząc z pokoju.

Cal wziął sobie jego słowa do serca i od tego czasu był już zupełnie inną osobą.

Poddał się reżimowi ćwiczeń, codziennie spacerował z drewnianą laską, którą dał mu Drake. Szczególne problemy sprawiała mu lewa część ciała, która wracała do zdrowia wolniej niż prawa.

Któregoś wieczoru Will próbował zasnąć, lecz nieustanny stukot laski i chrapanie Chestera skutecznie mu to uniemożliwiały. Niemal równie dokuczliwe było gorąco panujące w pokoju, choć wszyscy już nieco do niego przywykli. W końcu Will uznał, że dalsze próby nie mają sensu, i wstał, drapiąc się po głowie, na której wyczuł wesz.

– Dobra robota, bracie! – zawołał cicho do Cala, który wymamrotał

w odpowiedzi „Dzięki” i kontynuował spacer wokół pokoju.

– Muszę się napić – postanowił głośno Will, po czym wyszedł na korytarz, zmierzając w stronę spiżarni, gdzie przechowywali bukłaki z wodą. Usłyszał coś i zatrzymał się.

Chwilę później po drugiej stronie holu pojawiła się Elliott. Jak zwykle ubrana była w ciemną kurtkę i spodnie, a w dłoniach trzymała strzelbę; nie założyła jednak jeszcze chustki na głowę.

– E... cześć – powiedział Will, nieco zawstydzony, sam bowiem ubrany był tylko w szorty. Złożył ręce na ramionach, starając się nadrobić w ten sposób brak koszulki.

Elliott zmierzyła go obojętnym, zimnym wzrokiem.

– Nie możesz zasnąć, co? – spytała.

– E... tak.

Elliott przyjrzała się uważnie ranie na jego ramieniu.

– Imponujące – stwierdziła.

Will, jeszcze bardziej zawstydzony jej spojrzeniem, przesunął dłoń po ramieniu zranionym przez psa Styksów. Wysoka temperatura panująca w Głębi sprawiała, że rana okropnie swędziała, a Will ciągle ją drapał.

– Pies Styksów – powiedział w końcu.

– Wygląda na to, że był bardzo głodny – zauważyła.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Will odsunął dłoń, spojrzał na świeżą czerwoną bliznę i pokiwał głową w milczeniu.

– Chcesz pójść ze mną na patrol? – spytała Elliott swobodnym, niezobowiązującym tonem.

Była to ostatnia rzecz, o jakiej Will pomyślałby o tej porze. Propozycja jednak go zaintrygowała, gdyż nie miał jeszcze okazji lepiej poznać Elliott. Czuł się wyróżniony. Drake mówił o jej umiejętnościach z wielkim respektem, podkreślał, że opanowała „rzemiosło wojenne”, jak je nazywał, w stopniu, który trudno im

będzie kiedykolwiek osiągnąć.

– Tak... super – wykrztusił. – Jaki sprzęt muszę zabrać?

– Nic wielkiego; staram się nigdy zbyt nie obciążać odparła. – Pospiesz się! – dodała, widząc, że Will wciąż stoi w miejscu.

Chłopiec wrócił do pokoju, gdzie Cal zawzięcie ćwiczył chodzenie, i w pośpiechu narzucił na siebie ubrania. Minutę później dołączył do Elliott, która czekała cierpliwie na korytarzu. Dziewczyna wręczyła mu ładownicę z cylindrycznymi pojemnikami, takimi, jakie zawsze nosił ze sobą Drake.

– Jesteś pewna? – spytał Will z wahaniem, przypominając sobie, jak Drake zabronił mu używać tego urządzenia w Miejscu Krzyża.

– Drake uważa, że zostaniesz z nami na dłużej, więc wcześniej czy później musisz nauczyć się z tego korzystać powiedziała. – Zresztą, kto wie, możemy natknąć się na jakichś Graniczników.

– Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, do czego to służy przyznał Will, mocując ładownicę do pasa, a potem obwiązując sznurek wokół uda.

– To pistolety rurowe. Troszkę prostsze od tego – dodała, podnosząc strzelbę. – Powinieneś też wypróbować to oświadczyła, wręczając coś Willowi.

Było to urządzenie złożone z dwóch rurek, mniejszej i większej, stopionych ze sobą tak, że ledwie było widać łączącą je spoinę. Całość wykonana była z wytartego, matowego mosiądzu, a powierzchnię pokrywały maleńkie rysy i wgłębienia. Całość miała około pół metra długości, a po obu stronach większej rurki znajdowały się przykrywki. Will natychmiast skojarzył, gdzie to widział.

– To luneta, tak? – spytał, zerkając na lufę strzelby, zaopatrzoną w podobne urządzenie. Trzymany przez niego przedmiot wyglądał niemal identycznie, tyle że do jednej z rurek przymocowane były jeszcze dwa krótkie paski.

Elliott skinęła głową.

– Wsuń rękę do tych pętli... Będzie ci łatwiej nieść. Dobrze, chodźmy. – Odwróciła się do wyjścia i w mgnieniu oka znikła w mroku spowijającym koniec korytarza.

Will poszedł za nią, zjechał po linie i zatrzymał się na dole, otoczony nieprzeniknioną ciemnością. Nasłuchiwał przez chwilę, niczego jednak nie słyszał. Odpiął latarkę i włączył słaby promień.

Drgnął, zaskoczony, gdy snop światła padł na Elliott stała kilka metrów dalej nieruchoma jak posąg.

– To był ostatni raz, kiedy bez wyraźnego rozkazu włączyłeś światło na moim patrolu.

– Wskazała na przedmiot zawieszony na jego ramieniu. – Użyj lunety, pamiętaj tylko, żeby osłaniać ją przed mocnym światłem, bo wtedy mogą się spalić elementy w jej wnętrzu. Staraj się też łagodnie z nią obchodzić; te urządzenia to prawdziwa rzadkość.

Will posłusznie zgasił latarkę i zdjął lunetę z ręki. Podniósł przykrywkę na obu końcach, przyłożył mosiężną rurkę do oka i rozejrzał się dokoła.

– Świetne! – wykrzyknął.

Ujrzał przed sobą naprawdę niezwykły widok; wydawało się, że cały otaczający go świat skąpany jest w lekko rozproszonym i pulsującym bursztynowym blasku.

Widział najdrobniejsze szczegóły skalnej ściany tunelu, a gdy odwrócił głowę, zobaczył także jego wnętrze. Ściany i dno wydzielały dziwny blask, jakby były wilgotne i lśniące, choć w tej okolicy wszystko było suche jak pieprz.

– Hej, to jest naprawdę fantastyczne! Wszystko wygląda jak... jak w jakimś dziwnym świetle dziennym. Skąd to masz?

– Styksowie porwali z Górnoziemia kogoś, kto potrafił wytwarzać takie rzeczy. Ale ten człowiek uciekł i zawędrował tutaj, do Głębi.

Zabrał ze sobą mnóstwo lunet.

– Rozumiem – skinął głową Will. – A czym to jest zasilane? Bateriami?

– Nie mam pojęcia, co to są baterie – odrzekła Elliott, wymawiając ostatnie słowo tak, jakby słyszała je po raz pierwszy w życiu. – W każdej lunecie znajduje się świetlna kula połączona z jakimiś innymi elementami. To wszystko, co wiem na ten temat.

Will obrócił się powoli na pięcie, kierując lunetę w stronę drugiej części tunelu powulkanicznego. Kiedy to robił, ujrzał na moment twarz Elliott.

W eterycznym bursztynowym blasku jej skóra była gładka i lśniąca. Dziewczyna wydawała się piękna i bardzo młoda; jej źrenice lśniły jak dwa rozżarzone węgle.

Jeszcze bardziej uderzający był fakt, że Elliott się uśmiechała, czego nie robiła nigdy wcześniej w jego obecności. Uśmiechała się do niego. Ten uśmiech wypełnił go dziwnym, przyjemnym ciepłem, doznaniem, które było dlań zupełnie nowe i nieznane. Mimowolnie wziął głęboki wdech, a potem, z nadzieją, że tego nie usłyszała, zdołał ponownie zapanować nad oddechem. Wciąż obracał lunetę, spoglądając w drugą stronę tunelu, jakby przyzwyczajał się do nowego urządzenia; myślami był jednak zupełnie gdzie indziej.

– W porządku – powiedziała łagodnie Elliott, owijając twarz chustą. – Chodź za mną, partnerze.

Wędrowali w głąb tunelu powulkanicznego, zatrzymując się tylko na moment w złotej jaskini, gdzie schowali sprzęt do wodoszczelnych toreb i zanurzyli się w sadzawce. Znalazłszy się po drugiej stronie, przystanęli raz jeszcze, by na nowo się zorganizować.

– Mogę dać ci jedną radę? – spytała dziewczyna, przywiązując ładownicę z pistoletami do uda.

– Jasne. O co chodzi? – odparł, zaintrygowany.

– O to, jak się poruszasz. Kiedy chodzisz, stawiasz stopy jak inni, nawet Drake tak robi. Staraj się stąpać na palcach; zatrzymuj stopę troszeczkę dłużej w tej pozycji, a dopiero potem opuszczaj piętę. Popatrz przez lunetę, jak ja to robię.

Will posłusznie podniósł lunetę do oka i obserwował każdy krok dziewczyny, która poruszała się jak kot skradający się do myszy. W lunecie jej przemoczone buty i spodnie lśniły różnymi odcieniami bladożółtego światła.

– Dzięki temu poruszasz się znacznie ciszej, a nawet zostawiasz mniejsze ślady.

Will przyglądał się jej szczupłym nogom i podziwiał ruchy pełne naturalnej, wrodzonej gracji.

– Musisz też nauczyć się zdobywać jedzenie – oświadczyła nagle, dojrawszy coś na pobliskiej skalnej ścianie. – Tutaj jest mnóstwo pożywienia, jak ta ostryga jaskiniowa, musisz tylko wiedzieć, gdzie go szukać.

Nie miał pojęcia, o czym Elliott mówi, gdy podeszła do czegoś, co wyglądało jak kawałek skały wystający ze ściany. Ostrzem noża zaczęła podważać skalny występ, potem schowała broń i włożyła rękawice.

– Krawędzie są ostre – wyjaśniła, wsuwając palce w wydrążoną przed chwilą szczelinę. Zaparła się nogami o ziemię i pociągnęła skałę obiema dłońmi, aż ta zaczęła się powoli oddzielać od ściany, wydając przy tym wilgotny, młazujący dźwięk. Wreszcie rozległ się cichy trzask, przypominający odgłos pękającej skorupki jajka; kamień oderwał się od powierzchni skały, a Elliott poleciała kilka kroków do tyłu.

– Jest! – oświadczyła triumfalnie i podniosła zdobycz.

Gdy ją obróciła i pokazała Willowi, ten aż cofnął się o krok. Spód kamienia wielkości połowy piłki futbolowej był nierówny i

papkowaty, otoczony rzędem maleńkich falujących włókien. Chłopiec zrozumiał, że nie jest to kawałek skały, lecz jakieś zwierzę.

– Co to, u diabła, jest? – spytał. – Jakiś olbrzymi mięczak?

– Mówiłam ci już, to ostryga jaskiniowa. Żywi się glonami, które porastają skały w pobliżu zbiorników wodnych. Na surowo smakuje paskudnie, ale ugotowana da się zjeść. – Kiedy wbiła palec w środek papkowatej masy, ta zafalowała i zaczęła wysuwać na zewnątrz mięsisty różowy odwłok, przypominający nogę ślimaka, tylko wiele razy większą. Elliott pochyliła się i ułożyła zwierzę między dwoma kamieniami, skorupą w dół. – To powinno zatrzymać ją w miejscu do naszego powrotu.

Wędrówka przez Wielką Równinę odbyła się bez większych przygód, choć musieli po drodze pokonać kilka kanałów, wykorzystując wrota śluzy jako mosty. Will mocno się starał, by nadążyć za Elliott, która narzuciła niezwykle szybkie tempo.

Próbował stąpać jak ona, ale już po chwili stopy rozboleły go tak bardzo, że się poddał.

Zwolniła, gdy dotarli wreszcie do ściany jaskini. Obserwując uważnie okolice przez lunetę strzelby, poprowadziła go wzdłuż muru i do wnętrza niskiego, szerokiego tunelu. Po przejściu kilkuset metrów przystanęła.

Tunel wypełniał smród nie do opisania.

Był to przeraźliwy odór gnijącego mięsa – kwaśny fetor, który uderzał falami w ich nozdrza. Will próbował oddychać przez usta, lecz zapach był tak silny, że niemal odbierał go zmysłem smaku.

Potem dojrzał przez lunetę coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

– Och, nie... – jęknął.

Pod ścianą tunelu tkwiło kilka ciał; sądząc po ubraniach, byli to renegaci. Po drugiej stronie, naprzeciwko renegatów, stali Koprolici, odziani wciąż w swe niezgrabne beżowe skafandry. Will domyślił się

od razu, że wszyscy zginęli z rąk Styksów i ich ciała znajdowały się w tunelu od dłuższego już czasu, o czym dobitnie świadczył roztaczający się wokół nich odór.

Naliczył pięciu renegatów i czterech Koprolitów. Ciała ustawione były w równych szeregach i przymocowane do grubych kołków. Głowy ofiar spoczywały na ich piersiach, nogi podparte były poziomymi deskami, przybitymi do kołków mniej więcej pół metra nad ziemią. Z daleka wyglądało to tak, jakby ciała wisiały w powietrzu, podtrzymywane jakąś upiorną mocą.

– Dlaczego oni to zrobili? – spytał Will, kręcąc głową, zszokowany bestialskim mordem.

– To ostrzeżenie i pokaz siły. Robią to, bo są Styksami odparła Elliott.

Kiedy sunęła wzdłuż szeregu renegatów, Will podszedł do Koprolitów, choć była to ostatnia rzecz, na którą miał ochotę.

– Znałam tego człowieka – oświadczyła ze smutkiem Elliott, a Will odwrócił się do niej i patrzył przez chwilę, jak zasmucona dziewczyna stoi nieruchomo obok jednego z ciał.

Potem, wstrzymując oddech, chłopiec zmusił się do spojrzenia na jednego z Koprolitów. W lunecie wyraźnie było widać beżową barwę skafandra, ale i jakąś ciemniejszą substancję rozmazaną wokół okularów hełmu. Brakowało w nich świetlnych kul. Bez wątplenia ktoś przeciął grubą gumę, by wydobyć z niego kule.

Will zadrżał. Ten widok przypominał mu aż nazbyt dobrze, do czego zdolni są Styksowie.

– Rzeźnicy – mruknął do siebie.

– Will – powiedziała nagle Elliott, odrywając go od smutnych rozmyślań. Nie patrzyła już na ciała, lecz wpatrywała się w szeroki tunel, jakby wyteżając wszystkie zmysły.

– O co chodzi? – spytał Will.

– Schowaj się! – syknęła zduszonym szeptem.

To wszystko, co powiedziała. Will gapił się na nią, nie wiedząc, o co jej właściwie chodzi. Stała przy ostatnim spośród zabitych renegeatów, po drugiej stronie tunelu.

Przemieściła się tak szybko, że Will ledwie nadązał za nią wzrokiem. Znalazła jakieś zagłębienie w ziemi, niewielki dołek, i przycisnąwszy do siebie strzelbę, wtoczyła się do niego sprawnie, znikając Willowi z oczu.

Chłopak rozejrzał się szybko dokoła, rozpaczliwie szukając podobnej dziury. Niczego takiego nie dostrzegł. Dokąd mógł pójść? Musiał znaleźć jakąś kryjówkę. Ale gdzie?

Biegał w tę i z powrotem, wsuwając się za szereg martwych Koproliatów po swojej stronie tunelu. Nic z tego! Grunt był tu całkiem płaski, a nawet lekko się podnosił ku ścianie.

Usłyszawszy jakiś dźwięk, chłopak zamarł w bezruchu.

Szczekanie psa.

Styksowie!

Nie miał pojęcia, skąd dochodziło szczekanie. Był całkiem na widoku.

Rozdział dwudziesty szósty



Olbryzi pies Styksów przerażająco parskął i powarkiwał, szarpiąc się na smyczy trzymanej przez jednego spośród czterech Graniczników idących środkiem tunelu.

Wydawało się, że Styks z trudem panuje nad ogromnym zwierzęciem.

Wszyscy czterej żołnierze nosili na głowach czarne mycki, a na twarzach wielkie gogle, podobne do owadzych oczu, oraz maski tlenowe. Długie płaszcze pokryte były dziwnym wzorem maskującym, złożonym z wielu beżowych i brązowych prostokątów. Sprzęt przymocowany do pasów i zamknięty w plecakach pobrzękiwał lekko przy każdym kroku. Wyglądało na to, że nie są na służbie – z pewnością nie spodziewali się znaleźć na tym terenie nikogo obcego.

Zatrzymali się pomiędzy dwoma szeregami martwych ciał. Styks prowadzący psa wydał mu jakąś sykliwą, niezrozumiałą komendę. Zwierzę warknęło i posłusznie usiadło na ziemi, wciąż parskając gniewnie, chwytając w nozdrza smród gnijących trupów. Z pyska ciekła mu strużka gęstej śliny, jakby ohydny fetor pobudzał jego apetyt.

Głosy Graniczników były nosowe i piskliwe, słowa krótkie i niezrozumiałe. Potem jeden z nich wybuchł paskudnym chrapliwym śmiechem, a pozostali przyłączyli się do niego.

Po chwili wszyscy rechotali niczym stado hien, upajając się cierpieniem swych ofiar.

Will wstrzymał oddech – nie tylko ze względu na najgorszy smród, jaki czuł kiedykolwiek w życiu, ale i ze strachu, że Styksowie mogą coś usłyszeć.

Kiedy Granicznicy zbliżali się do niego, zmuszony był ukryć się w jedynym miejscu, które przyszło mu do głowy.

Trzymał się kurczowo kołka tuż za ciałem martwego Koprolicy. Ogarnięty ślełą paniką, wskoczył na pal, wsuwając prawą dłoń w szparę między ciałem nieszczęśnika a szorstkim drewnem. Przez chwilę wisiał na jednej ręce, szukając rozpaczliwie jakiegoś oparcia dla nóg, aż wreszcie jego stopa trafiła na główkę wielkiego gwoźdź. Szczęśliwie dla Willa, gwoźdź wystawał na kilka centymetrów z powierzchni kołka, dając podparcie.

To jednak nie wystarczyło – by utrzymać się w górze, chłopak musiał jeszcze chwycić się czegoś lewą ręką. Pograżony w ciemnościach, szukał rozpaczliwie jakiegoś punktu zaczepienia, aż jego dłoń natrafiła na rozdarcie w skafandrze Koprolicy, tuż obok łopatki. Wsunął palce do środka, pod gruby gumowy materiał, dotykając wilgotnej i miękkiej substancji, która rozstąpiła się pod naciskiem dłoni. Will uświadomił sobie, że wbija rękę w gnijące ciało trupa, wiedział jednak, że nie ma już czasu, by znaleźć coś innego. „Nie myśl! Nie myśl o tym!” – przemknęło mu przez głowę.

Jednak smród wydobywający się z ciała Koprolicy przybrał jeszcze na sile, uderzył w jego nozdrza niczym niewidzialna pięść.

O Boże!

Już przedtem odór był bardzo silny, teraz jednak stał się po prostu nieznośny. Palce Willa otworzyły szerzej szparę w grubej dwucentymetrowej gumie skafandra, uwalniając zamknięte w środku gazy. Fetor wypływał na zewnątrz szeroką, gęstą falą.

Chłopak miał ochotę zeskoczyć na ziemię i rzucić się do ucieczki, przekonany, że dłużej już tego nie zniesie; wdychał odór ciepłych,

rozkładających się zwłok. To było makabryczne!

Pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Czuł, jak wszystko podchodzi mu do gardła, przemógł się jednak i przełknął z powrotem kwaśny płyn. Nie mógł pozwolić sobie na chwilę słabości, nie mógł zdradzić kryjówki. Gdyby to zrobił, wpadłby w ręce Graniczników, którzy zgotowaliby mu straszliwy los. Wspomnienie ataku psa Styksów w Wiecznym Mieście wciąż pozostawało boleśnie świeże w jego pamięci – gotów był zrobić wszystko, by nie doświadczyć tego ponownie.

Zacisnął mocno powieki i starał się skupić wyłącznie na tym, co robią Granicznicy.

Słuchał ich, a jednocześnie błagał w myślach, by sobie poszli.

Żołnierze rozmawiali najpierw w języku Styksów, potem przeszli również na angielski. Od czasu do czasu do uszu Willa docierały pojedyncze słowa lub frazy.

Wydawało się, że wypowiadają je różni członkowie patrolu, nie był tego jednak pewien, bo wszyscy mieli bardzo podobne głosy.

– ... następna operacja...

– ... zneutralizować...

Potem, po chwili milczenia przerywanej jedynie sapaniem psa, któryś ze Styksów przemówił gniewnie: – ... złapać tego buntownika...

– ... matka...

– ... pomoże nam...

Will starał się utrzymać ciało w całkowitym bezruchu, co nie było łatwym zadaniem.

Coraz bardziej bolały go naprężone mięśnie rąk, jednak nie to było najgorsze; noga, ustawiona w dziwacznej, niewygodnej pozycji, zaczęła drżeć pod naporem całego ciała. Chłopiec próbował zapanować nad mimowolnym ruchem, przerażony, że stopa ześlizgnie się z podtrzymującego ją gwoźdźca.

Jednak wysiłki na nic się zdały – niewiele mógł zrobić w tej sytuacji. Pot spływał mu strugami po skroniach i czole, gdy próbował zapomnieć o bólu i skupić uwagę na rozmowie Styksów.

– ... zbadać...

– ... przeszukać każdy milimetr...

Wciąż nie śmiał otworzyć oczu. Miał nadzieję, że wielki skafander Koproliity zakrywa dokładnie jego ciało, nie był jednak tego pewien. Wystarczyło, by którykolwiek z Graniczników dojrzał jego rękę lub nogę, a gra dobiegłaby końca.

Pomyślał przelotnie o Elliott ukrytej w dołku po drugiej stronie tunelu.

W końcu stało się to, czego się obawiał. Jego nogę przeszył trudny do zniesienia ból; skurcze zamknęły mięśnie w żelaznym uścisku. Wydawało się, że jakaś potężna siła miażdży mu łydkę i udo. Nie mógł jednak zdjąć stopy z gwoździa. Marzył o tym, by podciągnąć się choć trochę na rękach, lecz nie śmiał tego zrobić.

Noga zadrżała ponownie, jakby kierowana własną wolą. Will tak bardzo skupił się na zmaganiach z ciałem, że na kilka sekund zapomniał o wszystkim innym – o smrodzie, o stojących w pobliżu Granicznikach i ich przerażającym psie. Jednak ból i drzenie wciąż przybierały na sile; wygrywały z jego wolą. Musiał coś zrobić.

O matko! Napiął mięśnie rąk i podciągnął się o centymetr. Nacisk na umęczoną nogę odrobinę zelżał, a chłopiec poczuł natychmiastową ulgę, lecz cały kołek poruszył się lekko. Will uświadomił sobie, że Styksowie przestali rozmawiać.

„Proszę, proszę, proszę!” – modlił się w myślach. Potem Granicznicy podjęli przerwana rozmowę.

– Górnioziemiec – mówił jeden z nich. – Znajdziemy go... Zaraz potem rozbrzmiało następne zdanie, Will zarejestrował jednak tylko pojedyncze słowo, wypowiedziane z zupełnie inną intonacją niż

wszystkie pozostałe, jakby Styks chciał okazać w ten sposób szczególny szacunek.

– ... Rebeka...

Rebeka? Nie, to niemożliwe!

Aż zakręciło mu się w głowie, nie mógł jednak zareagować w żaden sposób na to, co właśnie usłyszał.

Musieli mówić o jego siostrze – o tej kanalii, którą uważał za swoją siostrę – był tego pewien. Dlaczego inaczej używaliby właśnie tego imienia? To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Will uzmysłowił sobie nagle, że ciężko dyszy. Czy Styksowie go usłyszeli?

W tunelu zapadła cisza. Do chłopca dobiegały tylko odgłosy oddechu psa; wyraźniejsze niż przedtem, jakby zwierzę było bliżej.

Co się działo? Gdyby tylko mógł to zobaczyć!

Potem usłyszał szuranie butów. Uniósł lekko jedną powiekę i zobaczył światła błędzące po suficie jaskini. Czy Styksowie zbliżali się do niego, okrążali go? Czy został już złapany?

Nie.

Nie zatrzymali się. Szli dalej.

Kroki Graniczników zlały się w jeden rytm. Odchodzili. Nareszcie!

Will chciał jak najszybciej zeskoczyć na ziemię, musiał jednak jeszcze trochę poczekać. Dziękując Bogu, że Granicznicy idą szybko, zacisnął mocno zęby. Nie mógł już dłużej znieść straszliwego smrodu.

Ktoś pociągnął go za kostkę.

– W porządku – szepnęła Elliott. – Możesz zejść.

Will natychmiast odepchnął się od kołka, usiadł ciężko na ziemi i zaczął odpychać się nogami od podłoża, by jak najszybciej oddalić się od martwego Koproliity.

– Na litość boską, ciszej! – syknęła Elliott. – Co ty wyprawiasz?!

Will rozprostował palce, które trzymał we wnętrzu skafandra Koproliity. Były oblepione kleistą, wilgotną mazią, wydzielinami z

rozkładających się zwłok. Zadrżał, zszokowany. Nie patrząc na dłoń, podniósł ją na wysokość twarzy, chwytając w nozdrza smród starej śmierci. Natychmiast odsunął rękę i trzymał ją jak najdalej od siebie. Czuł, jak znów zbiera mu się na wymioty, i wziął kilka głębokich oddechów.

Wytarł dłoń o ziemię. Pomagając sobie drugą ręką, nacierał ją kilka razy garściami piasku.

– Obrzydliwość! – wykrzyknął i ponownie powąchał palce. Znów skrzywił się z obrzydzeniem, choć zapach nieco już zelżał. – Jak ktoś może tak żyć? – wymamrotał przez zaciśnięte usta.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj – odparła Elliott beznamiętnym tonem. – Drake i ja robimy to codziennie. – Podniosła strzelbę, by spojrzeć przez lunetę w głąb tunelu, a potem dodała chłodno: – Żeby przeżyć.

Poprowadziła go dalej, nie na równinę, lecz w głąb tunelu. Will nie czuł się na siłach, by kontynuować tę wędrówkę, był wyczerpany i przybity. Wciąż robiło mu się zimno na myśl o martwym ciele, którego dotykał. Nagle ogarnął go gniew na samego siebie i na ludzi zawieszonych na kołkach; złościła go myśl, że Rebeka ma coś wspólnego ze wszystkimi tymi wydarzeniami. Czy kiedykolwiek uda mu się od niej uwolnić?

– Pospiesz się! – syknęła Elliott, gdy chłopak zwolnił tempo marszu, powłócząc nogami po dnie tunelu.

Will zatrzymał się gwałtownie, bełkocząc: -Ja... ja...

Być może było to następstwo szoku i przerażenia doświadczonych przed chwilą, nagle jednak ogarnęła chłopca ogromna wściekłość, której musiał jakoś dać ujście, a która obrała sobie za cel stojącą przed nim dziewczynę.

Podniósł lunetę i spróbował spojrzeć przez nią na twarz Elliott, choć ręce drżały mu z emocji.

– Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłaś?! O mało nas nie złapali! – wściekał się, spoglądając na jej bursztynową sylwetkę. – Nie powinniśmy nigdy dopuścić do takiej sytuacji... Szczególnie gdy w pobliżu kręci się tyłu Styksów. Ten pies mógł zagryźć nas oboje. Myślałem... Myślałem, że jesteś dobra! – był tak rozjuszony, że z trudem dobywał głos z gardła. – Myślałem, że wiesz, co robisz. Ty...

Elliott stała w bezruchu, jakby wybuch Willa nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

– Wiem, co robię. Nie mogłam tego przewidzieć. Gdybym była tu z Drakeiem, załatwilibyśmy tych Styksów i ukryli ich ciała pod kamieniami.

– Ale Drake’a tu nie ma! – warknął Will. – Ja jestem!

– Rzykujemy życie niemal codziennie – odparła spokojnym głosem. – Jeśli nie chcesz tego robić, możesz pójść swoją drogą i umrzeć – dodała chłodno i ruszyła naprzód. Po kilku krokach przystanęła jednak i odwróciła się do niego. – A jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w ten sposób, zostawię cię. Wbrew temu, co myśli Drake, wcale tak bardzo cię nie potrzebujemy, ale ty na pewno potrzebujesz nas.

Zrozumiałaś?

Gniew nagle opuścił Willa. Chłopiec oklapł, już żałując tego, co powiedział. Elliott nie ruszała się z miejsca, czekając na jego odpowiedź.

– E... tak... przepraszam – wymamrotał Will.

Poczuł się jeszcze bardziej przybity, gdy uświadomił sobie, jak bardzo on i pozostali chłopcy uzależnieni są od Drake’a i Elliott. Aż nadto oczywista wydała mu się teraz myśl, że nie przeżyliby długo w tej dzikiej, pustynnej krainie, gdyby ktoś nie przyszedł im z pomocą. Zarówno on, jak i Chester oraz Cal żyli dzięki umiejętnościom i dobrej woli innych i powinni być im za to wdzięczni.

Elliott odwróciła się i podjęła przerwany marsz w głąb tunelu, a Will natychmiast ruszył jej śladem.

– Przepraszam – powtórzył, dziewczyna jednak nie zareagowała.

Godzinę później, gdy pokonali cały labirynt korytarzy i jaskiń, Elliott przystanęła i zaczęła szukać czegoś u dołu ściany. Ziemia pokryta była drobnymi kamieniami, wśród których leżały większe skalne płyty. Elliott przeszła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się ponownie.

– Pomóż mi! – rzuciła cierpko, chwytając za krawędź jednej z płyt. Will złapał ją z drugiej strony, po czym wspólnymi siłami przesunęli głaz na bok, odsłaniając niewielki otwór w podłożu.

– Trzymaj się blisko mnie; niedaleko są jaskinie z Czerwonymi Diabłami – poradziła mu dziewczyna.

Will przypomniał sobie, że wuj Tam wspominał kiedyś, jak niebezpieczne są Czerwone Diabły; uznał jednak, że nie jest to właściwy moment, by wypytywać Elliott, co to za stworzenia. Dziewczyna zresztą nie czekała na niego, lecz natychmiast wpełzła do otworu, a Will posłusznie ruszył jej śladem, zastanawiając się, dokąd trafią tym razem. Choć nic nie widział, obmacał dłońmi ściany tunelu i przekonał się, że ma on owalny kształt i prawie metr szerokości. Szedł na czworakach, prowadzony jedynie odgłosem kroków Elliott, miejscami jednak na podłodze było tyle żwiru i kamieni, że musiał czołgać się na brzuchu i odpychać stopami od ziemi.

Tunel piął się stromo w górę, a Elliott mimowolnie zrzucała na Willa masę żwiru i pyłu. Chłopiec nie odważył się nawet zaprotestować, musiał jednak kilkakrotnie przystanąć na chwilę, by otrzeć zakurzoną twarz.

Nagle w tunelu zapadła cisza. Will miał już zawołać Elliott, gdy usłyszał odgłos jej kroków odbijający się echem od ścian jakiegoś większego pomieszczenia. Pokonał ostatni, niemal pionowy odcinek

korytarza, a stanąwszy wreszcie na równym gruncie, sięgnął po lunetę.

Przekonał się, że znajdują się w jaskini o wymiarach, jak oszacował, dziesięć na piętnaście metrów. Otrzeptał się i zaczął kasłać, próbując oczyścić gardło z kurzu.

– Cicho bądź! – warknęła dziewczyna.

Will zakrył usta dłonią i zdławił kaszel, a potem dołączył do Elliott, kładąc się obok niej.

Oboje zajrzeli do poszarpanej szczeliny w dnie jaskini. Patrzyli z oszałamiającej wysokości na olbrzymią skalną komnatę. Daleko w dole migotały liczne punkciki światła. Will cofnął się nieco i przekrzywił głowę, by lepiej widzieć dno. Stały tam jakieś przedziwne maszyny. Chłopiec policzył, że było ich w sumie dziesięć, ustawionych w równym szeregu.

Miały kształt grubych walców z pojedynczym ustrojstwem przypominającym karbowane koło na jednym końcu. Przywodziły na myśl maszyny, które Will widział niegdyś na zdjęciach, używane do drażenia pierwszych tuneli londyńskiego metra.

Natychmiast przyjął, że i te urządzenia służą do kopania. Potem zauważył kilka grup Koproliatów stojących nieruchomo; garstka Styksów obserwowała ich z pewnego dystansu. Will spojrzał na strzelbę leżącą, obok Elliott i zastanawiał się przez moment, czy dziewczyna zamierza jej użyć. Z tej odległości bez większego problemu trafiłaby któregoś ze Styksów.

Po kilku minutach w jaskini nagle zaczęło się coś dziać. Kilku Koproliatów, eskortowanych przez Styksów z długimi strzelbami w dłoniach, ruszyło powoli w stronę maszyn. Odziani w obszerne skafandry, wydawali się maleńcy w porównaniu z dziwnymi urządzeniami, do których właśnie wchodzili. Jedna z maszyn włączyła się nagle, silnik ryknął basem, a z tyłu wyleciał obłok dymu. Potem

zaczęła powoli przesuwać się naprzód, wciąż pod czujnym okiem Styksów, i wyjechała przed inne pojazdy.

Will przyglądał się jej z zaciekawieniem, gdy stopniowo przyspieszała. Widział jakieś drzwiczki lub włazy w tylnej części korpusu, a także mnóstwo rur wydechowych, z których wylatywały spaliny. Dostrzegł również szerokie koła, na których poruszał się pojazd, słyszał nawet chrzęst kruszonych przez nie kamieni.

Machina wjechała do tunelu odchodzącego od głównej komnaty i znikła im z oczu.

Will domyślał się, że Koprolici jadą drążyć jakiś tunel, nie miał jednak pojęcia, dlaczego pilnuje ich aż tylu Styksów.

Elliott mruknęła coś, odsunęła się od szczeliny i przeszła w róg komnaty. Will obserwował ją przez lunetę; widział, jak sięga za głaz i wyciąga zza niego jakieś paczuszki. Podeszedł do niej.

– Co to? – spytał, nim zdążył się powstrzymać. Dziewczyna milczała.

– Jedzenie – odrzekła wreszcie, pakując paczuszki do plecaka.

Wyglądało na to, że nie zamierza mu powiedzieć nic więcej. Will jednak postanowił zaryzykować i zaspokoić rozbudzoną ciekawość.

– Kto... skąd się tutaj wzięło?

Elliott wyjęła z plecaka mniejszą, ciasno owiniętą paczkę i włożyła ją za głaz.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, zostawili to tutaj Koprolici. Handlujemy z nimi. – Wskazała na głaz. – Właśnie zostawiłam im trochę świetlnych kul, które zabrałeś z Pociągu Górników.

– Aha – skinął głową Will, nie komentując faktu, że Elliott zabrała kule bez jego wiedzy.

– Są całkowicie uzależnieni od kul. Jedzenie nie jest dla nas takie ważne, ale staramy się im pomagać, gdy tylko możemy. – Dziewczyna obdarzyła Willa zjadliwym spojrzeniem. – Ostatnio spadło na nich

tyle nieszczęść, że przyda im się każda pomoc.

Will ponownie skinął głową, zakładając, że miał to być przytyk pod jego adresem.

Trudno mu było uwierzyć, że to on jest odpowiedzialny za wszystko, co Styksowie robili Koproliptom, wzruszył więc tylko ramionami. Zaczynał podejrzewać, że obwinia się go o całe zło, które dzieje się w Głębi.

Elliott odwróciła się od niego.

– Wracamy – rzuciła, po czym oboje ruszyli w stronę owalnego tunelu, którym dotarli do tego miejsca.

Droga powrotna przebiegała bez żadnych zakłóceń. Zatrzymali się na chwilę, by Elliott mogła zabrać ostrygę jaskiniową – była dokładnie tam, gdzie ją położyła.

Kłocowata noga stworzenia najwyraźniej pracowała bez ustanku, od momentu gdy ją zostawili, wyginając się na boki i szukając jakiegoś punktu zaczepienia, ociekała bowiem gęstą białą pianą. Nie zwracając uwagi na obrzydliwą ciecz, Elliott owinęła ostrygę kawałkiem płótna i włożyła do plecaka. Gdy to robiła, Will obserwował przez lunetę jej twarz. Była ponura i zacięta, zupełnie inna od tej, którą widział przed zaledwie kilkoma godzinami.

Żałował teraz swojego wybuchu. Wiedział, że nie powi: nien był drażnić dziewczyny.

Popełnił okropny błąd i zastanawiał się, jak mógłby go naprawić. Przygryzł wargi, sfrustrowany, zachodząc w głowę, co powinien zrobić. Nim jednak zdążył coś wymyślić, Elliott odwróciła się bez słowa, weszła do sadzawki i zniknęła pod powierzchnią, nie obdarzwszy go nawet jednym spojrzeniem. Will patrzył przez chwilę na falującą wodę okrytą grubą warstwą kurzu i miał ochotę się rozpłakać. W końcu wziął głęboki oddech i ruszył śladem dziewczyny. Stwierdził, że krótki pobyt w czarnej, ciepłej wodzie przyniósł mu

ulgę, jakby oczyścił umysł z problemów.

Kiedy wyszedł z przymusowej kąpieli i otarł mokrą twarz, czuł się nieco lepiej.

Jednak w chwili gdy spojrzał na Elliott, czekającą na niego w złotej sali, natychmiast dopadły go ta sama frustracja i zakłopotanie.

Po prostu nie rozumiał dziewczyn – jego zdaniem były kompletnie nieprzewidywalne.

Wydawało się, że mówią tylko część tego, co myślą, a potem przestają się odzywać, schowane za pełnym urazy milczeniem, nie dopowiedziawszy tego, co naprawdę miało znaczenie. W przeszłości, kiedy popełniał gafy w stosunku do szkolnych koleżanek, próbował naprawiać błędy i przepraszać za swoje zachowanie, lecz one nie chciały słuchać.

Spojrzał na plecy Elliott i westchnął. No dobrze, znów pokpił sprawę. Zachował się jak ostatni idiota. Próbował pocieszać się myślą, że nie musi przecież zostać z nią czy Drakiem na zawsze. Jedynym celem jego życia wciąż było odszukanie ojca, wszelkimi dostępnymi środkami. Wszystko inne było tylko tymczasowe.

W ciszy panującej w tunelu słychać było jedynie donośne odgłosy ich butów, przypominające mlaskanie. Dotarwszy do wejścia do bazy, Will i Elliott wspięli się po linie. W pokojach panowała cisza. Chłopak domyślił się, że Cal w końcu zmęczył się ćwiczeniami i poszedł spać.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Elliott wyciągnęła do niego otwartą dłoń, odwracając jednocześnie oczy. Will odchrząknął niepewnie; nie wiedział, czego właściwie od niego chce. Nagle uświadomił sobie, że prosi o zwrot lunety. Wyjął ramię z pętli.

Dziewczyna przejęła urządzenie, potem jednak znów wyciągnęła rękę. Po chwili kłopotliwego milczenia Will przypomniał sobie o ładownicy z pistoletami przymocowanej do uda. Gdy odwiązał broń, Elliott niemal wyrwała mu ją, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Chłopak stał nieruchomo, ociekając wodą i walcząc z dojmującym poczuciem osamotnienia i żalu.

W kolejnych tygodniach Will ani razu nie towarzyszył Elliott. Co gorsza, wydawało się, że dziewczyna coraz częściej zaprasza Chestera na rutynowe patrole zwiadowcze. Choć Will i Chester nigdy o tym nie rozmawiali, chłopiec widywał czasem, jak tamten gawędzi z Elliott na korytarzu, jak oboje wymieniają konfidencjonalne szeptki, i robiło mu się wtedy okropnie przykro, że został odsunięty na bok. Mimo że starał się z tym walczyć, czuł narastającą urazę do przyjaciela.

Powtarzał sobie, że Elliott powinna uczyć jego, a nie niewydarzonego Chestera, jednak nie mógł nic na to poradzić.

Will przekonał się wkrótce, że ma mnóstwo wolnego czasu. Nie musiał opiekować się bratem, który wydobrzał już na tyle, że mógł chodzić o własnych siłach nie tylko po ich pokoju i korytarzu, ale wzdłuż tunelu tuż poza bazą, choć wciąż musiał podpierać się laską. By jakoś wypełnić ten czas, Will próbował pisać w dzienniku albo leżał po prostu na łóżku i rozmyślał o zaistniałej sytuacji.

Uświadomił sobie, trochę poniewczasie, że nawet w tym okropnym, wrogim i obrzydliwym środowisku wzajemne zaufanie i szacunek dla przyjaciół były sprawą kluczową. Właśnie zaufanie i kodeks postępowania były klejem, który spajał cały zespół. Nie podważało się opinii Drake'a czy Elliott. Nie kwestionowało się ich poleceń. Robiło się dokładnie to, co kazali, dla własnego i dla ich dobra.

Will musiał jednak przyznać, że Chester był od niego karniejszy i znacznie łatwiej przychodziło mu wykonywanie rozkazów. Niemal od samego początku darzył Drake'a niezachwianą, ślepą wręcz lojalnością, którą później przeniósł także na Elliott.

Pod tym względem nawet Cal nie różnił się szczególnie od Chestera; on także był wierny i posłuszny dwójce renegatów. Zmienił

się. Być może tak właśnie zadziało na niego spotkanie ze śmiercią. Czasami wracał jeszcze do dawnych zachowań, prezentując brawurę i nadmierną pewność siebie, jednak, ogólnie rzecz biorąc, był spokojniejszy, można by nawet powiedzieć, że przyjmował ich obecną sytuację ze stoickim spokojem. Will użył tego właśnie słowa, opisując zachowanie Cala w swoim dzienniku – nauczył się go od ojca, a gdy usłyszał je po raz pierwszy, był pewien, że oznacza słabość, gotowość akceptacji wszystkiego, co niesie los, choćby nie było to nic dobrego. Teraz jednak zaczynał sobie uświadamiać, że się mylił. Osoba w sytuacji na granicy życia i śmierci potrzebowała pewnego dystansu, by mogła myśleć rozsądnie, nie ulegać panice i podjąć właściwe decyzje.

W następnych tygodniach chłopcy otrzymywali od Drake'a szczegółowe instrukcje dotyczące różnych tematów, między innymi kwestii zdobywania i przygotowywania jedzenia. Zaczęło się od ostryg jaskiniowych, które po ugotowaniu smakowały jak gumowate kalmary.

Drake zabierał ich również na krótkie wyprawy i uczył „rzemiosła”. Któregoś razu obudził ich w porze, którą nazwaliby „wczesnym rankiem”, choć określenia takie nie miały większego znaczenia w świecie pogrążonym w wiecznych ciemnościach.

Kazał wszystkim trzem chłopcom przygotować się do drogi, a potem zabrał ich do tunelu pod bazą i poprowadził w stronę przeciwną do Wielkiej Równiny. Wiedzieli, że nie będzie to długa wyprawa, gdyż Drake powiedział, by każdy zabrał ze sobą tylko manierkę wody i lekkie racje jedzenia; on sam niósł pełny plecak.

Przemierzając kolejne tunele, chłopcy gawędzili ze sobą dla zabicia czasu.

– Głupie, bezmyślne stworzenia – stwierdził Cal, gdy Will i Chester rozmawiali o Koproliwach.

Drake usłyszał tę uwagę.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał cicho.

Will i Chester umilkli.

– Cóż... – zaczął Cal, odzyskując na moment dawną pewność siebie – to tylko tępe zwierzęta... Grzebią w skałach jak bezmózgie ślimaki.

– Więc naprawdę uważasz, że jesteśmy lepsi od nich? dopytywał się Drake.

– Oczywiście, że tak.

Drake pokręcił głową i choć nie przerywał marszu, nie zamierzał zostawić uwagi Cala bez odpowiedzi.

– Zbierają plony, nie wyniszczając upraw, dzięki czemu nie muszą ich ciągle przenosić. A gdy wydobywają jakieś surowce, zasypują po sobie szyby, bo mają szacunek dla Ziemi.

– Ale oni... oni są tylko... – zaczął Cal i umilkł.

– Nie, Cal, to my jesteśmy głupi. To my jesteśmy tępymi zwierzętami. Wszystko niszczymy... Używamy i używamy, aż wszystkie źródła się wyczerpują... i wtedy – niespodzianka – musimy pozbierać rzeczy, przenieść się gdzie indziej i zacząć wszystko od nowa. Nie, to oni są tymi mądrymi... Żyją w harmonii ze środowiskiem.

Wy i ja... nasza rasa to sami odmieńcy, niszczyciele. Powiedz sam, nie nazwałbyś tego głupim?

Kolejnych kilka kilometrów pokonali w zupełnym milczeniu, aż Will przyspieszył kroku, zostawiając z tyłu pozostałych chłopców i doganiając Drake'a.

– Coś cię dręczy? – spytał Drake, nim jeszcze Will się z nim zrównał.

– E... tak – odparł chłopak niepewnie, zastanawiając się, czy nie powinien był jednak zostać z Calem i Chesterem.

– Śmiało.

– Powiedziałaś kiedyś, że jesteś Górnoziemcem...

– I chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej? – przerwał mu mężczyzna. – Ciekawski jesteś.

– Tak – wymamrotał chłopiec.

– Will, to naprawdę nie ma znaczenia, kim byłem na powierzchni. To nie ma znaczenia dla żadnego z nas. Liczy się tylko tu i teraz.

Przez chwilę mężczyzna i chłopiec szli obok siebie w milczeniu.

– Nie masz nawet pojęcia, o co pytasz – zaczął Drake, potem zamilkł ponownie, jakby się jednak rozmyślił. Po kilku krokach przemówił raz jeszcze: – Posłuchaj, Will, być może udałoby mi się przechytrzyć Styksów i wrócić do Górnoziemia, ale wówczas musiałbym żyć tak jak twoja matka: oglądać się ciągle za siebie i sprawdzać każdy cień. Moim zdaniem, z całym szacunkiem dla Sary, życie w Głębi jest uczciwsze.

Rozumiesz, o czym mówię?

– Nie, niezupełnie – przyznał Will.

– Cóż, sam widziałeś, że życie tutaj to nie jest spacer po parku; to trudna, niebezpieczna egzystencja, o którą trzeba walczyć każdego dnia – mówił Drake, krzywiąc się lekko. – Jeśli nie dopadną cię Białe Szyje, to w każdej chwili możesz wykitować z innego powodu... Możesz zachorować, spaść w przepaść, natknąć się na innego renegata i tak dalej. Ale muszę ci powiedzieć, Will, że dopiero tutaj poczułem, że żyję. Ze naprawdę żyję. Ty możesz wrócić do swojego bezpiecznego, plastikowego życia w Górnoziemiu, ja zostaję tutaj.

Drake umilkł, gdy dotarli do skrzyżowania z innym tunelem. Kazał chłopcom poczekać, podczas gdy sam zajął się wypakowywaniem różnych elementów sprzętu, które niósł w plecaku. Robił to sprawnie i szybko, nie spoglądając nawet na towarzyszy. Cał cował się za plecami Willa i Chestera, zawstydzony, że zdenerwował Drake'a. Will obserwował z coraz większym podnieceniem, jak mężczyzna rozkłada

na piaszczystym dnie tunelu całą kolekcję pistoletów rurowych, które zawsze zabierał ze sobą na patrol.

– No dobrze – powiedział Drake, gdy ułożył już cylindryczne pojemniki w dwóch grupach, od największego do najmniejszego. Chłopcy patrzyli nań wyczekująco.

– Czas już, byście się nauczyli tym posługiwać. – Przesunął się na bok, by wszyscy mogli zobaczyć pojemniki w pierwszym zbiorze. Największy miał obwód nieco większy od zwykłej rynny i około dwudziestu centymetrów długości. – Wszystkie te... z czerwonymi paskami... to ładunki. Im więcej pasków, tym dłuższy lont. Jeśli pamiętacie, widzieliście już kiedyś, jak Elliott zakładała dwie takie łapki.

Will otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak Drake uciszył go gestem.

– Zanim zapytasz, powiem tylko, że n i e zamierzam tutaj demonstrować działania żadnego z ładunków. – Drake odwrócił się w stronę drugiej grupy przedmiotów. – A to, jak wiecie... – mówił, przesuwając dłonią nad mniejszymi pojemnikami, ułożonymi obok ładunków – to pistolety rurowe. Ten – wskazał na największy – to ciężka artyleria... moździerz rurowy. Jak widzicie, w odróżnieniu od pozostałych nie ma żadnego spustu.

Podniósł moździerz i pokazał go chłopcom.

– Prosta, lecz bardzo skuteczna broń, która może wyeliminować dużą liczbę wrogów, czyli Styksów, rzecz jasna. Obudowa... – Drake postukał w cylinder, z którego wydobył się głuchy, metaliczny dźwięk – ... wykonana jest z żelaza i zamknięta z obu stron. – Znów poklepał przedmiot, jakby był to wydłużony bębenek bongo. – Tę konkretną wersję odpala się, uderzając mocno w jeden z końców – odetchnął głęboko.

– Ładunek można wykonać z każdej substancji, jaka przyjdzie wam

do głowy; sól kamienna, łupki albo surówka żelaza są szczególnie skuteczne, jeśli chcecie za jednym razem zlikwidować wiele celów. Prawdziwy ulubieniec tłumów – uśmiechnął się krzywo. – Zobaczcie sami, jakie to ciężkie, ale w żadnym wypadku nie upuście tego!

W milczeniu pełnym respektu chłopcy podawali sobie mózdzierz, przyglądając się ze szczególną uwagą cięższemu końcowi, gdzie umieszczony był detonator. Wreszcie Cal oddał broń Drake'owi, który odłożył ją z powrotem na piasek, po czym wskazał na pozostałe pojemniki.

– Te są znacznie bardziej poręczne i detonuje się je jak normalne pistolety. Wszystkie mają mechaniczne zapalniki, podobne do kurków w zamkach skałkowych.

Przez moment mężczyzna zastanawiał się, który pojemnik powinien wybrać, wreszcie się zdecydował i sięgnął po jeden ze środka grupy. Wyglądem i rozmiarami przypominał sztuczne ognie, które Will odpalił w Wiecznym Mieście; miał około piętnastu centymetrów długości i kilka centymetrów średnicy. Jego obudowa lśniła słabo w blasku latarek.

Drake obrócił się bokiem, by zaprezentować chłopcom prawidłową postawę.

– Ta i pozostałe widoczne tu ładunki są bronią jednorazową. Uważajcie też na odrzut; jeśli przytrzymacie je zbyt blisko oka, srogo tego pożałujecie. Odpalanie jest proste; wszystkie uruchamiamy za pomocą dźwigni sprężynowej umieszczonej na końcu... a konkretnie: pociągamy za sznurek – odchrząknął i spojrzał na chłopców. – No dobrze... który z was chciałby spróbować?

Wszyscy trzej pokiwali energicznie głowami.

– Dobrze, ja odpalę pierwszy, żeby wam pokazać, jak to się robi.

Drake podszedł do przodu i wyszukał na ziemi kamień wielkości pudełka zapalek.

Potem przeszedł kolejne dwadzieścia kroków i ustawił kamyk na skalnym występie pośrodku skrzyżowania tuneli. Wróciwszy na miejsce, wziął do ręki jeden z pistoletów z ładownicy zawieszanej u pasa. Chłopcy stanęli obok, przepychając się i walcząc o jak najlepszy widok.

– Stańcie trochę dalej, dobrze? – zwrócił się wtedy do nich Drake. – Sporadycznie zdarza się, że pistolet rurowy zamiast wystrzelić, eksploduje.

– Co to znaczy? – zapytał Will.

– Ze wybucha ci prosto w twarz.

Chłopcy bardzo wzięli sobie do serca jego ostrzeżenie, szczególnie Chester, który wycofał się tak daleko, że niemal dotykał plecami ściany tunelu. Will i Cal nie byli aż tak ostrożni jak ich przyjaciel i zajęli pozycje kilka metrów za Drakiem. Cal oparł się o laskę, całkowicie skupiony na zbliżającym się pokazie. Wyglądał niczym sędzia na turnieju strzelniczym.

Drake spokojnie wycelował broń, a potem strzelił. Wszyscy wzdrygnęli się mimowolnie, gdy tunel wypełnił się hukem wystrzału. Dziesięć metrów dalej nad skalny występ wzbijała się chmura kamiennych odłamków i pyłu. Kamień, do którego mierzył Drake, zachwiało się lekko, lecz pozostał na miejscu.

– Niewiele brakowało – stwierdził mężczyzna. – Pistolety rurowe nie są tak precyzyjne jak strzelba Elliott. Nadają się głównie do strzałów z bliska. – Odwrócił się do Cala i podał mu broń. – Teraz twoja kolej – powiedział do chłopca.

Cal był lekko wystraszony. Drake musiał ustawić go we właściwej pozycji – z wysuniętą prawą stopą do przodu i wyprostowanymi ramionami. Chłopiec miał z tym pewne problemy, gdyż lewa noga wciąż była nieco osłabiona. Utrzymanie odpowiedniej postawy kosztowało go sporo wysiłku.

– Dobrze – skinął głową Drake.

Cal pociągnął za sznurek na końcu pojemnika. Nic się nie stało.

– Pociągnij mocniej, trzeba szarpnąć za kurek – polecił mu Drake.

Cal spróbował ponownie, jednak pociągając za sznur, uniósł nieco lufę. Kula uderzyła w sufit, odbiła się rykoszetem i poleciała ze świstem w głąb tunelu.

– Nie martw się, to twoja pierwsza próba. Nigdy jeszcze nie strzelałeś, co?

– Nie – przyznał Cal posepnie.

– Będziesz miał wiele okazji do ćwiczeń, kiedy zejdziemy na niższe poziomy. Nie ma to jak polowanie na grubego zwierza – dodał Drake enigmatycznie.

Will natychmiast nadstawił uszu, ciekaw, o jakich to zwierzętach mówił ich przywódca, wtedy jednak Drake kazał mu ustawić się do strzału.

Broń odpaliła za pierwszym razem, a kula oderwała kawałek kamienia tuż pod celem.

– Nieźle – pogratulował mu Drake. – Strzelałeś już kiedyś, prawda?

– Mam wiatrówkę – odparł Will, przypominając sobie nielegalne sesje strzeleckie na Błoniach w Highfield.

– Jeśli trochę poćwiczysz, na pewno nauczysz się lepiej oceniać odległość. Teraz ty, Chester.

Chester zbliżył się z wahaniem do Drake'a i wziął od niego pistolet. Zgarbił się, próbując niezdarnie wymierzyć do celu.

– Oprzyj to o nasadę dłoni. Nie, przesun rękę niżej. I na litość boską, chłopcze, spróbuj się trochę rozluźnić! – Drake chwycił Chestera za ramiona, lecz zamiast odciągnąć je do tyłu, jak zrobił to z Calem, próbował na nie naprzeć. – Rozluźnij się – powtórzył raz jeszcze. – Naprawdę nie musisz się nigdzie spieszyć.

Chester wciąż wyglądał dość pokracznie, przygarbiony i spięty.

Wydawało się, że minęły całe wieki, nim wreszcie pociągnął za sznurek.

Żaden z chłopców uczestniczących w ćwiczeniach nie mógł uwierzyć w to, co stało się potem.

Tym razem od kamiennego występu nie oderwały się żadne odłamki, nie słyszeli też świstu rykoszetu. Kula uderzyła z trzaskiem prosto w kamień, który poleciał w głąb tunelu.

– Brawo, chłopcze! – powiedział Drake, klepiąc osłupiałego Chestera po plecach. – Strzał w dziesiątkę!

– Dostaniesz plastikowy kwiatek – roześmiał się Will.

Chester zaniemówił. Wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał kamienny cel, jakby wciąż nie wierzył własnym oczom. Will i Cal gratulowali mu z całego serca, on jednak najwyraźniej nie wiedział, co odpowiedzieć, speszony własnym sukcesem.

Zdali sobie sprawę, że trening dobiegł już końca, gdy Drake zawinął pospiesznie wszystkie ładunki w kawałek materiału i wsunął je do plecaka. Na piasku został jeden średniej wielkości pistolet. Will zerknął niepewnie na pojemnik, nie wiedząc, czy powinien powiedzieć o nim Drake owi. Nim jednak otworzył usta, zrozumiał, dlaczego ładunek pozostał na zewnątrz.

Z ciemności wyleciał kamień, potoczył się po ziemi i zatrzymał u stóp Drake'a. Był to ten sam kamień, w który chwilę wcześniej trafił Chester.

W ślad za kamieniem z cienia wypłynął chrapliwy, lekko sepleniący głos, a w ich nozdrza uderzył nieprzyjemny zapach.

– Zawsze lubiłeś się troszeczkę popisywać, co, Drakey?

Will natychmiast spojrzął na przywódcę, który wpatrywał się w ciemność, trzymając w dłoniach broń gotową do strzału. Nie była to postawa wyzywająca ani obronna, nim jednak mężczyzna nasunął na oko soczewkę, Will dojrzał na jego twarzy gniewny grymas.

– Co ty tu robisz? Zapomniałeś o Zasadzie, Cox? Renegaci trzymają się z dala od siebie albo ponoszą konsekwencje zagrzał Drake.

– Ty nie trzymałeś się Zasady, kiedy podziurawiłeś starego biednego Lloyda, prawda?

I zabrałeś jego dziewczynę.

Z głębi tunelu wyłonił się jakiś niewyraźny kształt, zniekształcony i przygarbiony tłumok, oświetlony blaskiem laterek chłopców.

– Słyszałem, że masz jakieś nowe ślicznotki. Świeże mięsko. Kształt zakasłał i przesunął się powoli do przodu, jakby unosił się tuż na ziemią. Will zobaczył, że jest to mężczyzna okryty brązową, straszliwie brudną chustą, którą nosił na ramionach i głowie, niczym chłopka. Szedł zgięty w pół, jakby jego ciało było poważnie zdeformowane. Zatrzymawszy się przed Drakiem i chłopcami, podniósł głowę. Ich oczom ukazał się przerażający widok. Z boku czoła mężczyzny wyrastała ogromna narośl rozmiarów małego melona. Pod okrywającą ją szarą skórą widać było siatkę nabrzmiałych niebieskich żył. Podobny guz, choć nieco mniejszy, znajdował się także na jego ustach, dlatego też wargi mężczyzny, czarne i spękane, ułożone były zawsze w wielkie „O”. Strużka gęstej mętnej śliny spływała po dolnej wardze i brodzie, gdzie zwieszała się niczym płynna kozia bródka.

Jednak najbardziej przerażające były jego oczy. Idealnie białe, niczym świeżo ugotowane, obrane ze skorupki jaja, bez najmniejszego śladu źrenicy lub tęczówki.

Były to jedyne fragmenty jego ciała o jednolitym wyrazistym kolorze, przez co wydawały się jeszcze bardziej szokujące.

Spod chusty wysunęła się sękata ręka, przypominająca wysuszony słońcem korzeń, która nakreśliła w powietrzu koło.

– Masz coś dla swojego starego przyjaciela? – wybełkotał Cox, plując śliną. – Jakiś drobiazg dla biednego starca, który nauczył cię

wszystkiego, co umiesz? Może jednego z tych młodzieniaszków?

– Nic ci nie jestem winien – odparł Drake lodowatym tonem. – Odejdź stąd, zanim...

– Czy to te chłopaki, których szukają Czarnogłowi? Gdzie ich chowasz, Drakey? – Starzec wysunął do przodu głowę, niczym kobra szykująca się do ataku, i powiódł swymi białymi, niewidzącymi oczyma po Willu i Calu, za którymi chował się przerażony Chester. Will dojrzał szerokie blizny w kształcie krzyża na oczach Coksa i sieć innych, szarych szram przecinających czarną jak węgiel skórę jego policzków.

– Ich młody zapach jest taki... – mężczyzna otarł szybko nos wierzchem pokrzywionej dłoni – ... miły i czysty.

– Spędzasz za dużo czasu w tej okolicy... Wyglądasz, jakbyś gonił resztkami sił. Cox.

Może chcesz, żebym ci pomógł? – spytał cierpko Drake, podnosząc pistolet.

Mężczyzna natychmiast odwrócił się do niego.

– Daj spokój, Drakey, nie rób tego staremu przyjacielowi.

Potem ciemny kształt ukłonił się wytwornie i natychmiast zniknął w ciemnościach.

Chester i Cal wciąż wpatrywali się w miejsce, w którym przed momentem stał starzec, lecz Will patrzył na Drakea. Jego uwadze nie uszedł fakt, że Drake zaciskał dłonie na broni z taką siłą, iż jego knykcie zrobiły się białe.

Drake odwrócił się do chłopców.

– Ten czaruś nazywa się Tom Cox. Wolałbym raczej towarzystwo Styksów niż tej karykatury człowieka. Jego dusza jest równie chora jak ciało. – Drake wziął głęboki, drżący oddech. – Mogliście trafić w jego łapska, gdybyśmy nie znaleźli was z Elliott pierwsi. – Spojrzał na pistolet, jakby zaskoczony, że wciąż trzyma go w dłoniach, a potem

opuścił broń ku ziemi. – To właśnie ze względu na Coksa i jemu podobnych nie spędzamy zbyt wiele czasu na równinie. Jeśli będziecie tu zbyt długo, przekonacie się sami, co robi z wami promieniowanie.

Wsunął broń do ładownicy na udzie.

– Ruszajmy w drogę. – Odwrócił się w stronę miejsca, w którym przed chwilą stał Tom Cox. Wodząc oczami po ciemnościach, widział tam odległe cienie i obrazy, których Will i jego towarzysze nie mogli sobie nawet wyobrazić. Potem poprowadził ich w głąb tunelu, przez cały czas sprawdzając, czy mężczyzna w chuście nie idzie przypadkiem ich śladem.

Którejś nocy Will budził się kilkakrotnie, a potem na powrót zapadał w głęboki sen.

Właśnie zasypiał, kiedy z korytarza dobiegł go głos Elliott. Był tak cichy i nierealny, że chłopiec zastanawiał się przez chwilę, czy słyszał go naprawdę, czy też tylko śni.

Gdy usiadł na łóżku, do pokoju wszedł Chester. Ociekał wodą, co oznaczało, że przed chwilą przeszedł przez sadzawkę.

– Wszystko w porządku, Will? – spytał.

– Tak, chyba tak – odparł Will zaspanym głosem. – Byłeś na patrolu?

– Tak... zwykły obchód. Cisza. Nic się nie dzieje – odrzekł Chester, zdejmując buty.

Choć mówił swobodnym, pogodnym tonem, w jego głosie pobrzmiwała też nuta żołnierskiej uległości, jakby robił tylko to, do czego zmuszają go obowiązki, i nadrabiał przy tym miną.

Will uzmysłowił sobie nagle, jak bardzo zmieniła się ich przyjaźń w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Jakby traumatyczne przeżycia Cala w cukrowej pułapce i pojawienie się Drake'a i Elliott – szczególnie Elliott – przekształciły geometrię ich stosunków we wszystkich

wymiarach. Leżąc na wąskim łóżku, z rękami skrzyżowanymi pod głową, przypominał sobie, jak niegdyś wyglądała jego przyjaźń z Chesterem. Wciąż nieco zaspany i otumaniony, gotów był ogrzać się w ciepłe tych wspomnień i udawać przed samym sobą, że nic się nie zmieniło. Słuchał, jak przyjaciel zdejmie-DRAKE I ELLIOTT

je mokre ubrania, i czuł się tak, jak gdyby mógł powiedzieć mu wszystko, co tylko zechce.

– Dziwne... – przemówił cicho, by nie budzić swego brata.

– Co jest dziwne? – spytał Chester, składając spodnie, jakby przygotowywał szkolny mundurek na następny dzień.

– Miałem sen.

– Aha – odparł Chester w roztargnieniu, wieszając przemoczone skarpetki na gwoździach wystających ze ścian.

– Naprawdę dziwny sen. Byłem w jakimś ciepłym i słonecznym miejscu – mówił powoli Will, próbując sobie przypomnieć senne obrazy, które już blakły i odpływały w niepamięć. – Nic nie miało znaczenia, nic nie było ważne. Była tam też dziewczyna. Nie wiem, kto to był, ale miałem wrażenie, że się przyjaźniliśmy – chłopiec umilkł na moment. – Była naprawdę bardzo miła... i nawet gdy zamknąłem oczy, jej twarz wciąż tam była, zadowolona, zrelaksowana i w pewnym sensie...

doskonała. Leżeliśmy na trawie; jakbyśmy urządzili piknik na tej łące, czy co to tam było. Myślę, że oboje byliśmy trochę senni. Ale wiedziałem, że jesteśmy w miejscu, gdzie powinniśmy być, do którego oboje należymy. Choć nie ruszaliśmy się z miejsca, czułem się tak, jakbyśmy unosili się na łożu z miękkiej trawy, jakbyśmy leżeli na powierzchni morza zieloności pod najczystszym, najbardziej błękitnym niebem, jakie można sobie wyobrazić. Byliśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi. – Will westchnął ciężko. – To wszystko było tak inne od tej wilgoci, tego gorąca i tych wszystkich skał, które nas tu

otaczają. W moim śnie wszystko było spokojne i łagodne... A łąka wydawała się taka rzeczywista... Czułem nawet zapach trawy. To było...

Will umilkł, sycąc się resztkami blednących obrazów i doznań. Uświadomiwszy sobie, że mówi od dłuższego już czasu i nie słyszy żadnej reakcji ze strony Chestera, odwrócił głowę w jego kierunku.

– Chester?! – zawołał cicho i stwierdził ze zdumieniem, że przyjaciel już leży w łóżku, odwrócony od niego plecami.

Po chwili Chester chrapnął głośno i przewrócił się na plecy. Spał jak zabity.

Will wydał z siebie przeciągłe, pełne rezygnacji westchnienie i zamknął oczy. Marzył o tym, by znów znaleźć się w swoim śnie, choć wiedział, jak mało jest to prawdopodobne.

Rozdział dwudziesty siódmy



Za oknami rozległ się ogłuszający huk, a Pociąg Górników zakołysał się na boki tak gwałtownie, że Sara była niemal pewna, iż za chwilę cały skład wypadnie z torów.

Trzymając się kurczowo krawędzi ławki, zerknęła z niepokojem na Rebeke, która wydawała się jednak zupełnie nieporuszona. Właściwie wyglądało na to, że dziewczynka znajduje się w stanie przypominającym trans; jej twarz była spokojna i nieruchoma, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się tępo w przestrzeń.

Po chwili pociąg odzyskał jednostajny, hipnotyzujący rytm. Sara odetchnęła z ulgą i rozejrzała się po wnętrzu wagonu strażników. Raz jeszcze rzuciła przelotne spojrzenie Granicznikom, szybko jednak odwróciła oczy, nie chcąc, by zauważyli jej zainteresowanie.

Musiła szczytać się co jakiś czas, by upewnić się, że wszystko to dzieje się naprawdę; nie dość, że siedzi obok czteroosobowego patrolu Styksów, to na dodatek są G r a n i c z n i c y, członkowie Drużyny Hobba, jak nazywano ich w niektórych kręgach.

Kiedy była mała, ojciec opowiadał jej przerażające historie o tych żołnierzach.

Mówił, że lubią zjadać Kolonistów żywcem i że jeśli go nie posłucha i nie położy się zaraz do łóżka, ci kanibale przyjdą po nią w środku nocy. Według ojca Granicznicy czaili się pod łóżkiem i gdy tylko ktoś wystawił stopę na zewnątrz, natychmiast odgryzali kawałek. Mówił również, że szczególnie lubią młode, delikatne mięso.

To wystarczyło, by skutecznie zniechęcić ją do pójścia do łóżka.

Dopiero kilka lat później dowiedziała się od Tama, że ci tajemniczy ludzie istnieją naprawdę. Oczywiście wszyscy Koloniści wiedzieli o istnieniu Dywizji – zespołów patrolujących granice Cwiartki i Wiecznego Miasta – rejonów położonych bliżej powierzchni, a także innych miejsc, które Koloniści mogli wykorzystać jako drogi ucieczki do Górnoziemia.

W przypadku Graniczników sprawa wyglądała zupełnie inaczej; członkowie tej formacji bardzo rzadko, jeśli w ogóle, pokazywali się na ulicach, dlatego też w Kolonii narosło wokół nich wiele mitów i opowieści opisujących ich niezwykle męstwo i waleczność. Niektóre spośród tych historii, jak powiedział jej Tam, były prawdziwe; wiedział na przykład z wiarygodnego źródła, że kilku Graniczników rzeczywiście pożarło Wygnanego Kolonistę gdzieś na krańcach Północnej Głębi, gdy się im skończyły zapasy jedzenia. Tam powiedział również, że słowo „Hobb” znaczy tyle co diabeł i doskonale pasuje do demonicznych żołnierzy.

Pomimo wszystkich tych opowieści i wielu innych wyspanych z palca anegdot, które powtarzano sobie za zamkniętymi drzwiami, tak naprawdę Koloniści nie wiedzieli, czym właściwie zajmują się Granicznicy. Spekulowano, że zaangażowani są w tajne operacje na powierzchni i dzięki specjalnemu szkoleniu potrafią przetrwać w Głębi wiele dni bez wsparcia. Teraz, gdy Sara miała okazję przyjrzeć się im z bliska, musiała przyznać, że wyglądają naprawdę przerażająco i mają najzimniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała – szare, pozbawione wyrazu ślepie martwych ryb.

Wagon, którym wszyscy podróżowali, był bardzo obszerny, ale skromnie wyposażony. Został zbudowany na tym samym podwoziu co wagony towarowe, stanowiące zdecydowaną większość składu pociągu. Ściany i sufit wykonane były z desek, które w wyniku

oddziaływania wysokiej temperatury i obfitych opadów wody, będących nieodłącznym elementem każdej podróży do Głębi, okropnie się wypaczyły. Przez ogromne szczeliny między deskami do wnętrza wpadały dym i wiatr, co sprawiało, że warunki podróży nie różniły się znacznie od tych, których Will i pozostali chłopcy doświadczyli w otwartym wagonie.

Wzdłuż ścian ciągnęły się proste drewniane ławki, zaś na obu końcach stały niskie, sięgające kolan stoliki przykręcone do podłogi. Właśnie przy takim stoliku siedzieli czterej Granicznicy.

Żołnierze ubrani byli w charakterystyczne mundury długie ciemnobrązowe płaszcze i luźne spodnie wzmacniane na kolanach grubymi wkładkami – tak różne od ubrań, które nosili zazwyczaj Styksowie. Sara również dostała tego rodzaju uniform i miała go właśnie na sobie; czuła się bardzo nieswojo. Nie musiała zastanawiać się zbyt długo, by wyobrazić sobie, co powiedziałyby Tam, ujrzawszy ją w mundurze odwiecznych wrogów. Dotknęła klapy płaszcza i ujrzała oczami wyobraźni wyraz zażenowania na jego twarzy. Niemal słyszała głos brata: Och, Saro, jak ty się w to wpakowałaś? Co ty wyprawiasz?!

Nie mogąc pozbyć się uczucia niepokoju i dyskomfortu, raz za razem zmieniała pozycję na niewygodnej ławce; przy każdym ruchu płaszcz pocierał z głośnym piskiem o drewnianą powierzchnię. Zadawało to kłam plotkom, jakoby Granicznicy chodzili w mundurach wykonanych ze skóry Koproliłów; raczej można było odnieść wrażenie, że zostały one uszyte z wyjątkowo miękkiej skóry zwierzęcej, prawdopodobnie z najwyższej jakości skóry cielęcej. Sara przypuszczała, że dzięki temu żołnierze poruszali się stosunkowo cicho, bez skrzypienia charakterystycznego dla czarnych płaszczy, które nosili ich pobratymcy w Kolonii.

Wyglądało na to, że Granicznicy na przemian odpoczywają i

czuwają, dzieląc się sprawiedliwie obowiązkami; dwóch z nich spało z nogami wyciągniętymi na stoliku, podczas gdy dwaj pozostali siedzieli w absolutnym, nieludzkim bezruchu, sztywno wyprostowani i wpatrzeni w przestrzeń przed sobą. Wydawało się, że wszyscy są niezwykle czujni, nawet ci, którzy drzemali; jakby w każdej chwili gotowi w mgnieniu oka ruszyć do akcji.

Sara i Rebeka nawet nie próbowały ze sobą rozmawiać ze względu na nieustający hałas – głośniejszy niż zwykle, jak poinformowała ją wcześniej Rebeka, bo pociąg poruszał się dwa razy szybciej niż zazwyczaj.

W milczeniu Sara przyglądała się więc z uwagą starej i zniszczonej brązowej torbie na ramię, która leżała na stoliku przed Rebeką. Z jej wnętrza wystawał plik górnoziemskich gazet. Kobieta dostrzegła dramatyczny nagłówek na pierwszej stronie jednej z nich: Ultrawirus uderza. Od kilku tygodni nie miała dostępu do informacji z Górnoziemia, nie wiedziała więc, do czego może odnosić się ów tytuł. Mimo to poświęciła ładnych parę godzin podróży na rozmyślania o tym, dlaczego miałoby to interesować Rebekę i Styksów. Korciło ją, żeby wziąć jedną z gazet i dowiedzieć się czegoś więcej.

Jednak przez całą podróż Rebeka ani na moment się nie zdrzemnęła, ani na chwilę nie zamknęła oczu. Siedziała oparta o ścianę wagonu z rękami ułożonymi równo na kolanach, zupełnie nieruchoma, jakby pogrążona w medytacji. Widok ten wprawiał Sarę w bliżej nieokreślony niepokój.

Udało jej się porozmawiać z dziewczyną tylko raz, gdy pociąg zaczął wreszcie zwalniać, a potem całkiem się zatrzymał.

Jakby wyrwana nagle z dziwnego stanu zawieszenia, Rebeka pochyliła się ku Sarze.

– Grodzie burzowe – oznajmiła krótko, a potem wyjęła z torby gazety i zaczęła je przeglądać.

Sara skinęła głową, nie odpowiedziała jednak, gdyż w tej samej chwili gdzieś z przodu rozległ się głośny szcęk. Granicznicy nieco się ożywili. Jeden z nich zabrał się do podawania innym menażek napełnionych kawałkami suszonego mięsa oraz poobijanych emaliowanych kubków z wodą. Sara wzięła swoją porcję, dziękując żołnierzowi, po czym przez chwilę wszyscy jedli w milczeniu. Pociąg ruszył. Nie ujechał jednak daleko, nim znów się zatrzymał, a grodzie zostały zamknięte.

Rebeka z uwagą studiowała gazetę.

– O czym oni tu piszą? – spytała Sara, spoglądając na wielki nagłówek: PANDEMIA – TO INFORMACJA OFICJALNA. – Czy to aktualne gazety?

– Tak, kupiłam je dziś rano, gdy byłam w Górnoziemiu. – Rebeka skierowała oczy ku górze, zamykając czasopismo. – Jaka ja jestem niemądra! Ciągle zapominam, że znasz Londyn. Kupiłam je rzut kamieniem od Świętego Edmunda; pewnie wiesz, o czym mówię?

– To szpital... w Hampstead – potwierdziła Sara.

– Zgadza się – przytaknęła Rebeka. – Ach, szkoda, że nie widziałaś, co się działo przed oddziałem ratunkowym, jak ludzie skakali sobie do gardeł. Wszędzie kilometrowe kolejki i kompletny chaos. – Pokręciła teatralnie głową, a potem uśmiechnęła się szeroko, ogromnie z siebie zadowolona.

– Naprawdę? – spytała Sara, nie wiedząc, jak właściwie ma zareagować.

Rebeka zachichotała.

– Całe miasto jest sparaliżowane.

Sara spojrzała na nią pytająco, jednak dziewczyna otworzyła gazetę i wróciła do lektury.

Ale to nie mogła być prawda!

Rebeka była w Garnizonie przez cały ranek i szykowała się do

podróży. Sara widziała ją kilkakrotnie w różnych miejscach, słyszała jej głos dochodzący z korytarza – dziewczyna na pewno nie opuściła budynku na dłużej niż godzina, a w tak krótkim czasie z pewnością nie mogła odbyć podróży do Highfield i z powrotem, nie wspominając już o Hampstead. Rebeka musiała kłamać. Ale dlaczego? Czy dziewczyna bawiła się z nią, celowo prowokowała, by zobaczyć jej reakcję? A może chciała w ten sposób pokazać, jaką ma nad nią władzę? Sara była tak zaskoczona tym incydentem, że nie pytała już więcej o wiadomości z Górnoziemia.

Nim pociąg podjął przerwana podróż, Rebeka odłożyła gazety, wypila ostatni łyk wody i pochyliła się nisko, by wyjąć spod ławki długi przedmiot owinięty w jutę.

Podąła go Sarze, która przyjęła pakunek, a odwinąwszy tkaninę, przekonała się, że to długa strzelba Graniczników wyposażona w lunetę. Miała już okazję zapoznać się z taką bronią podczas krótkiego szkolenia w Garnizonie, gdy oszpecony bliznami żołnierz Styksów uczył ją, jak się nią posługiwać.

Sara spojrzała pytająco na Rebeke. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, pochyliła się ku niej.

– Naprawdę? Dla mnie? – spytała.

Rebeka skinęła powoli głową i uśmiechnęła się.

Wiedząc, że nie powinna zdejmować skórzanych osłon z lunety, bo jakiś zabłąkany promień światła mógłby uszkodzić ukryty w jej wnętrzu światłoczuły element, Sara podniosła broń do ramienia. Była ciężka, choć nie na tyle, by nie mogła się nią swobodnie posługiwać.

Gdyby była kotem, Sara mruczałaby z zadowolenia. Uważała ten podarunek za dowód zaufania ze strony Rebeki, choć wciąż nie mogła zapomnieć o dziwnych i nieprawdopodobnych słowach dziewczynki, dotyczących porannej wyprawy do Hampstead. Sara wmawiała sobie, że Rebecce musiały pomylić się dni i musiała mówić o jakimś innym

poranku. Chwilowo odsunęła od siebie te myśli, skupiając się na broni, którą trzymała w rękach.

Przesunęła dłonią wzdłuż matowej mosiężnej lufy. Mogła dostać tę strzelbę tylko z jednego powodu. Teraz była już gotowa i miała odpowiednie narzędzie, by pomścić należycie śmierć Tama. Była to winna jemu i matce.

Pociąg znów nabierał prędkości, Sara zaś niemal do końca podróży bawiła się strzelbą; czasami podnosiła ją do oka, otwierała i zamykała zamek, pociągała za spust, czasem zaś tylko trzymała ją na kolanach, aż w końcu zapoznała się z każdym, nawet najdrobniejszym elementem.

Rozdział dwudziesty ósmy



Drake zabrał ich na patrol na Wielką Równinę. Szli właśnie przez obszar, który mężczyzna nazywał „Obrzeżem”. Twierdził, że Granicznicy bardzo rzadko zapuszczają się na te tereny.

Był to ważny dzień; Cal przepłynął przez sadzawkę i wyszedł na Wielką Równinę po raz pierwszy od czasu, gdy przed wieloma tygodniami Will i Chester przenieśli jego bezwładne ciało do bazy. Drake podjął decyzję o wyprowadzeniu go na zewnątrz w najbardziej odpowiednim momencie. Chłopiec był w pełni gotów do zmiany scenerii.

Dostawał już bzika, zamknięty w ograniczonej przestrzeni obozowiska. Chociaż wciąż troszkę utykał, niemal w pełni odzyskał czucie w nogach i aż palił się do dłuższej wyprawy.

Kiedy przkroczyli sadzawkę i ruszyli w drogę wraz z Drakiem i Elliott, Will poczuł niekłamana radość, że oto po raz pierwszy wszyscy działają w jednej grupie. Po kilku godzinach marszu pod wodzą Elliott Drake powiedział, że zejda na chwilę z równiny i skręca do tunelu. Nim to jednak uczynili, mężczyzna zaproponował, by coś zjedli.

Po posiłku zamierzał urządzić krótką odprawę. Ustawił w niewielkim zagłębieniu przygaszoną lampę, potem zaś wszyscy zgromadzili się wokół niego, wzięli swoje porcje i usiedli, by się posilić.

Uwadze Willa nie uszedł fakt, że Chester i Elliott zajęli miejsca obok siebie i rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami. Pili nawet z

tej samej manierki. Dobry humor chłopca ulotnił się bez śladu; znów czuł się wykluczony. Zabolało go to tak bardzo, że zupełnie stracił apetyt.

Musiał się załatwić. W przyływie złości wstał z ziemi i odszedł od grupy. Cieszył się, że przynajmniej przez tę krótką chwilę nie będzie musiał być świadkiem słodkiego teteatete Elliott i Chestera. Oddalając się, spojrzął przez ramię na grupkę zgromadzoną wokół lampy. Nawet Drake i Cal pogrążeni byli w rozmowie i w ogóle nie zwracali uwagi na to, co robił.

Nie zamierzał odchodzić daleko, ale zatopiony w myślach, po prostu maszerował przed siebie. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że został odsunięty od reszty grupy, gdyż istniało coś, co musiał zrobić. Wszyscy pozostali: Drake, Elliott, Chester i Cal, zajęci wyłącznie codziennymi sprawami, żyli z dnia na dzień, jakby jedyną ich ambicją była prymitywna egzystencja w tym miejscu zapomnianym przez Boga.

Lecz Will miał nadrzędny cel; coś znacznie ważniejsze' go niż zbieranie ostryg i wycieczki na równinę. W taki czy inny sposób zamierzał odnaleźć ojca, a potem, gdy będą już razem, prowadzić z nim badania we wnętrzu Ziemi. Jak za starych dobrych czasów w Highfield. Aż nadejdzie chwila, kiedy wrócą na powierzchnię, by poinformować świat o swoich odkryciach. Omal się nie potknął, gdy uświadomił sobie, że z wyjątkiem Chestera nikt inny tego nie chciał – że żaden z jego towarzyszy nie pragnął wracać do Górnoziemia. Cóż, on czuł w sobie powołanie do większych zadań i z pewnością nie zamierzał spędzić reszty życia w tej surowej podziemnej krainie, uciekając i chowając się przy każdym spotkaniu ze Styksami jak wystraszony królik.

Dotarłszy do ściany jaskini, Will ujrzał przed sobą wejścia do kilku tuneli powulkanicznych. Wkroczył do jednego z nich i opróżnił

pęcherz. Ogarnięty nieprzeniknioną czernią, delektował się tą chwilą oderwania od rzeczywistości.

Kiedy skończył, wyszedł z korytarza, wciąż pogrążony w rozmyślaniach o przyszłości. Zrobił może dziesięć kroków, nim zorientował się, że nie wszystko wygląda tak, jak powinno.

Stanął jak wryty. W miejscu, gdzie jak mu się wydawało, zostawił towarzyszy, nie widać było żadnych świateł, żadnego ruchu, nie dochodziły też stamtąd nawet najcichsze odgłosy. Był wstrząśnięty widokiem, który się ukazał – a właściwie nie ukazał – jego oczom. Odeszli. Został sam.

Will nie wpadł od razu w panikę, mówiąc sobie, że prawdopodobnie szuka kolegów w złym miejscu. Był jednak pewien, że patrzy tam, gdzie należy – poza tym nie odszedł aż tak daleko.

Wpatrywał się przez chwilę w ciemność, a potem podniósł latarkę nad głowę i pomachał nią z boku na bok w nadziei, że w ten sposób ściągnie na siebie ich uwagę.

– Tam jesteście! – wykrzyknął, dojrawszy gromadkę. Ktoś odpowiedział na jego sygnał, machając latarką z odległości, która wydawała się Willowi niepokojąco duża.

Światło latarki wydobyło na moment z ciemności obraz biegających chaotycznie ludzi, przypominających stado przerażonych gazeli, który odcisnął się na siatkówce Willa niczym czarnobiałe zdjęcie. Przez ułamek sekundy widział też Drakea z ręką wskazującą gdzieś w ciemność, jakby próbował mu coś powiedzieć. Ale Will nie rozumiał, o co chodzi. Potem stracił z oczu i Drake'a, i wszystkich pozostałych.

Chłopak spojrział ponownie na miejsce, gdzie przed chwilą siedzieli. Zostawił tam kurtkę i plecak, zabrawszy ze sobą tylko małą latarkę na baterie. Nie miał nic!

Poczuł się nagle tak, jakby spadał w przepaść. Powinien był im

powiedzieć, dokąd idzie. Wiedział z bezwzględną pewnością, że to, co zmusiło ich do tak chaotycznej ucieczki, musiało być naprawdę groźne. Wiedział również, że także o n powinien uciekać. Ale dokąd? Czy powinien spróbować ich dogonić? Czy powinien wrócić po plecak i kurtkę? Co powinien zrobić? Tkwił w bezruchu, ogarnięty dręczącym niezdecydowaniem.

Nagle poczuł się znów jak małe dziecko; przeżywał na nowo swój pierwszy dzień w szkole podstawowej w Highfield. Ojciec zostawił go wtedy przy głównym wejściu, nie dowiedziawszy się wcześniej, z typowym dla siebie roztargnieniem, dokąd właściwie Will ma pójść. Chłopiec, coraz bardziej wystraszony, błąkał się wówczas po pustych korytarzach, nie mogąc nawet poprosić kogoś o pomoc.

Will wyteżył wzrok, próbując dojrzeć Drakea i pozostałych. Zastanawiał się jednocześnie gorączkowo, w którą stronę zmierzali, kiedy widział ich po raz ostatni.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że będą szukać kryjówki w jednym z tuneli powulkanicznych. Pokręcił głową. Nie na wiele mogła mu się przydać ta wiedza.

Korytarzy było przecież mnóstwo. Prawdopodobieństwo, że wybierze ten sam co oni, było – mówiąc oględnie – niewielkie.

– I co ja teraz zrobię? – powtórzył kilkakrotnie, raz za razem. Wbił wzrok w ciemny horyzont, na który wskazywał Drake. Wszystko wydawało się spokojne i niewinne.

Modlił się, by rzeczywiście tak było, choć w głębi duszy wiedział, że jest inaczej. Co to mogło być? Co zmusiło ich do ucieczki? Potem usłyszał odległe szczekanie; na ten dźwięk włosy na karku stanęły mu dęba.

Psy Styksów!

Zadrzał. To mogło oznaczać tylko jedno. Zbliżali się Styksowie. Spojrzał raz jeszcze na miejsce, gdzie zostawił rzeczy, jednak w

gęstym mroku niczego nie widział. Czy zdąży tam dobiec? Czy się odważy? Nie miał ze sobą niczego prócz małej latarki; ani jednej kuli świetlnej, żadnego jedzenia czy wody. Ogarnięty rosnącym strachem, stał i patrzył w bezruchu, jak z ciemności wynurzają się maleńkie punkty światła, lampy Styksów, na pozór dość jeszcze odległe, wystarczająco jednak bliskie, by ogarnęła go okropna panika.

Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę miejsca, gdzie, jak sądził, leżały jego plecak i kurtka. W tej samej chwili ciszę rozerwał głośny trzask, przypominający kłaśnięcie, a tuż po nim następny. Nie dalej niż metr od jego głowy od ściany oderwało się kilka odłamków skalnych. Spóźniony huk wystrzałów przetoczył się nad równiną niczym odległy grzmot.

Te dranie do niego strzelały!

Skulił się, gdy kolejne pociski uderzyły w piasek u jego stóp. Było ich coraz więcej i spadały niepokojąco blisko. Wydawało się, że powietrze nagle ożyło, wypełnione świstem wystrzałów.

Zakrywając latarkę dłonią, Will rzucił się na ziemię. Gdy przetoczył się za pobliski głaz, w kamień uderzyła kolejna salwa, a do nozdrzy chłopca dotarł zapach gorącego ołowiu i kordytu⁵. Na nic to się zdało; zbliżali się do niego, dokładnie wiedzieli, gdzie jest.

Podniósł się z ziemi i zgięty w pół, wbiegł niezdarnie do korytarza za plecami.

Nie zatrzymując się, popędził za najbliższy róg i dalej. W końcu dotarł do skrzyżowania i skręcił w lewo po to tylko, by po chwili zatrzymać się przed olbrzymią szczeliną.

Gdy wracał pospiesznie do rozwidlenia, uświadomił sobie, że powinien przede wszystkim jak najbardziej oddalić się od Styksów.

Nie mógł jednak zapominać o tym, że jeśli chce ponownie dołączyć do Drake'a i pozostałych, będzie musiał wracać tą samą drogą. Wiedział, że z pewnością mu się to nie uda, jeśli będzie uciekał na

oślepi. Sieć tuneli powulkanicznych była bardzo rozległa i złożona, a każdy z nich wyglądał prawie tak samo. Pozbawiony jakiegoś punktu odniesienia, charakterystycznego elementu krajobrazu, Will nie miał żadnych szans na odnalezienie drogi powrotnej.

Rozdarty między koniecznością ucieczki i perspektywą pobłądzenia w labiryncie korytarzy, stał przez chwilę na skrzyżowaniu. Nasłuchiwał, ciekaw, czy Styksowie rzeczywiście idą jego śladem. Gdy w tunelu rozległo się nagle chrapliwe szczekanie psa, poderwał się do ucieczki. Nie miał innego wyjścia, jak biec przed siebie. Ruszył w drogę, starając się utrzymywać stałe szybkie tempo.

W ciągu zaledwie kilku godzin pokonał sporą odległość. Nie przyszło mu do głowy, że powinien z umiarem używać latarki, dopóki nie stwierdził z przerażeniem, że jej blask powoli słabnie. Dopiero wtedy zaczął oszczędzać baterie, wyłączając urządzenie, gdy tylko widział, że ciągnie się przed nim dłuższy odcinek prostej drogi.

Nie minęło jednak wiele czasu, nim promień zbladł jeszcze bardziej, zamieniając się w plamę słabego żółtego światła.

W końcu zgasł zupełnie.

Will wiedział, że nigdy nie zapomni przerażenia, jakie ogarnęło go w chwili, gdy znalazł się w całkowitej, nieprzeniknionej ciemności. Potrząsał gorączkowo latarką, bezskutecznie próbując przywrócić ją do życia. Wyjął baterie i potarł dłońmi, by trochę je ogrzać, a potem włożył z powrotem, ale i to niczego nie zmieniło. Latarka nie działała!

Zrobił jedyną rzecz, która przyszła mu do głowy. Po prostu szedł dalej, błakając się po omacku w nieznanym tunelach. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie jest i dokąd idzie, a na dodatek od czasu do czasu z korytarzy za jego plecami dobiegały różne dźwięki. Chciał przystanąć i posłuchać, jednak obraz wyskakującego z ciemności psa, który ląduje na jego plecach, dodawał mu sił i pchał w dalszą drogę.

Strach przed prześladowcami był większy niż obawa przed

ciemnością, w którą zanurzał się coraz głębiej i głębiej. Do tego czuł się tak okropnie zagubiony i tak straszliwie samotny.

„Idiota! Idiota! Idiota! Dlaczego nie poszedłem za tamtymi? Jestem pewien, że miałem dość czasu! Co ze mnie za głupiec!” – wyrzucał sobie i oskarżał się z coraz większą zajadłością, w miarę jak otaczający go mrok gęstniał, zamieniając się w coś niemal namacalnego i fizycznego, niczym czarna zupa.

Był zrozpaczony, ale jedna myśl wciąż dodawała mu sił. Trzymał się jej kurczowo, niósł ją ze sobą niczym promyk nadziei, który oświetlał mu drogę. Wyobrażał sobie chwilę, gdy spotka się z ojcem i wszystko znów się ułoży, tak jak to sobie wymarzył.

Choć wiedział, że nie ma to żadnego sensu, wołał od czasu do czasu w ciemność, by dodać sobie trochę otuchy: – Tato?! Tato, jesteś tam?!

Doktor Burrows usiadł na mniejszym spośród dwóch głazów i oparł łokcie na większym, skubiąc w zamyśleniu suszone jedzenie, podarowane mu przez Koprolić. Nie wiedział, czy to mięso czy jakaś roślina, smakowało jednak przede wszystkim solą, za co doktor dziękował w duchu swoim dobroczyńcom. Oblewał się potem, wędrując krętą drogą, którą Koprolici zaznaczyli na mapie, i czuł, że jeszcze chwila, a zaczną go łapać skurcze. Wiedział, że gdyby nie dostarczył organizmowi soli, i to w dużych ilościach, wkrótce mógłby wpaść w spore tarapaty.

Odwrócił się, by spojrzeć na krawędź skalnej szczeliny. W ciemności nie widać było maleńkiej ścieżki, którą właśnie pokonał – skalnej półki tak wąskiej, że musiał opierać się plecami o skałę i powoli, ostrożnie przesuwając stopy. Westchnął ciężko.

Nie chciał robić tego raz jeszcze, w pośpiechu.

Zdjął okulary i wytarł je starannie rękawem starej, zniszczonej koszuli. Porzucił skafander Koprolić kilka kilometrów wcześniej –

był zbyt nieporęczny i za bardzo ograniczał ruchy. Zrobił to, choć wiedział, że być może naraża się tym samym na działanie radioaktywnego promieniowania. Z drugiej jednak strony, gdy patrzył na to z perspektywy czasu, wydawało mu się, że trochę wyolbrzymiał zagrożenia związane z tym problemem – prawdopodobnie promieniowanie występowało tylko na określonych obszarach Wielkiej Równiny, a zresztą nie przebywał tam zbyt długo.

Nie mógł się tym teraz martwić; miał ważniejsze sprawy na głowie. Podniósł mapę i po raz enty przyjrzał się tajemniczym, niezrozumiałym napisom.

Potem, trzymając w kąciku ust pasek jedzenia niczym niezapalony papieros, odłożył mapę i używając większego głazu jako stolika, otworzył swój dziennik. Musiał sprawdzić coś, co nie dawało mu spokoju. Przerzucał strony z rysunkami kamiennych tabliczek, które znalazł wkrótce po przybyciu na Stację Górników. Odnalazłszy jeden z ostatnich rysunków, zaczął mu się uważnie przyglądać. Był trochę koślawy, co wynikało z ówczesnej kondycji fizycznej doktora, zawierał jednak wszystkie najważniejsze szczegóły. Mężczyzna wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym odchylił się ponownie, zamyślony.

Tabliczka przedstawiona na tym konkretnym rysunku różniła się nieco od pozostałych; przede wszystkim była odrobinę większa, a do tego niektóre z wyrytych na niej napisów wyglądały zupełnie inaczej niż inne.

Powierzchnia kamiennej płyty podzielona była na trzy obszary, każdy różny od pozostałych; w pierwszej części, położonej na samej górze tabliczki, znajdowały się napisy sporządzone pismem klinowym, którego doktor Burrows nie potrafił odczytać.

Niestety, tym samym pismem wypełnione były wszystkie inne tabliczki znalezione w jaskini. Nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Poniżej widniał napis również złożony ze znaków klinowych, niepodobnych jednak ani do pierwszej części, ani do czegokolwiek, z czym doktor Burrows zetknął się podczas długich lat badań. Trzeci fragment wydawał się równie niezrozumiały jak pozostałe, choć tu napis ułożony był ze znaków przypominających hieroglify, dziwnych obrazków, w których doktor Burrows nie mógł doszukać się żadnego znaczenia.

– Po prostu tego nie rozumiem – powiedział powoli, marszcząc brwi.

Przerzucił kilka kartek, przechodząc do miejsca, gdzie sporządził parę rysunków, próbując bezskutecznie przetłumaczyć choćby drobny fragment któregoś z trzech napisów. Miał nadzieję, że porównując powtarzające się symbole w środkowej i najniższej części tabliczki, zdoła rozszyfrować i zrozumieć pismo klinowe. Nawet jeśli przypominało ono chińskie pismo logograficzne, złożone z masy znaków, to być może dzięki takiej analizie udałoby mu się poznać choćby jego podstawy.

– No już, myśl, człowieku, myśl – zachęcał samego siebie do działania, uderzając otwartą dłonią w czoło. Przesunąwszy pasek jedzenia z jednego kącika ust w drugi, ponownie zabrał się do pracy, wierząc, że w końcu uda mu się zrobić jakieś postępy.

– Po prostu... tego... nie rozumiem – mruknął. W przyпіływie bezsilnej złości wyrwał kartkę z zapiskami i rzucił ją przez ramię. Wyprostował się i zacisnął zęby, głęboko zamyślony. Tymczasem jego dziennik zsunął się z głazu i spadł na ziemię.

– A niech to! – wykrzyknął mężczyzna, sięgając w dół. Upadając na ziemię, notes otworzył się na rysunku, który sprawiał doktorowi tyle kłopotów. Burrows ułożył zeszyt z powrotem na kamieniu.

Usłyszał jakiś dźwięk. Skrzypienie, po którym nastąpiła seria cichych stuków.

Tajemnicze odgłosy ucichły niemal tak szybko, jak się zaczęły. Doktor jednak natychmiast podniósł świetlną kulę i rozejrzał się dokoła. Choć nie zobaczył niczego niepokojącego, czuł dziwny lęk; zaczął pogwizdywać przez zęby, by dodać sobie otuchy.

Kiedy opuszczał kulę, zielony blask padł na otwarty dziennik i tajemnicze znaki, które tak długo opierały się jego zabiegom translatorskim. Pochylił się niżej nad otwartą stronicą, potem jeszcze niżej...

– Ty głupcze! – zaczął się śmiać, przebiegając spojrzeniem po symbolach niezrozumiałych do tej pory i skupiając całą uwagę na środkowej części tablicy.

– Tak, tak, tak! TAK!

Był tak wyczerpany i nieprzytomny, gdy kopiował tę tabliczkę, że nie rozpoznał dobrze mu znanego alfabetu. A przynajmniej nie wtedy, gdy znaki były do góry nogami.

– Przecież to pismo fenickie, ty głupi ośle! Patrzyłeś na nie od złej strony! Jak mogłeś to zrobić?

Zaczął pisać coś w pośpiechu na obrzeżu kartki i stwierdził ze zdumieniem, że zamiast ołówka trzyma w dłoni pasek jedzenia, który przeżuwał do tej pory. Odrzucił go i posługując się już zwykłym ołówkiem, gryzmolił coś szybko na marginesie, domyśliwszy się znaczenia symboli, które skopiował zbyt niedbale albo których nie mógł odczytać z tabliczki nadgryzionej zębem czasu.

– Aleph... lamedh... lamedh... – mrucał do siebie, gdy odcyfrowywał literę po literze.

Wahał się tylko przy zapisanych niewyraźnie i tych, których nie mógł sobie od razu przypomnieć. Nie trwało to jednak nigdy zbyt długo, znał bowiem biegle starożytną grekę, która pochodziła w prostej linii od alfabetu fenickiego.

– Na Jowisza, rozgryzłem to! – krzyknął uradowany. Odkrył, że

tekst znajdujący się pośrodku tabliczki to jakaś modlitwa, sama w sobie może niezbyt ekscytująca, ale nie to miało w tej chwili znaczenie – liczył się przede wszystkim fakt, że w ogóle mógł ją odczytać.

Uporawszy się z pierwszym fragmentem, zaczął badać napis w górnej części, złożony ze znaków hieroglificznych. Teraz, gdy ustawił je we właściwej pozycji, od razu zaczął dostrzegać sens i porządek.

Symbole nie przypominały w niczym mezopotamskich znaków, którymi zajmował się podczas pracy nad doktoratem. Wiedział dobrze, że mezopotamskie piktogramy są najstarszą znaną ludzkości formą pisma, pochodzącą aż z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą i że w miarę upływu stuleci znaki te stawały się coraz bardziej schematyczne. Początkowo każdy z nich był przejrzysty i zrozumiały – jak na przykład rysunek łodzi czy buszel pszenicy – z czasem jednak zamieniały się w coraz bardziej stylizowane symbole, takie jak pismo klinowe w środkowej i dolnej części tablicy. W alfabet.

– Tak! Tak! – wykrzyknął, przekonawszy się, że górna część powtarza modlitwę zapisaną w środkowej. Wydawało się jednak, że pismo to nie wywodzi się bezpośrednio od przedstawionych poniżej znaków piktograficznych. Doktor Burrows uświadomił sobie nagle, jakie implikacje może mieć dokonane przez niego odkrycie.

– Mój Boże! Tysiące lat temu jakiś fenicki skryba zszedł tutaj z powierzchni... Zrobił to... Wyrył tłumaczenie starożytnego języka hieroglificznego. Ale jak on się tu dostał? -Doktor Burrows nadał policzki i wypuścił powietrze między zębami. – A ta nieznana, starożytna rasa... Kim byli ci ludzie?... Kim oni, u diabła, byli?

Dziesiątki przypuszczeń bombardowały umysł doktora, jednak ponad wszystkie inne wybijało się jedno, być może najbardziej naciągane.

– Atlantydzi... Zaginione miasto... Atlantyda! – Doktor aż

zachłysnął się z wrażenia i oddychał przez chwilę głęboko, by uspokoić oszalałe serce.

Mamrocząc coś do siebie, pochylił się nad ostatnim, położonym najniżej napisem, porównując go z tekstem fenickim.

– Na Jowisza, chyba mi się udało! To jest... to jest ta sama modlitwa! – zaczął krzyżeć. Natychmiast też dostrzegł podobieństwa między hieroglifami na górze tabliczki i kształtem liter na dole – nie miał wątpliwości, że te dwie formy pisma są ze sobą powiązane, że te właśnie piktogramy przeobraziły się w te właśnie litery.

Korzystając z fenickiego napisu, powinien był bez trudu przetłumaczyć ostatni fragment. Miał teraz klucz umożliwiający transkrypcję wszystkich pozostałych tabliczek, które znalazł w jaskini i skopiował do dziennika.

– Mogę to zrobić – odetchnął z radością, przeglądając raz jeszcze rysunki tabliczek. – Mogę odczytać ich język! Mój własny kamień z Rosetty. Nie... chwileczkę... – Podniósł palec, tknięty nagle niezwykłą myślą. – Kamień Burrowsa! – Zerwał się na równe nogi i odwrócił ku ciemności, trzymając nad głową otwarty dziennik. – Kamień doktora Burrowsa! Och, biedne palanty, nieudacznicy z Muzeum Brytyjskiego, z Oxfordu i Cambridge... Podły profesor White i jego kolesie z Uniwersytetu Londyńskiego, którzy ukradli moje odkrycie, moją rzymską willę... TO JA ZWYCIĘŻĘ!... TO JA PRZEJDĘ DO HISTORII! – Jego słowa odbijały się echem od ścian skalnej rozpadliny. – Być może trzymam teraz w rękach sekret Atlantydy... I TO WSZYSTKO JEST MOJE, WY STARE DURNIE!

Znowu usłyszał dziwne stukanie i podniósł szybko kulę.

– Co, U...?

W mroku, gdzie wylądował kawałek jedzenia, poruszało się coś dużego. Doktor Burrows drżącymi dłońmi przesunął kulę w tamtą stronę.

– Nie! – wykrztusił.

Ujrzał przed sobą istotę wielkości małego samochodu rodzinnego, z olbrzymim kopulastym pancerzem, spod którego wystawało sześć nóg połączonych stawami.

Stworzenie miało białozółtą barwę i przemieszczało się ociężale. Doktor Burrows widział, jak zakurzone zuwaczki ocierają się o siebie z chrzęstem, przegryzając jedzenie, które on przed chwilą wyrzucił. Po chwili monstrum ruszyło powoli w jego stronę, poruszając przy tym wielkimi czułkami. Doktor Burrows cofnął się o krok.

– Po prostu... w to... nie wierzę... – stwierdził doktor, głośno wypuszczając powietrze z płuc. – Czym ty jesteś, na litość boską... Wyrośniętym owadem? Olbrzymim roztoczem? – dodał, poprawiając się w myślach. Wiedział dobrze, że roztocza nie są owadami, lecz pajęczakami, podobnie jak pająki.

Stworzenie przystało ponownie, jakby nieco się go obawiało. Czułki wciąż poruszały się rytmicznie niczym dwie tańczące pałeczki. Doktor nie widział oczu na głowie tajemniczej istoty, a jej pancerz wydawał się równie gruby i jednolity jak pancerz czołgu. Kiedy jednak przyjrzał się uważniej, spostrzegł liczne wgniecenia i rysy na powierzchni, a także paskudne wyźłobienia ciągnące się wzdłuż krawędzi i znaczące prawdopodobnie miejsca, gdzie pancerz został rozbity.

Doktor Burrows czuł instynktownie, że pomimo przerażających rozmiarów i wyglądu zwierzęcia, nie musi się go obawiać. Stworzenie nie próbowało się do niego zbliżyć, lecz tkwiło nieruchomo w miejscu. Prawdopodobnie bało się go bardziej niż on jego.

– Wyglądasz, jakbyś wrócił z wojny – odezwał się doktor Burrows, przysuwając kulę bliżej stworzenia, które w odpowiedzi zaklekotało olbrzymimi zuwaczkami, jakby chciało mu przytaknąć. Mężczyzna oderwał na moment wzrok od gargantuicznego roztocza i rozejrzał się

dokoła.

– To miejsce jest... niesamowite... To prawdziwa kopalnia złota! – westchnął i sięgnął do torby. – Proszę, kolego – powiedział, rzucając przedziwnemu stworzeniu kolejny kawałek jedzenia.

Olbrzym odsunął się o kilka kroków, jakby wystraszony, a potem powoli, bardzo ostrożnie, podszedł do przodu, odszukując jedzenie i podnosząc je. Uznawszy, że wysuszony pasek nadaje się do spożycia, przeniósł go do żuwaczek i zaczął pożerać, wydając przy tym całą gamę chrzęstów oraz trzasków.

Oniemiały z wrażenia, doktor Burrows usiadł ponownie na kamieniu, odszukał w kieszeni temperówkę i włożył do niej ogryzek ołówka. Wciąż przeżuając, olbrzymie stworzenie przysiadło nisko na nogach, jakby czekało na kolejny smakołyk.

Doktor Burrows roześmiał się głośno, zdumiony i rozbawiony zarazem tą przedziwną sytuacją, po czym podniósł dziennik i otworzył go na nowej stronie, by narysować stojące przed nim „roztocze”. Spojrzał na pustą kartkę i zawahał się. Przez chwilę siedział w bezruchu, niezdecydowany, aż klekot żuwaczek olbrzyma przywołał go nagle do rzeczywistości. Wiedział już, co musi zrobić. Powrócił do rysunku tabliczki.

Przetłumaczenie ostatniej części kamienia doktora Burrowsa było w tej chwili bezwzględnym priorytetem.

– Mało czasu... – mruczał do siebie. – Mało czasu...

Rozdział dwudziesty dziewiąty



Pomocy! Ratunku! Pomocy! Jest tu kto? „Och, obudź się, chłopie... Naprawdę myślisz, że ktoś cię usłyszy? – odezwał się burkliwy, nieprzyjemny głos w głowie Willa. Choć chłopiec robił wszystko, co mógł, by go uciszyć, głos tylko przybierał na sile. – Nie ma tu nikogo. Jesteś zdany tylko na siebie, stary” – mówił dalej.

– Pomocy! Pomocy! – wołał Will, starając się ignorować własne myśli.

„Czego się spodziewasz... Ze nagle zza rogu wyskoczy tatuś i wskaże ci drogę do domu? Doktor supertata Burrows, który zabłądził w metrze? Tak, jasne!”.

– Spadaj! – ryknął Will chrapliwie, próbując przegonić w ten sposób głos zwątpienia.

Jego krzyk odbił się echem od skalnych ścian i ucichł w głębi tunelu.

„Zgubiłeś się, tak? A to dopiero! – Głos wciąż nie dawał za wygraną. Mówił z cichą satysfakcją, jakby wiedział dokładnie, czym to wszystko się zakończy. – Gorzej już nie może być – kontynuował. – Przechodzisz do historii”.

Will zatrzymał się i pokręcił głową, nie przyjmując tego do wiadomości. Musiało być jakieś wyjście z tej sytuacji.

Zamykał i otwierał oczy, próbując dostrzec coś w ciemnościach, nie widział jednak nic, zupełnie nic. Nawet w najciemniejszą noc na powierzchni mrok rozpraszała choćby odrobina zbłąkanego światła,

jednak tutaj panowała ciemność absolutna, nieprzenikniona. Ciemność, która bawiła się z jego zmysłami, dawała nadzieję. Fałszywą nadzieję.

Szedł wzdłuż ściany, przesuwając dłonią po szorstkiej, aż nazbyt dobrze mu znanej powierzchni. Stopy stawiał ostrożnie, powoli, aż w końcu, zniecierpliwiony, postanowił przyspieszyć kroku. Już po chwili trafił nogą na jakąś przeszkodę i runął do przodu, staczając się w dół zbocza. Zatrzymał się wreszcie z twarzą wtuloną w warstwę pyłu na dnie, zdyszany i wystraszony.

Gdyby próbował zastanowić się dłużej nad swoją sytuacją, mógłby całkiem się załamać. Tkwił pięć mil pod powierzchnią Ziemi – jeśli wierzyć temu, co powiedział mu Tam – samotny, przerażony i kompletnie zagubiony. Błąkał się po mrocznych tunelach już co najmniej od doby, a przynajmniej tak mu się wydawało – być może trwało to nawet dłużej, ale nie miał jak tego sprawdzić.

Każda kolejna sekunda spędzona w tej nicości była równie długa i przerażająca jak poprzednia, a Will miał wrażenie, że zostawił ich już za sobą miliony. Prawdę mówiąc, nie miał najmniejszego pojęcia, ile czasu spędził w labiryncie korytarzy, jeśli jednak wyschnięte gardło mogło być jakąś wskazówką, musiała to być co najmniej doba. Jedyne, czego mógł być pewien, to, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł tak straszliwego pragnienia.

Wstał i sięgnął ręką do ściany, jednak jego rozcapierzone palce natrafiły tylko na ciepłe powietrze. Natychmiast wyobraził sobie, że stoi na brzegu olbrzymiej przepaści, i od razu zakręciło mu się w głowie. Ostrożnie przesunął stopę do przodu.

Wydawało mu się, że dno nie jest poziome, ale teraz nie mógł być pewien nawet tego. Dotarł już do punktu, w którym nie był w stanie określić, czy to grunt się obniża, czy też on jest pochylony. Coraz mniej ufał zmysłom.

Zawroty głowy przybrały na sile, zbierało mu się na wymioty. Chłopiec próbował odzyskać równowagę, podnosząc obie ręce. Gdy powstał przez chwilę w tej pozycji, niczym przekrzywiony strach na wróble, poczuł się odrobinę pewniej. Zrobił kilka chwiejnych kroków do przodu, wciąż jednak nie natrafił na ścianę. Krzyknął i nasłuchiwał echa.

Wpadł do jakiegoś większego pomieszczenia – wskazywało na to odległe echo – być może znalazł się na skrzyżowaniu kilku tuneli. Próbował rozpaczliwie zapanować nad rosnącą paniką, uspokoić oszalałe serce i oddech, które na przemian wypełniały jego uszy głuchym dudnieniem i głośnym sykiem. Raz po raz przenikały go fale niepohamowanego strachu; drżał na całym ciele, nie wiedząc sam, czy jest mu zimno czy gorąco.

„Jak do tego doszło?” – to pytanie tłukło się po jego głowie niczym ćma zamknięta w słoju.

Zebrał się na odwagę, zrobił kolejny krok. Wciąż żadnej ściany. Klasnął w dłonie i jeszcze raz nasłuchiwał echa. Po raz kolejny przekonał się, że stoi w czymś znacznie rozleglejszym od tunelu – miał tylko nadzieję, że nie oznaczało to, iż w ciemnościach czeka na niego skalna rozpadlina. Znow zakręciło mu się w głowie.

Gdzie są ściany? Zgubiłem te cholerne ściany!

Nagle zaczęła w nim narastać niepohamowana wściekłość. Zaciśnął zęby z taką siłą, że aż zatrzeszczały. Złożywszy dłonie w pięści, wydał z siebie nieludzki dźwięk, coś pośredniego między warkotem a krzykiem, choć niepodobne do żadnego z nich.

Próbował uporządkować myśli i uczucia, przekonał się jednak, że nie może zapanować nad gniewem i pogardą dla samego siebie.

Idiota! IDIOTA! IDIOTA!

Wydawało się, że szorstki głos w jego głowie w końcu wygrał, pozbawiając go wszelkiej nadziei na wyjście z tej sytuacji. Był

głupcem i zasługiwał na śmierć.

Zaczął obwiniać innych, szczególnie Elliott i Chestera; obrzucał ich obelgami, wykrzykiwał je w stronę niewidzialnych ścian, pragnąc zranić, zadać ból. Potem, ukryty w ciemnościach, zaczął bić sam siebie, waląc najpierw pięścią o pięść. Potem uderzył się w bok głowy, a dojmujący, przenikliwy ból przywrócił mu wreszcie jasność myślenia.

NIE! STAĆ MNIE NA WIĘCEJ! MUSZĘ IŚĆ DALEJ! Opadł na kolana i zaczął przesuwać się na czworakach, dotykając palcami dna i sprawdzając, czy nie kryje się w nim szczelina lub przepaść, w którą mógłby wpaść. Nagle napotkał jakąś pionową powierzchnię. Ściana! Odetchnął z ulgą, podniósł się i nie odrywając dłoni od szorstkiej płaszczyzny, podjął mozolną wędrówkę.

W ciągu następnych kilku godzin Pociąg Górników zatrzymywał się jeszcze wiele razy, pokonując grodzie burzowe, o których wspomniała Rebeka.

Pierwszym sygnałem świadczącym o tym, że zbliżają się do końca podróży, był głos dzwonu, a potem gwizd lokomotywy. Pociąg zaczął zwalniać, aż w końcu zatrzymał się z głośnym piskiem i zgrzytem. Sara zerknęła za okno, za którym słabo migotały światła Stacji Górników. Jeden z Graniczników odsunął drzwi wagonu.

– Pociąg kończy bieg, proszę wysiadać! – oświadczyła Rebeka z cieniem uśmiechu.

Kiedy Sara wyskoczyła na zewnątrz i rozprostowała zeszywniałe nogi, zobaczyła, że w stronę wagonu zmierza pośpiesznie delegacja Styksów.

Rebeka zarzuciła torbę na ramię i kazała Sarze czekać przy wagonie, sama zaś ruszyła na spotkanie delegacji.

Pani Jerome naliczyła co najmniej tuzin Styksów, którzy maszerowali w takim pośpiechu, że wzbijali stopami wielki obłok

kurzu. Rozpoznała wśród nich starego Styksa, towarzyszącego jej w powozie w dniu, gdy wróciła do Kolonii.

Stare nawyki Sary dały o sobie znać i kobieta zanotowała w pamięci liczbę członków personelu oraz ułożenie poszczególnych budynków. Musiała znać dobrze okolicę, gdyby w przyszłości nadarzyła się okazja do ucieczki.

Oprócz Graniczników rozstawionych w różnych punktach stacji był tu także oddział Styksów z Dywizji, łatwo rozpoznawalny dzięki charakterystycznym zielonym mundurom. „Ale dlaczego zawędrowali aż tutaj?” – zastanawiała się Sara. Szacowała, że na terenie stacji znajduje się około czterdziestu żołnierzy. Połowa z nich czyściła i pielęgnowała broń, między innymi kilka moździerzy i karabinów dużego kalibru.

Pozostali siedzieli na koniach, jakby szykowali się właśnie do wyjazdu.

Konie! Co tu się, u diabła, dzieje?

Sara przyjrzała się uważniej samej jaskini, zapisując w myślach rozkład poszczególnych bram, przejść i pomostów. Próbowwała odgadnąć, gdzie znajdują się wyjścia i wejścia, szybko się jednak poddała – trudno było cokolwiek dostrzec w mroku zalegającym pod ścianami skalnej komnaty.

Czując spływające po skórze potężne krople potu, uświadomiła sobie, że w jaskini jest znacznie cieplej niż w Kolonii. Gdy wciągała do płuc suche powietrze, jej nozdrza wypełniały się zapachem spalenizny. Znalazła się w zupełnie nowym, nieznanym środowisku, była jednak pewna, że szybko się do niego przystosuje, podobnie jak przyzwyczała się do warunków panujących w Górnoziemiu.

Dojrzała ruch na prawo od budynków stacji. Zobaczyła, że stoi tam nierówny szereg, złożony z około sześciu, siedmiu ludzi. Nie widziała ich wcześniej, bo w ogóle się nie ruszali, a poza tym częściowo

przesłaniały ich sterty skrzyń.

Sądząc po cywilnych ubraniach, byli to Koloniści. Wszyscy trzymali nisko pochylone głowy, jakby kłaniali się pilnującemu ich Granicznikowi, który mierzył do nich ze strzelby. Takie środki ostrożności wydawały się zbędne, gdyż ręce i nogi Kolonistów skute były łańcuchami. Na pewno nie mogli się nigdzie wybrać.

Sara pomyślała, że wszyscy musieli zostać Wygnani, choć nie zdarzało się raczej, by aż tak duża grupa ludzi została wypędzona z Kolonii w tym samym czasie – chyba że doszło tam do jakiejś zorganizowanej rewolty lub powstania, stłumionego następnie przez Styksów. Zastanawiała się właśnie, w co się właściwie wpakowała i czy za chwilę nie dołączy do tych więźniów, gdy usłyszała głos Rebeki.

Dziewczyna pokazywała górnoziemską gazetę staremu Styksowi, który kiwał władczo głową, podczas gdy pozostali członkowie delegacji czekali cierpliwie z boku. Sara zaczęła podejrzewać, że całe to zainteresowanie nagłówkami gazet – dotyczącymi prawdopodobnie epidemii, która wybuchła w Górnoziemiu – musi wiązać się z czymś więcej niż zwykłą obserwacją bieżących wydarzeń, prowadzoną stale przez Styksów. Przypomniała sobie słowa Josepha, który wspomniał nieopatrznie o jakiejś ważnej operacji w Londynie. Tak, to wszystko wyglądało znacznie poważniej, niż przypuszczała do tej pory.

Gazety powędrowały do rąk pozostałych uczestników spotkania, któremu przewodniczył najwyraźniej stary Styks, gdyż tylko on zabierał głos. Sara stała zbyt daleko, by słyszeć go wyraźnie, poza tym starzec często przechodził na niezrozumiałe, piskliwy język Styksów. Potem jednak przemówiła ponownie Rebeka: – Tak! – krzyknęła dziewczynka całkiem wyraźnie, głosem pełnym młodzieńczej radości. Podniosła rękę w geście zwycięstwa, jakby zachwycona tym, czego dowiedziała się od starego Styksa. Potem starzec odwrócił się do

jednego ze swych towarzyszy, który na jego polecenie otworzył niewielką walizkę, wyjął z niej coś i podał Rebecę. Ta wzięła od niego tajemniczy przedmiot i podniosła go ostrożnie na wysokość oczu, podczas gdy pozostali członkowie grupy przyglądali mu się w nabożnym milczeniu.

Sara nie widziała wyraźnie, co Rebeka trzyma w dłoni. Jednak gdy dostrzegła błysk światła odbitego od gładkiej powierzchni, domyśliła się, że są to dwa małe przedmioty wykonane ze szkła lub podobnego materiału.

Dziewczynka i stary Styks wymienili porozumiewawcze spojrzenia, świadczące o tym, że przed chwilą wydarzyło się coś naprawdę ważnego. Spotkanie dobiegło nagle końca, gdy stary Styks wydał jakiś rozkaz i udał się w otoczeniu członków świty w stronę budynków stacji.

Rebeka odwróciła się do samotnego Granicznika, który pilnował skutych łańcuchami więźniów. Dała mu znak, machając luźno ręką, jakby kogoś przeganiała. Strażnik natychmiast warknął coś do więźniów, ci zaś ruszyli w stronę odległego zakątka jaskini, ciężko powłócząc spętanymi nogami.

Sara patrzyła w milczeniu, jak Rebeka zbliża się do niej, trzymając przed sobą dwa tajemnicze przedmioty.

– Co to za ludzie? – spytała Sara, wskazując głową na więźniów, którzy niknęli powoli w mrokach jaskini.

– Och, nic ważnego... – odparła dziewczynka, a potem dodała nieco enigmatycznie, jakby pochłonięta innymi myślami: – Nie potrzebujemy już królików doświadczalnych, przynajmniej na razie.

– Widzę, że Dywizja przywiozła ze sobą sporo ciężkiej broni – zauważyła Sara, spoglądając na dwóch jeźdźców, ciągnących między sobą jeden z moździerzy.

Rebeka nie była jednak zainteresowana tym tematem. Odrzuciła do

tyłu włosy i podniosła przedmioty, które trzymała w dłoniach.

– Albowiem to właśnie jest Dominium – oświadczyła z namaszczeniem. – Za jego przyczyną sprawiedliwi znów posiadają Ziemię, a ludzie czystego serca wrócą do swego królestwa.

Sara zobaczyła, że dwa przedmioty to szklane fiolki napełnione przezroczystą cieczą i zamknięte szczelnie woskowymi plombami. Do obu przymocowane były cienkie sznurki, za które mogła je trzymać Rebeka.

– Coś ważnego? – spytała Sara.

Rebeka wydawała się jakby nieobecna, jej oczy lśniły euforią, gdy wpatrywała się w fiolki.

– Coś związanego z tym ultrawirusem, o którym pisali w gazetach?
– dopytywała dalej Sara.

Przez usta dziewczyny przemknął cień uśmiechu.

– Być może – droczyła się z nią. – Wkrótce nasze modlitwy zostaną wysłuchane.

– Więc chcecie wypuścić w Górnoziemiu jeszcze jeden zarazek?

– To nie jest tylko jeszcze jeden zarazek. Ultrawirus, jak nazywają to Górnoziemcy, był tylko rozgrzewką. To... – potrząsnęła lekko fiolkami – jest produkt oryginalny, jak to się u nich mówi – Rebeka uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Pan hojnie obdarza swe dzieci... i nie przestaje ich obdarzać.

Nim Sara zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dziewczyna obróciła się na pięcie i odeszła w stronę stacji.

Sara nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Nie darzyła Górnoziemców miłością, nie trzeba było jednak dużej wyobraźni, by zrozumieć, że Styksowie szykowali im straszliwy los. Wiedziała, że gotowi są bez skrupułów szerzyć śmierć i zniszczenie, jeśli tylko pozwoli to osiągnąć ich cele. Nie zamierzała jednak dopuścić, by ta świadomość odwiodła ją od działania – ona chciała dokonać tylko

jednego: odnaleźć Willa. Musiała dowiedzieć się, czy to rzeczywiście on winny jest śmierci Tama. Tutaj chodziło o jej rodzinę i nie mogła pozwolić, by cokolwiek jej przeszkodziło.

– Jesteśmy gotowi. Ruszaj się! – warknął jeden z Graniczników tuż za jej plecami.

Sara aż podskoczyła, wystraszona. Po raz pierwszy którykolwiek z nich zwrócił się bezpośrednio do niej.

– E... powiedziałaś... powiedziałaś... m y ?wyjąkała kobieta, cofając się o krok. W tej samej chwili usłyszała jakieś skrobanie i spojrzała w dół. – Bartleby! – wykrzyknęła zaskoczona.

Kot pojawił się u jej boku tak nagle, jakby wyskoczył spod ziemi. Poruszając nerwowo wąsami, miauknął cicho, a potem pochylił się nisko i obwąchał ziemię u stóp Sary. Po chwili poderwał raptownie szeroki łeb. Nos zwierzęcia oblepiony był cienką warstwą czarnego pyłu, który okrywał niemal wszystkie powierzchnie i przedmioty wokoło. Kotu najwyraźniej wcale się to nie podobało, otarł bowiem pysk łapą, wydając przy tym niskie, gniewne pomruki, a potem potężnie kichnął.

– Na zdrowie – powiedziała odruchowo Sara. Ogromnie się cieszyła, że znów ma go przy sobie. Czuła się tak, jakby teraz wyruszała w drogę w towarzystwie starego przyjaciela, kogoś, komu może zaufać.

– Ruszaj się! – wrzasnął inny Granicznik, wskazując palcem na odległą część jaskini, ukrytą za lokomotywą, która od czasu do czasu wypuszczała z siebie ogromne kłęby pary. – Ale już! – warknął.

Sara zawahała się na moment, czując na sobie spojrzenia rybich oczu żołnierzy.

Potem skinęła głową na znak aprobaty i ruszyła powoli we wskazanym kierunku.

„Cóż... jeśli sprzedajesz duszę diabłu...” – pomyślała cierpko. Sama

wybrała tę drogę i teraz po prostu musiała się jej trzymać.

Pogodziwszy się z losem, ruszyła energicznie do przodu z wielkim kotem u boku, odprowadzana przez cztery mroczne postacie.

Jakie miała wyjście, gdy te złe duchy deptały jej po piętach?

Rozdział trzydziesty



Mijały godziny. Czoło i kark Willa ociekały potem, co było wynikiem zarówno panującego w tunelach gorąca, jak i zalewających go raz za razem fal przerażenia, które z takim wysiłkiem starał się odpierać. Gardło chłopca wysuszone było na pieprz; czuł, jak drobiny pyłu lepią mu się do języka, nie miał jednak dość śliny, by je spłukać.

Wróciły zawroty głowy; musiał przystanąć, gdyż wydawało mu się, że grunt pod nogami kołysze się jak pokład statku. Oparł się o ścianę, otwierając i zamykając usta niczym ryba wyrzucona na brzeg i mamrocząc coś pod nosem. W końcu, z najwyższym trudem stanął prosto i mocno potarł oczy knykciami. Nacisk wzbudził pod powiekami rozbłyśki światła, które pomogły ukoić nerwy. Chwila wytchnienia nie trwała jednak długo, gdyż ponownie otoczyła go nieprzenikniona ciemność.

Potem, podobnie jak wiele razy wcześniej, przykucnął i zaczął sprawdzać zawartość kieszeni. Był to zupełnie bezowocny i bezsensowny wysiłek, pusty rytuał. Will wiedział bowiem doskonale, co tam znajdzie. Wciąż jednak łudził się nadzieją, że przeoczył coś przydatnego, choćby najmniejszy drobiazg.

Najpierw wyjął chusteczkę i rozłożył ją płasko na ziemi. Następnie sięgnął po kolejne przedmioty i układał je po omacku na kwadracie chusteczki: scyzoryk, ogryzek ołówka, guzik, kawałek sznurka, jakieś bezużyteczne kawałki materiału i w końcu niedziałającą latarkę. Brał

każdy przedmiot do ręki i dotykał czubkami palców, jakby nagle miało się jakimś cudem okazać, że któryś go uratuje. Roześmiał się gorzko.

To było absurdalne.

Co on właściwie wyprawiał?

Mimo to przeszukał kieszenie raz jeszcze; tak na wszelki wypadek, gdyby jednak coś przegapił. Jak dobrze wiedział, były puste, nie licząc garści żwiru i pyłu. Syknął cicho, rozczarowany, a potem przygotował się do ostatniej części rytuału. Podniósł latarkę, zaciskając na niej obie dłonie.

Proszę, proszę, proszę!

Przesunął włącznik.

Mc, absolutnie nic. Najmniejszego błysku, najmniejszej iskiereki. Nie! Co za cholęstwo! Znów go zawiodła.

Ogarnięty gniewem, wziął szeroki zamach, planując wyrzucić bezużyteczny przedmiot, potem jednak westchnął ciężko i opuścił rękę. Nie mógł się na to zdobyć.

Warknął wściekle, sfrustrowany, i schował latarkę z powrotem do kieszeni. Potem zawinął pozostałe rzeczy w chusteczkę i włożył na miejsce.

Dlaczego, och, dlaczego nie wziąłem ze sobą chociaż jednej świetnej kuły? Mogłem to przecież zrobić bez żadnego problemu.

Byłby to drobny gest, a jednak tak bardzo odmieniłby jego obecną sytuację. Pomyślał o swojej kurtce. Gdyby tylko miał tyle rozumu, by jej nie zdejmować. Przypomniał sobie, jak ułożył ją na plecaku. Były tam latarka Styksów przymocowana do kieszeni, jeszcze jedna zwykła latarka i pudełko zapalek, nie wspominając już o kilku kulach. Gdyby tylko... gdyby tylko...

Te zwykłe przedmioty były teraz dla niego tak niezmiernie ważne. Nie miał przy sobie niczego, co mogłoby mu się przydać podczas tej

beznadziejnej wędrówki.

– TY CHOLERNY IDIOTO! – zaczął wrzeszczeć, karcąc samego siebie chrapliwym głosem i przeklinając otaczającą go ciemność. Obrzucał ją wszystkimi wyzwiskami, jakie tylko przyszły mu do głowy, potem jednak zamilkł, gdy nagle wydało mu się, że kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Czy to było światło? Iskierka światła po jego prawej stronie?

Co? A jednak, tam w oddali, tak, jakiś rozbłysk, tak światło, tam daleko? Tak!

Z walącym sercem ruszył w stronę blasku, jednak po kilku krokach znów się potknął i runął na nierówny grunt. Poderwał się szybko i zaczął gorączkowo szukać tajemniczego punktu światła, wpatrywać się w aksamitną ciemność.

Znikło. Gdzie to było?

Tajemnicze światło przepadło bez śladu – jeśli w ogóle kiedykolwiek istniało.

Jak długo mogę jeszcze tak się męczyć? Jak długo, nim...

Czuł, jak uginają się pod nim nogi, a w płucach brakuje tchu.

– Jestem za młody, żeby umierać – powiedział głośno, uświadamiając sobie po raz pierwszy w życiu, co naprawdę znaczą te słowa. Zaczął płakać. Musiał odpocząć.

Osunął się na kolana. Potem pochylił się do przodu, opierając dłonie na pokrytym żwirem dnie. To niesprawiedliwe. Nie zasługuję na to.

Próbował przełknąć, lecz gardło było tak suche i spuchnięte, że nie mógł zrobić nawet tego. Pochylił się niżej, aż czoło opadło na ostry żwir. Nie wiedział, czy jego oczy są otwarte czy zamknięte. Teraz i tak nie miało to żadnego znaczenia: dostrzegał przed sobą kolorowe plamy światła, które zlewały się, kreśliły długie smugi, wirowały w jakimś szalonym tańcu. Był świadom, że to tylko przywidzenia.

Trwał w takiej pozycji jeszcze przez jakiś czas, dysząc ciężko z głową przy podłożu.

Nagle ujrzał przed sobą obraz przybranej matki. Był tak niesamowicie wyraźny i rzeczywisty, jakby na moment przeniosła się pod ziemię. Pani Burrows siedziała w fotelu przed telewizorem, w pokoju wypełnionym blaskiem słońca. Obraz zafalował i ustąpił miejsca innemu; tym razem Will zobaczył przybranego ojca, który przechadzał się swobodnie gdzieś w głębi Ziemi, pogwizdując piskliwie przez zęby, jak to miał w zwyczaju.

W końcu stanął mu przed oczami widok Rebeki; coś, co widział już tysiące razy.

Była w kuchni, jak co wieczór przygotowywała kolację dla całej rodziny. Ten obraz stanowił stały element jego życia, obecny nawet we wspomnieniach z dzieciństwa.

Nagle, jakby ktoś przesunął film o kilka scen, zobaczył Rebeke ubraną w mundur Styksów z twarzą wykrzywioną w podłym uśmiechu.

Zdzira! Fałszywa, kłamliwa zdzira! Zdradziła go, zdradziła jego rodzinę. To ona była wszystkiemu winna.

Zdrajca! Zdrajca! Zdrajca! Zdrajca!

W jego oczach Rebeka była najgorszym typem zdrajcy; . kimś podłym, nikczemnym i zepsutym do szpiku kości, kukułczym jajem z piekła rodem, które miało zniszczyć rodzinne gniazdo; kolaborantką.

Wstawaj! Dzika nienawiść, którą czuł do Rebeki, ożywiła go nagle. Wziął głęboki drżący oddech i odepchnął się od ziemi, przechodząc do klęku. Krzyczał na siebie, nakłaniał do działania: – Wstawaj, ale już! Nie pozwól jej wygrać! – Wreszcie stanął na drżących nogach i zaczął wymachiwać rękami, jakby chciał pobić otaczającą go nicość, niekończące się pustkowie, które pożerało jego duszę. – Ruszaj się! Idź! WYJDŹ STĄD! – krzyczał łamiącym się głosem. – WYJDŹ STĄD!

Ruszył chwiejnym krokiem naprzód, wołając Drakea, swego ojca, kogokolwiek, kto mógł mu pomóc. Odpowiadało tylko echo. Kiedy gdzieś z tyłu rozległ się szelest osuwającego się żwiru, pomyślał, że być może dla własnego bezpieczeństwa nie powinien już więcej krzyżeć, i zamilkł. Nie zatrzymywał się jednak, narzucając sobie w myślach jednostajny rytm marszu.

Raz, dwa, raz, dwa, raz, raz, raz, dwa.

Wkrótce zaczął dostrzegać jakieś przerażające zjawy wyłaniające się z niewidocznych ścian. Powtarzał sobie, że nie istnieją, ale to ich nie powstrzymywało.

Tracił rozum. Był przekonany, że całkiem oszaleje, jeśli wcześniej nie wykończą go głód i pragnienie.

Raz, dwa, raz, dwa...

Próbował wypełnić umysł tylko tym monotonnym rytmem i skupić się na mozolnym przestawianiu stóp, lecz wizje wciąż powracały. Były tak żywe i sugestywne, że niemal czuł ich zapach. Skoncentrował wszystkie siły, by je przegnać, aż w końcu znikły.

Przeklinał dzień, w którym postanowił wsiąść do Pociągu Górników i zjechać tutaj, do Głębi. Co on sobie wyobrażał? Zamiast błąkać się po tym piekle, mógł wrócić do Górnoziemia. I cóż złego mogło go tam spotkać? Myśl o tym, że do końca życia musiałby uciekać przed Styksami, wcale nie wydawała mu się teraz taka przerażająca. A przynajmniej nie znalazłby się w tej sytuacji.

Upadł po raz kolejny, tym razem nie obyło się bez bolesnych potłuczeń.

Przekoziółkował po ostrych kamieniach i uderzył głową w skałę. Na moment znieruchomiał, po czym przetoczył się powoli na plecy, podniósł ostrożnie obie ręce i przysunął je do twarzy. W miejscu, gdzie powinien zobaczyć swoje dłonie, znajdowała się jedynie jednolita ciemność; czarne płótno, które okryło cały świat, stało się

światem. On już nie istniał.

Przekręcił się ponownie na brzuch i przesunął rękę do przodu, przerażony, że znalazł się na skraju przepaści. Jednak dno tunelu ciągnęło się przed nim nieprzerwanie, a on wiedział, że musi ponownie wstać, jeśli nie chce już na zawsze zostać w tym miejscu.

Nie mogąc korzystać ze zmysłu wzroku, w coraz większym stopniu kierował się dźwiękiem; echem własnych kroków, które odbijało się od ścian korytarza. Nauczył się właściwie interpretować powracające do niego odgłosy niemal tak, jakby miał prywatny radar. To właśnie echo ostrzegło go kilkakrotnie o zbliżających się rozpadlinach skalnych albo nagłych uskokach.

Podniósł się z ziemi i przesunął o kilka metrów.

W dochodzących do niego dźwiękach nastąpiła nagle dramatyczna zmiana.

Przycichły, jakby korytarz nagle się rozszerzył. Will posuwał się do przodu w ślimaczym tempie, zatrwożony myślą, że lada moment wpadnie do pionowego szybu.

Kilka kroków dalej nie było już żadnego echa – a przynajmniej takiego, które by usłyszał. Uzmysłował też sobie, że stąpa po czymś innym niż pył i żwir pokrywające dno tunelu. Kamyki! Drobne kamienie uderzały i pocierały o siebie, wydając głuchy dźwięk; nie dało się go pomylić z niczym innym.

Przesuwały się pod jego stopami, utrudniając marsz, i bez tego stanowiący prawdziwą udrękę.

Nagle Will poczuł na twarzy wilgoć i pociągnął nosem. Zdumiony, raz jeszcze wciągnął powietrze w nozdrza. Co to było?

Ozon!

Czuł ozon, a zapach ten przywodził mu na myśl morze i wyprawę na wybrzeże, które odbywał co roku z tatą.

Na co natknął się tym razem?

Rozdział trzydziesty pierwszy



Pani Burrows stała przy drzwiach swego pokoju i obserwowała wydarzenia rozgrywające się w głębi korytarza. Chwilę wcześniej z popołudniowej drzemki wyrwały ją podniesione głosy i pospieszne kroki dobiegające z zewnątrz. Wydało jej się to dość dziwne, gdyż przez ostatni tydzień w Humphrey House prawie nic się nie działo. Cały budynek pogrążył się w niepokojącej ciszy, a większość pacjentów nie ruszała się z łóżek, uległszy tajemniczemu wirusowi, który ogarnął cały kraj.

Gdy zza drzwi zaczęły dochodzić odgłosy zamieszania, pani Burrows uznała najpierw, że to któryś z pacjentów się awanturuje, i nie ruszyła się nawet z łóżka.

Jednak kilka minut później gdzieś w pobliżu windy towarowej rozległ się głośny trzask, a potem podniesiony, kobiecy głos. Należał do kogoś, kto czuje się ogromnie zestresowany i rozgniewany, ma ochotę krzyczeć, lecz jeszcze się powstrzymuje.

Jeszcze.

Pani Burrows uległa w końcu ciekawości i uznała, że powinna wyrzucić na korytarz.

Oczy kobiety były już w znacznie lepszym stanie niż kilka dni wcześniej, nadal jednak musiała je mrużyć, gdy chciała przyjrzeć się czemuś uważniej.

– Co się dzieje? – wymamrotała, wychodząc z pokoju i tłumiąc potężne ziewnięcie.

Przystanąła, ujrawszy jakiś przedmiot przed drzwiami Starej Pani L.

Przyjrzała mu się uważniej, a jej zaczerwienione oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. Pani Burrows widziała już dość szpitalnych dramatów, by zrozumieć, co się dzieje.

To był wózek do rajy. Straszliwy eufemizm, opisujący szpitalne łóżko o metalowych ściankach i wierzchu... Urządzenie służące do przewożenia zwłok, które dzięki swej budowie nie pozwalało postronnym osobom odgadnąć, co kryje się w środku albo czy w ogóle ktoś tam jest. Mówiąc krótko, była to lśniąca metalowa trumna na kółkach.

Pani Burrows patrzyła, jak z pokoju wychodzą przełożona pielęgniarek i dwóch sanitariuszy. Mężczyźni wtoczyli wózek do wnętrza, a siostra została przed drzwiami.

Dojrawszy panią Burrows, ruszyła powoli w jej stronę.

– Nie. To chyba nie to, o czym myślę?... – zaczęła pani Burrows.

Powolne potrząśnięcie głowy przez przełożoną powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć.

– Ale Stara Pani L. była taka... taka młoda zdumiała się pani Burrows, używając z przejęcia przezwiska zmarłej pacjentki. – Co się stało?

Pielęgniarka ponownie potrząsnęła głową.

– Co się stało? – powtórzyła pani Burrows. Przełożona odpowiedziała przyciszonym głosem, jakby nie chciała, by usłyszeli ją inni pacjenci: – Wirus – oznajmiła krótko.

– Chyba nie ten? – spytała pani Burrows, wskazując na swe oczy, które podobnie jak oczy pielęgniarki były wciąż opuchnięte i czerwone.

– Obawiam się, że tak. Dostał się do nerwu wzrokowego, a potem do mózgu. Lekarz mówi, że zdarza się to dość często. – Wzięła głęboki

oddech – szczególnie u osób z osłabionym układem odpornościowym.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mój Boże, biedna pani L.! westchnęła pani Burrows, ogarnięta niekłamanym smutkiem. Była to jedna z tych rzadkich chwil, gdy coś przedarło się przez jej pancerz i mocno ją poruszyło. Szczerze współczuła komuś, kto naprawdę istniał, a nie jakiemuś aktorowi odgrywającemu rolę w telenoweli będącej czystą fikcją.

– Dobrze, że przynajmniej stało się to szybko – powiedziała pielęgniarka.

– Szybko? – wymamrotała pani Burrows, marszcząc brwi w zdumieniu.

– Tak, bardzo. Tuż przed lunchem narzekała, że jej niedobrze, a potem dostała zawrotów głowy i zapadła w śpiączkę. Próbowaliśmy ją reanimować, ale bezskutecznie. – Przełożona zacisnęła usta w grymasie smutku i pochyliła głowę.

Potem wyciągnęła chusteczkę i otarła oczy. Pani Burrows nie wiedziała, czy robi to ze względu na wciąż niezaleczoną infekcję czy ze wzruszenia. – Ta epidemia jest naprawdę groźna, mówię pani. A jeśli wirus ulegnie mutacji... – dodała pielęgniarka ściszoneg głosem.

Nie dokończyła zdania, gdyż w tej samej chwili na korytarz wyjechało metalowe łóżko, a przełożona ruszyła pospiesznie w jego stronę.

– Bardzo szybko – powtórzyła pani Burrows, próbując pogodzić się ze śmiercią znajomej.

Nieco później tego samego dnia pani Burrows siedziała w pokoju dziennym, tak przejęta nagłym odejściem Starej Pani L., że nawet nie zwracała większej uwagi na telewizję. Była niespokojna i nie miała ochoty tkwić dłużej u siebie, postanowiła więc poszukać pociechy w ulubionym fotelu jedynym miejscu, które zazwyczaj przynosiło jej choć odrobinę radości i zadowolenia. Kiedy jednak przyszła do pokoju

dziennego, przekonała się, że przed ekranem siedzi już całkiem liczna grupa pacjentów. Ze względu na braki w personelu wielu z nich nie mogło realizować kolejnych punktów codziennego harmonogramu i musiało organizować sobie czas na własną rękę.

Pani Burrows była przygaszona i pozwoliła innym pacjentom wybierać kanały.

Jednak gdy w trakcie wiadomości na ekranie pojawiła się znajoma jej twarz, przemówiła głośno: – Hej! – wykrzyknęła, wskazując na telewizor. – To on! Znam go!

– Kto to jest? – spytała jakaś kobieta, podnosząc wzrok znad układanki rozsypanej na biurku przy oknie.

– Nie poznajecie go? Był tutaj! – mówiła pani Burrows, spoglądając z podnieceniem na ekran.

– Jak się nazywa? – spytała kobieta od układanki, trzymając w dłoni jeden element.

Ponieważ pani Burrows nie miała pojęcia, jak brzmi nazwisko mężczyzny, wpatrywała się zawzięcie w ekran, udając, że nie usłyszała pytania.

– Więc profesor Eastwood miał prowadzić badania nad wirusem? – spytał dziennikarz zza kadru.

Mężczyzna widoczny na ekranie skinął głową – był to ten sam człowiek, który kilka dni wcześniej rozmawiał przy śniadaniu z panią Burrows i potraktował ją z takim lekceważeniem. Miał nawet na sobie tę samą tweedową marynarkę.

– To bardzo ważny lekarz, mówię wam – zwróciła się pani Burrows do siedzących za nią pacjentów. Zrobiła przy tym tak zarozumiałą i nadętą minę, jakby mówiła o swoim bliskim przyjacielu. – Lubi na śniadanie grzanki z jajkami.

Ktoś w pokoju powtórzył głośno „grzanki z jajkami”, jakby ta informacja wywarła na nim ogromne wrażenie.

– Zgadza się – pokiwała głową pani Burrows.

– Cicho! Słuchajcie! – syknęła z tylnego rzędu kobieta w cytrynowożółtym szlafroku.

Pani Burrows przekrzywiła głowę i zgromiła ją spojrzeniem, była jednak zbyt zaciekawiona wiadomościami, by należycie ją skarcić.

– Tak – odparł wielbiciel grzanek z jajkami. – Profesor Eastwood i jego zespół ze Szpitala Świętego Edmunda pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, by zidentyfikować ten szczep wirusa. Prawdopodobnie robili duże postępy, ale wszystkie wyniki ich prac uległy zniszczeniu.

– Czy może nam pan powiedzieć, kiedy dokładnie wybuchł pożar? – spytał dziennikarz.

– Alarm został wszczęty o 9.15 rano.

– Czy może pan potwierdzić informację, że oprócz profesora w pożarze zginęło czterech członków jego zespołu badawczego?

Mężczyzna ściągnął brwi i z powagą pokiwał głową.

– Tak, obawiam się, że to prawda. To byli naprawdę wyjątkowi, wysoko cenieni naukowcy. Sercem jestem teraz z ich rodzinami.

– Wiem, że jest jeszcze zbyt wcześnie, by stwierdzić, co było przyczyną pożaru, ale może ma pan jakąś teorię na ten temat? – pytał dalej dziennikarz.

– W magazynie laboratorium znajdowały się duże ilości rozpuszczalników, przypuszczam więc, że śledztwo zacznie się właśnie od tego miejsca.

– W ostatnich tygodniach pojawiły się głosy, że pandemia mogła być dziełem człowieka. Czy sądzi pan, że śmierć profesora Eastwooda może być...

– Nie dam się wciągnąć w takie nienaukowe spekulacje – warknął wielbiciel tostów z jajkiem. – To zabawa dla zwolenników spiskowej teorii dziejów. Przyjaźniłem się z profesorem Eastwoodem od ponad

dwudziestu lat i na pewno nie pozwolę...

– Profesor Eastwood musiał być zbyt blisko rozwiązania, dlatego zginął! Ktoś go sprzątnął! – huknęła pani Burrows, zagłuszając telewizor. – Oczywiście, że to jakiś cholerny spisek. To te cholerne Ruski albo lewacy, którzy nie mają już na co narzekać, więc gadają ciągle o niszczeniu środowiska. Słyszeliście pewnie, że próbują zwalić tę zarazę na gazy cieplarniane i pierdzenie krów.

– A ja myślę, że wyciekła z któregoś z naszych laboratoriów, wiecie, coś jak ta historia z ośrodkiem badawczym w Portishead – odezwała się kobieta od układanki, kiwając energicznie głową, jakby rozwiązała właśnie na własną rękę zagadkę wirusa.

– Wydaje mi się, że ten ośrodek nazywa się Porton Down sprostowała pani Burrows.

W pokoju znów zapadła cisza, gdy kolejny „korespondent naukowy” wygłaszał ponure przepowiednie dotyczące wirusa i dowodził, że w każdej chwili może on przybrać groźniejszą formę, co miałyby straszliwe konsekwencje dla całej ludzkości.

– Ach! – powiedziała kobieta przy oknie, wciskając do układanki brakujący element.

Potem na ekranie telewizora pojawił się przykład wyrafinowanej sztuki ulicznej. Na ścianie pomiędzy dwoma sklepami w północnym Londynie widniało graffiti przedstawiające postać naturalnych rozmiarów w masce przeciwigazowej i obszernym skafandrze. Gdyby nie fakt, że spod wojskowego hełmu owej postaci wystawały wielkie mysie uszy rodem z kreskówki, rysunek wydawałby się bardzo realistyczny i na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że pod ścianą stoi żywy człowiek. Postać w skafandrze trzymała wielki transparent z napisem: DOBIEGA KRESU LUDZKA EPOKA KONIEC JEST BLISKO, NA DNIE TWEGO OKA – Święta prawda! – ryknęła pani Burrows, wracając myślami do niespodziewanej i przedwczesnej śmierci pani L.

Kobieta w cytrynowym szlafroku znów zaczęła ją uciszać: – Och, może byś się w końcu zamknęła! – zawołała z pełną wyniosłości dezaprobatą.

– Naprawdę musisz tak krzyczeć?!

– Muszę, to poważna sprawa! – warknęła pani Burrows. - Przynajmniej nie jestem taka krzykliwa jak ten twój okropny szlafrok, stara wiedźmo! – odparowała, zwilżając usta językiem i gotując się do bitwy. Nawet jeśli rzeczywiście zbliżał się koniec świata, nie zamierzała pozwolić, by ktoś odzywał się do niej w ten sposób.

Rozdział trzydziesty drugi



Drake musiał przyznać, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie jest Will. Wyrzucał sobie, że nie zauważył, kiedy chłopiec oddalił się od grupy. To Chester dostrzegł jego sygnał, gdy w popłochu uciekali do tunelu. W tamtej chwili, pod ostrzałem snajperów, zdążył jedynie odpowiedzieć zabłąkanemu chłopcu w ten sam sposób, zapalając na moment latarkę. Myślał wtedy tylko o tym, by zabrać wszystkich do jakiejś bezpiecznej kryjówki z dala od Graniczników.

Will nie znał jeszcze okolicy, a Drake nie znał go na tyle dobrze, by domyślić się, dokąd mógł pójść – w przypadku Elliott sprawa byłaby prosta. Nie, Drake nie miał zielonego pojęcia, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Szli teraz wszyscy krętym tunelem, Cal włókł się gdzieś na końcu pochodu, a Elliott kręciła się z przodu. Drake próbował raz jeszcze postawić się w sytuacji Willa, wyrzucić z pamięci wszystkie lata doświadczeń i spojrzeć na świat oczami kompletnego nowicjusza. Myśl jak ignorant.

Starał się odtworzyć sposób rozumowania Willa. Kompletnie zaskoczony i przerażony, w pierwszym odruchu próbowałby zapewne ich dogonić. Zrozumiawszy, że jest to niemożliwe, wybrałby pewnie najbardziej oczywiste rozwiązanie i wszedł do najbliższego korytarza. Ale niekoniecznie.

Drake wiedział, że chłopiec nie miał przy sobie niczego, żadnego jedzenia ani wody, być może próbował więc wrócić po swoje rzeczy,

lekceważąc strzały snajperów. Ale i tak nic by mu z tego nie przyszło – Drake postanowił nie zostawiać jego kurtki i plecaka w prezencie dla Styksów.

Czy pobiegł w takim razie w głąb jednego z korytarzy powulkanicznych? Jeśli tak, to sytuacja wyglądała naprawdę nieciekawie. Mógł wybrać jeden z setek tuneli ciągnących się wzdłuż równiny, które łączyły się z kolei i przeplatały z masą innych przejść, tworząc prawdziwy i niezbadany labirynt. Drake nie mógłby w żaden sposób przeprowadzić akcji poszukiwawczej na tak olbrzymim obszarze – trwałoby to kilka tygodni, jeśli nie miesięcy, a poza tym w ogóle nie wchodziło w grę ze względu na stałe zagrożenie ze strony patroli Graniczników.

Drake zacisnął pięści, sfrustrowany.

Niedobrze. Nic nie przychodziło mu do głowy.

„Rusz mózgownicą” – ponaglał się w myślach. Co jeszcze mógł zrobić?

A może...

... może jednak Will nie wszedł do najbliższego tunelu, ale został na równinie, wędrując wzdłuż wygiętego w łuk skalnego obrzeża, za którym mógł się przynajmniej skryć przed kulami snajperów.

Może Drake był zbyt wielkim optymistą, liczył jednak na to, że Will postąpił właśnie w ten sposób, dlatego też prowadził teraz Elliott i Cala w głąb równiny. Miał nadzieję, że chłopak postanowił pójść tam,, gdzie widział ich po raz ostatni, a potem po prostu kontynuował marsz, uciekając przed Granicznikami. Jeśli rzeczywiście tak zrobił i jeśli Styksowie go nie złapali, to istniała niewielka szansa, że jeszcze żyje. Tak wiele tych jeśli... Drake wiedział, że najprawdopodobniej oszukuje samego siebie.

Rozwagał już i taką możliwość, że Granicznicy schwytali chłopca i właśnie go torturowali, by wydobyć od niego przydatne informacje.

Być może udało im się dzięki temu ustalić w przybliżeniu położenie bazy. Jednak Drake i tak uważał, że nadszedł czas, by się stamtąd wynieść. Byłoby mu bardzo przykro, gdyby rzeczywiście spotkał chłopca taki los; Granicznicy potraktowaliby go tak jak każdego innego więźnia i wyciągnęliby zeń wszystko, używając straszliwych metod. Nawet najsilniejsi się poddawali wcześniej czy później. Był to los wielokroć gorszy od zwykłej śmierci.

Cał kuśtykał powoli za Drakiem, roztrącając kamienie zalegające na dnie tunelu. Za głośno. Chrzęst kamieni niósł się echem w głąb korytarza. Drake miał już skarcić chłopca, kiedy tknięty nagłą myślą, omal sam się nie potknął. Trzech nowych członków zespołu, potrójna odpowiedzialność... i to wszystko jednocześnie! Co on sobie właściwie wyobrażał, i to w sytuacji, gdy Granicznicy kręcili się po całej równinie, wyskakując raz tu, raz tam, jak diabeł z pudełka?

Nie był świętym wędrowcem, ratującym zagubione dusze wygnane z Kolonii. Więc o co mu chodziło? O wypaczoną iluzję szlachetności? Czego się spodziewał – że ci trzej chłopcy utworzą jego prywatną armię, kiedy dojdzie do bitwy z Granicznikami?

Nie, to było absurdalne. Powinien był wysłać pozostałą dwójkę na tamten świat, a zostawić tylko jednego – Willa – który ze względu na sławną matkę i znajomość Górnoziemia mógł odegrać ważną rolę w jego planach na przyszłość. A teraz go stracił.

Cał znów się potknął i opadł na kolana z tłumionym jękiem. Drake przystanął i odwrócił się do niego.

– To ta moja noga – oświadczył Cał, nim Drake zdążył się odezwać.
– Dam sobie radę.

– Natychmiast podniósł się z ziemi i ruszył naprzód, opierając się ciężko na łasce.

Drake zamyślił się na chwilę.

– Nie, nie dasz sobie rady. Muszę cię gdzieś ukryć – powiedział

zimnym, nieobecnym tonem. – Popełniłem błąd, zabierając cię tutaj... Zbyt wiele od ciebie oczekiwałem. – Postanowił już wcześniej, że zostawi Chestera i Cala w strategicznych punktach, na wypadek gdyby pojawił się tam Will. Teraz wiedział już, że powinien był zostawić wcześniej Cala, a zabrać ze sobą Chestera. Albo zostawić ich obu.

Tymczasem Cal szedł dalej, choć w jego głowie panował coraz większy zamęt.

Dosłyszał w głosie Drake'a zimne, twarde nuty, które natychmiast rozbudziły uśpione obawy i zepchnęły inne myśli na dalszy plan. Przypomniał sobie słowa Willa, ostrzeżenie przed tym, że Drake nie zabiera pasażerów. Chłopiec obawiał się coraz bardziej, że wkrótce dojdzie do takiej właśnie sytuacji.

Mężczyzna wysforował się do przodu i po ostatnim ostrym zakręceniu tunelu znaleźli się z powrotem na Wielkiej Równinie.

– Trzymaj się blisko mnie i przygaś latarkę – polecił Calowi.



Will zrobił jeszcze kilka kroków i musiał się zatrzymać, zastanawiając się, czy nie śni. A jednak wszystko wydawało się całkiem realne. By umocnić się w tym przekonaniu, pochylił się i podniósł drobny kamień, dotykając jego gładkiej, wypolerowanej powierzchni. Wyprostował się szybko, gdy jego twarz obmyła delikatna bryza. Czuł wiatr!

Podjął przerwany marsz w dół pochyłości i po chwili usłyszał cichy plusk. Choć owiewał go ciepły podmuch, na jego ciele pojawiła się nagle gęsia skórka. Wiedział, co to za dźwięk. Woda. Ogromna połać wody... tam, w ciemności, niewidoczna i przerażająca – budziła najgorsze spośród ukrytych lęków.

Szedł dalej maleńkimi kroczkami, aż drobne kamienie ustąpiły miejsca czemuś innemu – piaskowi, drobnemu, sypkiemu piaskowi. Zrobił jeszcze kilka kroków, aż jego stopa zanurzyła się z pluskiem w

jakiejś cieczy. Przykucnął i wyciągnął przed siebie ręce, wkładając je do zbiornika. To była woda, letnia woda. Wzdrygnął się.

Wyobraził sobie rozciągający się przed nim olbrzymi, ciemny przestwór. Instynkt próbował odepchnąć chłopca, kazał mu zawrócić i uciekać. Jednak Will tak bardzo potrzebował wody, że zignorował jego głos. Wciąż siedząc w kucki, nabrał trochę płynu w dłonie i podniósł do twarzy. Pociągnął nosem, raz i drugi. Woda była zupełnie pozbawiona zapachu. Przystawił dłonie do ust i napił się.

Natychmiast zaczął pluć i opadł na wilgotny piasek. Wyschnięte usta i gardło paliły go żywym ogniem. Zaczął kasłać i charczeć. Gdyby miał czym, na pewno by zwymiotował. To była solanka, słona woda. Wiedział, że nawet gdyby się zmusił i wypił jej trochę, wykończyłaby go, jak tych rozbitków w łódce, o których kiedyś czytał. Umarli z pragnienia na środku Atlantyku.

Słuchał przez chwilę letargicznego chlupotu wody, a potem podniósł się powoli.

Zastanawiał się, czy powinien wrócić do korytarzy powulkanicznych. Nie potrafił jednak zmusić się do tego – nie po tylu godzinach spędzonych w ich wnętrzu. Poza tym nie miał prawie żadnych szans, by odnaleźć drogę powrotną na Wielką Równinę, a nawet gdyby mu się to udało i przetrwałby tę wędrówkę, cóż by tam znalazł?

Delegację powitalną Styksów? Nie, nie pozostało mu nic innego, jak tylko iść wzdłuż wody, choć cichy chlupot bez ustanku drażnił się z jego umysłem i wzmagął dręczące pragnienie.

Piasek przesuwiał się pod stopami chłopca przy każdym kroku, utrudniając marsz i pozbawiając wędrowca resztek energii. Po chwili Will zrozumiał, że nie potrafi już zebrać myśli. Jego umysł dryfował, unoszony falami zmęczenia i głodu. Mimo to próbował się skupić. Jak duży mógł być ten zbiornik wodny? Czy chodził wokół niego,

zataczając wielkie koło? Próbował sobie wmawiać, że wcale nie ma takiego wrażenia. Był niemal pewien, że posuwa się do przodu w linii prostej.

Jednak z każdym krokiem pogrązał się coraz głębiej i głębiej w stan pełnego rezygnacji otępienia. W końcu westchnął przeciągle i osunął się na piasek, świadom, że być może nigdy już z niego nie wstanie. Pewnego dnia, w przyszłości, ktoś odkryje jego szczątki, wysuszone zwłoki w samotnej ciemności. Co za ironia losu: umrze z pragnienia, leżąc obok podziemnego morza. Może jacyś padlinożercy rozszarpiają jego ciało, a kości wystawać będą z piachu niczym szkielet wielbłąda na pustyni. Wzdrygnął się na tę myśl.

Will nie wiedział, jak długo leżał na plaży, pogrążony w niespokojnym, przerywanym śnie. Kilkakrotnie próbował przekonać samego siebie, że powinien wstać i podjąć przerwany marsz, był jednak zbyt zmęczony, by znów włączyć się bez celu.

Pomyślał, że może po prostu pozwoli sobie zanurzyć się w ten ostatni sen. Ułożył się wygodniej na piasku, odwracając głowę w kierunku, w którym, jak mu się wydawało, powinien dalej iść. Zamrugał kilkakrotnie, przesuwając powiekami po wyschniętych oczach i mimowolnie spojrzął do tyłu.

Mógłby przysiąc, że kiedy to zrobił, dojrzał nikły, niewyraźny błysk. Natychmiast uznał, że to tylko przywidzenie, nie przestawał jednak wpatrywać się w to samo miejsce. Potem zobaczył go po raz drugi, maleńką, odległą iskierkę. Podniósł się z ziemi i zaczął biec w tamtą stronę. Wkrótce zostawił za sobą piaszczysty brzeg i wszedł na grzechoczące kamienie. Potknął się i runął jak długi. Wstając, przeklinał własną niezdarność, bo stracił orientację i nie miał pojęcia, gdzie szukać tajemniczego światła. Gdy rozejrzał się dokoła, dostrzegł je po raz kolejny.

Na pewno nie był to wytwór jego zmęczonego umysłu był

przekonany, że świetlisty punkt należy do rzeczywistości, a na dodatek jest całkiem blisko. Wiedział, że może to oznaczać obecność Styksów, ale było mu już wszystko jedno. Pragnął światła tak mocno jak duszący się człowiek powietrza.

Zachowując nieco większą ostrożność niż do tej pory, zaczął pełznąć po kamieniach.

Widział już, że światło, a właściwie nieregularne błyski, wydobywa się z korytarza powulkanicznego. Gdy podpełzł bliżej, przekonał się również, że choć blask raz słabnie, to znów przybiera na sile, wypełnia nieustannie wnętrze tunelu. Dotarł w końcu do wejścia i wyjrzał ostrożnie zza rogu.

Zobaczył kształty bez formy, odcienie bez kolorów. Musiał zdobyć się na ogromny wysiłek, by przypomnieć sobie, jak używa się oczu. Powtarzał też w myślach raz za razem, że to, co przed sobą widzi, to rzeczywistość, a nie wytwór jego zmęczonego umysłu.

Przez kilka sekund mrugał szybko, próbując sprowadzić dwie linie widzenia w jedno miejsce i sprawić, by wirujące chaotycznie obrazy wreszcie znieruchomiały. Po chwili rozmazane kształty połączyły się ze sobą, tworząc spójną całość.

– ŚWINIO! – wychrypiał. – TY CHOLERNA ŚWINIO!

– Co...? – krzyknął z przerażeniem Chester, siadając prosto i wypluwając jedzenie.

Zerwał się na równe nogi. -Kto...?

Will znów widział. Jego oczy syciły się światłem, rozkoszowały kształtami i barwami. Niecałe dziesięć metrów dalej stał Chester. W jego dłoni tkwiła latarka, a między nogami leżał otwarty plecak. Jadł właśnie posiłek, wpychał łapczywie jedzenie do ust, zbyt pochłonięty tą czynnością, by usłyszeć nadchodzącego Willa.

Will ruszył chwiejnym krokiem w stronę przyjaciela, przepełniony radością, której nie da się opisać. Usiadł, a właściwie upadł ciężko

obok Chestera patrzącego na niego tak, jakby zobaczył ducha. Chester miał już coś powiedzieć, gdy Will wyrwał mu z rąk latarkę i zamknął ją w dłoniach.

– Bogu dzięki – powtórzył kilkakrotnie chrapliwym głosem, który znacznie różnił się od normalnego, wpatrując się przy tym prosto w łunę latarki. Blask był tak jasny, że chłopak musiał mrużyć obolałe oczy, ale w tej chwili chciał jedynie pławić się w świetle, nacieszyć nim do woli.

Chester otrząsnął się wreszcie ze zdumienia.

– Will... – zaczął.

– Wody – wychrypiał Will. – Daj mi wody! – próbował krzyknąć, gdy Chester nie zareagował na tę prośbę, nie był bowiem w stanie. Z jego gardła wydobył się jedynie słaby, jękliwy skrzek przypominający głośne westchnienie. Will wskazał ręką.

Chester zrozumiał wreszcie, czego chce przyjaciel, i podał mu manierkę.

Will nie mógł poradzić sobie z zakrętką; drapał w nią niezdarnie. Wreszcie odskoczyła z cichym trzaskiem, a chłopiec natychmiast przystawił naczynie do ust, przełykając łapczywie słodki płyn i próbując jednocześnie oddychać. Woda lała się wszędzie, spływała mu po brodzie i piersiach.

– O kurde, Will, myśleliśmy, że już po tobie! – przemówił wreszcie Chester.

– Typowe – wydyszał Will pomiędzy kolejnymi łykami. -Umieram z pragnienia... – przełknął, czując, jak woda przywraca do życia jego struny głosowe – ... a ty się opychasz. – Czuł się odmieniony, uszczęśliwiony; długie godziny spędzone w ciemności dobiegły wreszcie końca, znów był bezpieczny. Uratowany. – Cholernie typowe!

– Wyglądasz naprawdę okropnie – oznajmił cicho Chester.

Twarz Willa, zawsze blada ze względu na albinizm, teraz wydawała się jeszcze bledsza, pokryta cienką warstwą kryształków soli, które zgromadziły się wokół jego ust i brwi, a także na policzkach.

– Dzięki – wymamrotał wreszcie Will, pociągając ostatni łyk.

– Dobrze się czujesz?

– Po prostu kapitalnie – odparł Will sarkastycznie.

– Jak tutaj trafiłeś? – pytał dalej Chester. – Gdzie byłeś przez cały ten czas?

– Wolałbyś nie wiedzieć – odparł Will. Jego głos wciąż był zachrypnięty, a słowa ledwie zrozumiałe. Spojrzał w głąb tunelu za plecami Chestera. – Drake i reszta...

gdzie oni są? Gdzie jest Cal?

– Poszli cię szukać. – Chester pokręcił głową z niedowierzaniem. – Kurde, Will, jak dobrze znowu cię widzieć. Myśleliśmy, że cię złapali albo zastrzelili, albo...

– Nie tym razem – odparł Will i zaczerpnąwszy powietrza, przypuścił kolejny atak na manierkę, opróżniając ją chciwie, aż pochłonął ostatnią kroplę. Beknął z zadowoleniem, rzucił naczynie na ziemię i po raz pierwszy dostrzegł wyraz troski na twarzy przyjaciela. Chester wciąż trzymał przed sobą sztywno wyprostowaną rękę, a w niej ścisnął jakieś jedzenie. Dobry, stary Chester. Will nie mógł powstrzymać śmiechu, najpierw był to tylko cichy chichot, potem jednak przybierał na sile, aż zamienił się w histeryczny rechot, który sprawił, że Chester mimowolnie odsunął się na bok. Gardło Willa wciąż było wysuszone, a wydobywający się z niego głos brzmiał niepokojąco chrapliwie.

– Will, o co chodzi? Co się stało?

– Nie przeszkadzaj sobie – zdołał wykrztusić chłopiec, nim znów zaniósł się głośnym, dziwnym śmiechem.

Chester coraz bardziej martwił się o przyjaciela.

– To nie jest zabawne – powiedział, opuszczając w końcu rękę zjedzeniem. Widząc, że Will wciąż zanosi się zduszonym, chrapliwym chichotem, dodał z powagą i oburzeniem zarazem: – Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Naprawdę.

Potem na jego brudnej twarzy i ustach oblepionych drobinami jedzenia pojawił się wreszcie prawdziwy szeroki uśmiech. Znow pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Poddaję się. Jesteś naprawdę zdrowo kopnięty, nie ma co. – Wskazał na torebkę leżącą w otwartym plecaku. – Częstuj się. Na pewno umierasz z głodu.

– Dzięki – odparł Will z wdzięcznością.

– Nie ma za co. Zresztą to i tak twoje jedzenie, bo to twój plecak. Drake zabrał te rzeczy, kiedy zaczęliśmy uciekać.

– Cieszę się, że zatroszczyłeś się o moje jedzenie. Jeszcze by się popsuło! – Will roześmiał się ponownie i lekko uderzył Chestera w ramię.

W tej chwili czuł, że znow są sobie naprawdę bliscy, i było mu z tym dobrze.

– Wiesz... wyczerpały mi się baterie w latarce. Nie miałem nawet światła. Myślałem, że już po mnie – zwierzył się przyjacielowi.

– Co? Więc jak się tu dostałeś? – zdumiał się Chester.

– Zjechałem windą... – parsknął Will. – A jak myślisz, jak mogłem się tu dostać? Po prostu przyszedłem.

– A niech to! – wykrzyknął Chester, ponownie kręcąc głową.

Will spojrzał na twarz przyjaciela, na jego szeroki, trochę niedorzeczny uśmiech, który przywodził mu na myśl chwilę, gdy spotkali się w Pociągu Górników.

Wówczas widział tę samą głupkowato radosną minę, i choć od tego czasu minęły zaledwie dwa miesiące, miał wrażenie, że była to cała

wieczność. Tak wiele się wydarzyło, tak wiele się zmieniło.

– Wiesz – zwrócił się do Chestera – pomyślałem nawet, że wolałbym wrócić do szkoły, niż zrobić to jeszcze raz.

– Aż tak źle? – spytał przyjaciel z udawaną powagą.

Will skinął głową i powiódł spuchniętym językiem po wargach, uświadamiając sobie z radością, że znów czuje w ustach smak śliny. Miał wrażenie, że woda napełnia życiem jego ciało, odświeża zmęczone kończyny.

Wciąż trzymał w dłoni latarkę i sycił się jej światłem, spoglądając na nie spod przymrużonych powiek.

Gdzieś w tle rozbrzmiewał głos Chestera, który opowiadał mu o czymś z przejęciem.

Will był jednak zbyt zmęczony, by zrozumieć jego słowa. Powoli oddawał się słodkiemu rozleniwieniu, pozwalając, by głowa oparła się o znajdującą się z tyłu ścianę. Nogi chłopca drgnęły kilkakrotnie, jakby nie mogły wyrwać się z rytmu nieustannego mozolnego marszu i próbowały nieść go dalej.

Po chwili zamarły w bezruchu, a Will pogrzyżył się w niebycie, nieświadom straszliwego splotu wydarzeń, jakie rozgrywały się w tej samej chwili na Wielkiej Równinie.

Rozdział trzydziesty trzeci



Cal skupiał się wyłącznie na marszu, kiedy więc podniósł wzrok, dopiero po kilku sekundach ogarnął umysłem widok rozciągający się przed jego oczami.

Szedł wraz z Drakiem wzdłuż krawędzi Wielkiej Równiny, jednak wcale nie było tu poszarpanej skalnej ściany, którą spodziewał się zobaczyć. W jej miejscu wznosiła się pionowa, idealnie gładka powierzchnia, sięgająca od dna po sam sufit jaskini.

Wyglądało to tak, jakby ktoś po prostu zakrył, zamurował miejsce, gdzie równina łączyła się ze skalnymi ścianami. Tajemnicza bariera, zbyt idealna, by mogła być dziełem natury, ciągnęła się tak daleko, jak tylko sięgał promień jego latarki, i znikła w mroku. Chłopiec tak bardzo przyzwyczał się do nieregularnych, poszarpanych powierzchni skalnych, że ów widok był dlań prawdziwym szokiem.

Podszedł bliżej i dotknął ściany. Okazała się twarda i szara, choć nie tak idealnie równa, jak mu się wydawało. Widział teraz, że miejscami jest mocno podziurawiona, a tu i ówdzie brakuje całkiem sporych fragmentów. Świadczyły o tym wgłębienia, pod którymi ciągnęły się rdzawe podłużne plamy.

To był beton. Olbrzymia betonowa ściana – ostatnia rzecz, którą spodziewałby się znaleźć na tym pustkowiu. Dwadzieścia minut nieprzerwanego marszu wzdłuż niesłychanej konstrukcji uświadomiło mu, jaka jest olbrzymia. W pewnej chwili Drake przykazał Calowi gestem, by się zatrzymał. Wskazał na prostokątny otwór w

powierzchni ściany, znajdujący się prawie półtora metra nad ziemią. Pochyliwszy się ku chłopcu, wyszeptał: – Kanał wejściowy.

Cal podniósł latarkę, by się lepiej przyjrzeć.

Drake natychmiast złapał go za rękę i pchnął ją w dół.

– Trzymaj to przy ziemi, głupcze! Chcesz zdradzić naszą pozycję?

– Przepraszam – odparł Cal, obserwując, jak Drake wsuwa rękę do mrocznego otworu i za coś pociąga. Potem rozległo się przytłumione skrzypienie, a w głębi tunelu otworzyły się zardzewiałe żelazne drzwiczki.

– Ty pierwszy! – rozkazał Drake.

Cal zerknął na złowrogą ciemność i przełknął ślinę.

– Chcesz, żebym tam wszedł? – spytał.

– Tak – warknął Drake. – To bunkier. Stoi pusty od lat. Nic ci nie będzie.

Cal pokręcił głową.

– Nic mi nie będzie, akurat! Nie chcę tego robić, nie chcę tego robić! – mruczał pod nosem. Korzystając z pomocy Drake'a, wdrapał się powoli do kanału i zaczął się czołgać.

Promień jego latarki wydobywał z ciemności kolejne metry regularnego tunelu, a dłonie raz po raz zanurzały się w kilkucentymetrowej warstwie pyłu zalegającego na dnie. Słyszał wyraźnie własny oddech, co tylko wzmagало nieprzyjemne uczucie ograniczenia, zamknięcia. Cal miał wrażenie, że dusi się w ciasnym, pozbawionym powietrza pomieszczeniu. Jak szczur w klatce. Od czasu do czasu przystawał, wyciągał do przodu rękę i stukał laską w ściany tunelu, by sprawdzić, czy droga jest wolna. Podczas tych krótkich przerw pozwalał odpocząć chorej nodze, która coraz bardziej dawała mu się we znaki. Bał się, że za chwilę odmówi mu posłuszeństwa, a on utknie na dobre w korytarzu.

Mimo to po każdym postoju ruszał ponownie naprzód. Wydawało

się, że tunel ciągnie się bez końca.

– Jaką grubość mają te ściany? – spytał głośno.

Po chwili, gdy znów przystanął i wyciągnął rękę, jego laska trafiła na pustą przestrzeń. Przesunął się odrobinę do przodu i spróbował raz jeszcze. Pustka – doszedł do końca. Instynktownie wyczuwał to już wcześniej, bo powietrze miało inną woń – zapach pleśni, wilgoci i wieloletniego zaniedbania.

– Obmacał ręką krawędź otworu, a potem ostrożnie spuścił nogi na dół. Gdy stanął już bezpiecznie na ziemi, włączył latarkę i poświecił przed siebie. Omal nie krzyknął ze strachu, ujrzawszy jakąś sylwetkę wynurzającą się z cienia. Podniósł laskę, gotów bronić się do upadłego.

– Cicho – ostrzegła go Elliott, a Cal poczuł się strasznie głupio. Całkiem zapomniał, że Elliott, jak zawsze, szła przodem, sprawdzając drogę.

Drake zeskoczył bezgłośnie z krawędzi tunelu, podszedł do Cala i pchnął go lekko do przodu. Wszyscy bez słowa ruszyli dalej.

Znaleźli się w małym, zupełnie pustym – jeśli nie liczyć kilku kałuż – pomieszczeniu, po czym bezzwłocznie przeszli do miejsca znacznie przestronniejszego. Tam odgłos ich kroków budził stłumione echo, kiedy ostrożnie stąpali po podłodze wyłożonej linoleum lub czymś podobnym. Materiał ten miał jasną barwę i niegdyś zapewne był biały, teraz jednak pokrywały go plamy brudu i sterty gnijących, cuchnących śmieci.

Kiedy Cal i Drake przystanęli na moment, by Elliott zbadała teren z przodu, chłopiec poświecił dokoła latarką i przekonał się, że znajdują się w długim pokoju. Pod ścianą stało biurko, a boczne skały poznaczone były zielonymi i brunatnymi plamami wilgoci. Tu i ówdzie wyrastały z nich kępy grzybów, przypominające małe okrągłe półeczki. Niedaleko miejsca, w którym stał Cal, znajdowały się

prawdziwe półki, wypełnione zniszczonymi teczkami i dokumentami.

Woda spływająca po ścianach zamieniła papier w bezkształtną, płynną papkę, która wylewała się na podłogę, tworząc małe kopczyki papierowej masy.

Doczekawszy się sygnału od Elliott, Drake szepnął do Cala, by podążał dalej.

Przeszli przez otwarte drzwi i znaleźli się w wąskim korytarzu. Początkowo chłopiec myślał, że niewyraźny połysk, który dostrzegł na ścianach, to warstwa okrywającej je wilgoci, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że przechodzi między olbrzymimi szklanymi zbiornikami. Blask latarki nie sięgał daleko poza oblepione glonami szkło, chłopcu wydawało się jednak, że w wodzie unoszą się jakieś przedziwne, groteskowe kształty. Nagle dojrzał w szklanej tafli swoje odbicie. Gdy podszedł bliżej, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Nie! To wcale nie było jego odbicie, a trupio blada ludzka twarz przyciśnięta do szkła. Oczy upiornego oblicza były zapadnięte, a skóra podziurawiona, jakby coś wyjadło ją od środka. Cal wzdrygnął się i odwrócił szybko, nie spoglądając więcej w tamtą stronę.

Wyszli z za rogu, mijając ostatni szklany pojemnik, i przekonali się, że drogę blokują olbrzymie płyty popękane betonu. Ściany i sufit były zawalone. Gdy Cal myślał już, że będą musieli zawrócić, Drake poprowadził go w ciemność za rumowiskiem, gdzie ułożone pod kątem sklepienie prowadziło ku zniszczonej klatce schodowej o powyginanych, poskręcanych barierkach. Przeczolękali się pod betonową płytą i w dół rozsypujących się schodów, gdzie już czekała na nich Elliott.

Ich nozdrza wypełnił paskudny, ciężki smród zgnilizny. Cal myślał, że dotarli już do samego dna, jednak Elliott zrobiła jeszcze kilka kroków w dół i weszła w ciemną wodę. Chłopiec zawahał się na moment, lecz gdy Drake szturchnął go boleśnie w plecy, ruszył powoli

naprzód.

Woda wypełniająca korytarz sięgała mu do piersi. Plamy kurzu i tłuszczu wirowały leniwie na powierzchni falującej w rytm ich ruchów. Pod sufitem ciągnęła się warstwa ułożonych promieniście grzybów, narośle tak grube i gęste, że musiały wyrastać jedne na drugich, niczym rafa koralowa.

Z grzybów zwisały cienkie włókna, które lśniły w blasku latarki. Cała jak miliony pajęczych sieci. Smród cały czas przybierał na sile; był już tak dokuczliwy, że Cal nie mógł powstrzymać się od kasłania, choć wiedział, że zirytuje tym Drake'a. Starał się nie oddychać, jednak po chwili znów musiał wciągać w płuca wyziewy drażniące gardło i wywołujące kaszel.

Usiłując powstrzymać kolejny atak, spojrzał w dół. Z przerażeniem stwierdził, że tuż pod powierzchnią wody widać nieznaczny ruch. Poczuł, jak coś oplata się wokół jego łydki, a potem zaciska mocniej.

– O Boże! – zachłysnął się z przerażenia i rzucił do panicznej ucieczki, wymachując na oślep rękami.

– Stój! – warknął Drake, ale Cal go nie słuchał.

– Nie! – odkrzyknął. – Muszę stąd wyjść!

Rzucił się ponownie do przodu i zobaczył, że Elliott wychodzi już na schody, kilka kroków dalej. Dogonił ją i chwycił się kurczowo żelaznej barierki, która wygięła się pod jego ciężarem. Zdołał wydostać się z wody i wejść chwiejnym krokiem na stopnie. Zataczał się i potykał, uderzając laską w ściany. W głowie miał tylko jedną myśl – by wreszcie zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle ktoś złapał go za ramię i wbił mu palce w obojczyk. Chłopiec zatrzymał się raptownie i odwrócił pod naporem czyjejś dłoni.

– Nigdy więcej tego nie rób! – wycedził przez zęby Drake, niemal przystawiając twarz do twarzy Cala.

biła jeszcze kilka kroków w dół i weszła w ciemną wodę. Chłopiec

zawahał się na moment, lecz gdy Drake szturchnął go boleśnie w plecy, ruszył powoli naprzód.

Woda wypełniająca korytarz sięgała mu do piersi. Plamy kurzu i tłuszczu wirowały leniwie na powierzchni falującej w rytm ich ruchów. Pod sufitem ciągnęła się warstwa ułożonych promieniście grzybów, narośłe tak grube i gęste, że musiały wyrastać jedne na drugich, niczym rafa koralowa.

Z grzybów zwisały cienkie włókna, które lśniły w blasku latarki Cala jak miliony pajęczych sieci. Smród cały czas przybierał na sile; był już tak dokuczliwy, że Cal nie mógł powstrzymać się od kasłania, choć wiedział, że zirytuje tym Drake'a. Starał się nie oddychać, jednak po chwili znów musiał wciągać w płuca wyziewy drażniące gardło i wywołujące kaszel.

Usiłując powstrzymać kolejny atak, spojrzał w dół. Z przerażeniem stwierdził, że tuż pod powierzchnią wody widać nieznaczny ruch. Poczuł, jak coś oplata się wokół jego łydki, a potem zaciska mocniej.

– O Boże! – zachłysnął się z przerażenia i rzucił do panicznej ucieczki, wymachując na oślep rękami.

– Stój! – warknął Drake, ale Cal go nie słuchał.

– Nie! – odkrzyknął. – Muszę stąd wyjść!

Rzucił się ponownie do przodu i zobaczył, że Elliott wychodzi już na schody, kilka kroków dalej. Dogonił ją i chwycił się kurczowo żelaznej bariery, która wygięła się pod jego ciężarem. Zdołał wydostać się z wody i wejść chwiejnym krokiem na stopnie. Zataczał się i potykał, uderzając laską w ściany. W głowie miał tylko jedną myśl – by wreszcie zaczerpnąć świeżego powietrza. Nagle ktoś złapał go za ramię i wbił mu palce w obojczyk. Chłopiec zatrzymał się raptownie i odwrócił pod naporem czyjejś dłoni.

– Nigdy więcej tego nie rób! – wycedził przez zęby Drake, niemal przystawiając twarz do twarzy Cala.

Odsłonięte oko mężczyzny płonęło ledwie hamowaną wściekłością. Pchnął przerażonego chłopca na ścianę, wciąż trzymając go za ramię.

– Ale tam był... – próbował się tłumaczyć Cal. Dusił się z braku czystego powietrza i ze strachu.

– Nic mnie to nie obchodzi. Tutaj, na dole, jeden głupi wybryk może zadecydować o naszym życiu, naszym być albo nie być... Czy wyraziłem się dość jasno?

Cal skinął głową, starając się ze wszystkich sił zdławić kaszel, a Drake znów pchnął go do przodu. Weszli do kolejnego korytarza, tym razem znacznie wyższego niż przyprawiający o klaustrofobię tunel, który przed chwilą opuścili. Ściany nie były całkiem pionowe, lecz najpierw odchyłały się lekko na zewnątrz, a potem z powrotem do środka, niczym we wnętrzu jakiegoś starożytnego grobowca. Grunt był wilgotny. Od czasu do czasu buty Cala rozgniatyły z chrzęstem jakieś drobiny, jakby stąpał po rozbitym szkle.

Wkrótce dotarli do szeregu korytarzy odchodzących od obu ścian dziwnego tunelu.

Weszli do jednego z nich i po krótkim marszu znaleźli się we wnętrzu znacznie większego pomieszczenia. W gęstym mroku Cal nie widział zbyt wiele, wydawało się jednak, że sala podzielona jest na mniejsze części; las grubych betonowych przepierzeń, sięgających mniej więcej połowy odległości między podłogą a sufitem, tworzył ogromną liczbę małych zagród czy też pokoików. Przy wejściu do nich leżały sterty śmieci i stosy odłamków, wyglądem przypominających kawałki rdzewiejącego żelaza.

– Co to za miejsce? – spytał Cal, ośmieliwszy się w końcu przerwać milczenie.

– Lęgowisko.

– Lęgowisko... czego? Zwierząt? – dopytywał się Cal.

– Nie, nie zwierząt. Koprolików. Styksowie hodowali ich jak

zwierzęta, by potem wykorzystywać jako niewolników – wyjaśnił powoli Drake. – Zbudowali ten kompleks wieki temu.

Nim chłopiec zdążył zadać kolejne pytanie, Drake pchnął go do jednego z małych pomieszczeń, które na pierwszy rzut oka przypominało szpitalną salę. Podłogi i ściany pokryte były białymi płytkami, spękanymi teraz od wilgoci. Przy wyjściu stała sterta porzuconych byle jak łóżek, jakby ktoś musiał nagle przerwać pracę w trakcie wnoszenia ich na zewnątrz. Co zastanawiające, łóżka te były bardzo małe; na żadnym nie zmieściłby się nawet ktoś rozmiarów Cala, nie wspominając o dorosłych.

– Łóżka dziecięce? – spytał głośno Cal, lecz w tej samej chwili zauważył, że meble te są jeszcze dziwniejsze, niż mu się początkowo wydawało. Wznosiły się nad nimi klatki z rdzewiejących żelaznych prętów, większość była zamknięta. Trudno było odgadnąć, co lub kogo w nich więziono, w środku nie zostało bowiem nic prócz gnijących resztek materaców. – Nie dla dzieci? – dodał Cal. Był to naprawdę przerażający widok, niczym szpitalny oddział dziecięcy z jakiegoś koszmaru.

– Dla dzieci Koprolitów – odparł Drake, kiedy dogonili Elliott.

Dziewczyna pchnęła skrzydła drzwi wahadłowych. Jedno z nich zwisało na górnym zawiasie, który zaczął przeraźliwie piszczeć. Elliott natychmiast unieruchomiła hałaśliwe skrzydło.

Cal i Drake weszli za nią do sąsiedniego korytarza. Wzdłuż ścian ciągnęły się krzywe wypaczone półki. Wypełniał je różnorodny, tajemny sprzęt, który zdążył już zniszczyć do tego stopnia, że okrywająca go rdza lub śniedź zlały się w całość z powierzchnią półek. Cal spojrzał niżej, na stojącą na podłodze maszynę wyposażoną w gnijące miechy i cztery szklane cylindry, wystające ponad jej górną część. Obok znajdowało się coś, co wyglądem przypominało pompę nożną.

Cal ponownie uniósł wzrok i zauważył drewnianą półkę, na której leżały ostre metalowe narzędzia różnych rozmiarów i kształtów, w większości mocno już przerdzewiałe. Obok wisiał wykres czy też tabela. Choć pleśń zniszczyła większą część powierzchni, tu i ówdzie widać było jeszcze zagadkowe rysunki i dziwne napisy. Cal nie miał pojęcia, co mogą oznaczać, nie miał też czasu, by się zatrzymać i przyjrzeć im uważniej.

Brodząc w kałużach brudnej wody, wędrowcy pokonywali kolejne wąskie korytarze.

Większość z nich była całkiem pusta, nie licząc gęstwiny umieszczonych tuż pod suhtem rur, z których zwisały resztki izolacji i liczne pajęczyny.

Po jakimś czasie weszli do pokoju w kształcie litery L, zastawionego od podłogi po sufit dużymi szklanymi cylindrami o średnicy dochodzącej nawet do metra. Kiedy Cal czekał z Drakiem na sygnał od Elliott, jego uwagę przykuł dziwny przedmiot, zamknięty w słoju znajdującym się najbliżej niego.

Początkowo chłopiec nie domyślał się nawet, na co patrzy, później jednak zrozumiał, że jest to ludzka głowa w przekroju. Została precyzyjnie przecięta od samego wierzchu czaszki aż po kark, tak że mózg i cała reszta jej zawartości były doskonale widoczne. Wyglądało to tak nierealnie, że Cal nie potrafił sobie nawet wyobrazić, iż kiedyś był to żywy człowiek. Niezrażony, spojrzął na słoje z drugiej strony. Kiedy blask latarki przedarł się przez gęsty żółtawy płyn, chłopiec zobaczył otwarte oko i lekki zarost na białej skórze mężczyzny, jakby tuż przed śmiercią człowiek ten zapomniał się ogolić.

Cal aż zachłysnął się z wrażenia. Teraz wyglądało to już wystarczająco realnie.

Widok był tak upiorny, że Cal natychmiast odwrócił wzrok. Wówczas jednak jego oczom ukazały się przedmioty zamknięte w

innych słojach, równie – jeśli nie bardziej – przerażające. W żółtej cieczy unosiły się straszliwie zdeformowane embriony, niektóre całe, niektóre częściowo rozcięte, gdzie indziej zaś całe noworodki w przeróżnych pozach, unieruchomione na wieczny czas drutem przymocowanym do szkła. Cal zauważył, że jedno z dzieci nawet ssie kciuk. Gdyby nie cienka, niemal przezroczysta skóra, przez którą widać było siatkę maleńkich niebieskich żyłek, można by pomyśleć, że maluch po prostu śpi.

Przeszli cicho do kolejnego pomieszczenia, obszernej sali w kształcie ośmiokąta, zdominowanej przez wielki, porcelanowy blok ustawiony na samym środku.

Przezroczysty postument opasany był skorodowanymi metalowymi paskami, które niegdyś przytrzymywały zapewne nieszczęśników ułożonych na jego powierzchni.

– Rzeźnicy! – mruknął Drake.

Pośród pyłu i odłamków szkła Cal zauważył narzędzia rozrzucone po podłodze. Były wśród nich skalpele, olbrzymie szczypce oraz inne dziwne przyrządy medyczne.

– O nie... – wyszeptał chłopiec, przeszyty lodowatym dreszczem. Choć pokój nie zawierał żadnych słoików i okropności, na które napatrzył się już wcześniej, panowała w nim przerażająca atmosfera. Miało się wrażenie, że w powietrzu wciąż unoszą się echa straszliwych krzyków, ludzkiego bólu i cierpienia, makabrycznych zbrodni, których przed laty dokonywano w tych ścianach.

– To miejsce pełne jest duchów – stwierdził Drake, wypowiadając na głos to, o czym myślał Cal.

– Tak – odparł chłopiec, drżąc na całym ciele.

– Nie martw się, nie zatrzymujemy się tu – zapewnił go Drake, po czym obaj przeszli do kolejnego, większego korytarza. Przypominał jeden z tuneli, którym szli już poprzednio; miał specyficzne ukośne

ściany. Posuwali się w głąb przejścia, dopóki Drake nie nakazał chłopcu, by się zatrzymał. Cal miał wrażenie, że odgłos ich kroków brzmi nieco inaczej, czuł też delikatny powiew wiatru na twarzy. Przypuszczał, że dotarli na drugą stronę bunkra. Oparł się ciężko na drewnianej lasce, zadowolony, że może wreszcie dać odpocząć chorej nodze. Starał się nie wracać myślami do tego, co właśnie zobaczył.

Drake nasłuchiwał przez chwilę i patrzył w ciemność przez soczewkę zagrywającą mu oko, aż w końcu włączył czołówkę, ustawiając najśłabsze światło. Cal spostrzegł z ulgą, że rozciągający się przed nimi obszar z pewnością nie jest dziełem człowieka.

Była to okrągła jaskinia o średnicy około dziesięciu metrów i nierównym, skalnym podłożu. Cal naliczył w ścianach komnaty około dziesięciu korytarzy powulkanicznych, które odchodziły w różnych kierunkach.

– Schowaj się w jednym z tych tuneli, Cal – szepnął Drake i wchodząc do jaskini, zatoczył krąg ręką. Elliott została z tyłu, przykucając obok wejścia do bunkra.

Drake zauważył, że Cal nie idzie za nim.

– Może byś się ruszył, co? – Chłopiec jęknął i powlókł się w jego stronę. – Elliott i ja się rozdzielimy i pójdziemy szukać Willa, ale ty zostaniesz tutaj. Niewykluczone, że Will przejdzie właśnie tędy – wyjaśnił Drake, dodając cicho: -... jeśli już nie przechodził.

Cal zrobił ledwie kilka kroków, gdy za jego plecami rozległo się ciche syknięcie.

Zatrzymał się. Elliott wciąż kucała przy wejściu do bunkra, opierając strzelbę o krawędź tunelu.

Drake przystanął, ale nie odwrócił się w jej stronę.

– Wracaj! – zawołała Elliott przytłumionym szeptem, nie podnosząc wzroku znad strzelby.

– Ja? – spytał Cal.

– Tak – potwierdziła, uważnie obserwując przez lunetę wnętrze jaskini i odchodzące od niej korytarze.

Choć chłopak nie miał pojęcia, co się dzieje, wrócił posłusznie do Elliott.

Dziewczyna odsunęła na chwilę oko od lunety i podała Calowi dwa cienkie pistolety rurowe. Przyjął je bez słowa, zdumiony nagłą zmianą w planach Drake'a, i nisko pochylony, wycofał się w głąb korytarza, za plecy Elliott.

Ukryty w tunelu Cal widział sylwetkę Drake'a stojącego nieruchomo pośrodku jaskini. Lekkie podmuchy wiatru poruszały klapy jego kurtki. Nie wyłączył czołówki i mimo że jej blask nie był silny, wydobywał z ciemności kilka pobliskich głazów i występów skalnych, które rzucały ostre, poszarpane cienie na ściany jaskini.

Wydawało się, że dokoła panują całkowity spokój i cisza.

– Masz coś? – spytał Drake cicho, zwracając się do Elliott.

– Tak – odparła powoli. – Przecucie – dziewczyna mówiła ze śmiertelną powagą.

Dziwnie spięta, jakby gotowa do skoku, przyciskała strzelbę do twarzy i przesuwiała lufę od tunelu do tunelu. Jednym płynnym ruchem wyjęła z paska jeszcze kilka pistoletów i szybko ułożyła je na ziemi obok siebie.

Cal zmrużył oczy, próbując dojrzeć, co właściwie jest przyczyną tego zamieszania.

Wciąż nic się nie działo. Nie rozumiał tego.

Mijały kolejne sekundy.

Było tak cicho, że Cal zaczął się uspokajać. Nie widział nic, co mogłoby stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Był pewien, że to fałszywy alarm i że zarówno, Drake, jak i Elliott trochę przesadzają. Bolała go noga, zmienił więc pozycję, zastanawiając się, czy nie mógłby normalnie wstać.

Nagle Drake odwrócił się do Elliott.

– Uważaj... niewidzialny człowiek stoi przy drzwiach oświadczył głośno, nie starając się już nawet zachowywać środków ostrożności.

– Powiedz mu, że go nie widzę – wyszeptała Elliott w odpowiedzi. Przesunęła lufę strzelby w stronę innego tunelu i zastygła w bezruchu, jakby do czegoś mierząc, w końcu jednak skierowała broń z powrotem na Drake'a.

– Tak – wymamrotała, kiwając głową i patrząc na niego przez lunetę. – To ja powinnam być na twoim miejscu. To ja powinnam tam stać, nie ty.

– Nie, tak jest lepiej – odrzekł rzeczowo Drake i odwrócił się od niej.

– Żegnaj – powiedziała Elliott zduszonym głosem. Minęło kilka sekund, długich niczym wieki, nim Drake jej odpowiedział.

– Żegnaj, Elliott – powiedział krótko, robiąc krok do tyłu. W tym momencie rozpętało się piekło.

Z tuneli wysypali się Granicznicy z karabinami w dłoniach. Sposób, w jaki się poruszali, przywodził na myśl rój owadów. Wydawało się, że ich ciemne maski i brązowe płaszcze wypływają prosto z mroku korytarzy, jakby stanowiły jego przedłużenie, macki ciemności. Żołnierzy było tak wielu, że Cal nawet nie próbował ich liczyć. Po chwili ustawili się w równym półkolu przed wejściem do tuneli.

– RZUĆCIE BRONŃ! – rozkazał piskliwy, nieprzyjemny głos.

– PODDAJCIE SIĘ! – dodał inny.

Jak jeden mąż zaczęli posuwać się naprzód.

Serce zamarło Calowi w piersiach. Z jakiegoś niewiadomego powodu Drake nie próbował uciekać ani się chować, lecz tkwił dokładnie tam, dokąd szli Styksowie.

Potem zrobił jeszcze jeden krok do tyłu.

Cal usłyszał pojedynczy strzał i zobaczył, jak płótno na ramieniu

Drake'a pęka, jakby eksplodował jakiś mały ładunek ukryty pod jego kurtką. Siła uderzenia obróciła mężczyznę w miejscu, szybko jednak powrócił do poprzedniej pozycji. Elliott odpowiedziała gradem kul, przesuając zamek strzelby z nieprawdopodobną wręcz prędkością. Granicznicy padali jeden po drugim, w rytm jej strzałów.

Każdy pocisk trafiał w cel. Chłopiec widział z bliska zabójczą skuteczność kul w zetknięciu ze szczupłymi ciałami żołnierzy Styksów. Niektórych odrzucało w tył, inni osuwali się bezwładnie na ziemię. Pozostali przy życiu wciąż parli naprzód. I z niewiadomej przyczyny nie odpowiadali ogniem.

Nagle Drake się pochylił. W pierwszej chwili Cal pomyślał, że mężczyzna został trafiony, później jednak ujrzał w jego rękach mózdzierz. Drake uderzył podstawą broni o kamień, a z drugiego końca żelaznej rury wytrysnął pióropusz ognia. Spora grupa Graniczników ustawionych w półkolu została dosłownie zmieciona z powierzchni ziemi. W miejscu, gdzie stali jeszcze przed sekundą, widniały tylko ciemne plamy i obłoki dymu – ogień po prostu ich unicestwił. Zewsząd dochodziły pełne bólu krzyki i przekleństwa. Mimo to Granicznicy szli dalej, odpowiadając teraz ogniem na strzały Elliott.

Cal cofał się w głąb korytarza, byle dalej od jaskini, ściskając w spoconych dłoniach pistolety, które dała mu Elliott. W tej chwili myślał jedynie o tym, że musi uciec z tego miejsca. W taki czy inny sposób.

Przez obłoki dymu dojrzał jeszcze sylwetkę Drakea. Wydawało mu się, że mężczyzna zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu i upadł. Cal nie zobaczył nic więcej, gdyż w tej samej chwili Elliott złapała go za ramię i pociągnęła do tyłu. Zerwała się do biegu, wlokąc go za sobą; biegła tak szybko, że Cal ledwie mógł utrzymać się na nogach.

Pokonali kilkaset metrów, aż wreszcie Elliott zwolniła na moment i

wepchnęła chłopca do jednego z pomieszczeń przy głównym korytarzu.

– Zatkaj uszy! – krzyknęła.

W następnej chwili rozległa się ogłuszająca eksplozja. Choć oboje stali w ukryciu, podmuch rzucił ich na ziemię. Przez korytarz przemknęły kula ognia i odłamki betonu.

Cal uświadomił sobie, że Elliott musiała wcześniej, podczas wędrówki przez bunkier, przygotować jakieś ładunki. Nim jeszcze resztki gruzu opadły na podłogę, dziewczyna zerwała się na równe nogi i wyciągnęła Cala z obłoku wirującego kurzu.

Płonące odłamki dogasały w kałużach z głośnym sykiem.

Biegli przez gęste chmury dymu, gdy nagle zamajaczył przed nimi wysoki kształt.

Elliott odepchnęła Cala na bok i opadła na jedno kolano. Odciągnęła zamek.

Granicznik szedł prosto na nią, trzymając broń gotową do strzału. Nie zawahała się.

Nacisnęła spust. Lufa strzelby splunęła ogniem, oświetlając na moment zdumioną twarz Granicznika. Kula trafiła go prosto w szyję. Głowa opadła mu na piersi, gdy poleciał do tyłu, prosto w obłok pyłu. Elliott już stała.

– Biegnij! – ryknęła, wskazując w głąb korytarza.

Kolejny mroczny kształt rzucił się w ich stronę. Trzymając wciąż strzelbę na biodrze, Elliott odciągnęła zamek. Rozległ się głuchy trzask.

– O Boże! – krzyknął Cal, widząc, jak wściekły grymas na twarzy Styksa zamienia się w triumfalną minę. Granicznik był pewien, że już ma ich w garści.

Cal podniósł laskę w żalnym geście, jakby zamierzał pobić nią żołnierza. Jednak Elliott w mgnieniu oka rzuciła strzelbę na ziemię i

chwyciła Cala za rękę, kierując trzymaną przez niego broń na Granicznika. Pociągnęła za mechanizm spustowy.

Cal poczuł silny odrzut i gorący podmuch, kiedy oba pistolety wystrzeliły jednocześnie.

Nie mógł spojrzeć na rezultat wystrzału. Styks nie zdążył nawet krzyknąć. Chłopiec stał jak wryty, zaciskając drżącą i spoconą dłoń na dymiących rurkach.

Elliott wrzeszczała na niego, wyszarpując coś ze swego plecaka. Lecz sparaliżowany strachem Cal nie rozumiał, co do niego mówi. Uderzyła go w twarz z taką siłą, że aż zadzwoniły mu zęby; dzięki temu odzyskał zdolność myślenia i władzę nad ciałem. Odwrócił głowę i zobaczył, że dziewczyna wrzuca ładunek do korytarza, którym jak sądził, mieli właśnie iść. Nie rozumiał, po co to robi. Jak mieli się stąd wydostać, skoro ona zamykała im drogę ucieczki?

– Schowaj się gdzieś, idioto! – wrzasnęła na niego i pchnęła na drzwi po drugiej stronie korytarza.

Tym razem ładunek był mniejszy i gdy tylko eksplodował, oboje pobiegli do zasnutego dymem korytarza. Cal potknął się o coś miękkiego – natychmiast domyślił się, że to ciało – na szczęście jednak kurz okrywał wszystko gęstym całunem.

Wydawało się, że czas nagle się zatrzymał. W tamtym miejscu sekundy nie istniały.

To ciało Cala, a nie jego umysł, przejęło kontrolę nad działaniem; to ono zmuszało go do biegu. Wiedział, że musi uciec – tylko to się liczyło zawładnęło nim coś pierwotnego i instynktownego.

Nim się obejrzał, byli już z powrotem w sali operacyjnej z ponurym kryształowym postumentem pośrodku. Elliott rzuciła do tyłu mały cylindryczny ładunek. Musiał mieć krótki lont, doszli bowiem zaledwie do połowy sąsiedniego pomieszczenia w kształcie litery L, gdy dogonił ich podmuch eksplozji.

Najbardziej przerażające było to, że wybuch rozbił wiele słoików z preparatami. Ich zawartość wypadła z pluskiem na podłogę, niczym martwe ryby, a powietrze wypełniło się ostrym zapachem formaldehydu. Cal dojrzał połówkę rozciętej głowy sunącą po podłodze i uśmiechającą się krzywo przepołowionymi ustami, z których wystawała połówka języka. Chłopiec przeskoczył nad nią, wypadł za Elliott z pomieszczenia i ruszył w głąb korytarza. Przez chwilę biegli bez wytchnienia, pokonując kolejne tunele, skręcając kilkakrotnie w lewo, a potem w prawo. Choć kurz i dym nie były tu takie gęste, Elliott zatrzymała się raptownie i rozejrzała dokoła.

– Cholera! Niech to szlag! – klęła głośno.

– Co? – wydyszał Cal, trzymając się jej kurczowo, kompletnie dezorientowany i wyczerpany.

– CHOLERA! Zła droga! Wracamy... musimy wrócić! Pokonali w pośpiechu kilka zakrętów, a potem Elliott przystanęła ponownie, zaglądnąca do bocznego korytarza. Cal widział niepokój w jej oczach.

– To musi być tutaj – mruknęła niepewnie. – Boże, mam nadzieję...

– Jesteś pewna? – dopytywał się natarczywie Cal. – Nie poznaję...

Otworzyła drzwi. Szedł tak blisko za nią, że gdy przystanęła, wpadł na jej plecy.

Cal zamrugał i przesłonił oczy dłonią. Stali skąpani w jasnym blasku. Znaleźli się w białej sali o długości około dwudziestu metrów i szerokości dziesięciu.

Był to zdumiewający widok.

W pomieszczeniu panowała całkowita cisza.

Rozejrzawszy się dokoła, Cal stwierdził, że sala wygląda zupełnie inaczej niż wszystko, co widział do tej pory w bunkrze. Była sterylnie czysta, na ścianach i podłodze leżały śnieżnobiałe płytki, a pod świeżo wymalowanym sufitem wisiał szereg kul świetlnych.

Po obu stronach pokoju ciągnął się rząd drzwi z błyszczącego

żelaza. Elliott stała już przy najbliższych i spoglądała na coś przez szklane okienko osadzone w metalowej płycie. Potem przeszła do następnych. Każde wejście oznaczone było symbolem w kształcie litery V, wymalowanym czarną, gęstą farbą, która tu i ówdzie, nałożona w nadmiarze, spływała grubymi kroplami po powierzchni.

– Widzę ciała – oświadczyła Elliott. – Więc to tutaj jest ta kwarantanna.

Jednak to było coś więcej niż tylko ciała. Kiedy Cal podszedł do drzwi, zobaczył, że na podłodze każdej z cel leżą dwie lub trzy osoby. Bez wątplenia nie żyły od dłuższego już czasu, bo ich zwłoki zaczęły się rozkładać. Chłopiec widział, że wypłynęła z nich przezroczysta, gęsta ciecz, przetykana plamami żółci i czerwieni, która tworzyła kałuże na śnieżnobiałej podłodze.

– Niektórzy z nich wyglądają na Kolonistów – stwierdził Cal, przyjrzawszy się ich ubraniom.

– A niektórzy to renegaci – dodała Elliott zduszonym głosem.

– Kto to zrobił? Kto ich zabił? – dopytywał się Cal.

– Styksowie – odparła krótko.

To słowo natychmiast sprowadziło go na ziemię i przypomniało o powadze sytuacji, w jakiej się znaleźli. Wpadł w panikę.

– Nie mamy czasu! – krzyczał, próbując pchnąć Elliott w stronę wyjścia.

– Nie, poczekaj. – Dziewczyna spoglądała nań groźnie, lecz nie odpychała go od siebie.

– Nie możemy tu dłużej zostać! Na pewno nas ścigają... -Cal umilkł, uświadomiwszy sobie, że role się odwróciły, i teraz to ona opóźnia ucieczkę.

– Nie, to ważne. Te cele zostały zamknięte i uszczelnione! – powiedziała Elliott, przyglądając się uważnie obrzeżom drzwi. Wszystkie metalowe płyty były starannie przyspawane do futryn i

pozbawione wszelkich klamek lub uchwytów. – Nie rozumiesz, Cal? To jest ten ośrodek badawczy Styksów, o którym słyszeliśmy; to tutaj testowali nowy rodzaj broni!

Cal szedł tuż za Elliott, kiedy ta dotarła do kolejnej celi. Tym razem na drzwiach nie było żadnego znaku, a gdy Elliott zajrzała do środka, w okienku pojawiła się nagle twarz o opuchniętych, przekrwionych oczach. Był to mężczyzna wydawało się, że jest ogarnięty panicznym, potwornym strachem. Miał zapadnięte policzki, a każdy milimetr jego skóry pokryty był zaognionymi czerwonymi wrzodami. Krzyczał coś, jednak zza grubych drzwi nie wydobywał się żaden dźwięk.

Zaczął bić pięściami w szybę, lecz nadal nie docierał do nich żaden odgłos. W końcu przestał walczyć i patrzył obłąkanymi, przerażonymi oczami.

– Znam go – powiedziała Elliott chrapliwie. – To jeden z nas.

Twarz mężczyzny była wynędzniała, jakby go głodzono. Zaczął mówić coś powoli, próbował porozumieć się z Elliott, poruszając wyraźnie ustami.

Niczego nie rozumiała.

– Elliott! – błagał ją Cal. – Daj już spokój, dobrze? Musimy iść!

Dziewczyna przeciągnęła palcem po świeżym spawie, który ciągnął się nieprzerwanie wzdłuż całej krawędzi drzwi. Zastanawiała się, czy mogłaby je jakoś wysadzić, choć wiedziała dobrze, że nie ma na to czasu. Spojrzała jedynie na mężczyznę i wzruszyła bezradnie ramionami.

– Chodźmy! – wołał Cal, a potem wrzasnął przeraźliwie: -Już!

– Dobrze – zgodziła się wreszcie, obróciła na pięcie i pobiegła z powrotem do drzwi, którymi weszli do pomieszczenia.

Wydostali się na zewnątrz, zanurzając ponownie w ciemny świat bunkra, w powietrze wypełnione wirującymi drobinami pyłu i kurzu.

Kiedy ich oczy przywykły z powrotem do mroku, ruszyli pędem w głąb tunelu, w kierunku, w którym prowadziła ich pierwotnie Elliott.

– Trzymaj się blisko mnie – wyszeptała dziewczyna, gdy przemykali przez korytarz.

Nie uszli jednak daleko, nim znów się zatrzymała.

– No już, myśl! Którędy? – szeptała do siebie gorączkowo. – To musi być tutaj – postanowiła w końcu.

Pokonawszy kilka kolejnych korytarzy, weszli do niewielkiego holu, w którym znajdowały się dwa umieszczone naprzeciwko wyjścia. Elliott przeszła od jednego do drugiego, a potem stanęła między nimi i zamknęła oczy.

W tym momencie Cal niemal zwątpił, że dziewczyna zdoła wyciągnąć ich z opresji.

Nie miał jednak czasu, by dać temu wyraz, gdyż gdzieś niedaleko rozległ się głośny łomot, a potem huk wyważanych drzwi – Granicznicy byli coraz bliżej.

Elliott otworzyła nagle oczy.

– Mam! – krzyknęła, wybierając jeden z korytarzy. – To już ostatni etap!

Pokonawszy długą serię krętych przejść, zbiegli po rozsypujących się stopniach do zalanej wodą piwnicy. Tym razem Cal bez najmniejszych oporów zanurzył się w ciemnej cieczy i w okamgnieniu znalazł się po drugiej stronie. Zauważył, że Elliott została nieco z tyłu. Zakładała duży ładunek na schodach, tuż nad linią wody. Kiedy już się z tym uporała, dogoniła szybko chłopca i razem ruszyli w dalszą drogę.

Przechodzili właśnie przez betonowe rumowisko, gdy dobiegł ich huk eksplozji.

Cała konstrukcja zatrzęsała się w posadach, a na ich głowy posypał się grad betonowych odłamków i pyłu. Potem rozległ się głęboki

pomruk, który po chwili zamienił się w złowieszczy zgrzyt. Olbrzymie twarde płyty runęły na podłogę, wzniesając na wszystkie strony fontanny, wody i pyłu i blokując ostatecznie przejście, którym przed chwilą uciekli.

– Niewiele brakowało – wydyszała Elliott, gdy przebiegli przez wyłożoną linoleum salę i wdrapali się do wnętrza prostokątnego korytarza.

Wychynawszy z tunelu, Cal opadł na dno Wielkiej Równiny, wydając przy tym okrzyk ogromnej nieklamanej ulgi. Elliott pomogła mu wstać, po czym oboje natychmiast ruszyli wzdłuż betonowej ściany tą samą trasą, którą tu przybyli.

Nagle w mur uderzyło z trzaskiem kilka pocisków.

– Snajperzy! – krzyknęła Elliott, rzucając coś przez ramię tak szybko, że Cal nie zdążył nawet zobaczyć, co to było. Tajemniczy przedmiot eksplodował, wydzielając obłoki gęstego, pełzającego dymu. Była to zasłona dymna, którą Elliott odgradzała ich od ognia snajperów. Choć od czasu do czasu w ścianę bunkra uderzały kolejne pociski, żaden z nich nie stanowił zagrożenia dla uciekającej dwójki.

Biegli bez wytchnienia, aż dotarli do tunelu powulkanicznego i zaczęli oddalać się od Wielkiej Równiny. Gdy pokonali kilkanaście metrów, Elliott krzyknęła do Cala, by biegł dalej, sama zaś przystanąła, chcąc wyciągnąć sznurek z kolejnego ładunku.

Chłopca nie trzeba było namawiać. Gnał na oślep, napędzany adrenaliną, która krążyła teraz w jego żyłach. Był tak zdesperowany, że prawie nie czuł bólu w chorej nodze.

Kiedy Elliott go dogoniła, podmuch eksplozji poderwał w górę ich ciała i pchnął je do przodu. Nie przestawali biec.

Will nie miał pojęcia, jak długo pogrążony był we śnie, z którego wyrwały go brutalnie jakieś krzyki. Skronie pulsowały mu tęnym, dojmującym bólem.

– WSTAWAJ!

– Hej!... – wybełkotał Will. – Kto...?

Zamrugał półprzytomnie, próbując skupić wzrok na niewyraźnych kształtach.

Zobaczył, że stoją przed nim Elliott i Cal.

– Wstawaj! – rozkazała chrapliwie Elliott i kopnęła go.

Will chciał wykonać jej rozkaz, ale przewrócił się z powrotem na ziemię. Był roztrzęsiony i oszołomiony; bezskutecznie próbował uporządkować rozbiegane myśli. Zobaczył twarz dziewczyny. Nawet przez pokrywającą ją grubą warstwę brudu widział wyraźnie, że wcale nie cieszy się na jego widok. A on myślał, że Drake i Elliott pogratulują mu wytrwałości, hartu ducha!

Być może niewłaściwie ocenił całą sytuację; być może byli wściekli, że oddzielił się od grupy, choć próbował sobie wmawiać, iż nie była to jego wina; być może złamał jakąś kolejną niepisaną zasadę. Otarł zaczerwienione oczy z kryształków soli i spojrzał jeszcze raz na twarz Elliott, zaciętą w ponurym, pozbawionym choćby cienia radości grymasie.

– Ja... ja nie... jak długo...? – bełkotał.

Dopiero teraz zauważył, że Cal ma równie posępną minę. Dostrzegł też, że oboje ociekają wodą i śmierdzą chemikaliami.

Chester zaczął krzątać się wokół nich, zbierając pojemniki z jedzeniem i wrzucając je z powrotem do plecaka.

– Dopadli go! – wydyszał Cal i dla zobrazowania tych słów machnął mocno laską, która przecięła ze świstem powietrze. – Granicznicy dopadli Drake'a!

Chester zastygł na moment w bezruchu. Will pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrzał na Elliott, jakby szukając u niej potwierdzenia. Nie potrzebował widoku zadrapań na twarzy dziewczyny ani krwi wypływającej z głębokiego rozcięcia na skroni,

by zrozumieć, że jego brat mówi prawdę. Wystarczył obraz jej zmrużonych wściekłych oczu.

– Ale... jak...? – wychrypiał Will.

Elliott odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę podziemnego morza, nad którym Will spędził niedawno tyle czasu.

Część czwarta

Wyspa

Rozdział trzydziesty czwarty



Chłopcy z najwyższym trudem dotrzymywali kroku Elliott, która pędziła przed siebie w szalonym tempie. Jakby nie obchodziło jej wcale, czy idą za nią czy nie.

Z trzech kolegów największe kłopoty z szybkim marszem miał Cal. Powłóczył ciężko nogami, kilkakrotnie nawet upadł, gdy wędrowali wzdłuż piaszczystego wybrzeża. Will zaczynał się obawiać, że jego brat w końcu się nie podniesie. Jednak za każdym razem chłopiec znajdował w sobie dość sił, by wstać i iść dalej. Mówił coś do siebie – brzmiało to jak modlitwa, choć Will nie miał pewności, a nie zamierzał tracić czasu i sił, by o to pytać. Dokuczał mu okropny, nieustępliwy ból głowy; był też głodny i niewyspany. Wciąż chciało mu się pić – bez ustanku popijał w marszu wodę z manierki, ale wydawało się, że nic nie jest w stanie ugasić pragnienia.

Wszyscy trzej chłopcy milczeli, choć w ich głowach kłębiły się dziesiątki pytań.

Skoro zabrakło już Drake'a, to czy Elliott po prostu ich zostawi i pójdzie swoją drogą? A może będzie nadal realizować plany, o których mówił Drake, i stworzy z nich prawdziwy zespół?

Will zastanawiał się właśnie nad tym wszystkim, gdy zauważył, że podłoże pod ich stopami stopniowo się zmienia.

Sypki piasek twardniał, ułatwiając chodzenie. Chłopiec był ciekaw dlaczego.

Wciąż szli brzegiem morza ciągnącego się po prawej stronie. Od

czasu do czasu Will słyszał leniwy chlupot fal; wiedział też, że ściana jaskini – ukryta w ciemności po jego lewej ręce – z pewnością znajduje się w sporej odległości od plaży. Zagłębiali się coraz bardziej w obszar, którego granice Will ledwie przekroczył podczas samotnej wędrówki.

Nagle pod stopami poczuł nierówności. W świetle latarki dostrzegł, że bladożółtą barwę piasku zastąpiło coś znacznie ciemniejszego. Natrafił nogą na twardy przedmiot i omal się nie przewrócił. Pochylił się, by go zbadać; tajemniczy obiekt wyglądał jak pień niewielkiego drzewa. Przez następnych sto kroków Will starał się powstrzymać ciekawość, w końcu jednak nie wytrzymał i przesunął dźwignię znajdującą się za soczewką latarki, zwiększając tym samym intensywność promienia.

Elliott natychmiast zawróciła, zatrzymała się przed Willem i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

– Co ty wyprawiasz?! – warknęła. – Przygaś to!

– Rozglądam się – odparł i unikając jej wzroku, spojrzał na ziemię. Rzeczywiście, podłoże się zmieniło. Otaczały ich liczne pieńki różnej wysokości, między którymi rosły dziwne rośliny – jak przypuszczał Will, sukulenty – tak gęste i rozłożyste, że niemal całkowicie pokrywały piach. Były czarne albo ciemnoszare, a ich liście, wyrastające z grubego centralnego pnia, okrągłe i grube, pokryte woskowatą kutykulą.

– Słonolubne – oświadczył, trącając jedną z roślin czubkiem buta.

– Przygaś tę cholerną latarkę! – powtórzyła Elliott, marszcząc gniewnie brwi. Nie wyglądała wcale na zmęczoną, podczas gdy Will i pozostali dyszeli ciężko, zadowoleni z krótkiej przerwy.

Will podniósł na nią wzrok.

– Chcę wiedzieć, dokąd nas prowadzisz – zażądał, patrząc jej śmiało w oczy. – Idziesz bardzo szybko, a my jesteśmy już u kresu sił.

Elliott nie odpowiedziała.

– Powiedz przynajmniej, jaki masz plan – nie ustępował. Dziewczyna splunęła, omal nie trafiając go w kolano.

– Światło! – syknęła przez zęby i podniosła kolbę strzelby, jakby szykując się do ciosu.

Will nie miał najmniejszej ochoty wdawać się z nią w bijatykę, i to z tak błahego powodu, szybko więc zredukował promień latarki do minimum. Elliott odwróciła się i w głuchym milczeniu minęła Cala i Chestera, ponownie zajmując miejsce na czele pochodu. Sytuacja ta przypomniła Willowi, jak traktowała go niegdyś Rebeka; powróciły niemiłe wspomnienia, których najchętniej pozbyłby się raz na zawsze.

Zastanawiał się, czy wszystkie nastolatki są równie mściwe, i nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek zrozumie płec przeciwną. W ciągu kolejnych kilku godzin odnosił wrażenie, że pomimo jego próśb Elliott nie tylko nie zwolniła, ale wręcz przyspieszyła kroku, jakby chciała zrobić mu na złość.

W miarę jak cała czwórka posuwała się w głąb nowego obszaru gruboszowate rośliny stawały się coraz wyższe. Pod naciskiem stóp liście wydawały z siebie mlaszczący dźwięk, jakby dzieci chodziły po błocie. Od czasu do czasu któryś z liści pękał z głośnym trzaskiem niczym przebity balon, a powietrze wypełniał zapach siarki.

Później coraz częściej napotykali prymitywne rośliny, które pokrywały podłoże splątaną gęstwiną łodyg i liści, niczym przerośnięte kępy jeżyn. Will zauważył, że do złudzenia przypominają zwykły skrzyp, chwast porastający cmentarz w Highfield.

Jednak ta odmiana miała szarobiałe łodygi osiągające grubość nawet pięciu centymetrów, obrośnięte w regularnych odstępach kręgami czarnych, cienkich jak igły kolców. Z każdą minutą marszu kępy dziwnych roślin stawały się wyższe i bardziej gęste; sięgały chłopcom już do pasa, tak że musieli się nieźle natrudzić, by się przez

nie przedrzeć.

Jakby tego było mało, na ich drodze pojawiało się coraz więcej grubych drzew. Will dostrzegł chropowatą łuskę na ich pniach i domyślił się, że to rodzaj paproci. W otaczającej ich gęstwinie chłopcy niekiedy tracili z oczu siebie nawzajem. Powietrze robiło się wilgotniejsze i wkrótce wszystkich oblewał pot.

. Will szedł tuż za ślaniającym się na nogach Calem i pilnował, by brat nie został z tyłu. Po jakimś czasie zauważył, że zmienili kierunek marszu. Szli teraz w dół łagodnego zbocza, które jak sądził, miało ich w końcu doprowadzić z powrotem na plażę. Słyszał dochodzący z przodu hałas, szelest roślin, przez które przedzierali się pozostali uczestnicy wyprawy, i przeraził się, że on i Cal zeszli z właściwego kursu.

Nie chciał się zgubić – nabłądził się przez ostatnie dwa dni tyle, że wystarczyło mu na całe życie. Odetchnął z ulgą, dojrawszy z przodu błysk latarki i sylwetkę Chestera.

Więc jednak nie zabłądzili. Ale dokąd prowadziła ich Elliott?

Pokonali ostatni fragment zbocza i wyszli wreszcie z gęstego lasu, prosto na wybrzeże. Cal i Chester po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć podziemne morze.

Patrzyli na nie w niemym zdumieniu, wystawiając spocone twarze na delikatny dotyk bryzy.

Will słyszał szum i chlupot wody uderzającej o jakąś przeszkodę, jednak w tej chwili pochłonięty był całkowicie obserwacją olbrzymiego lasu, z którego przed chwilą wyszli. W blasku latarki wydawał się niezwykle gęsty, mroczny i nieprzebyty.

Nad głową chłopca wisały liście olbrzymich drzew przypominających paprocie.

– Sagowce! – wykrzyknął Will. – To rośliny nagonasienne. Dinozaury takie jadły!

Rośliny, o których mówił Will, miały grube, zwężające się ku górze pnie, otoczone w regularnych odstępach ciemnymi pierścieniami, jakby ktoś złożył je z coraz mniejszych okrągłych plastrów. Z wierzchołków wyrastały potężne kępy liści, na pierwszy rzut oka nieproporcjonalnie dużych i ciężkich w stosunku do reszty rośliny.

Niektóre z nich były już całkiem otwarte, inne jeszcze się nie rozwinęły. W odróżnieniu od zielonych liści sagowców występujących na powierzchni Ziemi te miały szarą barwę.

Pomiędzy pierwotnymi drzewami ciągnęła się warstwa rozdętych sukulentów i płożących się jeżyn, tak gęsto ze sobą splecionych, że wydawało się, iż tworzą jedną nieprzebytą ścianę roślinności. Will widział także białe fruwające żyjątka ukryte między wysokimi gałęziami drzew – im dłużej patrzył, tym więcej owadów dostrzegał. Nie miał pojęcia, czym są większe spośród nich, jednak te znajdujące się najbliżej należały z pewnością do tego samego gatunku co śnieżnobiałe ćmy, które widział po raz pierwszy w Kolonii. Od czasu do czasu dolatywał do niego znajomy dźwięk; coś tak mocno powiązanego z górnoziemskim krajobrazem, że Will nie mógł powstrzymać uśmiechu. Słyszał cykanie świerszczy!

Cofnął się o krok; niezwykle widok tak go zafascynował, że przez dłuższy czas nie mógł oderwać od niego wzroku. Po chwili zobaczył, że Cal i Chester, wciąż ogromnie zdyszani, zerkają z niepokojem na rozciągający się przed nimi bezmiar wody.

Odwrócił się i spojrzał w stronę Elliott, która klęcząc na wilgotnym piasku, obserwowała przez lunetę wybrzeże za ich plecami.

Will podszedł do dziewczyny, ciekaw, skąd dochodzi chlupoczący odgłos wzburzonej wody. Po chwili zorientował się, że stoi w miejscu, gdzie powierzchnię morza przecina falująca biała linia. Gdy wyteżył wzrok, zobaczył, że zatacza ona lekki łuk i niknie w ciemnościach, a z jednej strony kłębią się wzdłuż niej spienione fale.

– To jest grobla – powiedziała krótko Elliott, uprzedzając jego pytanie.

Podniosła się z piasku, a chłopcy zgromadzili się wokół niej.

– Pójdziemy tą drogą. Jeśli któryś się ześlizgnie, zabierze go woda. Więc nie róbcie tego – jej głos był cichy i beznamiętny, wyzuty całkowicie z emocji.

– Pod powierzchnią jest skalny występ, prawda? – zapytał głośno Will, po czym podszedł do wody i włożył rękę w gęstą pianę, by się przekonać. – Tak... jest tam...

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu – ostrzegła go Elliott.

Will szybko cofnął rękę.

– Żyją tam stworzenia, które mogą odgryźć palce – dokończyła, a potem odwróciła się, podniosła wyżej latarkę i oświetliła powierzchnię wody. Chłopcy ujrzeli ogromny pusty przestwór, olbrzymie połacie czerni ciągnące się po obu stronach grobli, a widok ten przejął wszystkich zimnym dreszczem, choć powietrze dokoła było ciepłe i wilgotne.

– Proszę, powiedz nam, dokąd nas zabierasz – błagał ją Will. – Czy jest jakiś powód, dla którego ukrywasz to przed nami?

Słowa chłopca zawisły na kilka sekund w powietrzu, nim Elliott w końcu odpowiedziała.

– W porządku – zaczęła, wzdychając. – Mamy mało czasu, więc słuchajcie mnie uważnie, dobrze?

Każdy z chłopców wymamrotał niewyraźne „tak”.

– Nigdy, ale to nigdy nie widziałam jeszcze w Głębi tylu Graniczników i wcale mi się to nie podoba. To oczywiste, że szykują coś poważnego, i być może właśnie dlatego chcą pozbyć się luźnych końców.

– Jakich luźnych końców? – zdziwił się Chester.

– Renegatów... nas – wyjaśniła Elliott. Potem poświeciła na Willa.

– I jego. – Spojrzała ponownie na spienioną wodę. – Idziemy do bezpiecznego miejsca, żebyśmy mogła spokojnie zaplanować dalsze działania. A teraz chodźcie za mną – rzuciła.

Wędrówka była przerażająca. Elliott pozwoliła im zwiększyć nieco promień światła, lecz nie dość że niezwykle silny prąd napierał mocno na ich buty i wzbijał w powietrze kropelki mgły, to jeszcze skalny występ, po którym maszerowali, był nierówny i pokryty śliskimi wodorostami. Od czasu do czasu grobla chowała się głębiej pod wodą – takie odcinki były najbardziej zdradliwe. Will słyszał sapanie Chestera, pokonującego je niestrudzenie, a potem mruczącego coś z wdzięcznością pod nosem, gdy skała znów się podnosiła. Marsz stawał się wówczas nieco łatwiejszy, bo pióropusze piany wskazywały drogę, a prąd wydawał się słabszy.

Cal szedł z przodu i bez ustanku coś bełkotał, od czasu do czasu zawodząc płaczliwie, jakby błagał, by ta mordercza wędrówka wreszcie się skończyła. Will nie mógł mu w żaden sposób pomóc – każdy z chłopców musiał martwić się o siebie i uważać przy każdym kroku, by się nie ześlizgnąć i nie zginąć w koszmarnej czarnej otchłani.

Nie uszli zbyt daleko, gdy w pobliżu rozległ się nagle głośny plusk, jakby coś dużego wpadło do wody.

– O kurde! Co to było? – wybełkotał Chester, zatrzymując się raptownie.

Will mógłby przysiąc, że dojrzał w wodzie szeroką białą płetwę ogonową nie dalej niż pięć metrów od nich, choć równie dobrze mogła to być spieniona fala. Wszyscy wpatrywali się z trwogą w to samo miejsce, po chwili jednak tafla wody na powrót się wygładziła.

– Ruszajcie! – ponaglała ich Elliott.

– Ale... – jęknął Chester, wskazując drżącą ręką wodę.

– NAPRZÓD! – warknęła ponownie Elliott, spoglądając z

niepokojem na plażę za ich plecami. – Jeśli nas tu dopadną, wystrzelają jak kaczki.

Dotarcie na suchy ląd zajęło im około pół godziny. Opadli na piaszczyste wybrzeże, spoglądając na gęstą ścianę dżungli ciągnącą się przed nimi. Elliott nie pozwoliła im jednak nawet na chwilę wytchnienia i natychmiast poprowadziła w gęstwinę sukulentów i splecionych łodyg z czarnymi kolcami, równie bujną i zwartą jak las po drugiej stronie grobli.

Po jakimś czasie znaleźli się na polanie szerokiej na dziesięć metrów. Elliott kazała im poczekać, sama zaś zapuściła się w głąb dżungli, prawdopodobnie na zwiady.

Ponieważ ze wszystkich stron otaczała ich zwarta ściana roślinności, nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują; zresztą żaden z nich nawet się nad tym nie zastanawiał.

Wszyscy byli wycieńczeni i mokrzy od potu; parne powietrze, niezmaćcone choćby najmniejszym podmuchem wiatru, dawało im się mocno we znaki. Will odgonił jakiegoś natrętnego owada i podał Chesterowi manierkę z wodą.

Cał odszedł na ubocze, w miejsce jak najbardziej oddalone od Willa i Chestera.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami i wpatrzony w przestrzeń, kołysał się do przodu i do tyłu, mamrocząc coś monotonicznie pod nosem.

– Co się z nim dzieje? – spytał cicho Chester, ocierając pot z czoła.

– Nie wiem – odparł Will, pociągając łyk wody.

Głos Cała przybrał nieco na sile, a do uszu chłopców dolatywały strzępy poszczególnych zdań i fraz: – ... a zamknięci w ukryciu nie będą ukryci w oczach...

– Myślisz, że nic mu nie jest? – spytał Chester, zwracając się do Willa, który oparł się wygodnie o plecak, zamknął oczy i wydał z

siebie głośne westchnienie.

– ... i to my będziemy zbawieni... zbawieni... zbawieni... bełkotał Cal.

Will, ledwie żywy ze zmęczenia, otworzył jedno oko i zawołał do brata zgryźliwym tonem: – Co takiego, Cal? Nie słyszałem cię.

– Nic nie mówiłem – odparł Cal, siadając nagle prosto z wystraszoną miną.

– Cal, co tam się wydarzyło? – spytał z wahaniem Chester. – Co stało się Drakiem?

Cal podczołgał się do nich i natychmiast rozpoczął rozwlekłą, chaotyczną relację z niedawnych wydarzeń. Raz po raz wprowadzał jakieś dygresje, przypomniawszy sobie kolejny szczegół, czasami milkł w połowie zdania, by zaczerpnąć powietrza i mówić dalej. Potem opowiedział im o białej sali z zaspawanymi drzwiami, na którą natknęli się wraz z Elliott, uciekając z bunkra.

– A ten renegat, ten który jeszcze żył, co mu dolegało? pytał Will.

– Miał spuchnięte oczy, a jego twarz wyglądała naprawdę okropnie. Była cała owrzodzona – odparł Cal. – To musiała być jakaś paskudna choroba.

Will zamyślił się na chwilę.

– Więc o to chodzi – stwierdził w końcu.

– Co masz na myśli? – spytał Chester.

– Drake wiedział, że Styksowie prowadzą tam jakieś badania. Chciał się dowiedzieć, co robią... i dlaczego. Więc może chodziło właśnie o chorobę.

Cal wzruszył ramionami, po czym kontynuował opowieść o tym, jak uciekł z Elliott do korytarzy powulkanicznych. Zamilkł na moment, a potem dodał łamiącym się głosem: – Drake mógł uciekać, ale tego nie zrobił, żeby dać szansę mnie i Elliott... To było jak... jak wtedy, gdy wuj Tam został z tyłu...

– Być może wcale nie zginął – przerwał mu głos Elliott, nasycony gniewem i smutkiem zarazem.

Zszokowani tym oświadczeniem, wszyscy spojrzeli na dziewczynę stojącą na skraju polany.

– Byliśmy nieostrożni, więc nas dopadli, ale Granicznicy strzelali tak, żeby zranić, a nie zabić. Gdyby chcieli nas zastrzelić, już dawno byłoby po nas. – Odwróciła się do Willa i wbiła weń oskarżycielskie spojrzenie. – Ale dlaczego chcieli nas złapać żywcem? Powiedz mi, Will.

Oczy wszystkich zwróciły się na chłopca, ten jednak pokręcił tylko głową.

– No już, dlaczego nas nie zabili? – powtórzyła groźnym tonem Elliott.

– Rebeka – odparł cicho Will.

– O Boże! – wykrzyknął Chester. – Znowu ona!

Jego krzyk ponownie wytrącił z równowagi Cala, który zacisnął mocno dłonie i rozpoczął monotonną przemowę. Tym razem wszyscy słyszeli wyraźnie jego słowa: – Pan zbawi tych, którzy...

– Przestań! – doskoczyła do niego Elliott. – Co ty robisz? Modlisz się? – Podniosła rękę i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Ja... e... nie... – bełkotał, kuląc się i zakrywając głowę, przekonany, że dziewczyna znów go uderzy.

– Zrób to raz jeszcze, a skończę z tobą tutaj, na miejscu. To wszystko bzdury. Wiem, o czym mówię, bo przez lata wciskali mi do głowy Księgę Katastrof. – Elliott chwyciła go za włosy i bezlitośnie potrząsnęła. – Weź się w garść, chłopcze, bo innej pomocy się nie doczekasz.

– Ja... – zaczął chlipać Cal.

– Nie, posłuchaj mnie, obudź się, dobrze? Zrobili ci pranie mózgu – powiedziała cichym, złowieszczym głosem, targając go za włosy i

przerzucając głowę chłopca z boku na bok. – Nie ma żadnego nieba. Pamiętasz cokolwiek z czasów, nim się urodziłeś?

– Co? – chlipnął Cal.

– Pamiętasz?

– Nie – wyjąkał płaczliwie.

– Nie! A to dlaczego? Bo nie różnimy się niczym od innych zwierząt, owadów czy bakterii.

– Elliott, jeśli on chce wierzyć... – zaczął Chester, uznawszy, że nie może pominąć milczeniem tego, co właśnie usłyszał.

– Nie wtrącaj się, Chester! – warknęła, nawet na niego nie patrząc.

– Nie jesteśmy wyjątkowi, Cal. Ty, ja, my wszyscy powstaliśmy z niczego i tam właśnie wrócimy pewnego dnia, może już niedługo, czy nam się to podoba czy nie – parsknęła pogardliwie i pchnęła go na ziemię. – Niebo! Ha! Nie rozśmieszaj mnie. Twoja Księga Katastrof nadaje się tylko dla idiotów.

W mgnieniu oka dziewczyna znalazła się przed Willem. Chłopiec zacisnął odruchowo szczęki, przekonany, że teraz jemu się dostanie, lecz Elliott stała w bezruchu z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Ta poza znów przywiodła mu na myśl jego byłą siostrę i wszystkie wspomnienia, których chciał się pozbyć. Właśnie taką postawę przyjmowała Rebeka, gdy chciała skarcić go za to, że wszedł w ubłoconych butach na dywan albo dopuścił się jakiegoś innego, równie błahego przewinienia. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna; teraz chodziło o sprawy życia i śmierci, a Will był tak wyczerpany, że nie miał siły na kłótnie.

– Idziesz ze mną! – warknęła.

– Jak to? Dokąd?

– Ty nas w to wpakowałeś, to teraz możesz nam pomóc, do cholery.

– W czym pomóc?

– Wracamy do bazy.

Will zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc, o czym mówi Elliott.

– Ty i ja wracamy do bazy – powtórzyła dziewczyna, wymawiając starannie każde słowo. – Zrozumiałeś? Idziemy po sprzęt i zapasy.

– Ale ja nie mogę tam wrócić, nie dam rady. Po prostu nie dam rady – prosił. – Jestem wykończony... muszę odpocząć... coś zjeść...

– Nie poddawaj się.

– Dlaczego nie pójdziemy po prostu do następnej bazy? Drake mówił...

Elliott pokręciła głową.

– Jest za daleko... -Ja...

– Wstawaj. – Wręczyła mu lunetę, a Will podniósł się powoli z ziemi, wiedząc, że nic nie wskóra.

Obrzuciwszy Chestera bezradnym spojrzeniem, Will opuścił polanę i ruszył śladem Elliott w stronę grobli.

Czuł się tak, jakby utknął na dobre w okropnym koszmarze sennym. Niemal słaniał się na nogach ze zmęczenia, a wędrówka po grobli była ostatnią rzeczą, na jaką miał siłę. Nigdy by nie przypuszczał, że znów będzie musiał wejść na skąpany w wodzie skalny grzbiet, a przynajmniej nie tak prędko. Lecz tym razem wiedział, czego się może spodziewać.

Woda obmywała im stopy i ochlapывwała nogi. Kierując się jedynie bladym światłem latarek, parli naprzód, dwie samotne sylwetki na olbrzymiej połaci czarnej cieczy.

Do samego końca wędrówki Will właściwie nie myślał. Znieczulony zmęczeniem, szedł za Elliott i mechanicznie przestawiał stopy, pokonując wąski pas piachu w drodze do gęstej dżungli.

– Stój! – rozkazała dziewczyna i świecąc sobie latarką, zaczęła obkopywać korzenie pobliskiej rośliny. Szukała czegoś w bezbarwnym

piasku oblepiającym powyginane kłącza sukulentów.

– Gdzie to jest? – mówiła do siebie, sięgając jeszcze głębiej. – Ach!
– wykrzyknęła i pochyliła się, by wyrwać małą, przypominającą kapustę roślinę, która kryła się między dwoma potężnymi korzeniami jednego z drzew. Wyjęła nóż i obcięła szare liście, po czym rzuciła je na piasek. W dłoni została jej tylko nierówno oskubana łodyga. I ją przecięła, wydobywając z wnętrza coś, co przypominało orzech.

Rozbiwszy grubą, zdrewniałą łupinę, zajęła się jądrem owocu, tnąc ziarno wielkości migdała na cienkie plastry. Powąchała je, a potem wyciągnęła rękę do Willa, jakby go częstowała.

– Pogryź to – powiedziała, sama wkładając do ust plasterek, który przykleił się do noża. – Nie połykaj, tylko powoli żuj.

Will skinął głową z powątpiewaniem, rozgniatając włókniste plastry między zębami.

Skrzywił się mimowolnie, gdy z włókien wypłynął niezwykle kwaśny sok.

Elliott przyglądała mu się, wpychając sobie brudnym palcem do ust kolejny kawałek.

– Smakuje paskudnie – stwierdził Will.

– Poczekaj. Trochę ci pomoże.

Miała rację. Gdy przeżuwał kwaśne plastry, jego ciało ogarnął nagle chłód, doznanie niezwykle przyjemne w gorącym i wilgotnym otoczeniu, za nim zaś napłynęła fala energii, która przegoniła zmęczenie i ociężałość z kończyn. Czuł się odnowiony, silny... Czuł się gotowy na wszystko.

– Co to, u diabła, jest? – spytał, prostując ramiona. Czuł, jak budzi się w nim na nowo ciekawość świata. – Kofeina? -Tylko raz doświadczył czegoś podobnego, jeszcze w Highfield, gdy siostra zrobiła mu filiżankę prawdziwej kawy. Czuł się wtedy nie tylko ożywiony, ale i nieco roztrzęsiony, a do tego kawa zostawiła w jego

ustach dziwny, nieprzyjemny posmak. – Kofeina? – powtórzył.

– Coś w tym rodzaju – odparła Elliott z lekkim uśmiechem. – Wystarczy, musimy iść dalej.

Kiedy ruszyli w drogę, Will przekonał się, że teraz bez trudu może dotrzymać dziewczynie kroku. Poruszając się z gracją i prędkością właściwą raczej kotom niż ludziom, przemknęli wzdłuż brzegu morza, wspięli się na kamieniste zbocze i dotarli do ściany jaskini, w której otwierały się wejścia do tuneli powulkanicznych.

Will stracił zupełnie poczucie czasu; miał wrażenie, że dotarli do bazy w ciągu kilku minut, choć dobrze wiedział, iż trwało to z pewnością znacznie dłużej. Wędrówka prawie go nie męczyła; jakby znalazł się poza własnym ciałem i obserwował z boku kogoś, kto dyszy i oblewa się potem, maszerując w nieprawdopodobnie szybkim tempie.

Kiedy już oboje wspięli się po linie i znaleźli w bazie, Elliott zaczęła krążyć po wnętrzu z prędkością trąby powietrznej, wybierając różne przedmioty, które mieli ze sobą zabrać. W szalonym pośpiechu biegła z miejsca na miejsce, jakby przygotowała się już wcześniej na taką ewentualność i wiedziała dokładnie, co robić.

Wtargnąwszy do głównego pomieszczenia, które Will widział do tej pory tylko raz, Elliott zrywała wiszące na hakach wyposażenie i wygarniała całą zawartość starych metalowych szafek. Wkrótce podłogę zaścielały sterty porzuconego sprzętu. Elliott kopała go ze zniecierpliwieniem, gdy tylko znalazł się na jej drodze. Ułożyła przy drzwiach przedmioty, które mieli ze sobą zabrać, a Will, nie czekając na polecenie, zaczął pakować je do dwóch wielkich plecaków i dwóch obszernych toreb ściąganych sznurkiem.

Nagle Elliott ucichła. Will spojrzał ponad plecakami. Nie widział dziewczyny, gdyż ta klęczała za jednym z piętrowych łóżek, gdzie wygarniała rzeczy z szafki Drake'a.

Will podniósł się; w tej samej niemal chwili Elliott wyszła powoli z za łóżka.

Wydawała się całkowicie pochłonięta tym, co niosła w dłoniach; spoglądała na przedmiot z nabożną niemal czcią.

– Zapasowy okular Drake’a – oświadczyła, zatrzymując się przed chłopcem, i wyciągnęła ku niemu dłonie, jakby chciała przekazać mu urządzenie.

Will spojrział na skórzany pasek z mleczną soczewką i kable połączone z płaskim prostokątnym pudełkiem, które kołysało się teraz lekko w powietrzu.

– Co? – spytał, marszcząc brwi.

Elliott nie odpowiedziała, tylko przysunęła bliżej dłonie z okulem.

– Dla mnie? – spytał z niedowierzaniem, sięgając do jej rąk. – Naprawdę?

Skinęła głową.

– Skąd Drake brał takie rzeczy? – pytał dalej, przyglądając się uważnie okularowi.

– Robił je. Tym właśnie zajmował się w Kolonii... Naukowcy go tam ścignęli.

– Jak to: ścignęli go? – spytał Will szybko.

– Był Górnoziemcem jak ty.

– Wiem, powiedział mi o tym.

– Styksowie go porwali. Od czasu do czasu wychodzą na powierzchnię, żeby porywać ludzi, których umiejętności mogą im się przydać.

– Nie... – wyszeptał Will z niedowierzaniem. – Więc jakie umiejętności miał Drake?

Był żołnierzem, czy kimś takim? Komandosem?

– Był inżynierem optyki okularowej odparła Elliott, wymawiając

starannie każde słowo, jakby uczyła się obcego języka. – Robił też to – dodała, kładąc dłoń na lunecie strzelby.

– Żartujesz – pokręcił głową Will, wążąc okular w rękę. Przypomniawszy sobie, że Elliott wspominała już wcześniej, iż Styksowie porwali kogoś, kto umiał wytwarzać przedmioty umożliwiające widzenie w ciemności. Ale Drake? Przed oczami stanął mu obraz szczupłego, poznaczonego bliznami mężczyzny, który budził w nim taki szacunek, zestawiony ze stereotypowym wyobrażeniem naukowców w białych fartuchach, pochylonych nad swym sprzętem w sterylnych laboratoriach. Te dwa wizerunki wydawały mu się niemożliwe do pogodzenia, tym bardziej więc był zdumiony słowami Elliott.

– Naprawdę myślałem, że jest żołnierzem – wymamrotał, kręcąc głową. – I że został Wymnany z Kolonii jak ty.

– Ja nie zostałam Wymnana!

Elliott zareagowała z taką pasją, że Will ledwie zdołał wymamrotać jakieś przeprosiny.

– A co do Drake’a... Styksowie zmusili go, żeby nad tym pracował. Rozumiesz, o czym mówię?

– Torturowali go? – spytał z wahaniem Will. Skinęła głową.

– Dopóki nie zrobił tego, czego od niego chcieli. Ściągnęli go tutaj, do Głębi, żeby przetestować te urządzenia, ale nadszedł dzień, kiedy Drake wykorzystał swoją szansę i uciekł im. Uznali pewnie, że wyciągnęli od niego wszystko, co tylko mogli, bo nawet nie próbowali go szukać.

– To niesamowite – kręcił głową Will. – Więc był naukowcem, badaczem... trochę jak mój tata.

Elliott skrzywiła się lekko, jakby nie miała pojęcia, o czym mówi Will, i wcale jej to nie obchodziło. Wróciła do szafki po drugiej stronie łóżka i ponownie zaczęła wyrzucać zawartość na podłogę, od czasu do

czasu kładąc coś na posłaniu.

Will wstrzymał oddech i ostrożnie nałożył okular na głowę. Ustawił pasek tak, by przylegał ciasno do czoła, a potem upewnił się, że soczewka znajduje się dokładnie przed okiem, kilkakrotnie przesuwając ją w górę i w dół. Schował do kieszeni prostokątne pudełeczko i w tej samej chwili uświadomił sobie, jak dziwnie i nieswojo czuje się z urządzeniem na głowie. Sam nie do końca to rozumiał, ale miał wrażenie, że w pewnym sensie nie jest go wart.

Może na początku, kiedy dopiero poznał Drake'a i zastanawiał się, do czego służy ów przyrząd, byłby podekscytowany i zachwycony, że może go nosić. Teraz jednak traktował to zupełnie inaczej; okular stał się dla niego symbolem dominacji Drakea w tym podziemnym świecie, symbolem jego pozycji, niczym korona. Świadczył o gotowości tego mężczyzny do walki ze Styksami i o jego wyższości nad pozostałymi renegatami, którzy żyli w Głębi – zdaniem Willa Drake wyrastał zdecydowanie ponad całą tę zgraję. Był uosobieniem wszystkiego, do czego dążył Will: był twardy, praktyczny i całkowicie niezależny.

Elliott zebrała resztę sprzętu i przeniosła tam, gdzie leżały plecaki. Zrzuciła go na podłogę i przeszła dalej, nawet nie spojrzawszy na Willa, po czym znikła w korytarzu. Wróciła po chwili z pudełkiem pistoletów rurowych.

– Schowaj to i zbieramy się stąd.

Chłopak włożył broń do plecaka, który zabrał potem z resztą bagaży do wyjścia.

Obwiązał wszystkie pakunki liną i choć nie było to łatwe, spuścił je na podłogę tunelu pod wejściem. Nie zachwycała go perspektywa niesienia tego wszystkiego na wyspę, gdzie czekali Chester i Cal – bagaże ważyły chyba z tonę, a Will był niemal pewny, że to właśnie jemu przypadnie w udziale targanie większej części.

Stojąc przy linie i czekając na Elliott, zauważył, że dziewczyna przechodzi powoli z pomieszczenia do pomieszczenia. Może sprawdzała, czy niczego nie przegapiła, a może raz jeszcze spoglądała na znajome kąty, bo podejrzewała, że nigdy więcej ich nie zobaczy.

– W porządku, chodźmy – oświadczyła wreszcie, podchodząc do wyjścia.

Zsunęła się po linie, a gdy tylko oboje znaleźli się na dnie tunelu, Will odwiązał plecaki i torby. Wyprostowawszy się, chłopak zauważył zmianę w zachowaniu Elliott, która czytała z przejęciem jakiś świstek papieru zwinięty w rolkę.

– Co to jest? – spytał.

Elliott warknęła na niego, każąc mu się zamknąć. Kiedy skończyła, podniosła wzrok.

Will patrzył na nią wyczekująco.

– To wiadomość o Drake’u... Była przypięta do liny – wyjaśniła. – Od innego renegata.

– Ale... aleja tylko... nikogo nie widziałem – wyjąkał Will, rozglądając się dokoła, przerażony, że lada moment napadnie na nich cała zgraja ludzi pokroju Toma Coksa.

– Nie, i tak byś niczego nie zauważył, a poza tym wiadomość pochodzi od kogoś, kogo dobrze znamy, od przyjaciela. Musimy ruszać – oświadczyła, a potem wyjęła z torby największy ładunek, jaki Will widział do tej pory. Przyczepiła cylinder wielkości dużej puszki z farbą do skały obok liny, po czym przeszła pod przeciwległą ścianę tunelu, rozwijając za sobą cienki, ledwie widoczny drut. Will nie musiał nawet pytać, co robi. Zakładała potężny ładunek wybuchowy na wypadek, gdyby ktoś przyszedł szukać bazy – tak potężny, że tony gruzu pogrzebałyby to miejsce w mgnieniu oka.

Sprawdziła swoje dzieło, pociągając lekko za drut, który zadrżał z cichym brzękiem.

Wyciągnąwszy zawleczkę, wróciła do Willa.

– Co teraz? Zabieramy to ze sobą? – spytał chłopiec, wskazując na torby i plecaki.

– Nie.

– Więc nie wracamy na wyspę?

– Zmiana planów – odparła.

Will dostrzegł w jej oczach zawziętą determinację i zrozumiał od razu, że sytuacja znów się skomplikowała. Wiedział, że Elliott podjęła już ważną decyzję, i przynajmniej na razie nie wrócą na wyspę do pozostałych.

– Och... – jęknął cicho, uświadomiwszy sobie, co to oznacza.

– Musimy przedostać się na drugą stronę równiny, i to szybko. – Z jakiegoś niezrozumiałego powodu zerkała niepewnie w głąb tunelu i raz za razem pociągała nosem.

– Dlaczego? – spytał Will, dziewczyna uciszyła go jednak, podnosząc rękę.

Wtedy i on usłyszał. Niski jęk, który z każdą chwilą przybierał na sile, zamieniając się w głośnie wycie. Chłopiec poczuł na twarzy podmuch wiatru, który uniósł także skrawek chusty obwiązanej luźno wokół głowy Elliott.

– Lewant! – wykrzyknęła. – Nadchodzi wiatr! Mamy ogromne szczęście!

Tego już było Willowi za wiele. Zatoczył się i cofnął o krok, jakby miał runąć na ziemię. Nie uszło to uwadze Elliott, która patrzyła na niego z troską. Sięgnęła do kieszeni i podała mu kilka plastrów pobudzającej rośliny, wykopanej na skraju plaży. Will przygryzł je z ponurą miną, czekając, aż kwaśne orzeźwienie rozplynie się po języku i sięgnie najdalszych zakamarków ciała.

– Lepiej? – spytała.

Skinął głową, choć widział w jej oczach nie tyle szczerą,

przyjacielską troskę, ile zimny, beznamiętny profesjonalizm. Potrzebowała kogoś, kto pomoże jej zrealizować plany; nim w ogóle się nie przejmowała.

– Wypróbuj okular! – rozkazała, gdy Will wciąż przeżuwał kwaśną roślinę.

Skinał głową, opuścił soczewkę na miejsce, a potem przesunął włącznik na pudełku, które trzymał w kieszeni. Rozległ się cichy dźwięk – najpierw przybierał na sile, sięgając coraz wyższych tonów, potem zaś zaczął się obniżać, osiągając częstotliwości tak niskie, że Will już sam nie wiedział, czy go słyszy, czy też tylko czuje drgania w czaszce.

– Zamknij lewe oko, używaj tylko tego za okularem – powiedziała Elliott.

Zrobił, co mu kazała. Okazało się jednak, że nie widzi nic również przez prawe oko, zakryte soczewką i okolone gumową nakładką, która skutecznie przesłaniała blask latarki Elliott. Po chwili, gdy zaczął już podejrzewać, że urządzenie jest zepsute, w okularze pojawiły się maleńkie drobiny światła. Wirowały powoli, niczym tajemnicze fosforyzujące obiekty uwiecznione w głębi oceanu. Choć początkowo miały ten sam bursztynowy kolor co światło widoczne w lunecie, szybko przybrały jaskrawą, jasnożółtą barwę, a potem zbiegły się w jednym miejscu, emanując silnym, niemal oślepiającym blaskiem. Nagle Will znów ujrzał wyraźnie otaczające go kształty i przedmioty, choć wszystko wyglądało tak, jakby skąpane było w ostrym słonecznym blasku. Rozejrzał się dokoła, spojrzął na swe brudne ręce, na Elliott, która owijała mocniej chustę wokół głowy, i na smugi rozmazanej czerni, napływającej do tunelu wraz ze zbliżającym się Lewantem.

Elliott zobaczyła, że chłopak dostrzegł w górze ciemne burzowe chmury.

– Byłeś już kiedyś w Czarnym Wietrze? – spytała.

– Tylko mu się przyglądałem – odparł, przypominając sobie, jak wraz z Calem obserwował chmury płynące ulicami Kolonii; wówczas jednak obaj stali za zamkniętymi oknami. Przypomniał sobie również słowa Cala, kiedy ten naśladował nosowy głos Styksów, mówiąc: „... zgubny dla tych, których spotka na swej drodze...”.

Will spojrzał szybko na Elliott.

– Czy to nie jest przypadkiem trujące?’

– Nie – parsknęła pogardliwie. – To tylko pył, zwykły pył niesiony wiatrem z Interioru. Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co mówią ci Białe Szyje.

– Nie wierzę – odrzekł Will z oburzeniem.

Dziewczyna podniosła strzelbę i odwróciła się w stronę Wielkiej Równiny.

– Chodźmy.

Ruszył jej śladem. Serce biło mu jak szalone, pobudzone zarówno sokami kwaśnej rośliny, jak i niecierpliwym wyczekiwaniem na to, co mogła przynieść najbliższa przyszłość. Will czuł się teraz znacznie pewniej dzięki niezwykłemu okularowi, który rozpraszał otaczające go ciemności niczym niewidzialny reflektor.

Dotarli do złotej komnaty na końcu tunelu i przeszli przez sadzawkę. Gdy tylko Will wynurzył się z wody po drugiej stronie, zobaczył, że cała okolica zasnuta jest już pierzastymi wstęgami ciemności. Wielkie, przypominające pianę chmury zbliżały się szybko z obu stron równiny niczym olbrzymie dłonie, które wkrótce miały objąć wszystko nieprzeniknioną czernią. Chłopiec uzmysłowił sobie, że nawet cudowne urządzenie Drake’a nie zda się na wiele w takich warunkach.

– Te chmury są naprawdę gęste; nie zabłądzimy? – spytał, smagany coraz silniejszym wiatrem, pchającym w ich stronę smugi czerni.

– Nie ma mowy – odparła Elliott lekceważąco, obwiązując się w pasie liną. Potem podała mu drugi koniec i nakazała gestem, by zrobił to samo. – Idziesz tam, gdzie ten sznur – powiedziała. – Ale jeśli poczujesz podwójne szarpnięcie, natychmiast się zatrzymujesz. Zrozumiałeś?

– Jasne – skinął głową Will, choć cała ta sytuacja wydawała mu się dziwnie nierzeczywista.

Ruszyli bez zwłoki w dalszą drogę i wkrótce zanurzyli się w ciemności tak gęstej, że Will nie widział nawet sylwetki Elliott, choć była od niego oddalona zaledwie o kilka metrów. Czuł w nozdrzach i na twarzy gęstą, przypominającą dym mgiełkę, która okrywała wszystko cienką warstwą pyłu. Kilkakrotnie musiał zacisnąć nos, by stłumić kichnięcie, a jego lewe, niczym nieosłonięte oko było załamane i oblepione wilgotnym pyłem.

Wciąż przeżuwał kwaśny korzeń, poruszając ustami w rytm kroków, jakby wierzył, że w ten sposób uda mu się wycisnąć z niego jeszcze trochę energii. Wkrótce nie zostało nic prócz kilku włókien, które zamieniły się w rzadką, lepka papkę – choć Will nie był pewien, czy część owej papki to nie drobiny pyłu, wciągane w nozdrza z każdym oddechem.

Poczuł dwa szarpnięcia i natychmiast się zatrzymał. Przykucnął i rozejrzał się czujnie dokoła. Z mgły wynurzyła się Elliott; przyklękła obok niego i przyłożyła palec do ust, nakazując w ten sposób zachowanie ciszy.

Potem pochyliła się ku niemu tak blisko, że jej chusta dotykała ucha chłopca.

– Słuchaj – wyszeptała.

Will wyteżył słuch i usłyszał odległe wycie psa. Potem, po kilku sekundach dobiegł go straszliwy krzyk.

Krzyk człowieka.

Krzyk straszliwego, nieopisanego bólu.

Elliott przekrzywiła głowę. Jej oczy – jedyna część ciała widoczna spod ubrań – pozostały nieprzeniknione.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała.

Przeraźliwy wrzask, długi, pełne cierpienia zawodzenie, przybierał na sile, to znów przycichał, jakby niósł się tylko pomiędzy smugami gęstego pyłu. Od czasu do czasu czarny obłok rozstępował się na chwilę, ukazując fragment podłoża albo otwierając przed nimi dziwne kręte korytarze.

Po jakimś czasie krzyki stały się jeszcze głośniejsze i towarzyszyły im niskie, przeciągłe wycie psów, jakby w głębi Ziemi odgrywano straszliwą operę z piekła rodem.

Kiedy grunt pod stopami Willa zaczął się podnosić, a jego but zachrząścił o różowawy kryształ – różę pustyni – chłopiec natychmiast domyślił się, że wchodzi na zbocze obok wielkiej, przypominającej amfiteatr jaskini, gdzie kiedyś on i Chester wpadli w ręce Drake'a i Elliott. To właśnie z tego miejsca obserwował przerażającą masakrę, której Granicznicy dokonali na renegatach i Koprolitach.

Z dala znów dobiegło zawodzące, przeraźliwe wycie. Trudno było określić, co właściwie wydawało ów dźwięk przypominał bardziej zwierzęcy niż ludzki głos.

Tuż po nim rozległ się kolejny krzyk mrozący krew w żyłach. Will nie miał pojęcia, z jakiego kierunku dochodzi – wydawało się, że uderza o kamienny sufit jaskini i spada na ziemię rozproszonym deszczem dźwięków. Zarówno ten nieludzki, przerażający wrzask, jak i wspomnienie morderczych działań Styksów sprawiały, że Will miał ochotę po prostu upaść na zbocze i zakryć głowę rękami. Nie mógł jednak pozwolić sobie choćby na chwilę słabości; uniemożliwiała mu to lina, która łączyła go z Elliott – ciągnąca bezustannie naprzód, prosto w czarną mgłę. Zmierzali w stronę czegoś, czego – wyczuwał to

instynktownie – wolałby nie widzieć.

Zatrzymał się, poczuwszy dwukrotne szarpnięcie.

Elliott natychmiast znalazła się u jego boku. Nakazała gestem, by szedł dalej; powoli przesunęła dłoń do przodu, a potem ułożyła ją poziomo. Will skinął głową, zrozumiał, że chce, by czołgał się za nią, trzymając się jak najbliżej ziemi.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, dziewczyna zatrzymywała się raz za razem bez żadnego ostrzeżenia. Will kilkakrotnie uderzył głową w jej buty i zawsze cofał się potem odrobinę, by zrobić miejsce. Nie były to długie postoje, przypuszczał więc, że Elliott nasłuchuje tylko, czy ktoś się do nich nie zbliża.

Wydawało się, że Czarny Wiatr powoli ustępuje. Coraz częściej ich oczom ukazywały się fragmenty zbocza, rozmyte obrazy przypominające krajobraz księżycowy. Od czasu do czasu widok w okularze Willa przygasał, a potem wypełniał się elektrycznym śnieżeniem, by wrócić do normy. Zakłócenia te trwały nie więcej niż ułamek sekundy, przywodziły jednak na myśl wspomnienia, gdy jego matka – przybrana matka, poprawiał się w myślach Will – wpadała we wściekłość, bo jej ukochany telewizor nie działał jak należy. Chłopiec pokręcił głową – tamte dni były takie spokojne i beztrudne, tak absurdalnie nieistotne.

Nagle, jakby los chciał mu przypomnieć, gdzie znajduje się w tej chwili, z przodu dobiegł go ten sam przerażający krzyk. Choć wydawał się jeszcze dość odległy, był znacznie wyraźniejszy i wywarł piorunujące wrażenie na Elliott. Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała przez ramię na Willa, zdjeta nagłym lękiem. Jej strach był zaraźliwy – chłopak czuł, jak ogarnia go niczym lodowata fala, tym gorszy, że wciąż nie wiedział, dlaczego tu przyszli.

O co chodzi? Co się stało?

Był zdezorientowany. Gdyby Styksowie urządzali ponownie

masakrę, której świadkiem był kiedyś z Chesterem, Elliott na pewno nie zareagowałaby w ten sposób. Wtedy zachowała całkowity spokój, choć i ona musiała to mocno przeżywać.

Znów zaczęli się czołgać; przytuleni do gipsowej nawierzchni, przesuwali ręce i nogi centymetr po centymetrze, aż wiatr uderzył mocniej w ich twarze i zaczął podnosić z ziemi maleńkie obłoki pyłu.

Dotarli do krawędzi krateru.

Elliott trzymała przed sobą strzelbę gotową do strzału.

Mówiła coś do siebie, a jej głos, przytłumiony i niezrozumiały, z trudem przebijał się przez chustę, którą zsunęła teraz nieco w dół, odsłaniając policzek przyciśnięty mocno do broni. Drżała na całym ciele; lufa strzelby zataczała w powietrzu maleńkie kółeczka. To było do niej niepodobne. Dlaczego? Co się stało?

Wszystko toczyło się dla Willa za szybko, po prostu nie nadążał za rozwojem wydarzeń.

Próbował dojrzeć, co dzieje się w kraterze, żałując, że nie zabrał ze sobą dodatkowej lunety.

Soczewka na jego oku znów zamigotała na moment, później jednak obraz wrócił na miejsce. Will zobaczył kilka kul ustawionych na trójnogach i sporą grupę ludzi. Ze względu na dużą odległość nie rozróżniał szczegółów ubrań ani poszczególnych twarzy. Od czasu do czasu przez krater przepływały obłoki kurzu, które niczym kurtyna przesłaniały, to znów odkrywały rozgrywającą się przed nimi scenę.

Nie mógł już dłużej milczeć. Przysunął się do Elliott, zwijając po drodze łączącą ich linę.

– Co się tam dzieje? – wyszeptał.

– Myślę... myślę, że tam jest Drake – odparła.

– Więc on żyje? – zdumiał się Will.

Nie odpowiedziała, gasząc tym samym radość, z jaką przyjął tę wiadomość.

– Wzięli go do niewoli? – spytał.

– Gorzej – odrzekła zdławionym głosem. Zadrżała lekko. -Tom Cox... też tam jest.

Przeszedł na drugą stronę... Pracuje dla Styksów... – Elliott dodała coś jeszcze zachrypniętym z emocji głosem, lecz wycie wiatru zagłuszyło jej słowa.

– Co oni robią Drake owi?

Elliott milczała przez chwilę, wciąż patrząc przez lunetę strzelby, wreszcie przemówiła łamiącym się głosem: – Jeśli to naprawdę on, to... jakiś Granicznik chce... -Oderwała policzek od strzelby i pokręciła gwałtownie głową. – Przywiązali go do słupa i teraz go torturują. Tom Cox... śmieje się... ten podły byd...

Kolejny krzyk, jeszcze bardziej przerażający niż poprzednie, przerwał jej w pół słowa.

– Nie mogę dłużej na to patrzeć... Nie mogę na to pozwolić – oświadczyła, zaciskając z determinacją szczęki i patrząc prosto w oczy Willa. W okularze jej źrenice zyskały głęboki, bursztynowy odcień.

– Muszę... on zrobiłby to samo dla mnie... – powiedziała, poprawiając ustawienia lunety. Potem wbiła łokcie w pył, ułożyła ramiona tak, by unieruchomić strzelbę, i odetchnęła głęboko kilka razy, po czym wstrzymała oddech.

Will przyglądał się jej w osłupieniu; nie wierzył, że naprawdę zamierza zrobić to, o czym mówiła.

– Elliott? – spytał drżącym głosem. – Ty chyba nie...?

– Nie mogę dobrze wymierzyć... te chmury... nie widzę... – odparła, wypuszczając powietrze.

Minęło kilka sekund długich jak całe lata.

– Och, Drake – powiedziała tak cicho, że Will ledwie ją dosłyszał. Potem znów wzięła głęboki oddech i wycelowała. Strzeliła.

Will omal nie zerwał się z miejsca, przestraszony hukiem

wystrzału. Echo odbiło się od ścian, przetoczyło po równinie i wróciło do nich raz i drugi, aż w końcu znikło gdzieś w wyciu wiatru.

Will nie mógł uwierzyć w to, co zrobiła Elliott. Spojrzał na dno krateru, a potem na nią.

Dziewczyna trzęsa się jak osika.

– Nie wiem, czy mi się udało... Te cholerne, cholerne chmury... ja...

Wprowadziła do komory nowy pocisk, a potem nagle wręczyła broń Willowi.

– Ty popatrz. Odsunął się.

– Weź to! – rozkazała.

Chłopiec, ociągając się nieco, przyjął od niej strzelbę. Nie chciał widzieć, co się dzieje na dole, zdawał sobie jednak sprawę, że nie może odmówić. Ułożył broń tak, jak to robiła Elliott, podniósł soczewkę i spojrział przez lunetę. Powierzchnia okularu była zimna i wilgotna, teraz jednak nie miał czasu, by o tym myśleć. Próbował namierzyć grupę ludzi stojących na dnie krateru. Luneta nastawiona była na duże powiększenie, a w jego niedoświadczonych rękach przesuwawała się gwałtownie z boku na bok, ukazując tylko skalne powierzchnie.

Jest! Zobaczył chyba Granicznika!

Skierował lunetę w miejsce, gdzie przed chwilą mignęła mu sylwetka Styksa. Inny Granicznik! Nie, to był ten sam, stał z boku. Will unieruchomił wreszcie broń, kierując ją prosto na przerażającą twarz Styksa. Strach ścisnął mu żołądek żelazną pięścią, gdy zobaczył, że Granicznik patrzy w górę, na grzbiet, za którym kryli się razem z Elliott. Potem dojrzał także inne sylwetki przemykające za plecami mężczyzny – innych Styksów. Przesunął lunetę nieco dalej.

Gdzie jest Drake?

Wtedy dojrzał przygarbioną postać Toma Coksa, który trzymał w

dłoni jakiś lśniący przedmiot – maczetę, nóż lub inne ostrze. Chwilę później jego oczom ukazał się kołek i zawieszona na nim ciało. Wydawało mu się, że rozpoznaje kurtkę. Drakel Will starał się nie przyglądać temu zbyt uważnie, w czym pomagały mu spora odległość i resztki chmur pozostałych po Czarnym Wietrze. Kiedy już wydawało się, że najgorsze ma za sobą, zobaczył ciemne plamy rozbryzgane na ziemi u stóp Drake'a. W teleskopie plamy nie były czerwone, lecz ciemniejsze, przypominały raczej stopiony brąz. Willa oblał zimnym pot. Zrobiło mu się słabo.

To nie dzieje się naprawdę, mnie tutaj nie ma.

– Trafiłam go? – naciskała Elliott.

Will podniósł nieco strzelbę, by zobaczyć głowę Drake'a.

– Nie wiem...

Nie widział twarzy mężczyzny, gdyż jego głowa pochylona była do przodu.

Z dala dobiegł ich huk wystrzałów. Granicznicy nie wahali się odpowiedzieć ogniem na ich ostrzał.

– Will, skup się, strzelają do nas – syknęła Elliott. – Muszę wiedzieć, czy to zrobiłam.

Will starał się utrzymać lunetę na wysokości głowy Drake'a, jednak obraz raz po raz przesłaniały czarne obłoki. -Nie widzę...

– Musisz! – warknęła Elliott, zdesperowana. Wtedy głowa Drake'a się poruszyła.

– O kurde! – jęknął Will ze zgrozą. – Wygląda na to, że on ciągle żyje.

„Staraj się nie myśleć” – powtarzał sobie raz za razem.

– Strzel do niego jeszcze raz... szybko – błagała Elliott.

– Nie ma mowy! – obruszył się Will.

– Zrób to! Skróć mu męki. Will pokręcił głową.

Nie ma mnie tutaj. To nie ja. To się nie dzieje naprawdę.

– Nie ma mowy! – powtórzył. Czuł się tak, jakby zaraz miał się rozpłakać. – Nie mogę tego zrobić!

– Możesz. Po prostu strzel. Nie mamy czasu. Zaraz tu przyjdą.

Will podniósł strzelbę i z drzeniem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Nie szarp za spust... naciśnij go... powoli... – mówiła Elliott.

Przesunął krzyżyk celownika z głowy Drakea, która od czasu do czasu podnosiła się odrobinę, a potem znów opadała, jakby ten nie miał siły trzymać jej w górze, i zatrzymał go na piersiach. Wmawiał sobie, że tak będzie mu łatwiej trafić. Ale to wszystko było czystym szaleństwem. Will nie był w stanie nikogo zabić.

– Nie mogę tego zrobić.

– Musisz – błagała Elliott. – On zrobiłby to dla nas. Musisz...

Will próbował oczyścić umysł z wszelkich myśli. To nie dzieje się naprawdę. Patrząc na ekran. To nie ja trzymam tę strzelbę.

– Pomóż mu – prosiła po raz kolejny Elliott. – Już!

Ciało chłopca stężało, jakby buntując się przeciw temu, co musiał zrobić. Środek celownika przesuwał się lekko raz w jedną, raz w drugą stronę, wciąż jednak pozostawał tam, gdzie powinien być – na piersiach człowieka, którego tak bardzo podziwiał, a który został tak straszliwie okaleczony. Zrób to, zrób to, zrób to!

Nacisnął mocniej na spust i zamknął oczy. Strzelba wypaliła. Krzyknął, gdy odskoczyła do tyłu, a krawędź lunety uderzyła go w czoło. Nigdy wcześniej nie używał strzelby i nie wiedział, że nie powinien trzymać jej tak blisko oka. Krzywiąc się z bólu i dysząc ciężko, opuścił broń.

Nozdrza chłopca wypełniał ostry zapach kordytu, który do tej pory kojarzył mu się nieodparcie z fajerwerkami. Wiedział, że teraz będzie budził zupełnie inne skojarzenia. Co więcej, Will czuł się tak, jakby został napiętnowany, jakby świat nigdy już nie miał być taki sam.

Będę to w sobie nosił do samej śmierci. Być może zabiłem właśnie człowieka!

Elliott oparła się o niego, przełożyła ręce nad jego ramionami i przesunęła zamek, dotykając twarzą policzka chłopca. Odległa część umysłu Willa zarejestrowała tę niezwykłą bliskość, choć teraz nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Zużyta łuska wypadła na ziemię, a do komory wsunął się nowy pocisk. Will próbował oddać broń Elliott, jednak dziewczyna wepchnęła ją z powrotem w jego ręce, kierując lufę ku górze.

– Nie! Upewnij się! – syknęła gniewnie.

Will niechętnie przyłożył oko do lunety, próbując odszukać kołek i zawieszony na nim ciało Drake'a. Nie mógł. Rozmazany obraz przesuwał się na wszystkie strony. W końcu się udało, lecz wtedy jego ręka oparta na sypkim podłożu obsunęła się.

Spróbował ponownie.

W tej samej chwili dojrzał...

Rebeka.

Stała pomiędzy dwoma wysokimi Granicznikami, na lewo od Drake'a. Patrzyła w jego stronę. Prosto na niego. Poczł się tak, jakby runął nagle w przepaść.

– Trahłeś go? – wychrypiała Elliott.

Lecz Will nie mógł oderwać spojrzenia od Rebeki. Jej czarne, starannie zaczesane włosy ściągnięte były z tyłu głowy; miała na sobie długi płaszcz Graniczników z beżowobrazowymi plamami kamuflażu.

To była ona.

Widział jej twarz.

Uśmiechała się.

Pomachała do niego.

Rozległy się kolejne strzały, kolejne pociski przecięły ze świstem powietrze i ostatnie czarne obłoki. Granicznicy już ich namierzili;

kule padały coraz bliżej, jedna na tyle blisko, że oderwane przez nią skalne odłamki posypały się im na twarze.

– Trafiłeś?

– Tak mi się wydaje – odparł.

– Upewnij się – prosiła.

Will przesunął wzrokiem po ciele Drakea, lecz nagle znów ujrzał Rebekę. Przez tę krótką chwilę, kiedy na nią nie patrzył, zdążyła zdjąć płaszcz, a co bardziej zadziwiające, przesunęła się na drugą stronę słupa podtrzymującego ciało Drake'a.

Nie rozumiał, co ona robi, nagle jednak przyszło mu do głowy, jak łatwo byłoby ją teraz zastrzelić. Jednak mimo że być może zabił Drake'a, nie był w stanie zamordować Rebeki. I to pomimo ogromnej nienawiści, którą do niej czuł.

– No i co? – spytała Elliott, wrywając go z rozmyślań.

– Tak, tak myślę – skłamał, oddając jej strzelbę.

Nie miał pojęcia, czy trafił Drake'a, i nie chciał tego wiedzieć – wolał, by ta kwestia pozostała nierozstrzygnięta. Zrobił wszystko, co mógł, by oddać dobry strzał, by nie zawieść Elliott, a właściwie Drake'a, ale po prostu nie chciał wiedzieć. Nie byłby w stanie znieść takiej świadomości.

/ Rebeka. Stała tam i przyglądała się upiornym torturom.

Jego mała siostrzyczka!

Uśmiechnięta, pewna siebie, zadowolona twarz dziewczyny – ta sama twarz, która patrzyła na niego z dezaprobatą, ilekroć spóźnił się na kolację albo wszedł w ubłoconych butach na dywan, albo zostawił zapalone światło w łazience... Ganiący, pełen wyższości uśmieszek, oznaka władzy, a nawet dominacji... To było już ponad jego siły. Musiał uciec, oddalić się stąd jak najszybciej. Zerwał się na równe nogi i rzucił do biegu, pociągając za sobą Elliott.

Pędzili w dół zbocza najszybciej jak potrafili, choć tym razem to

Will nadawał tempo, a Elliott ledwie za nim nadążała.

Gdy znaleźli się już na równinie, powietrze przeciął nagle jasny błysk; wzmocniony soczewką Drake'a, napełnił oko Willa oślepiającym, bolesnym blaskiem. Chłopiec krzyknął. Najpierw pomyślał, że to Granicznicy, po chwili jednak dotarło do niego, że to wyładowania elektryczne, jakie następują zawsze po przejściu Czarnego Wiatru.

Włosy na głowie i przedramionach aż iskrzyły elektrycznością.

Wokół Willa i Elliott podskakiwały i toczyły się wielkie kule wyładowań elektrycznych, a podziemna przestrzeń znów wypełniła się oślepiającym blaskiem, któremu towarzyszył przetaczający się nad równiną ogłuszający huk. Olbrzymi, powyginany język błękitnego ognia przesunął się pionowo nad ziemią i rozdzielił na dwoje, potem każda z odnóg dzieliła się dopóty, dopóki maleńkie błękitne igiełki całkowicie nie rozpląnęły się w ciemnościach. Powietrze przesycone było zapachem ozonu, zupełnie jak podczas prawdziwej burzy.

– Wyłącz to! – krzyczała Elliott, lecz w tym czasie Will już szukał mosiężnego przycisku na powierzchni pudełka ukrytego w kieszeni. Domyślił się sam, że intensywne światło może uszkodzić urządzenie Drakea. Poza tym z resztek czarnych obłoków wypływało tyle roziskrzonych kul ognia, które toczyły się po równinie we wszystkich kierunkach, że nagle dokoła zrobiło się jasno jak w dzień.

Will i Elliott biegli, nie zbaczając z kursu i nie zważając na unoszące się dokoła kule, choć niektóre z nich osiągały rozmiary piłek plażowych.

Gdzieś w oddali rozległy się strzały. Granicznicy ruszyli za nimi w pościg, jednak w tym zamieszaniu Will nie potrafił określić, jaka odległość dzieli ich od pogoni. Potem usłyszał wściekłe ujadanie psów.

– Psy! – krzyknął do Elliott.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni skórzany woreczek i rozerwała go u góry. Potem zwolniła nieco, by rozsypać na ziemi jakiś proszek.

Will spojrział na nią pytająco, zdyszany i zmęczony długim biegiem; Elliott była jednak zbyt zajęta, żeby to zauważyć. Rzuciła pusty woreczek na ziemię i ponownie przyspieszyła kroku.

Chłopiec czuł, jak ogromne zmęczenie wypełniające jego ciało zмага się z zalewem adrenaliny; wciąż miał w ustach kwaśny smak pobudzającego korzenia, a zarazem czuł w skroniach bolesne pulsowanie, które niemal rozsadzało mu głowę.

Mała roziskrzona kula elektryczności przemknęła tuż obok głowy Elliott, dziewczyna jednak nawet nie zwolniła, niemal ocierając się o powierzchnię ładunku.

Dotarli na skraj Wielkiej Równiny.

Znów znaleźli się w ciemnym wnętrzu tunelu powulkanicznego, zostawiając za sobą blask roziskrzonych kul. Will włączył okular i zobaczył, że Elliott wyciąga z kurtki kolejny skórzany woreczek.

– Co robisz? Co to jest? – wydyszał.

– Parzydła.

– Co takiego?

– Skutecznie zatrzymują psy. Okropnie je parzą – dodała ze złośliwym uśmiechem, wskazując na nos.

Will obejrzał się przez ramię i zobaczył delikatny żółty blask w miejscu, gdzie odrobina proszku wpadła do kałuży. Wydawało mu się, że widział już wcześniej coś podobnego... Tak, taki sam blask wydzielają bakterie, na które natknął się kiedyś z Chesterem i Calem. „Sprytne” – pomyślał. Kiedy pies wciągał je do nosa, wysuszały, a może nawet wypalały śluzówkę. Roześmiał się. Po czymś takim zwierzak nie był już w stanie niczego wytropić.

Biegli i biegli bez końca. Will upadł jak długi, uderzając twarzą o szorstkie podłoże.

Elliott pomogła mu wstać. Gdy oparł się o ścianę, próbując złapać oddech, założyła ładunek i przeciągnęła drut w poprzek tunelu.

Potem znów ruszyła w drogę, podrywając go krzykiem do biegu.

Rozdział trzydziesty piąty



Co to za hałas? – wyszeptał Chester. Wbijając wzrok w ciemność, siedział wraz z Calem przez chwilę w milczeniu, nasłuchując.

– Jest coraz głośniejszy – dodał Chester. – Brzmi jak silnik.

– Cii, ucisz się wreszcie, dobrze? – skarcił go Cal, zdenerwowany.

Znów wsłuchali się w tajemniczy dźwięk.

– Nie potrafię powiedzieć, czy to jest blisko czy daleko oświadczył w końcu Chester, skonsternowany.

– Myślę, że to krąży wokół nas – odparł Cal półgłosem. Nagle hałas przybrał na sile, a potem ucichł. Chester wrzasnął przeraźliwie.

– Szybko, Cal! – wołał szaleńczo. – Włącz latarkę!

– Nie. To ty włącz swoją – odparł Cal. – Elliott powiedziała, że nie powinniśmy...

– Zrób to! – warknął Chester. – TO JEST NA MOJEJ RĘCE! CZUJĘ TO!

To oświadczenie ostatecznie przekonało Cala. Chwycił lampę i poświecił na Chestera.

– O mój Boże! Co to jest? – ryknął Chester, odsuwając rękę od tułowia. Na jego twarzy malował się wyraz panicznego strachu.

Coś siedziało na jego ramieniu, trzymając się odnóżami. Przypominało nieco ważkę, miało bowiem dwie pary cienkich jak pajęczyna skrzydeł, które mieniły się tęczowo w blasku latarki. Była to jednak jedyna cecha tego owada, którą można by od biedy nazwać atrakcyjną. Jego ciało mierzyło około piętnastu centymetrów, od

głowy do ogona, i pokryte było brudnym, brunatnoczerwonym futrem.

Pod parą wielkich, złożonych oczu znajdowały się dwie paskudne trąbki, a długi tułów owada odwinięty był do góry i zakończony ostrym kolcem przypominającym do złudzenia żądło skorpiona. Prawdę mówiąc, gdyby ktoś próbował wymyślić bardziej przerażające i diaboliczne stworzenie, miałyby spory problem.

– Zabierz to! – wycedził Chester przez zaciśnięte zęby, starając się nie poruszać zbyt gwałtownie, by nie sprowokować owada.

Choć wyprostował rękę i wyciągnął ją najdalej jak mógł, stworzenie odwijalo coraz bardziej ogon, jakby chciało uderzyć w twarz chłopca.

– Jak? Co mam z tym zrobić? – pytał Cal drżącym głosem, odsuwając się od Chestera.

– No już! Uderz to czymś!

– Ja... ja... – jąkał się Cal.

Ogon owada zrównał się już niemal z jego głową, skrzydła wibrowały lekko, gdy próbował utrzymać równowagę na drżącej ręce chłopca.

– NA LITOŚĆ BOSKĄ, UDERZ TO, DO CHOLERY! – zawył Chester.

Gdy Cal rozglądał się dokoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć za broń, Chester uznał, że nie może już dłużej czekać i machnął mocno ręką w nadziei, że w ten sposób pozbędzie się natrętnego owada. Ten jednak wcale nie chciał go opuścić; jeszcze mocniej zacisnął trzy pary odnóży. Ogarnięty paniką, Chester zaczął wymachiwać rękami jak szalony, lecz robak trzymał się mocno, kołysząc tylko tułowiem na boki. Nagle zatrzepotał mocniej skrzydłami, poderwał się do lotu i przemknąwszy niebezpiecznie blisko twarzy Chestera, zniknął w ciemnościach.

– To było straszne – wydyszał Chester, drżąc na całym ciele i

wydając z siebie nieartykułowane dźwięki. – Straszne... straszne... straszne... Całe to zasrane miejsce jest jak jakiś gabinet osobliwości. Straszne! – Wydawało się, że powoli dochodzi już do siebie, gdy nagle zaatakował Cal. – Ty! syknął gniewnie. – Dlaczego nie uderzyłeś tego cholerstwa, kiedy cię o to prosiłem?!

– A czym miałem to zrobić? Nie mogłem niczego znaleźć – odparł Cal z pretensją, która natychmiast zamieniła się w gniew. – Tak się składa, że nie noszę ze sobą olbrzymiej packi na muchy.

– Och, daj spokój... Mogłeś to zrobić czymkolwiek – warknął wściekle Chester. – Piękne dzięki, stary... Na pewno nie zapomnę o tym, kiedy ty będziesz miał kłopoty.

Obaj siedzieli przez chwilę nieruchomo, pogrążeni w pełnym urazy milczeniu, aż nagle znów usłyszeli bzyczenie, choć tym razem był to łagodniejszy, wyższy dźwięk.

– Boże, co znowu? – jęknął Chester. – Kolejne paskudztwo?

Tym razem Cal bez żadnej zachęty sięgnął po latarkę.

– Meszki? – zastanawiał się głośno Chester, łudząc się nadzieją, że diaboliczna ważka nie zamierza ponownie złożyć mu wizyty.

– Nie, są większe od meszek – powiedział Cal, gdy w świetle latarki ukazał się gęsty rój owadów wielkości niedożywionych komarów.

– Więc co to jest, do cholery? Rodzina tego wielkiego robaka? Teraz pewnie wszystkie przyleciały, żeby się mną poczęstować! – wrzasnął Chester, zirytowany.

Cal tylko burknął coś w odpowiedzi i klepnął się w kark, poczuwszy bolesne ukąszenie.

– Nienawidzę ich. Zawsze ich nienawidziłem – mówił Chester, próbując przegonić owady, które tłoczyły się przed jego twarzą. – Zabijałem osy i muchy w ogrodzie dla zabawy. Wygląda na to, że teraz chcą się na mnie odegrać.

Małe insekty nie były może tak groźne jak ważka, której przeraził

się Chester, ale znacznie bardziej dokuczliwe i nieustępliwe. Po krótkiej i beznadziejnej walce z wygłodzonym rojem obaj owinęli się szczelnie ubraniami wyciągniętymi z plecaków.

Cal mamrotał coś o rozpaleniu ogniska, potem jednak umilkł i siedział nieruchomo obok Chestera. Wyglądali jak dwie zirytowane mumie, które od czasu do czasu odganiały owady od oczu, jedynej nieosłoniętej części ich ciał.

Will przybiegł pierwszy; wpadł na polanę i zatrzymał się raptownie. Opierając ręce na kolanach, stał nisko pochylony i łapał zachłannie powietrze.

Chester i Cal zerwali się na równe nogi, zdumieni i wystraszeni. Will przedstawiał sobą okropny widok. Jego twarz, pokryta czarnym pyłem Lewantu, ociekała potem.

Jedno oko zakrywała soczewka Drake'a, drugie zaś wysmarowane było krwią sączącą się ze świeżej rany na czole, której nabawił się podczas upadku.

– Co się stało? – wykrztusił Chester.

– To nie jest Drake'a? – spytał Cal w tym samym momencie, wskazując na okular.

– Ja... musiałem... – wysapał Will. Pokręcił głową, wciąż z trudem łapiąc powietrze. – Ja... – spróbował ponownie.

– Zabiliśmy Drake'a – oświadczyła beznamiętnie Elliott, wychodząc zza Willa i stając w kręgu bladego światła wypływającego z latarki Cala. – Przynajmniej tak sądzimy.

Will go wykończył. – Machnęła ręką przed twarzą, by odgonić natrętne owady. Potem rozejrzała się dokoła, zerwała liść paproci i rozgniotła go w dłoni, a następnie przeciągnęła palcami po czole i policzkach. Efekt był niesamowity, owady natychmiast zaczęły jej unikać, jakby chroniła ją niewidzialna tarcza.

– Co ty powiedziałaś? Co o zrobił Will? – zapytał Cal, gdy Chester

zerwał liść z tej samej paproci i postąpił jak Elliott. Will jakby nie zauważał owadów, które obsiadły mu twarz. Stał nieruchomo, a jego odkryte oko wpatrywało się w przestrzeń.

– Musieliśmy. Torturowali go. Był tam ten łajdak Tom Cox, pomagał im – powiedziała Elliott chropawym głosem i splunęła na ziemię.

– Nie – wyszeptał Chester, przerażony.

– I Rebeka – dodał Will, wciąż nie podnosząc głowy. Elliott natychmiast odwróciła się w jego stronę, on zaś mówił dalej, ciągle dysząc: – Była z Granicznikami – urwał, by zaczerpnąć powietrza. – Nie wiem skąd, ale wiedziała, że tam jestem. Mógłbym przysiąc, że patrzyła prosto na mnie... Nawet się do mnie uśmiechnęła.

– I teraz mi to mówisz? – warknęła Elliott. – Przez tego zdrajcę Coksa wyprawa do bazy po sprzęt i tak była wystarczająco ryzykowna, ale teraz na pewno tam nie wrócę. Przynajmniej dopóki ta dziewczyna Styksów na ciebie poluje.

Will pochylił niżej głowę, wciąż zasapany.

– Może byłoby lepiej, gdybym... gdybym się poddał. Może wtedy to wszystko by się skończyło. Może to by ją powstrzymało.

W pełnej napięcia ciszy Will wodził wzrokiem od twarzy do twarzy, licząc na to, że nikt nie przystanie na jego propozycję. W końcu przemówiła Elliott: – Nie sądzę, żeby to miało cokolwiek zmienić – oświadczyła wyzutym z emocji głosem i ściągnąwszy z wargi kawałek

Rozdział trzydziesty szósty



Prrr, mały! Sara wybiegła z za zakrętu tunelu i omal nie wpadła na ścianę, gdy Bartleby wyrwał jak szalony do przodu, pociągając ją za sobą.

– Spokojnie, spokojnie! – krzyknęła, wbijając pięty w ziemię i używając wszystkich sił, by go powstrzymać. Przeciągnął ją jeszcze kilka metrów, nim się to jej udało.

Dyszając ciężko, chwyciła zwierzaka za obrożę i przytrzymała mocno, zadowolona, że ma wreszcie okazję do chociaż krótkiego odpoczynku; mięśnie rąk paliły ją już ze zmęczenia. Wątpiła, czy zdoła o wiele dłużej utrzymać Bartleby ego w ryzach, jeśli ten choć trochę nie zwolni.

Kiedy obrócił sztywno łeb, by na nią spojrzeć, zobaczyła grubą tętnicę pulsującą pod szarą skórą na jego skroni i dziki błysk w ślepiach.

Nozdrza kota były szeroko rozdęte; wyczuwał mocny zapach swego pana i prowadził prosto po jego śladach.

Sara owinęła ponownie grubą skórzaną smycz wokół poobcieranej, obolałej dłoni, odetchnęła kilka razy głęboko i puściła obrożę. Wydając z siebie pełen zniecierpliwienia syk, kot zerwał się ponownie do biegu, a smycz naprężyła się niczym struna.

– Uspokój się! – krzyknęła Sara. Ta komenda najwyraźniej trafiła w odpowiednie miejsce w podekscytowanym umyśle zwierzaka, gdyż nieco zwolnił tempo biegu.

Przemawiając łagodnie do kota i namawiając go wciąż, by zachował spokój, Sara wyczuwała dezaprobatę emanującą z czterech cieni sunących jej śladem. Czterej Granicznicy, w przeciwieństwie do niej i szalonego kota, poruszali się cicho jak duchy. Zazwyczaj tak dobrze zlewali się z terenem, że Sara w ogóle ich nie zauważała. Teraz jednak pozwolili, by kobieta dobrze ich widziała, jakby chcieli ją zastraszyć. Jeśli rzeczywiście taki był ich cel, to został zrealizowany.

Była bardzo, ale to bardzo zaniepokojona.

Rebeka obiecywała jej wcześniej, że będzie mogła szukać Willa na własną rękę.

Dlaczego więc ta eskorta? I dlaczego Rebeka zadała sobie tyle trudu, by wciągnąć ją w obławę zorganizowaną w zupełnie nowym i obcym jej środowisku, skoro jednocześnie zajmowali się tym doskonale wyszkoleni żołnierze? To wszystko nie trzymało się kupy.

W głowie Sary wciąż kołatały się pytania, gdy Bartleby znów wyrwał do przodu i pociągnął ją za sobą, czy tego chciała czy nie.



Elliott zabrała ich z polany i poprowadziła przez gęsty busz. Jako ostatni szedł Will, który co rusz się potykał i chwiał. Chester i Cal martwili się o niego, nie wiedzieli jednak, jak mogliby mu pomóc. Gdy wreszcie wyszli z dżungli, okazało się, że znów trafili nad brzeg morza. Jeszcze przez chwilę przemieszczali się wzdłuż linii wody, aż dotarli do miejsca przypominającego początek zatoki, choć w gęstym mroku żaden z chłopców nie mógł stwierdzić, czy rzeczywiście tak jest.

Will był w naprawdę kiepskim stanie; substancja zawarta w korzeniu, który dała mu Elliott, przestała już działać i w końcu dopadło go ogromne zmęczenie. Szedł na sztywno wyprostowanych nogach niczym potwór doktora Frankenstein, do którego upodabniał go dodatkowo okular nasunięty na oko. Gdy dołączył do pozostałych,

dziewczyna przyjrzała mu się uważnie.

– Jest wykończony, musi się przespać – powiedziała do Cala i Chestera, jakby Willa wcale tam nie było. Will nie zareagował w żaden sposób na jej słowa, stał tylko i chwiał się lekko na nogach. – Nie będzie teraz z niego żadnego pożytku.

Chester i Cal spojrzeli po sobie ze zdumieniem, nie wiedząc, co miały oznaczać te słowa.

– Żadnego pożytku? – powtórzył Chester pytającym tonem słowa dziewczyny.

– Tak, i wcale mnie to nie cieszy. – Elliott odwróciła się do Cala i zmierzyła go wzrokiem. – A co z tobą? Jak twoja noga?

Chester uświadomił sobie natychmiast, że dziewczyna ich ocenia – nie wiedział dokładnie po co, ale wcale mu się to nie podobało; więcej, budziło jego głęboki niepokój. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli mają uciec Styksom, wszyscy muszą być w formie, więc jej słowa przyjął z lękiem.

– Och, z jego nogą jest coraz lepiej. Pozwolił jej odpocząć – wtrącił szybko, zerkając znacząco na Cala, zadziwionego tą nagłą interwencją.

– A on sam nie może mi tego powiedzieć? – spytała Elliott, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.

– A tak, przepraszam – wymamrotał Chester.

– Więc jak to jest z tą nogą?

– Tak, jak powiedział Chester... znacznie lepiej – odparł Cal, demonstracyjnie podkurczając i prostując chorą nogę.

W rzeczywistości okropnie go bolała i za każdym razem, gdy na niej stawał, nie wiedział, czy się pod nim nie ugnie.

Elliott wpatrywała się przez chwilę w twarz Cala, a potem odwróciła się do Chestera.

Chłopiec zastanawiał się właśnie, czego właściwie ma dotyczyć ta

ocena i czy spełnia jej kryteria, kiedy Will wymamrotał słowo „zmęczony” – tylko raz – usiadł ciężko na ziemi i opadł na plecy, po czym zaczął głośno chrapać, pogrążając się natychmiast w głębokim śnie.

– No i padł. Za kilka godzin będzie rześki i wypoczęty stwierdziła Elliott, po czym zwróciła się do Cala: – Zostaniesz z bratem. – Wręczyła mu zapasową lunetę. – Obserwuj wybrzeże... szczególnie groblę. – Wskazała na morze i na nieprzeniknioną ciemność, gdzie krył się pas lądu, który doprowadził ich do grobli. – Jeśli zobaczysz coś niepokojącego, choćby drobiazg, koniecznie mi o tym powiedz. Musisz być czujny, to bardzo ważne... rozumiesz?

– Dlaczego? Dokąd idziesz? – pytał Cal, starając się ukryć niepokój. Wcześniej martwił się, że Elliott i Drake go zostawią, a teraz, gdy stracili Drake’a, obawy te powróciły ze zdwojoną siłą. Czy ona planowała zmyć się z Chesterem i zostawić jego i Willa na lodzie?

– Niedaleko... muszę tylko znaleźć coś do jedzenia – odparła. – Popilnuj też tego – dodała, zsuwając z ramion plecak i kładąc go obok Willa.

To ostatecznie rozwiązało obawy Cala: Elliott z pewnością nie wybierałaby się daleko bez swoich rzeczy. Przyglądał się w milczeniu, jak dziewczyna wyjmuje z bocznej kieszeni bagażu jakieś worki, a potem znika z Chesterem w ciemnościach.

– Jak się czujesz? – spytał Chester, maszerując u boku Elliott. Nastawił latarkę na najśłabszy promień i zgodnie z sugestią Elliott, przysłaniał ją dłonią, oświetlając sobie drogę tylko nikłym, bladym światłem. Dziewczyna, jak zawsze, Elliott stała przez chwilę w milczeniu, a gdy w końcu przemówiła, jej głos brzmiał już znacznie łagodniej: – Po prostu nie mogę pogodzić się z tym, że on nie żyje chlipnęła cicho. – Często mówił, że przyjdzie taki dzień dla jednego z nas lub dla obojga i że takie są po prostu koleje losu. Powiedział, że

musimy być na to przygotowani, ale nie możemy pozwolić, by nas to załamało. Mówił, że nie trzeba się oglądać za siebie, ty/ko korzystać z chwili... – Poprawiła strzelbę przewieszoną przez plecy, bawiąc się skórzanym paskiem. – Próbuję to robić, ale nie jest mi łatwo.

Kiedy Chester patrzył na jej twarz oświetloną bladym, mdłym blaskiem latarki, miał wrażenie, że opadła z niej zacięta, twarda maska, odsłaniając buzię przerażonej i zagubionej nastolatki. Być może po raz pierwszy zobaczył właśnie prawdziwą Elliott.

– Wszyscy jesteśmy z tobą – powiedział ciepło, szczerze jej współczując.

– Dzięki – odparła przytłumionym głosem, nie patrząc mu w oczy.
– Powinniśmy iść dalej.

W końcu dotarli do niewielkiego pasa wybrzeża, gdzie woda wydawała się ciemniejsza, jakby padał na nią cień. Kiedy Chester przyjrzał się uważniej, stwierdził, że pokryta jest ciemnym, grubym osadem, który zgromadził się na płyciźnie.

– Możemy się tu nieźle obłowić – oznajmiła Elliott i wręczyła Chesterowi worki.

Potem weszła do wody, pochyliła ię i przesunęła ręką przez osad, jakby czegoś w nim szukała.

Stawiając drobne kroczki i wciąż rozgarniając gęsty osad, oruszała się powoli wzdłuż brzegu. Nagle wyprostowała ę z triumfalnym okrzykiem. W jej dłoniach rzucało się jakieś wielkie zwierzę. Miało około pół metra długości, a jego srebrne ciało przypominało kształtem spłaszczony stożek, którego boków wyrastały trójkątne, pofałdowane płetwy.

Elliott stała przez chwilę w milczeniu, a gdy w końcu przemówiła, jej głos brzmiał już znacznie łagodniej: – Po prostu nie mogę pogodzić się z tym, że on nie żyje chlipnęła cicho. – Często mówił, że przyjdzie taki dzień dla jednego z nas lub dla obojga i że takie są po prostu

koleje losu. Powiedział, że musimy być na to przygotowani, ale nie możemy pozwolić, by nas to załamało. Mówił, że nie trzeba się oglądać za siebie, tylko korzystać z chwili... – Poprawiła strzelbę przewieszoną przez plecy, bawiąc się skórzanym paskiem. – Próbuje to robić, ale nie jest mi łatwo.

Kiedy Chester patrzył na jej twarz oświetloną bladym, mdłym blaskiem latarki, miał wrażenie, że opadła z niej zacięta, twarda maska, odsłaniając buzię przerażonej i zagubionej nastolatki. Być może po raz pierwszy zobaczył właśnie prawdziwą Elliott.

– Wszyscy jesteśmy z tobą – powiedział ciepło, szczerze jej współczując.

– Dzięki – odparła przytłumionym głosem, nie patrząc mu w oczy.
– Powinniśmy iść dalej.

W końcu dotarli do niewielkiego pasa wybrzeża, gdzie woda wydawała się ciemniejsza, jakby padał na nią cień. Kiedy Chester przyjrzał się uważniej, stwierdził, że pokryta jest ciemnym, grubym osadem, który zgromadził się na płyciźnie.

– Możemy się tu nieźle obłowić – oznajmiła Elliott i wręczyła Chesterowi worki.

Potem weszła do wody, pochyliła się i przesunęła ręką przez osad, jakby czegoś w nim szukała.

Stawiając drobne kroczki i wciąż rozgarniając gęsty osad, poruszała się powoli wzdłuż brzegu. Nagle wyprostowała się z triumfalnym okrzykiem. W jej dłoniach rzucało się jakieś wielkie zwierzę. Miało około pół metra długości, a jego srebrne ciało przypominało kształtem spłaszczony stożek, z którego boków wyrastały trójkątne, pofałdowane płetwy.

Stworzenie poruszało nimi zawzięcie, jakby próbowało płynąć w powietrzu. Na szczycie głowy znajdowało się dwoje wielkich oczu o złożonej budowie, zaś pod spodem dwa wyrostki zakończone kolcami,

które wykręcały się teraz i chciały dosięgnąć Elliott. Z największym trudem utrzymując szamoczące się zwierzę w dłoniach, dziewczyna obróciła się w miejscu i ruszyła biegiem ku plaży. Chester, zaskoczony, próbował zejść jej z drogi i runął jak długi na piasek.

– Boże jedyny! – wykrzyknął. – Co to jest?!

Elliott wzięła szeroki zamach i uderzyła zdobyczą o skałę. Chester nie wiedział, czy ją zabiła czy tylko ogłuszyła, wydawało mu się jednak, że ona się wciąż porusza, choć bardzo wolno. Dziewczyna przekręciła zwierzę na grzbiet, a Chester zobaczył w całej okazałości kolczaste wyrostki i okrągły otwór gębowy najeżony dziesiątkami maleńkich zębów ostrych jak igła.

– Mówią o nich „nocne kraby”. Bardzo smaczne. Chester przełknął z trudem ślinę, jakby za moment miał z wymiotować z obrzydzenia.

– Dla mnie wygląda jak olbrzymi, paskudny rybik – jęknął, nie podnosząc się z piasku.

Elliott zerknęła na jego zniesmaczoną minę i uznawszy, że nie będzie miała z niego żadnego pożytku, podniosła porzucone na plaży worki i wepchnęła zwierzę do jednego z nich.

– To danie główne – oświadczyła. – Teraz...

– Tylko nie mów, że chcesz złapać jeszcze jedno takie paskudztwo – błagał ją Chester piskliwym głosem, jakby za chwilę miał wpaść w histerię.

– Nie, to raczej nie wchodzi w grę – odparła. – Nocne kraby są bardzo rzadkie, a tylko młode ospbniki podpływają tak blisko brzegu. Mieliśmy dużo szczęścia.

– O tak, bardzo dużo – mruknął Chester, wstając w końcu i otrzepując się z piasku.

Stworzenie poruszało nimi zawzięcie, jakby próbowało płynąć w powietrzu. Na szczycie głowy znajdowało się dwoje wielkich oczu o złożonej budowie, zaś pod spodem dwa wyrostki zakończone kolcami,

które wykręcały się teraz i chciały dosięgnąć Elliott. Z największym trudem utrzymując szamoczące się zwierzę w dłoniach, dziewczyna obróciła się w miejscu i ruszyła biegiem ku plaży. Chester, zaskoczony, próbował zejść jej z drogi i runął jak długi na piasek.

– Boże jedyny! – wykrzyknął. – Co to jest?!

Elliott wzięła szeroki zamach i uderzyła zdobyczą o skałę. Chester nie wiedział, czy ją zabiła czy tylko ogłuszyła, wydawało mu się jednak, że ona się wciąż porusza, choć bardzo wolno. Dziewczyna przekręciła zwierzę na grzbiet, a Chester zobaczył w całej okazałości kolczaste wyrostki i okrągły otwór gębowy najeżony dziesiątkami maleńkich zębów ostrych jak igła.

– Mówią o nich „nocne kraby”. Bardzo smaczne. Chester przełknął z trudem ślinę, jakby za moment miał z wymiotować z obrzydzenia.

– Dla mnie wygląda jak olbrzymi, paskudny rybik – jęknął, nie podnosząc się z piasku.

Elliott zerknęła na jego zniesmaczoną minę i uznawszy, że nie będzie miała z niego żadnego pożytku, podniosła porzucone na plaży worki i wepchnęła zwierzę do jednego z nich.

– To danie główne – oświadczyła. – Teraz...

– Tylko nie mów, że chcesz złapać jeszcze jedno takie paskudztwo – błagał ją Chester piskliwym głosem, jakby za chwilę miał wpaść w histerię.

– Nie, to raczej nie wchodzi w grę – odparła. – Nocne kraby są bardzo rzadkie, a tylko młode osobniki podpływają tak blisko brzegu. Mieliśmy dużo szczęścia.

– O tak, bardzo dużo – mruknął Chester, wstając w końcu i otrzepując się z piasku.

Elliott weszła z powrotem do wody, tym razem jednak wpychała ręce głęboko w muł.

– A tego właśnie szukał nasz okaz – poinformowała Chestera,

wyciągając ku niemu ręce ubłocone po łokcie. Na jej dłoni leżały dwie okrągłe muszle o średnicy około trzech centymetrów.

– Prawdziwy przysmak... małże. Sprawdzę, czy nie ma ich tam więcej.

Chester wzdrygnął się mimowolnie na myśl, że miałyby zjeść którekolwiek z tych stworzeń.

– Śmiało, możesz zemdleć już teraz – mruknął pod nosem.

Wracając wzdłuż brzegu tam, gdzie zostawili pozostałych dwóch chłopców, Chester miał przeczucie, że nie wszystko wygląda tak, jak powinno. Dziwił go całkowity bezruch, brak jakiegokolwiek reakcji ze strony Cala. Elliott podeszła prosto do najmłodszego chłopca, sina z wściekłości. Choć ten wciąż pozostawał w pozycji siedzącej, jego głowa spoczywała bezwładnie na piersi; spał równie głęboko jak leżący obok Will.

– Czy ktokolwiek mnie tu słucha? – zwróciła się do Chestera. Była naprawdę wściekła. Do uszu Chestera dobiegł gniewny syk wydobywający się spomiędzy zaciśniętych zębów Elliott. – Czy nie powiedziałam wyraźnie, że ma być czujny?

– Owszem, powiedziałaś – odparł głośno Chester.

– Cii! – uciszyła go i przeszła kilka kroków w dół plaży; uniosła strzelbę i przez lunetę spoglądała na horyzont.

Chester czekał na nią przy śpiących towarzyszach.

– Drake nie puściłby tego płazem – oznajmiła, zdenerwowana, przechadzając się w tę i z powrotem za plecami Cala niczym lwica szykująca się do ataku. Cal, nieświadom tego, co szykuje mu rozwścieczona Elliott, spał sobie w najlepsze.

– Co masz na myśli? – spytał Chester, próbując wyczytać coś z jej oczu.

– Zostawiłby go tutaj. Zwinąłby obóz i poszedł, a on musiałby sobie radzić sam.

– Nie, to by była przesada. Jak długo, twoim zdaniem, mógłby przeżyć? – sprzeciwił się Chester. – W ten sposób wydałabyś na niego wyrok śmierci!

– Trudno.

– Nie możesz mu tego zrobić – nie poddawał się Chester. – Musisz go choć trochę zrozumieć. Ten biedny dzieciak jest kompletnie wykończony; wszyscy jesteśmy.

Elliott była śmiertelnie poważna.

– Nie rozumiesz? Zасыpiając na warcie, mógł skazać na śmierć nas wszystkich – mówiła, zerkając w stronę morza. – Nie wiemy, kogo rzucą teraz przeciwko nam...

Jeśli to będą Granicznicy, nawet ja się nie zorientuję, kiedy nas podejda. Ale może będą to zwykli cywile – Styksowie często posyłają ich przodem, bo zabity cywil to dla nich żadna strata, zwykle mięso armatnie. Dopiero potem do akcji wkraczają prawdziwi żołnierze, kończąc to, co zostało rozpoczęte.

– Tak, ale posłuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj! Popelnisz najmniejszy błąd i trahsz tam, głową w dół! – oświadczyła lodowatym tonem, wskazując kciukiem morze. Zamilkła na moment, jakby zastanawiając się nad czymś, a potem zarzuciła strzelbę na ramię, podeszła do Cala i uderzyła go mocno w tył głowy.

– AAAAAAAAA! – chłopiec wrzasnął przeraźliwie, natychmiast się budząc. Zerwał się z miejsca, wymachując gwałtownie rękami. Potem zrozumiał, że to sprawka Elliott, i przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

– To miał być jakiś żart, czy co? – powiedział, dysząc z oburzenia. – Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie rozbawiło...

Wykopawszy dołek w piasku, Elliott wysłała Chestera i Cala po chrust, który następnie ułożyła wokół zagłębienia. Kiedy uznała, że wszystko wygląda jak należy, rozpałała na dnie maleńkie ognisko.

Ogień robił się coraz większy, więc dziewczyna poprawiła otaczające go gałęzie, by przysłoniły blask.

Tymczasem Chester i Cal obserwowali Willa, który powlókł się nad brzeg morza, do miejsca, gdzie w skałach utworzyło się kilka sadzawek. Zdjął soczewkę z czoła i zaczął przemywać twarz wodą. Potem przez długi czas mył ręce, nacierając je wilgotnym piaskiem i płuczac. Powtarzał ten proces wiele razy, powoli i metodycznie.

– Myślisz, że powinienem do niego pójść? Zachowuje się trochę dziwnie – spytał Chester Elliott, zerkając dyskretnie na przyjaciela. – Co on robi z tymi rękami?

– Opóźniona reakcja – odrzekła krótko.

Cal i Chester spojrzeli po sobie, nadal nic z tego nie rozumiejąc. Po tym, jak dowiedzieli się, że Will być może zabił Drakea, byli właściwie zadowoleni, że do tej pory nie mieli okazji z nim porozmawiać. Akt zabójstwa odsunął go od nich, postawił w miejscu, które dla nich było niedostępne.

Widok jej kamiennej twarzy powiedział mu wszystko, co powinien był wiedzieć, a gniewne słowa utknęły w jego ustach.

– Nie zasypia się na warcie! – warknęła Elliott.

– Nie – odparł, wygładzając koszulę, ogromnie speszony.

– Wydawało mi się, że słyszałem jakieś głosy – powiedział Will i usiadł, przecierając zaspane oczy. – Co się dzieje?

– Nic, przygotowujemy się do kolacji – odrzekła Elliott. Stojąc za plecami Willa, obdarzyła Cala ostatnim, przeciągłym spojrzeniem, a potem przesunęła dłonią w poprzek gardła szybkim, jednoznacznym gestem. Chłopiec skinął posępnie głową.

Więc jak powinni go traktować? Choć nie przeszło im nawet przez myśl, by otwarcie o tym rozmawiać, obaj bez ustanku zadawali sobie to pytanie. Z pewnością nie mogli klepać go po plecach i gratulować. Czy powinni okazywać mu współczucie, ubolewać wraz z nim nad

śmiercią Drake'a i pocieszać go, skoro to o n był przyczyną tej śmierci? Tak naprawdę Will napawał ich obu lękiem. Jak się czuł po tym, co zrobił? Nie chodziło tylko o to, że zastrzelił innego człowieka, że miał na rękach jego krew, ale że tym człowiekiem był Drake... jeden z nich... ich opiekun i przyjaciel...

jego przyjaciel.

Chester spojrzał z troską na Elliott, zastanawiając się ponownie, jak ona sobie z tym radzi. Po krótkiej chwili słabości, kiedy odłoniła się przed nim, znów była taka jak dawniej, pochłonięta bez reszty opieką nad pozostałymi. Chester oderwał się od tych rozmyślań, gdy Elliott wyjęła z worka nocnego kraba i rzuciła go na piasek. Zwierzę było równie żywotne jak w chwili, gdy je złapała, musiała więc przygniść je stopą do podłoża, by nie uciekło.

Chester zobaczył, że Will skończył wreszcie myć ręce i zmierzał w ich stronę.

Poruszał się niemrawo, jakby jeszcze nie całkiem się obudził. Ociekał wodą i wyglądał po prostu okropnie. Nie umył dokładnie twarzy; na jego policzkach, czole i szyi wciąż widniały ciemne plamy, nawet jego białe włosy poznaczone były smugami czerni. W innych okolicznościach Chester pozwoliłby sobie na żart i powiedział mu, że przypomina do złudzenia pandę, ale nie było to ani miejsce, ani czas na żarty.

Will zatrzymał się kilka metrów dalej, nie patrząc nikomu w oczy. Pochylił głowę i spojrzał na swoje stopy, a potem zaczął pocierać palcem wskazującym wierzch dłoni, jakby próbował zdrapać coś paznokciem.

– Co ja zrobiłem? – powiedział, choć trudno było go zrozumieć; bełkotał, jakby miał zdrętwiałe usta. Wciąż nie przestawał drapać.

– Przestań! – rzuciła ostro Elliott.

Will opuścił bezwładnie ręce i jeszcze mocniej się zgarbił.

Chester dostrzegł przesuającą się po twarzy Willa maleńką kropelkę, która rozbłysła na chwilę w blasku ognia. Nie wiedział, czy była to łza czy tylko woda, którą przed chwilą się mył.

– Spójrz na mnie! – rozkazała mu Elliott. Will się nie poruszył.

– Powiedziałam, – spójrz na mnie!

Will podniósł głowę i popatrzył na nią półprzytomnym wzrokiem.

– Tak już lepiej. A teraz wyjaśnijmy sobie coś... Zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić!

– oświadczyła stanowczo, po czym dodała, nieco już łagodniej: – Ja o tym nie myślę...

Ty rób tak samo. Później będzie jeszcze dość czasu, żeby się nad tym zastanowić.

– Ja... – wykrztusił, kręcąc powoli głową.

– Posłuchaj mnie. Strzeliłeś ty, bo ja nie mogłam. Ja zawiodłam Drake'a, ale ty nie.

Zrobiłeś to, co należało zrobić... dla niego.

– W porządku... – przyznał w końcu, wzdychając ciężko. – Mówiłaś coś o kolacji? – spytał po długiej przerwie. Widać było, że robi wszystko, co może, by się pozbierać, lecz w jego obwiedzionych czernią oczach wciąż krył się wyraz głębokiej rozpacz.

– Jak się czujesz? – spytała Elliott, przypominając sobie, że musi oporządzić nocnego kraba, którego wciąż przytrzymywała nogą. Jak się okazało, w samą porę, bo zwierzę wykopało już płetwami dołek w piasku, próbując wyrwać się spod jej stopy i uciec do morza.

– Marnie – odparł. – Przestała boleć mnie głowa, ale czuję się tak, jakbym spędził cały dzień na karuzeli.

– Musisz zjeść coś ciepłego – powiedziała, wyciągając z pochwy nóż i podnosząc nogę blokującą zwierzę. Wyrastki pod głową stworzenia zginały się i prostowały niczym ożywiona antena telewizyjna.

Will wpatrywał się przez moment w tę scenę, oniemiały ze zdumienia, po czym wykrzyknął: – *Anomalocaris canadensis!*

Ku zdumieniu Elliott i chłopców, jego zachowanie gwałtownie się zmieniło. Zaczął skakać po plaży, wymachując rękami, ogromnie czymś podekscytowany.

Elliott przewróciła zdobycz na grzbiet i przyłożyła ostrze do miękkiej tkanki między dwoma segmentami pancerza na jego brzuchu.

– Hej! – wrzasnął Will. – Nie!

Wyciągnął rękę, próbując powstrzymać Elliott od zabicia zwierzęcia, ale dziewczyna była szybsza. Nacisnęła na nóż, a wyrostki pod głową kraba natychmiast przestały się ruszać i opadły bezwładnie.

– Nie! – krzyknął ponownie Will. – Jak mogłaś? To *Anomalocaris!* (żyjący w kambrze drapieżnik morski) – Zrobił krok w jej stronę, nie opuszczając ręki.

– Trzymaj się z dala ode mnie – ostrzegła, podnosząc nóż. – Albo wypatroszę i ciebie.

– Ale... to skamielina... to znaczy... wymarły gatunek... To znaczy, widziałem taką skamielinę... te zwierzęta WYMARŁY! – krzyknął, poruszony i zirytowany, że żaden z jego towarzyszy w ogóle go nie rozumie, a wręcz nie przywiązuje wagi do tego, co próbuje im powiedzieć.

– Naprawdę? Moim zdaniem nie wygląda na wymarłe odparła Elliott, podnosząc zwłoki na wysokość twarzy chłopca, jakby z niego szydziła.

– Nie rozumiesz, jakie to ważne? Nie możesz ich zabijać! Zostaw resztę w spokoju! – Zauważył drugi worek i nie krzyczał już, lecz bełkotał niezrozumiale, jakby wiedział, że i tak nie dogada się z Elliott.

– Przestań się wygłupiać, dobrze? W drugim worku są tylko muszle. Poza tym Elliott mówi, że tu jest mnóstwo tych stworzeń – próbował przemówić mu do rozsądku Cal, wskazując ręką na morze.

– Ale... ale...! – miotał się Will, wystarczyło jednak, że spojrzał na krańcowo zirytowaną Elliott, by zrozumieć, że nie powinien się już więcej awanturować.

Przygryzł wargę, wpatrując się ze zgrozą w martwego *Anomalocaris*. – To był największy morski drapieżnik swoich czasów... T. Rex okresu kambryjskiego – mamrotał ze smutkiem. – Wymarł całkowicie prawie pięćset pięćdziesiąt milionów lat temu.

Will zdumiał się jeszcze bardziej, gdy Elliott wyjęła z drugiej torby małże, jak je nazywała.

– Paznokcie diabła! – wykrzyknął. – *Gryphaea arcuata*. Mam kilka takich w domu.

Znalazłem je z tatą w Lyme Regis... Ale tamte to tylko skamieliny!

Umieściwszy nadzianego na kij *Anomalocaris* nad ogniem, Elliott, Chester i Cal usiedli wokół prehistorycznego grilla, podczas gdy Will rysował żywy paznokieć diabła, który wyzebrał od Elliott. Jego bracia i siostry (a może jedno i drugie – Will nie pamiętał, czy te zwierzęta były hermafrodytami) mieli mniej szczęścia i skwierczeli teraz cicho, ułożeni w żarze na skraju ogniska.

Will mówił do siebie i uśmiechał się głupkowato, zafascynowany prehistorycznym mięczakiem niczym małe dziecko, które znalazło w ogrodzie jakiegoś robala.

– Tak, bardzo gruba skorupa... a te pierścienie... Jest też wieko... – mamrotał pod nosem, stukając końcem ołówka w spłaszczone kółko na szerszym końcu muszli.

Podniósł wzrok i zobaczył, że wszyscy patrzą na niego. – To jest niesamowite!

Wiecie, że to był przodek ostrygi?

– Drake coś o tym wspominał. Lubił jeść je na surowo odparła Elliott, obracając Anomalocaris nad ogniem.

– Żadne z was nie ma najmniejszego pojęcia, jak ważne jest odkrycie tych zwierząt – mówił Will, sfrustrowany całkowitym brakiem zainteresowania z ich strony. – Jak w ogóle możecie myśleć o jedzeniu takich unikatów?

– Jeśli nie chcesz swojej porcji, chętnie ją zjem – wyrwał cię Cal. Potem zwrócił się do Chestera, pytając: – A tak właściwie, to co to jest ostryga?

W czasie gdy jedzenie piekło się nad ogniskiem, Elliott wróciła do sprawy dziwnych, zaspawanych cel, które ona i Cal widzieli w bunkrze. Najwyraźniej temat ten nie dawał jej spokoju i chciała o nim porozmawiać.

– Wiedzieliśmy, że Styksowie mają obóz badawczy, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie on jest i czemu służy.

– Drake coś wspominał, ale skąd w ogóle dowiedzieliście się o tym? – spytał Will.

– Od znajomego – odparła Elliott, spuszczać szybko wzrok. Will mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej oczach niepokój, pomyślał jednak, że ma to coś wspólnego z odkryciem tajemniczych cel.

– Więc wszyscy ci ludzie nie żyli? – spytał Chester.

– Wszyscy prócz jednego – odrzekła Elliott. – Renegata.

– Pozostali byli Kolonistami – dodał Cal. – Poznałem ich po ubraniach: – Ale dlaczego Styksowie zadawaliby sobie aż tyle trudu i ściągali tu Kolonistów, żeby potem ich zabić? – zastanawiał się Chester.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami Elliott. – Zawsze traktowali Głębię jak poligon doświadczalny, to nic nowego, ale teraz wszystko wskazuje na to, że szykuje się jakaś większa sprawa. Drake miał nadzieję, że wy trzej pomożecie nam pokrzyżować szyki Czarnym

Głowom i zepsuć to, co przygotowują. Szczególnie liczył na niego. – Skrzywiła się i wskazała głową na Willa, który wpatrywał się ze zgrozą w martwego Anomalocarisa. – Nie jestem pewna, czy dobrze to przemyślał.

Zdjawszy Anomalocarisa znad ogniska, Elliott ułożyła pieczeń na ziemi, oderwała czubkiem noża jeden z segmentów pancerza na brzuchu i zaczęła kroić mięso.

– Gotowy – oświadczyła.

– Och, świetnie – odrzekł Will głucho.

Niemniej jednak, gdy jedzenie zostało już podzielone, chłopak skapitulował. Odłożył dziennik na bok i zaczął jeść z innymi, początkowo niechętnie, potem jednak z coraz większym zapałem. Zgodził się nawet z ehesterem, że Anomalocaris przypomina w smaku homara. Paznokcie diabła były już znacznie gorsze, choć wszyscy, krzywiąc się nieco, dzielnie próbowali je przeżuć.

– Hmm... Interesujące – skomentował Will. Skończywszy swoją porcję, rozmyślał nad tym, że jest jednym z bardzo niewielu żyjących ludzi, którzy jedli wymarłe zwierzęta.

Oczami wyobraźni ujrzał, jak opycha się burgerem z ptaka dodo, i uśmiechnął się do siebie z zażenowaniem.

– Tak, naprawdę fajne ognisko – roześmiał się Chester, prostując nogi. – Czuję się trochę tak, jakbym znów był w domu.

Will skinął głową.

Orzeźwiający podmuchy wiatru, trzask dogasającego ognia zmieszany z szumem fal i smak owoców morza – wszystko to sprawiło, że Chester i Will poczuli ogromną tęsknotę za dawnym życiem. Te same doznania wywoływały również myśli o innych beztroskich chwilach na powierzchni – mogły to być wakacyjna wycieczka albo przyjęcie na plaży w późny letni wieczór (i choć rodzina Willa rzadko wybierała się na takie wyprawy, a w każdym

razie nie w całości, ta wizja ogromnie go poruszyła).

Jednak im bardziej próbowali udawać przed sobą, że czują się tutaj jak w domu, tym bardziej uświadamiali sobie, że prawda jest zupełnie inna; że znajdują się w dziwnym i niebezpiecznym miejscu, gdzie nigdy nie wiadomo, czy uda się dożyć następnego dnia. Próbowali stłumić to uczucie i gawędzili przez chwilę o tym i owym, starannie unikając wszystkiego, co mogłoby się wiązać ze śmiercią Drake'a. Wkrótce jednak rozmowa się urwała, a każdy z nich pogрузzył się w myślach, w milczeniu spożywając posiłek.

Elliott zabrała swoją porcję nad brzeg morza i od czasu do czasu podnosiła strzelbę do oka, spoglądając na odległą plażę.

– Oho – mruknął Cal, a Will i Chester odwrócili się w stronę dziewczyny, która zerwała się nagle na równe nogi, zrzucając jedzenie na piasek. Przez chwilę stała nieruchomo i wpatrywała się w jeden punkt.

– Musimy iść! – zawołała, nie odrywając oka od lunety.

– Zobaczyłaś coś? – spytał Will.

– Tak, jakiś błysk... Miałam nadzieję, że minie trochę więcej czasu, nim dotrą do plaży... To pewnie oddział zwiadowczy.

Chester przełknął z trudem kawałek mięsa.

Rozdział trzydziesty siódmy



Ty głupi, głupi zwierzaku! – zawołała nie na żarty rozzłoszczona Sara, przedzierając się przez gąszcz sukulentów i próbując nadażyć za Bartlebym, który ciągnął ją mocniej niż kiedykolwiek. Bez wątpienia zwierzak trafił na świeży trop chłopców, co samo w sobie było dobrą wiadomością. Zła wiadomość brzmiała tak, że kot był coraz bardziej nieposłuszny, a raz czy dwa Sara myślała nawet, że ją zaatakuje. – Zwolnij! – krzyknęła.

Smycz trzasnęła głośno i opadła luźno na ziemię, a kobie. ta straciła równowagę i runęła jak długa na plecy. Latarka wyślizgnęła się z jej dłoni i potoczyła się na bok.

Po drodze uderzyła w jakąś roślinę i przestawiła się na najmocniejszy promień.

Spomiędzy drzew wypłynęły smugi oślepiającego blasku, widoczne zapewne z odległości wielu mil. Gdyby Sara chciała poinformować wszystkich o swoim przybyciu, nie dałoby się zrobić tego lepiej.

Straciła dech w piersiach i przez kilka długich sekund nie mogła się ruszyć. Potem podczołgała się szybko do miejsca, w którym upadła lampa, i rzuciła się na nią, zakrywając światło własnym ciałem. Przez chwilę leżała nieruchomo, dysząc i przeklinając. Co za okropna amatorszczyzna! Miała ochotę krzyczeć ze złości, wiedziała jednak, że to tylko pogorszyłoby sytuację.

Wciąż zakrywając latarkę, przestawiła ją na najśłabszy promień, a dopiero potem obejrzała urwaną smycz. Miejsce, w którym pękła,

było nierówne i poszarpane, a kiedy kobieta przyjrzała mu się bliżej, zobaczyła ślady zębów – Bartleby gryzł smycz, kiedy na niego nie patrzyła. A to spryciarz! Gdyby nie była na siebie taka zła, podziwiałaby zapewne jego przebiegłość.

Nim upadła, zdążyła jeszcze zobaczyć jego zad, tylne łapy i pazury, które wyrzuciły w górę pióropusz liści, gdy popędził jak szalony w ciemność.

– Cholerny kot! – mruknęła do siebie, obrzucając zwierzaka wszystkimi obelgami, jakie tylko przyszły jej do głowy. W krótkim czasie pokonał sporą odległość i jeśli sądziła, że zdoła go jeszcze odzyskać, to oszukiwała samą siebie. Straciła jedyną szansę na odnalezienie Willa i Cala. – Cholerny kot – powtórzyła z rezygnacją, wsłuchując się w szum fal. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to iść wzdłuż wybrzeża, wierząc, że w końcu natrafi na swych synów.

Podniosła się z ziemi i ruszyła biegiem naprzód. Miała nadzieję, że Will nie zmienił nagle kierunku marszu i szedł ciągle tam, dokąd popędził Bartleby. Gdyby się okazało, że w którymś momencie skręcił w gąszcz ciągnący się po lewej stronie, nie miałaby najmniejszych szans na odzyskanie go.

Pół godziny później do chlupotu fal dołączył inny dźwięk szum szybko spływającej wody. Sara przypomniała sobie, co widziała na mapie – w pobliżu znajdowało się przejście prowadzące na wyspę. Ruszyła w stronę morza, a szum wody przybierał na sile.

Była już prawie przy grobli, gdy nagle tuż przed nią zmaterializował się jakiś cień.

Omali nie umarła ze strachu. Zobaczyła, że to mężczyzna. Stała na otwartej plaży, a w pobliżu nie było żadnego miejsca, które mogłoby posłużyć za kryjówkę – nie miała pojęcia, skąd się tu wziął.

Ogarnięta paniką, zdjęła strzelbę z ramienia, omali nie upuszczając jej na ziemię.

Usłyszała nieprzyjemny, nosowy śmiech i znieruchomiła, osłaniając się bronią.

Mężczyzna stał zbyt blisko, by mogła ją podnieść i ustawić do strzału.

– Zgubiłaś coś? – spytał głosem kipiącym pogardą. Gdy zrobił krok w jej stronę, podniosła nieco wyżej latarkę. W bladym świetle dojrzała surową twarz o ciemnych oczodołach.

To był Granicznik.

– Nieostrożna, bardzo nieostrożna – powiedział, wręczając jej sznurek zakończony pętlą.

Zadrzała ze strachu, nie wiedząc, czego się teraz spodziewać. Zupełnie inaczej czuła się w pociągu, gdy obok siedziała Rebeka. Tutaj wolałaby raczej nie przebywać w towarzystwie tych potworów – szczególnie jeśli zrobiła coś mogącego ich rozzłościć.

W tej ciemnej głuszy mieli możliwość robić, co im się żywnie podoba. Nagle uderzyła ją myśl, że wręczenie sznura mogło być wstępem do powieszenia jej. Czy prowadzili z nią jakąś grę? Może zamierzali ją zabić, bo uważali, że jest niekompetentna i tylko im przeszkadza. Właściwie nie mogła temu zaprzeczyć – do tej pory popełniała same błędy.

Okazało się jednak, że w tym przypadku jej obawy były nieuzasadnione. Zza nóg Granicznika wychynął Bartleby; drugi koniec sznura obwiązany był wokół jego szyi i zabezpieczony węzłem. Kot trzymał ogon między nogami i zachowywał się jak skruszony winowajca. Sara nie wiedziała, czy Granicznicy spuścili mu lanie, z pewnością jednak przynajmniej porządnie go nastraszyli, gdyż zachowanie zwierzaka uległo radykalnej odmianie. Gdy Sara pociągnęła za sznur, przybliżył się, nie stawiając najmniejszego oporu.

– Zabieramy go stąd – rozległ się inny głos tuż za jej plecami. Sara obróciła się na pięcie i ujrzała jeszcze trzy mroczne postacie –

pozostałych Graniczników. Choć nie widziała ich niemal przez cały dzień, najwyraźniej szli jej śladem. Zrozumiała teraz, skąd brały się opowieści o ich niezwykłych umiejętnościach; naprawdę poruszali się jak duchy. A myślała, że to ona jest w tym dobra.

Sara odchrząknęła niepewnie.

– Nie – zaczęła potulnym tonem, spoglądając w stronę, z której dochodził plusk wody uderzającej o groblę. Mogła patrzeć wszędzie, byle nie w ich martwe oczy. – Pójdę z Łowcą za tropem... na wyspę... żeby...

– Nie ma takiej potrzeby – przerwał Granicznik stojący na jej drodze. Mówił przerażającym, przyciszonym głosem, który wydawał się znacznie bardziej niepokojący niż ostry ton rozkazu. Wyczuwała jego gniew wywołany faktem, że ośmieliła się mu sprzeciwić. Obrócił głowę na bok i z powrotem – był to gest agresji, przedsmak tego, co może ją spotkać, jeśli nadal będzie mu się przeciwstawiać.

– Dość już zrobiłaś – mruknął tonem, który trudno było uznać za coś innego niż wyraz lekceważenia.

– Ale Rebeka mówiła... – zaczęła Sara, świadoma, że mogą to być jej ostatnie słowa.

– Zostaw to nam – warknął jeden z Graniczników za jej plecami. Chwytał ją za rękę z taką siłą, że kobieta natychmiast chciała mu się wyrwać. Jednak nie zrobiła tego, nawet na niego nie spojwała. Wszyscy trzej stali teraz bardzo blisko. Jeden z mężczyzn złapał ją za ramię; na karku czuła ich oddech. Choć wstydziła się do tego przyznać przed samą sobą, była śmiertelnie przerażona. Oczami wyobraźni widziała, jak podrzynają jej gardło i porzucają zwłoki nad brzegiem morza.

– W porządku – powiedziała cicho, a uścisk na jej ramieniu nieco zelżał, lecz dłoń Granicznika wciąż pozostała na miejscu. Sara pochyliła głowę, wściekła na siebie, że nie potrafi się im

przeciwstawić. „Lepiej jednak iść z nimi tłumaczyła samej sobie – niż zginać”. Gdyby wszystko potoczyło się po jej myśli i pojmaliby Willa żywcem, być może zdołałaby jeszcze poznać prawdę o śmierci Tama. Rebeka obiecała jej, że będzie mogła własnoręcznie z nim skończyć – oznaczało to przynajmniej tyle, iż dostaną trochę czasu na rozmowę. Teraz jednak nie miała możliwości dyskutować o obietnicach Rebeki z tymi okrutnymi, bezwzględными ludźmi.

– Idź wzdłuż wybrzeża. Renegaci mogą się wydostać z wyspy w jakiś inny sposób – wyszeptał jej do ucha jeden z Graniczników. Ręka trzymająca kobietę za ramię pchnęła ją nagle w stronę morza. Sara poleciała kilka kroków do przodu, a gdy odzyskała równowagę, po Granicznikach nie było śladu. Została sam na sam ze swoimi myślami, z przygniatającym poczuciem porażki i wstydu. Przeszła taki kawał drogi tylko po to, by zostać odsuniętą od pościgu. Czuła ogromny żal i bezradną złość na myśl o czterech żołnierzach zmierzających na wyspę bez niej. Nie mogła jednak nic na to poradzić. Byłaby głupia, gdyby nadal im się opierała. Głupia i martwa.

Ruszyła powoli wzdłuż brzegu, powtarzając sobie w duchu, by nie przystawać obok grobli. Kusiłaby los, robiąc to. Jedyne, na co się odważyła, to odwrócenie na moment głowy i spojrzenie w tamtą stronę. Choć nie widziała Graniczników, była pewna, że jeden z nich został z tyłu, by sprawdzić, czy wykonuje ich rozkazy. Nie miała innego wyjścia, jak tylko iść tam, dokąd jej kazali, choć wiedziała, że to strata czasu. Will był na wyspie – zabrnął w ślepią uliczkę – i tak niewiele brakowało, by w końcu go tam dopadła.

– Ruszaj się! – warknęła bez potrzeby na Bartlebyego. -To wszystko twoja wina!

Szarpnęła mocno za sznurek. Kot ruszył posłusznie za nią, choć bez ustanku oglądał się na groblę i skamlał cicho. Wiedział równie dobrze jak ona, że idą w złym kierunku.

Rozdział trzydziesty ósmy



Ślad drogi na dnie jaskini. Wąski pas ledwie dostrzegalny na tle skalnego podłoża.

Być może powstały wyłącznie dzięki siłom natury... Doktor Burrows nie był pewien.

Przyjrzał się uważniej i... Jest!... Tak! Zobaczył szerokie kamienne płyty ułożone obok siebie. Czubkiem noża zdrapał ubitą warstwę żwiru i odsłonił szpary między płytami, występujące w regularnych odstępach. Bez wątplenia nie był to naturalny twór... Kiedy doktor Burrows przeszedł w głąb jaskini, zobaczył kilka schodków.

Wszedł na nie i przystanął. Widząc, że ścieżka prowadzi dalej, zaczął przyglądać się uważniej otoczeniu, najpierw po jednej stronie, potem po drugiej. Odkrył, że i tu, i tu z ziemi wystają kamienie ucięte pod kątem prostym.

– Tak! Ktoś zrobił to celowo! – wymamrotał do siebie. Potem zauważył, że głązy ustawione są w równych szeregach. Pochylił się, by obejrzeć je uważniej. Nie, nie w szeregach, lecz w kwadratach.

– Struktury prostoliniowe! – wykrzyknął doktor Burrows, coraz bardziej podekscytowany. – To ruiny! – Odpiął od pasa niebieski młotek geologiczny i zszedł ze ścieżki, rozglądając się uważnie dokoła.

– Fundamenty?

Pochylił się, by dotknąć skalnych bloków. Odgarnął kamyki leżące na ich wierzchu, a potem przeciągnął końcem młotka wzdłuż

krawędzi płyt, odsuwając na bok luźne odłamki. Skinął głową w odpowiedzi na własne pytanie, a jego brudna twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

– Tak, to bez wątpienia są fundamenty. – Wyprostował się i zobaczył kolejne, regularne kształty niknące w ciemności. – Czy to była jakaś osada? – Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej, zaczął doceniać prawdziwą skalę tego, na co się natknął. – Nie, to coś większego! Raczej miasto!

Wsunął młotek z powrotem za pas i otarł spocone czoło, zmęczony ogłupiającym, nieznośnym gorącem. Gdzieś w pobliżu słyhać było plusk cieknącej wody, a w powietrzu unosiły się długie wstęgi pary, które przepływały obok siebie niczym serpentyny. Tuż obok przemknęły dwa nietoperze, rozrywając na moment białe linie.

Olbrzymie roztocze klekotało cicho, czekając na niego na ścieżce niczym dobrze wytresowany pies. Przeszło za nim już ładnych parę kilometrów, nie odstępując go ani na krok. Doktor Burrows cieszył się z towarzystwa, nie miał jednak żadnych złudzeń co do motywów kierujących tym dziwnym stworzeniem. Bez wątpienia liczyło na kolejny poczęstunek.

Przełom, którym było rozszyfrowanie starożytnego języka ludzi niegdyś zamieszkujących te tereny, jeszcze bardziej rozpałił ciekawość doktora i zachęcił do zdobywania coraz to nowej wiedzy na ich temat. Gdyby tylko znalazł jakieś przedmioty, które pozwoliłyby mu stworzyć obraz tamtego świata... Szperał właśnie między fundamentami, szukając czegoś, co mogłoby mu pomóc, gdy wewnątrz jaskini wypełniło się nagle przeraźliwym wrzaskiem; ostrym, przenikliwym piskiem, który odbił się echem od skalnych ścian.

Niemal w tej samej chwili rozległ się głośny szum, coś jakby uumf. Dochodził z góry.

Roztocze natychmiast zastygło w bezruchu.

– Co, u...? – mruknął doktor Burrows. Zadał głowę, ale nie zobaczył niczego, co mogłoby być źródłem tego dźwięku. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie widzi sklepienia jaskini. Wydawało się, że stoi na dnie olbrzymiej szczeliny. Był tak pochłonięty oglądaniem ruin, że nie zbadał najpierw otoczenia.

Powoli przesunął świetlną kulę nad głowę. W półmroku dostrzegł tylko skalne ściany szczeliny, pofałdowane skaliste powierzchnie przypominające barwą i fakturą czekoladę mleczną, ciągnące się wysoko w ciemność. Pozbawiony od tak długiego już czasu ukochanej czekolady i codziennej dawki smakołyków, które stanowiły nieodłączną część jego życia w Highfield, doktor z trudem przełknął ślinę, czując jej potok napływający do ust. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że jest okropnie głodny – zapasy zostawione przez Koproliatów nie były specjalnie smaczne ani, prawdę mówiąc, szczególnie sycące.

Z góry znów dobiegł głośny szum i natychmiast przegnał wszystkie myśli o jedzeniu.

Tym razem był bliższy i głośniejszy. Doktor poczuł na twarzy silny podmuch powietrza – bez wątpienia było to coś naprawdę dużego. Opuścił natychmiast rękę z kulą, zakrył źródło światła obiema dłońmi i przywarł do ziemi.

Choć umierał ze strachu, nie rzucił się do panicznej ucieczki, lecz tkwił w bezruchu między skalnymi ruinami. Znajdował się na otwartym terenie, a w pobliżu nie było niczego, co mogłoby posłużyć mu za kryjówkę. Był widoczny jak na dłoni. Zerknął przez ramię na roztocze. Ogromny pajęczak stał nieruchomo jak posąg, ledwie widoczny w półmroku. Doktor pomyślał, że jest to zapewne rodzaj obrony – stworzenie próbowało się w ten sposób ukryć. Dlatego też, rozumował dalej, coś, co krążyło nad ich głowami, musiało stanowić poważne zagrożenie. Jeśli olbrzymie, chronione grubym pancerzem

roztocze miało powody do strachu, to on powinien się bać jeszcze bardziej. Zapewne właśnie jego obrał sobie za cel niewidoczny stwór. Miękkiego, mięsistego robaka ludzkiego, gotowego do spożycia.

Uumf!

Olbrzymi cień przemknął nad ich głowami.

Z każdą chwilą był bliżej – krążył niczym jastrzęb, zataczając coraz mniejsze kółka.

Doktor wiedział, że nie może dłużej tkwić w bezruchu. W pewnym momencie roztocze poderwało się gwałtownie do biegu, pędząc tam, gdzie, jak sądził doktor, ciągnęła się dalej ścieżka. Burrows zawahał się, a potem ruszył na oślep, potykając się o fundamenty i nierówności. Uderzał gołeniami o skały, ślizgał się na niewidocznych przeszkodach, gnając szaleńczo przed siebie. Jakimś cudem uniknął upadku.

Uumf!

Było tuż nad nim. Mężczyzna stłumił krzyk, odruchowo osłaniając głowę rękami. Co to było, na litość boską? Jakiś skrzydlaty drapieżnik, który wyruszył właśnie na polowanie?

Doktor Burrows znalazł się z powrotem na dróźce. Nie mógł uwierzyć, jak szybko porusza się roztocze, przebiegając w niesamowitym tempie sześcioma odnóżami.

Ledwie widział jego sylwetkę daleko z przodu, a gdyby nie ścieżka, zapewne całkiem by się pogubił. Dokąd jednak prowadziła ta droga i dokąd biegło roztocze?

Uumf! Uumf!

– O nie! – krzyknął i padł na ziemię. Znowu poczuł na twarzy powiew ciepłego powietrza, poruszonego skrzydłami niewidocznego stworzenia. Niewiele brakowało!

Stojąc na czworakach, obrócił głowę do góry, próbując dojrzeć, co go atakuje. Był pewien, że to coś krąży na niewielkiej wysokości i

lada moment zanurkuje w jego stronę, przechodząc do ostatecznego ataku.

Czy tak będzie wyglądał jego koniec? Zostanie porwany przez jakąś podziemną latającą bestię?

Wyobraźnia podsuwała mu najróżniejsze przerażające wizje tajemniczego potwora.

Doktor popędził naprzód na czworakach; przebierał rękami i nogami w szalonym tempie. Musiał znaleźć jakąś kryjówkę, i to szybko.

Nagle uderzył w coś opuszczoną głową. Padł na brzuch, oszołomiony, i natychmiast podniósł wzrok, by zobaczyć, z czym się zderzył. Wciąż znajdował się na ścieżce, przypuszczał więc, że właśnie tędy pobiegło roztocze. Dotarł do ściany jaskini – tego był pewien. Ale było coś jeszcze. Przed nim znajdowało się wejście wydrążone w skalnej powierzchni, z wyraźnie zarysowanym nadprożem umieszczonym około dwadzieścia centymetrów nad ziemią.

Doktor Burrows odetchnął z ulgą, dopuszczając do siebie myśl, że w końcu znalazł bezpieczną kryjówkę. Ruszył dalej, jednak wciąż musiał przypominać sobie o konieczności trzymania się blisko ziemi. Ostre kawałki gruzu raniły mu łydki i kolana, ocierały knykcie do krwi, jednak nie ustawał w wędrówce. Zrobił to dopiero, uświadomiwszy sobie, że od dłuższego czasu nie słyszał przerażającego dźwięku.

Czyżby był już bezpieczny?

Opadł na ziemię i zwinął się w kłębek, wstrząsany falą niepoohamowanych dreszczy.

Była to opóźniona reakcja organizmu na paniczny strach. Doktor wciąż nie mógł przestać się trząść, choć otaczały go całkowita cisza i spokój. Na domiar złego dostał okropnej czkawki; każdy kolejny spazm wstrząsał całym jego ciałem. Po kilku minutach wyprostował

się i wciąż czkając, przekręcił się na bok. W tej pozycji wziął kilka głębokich, drżących oddechów i powoli rozluźnił palce zaciśnięte na świetlnej kuli.

Odchrząknął i wymamrotał: – Tak, tak, tak, hep\ – jakby zawstydzony swoją reakcją, po czym usiadł prosto i rozejrzał się dokoła. Znajdował się w jakimś zamkniętym, ale sporym pomieszczeniu, przedzielonym dwoma rzędami kolumn biegnących po obu stronach i wykutych z tego samego brązowego kamienia, z którego zbudowane były ściany jaskini na zewnątrz. Doktor Burrows szeroko otworzył oczy ze zdumienia. – Co, do hep?



Elliott prowadziła chłopców w głąb lasu. Miejscami podszycie było tak gęste, że musiała wycinać drogę maczetą. Szli za nią gęsiego, pilnując, by gałęzie drzew i krzewów nie uderzyły osoby znajdującej się z tyłu. Było parno; wszyscy oblewali się potem, tęskniąc za otwartą przestrzenią plaży i podmuchami wiatru.

Mimo to Will był w dobrym nastroju. Cieszył się, że znów działają razem, jako jeden zespół, i dbają o siebie nawzajem. Jego zdaniem różnice między nim i Chesterem należały już do przeszłości i przyjaźń między nimi znów będzie wyglądała tak jak dawniej. Najbardziej jednak był zadowolony z Elliott, która bez wahania przejęła obowiązki Drake'a i została ich nowym przywódcą. Nie miał wątpliwości, że doskonale poradzi sobie w tej roli.

Przez całą drogę towarzyszyły im rozmaite dźwięki chrapliwe nawoływania zwierząt i głucho stukotanie. Will próbował zlokalizować ich źródło, rozglądał się więc dokoła i patrzył w górę, ponad gałęzie olbrzymich drzew, niczego jednak nie dostrzegł.

Oddałby wszystko, by móc się zatrzymać i przeprowadzić poszukiwania. Znajdował się w prehistorycznej dżungli, w której żyły zapewne przeróżne fantastyczne stworzenia.

Ścieżka wyprowadziła ich na polanę. Will zerkał na bujną roślinność, modląc się, by dane mu było choć przez sekundę zobaczyć jedno z tych zwierząt. Pobudzona wyobraźnia wciąż podsuwała mu obrazy cudów, które mogły znajdować się zaledwie kilka metrów dalej.

Nagle, gdy właśnie oglądał się za siebie, spomiędzy sukulentów na skraju polany wynurzyła się para stworzeń. Will nie zdążył się im dobrze przyjrzeć, nie był więc pewien, czy są ptakami czy gadami; przypominały dwie karłowate, świeżo oskubane kury o krótkich szyjach i małych, ostrych dziobach. Niczym zręczliwe staruszki, porozumiewały się ze sobą za pomocą chrapliwych dźwięków, które słyszeli już wcześniej. Odwróciły się i pobiegły z powrotem między krzewy, wymachując krótkimi skrzydłami, porośniętymi gdzieś kępkami futra i piór. Chłopiec był ogromnie rozczarowany; to by było na tyle, jeśli chodzi o egzotyczne zwierzęta, o których marzył.

Elliott ponownie wyprowadziła ich na ścieżkę, którą szli dalej, dopóki z przodu nie dobiegł głos Chestera: – Morze – oznajmił.

Zebrali się wokół dziewczyny, kucając między krzewami. Przed nimi ciągnął się pas plaży, słyszeli też ponownie szum morza. Czekali, aż Elliott powie im, co mają teraz robić. Jednak pierwszy odezwał się Cal: – Wygląda dokładnie jak nasza plaża. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zatoczyliśmy koło? – spytał z oburzeniem, ocierając pot z twarzy.

– To nie jest ta sama plaża – poinformowała Elliott chłodnym tonem.

– Ale dokąd teraz pójdziemy? – pytał Cal, marszcząc brwi i spoglądając na rozległe obszary pokryte piaskiem.

Elliott wskazała na morze.

– Więc jesteśmy na wyspie, a jedyna... – zaczął Will.

– ... droga dostępu prowadzi po grobli – dokończyła za niego dziewczyna. – Założę się, że w tej właśnie chwili Czarne Głowy oglądają pozostałości po naszym ognisku.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które wreszcie przerwał Chester, odzywając się słabo: – Więc będziemy musieli płynąć?

Rozdział trzydziesty dziewiąty



Wstał, chwiejąc się lekko, i rozejrzał się dokoła ze zdumieniem. Był oczarowany rozciągającymi się widokami; nienasycony głód wiedzy przegnał wszelkie troski.

Dokuczliwa czkawka nagle ustąpiła i nieustraszony badacz, doktor Burrows, znów zaczął działać. Strach przed nieznanym zwierzęciem i myśli o panicznej ucieczce zostały odsunięte na bok.

– Bingo! – krzyknął.

Trafił do wielkiej budowli wydrążonej w skalnym podłożu jaskini. Jeśli szukał dowodu na istnienie starożytnej rasy, to właśnie go znalazł. Przesuwał się powoli, oświetlając kolejne rzędy kamiennych siedzeń, zniszczonych tu i ówdzie przez spadające odłamki skalne. Kierował się ku przodowi, w stronę, w którą zwrócone były siedzenia, gdy zerknął przypadkowo w górę.

Sufit wielkiej sali był gładki i niemal nienaruszony, tylko w kilku miejscach w skale widniały ubytki. Doktor Burrows oświetlił sklepienie i wydawało mu się, że dojrzał przelotnie coś, co odbiło blask jego kuli.

– Nadzwyczajne! – zawołał, podnosząc światło wyżej. Blask ledwie docierał do lśniącego kręgu o średnicy co najmniej dwudziestu metrów.

– Wyżej... muszę się dostać wyżej – mówił do siebie, wchodząc na najbliższą kamienną ławkę. Wciąż był za nisko, wdrapał się więc na oparcie ławki.

Przesuwał powoli świetlną kulę i chwiejąc się niebezpiecznie na wąskim oparciu, odkrywał kolejne szczegóły wzoru umieszczonego na suficie. Ogromne koło miało brązową lub matowozłotą barwę; być może zostało nałożone na kamienną powierzchnię jako złocenie, a może po prostu było namalowane. Doktor przyglądał mu się badawczo, mówiąc do samego siebie: – Więc mamy tu płaskie koło z... z... co tam jest na środku? Wygląda jak... – mamrotał, mrużąc oczy i przesuwając kulę najwyżej, jak tylko mógł, tak że w końcu spoczywała na czubkach jego palców.

W samym środku koła znajdował się gruby dysk, prawdopodobnie wykonany z jakiegoś metalu. Od krawędzi okręgu rozchodziły się poszarpane linie, przypominające stylizowane, kanciaste promienie.

– Aha! To chyba oczywiste, co masz przedstawiać... Jesteś Słońcem! – oświadczył doktor Burrows, a potem zmarszczył brwi. – Więc co my tu właściwie mamy: podziemną rasę, która oddaje cześć Słońcu? Czy ci ludzie nawiązują do czasów, gdy żyli na powierzchni?

Zwrócił uwagę na coś jeszcze. Wcześniej to pominął, sądząc, iż są to jedynie uszkodzenia zewnętrznego kręgu, teraz jednak zrozumiał swą pomyłkę. Gdy przyjrzał się uważniej, zobaczył obrazy ludzkich postaci chodzących wewnątrz większego kręgu; tak, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości – byli to ludzie rozstawieni w równych odstępach wzdłuż wewnętrznej krawędzi koła, jakby zamknięci w gigantycznej karuzeli dla chomików.

– Hej, koledzy, co wy tam robicie? Jeśli to ma być Słońce, to stoicie w złym miejscu!

– zauważył, jeszcze mocniej marszcząc brwi i spoglądając ponownie na metalowy dysk pośrodku koła. – Nie wiem, kto was zrobił, ale chyba wszystko mu się pokręciło!

Choć obraz wydawał się niekonsekwentny i nielogiczny, uwadze doktora nie uszedł fakt, że lud, który w czasach Fenicjan przedstawiał

Ziemię jako kulę, musiał być naprawdę świątły i znacznie wyprzedzać swoją epokę, mówiąc delikatnie.

Doktor nie mógł już dłużej utrzymać w górze świetlnej kuli, opuścił więc zmęczoną rękę i zeskoczył na ziemię, zadziwiony i skonsternowany tym, co właśnie zobaczył.

! – Tyle wart jest symbolizm! – stwierdził i parsknął lekceważąco, ruszając ponownie naprzód. Minął pierwszy rząd siedzeń, a blask kuli oświetlił znajdujący się przed nimi obszar. Doktor Burrows wstrzymał na moment oddech, ujrawszy podest, na którym leżał ogromny kamienny blok. Kiedy podszedł bliżej, ocenił, że ma w przybliżeniu piętnaście metrów długości i półtora metra wysokości.

– A co ty tu robisz? – spytał głośno. Spojrzał za siebie, na rzędy siedzeń, potem w górę, na sufit z tajemniczymi kręgami, a w końcu ponownie na kamienny blok.

– Mamy tu ławki, mamy dziwne malowidło na suficie i mamy też ołtarz – wyliczał głośno. – Bez dwóch zdań... trafiliśmy do jakiegoś miejsca kultu... do jakiejś świątyni.

Układ sali rzeczywiście przypominał świątynię – archetypiczne miejsce kultu z centralną nawą – a teraz dołączył do tego ołtarz.

Doktor Burrows stąpał powoli naprzód, a blask jego kuli odsłaniał kolejne szczegóły podestu ze skalnym blokiem. Mężczyzna zatrzymał się, podziwiając mistrzostwo rzemieślników, którzy wykonali ołtarz; jego boki ozdobione były pięknymi, misternymi płaskorzeźbami, jakich nie powstydziliby się żaden bizantyjski rzeźbiarz.

W blasku uniesionej kuli doktora Burrowsa po drugiej stronie podestu rozbłysnął kusząco jakiś przedmiot.

– Mój Boże... Spójrz tylko na to!

Wstrzymując oddech z podniecenia, pochylił się niżej. Był to tryptyk; trzy masywne tablice – płaskorzeźby ozdobione obrazami. Sądząc po tym, że odbijając światło kuli, nadawały mu ciepłych

tonów, zostały wykonane z innej skały niż ta dominująca dokoła.

Stopa doktora trafiła na schodek u podstawy ołtarza, potem na kolejny... Powoli, jakby zahipnotyzowany, mężczyzna wspiał się na szczyt kamiennego bloku o szerokości około dwóch metrów. Trzy ogromne tablice ciągnęły się wzdłuż ołtarza i były mniej więcej dwukrotnie wyższe od doktora Burrowsa. Oddychając szybko z podniecenia, naukowiec zbliżył się do środkowej tablicy, otarł ją delikatnie z kurzu i pajęczyn, a potem przyjrzał się uważnie, przekrzywiając przy tym głowę.

– Cudowne, naprawdę cudowne... Polerowany kryształ górski – oświadczył, przesuwając palcami po gładkiej powierzchni. – Jesteś naprawdę piękna... ale dlaczego właściwie się tutaj znalazłaś? – spytał, przyglądając się tablicy z odległości zaledwie kilku centymetrów. – Na Jowisza, zdaje się, że tam jest złoto! – wydyszał z niedowierzaniem, ujrawszy złoty poblask pod przezroczystą warstwą kryształu. – Trzy olbrzymie złote płyty, obłożone rzeźbionym kryształem górskim. Cóż za fantastyczny obiekt! Muszę to opisać.

Choć nie mógł się już doczekać, kiedy obejrzy z bliska płaskorzeźby zdobiące trzy tablice, postanowił najpierw odpowiednio się zorganizować i zaczął gromadzić drewno na ognisko. Była to ostatnia rzecz, jaką chciał się teraz zajmować, uznał jednak, że blask kuli będzie w tych warunkach niewystarczający, by podziwiać złote tablice w całej krasie. W ciągu kilku minut zgromadził wystarczającą ilość suchego drewna i rozpałił niewielkie ognisko na szczycie ołtarza.

Gdy płomienie strzelały już beztrąsko, doktor zaczął czyścić tablice z kurzu, używając do tego swego przedramienia. Jako że nie dosięgał do samej góry, wyjął z plecaka stary obszarpany kombinezon i przecierał nim kryształową powierzchnię, podskakując od czasu do czasu.

Wkrótce nad ołtarzem unosiła się gęsta chmura kurzu, a mężczyzna

przekonał się, że oczyszczenie tablic jest zadaniem ponad jego siły. Przystanął, dysząc ciężko, i przyjrzał im się raz jeszcze, po czym stwierdził z ulgą, że nie musi ich wcale odkurzać. Blask ognia był na tyle silny, że nawet mimo warstwy pyłu płaskorzeźby wydawały się całkiem wyraźne.

– No dobrze, przyjrzyjmy wam się dokładniej, moje drogie – oświadczył, po czym przyłożył ołówek do nowej strony w dzienniku i pogwizdując przez zęby, czekał niecierpliwie, aż kurz opadnie. Czubkiem buta wepchnął do ognia kolejne gałązki i ponownie odwrócił się do tablic, skupiając na nich całą uwagę.

– Ciekaw jestem, co chcesz mi powiedzieć – przemówił niemal zalotnym tonem, stając przed pierwszą z nich, licząc od lewej strony.

W blasku ognia zobaczył niemal natychmiast, że płaskorzeźba przedstawia mężczyznę w nakryciu głowy przypominającym niską mitrę. Człowiek ten miał silnie zarysowane szczękę i brwi, a jego postawa świadczyła o tym, że był osobą niezwykle ważną i posiadającą wielką władzę, co podkreślała także długa laska tkwiąca w zaciśniętej dłoni.

Wizerunek mężczyzny zajmował większą część tablicy. Prowadząc dalsze oględziny płaskorzeźby, doktor Burrows przekonał się, że człowiek w mitrze stoi na czele długiego i krętego pochodu. Korowód ciągnął się w dal, aż po horyzont, przecinając wielką, monotonną równinę. Doktor przysunął głowę bliżej tablicy, potem przekrzywił ją z boku na bok. Starł jeszcze trochę kurzu i dmuchnął na wypolerowaną powierzchnię.

Wizerunek mężczyzny był mocno stylizowany.

– Wpływy egipskie? – mruknął do siebie doktor Burrows, zauważywszy podobieństwo do przedmiotów i wizerunków z okresu starożytnego Egiptu.

Odsunął się o krok od płyty.

– Cóż więc próbujesz mi powiedzieć? Ten koleś to z pewnością jakaś wielka szucha...

przywódca, ktoś w rodzaju Mojżesza, który prowadzi swój lud do tego miejsca, albo... być może wręcz przeciwnie, wyprowadza ich stąd. Ale dlaczego... czemu było to aż takie ważne, żeby ktoś wyrzeźbił cię z tak niezwykłą biegłością i postawił na ołtarzu?

Doktor Burrows nucił przez chwilę jakąś melodię, wypowiadając od czasu do czasu pojedyncze słowa, potem mlasnął.

– Nie, nie powiesz mi już nic więcej, prawda? W takim razie porozmawiam z twoimi kolegami, ale pewnie za chwilę tu wrócę – poinformował milczącą tablicę, po czym obrócił się na pięcie i przeszedł do płyty po prawej stronie ołtarza.

Tutaj sprawa nie była już tak oczywista jak w przypadku poprzedniej płaskorzeźby.

Ta nie przedstawiała jednego, dominującego wizerunku, który od razu rzuciłby się doktorowi w oczy – ten obraz był dużo bardziej złożony i niejednoznaczny. Kiedy jednak Burrows przyjrzał mu się uważnie, zaczął powoli odkrywać jego treść.

– Ach... stylizowany krajobraz... pofałdowane pola... strumień z małym mostkiem...

Co tu się dzieje? – mruknął, wycierając fragment tablicy znajdujący się dokładnie na wysokości jego twarzy. – Jakaś forma rolnictwa... drzewa... może sad? Tak, myślę, że to może być sad. – Cofnął się, by spojrzeć na górną część płyty. – Ale co mają przedstawiać te linie? Ciekawe, bardzo ciekawe...

Dostrzegł dziwne kolumny wypływające z górnego prawego rogu obrazu i przecinające resztę misternie wyrzeźbionego widoku. Pochylił się nisko nad tablicą, a potem ponownie cofnął, próbując zrozumieć, co ona właściwie przedstawia. Nagle znieruchomiał, uświadomiwszy sobie, na co patrzy. W miejscu, z którego wypływały

kolumny, znajdowało się koło.

– Słońce! Och, znów mój stary dobry przyjaciel Słońce! wykrzyknął doktor Burrows.

– Cóż ze mnie za gapa. Takie samo jak to na suficie! – Kula tkwiła w rogu obrazu, rozsyłając dokoła poszarpane promienie. – Więc co t y chcesz mi powiedzieć...

Pokazujesz mi miejsce, do którego ten Mojżesz prowadził swoich ludzi? Czy to była jakaś wielka pielgrzymka na powierzchnię? O to właśnie chodzi?

Zerknął ponownie na tablicę po lewej stronie.

– Władca prowadzący swój lud ku jakiejś wyidealizowanej krainie, na Pola Elizejskie, do rajskiego ogrodu? -Znów spojrzał na obraz przed sobą. – Ale t y pokazujesz powierzchnię Ziemi i Słońce... Co więc taki przyjemny obrazek jak ty robi tutaj, głęboko pod ziemią? Czy jesteś tylko przypomnieniem tego, co znajduje się na górze, odświeżaczem pamięci całego narodu, podziemną fiszką? I kim są ci ludzie: czy to naprawdę jakaś zapomniana kultura czy też przodkowie Egipcjan albo, co bardziej prawdopodobne, Fenicjan, a może... może to coś jeszcze bardziej fantastycznego? – Pokręcił głową. – Czy mogą to być uciekinierzy z zaginionego miasta, z Atlantydy? Czy to możliwe?

Zmitygował się, zrozumiał, że zbyt pochopnie wyciąga wnioski, nie przeprowadziwszy pełnego badania.

– Nie wiem jeszcze, co usiłujesz przekazać, ale zastanawiam się, dlaczego ktoś postanowił cię tutaj umieścić. Jesteś naprawdę tajemnicza. Nie rozumiem cię – to powiedziawszy, doktor umilkł na chwilę i przygryzł wargi w zamyśleniu. – Może t y masz wszystkie odpowiedzi mruknął do siebie, stając przed środkową tablicą.

Był kompletnie zaskoczony tym, co ujrzał. Przypuszczał, że środkowa, a więc jak by się wydawało najważniejsza płyta będzie

przedstawiać coś naprawdę imponującego – może jakiś symbol religijny, obraz wieńczący pozostałe. W rzeczywistości jednak była to najmniej niezwykła część tryptyku.

– Proszę, proszę... – mruknął doktor Burrows.

Płaskorzeźba przedstawiała okrągły otwór w ziemi, wielką dziurę o poszarpanych skalnych krawędziach. Z tej perspektywy doktor widział także fragment jej wnętrza; nie było tam jednak nic prócz skalnych powierzchni.

– Ach! – wykrzyknął, pochylając się do przodu, gdy dostrzegł maleńkie ludzkie postacie na samej krawędzi otworu. – Nie poznałem cię jeszcze dobrze, ale już wiem, że to, co mi pokazujesz, jest naprawdę olbrzymie, prawda? stwierdził, ścierając kciukiem kurz z maleńkich ludzkich postaci, niewiele większych od mrówek. Przez dłuższą chwilę odślaniał coraz to nowe lilipucie sylwetki, aż nagle znieruchomiał i cofnął rękę.

Zobaczył, że z lewej strony głównego pochodłu widnieje kilka podobnych postaci, tyle że z rozłożonymi szeroko rękami i nogami, jakby spadały z dużej wysokości, lecąc w głąb olbrzymiego otworu. Ponad nimi unosiły się dziwne skrzydlate stworzenia. Doktor Burrows stanął na palcach i dmuchnął mocno, próbując usunąć kurz z fruujących istot.

– A to dopiero! – oświadczył głośno. Wydawało się, że mają ludzkie ciała, ale ubrane są w luźne, powiewające szaty, a z ich pleców wyrastają wielkie łabędzie skrzydła. – Anioły... czy diabły? – zastanawiał się głośno. Potem zrobił kilka kroków do tyłu, starając się przy tym nie wejść w płonące ognisko. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, podpierając jedną dłonią brodę, i przyglądał się tajemniczej płycie, pogwizdując przy tym w charakterystyczny, chaotyczny i atonalny sposób. Nagle umilkł.

– Aha! – wrzasnął, przypominając sobie o czymś. Z kieszeni spodni

wyjął pospiesznie mapę Koprołitów, rozłożył ją i podniósł do oczu. – Byłem pewien, że już cię kiedyś widziałem!

Na mapie, na końcu długiej linii przedstawiającej zapewne tunel lub ścieżkę, wzdłuż której ciągnęło się mnóstwo różnych symboli, widniał obrazek przypominający ten z tablicy. Choć na planie miał znacznie prostszą formę i nakreślony został kilkoma pociągnięciami pióra, także przedstawiał dziwny otwór w ziemi.

– Czy to może być to samo? – Burrows pytał sam siebie. Podeszedł bliżej do środkowej tablicy i ponownie jej się przyjrzał z dużą uwagą. Na dole, pod warstwą wyschniętych porostów, znajdowało się coś jeszcze, szczegóły, którego wcześniej nie dostrzegł. Doktor pospiesznie zdrapał martwe porosty i przekonał się, że przesłaniały linijkę pisma klinowego.

– Tak! – wrzasnął w uniesieniu, natychmiast otwierając dziennik na stronie z kamieniem doktora Burrowsa. Tak, to były te same znaki, z których składał się napis na dole tablicy... Mógł go odczytać!

Przykucnął i natychmiast zabrał się do odszyfrowywania ciągu pięciu słów. Raz po raz przenosił wzrok z napisu na dziennik i z powrotem, a na jego twarzy pojawił się szeroki, pełen samozadowolenia uśmiech. Odczytał pierwsze słowo: „OGRÓD...”.

Cmoknął, zniecierpliwiony, spoglądając ponownie na dziennik i na napis.

– Dalej, dalej – ponaglał samego siebie. – Jak brzmi następne słowo? Ach... już wiem, to przyimek określający przynależność... A więc potem będziemy mieli rzeczownik w dopełniaczu, jasne... – mruzczał, przechodząc do trzeciego słowa, które rozszyfrował bez większego trudu. – Tak, to proste, przedimek określony. Teraz będzie pewnie rzeczownik albo grupa rzeczownikowa...

Wziął głęboki oddech i podsumował dotychczasowe osiągnięcia: – Wiemy, że będzie to OGRÓD czegoś albo kogoś... oświadczył.

Następne słowo sprawiło mu znacznie więcej trudności.

– Myśl, myśl, myśl! – powtarzał, za każdym razem uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Weź się w garść, Burrows, ty tępaku! – warknął, wściekły, że jego umysł nie pracuje pełną parą. – Co oznacza reszta?

Rozszyfrowanie pozostałych dwóch słów nie było jednak takie proste. Doktor Burrows czuł coraz większą frustrację. Raz za razem przebiegał wzrokiem po reszcie napisu, licząc, że nagle dozna olśnienia.

W pewnej chwili płomienie zajęły większy kawałek drewna, a ogień rozbłysnął odrobinę jaśniej. Doktor Burrows dostrzegł coś kątem oka i powoli odwrócił głowę od tablicy.

W intensywniejszym blasku ognia zobaczył duże zagłębienia, a może dziury, które pokrywały boczne ściany świątyni. Wiele dziur.

– To dziwne – mruknął, marszcząc brwi. – Wcześniej ich nie zauważyłem.

Kiedy przyjrzał się dokładniej, serce zamarło mu na moment w piersiach. Nie, to nie były dziury... One się ruszały. Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Krzyknął ze zdumienia.

Zobaczył przed sobą tyle olbrzymich pajęczaków, że nawet nie próbował ich liczyć.

Wyglądało to tak, jakby roztocze, z którym się zaprzyjaźnił, wezwało swoich braci i setki podobnych mu potworów zgromadziły się we wnętrzu świątyni na jakimś upiornym, koszmarnym nabożeństwie. Były wśród nich kolosy trzy lub nawet cztery razy większe od tego, który go tutaj sprowadził. Wydawały się wielkie jak czołgi i równie ciężko uzbrojone.

Krzyk męczyzny pobudził je do działania. Zaczęły klekotać zuwawkami, jakby biły brawo. Niektóre ruszyły w jego stronę, pchane nieludzką, ślepią siłą typową jedynie dla owadów. Doktora

Burrowsa oblał zimny pot.

Roztocze, które poznał kilka godzin wcześniej, nie napawało go szczególnym lękiem – choć początkowo starał się trzymać w bezpiecznej odległości, nie czuł się zagrożony teraz jednak sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Było ich zbyt wiele, wydawały się zbyt duże i zbyt głodne. Nagle wyobraził sobie siebie jako olbrzymi kawał mięsa ułożony zachęcająco na ołtarzu przed tym upiornym zgromadzeniem.

„O Chryste, o Chryste, o Chryste” – powtarzał raz za razem w myślach.

Niektóre spośród większych roztoczy – budzące grozę olbrzymy o powyginanych i porysowanych pancerzach zaczęły biec szybciej niż pozostałe, odrzucając na boki swych mniejszych pobratymców. Doktor czuł się tak, jakby po długiej i męczącej wędrówce przez dżunglę trafił wreszcie na polanę, a w następnej chwili zorientował się, że stoi pośrodku rodziny głodnych nosorożców. Wiedział, iż takie spotkanie mogłoby skończyć się dlań naprawdę fatalnie podobnie jak sytuacja, w której właśnie się znalazł.

Chwycił plecak i wcisnąwszy do środka dziennik, zarzucił go na plecy. Tym razem jego umysł pracował na pełnych obrotach. Mężczyzna musiał się wydostać z tego miejsca, i to szybko.

Roztocza szły naprzód, stukając długimi odnóżami w kamienną posadzkę. Niektóre przysiadły na odwłokach, ki podobnych mu potworów zgromadziły się we wnętrzu świątyni na jakimś upiornym, koszmarnym nabożeństwie. Były wśród nich kolosy trzy lub nawet cztery razy większe od tego, który go tutaj sprowadził. Wydawały się wielkie jak czołgi i równie ciężko uzbrojone.

Krzyk mężczyzny pobudził je do działania. Zaczęły klekotać zuwawkami, jakby biły brawo. Niektóre ruszyły w jego stronę, pchane nieludzką, ślepą siłą typową jedynie dla owadów. Doktora

Burrowsa oblał zimny pot.

Roztocze, które poznał kilka godzin wcześniej, nie napawało go szczególnym lękiem – choć początkowo starał się trzymać w bezpiecznej odległości, nie czuł się zagrożony teraz jednak sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Było ich zbyt wiele, wydawały się zbyt duże i zbyt głodne. Nagle wyobraził sobie siebie jako olbrzymi kawał mięsa ułożony zachęcająco na ołtarzu przed tym upiornym zgromadzeniem.

„O Chryste, o Chryste, o Chryste” – powtarzał raz za razem w myślach.

Niektóre spośród większych roztoczy – budzące grozę olbrzymy o powyginanych i porysowanych pancerzach zaczęły biec szybciej niż pozostałe, odrzucając na boki swych mniejszych pobratymców. Doktor czuł się tak, jakby po długiej i męczącej wędrówce przez dżunglę trafił wreszcie na polanę, a w następnej chwili zorientował się, że stoi pośrodku rodziny głodnych nosorożców. Wiedział, iż takie spotkanie mogłoby skończyć się dlań naprawdę fatalnie podobnie jak sytuacja, w której właśnie się znalazł.

Chwycił plecak i wcisnąwszy do środka dziennik, zarzucił go na plecy. Tym razem jego umysł pracował na pełnych obrotach. Mężczyzna musiał się wydostać z tego miejsca, i to szybko.

Roztocza szły naprzód, stukając długimi odnóżami w kamienną posadzkę. Niektóre przysiadły na odwłokach, przechodząc nad ławkami i pokazując doktorowi Burrowsowi lśniące czarne podbrzusza.

Został otoczony. Roztocza były wszędzie; napierały z przodu i z boków niczym atakująca dywizja pancerna – tyle że ta chciała rozerwać go na strzępy.

O Chryste, o Chryste, o Chryste!

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie mógłby po prostu przebiec p

o roztoczach, przeskakując z jednego na drugie, jakby skakał po dachach samochodów stojących w korku. Nie. Brzmiało to zachęcająco, doktor był jednak pewien, że stworzenia nie pozwoliłyby mu na tak brawurową ucieczkę. Wiedział, iż takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Poza tym wolałby raczej nie wracać do jaskini, w której wciąż mógł czekać na niego latający potwór.

Mężczyzna wyciągnął z ogniska płonąca gałąź i pomachał nią przed sobą, próbując w ten sposób odstraszyć szarżujące zwierzęta; pierwszy szereg był już zaledwie kilka metrów od ołtarza, inne zbliżały się z boków. Niestety, ogień nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia – wręcz przeciwnie, wydawało się, że przyciąga je do siebie: niektóre roztocza wyraźnie przyspieszyły.

Zdesperowany doktor Burrows wziął szeroki zamach i rzucił płonąca gałąź w stronę wielkiego pajęczaka. Ognisty pocisk odbił się od pancerza olbrzyma, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

O Chryste, o Chryste, o Chryste, NIE!

Ogarnięty paniką mężczyzna odwrócił się i próbował wspiąć na środkową tablicę tryptyku, rozważając jednocześnie, czy zdoła przejść wyżej, na ścianę znajdującą się nad tablicą. Może w ten sposób zyskałby choć kilka chwil? Na razie nie wybiegał jednak myślą dalej niż parę sekund do przodu.

Ślizgał się po zakurzonej powierzchni płaskorzeźby; nie mógł znaleźć żadnego podparcia.

– RUSZAJ SIĘ, IDIOTO! – wrzasnął do siebie. Jego głos ledwie przebijał się przez przybierające z każdą chwilą na sile głośnie klekotanie roztoczy. Te ogromne stworzenia zachowywały się tak, jakby widok uciekającego posiłku pobudzał je i bawił.

Wreszcie doktor Burrows zdołał zaczepić palcami o boczną krawędź tablicy i wyteżywszy wszystkie siły, podciągnął się nad poziom ołtarza. Dysząc i sapiąc, utrzymywał się w górze, bezradnie

przebierając nogami.

– Proszę, proszę, proszę – powtarzał, czując, że traci siły. Jakimś cudem znalazł oparcie dla stóp w płaskorzeźbie na kryształowej tablicy. Szybko przesunął dłonie w górę, a potem, znów wisząc na rękach, wyszukał stopami kolejny punkt podparcia.

Powtarzając tę samą sekwencję przypominającą ruchy gąsienicy – ręce, stopy, ręce, stopy – wspinał się, walcząc o życie.

Zebrawszy resztki sił, złapał się górnej krawędzi tablicy, potem zaś oparł prawą stopę na brzegu wielkiego otworu wyrzeźbionego w kryształowej powierzchni. Zaciskając palce na skraju płyty – półeczce liczącej nie więcej niż cztery centymetry szerokości – szybko dokonał w myślach przeglądu sytuacji.

Znajdował się w bardzo niewygodnej i niepewnej pozycji, której nie mógł utrzymać przez dłuższy czas; jego ręce i nogi były krańcowo wyczerpane wspinaczką po śliskiej powierzchni. Nie próbował się nawet oszukiwać, że roztocza nie wejdą za nim; widział, jak wspinały się po ścianach świątyni. Był pewien, że lada moment go dopadną. Co mógł jednak zrobić, by się przed nimi bronić? Pomyślał, że w ostateczności będzie kopał je z góry piętą i w ten sposób choć na chwilę odeprze atak.

Spojrzał w górę, gorączkowo obmyślając następny ruch. Zsunął jedną rękę z krawędzi płyty i sięgnął wyżej, dotykając ściany ponad tablicą. Nie, płaska jak naleśnik. Bezużyteczna. Skalna powierzchnia była po prostu zbyt gładka – nie znalazłby na niej niczego, na czym mógłby wesprzeć stopy i dłonie. Gdy ponownie przesunął rękę w dół i z posępną determinacją zacisnął ją na krawędzi tablicy, czuł, jak pot spływa mu strumieniami po czole i plecach. Zastygł na sekundę w tej pozycji i wziął kilka głębokich oddechów, próbując uspokoić rozbiegane myśli.

Niczym człowiek dotknięty lękiem wysokości, sztywno odwrócił

głowę, spoglądając na roztocza. W tej samej chwili świetlna kula wysunęła mu się spod kurtki, a blask padł na zbite szeregi wroga. Jasność wywołała wśród stworzeń ogromne poruszenie; zaczęły jeszcze głośniej klekotać zuwaczkami, jakby przygotowywały się do wielkiego finału.

Z jakiegoś powodu doktor Burrows pomyślał nagle o chińskich pałeczkach; setkach gigantycznych pałeczek rozrywających jego ciało, oddzielających kończyny od tułowia.

– Sio! Uciekajcie! Sio! Idźcie sobie stąd! – krzyczał przez ramię, używając tych samych słów, którymi przeganiał czasem kota sąsiadów z trawnika w Highfield, choć ta sytuacja wyglądała nieco inaczej. Miał za chwilę zostać zjedzony przez tysiąc olbrzymich robali.

Umęczone, wilgotne od potu dłonie z coraz większym trudem utrzymywały ciało mężczyzny w górze. Co jeszcze mógł zrobić? Wciąż dźwigał plecak, a to dodatkowe obciążenie wcale nie ułatwiało zadania. Zastanawiał się, czy nie zrzucić bagażu, zdejmując paski najpierw z jednego, potem z drugiego ramienia, bał się jednak, że sam zsunie się wtedy z kryształowej płyty. Nic więcej nie mógł zrobić, nie miał też dokąd uciec.

Raz jeszcze spojrzał w górę, chcąc się upewnić, że naprawdę nie ma tam czegoś, czego mógłby się przytrzymać i podciągnąć wyżej. Gdy przekrzywił głowę, dostrzegł na suficie świątyni pofałdowany kołaż złożony z ciał olbrzymich pajęczaków; zbitą masę nakładających się na siebie sylwetek, oblanych migotliwym blaskiem ognia. Były już blisko. Doktor czuł się jak człowiek uwięziony w sennym koszmarze.

– Chryste! – wydyszał zdesperowany.

Jego lewa dłoń zsuwała się powoli z krawędzi tablicy, ślizgając się na nasiąkniętej potem warstwie kurzu. Przesunął rękę nieco dalej, jednocześnie starając się na niej podciągnąć.

Coś zaczynało się dziać.

Niski pomruk zatrząsł całym ciałem doktora. O Chryste, o Chryste, o Chryste!

Mężczyzna rozejrzał się szybko dokoła, obracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Wisząca na jego szyi kula kołysała się tak mocno, że blask tylko go dezorientował.

– Och, nie! Co teraz?! – krzyknął, ogarnięty nową falą przerażenia.

Miał dziwne wrażenie, że się porusza... Ale jak to możliwe? Jego dłonie, choć całkiem zdrętwiałe ze zmęczenia, wciąż tkwiły na swoim miejscu, podobnie jak stopa oparta na płaskorzeźbie. Nie, nie zsuwał się po tablicy prosto w żuwaczki wygłodniałych pajęczaków.

To było coś zupełnie innego.

W jednej chwili drzenie ustało. Mimo że sytuacja, w której znajdował się doktor, nie polepszyła się ani trochę, pogratulował sobie w myślach i podciągnął się wyżej.

Nagle drzenie i niski pomruk powróciły, tym razem ze zwiększoną siłą.

W pierwszym momencie doktor pomyślał, że to jakiś podziemny wstrząs, podpowierzchniowe trzęsienie ziemi. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl, uświadomiwszy sobie, że to on się porusza, a nie otoczenie.

Kamienna tablica – środkowa część tryptyku, której trzymał się kurczowo, walcząc o życie – powoli się przechylała. Pod jego ciężarem przesuwiała się do przodu, w kierunku ściany świątyni.

– Pomocy! – jęknął Burrows.

Wszystko działo się tak szybko, że doktor nie nadążał za rozwojem wypadków.

Odnotowawszy ruchy tablicy, uznał natychmiast, iż wyrwała się ona z mocowań i przewraca się na ziemię. Nie widział, że w rzeczywistości ogromna skalna płyta obraca się wokół środkowej osi,

która znajdowała się tuż pod jego stopami. Czy mu się to podobało czy nie, obracał się wraz z nią.

Tablica nabierała rozpędu. Mężczyzna wciąż trzymał się jej kurczowo, aż nagle znalazł się w pozycji poziomej; nie tyle wspinał się po skalnej powierzchni, ile na niej leżał. Płyta osiągnęła maksymalny przechył i zatrzymała się raptownie. Temu zdarzeniu towarzyszył huk kamienia uderzającego o kamień.

Doktor Burrows poleciał do przodu jak wystrzelony z katapulty, wykonując w powietrzu kilka niezdarnych, bezładnych kozioków. Na szczęście lot nie był długi i zakończył się niemal tak szybko, jak się zaczął. Doktor wylądował na plecach, pozbawiony na moment oddechu. Krztusząc się i zachłystując, wbił dłonie w miękkie piach, na którym leżał. Miał szczęście – piasek zamortyzował upadek.

Za plecami mężczyzny rozległy się nagle głuchy huk i ostry syk, a twarz doktora pokryła się wilgotną mgiełką.

– Co...? – Doktor Burrows usiadł i obrócił się, pewien, że zaraz ujrzy horde pajączaków pędzących w jego stronę. Ponieważ podczas upadku zgubił okulary, w gęstym mroku nic nie widział. Przez chwilę wodził dłońmi po piasku, jednak wkrótce odnalazł porzucone binokle i szybko je założył.

W tym samym momencie usłyszał pod bokiem skrobanie. Odwróciwszy gwałtownie głowę, dojrzał coś zadziwiającego. Była to noga jednego z roztoczy, gruba jak końska pęcina i ucięta w miejscu odpowiadającym zapewne ludzkiemu ramieniu. Doktor patrzył w niemym osłupieniu, jak łapa otwiera się i zamyka z ogromną siłą, przesuwając się po piasku. Poruszała się tak, jakby miała własny rozum i być może właśnie tak było.

Doktor odsunął się od uciętej kończyny i wstał, lekko się przy tym zataczając. Wciąż kasłał i rzeził chrapliwie, odzyskując powoli oddech. Rozglądał się trwożliwie dokoła. Nie wiedział, czy lada

moment nie dopadnie go stado wygłodniałych pajęczaków.

Jednak nie było po nich ani śladu, a wokół wznosiły się gładkie skalne ściany, panowały ciemność i głucha cisza.

Wciąż nieco oszołomiony, próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Wydawało się, że jakimś cudem został przeniesiony w zupełnie inne miejsce.

– Gdzie, u diabła, jestem? – mruknął i pochylił się, opierając dłonie na kolanach.

Po kilku minutach poczuł się lepiej i stanął prosto, by przyjrzeć się nowemu otoczeniu. Przypomniał sobie, jak płyta zaczęła się przechylać pod jego ciężarem, i już po kilku sekundach odtworzył w myślach przebieg wydarzeń. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jakie miał szczęście, i zaczął paplać do samego siebie: – Och, dziękuję, dziękuję... – złączył ręce w krótkiej modlitwie, roniąc łzy wdzięczności.

Powietrze znów wypełniło się ciepłą, lepką mgiełką. Gęsta ciecz wydzielająca okropny, nieludzki smród, który dławił w gardle. Doktor Burrows rozejrzał się dokoła, ciekaw, skąd wypływa ta substancja.

Dwa metry nad ziemią ze ściany wystawały lśniące, pogruchotane szczątki roztocza, które bez wątplenia zostało zmiążdżone przez wracającą do pionu kamienną płytę.

Niebieskawa, przezroczysta ciecz sączyła się z kilku uciętych rurek różnej wielkości – niektóre były szerokie jak rynny – wystających z rozgniecionego, zmasakrowanego ciała. Doktor przyglądał się im z zaciekawieniem, gdy nagle z jednej z rurek wystrzelił strumień śmierdzącego płynu, omal nie przyprawiając go o palpację serca. Wyglądało to tak, jakby na moment otwierały się zawory przedziwnej maszyny, wypuszczając nadmiar cieczy i regulując ciśnienie.

Doktor pomyślał, że gdzieś w pobliżu może znajdować się głowa pechowego roztocza, a sądząc po zachowaniu poruszającej się

nieustannie nogi, zuwaczki tego łba prawdopodobnie wciąż mogły być całkiem sprawne. Nie zamierzał zostać ani chwili dłużej w tym miejscu, by przekonać się, czy tak jest w istocie.

– Ty stary głupcze, omal nie przejechałeś się na tamten świat – mruzczał pod nosem, oddalając się pospiesznie od szczątków roztocza. Otarł rękawem spoconą twarz.

Wciąż nieco oszołomiony, ujrzał przed sobą łukowato sklepiony korytarz prowadzący w głąb Ziemi. Na jego dnie znajdowały się szerokie stopnie... wiele stopni, po których mężczyzna zaczął powoli schodzić, wciąż mamrocząc pod nosem modlitwy dziękczynne.

Rozdział czterdziesty



Sara, zrezygnowana i przygnębiona, siedziała na plaży, obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana. Już nawet nie próbowała się ukrywać; włączyła latarkę na pełną moc i razem z czuwającym u jej boku Bartlebym wpatrywała się w fale uderzające o brzeg.

Zrobiła tak, jak kazali Granicznicy – szła wzdłuż brzegu. Wiedziała jednak dobrze, że nic w ten sposób nie osiągnie, i że dla Styksów był to tylko sposób na pozbycie się jej.

Wędrując po plaży, Sara zauważyła, że Bartleby pozbawiony możliwości dalszego tropienia zupełnie stracił wigor. Nie mogła go za to obwiniać; było coś wzruszającego w nieustępliwości i entuzjazmie, z jakimi wcześniej szukał swego pana. Wciąż przypominała sobie, że ten Łowca był towarzyszem Cala i prawdę mówiąc, spędził z nim znacznie więcej czasu niż ona, a przecież to ona była matką chłopca!

Ogarnięta nagłym przypiływem czułości, obserwowała, jak wielkie łopatki Bartleby'ego unoszą się i opadają hipnotycznie w rytm jego kroków, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie. Nawet gdy zachowywał się normalnie, widać je było wyraźnie pod luźną, pozbawioną włosów skórą. Jednak teraz, gdy szedł ze zwieszoną głową, wystawały jeszcze bardziej. Jego pysk znajdował się zaledwie kilka centymetrów nad ziemią i choć Sara nie widziała ślepiów zwierzęcia, była przekonana, że w ogóle nie zwraca uwagi na otoczenie. Sposób, w jaki się poruszał, wiele mówił – kot wyglądał dokładnie tak, jak ona się czuła.

Teraz, gdy oboje siedzieli na plaży, nie mogła zapanować nad żalem i frustracją.

– Szukanie wiatru w polu – mruknęła do kota, który drapał się właśnie łapą po uchu, jakby coś go drażniło. – Byłeś kiedyś na polu? – zwróciła się do niego, a zwierzak znieruchomiał z łapą uniesioną w powietrzu i spojrzał na nią wielkimi lśniącoymi ślepiami. – O Boże, sama już nie wiem, co mówię – mruknęła i opadła na biały piasek. Bartleby znów zaczął się drapać. – Ani co robię – wyznała kamiennemu sklepieniu jaskini ukrytemu w ciemnościach.

Co zrobiłby w tej sytuacji Tam? A właściwie, co bardziej istotne, co pomyślałby o niej, gdyby znalazł się tu w pobliżu i widział jej działania? Ukorzyła się przed bandą bezdusznych Graniczników. Przybyła tu, żeby poznać prawdę o śmierci brata, a także bezpiecznie sprowadzić Cala do domu w Kolonii. Wyglądało jednak na to, że jest daleka od osiągnięcia któregośkolwiek z tych celów. Czuła, że zawiodła na całej linii.

– Czemu im się nie sprzeciwiłam? – pytała samą siebie. – Bo jestem po prostu słabeuszem – stwierdziła głośno. – Dlatego właśnie!

Zastanawiała się, jak potoczą się wypadki, jeśli Granicznikom uda się schwytać Willa żywego. Gdyby to zrobili i gdyby stanęła z nim twarzą w twarz, jak by się zachowała? Granicznicy spodziewaliby się zapewne, że zabije go z zimną krwią. Nie mogłaby tego zrobić, nie wiedząc, czy to naprawdę on odpowiada za śmierć Tama.

Gdyby jednak tego nie zrobiła, spotkałoby go coś gorszego... coś niewymownie gorszego. Wolała nawet nie myśleć o torturach, jakie zadałaby mu Rebeka i jej Styksowie. Kiedy się nad tym zastanawiała, dotarło do niej, jak silnym uczuciem wciąż darzy swego syna i to pomimo wszystkiego, co rzekomo zrobił. Była jego matką! Z drugiej jednak strony wcale go nie znała. Może rzeczywiście był zdolny do tego, by zdradzić własną rodzinę?

Musiła znaleźć go pierwsza. Musiała poznać prawdę. Niepewność doprowadzała ją do szaleństwa.

Wróciła myślami do Tama. Nagle ogarnęła ją ogromna wściekłość na los, który odebrał życie jej bratu. Tracąc panowanie nad sobą, wbiła palce w piach, wygięła plecy w łuk i krzyknęła na cały głos: - TAM!

Bartleby wystraszony nagłym wrzaskiem zerwał się na równe nogi. Przyglądał się jej ze zdumieniem, gdy rozluźniła mięśnie i opadła bezwładnie, pograżając się w posępnej, bezradnej ciszy. Nie mogła znaleźć ujścia dla wypełniającego ją gniewu; nie wiedziała, co ma z nim zrobić. Czuła się jak nakręcana zabawka uruchomiona przez Rebeke i jej towarzyszy, a potem pozostawiona sama sobie.

Bartleby skończył się myć i parsknął kilkakrotnie, jakby wypluwał ziarenka piasku, po czym ziewnął szeroko. Opadł ponownie na ziemię, puszczając przy tym bąka, który zagłuszył nawet szum fal.

Sara nie była tym zaskoczona; już wcześniej zauważyła, że kot uzupełnia dietę, zjadając rozkładające się resztki znajdujące po drodze. Najwyraźniej coś mu zaszkodziło.

– Sama lepiej bym tego nie wyraziła – wymamrotała Sara, zgrzytając zębami w bezsilnej złości.

Rozdział czterdziesty pierwszy



Jako że i tak nie miał innego wyjścia, doktor Burrows szedł długim kamiennym korytarzem, który w końcu zaprowadził go do wielkiej jaskini. Mężczyzna odkrył ze zdumieniem, że i tu znajduje się ścieżka z regularnie ułożonych kamiennych bloków, więc ruszył nią w dół łagodnego zbocza. Wszędzie, gdzie tylko sięgał blask kuli, ziemia upstrzona była wielkimi menhirami – przysadzistymi głazami o wysokości trzech lub czterech metrów – w kształcie kropli; miały zaokrąglone końce. Był to naprawdę przedziwny widok, zupełnie jakby jakiś półbóg rozrzucał po okolicy wielkie kawałki ciasta.

Stwierdziwszy, że wszystkie menhiry mają ten sam kształt, doktor Burrows zaczął się zastanawiać, czy są one wytworem natury, czy też zostały ustawione w jakimś określonym szyku. Nie przerywając marszu, mamrotał pod nosem różne teorie dotyczące ich powstania. Od czasu do czasu podskakiwał lekko ze strachu, kiedy w blasku światła menhir rzucał cień na nieco bardziej oddalone głazy, co sprawiało wrażenie, że ktoś się między nimi czai. Po niedawnych doświadczeniach ze skrzydlatym potworem i armią głodnych roztoczy wolałby już nie ryzykować spotkania z przedstawicielami miejscowej fauny.

Równolegle inna część umysłu doktora analizowała bezustannie obrazy, które widział na tryptyku, próbowała znaleźć w nich jakiś sens. Burrows żałował szczególnie, że nie zdołał odczytać do końca napisu na środkowej tablicy. Z ogromną chęcią poświęciłby jeszcze

trochę czasu, by go przetłumaczyć, ale też za żadne skarby świata nie wróciłby teraz do świątyni, w której został ów napis. Choć nie mógł się nim należycie zająć, przynajmniej widział pozostałe słowa i teraz starał się je sobie przypomnieć.

Wykorzystując często stosowaną przez siebie technikę, doktor Burrows zmusił się do myślenia o czymś niezwiązanym z tą sprawą z nadzieją, że uda mu się odblokować obrazy zamknięte w pamięci. Skierował więc wszystkie myśli ku mapie Koproliłów, która w dużej części wciąż pozostawała dla niego zagadką.

Wszystko, co do tej pory napotkał – czekoladową jaskinię, a nawet świątynię – wyraźnie zaznaczono na mapie, wystarczyło tylko dobrze się przyjrzeć. Problem polegał na tym, że dziwne ikony przedstawiające owe punkty były mikroskopijnej wręcz wielkości, a on zgubił gdzieś po drodze szkło powiększające. Doktor przypuszczał, że nawet gdyby je miał i tak niewiele by mu to pomogło, gdyż żaden z symboli nie był opisany; mógł więc tylko odgadywać, co przedstawiają, albo obejrzeć je w naturze.

Niemniej jednak mapa Koproliłów dała mu przynajmniej wyobrażenie o skali Głębi.

Składała się ona z dwóch głównych elementów; po lewej znajdowały się Wielka Równina i otaczające ją obszary, po prawej zaś coś, co wyglądało na olbrzymią dziurę w ziemi (w tym przypadku nie potrzebował szkła powiększającego, by ją zobaczyć). Przypuszczał, że to ta sama dziura, która przedstawiona została na tryptyku.

Od Wielkiej Równiny odchodziły liczne ścieżki, a wiele z nich zbiegało się z powrotem przy tajemniczym otworze, Równolegle inna część umysłu doktora analizowała bezustannie obrazy które widział na tryptyku, próbowała znaleźć w nich jakiś sens. Burrows żałował szczególnie, że nie zdołał odczytać do końca napisu na środkowej tablicy. Z ogromną chęcią poświęciłby jeszcze trochę czasu, by go

przetłumaczyć, ale też za żadne skarby świata nie wróciłby teraz do świątyni, w której został ów napis. Choć nie mógł się nim należycie zająć, przynajmniej widział pozostałe słowa i teraz starał się je sobie przypomnieć.

Wykorzystując często stosowaną przez siebie technikę, doktor Burrows zmusił się do myślenia o czymś niezwiązanym z tą sprawą z nadzieją, że uda mu się odblokować obrazy zamknięte w pamięci. Skierował więc wszystkie myśli ku mapie Koproliłów, która w dużej części wciąż pozostawała dla niego zagadką.

Wszystko, co do tej pory napotkał – czekoladową jaskinię, a nawet świątynię – wyraźnie zaznaczono na mapie, wystarczyło tylko dobrze się przyjrzeć. Problem polegał na tym, że dziwne ikony przedstawiające owe punkty były mikroskopijnej wręcz wielkości, a on zgubił gdzieś po drodze szkło powiększające. Doktor przypuszczał, że nawet gdyby je miał i tak niewiele by mu to pomogło, gdyż żaden z symboli nie był opisany; mógł więc tylko odgadywać, co przedstawiają, albo obejrzeć je w naturze.

Niemniej jednak mapa Koproliłów dała mu przynajmniej wyobrażenie o skali Głębi.

Składała się ona z dwóch głównych elementów; po lewej znajdowały się Wielka Równina i otaczające ją obszary, po prawej zaś coś, co wyglądało na olbrzymią dziurę w ziemi (w tym przypadku nie potrzebował szkła powiększającego, by ją zobaczyć). Przypuszczał, że to ta sama dziura, która przedstawiona została na tryptyku.

Od Wielkiej Równiny odchodziły liczne ścieżki, a wiele z nich zbiegało się z powrotem przy tajemniczym otworze, jakby były to ulice łączące ze sobą dwie pobliskie miejscowości na powierzchni Ziemi. Teraz doktor szedł właśnie jedną z takich dróg.

Na mapie widniało także całkiem sporo szlaków biegnących od wielkiego otworu aż do prawej części planu, wydawało się jednak, że

wszystkie urywają się nagle, niczym ślepe zaułki. Doktor nie wiedział, czy było tak dlatego, że Koprolici nigdy ich nie używali, czy też dlatego, że nigdy nie próbowali ich zbadać. Ten drugi powód wydawał mu się jednak mało prawdopodobny – Koprolici żyli tutaj od Bóg wie ilu pokoleń, a do tego byli świetnymi górnikami, nie przypuszczał więc, by zostawili choćby najmniejszy skrawek terenu odłogiem, nie zbadawszy go przedtem dokładnie.

Co więcej, Koprolici byli nie tylko górnikami, ale i świetnymi poszukiwaczami – te dwie profesje wiązały się ze sobą – z pewnością więc sprawdzili, czy w tych dalej położonych obszarach nie kryją się jakieś cenne kamienie.

Doktor zastanawiał się, czy jego „wielki obchód” podziemnego świata nie skończy się tym, że będzie zaglądał do tych ślepych uliczek i bez końca wracał po własnych śladach. Gdyby udało mu się znaleźć pożywienie i co ważniejsze, czystą wodę (a to było bardzo duże „gdyby”), gotów był zbadać wszystkie obszary zaznaczone na mapie Koproliców w poszukiwaniu starożytnych osad i ciekawych wytworów cywilizacji.

Jeśli rzeczywiście mapa pokazywała cały podziemny świat, jego podróż miała wyraźnie określony koniec. To zaś oznaczało, że nie będzie już schodził na niższe poziomy płaszcza Ziemi, gdzie mogą kryć się niesamowite archeologiczne skarby albo gdzie niegdyś żyły nieznane cywilizacje. Albo wciąż żyją.

Wiedział, że nie powinien być rozczarowany. Pomimo wszystkich niebezpieczeństw, którym musiał stawić czoło, dokonał już kilku największych odkryć bieżącego stulecia albo właściwie wszystkich stuleci. Gdyby kiedykolwiek wrócił na powierzchnię, zostałby z pewnością uznany za jednego z największych badaczy wszech czasów.

Kiedy przed wieloma tygodniami wyruszał z Highfield i odsunawszy regał, wszedł do wykopanego przez siebie tunelu niczym

postać z powieści fantastycznej dla dzieci, nie miał najmniejszego pojęcia, w co się pakuje. Dotarł jednak aż tutaj, pokonując podczas wędrówki wszelkie przeciwności, które pojawiały się po drodze, co zaskoczyło nawet jego samego.

Teraz, zastanawiając się nad tym, uświadomił sobie, że zasmakował w przygodzie, w podejmowaniu ryzyka. Podniósł głowę, wyprostował ramiona i wydłużył krok, puszając się jak paw.

– Przesuń się, Howardzie Carterze – oświadczył głośno. -Grobowiec Tutenchamona to drobiazg w porównaniu z moimi odkryciami!

Doktor Burrows niemal słyszał gromkie brawa i pełne podziwu okrzyki, wyobrażał sobie wywiady w telewizji i...

Nagle znów się przygarbił i zwolnił.

To mu jednak nie wystarczało.

Owszem, stało przed nim ogromne wyzwanie. Samo udokumentowanie wszystkiego, co zaznaczono na mapie Koproliów, dałoby mu zajęcie na wiele, wiele lat i wymagałoby zatrudnienia ogromnego zespołu badawczego – wciąż jednak czuł się głęboko rozczarowany.

Chciał więcej!

Nagle doktor Burrows przeskoczył myślami na inny temat. Ten otwór zaznaczony na mapie... Wciąż nie dawało mu spokoju pytanie, czym właściwie jest. Co to może być? Z pewnością było to coś bardzo ważnego, inaczej Koprolici nie przykładaliby do tego takiej wagi... i nie zbiegałyby się tam wszystkie drogi.

NIE! To musiało być coś więcej niż twór geologiczny! Z pewnością tak właśnie uważali ludzie, którzy zbudowali niegdyś starożytną świątynię.

Mężczyzna przystanął nagle na ścieżce, mówiąc do siebie z ożywieniem i wskazując na nieistniejącą szkolną tablicę: – Wielka Równina – oświadczył, przesuwając rękę na lewo od tablicy, jakby

zwracał się do sali pełnej uczniów. Potem podniósł drugą rękę, zarysowując w powietrzu wielki krąg i wskazując na prawo. – Wielka dziura... tutaj... – powiedział, kilkakrotnie dźgając palcem jej środek. – Czym ty, u diabła, jesteś?!

Doktor opuścił ręce i przez zaciśnięte zęby wydmuchał powietrze. To musiało być coś ważnego.

Znów stanął mu przed oczami starożytny tryptyk. Kryształowe tablice wciąż próbowały przekazać mu jakąś istotną informację, on jednak nie mógł ich zrozumieć.

Wiedział jedynie, że kryją w sobie jakąś wiadomość. Być może, gdyby odtworzył ostatnie litery napisu ukryte gdzieś głęboko w pamięci, zdołałby dokończyć przekład i rozwiązać zagadkę. Jak do tej pory ostatnie dwa słowa pozostawały poza jego zasięgiem; czasami wydawało mu się, że są już blisko, potem jednak robiły się niewyraźne, jakby szkła okularów pokryła mgiełka.

Doktor Burrows westchnął ciężko.

Zostało mu tylko jedno rozwiązanie. Musiał dostać się do tej dziury i przekonać się na własne oczy, co się w niej kryje. Może właśnie to, czego pragnął... droga w d ó ł.

Być może istniała jeszcze nadzieja.

Ruszył więc gwałtownie naprzód, gnany rozbudzonym na nowo entuzjazmem. Po dwudziestu minutach marszu uzmysłowił sobie, że jest bardzo głodny i osłabiony, zmusił się więc do zwolnienia kroku.

Nagle z przodu do uszu doktora Burrowsa dotarły dziwne, trzeszczące dźwięki.

Natychmiast podniósł wzrok.

Dźwięk się powtórzył, tym razem wyraźniej.

Po kilku sekundach w blasku kuli męczyzny ukazały się dwie sylwetki, przesuwane się ścieżką w jego stronę.

Nie wierzył własnym oczom – po ścieżce maszerowało dwóch

ludzi.

Szedł dalej w ich stronę, oni także nie przystawali; z pewnością już go zauważyli, niósł bowiem przed sobą świetlną kulę.

Kiedy się zbliżyli, dostrzegł, że to dwaj Styksowie, żołnierze zwani Granicznikami, sądząc po długich płaszczach, karabinach i plecakach – wiedział, kim są, gdyż widział kilku z nich na Stacji Górników, kiedy wysiadł z pociągu. Dotarło do niego, że trzeszczące dźwięki, które słyszał przed chwilą, to w rzeczywistości ich głosy.

Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Od wielu dni nie widział ludzkiej istoty i był zdania, że trzeba niezwykłego zbiegu okoliczności, by natknąć się na innego człowieka w tym labiryncie tysięcy podziemnych korytarzy i jaskiń.

Prawdopodobieństwo takiego spotkania było zapewne bliskie zeru.

Kiedy doktora dzieliło od żołnierzy nie więcej niż pięć metrów, pozdrowił ich, wołając: „Dzień dobry!” wyczekującym, przyjaznym tonem.

Jeden z Graniczników spojrzał na niego obojętnie, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Drugi żołnierz nawet nie podniósł nań wzroku, a pierwszy po chwili odwrócił spojrzenie, jakby Burrows w ogóle nie istniał. Obaj szli dalej naprzód, rozmawiając i nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Doktor Burrows był krańcowo zdumiony, lecz także się nie zatrzymał. Kompletny brak zainteresowania ze strony Styksów sprawił, że poczuł się jak żebrak, który miał czelność poprosić dwóch biznesmenów o pieniądze. Nie mógł w to uwierzyć.

– I dobrze, jak tam sobie chcecie – powiedział i wzruszył ramionami, kierując myśli ku ważniejszym sprawom. -Gdzie jesteś, czym jesteś, dziuro w ziemi? – pytał milczące menhiry przy ścieżce. Powrócił do układania w głowie przedziwnych, niezliczonych teorii.

Rozdział czterdziesty drugi



Jraz! I raz! I raz! – pokrzykiwał Chester, ciągnąc z Willem za wiosła. Gdy wcześniej powiedział, że wiosłował już kiedyś ze swym tatą, Elliott pozwoliła mu przejąć kontrolę nad prowadzeniem rozklekotanej łodzi. Właściwie słowo „łódź” było zbyt szumnym określeniem dla przypominającego kanu czółna, które skrzypiało złowieszczo przy każdym ruchu. Miało ono około czterech metrów długości i drewnianą ramę, obciążoną zszytymi kawałkami materiału przypominającego zwierzęcą skórę.

Z pewnością nie zostało zaprojektowane do przewozu czterech osób, i to z bagażami.

Na dziobie, wciśnięty między burty, siedział Cal, który zrzędził cicho pod nosem, przekładając raz po raz chorą nogę. Próbował usadowić się tak, by ją wyprostować.

Jednak było to prawie niemożliwe, gdyż tuż obok znajdował się Will.

– Au! Uważaj! Nie dam rady wiosłować, jeśli nie przestaniesz się wiercić! – zaprotestował Will, kiedy Cal po raz enty wbił mu stopę w plecy, usiłując zmienić pozycję. W końcu młodszy chłopiec postanowił ułożyć się na dnie łodzi, wciskając głowę między burty – dzięki temu mógł umieścić chorą nogę na krawędzi i ją wyprostować.

– Niektórym to dobrze – zażartował Will zdyszczym głosem, dostrzegając kątem oka wystawioną w górę stopę. Odwrócił się i spojrzał na brata. – To nie jest rejs wycieczkowy, mój drogi!

– I raz... i... Skup się, Will! – rozkazał Chester, starając się skłonić przyjaciela do wiosłowania w równym tempie.

Wkrótce po tym, jak odbili od brzegu, stało się jasne, że wbrew wcześniejszym deklaracjom Chester nie miał pojęcia o wiosłowaniu. Pióra jego wiosł często przesuwały się tylko po powierzchni wody, wcale nie popychając łódki do przodu.

– Mówisz, że gdzie się tego uczyłeś? – spytał Will. – W Legolandzie?

– Nie, w Center Parcs (sieć ośrodków turystycznych w kilku krajach Europy) – przyznał Chester.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknął Will. – Numer dziewiętnaście, proszę! – zawołał, naśladowując głos z megafonu.

– Zamknij się, dobrze? – odparł Chester z szerokim uśmiechem.

Ich zgranie pozostawiało wiele do życzenia, mówiąc oględnie, jednak mimo to Will doszedł do wniosku, że pływanie łodzią to najlepszy sposób przemieszczania się po podziemnym świecie. Wysiłek fizyczny doskonale wpłynął na jego umysł; od wielu dni nie myślał tak jasno. Lekka bryza wiejąca nad wodą osuszała pot na czole, gdy chłopiec pochylał się nad wiosłami. Czuł się naprawdę pobudzony.

Wszyscy mieli wrażenie, że utrzymują całkiem dobre tempo, choć nie widzieli brzegu – ani niczego innego – i nie mieli jak tego ocenić. Niekończąca się ciemność i ukryty w mroku bezmiar wody onieśmiały ich nieco; jedynym źródłem światła była leżąca na dnie łodzi latarka Chestera, nastawiona na najśłabszy promień.

Elliott siedziała przy sterze i – jak to zwykle ona – obserwowała czujnie przestrzeń z tyłu, choć wyspa dawno już znikła im z oczu. Will i Chester, zwrócenii twarzami w jej stronę, widzieli tylko nikły zarys sylwetki dziewczyny. Czekali na rozkazy, jednak nim wreszcie przemówiła, zdawało się, że upłynęła wieczność.

Nagle kazała im przerwać wiosłowanie, więc Will i Chester posłusznie wciągnęli wiosła do łodzi. Mimo to czółno poruszało się naprzód zaskakująco szybko, jakby porwał je silny prąd. Wychyliwszy się za burtę, Will nie zwracał na to większej uwagi – wydawało mu się, że widzi w wodzie jakieś rozmazane kształty, które od czasu do czasu nabierały wyrazistości, a potem znikają. Trwało to zawsze zbyt krótko, by mógł określić, czym właściwie są. Niektóre z niezidentyfikowanych obiektów były małe i przemykały bardzo szybko, podczas gdy inne, zdecydowanie większe, poruszały się powoli i emanowały znacznie silniejszym blaskiem.

Kiedy zafascynowany chłopiec przyglądał się owym kształtom, tuż pod powierzchnią wody pojawił się spłaszczony pysk ryby, szeroki na około pół metra, licząc od skrzeli do skrzeli. Między wielkimi ślepiami znajdowała się długa wypustka zakończona zielonkawym, pulsującym światłem. Ryba otworzyła na moment paszczę, wypuściła chmurę pęcherzyków powietrza, a potem zanurzyła się głębiej. Will natychmiast zauważył podobieństwo do żabnicy zamieszkującej głębinę górnoziemskich oceanów. Uświadomił sobie, że pod otaczającymi ich falami musi kryć się cały ekosystem; żywe stworzenia, które same wytwarzają światło.

Upodabniając się do ryby, którą przed chwilą zobaczył, Will otworzył szeroko usta, by poinformować Elliott i innych o swym odkryciu, zamknął je jednak, gdy dwadzieścia metrów od lewej burty rozległ się cichy plusk, jakby ktoś wrzucił kamyk do wody.

– Zaczyna się – oświadczyła Elliott tajemniczo.

Will pomyślał najpierw, że to następna świecąca ryba wypłynęła na powierzchnię.

Zmienił jednak zdanie, usłyszawszy sekundę później odległy huk. Potem rozległy się kolejne pluski i następujące po nich trzaski. Chłopiec wciąż nie miał pojęcia, co było ich przyczyną.

– Myślę, że byłoby dobrze wyłączyć latarkę – zasugerowała Elliott.

– Dlaczego? – spytał Chester niewinnie, wpatrując się w ciemność i próbując odgadnąć, skąd te pluski.

– Bo na plaży są Granicznicy.

– Strzelają do nas, matolku – przemówił Cal.

Will spostrzegł nagle, jak w odległości zaledwie pięciu metrów od łodzi z powierzchni wody wytryskuje maleńka fontanna.

– Strzelają do nas? – powtórzył Chester z niedowierzaniem. – O Boże! – wykrzyknął, zrozumiałwszy w końcu, o co chodzi, po czym natychmiast pochylił się i sięgnął do wyłącznika latarki, sapiąc: – Bożebożebożeboże!

Zgasiwszy lampkę, usiadł prosto i spojrzał na Elliott, zadziwiony spokojem, z jakim dziewczyna reaguje na tę sytuację. Ostrzał nie ustawał, słyszeli kolejne pluski – Wydawało się, że rozlegają się coraz bliżej, a przy każdym z nich Chester wzdrygał się nerwowo.

– Jeśli to naprawdę pociski... – zaczął Will.

– Z całą pewnością – potwierdziła Elliott.

– ... to czy nie powinniśmy wiosłować jak szaleni? – dokończył pytanie Will, zaciskając mocniej dłonie na wiosłach.

– Nie ma potrzeby, jesteśmy poza ich zasięgiem... Strzelają na oślep – Elliott roześmiała się cicho. – Musieliśmy ich naprawdę wkurzyć. Szanse, że nas trafią, są jak jeden do miliona.

Will słyszał, jak Chester mamrocze coś w rodzaju „przy moim szczęściu”, chowając jednocześnie głowę między ramiona i próbując dojrzeć wyspę zza nieruchomej sylwetki przywódczyni.

– Są dokładnie tam, gdzie chcę – stwierdziła cicho dziewczyna.

– Są dokładnie tam, gdzie chcesz? – wychrypiął Chester z niedowierzaniem. – Chyba...

– Opóźniona detonacja – przerwała mu Elliott. – Moja specjalność.

Ton jej głosu niczego nie zdradzał, czekali więc w ciszy

przerywanej skrzypieniem łodzi i pluskiem wody, do której wciąż wpadały pociski Styksów.

– Lada moment – powiedziała Elliott. Minęło kilka sekund.

Nad wyspą pojawił się nagle wielki błysk; czerwony blask rozświetlił fragment brzegu, z którego przed chwilą wyruszyli na morze. Teraz, z oddali, plaża wydawała się zadziwiająco mała. Potem dotarł do nich huk eksplozji, podrywając wszystkich z miejsc.

– O Boże! – krzyknął Cal, ściągając nogę z burty i siadając w łodzi.

– Nie, czekajcie... – uciszyła ich Elliott ruchem ręki. Jej sylwetka rysowała się wyraźnie na tle odległych płomieni. – Jeśli którykolwiek z nich przeżył, teraz pewnie pędzi jak szalony w głąb lądu, jak najdalej od plaży. – Zaczęła liczyć, z każdym słowem pochylając lekko głowę.

Chłopcy wstrzymali oddech, nie wiedząc, czego się mają spodziewać.

Druga eksplozja była znacznie potężniejsza od pierwszej. Olbrzymie pióropusze żółtych i czerwonych płomieni wystrzeliły wysoko ku sklepieniu jaskini, a potem opadły na wierzchołki drzew. Will miał wrażenie, że cała wyspa rozpadła się na drobne kawałeczki. Tym razem wszyscy poczuli na twarzach silny podmuch, a po chwili do wody zaczęły wpadać pierwsze odłamki z płonącej wyspy.

– A niech to! – zachłysnął się Cal.

– Niesamowite! – sapnął z niedowierzaniem Chester. – Zniszczyłaś całą wyspę!

– Co to, u diabła, było?! – spytał Will, zastanawiając się, czy ocaleją jakiegokolwiek zwierzęta żyjące na wyspie, czy też wszystko zostanie pochłonięte przez ogień.

Musiał jednak przyznać przed samym sobą, że nawet gdyby kilka prehistorycznych kurczaków osmalilo sobie trochę ogony, nie zmartwiłby się specjalnie.

– To był decydujący cios – odparła Elliott. – Idealna pułapka...

Pierwsza eksplozja zagnała ich prosto w drugą.

Cała czwórka przyglądała się przez chwilę płomieniom, które jakby unosiły się na powierzchni morza, rzucając długie refleksy na wodę czarną niczym atrament. Will po raz pierwszy mógł się przekonać, jak olbrzymia jest jaskinia, w której się znajdowali; blask ognia odsłonił linię odległego lądu po prawej stronie, jednak w pozostałych kierunkach widać było jedynie bezmiar wody.

Huk eksplozji odbijał się jeszcze echem od ścian gigantycznej jaskini, a z góry wciąż spadał grad płonących odpadków, które gasły z sykiem w zetknięciu z powierzchnią morza.

– Sama to wszystko przygotowałaś? – spytał Chester.

– Z Drakiem. Nazywał to „magiczną sztuczką”, choć nigdy nie wiedziałam, o co mu chodzi – przyznała Elliott. Odwróciła się od ognistego spektaklu, kryjąc twarz w ciemności. Powoli pochyliła głowę, jakby odmawiała modlitwę. – Był naprawdę dobry... Był dobrym człowiekiem – wyszeptała.

Will, Chester i Cal milczeli, łącząc się z nią w bólu po stracie Drake’a i wpatrując się w ognisty żywioł. Wszyscy mieli wrażenie, że płonąca wyspa to stos pogrzebowy Drake’a, godne pożegnania – nie tylko dlatego, że jego śmierć uczczona została niezwykłym widowiskiem, odbywającym się w równie niezwykłym miejscu, ale również dlatego, że przynajmniej kilku z jego wrogów spotkał zasłużony koniec.

Po chwili pełnego powagi milczenia Elliott spytała: – Jakich Graniczników lubicie? – potem zaś wybuchła radosnym śmiechem.

– Mocno przysmażonych – odparł szybko Chester.

Chłopcy przyłączyli się do Elliott, początkowo chichocząc niepewnie, a potem zanosząc się głośnym śmiechem, od którego kołysała się cała łódka.



Pierwsza eksplozja wyrwała ją z otępienia, a nim doszło do drugiej, Sara już biegła z Bartlebyem brzegiem morza.

Gwizdnęła cicho, zdumiona rozmiarami wybuchu, a potem natychmiast podniosła strzelbę i owinęła pas wokół ręki, by łatwiej utrzymać ją w bezruchu. Spojrzała przez lunetę na płonącą wyspę, która z tej odległości wydawała się wręcz maleńka. Potem powoli zaczęła przesuwając wzrok wzdłuż horyzontu. Blask ognia wspomógł działanie lunety, minęło jednak kilka minut, nim Sara coś zauważyła. Nastawiła na duże zbliżenie, wpatrzona w odległy, ledwie widoczny obraz.

– Łódź? – spytała samą siebie, nie odrywając wzroku od lunety. Była przekonana, że widzi małą łódkę płynącą daleko od brzegu. Nie mogła oczywiście dojrzeć, kto w niej siedzi, wyczuwała jednak instynktownie, że nie są to Styksowie. Tak, była pewna, że cel jej poszukiwań znajduje się w tym właśnie czólnie kołyszącym się na falach.

– Wygląda na to, że wracamy do gry, stary przyjacielu zwróciła się do Bartleby ego, który już nerwowo machał cienkim ogonem, jakby dobrze wiedział, co się święci. Sara spojrzała raz jeszcze na płonącą wyspę i wykrzywiła usta w złośliwym uśmiechu. – Zdaje się, że Rebeka będzie musiała zatrudnić kilku nowych Graniczników.

Rozdział czterdziesty trzeci



Róbcie to jednocześnie – napominała ich od steru Elliott, gdy Chester i Will ciągnęli za wiosła, wciąż nie mogąc znaleźć wspólnego rytmu.

– Dokąd właściwie płyniemy? – zawołał do niej Cal. – Mówiłaś, że zabierzesz nas w bezpieczne miejsce.

Obok łódki rozległ się głośny plusk, gdy Will nie opuścił wystarczająco nisko wiosła i przesunął piórem po wodzie. Elliott milczała, więc Cal spróbował ponownie: – Chcemy wiedzieć, dokąd nas zabierasz. Mamy do tego prawo – mówił poirytowanym tonem; Will podejrzewał, że chora noga musiała mu mocno dokuczać.

Elliott odsunęła lunetę od oka.

– Zaszyjemy się na bagnach. Jeśli tam dotrzemy. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Białe Szyje nie zdołają nas tam wytropić.

– Dlaczego? – spytał Will, dysząc ciężko.

– Bo to jedno wielkie, niekończące się bagno... – odparła. W jej głosie pobrzmiwały nuty niepokoju, jakby sama nie do końca wierzyła w to, co mówi. Nie dodało to otuchy chłopcom, którzy wsłuchiwali się w każde słowo Elliott. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszcza się w tamte strony – ciągnęła. – Przyczaimy się tam, dopóki Styksowie nie uznają nas za zaginionych.

– Czy to bagno jest głębiej? Pod tym miejscem, w którym jesteśmy teraz? – spytał Cal, nim Will zdążył zrobić to samo.

Elliott pokręciła głową.

– Nie, to jeden z obszarów sąsiadujących z Wielką Równiną, które nazywamy Pustkowiami. Niektóre z nich są zbyt niebezpieczne ze względu na promieniowanie...

Drake nigdy nie pozwolił nam tam spędzić więcej niż kilka dni. Zaszyjemy się tam na chwilę, a potem przeniesiemy się w inne miejsce, gdzie będzie nam znacznie łatwiej przeżyć.

Chłopcy zamilkli, trwając sam na sam z własnymi myślami. W uszach wciąż pobrzmiwały im słowa „znacznie łatwiej przeżyć” – nie brzmiały zbyt zachęcająco, szczególnie w ustach Elliott, jednak w tej chwili żaden z nich nie miał ochoty pytać, co właściwie miała na myśli.

Nagle usłyszeli chlupot wody – odgłos zdecydowanie inny od tego, który wywoływały pociski.

– To chyba nie Granicznicy... – powiedział Chester, gdy razem z Willem przestali wiosłować.

– Nie... nie ruszajcie się... cicho... – wyszeptała Elliott.

Rozległ się kolejny plusk, a potem woda wokół nich zaczęła się mocno pienić i falować, jakby lada moment coś olbrzymiego miało się wynurzyć z głębin. Nagle łódź zakolysała się gwałtownie, a spod jej kadłuba dobiegł głośny zgrzyt. Po kilku sekundach wszystko się uspokoiło, a dokoła znów zapanowała cisza.

– Uf! – powiedziała Elliott, wypuszczając głośno powietrze.

– Co...? – wykrztusił Chester.

– Lewiatan – odparła Elliott krótko.

Will wydał z siebie pełne niedowierzania „hę?”, Elliott jednak szybko go uciszyła.

– Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia... Zamknijcie się i wiosłujcie!
– rozkazała. – Jesteśmy w zasięgu prądów wytwarzanych przez pas wirów, który ciągnie się zaledwie kilka mil stąd. – Wskazała palcem za prawą burtę, w kierunku przeciwnym do tego, gdzie zdaniem Willa

leżał ląd. – Jeśli nie chcecie obejrzeć ich z bliska, co nie byłoby dobrym pomysłem, przyłóżcie się lepiej do wiosłowania i utrzymajcie nas na kursie.

– Tak jest, kapitanie! – mruknął Will, straciwszy niemal zupełnie zapal do podróżowania łódką.

Kilka godzin później, po prawdziwym maratonie wioślarskim, Elliott zarządziła w końcu przerwę. Will i Chester byli już kompletnie wyczerpani i z radością przyjęli tę komendę. Drżącymi ze zmęczenia rękami podnosili manierki do ust, mogąc wreszcie zaspokoić pragnienie. Elliott rozkazała Calowi, by wziął lunetę i obserwował okolicę, a Willowi, by z powrotem uruchomił okular.

Will nałożył soczewkę na oko i włączył ją. Kiedy pomarańczowe kropki zamieniły się już w normalny obraz, chłopak dostrzegł, że są blisko brzegu. Łódź dryfowała w stronę czegoś, co zdaniem Willa wyglądało na przylądek, choć nawet z pomocą okularu nie był w stanie stwierdzić tego z całą pewnością.

Gdy zbliżali się do lądu, nad powierzchnią wody pojawiły się jedwabiste białe smugi.

Warstwa mgły pełza powoli w stronę podróżników, gęstniejąc do tego stopnia, że po chwili przelała się przez burty łodzi niczym biały syrop. Światło latarki leżącej u stóp Chestera z trudem przebijało się przez mleczny dywan, ulegając po drodze rozproszeniu i okrywając twarze towarzyszy niesamowitą poświatą. Wkrótce całkowicie stracili z oczu dolne połowy swych ciał. Czuli się przedziwnie, sunąc przez grubą, nieprzerwaną warstwę bieli w zupełnie niewidocznej łódce. Wydawało się, że mgła pochłania wszelkie dźwięki, łącząc teraz czas na wyjaśnienia... Zamknijcie się i wiosłujcie! – rozkazała. – Jesteśmy w zasięgu prądów wytwarzanych przez pas wirów, który ciągnie się zaledwie kilka mil stąd. – Wskazała palcem za prawą burtę, w kierunku przeciwnym do tego, gdzie zdaniem Willa leżał ląd.

– Jeśli nie chcecie obejrzeć ich z bliska, co nie byłoby dobrym pomysłem, przyłóżcie się lepiej do wiosłowania i utrzymajcie nas na kursie.

– Tak jest, kapitanie! – mruknął Will, straciwszy niemal zupełnie zapał do podróżowania łódką.

Kilka godzin później, po prawdziwym maratonie wioślarskim, Elliott zarządziła w końcu przerwę. Will i Chester byli już kompletnie wyczerpani i z radością przyjęli tę komendę. Drżącymi ze zmęczenia rękami podnosili manierki do ust, mogąc wreszcie zaspokoić pragnienie. Elliott rozkazała Calowi, by wziął lunetę i obserwował okolice, a Willowi, by z powrotem uruchomił okular.

Will nałożył soczewkę na oko i włączył ją. Kiedy pomarańczowe kropki zamieniły się już w normalny obraz, chłopak dostrzegł, że są blisko brzegu. Łódź dryfowała w stronę czegoś, co zdaniem Willa wyglądało na przylądek, choć nawet z pomocą okularu nie był w stanie stwierdzić tego z całą pewnością.

Gdy zbliżali się do lądu, nad powierzchnią wody pojawiły się jedwabiste białe smugi.

Warstwa mgły pełza powoli w stronę podróżników, gęstniejąc do tego stopnia, że po chwili przelała się przez burty łodzi niczym biały syrop. Światło latarki leżącej u stóp Chestera z trudem przebijało się przez mleczny dywan, ulegając po drodze rozproszeniu i okrywając twarze towarzyszy niesamowitą poświatą. Wkrótce całkowicie stracili z oczu dolne połowy swych ciał. Czuli się przedziwnie, sunąc przez grubą, nieprzerwaną warstwę bieli w zupełnie niewidocznej łódce. Wydawało się, że mgła pochłania wszelkie dźwięki, łącznie z chlupotem fal, który tylko od czasu do czasu docierał do uszu całej czwórki.

W miarę jak przebijali się przez mgłę, wokół robiło się też coraz cieplej i choć żaden z chłopców nie mówił o tym głośno, wszyscy czuli

się tak, jakby napierała na nich nieznana, niewidzialna siła. Być może to właśnie owa siła, może przygnębiający krajobraz, a może jeszcze jakieś inne zjawisko sprawiały, że jak jeden mąż przyjaciele doświadczali poczucia osamotnienia i melancholii.

Dryfowali przez następnych dwadzieścia minut. Zaczęli odnosić wrażenie, że wpływają do jakiejś zatoki. Martwa cisza została wreszcie przerwana, gdy kil łodzi uderzył o skały i zatrzymał się na dnie. Tym razem chłopcy poczuli, jakby zły czar opadł albo jakby ocknęli się z sennego koszmaru.

Elliott natychmiast wyskoczyła z łódki. Słyszeli plusk wody, nie mieli jednak pojęcia, jaka jest głęboka, gdyż mgła sięgała ponad uda dziewczyny. Elliott przeszła do dziobu i brodząc, zaczęła ciągnąć czółno za sobą.

Will spojrzał na brzeg i zrozumiał, że rzeczywiście znaleźli się w zatoce, gdyż po obu stronach łódki ciągnęły się cyple sięgające daleko w morze. Mgła wyływała z głębi fiordu, przerywana tu i ówdzie ostrymi, skalnymi występami. Przez chwilę chłopcy siedzieli nieruchomo w łodzi, podczas gdy Elliott ciągnęła ich za sobą. Później kazała im wyjść, więc z pewnym ociąganiem wygramolili się na zewnątrz, zabierając ze sobą rzeczy.

Chłopcy czuli się niepewnie, nie wiedzieli bowiem, do jak głębokiej wody wskakują.

Ostatecznie okazało się jednak, że miała ona nie więcej niż metr głębokości, choć ukryte pod jej powierzchnią prądy mocno napierały na ich nogi. Uważając, by nie poślizgnąć się na nierównym dnie, we trzech ruszyli w stronę skalistego przybrzeża.

W tym czasie Elliott wciągnęła łódź do małej zatoczki, najprawdopodobniej po to, by ją tam ukryć. Kadłub czółna zazgrzytał głośno o dno w chwili, gdy Chester i Will pokonywali ostatni pas płycizny.

– Może powinniśmy jej pomóc? Ona... – odezwał się Chester do Willa, lecz umilkł gwałtownie, kiedy obaj spostrzegli, że wzdłuż ciągnącego się przed nimi pasa wybrzeża dzieje się coś dziwnego. Zgrzyt łodzi sunącej po dnie wywołał nagłą zmianę. Rozległ się przytłumiony pomruk, jednak warstwa mgły nie pozwalała im zobaczyć, co było jego przyczyną. Willowi i Chesterowi niewiele brakowało do brzegu, a Cala dzieliło od nich około dwudziestu metrów; znajdował się na skałach.

Wszyscy w jednej chwili znieruchomieli, gdy pomruk przybrał na sile. We mgle widać było poruszenie, jakby nagle skały ożyły, a tuż nad powierzchnią mgły pojawiły się dziesiątki małych świateł, które migotały lekko niczym płomienie ustawionych parami świeczek, poruszone wiatrem.

– Oczy! – wykrztusił Chester. – To są oczy!

Miał rację. Dziesiątki par ślepiów odbijały światło latarek Cala i Chestera, niczym oczy kota stojącego na środku drogi. Dzięki okularowi Will widział znacznie więcej niż pozostali, zorientował się więc od razu, że to, co brali do tej pory za skalne formacje piętrzące się wzdłuż brzegu, to w rzeczywistości coś zupełnie innego: był to żywy kobierzec, który w ułamku sekundy poderwał się do działania. Ciągnął się jak okiem sięgnąć; zewsząd dochodziły szmery i skrobanie... a także dziwny łopot, jakby wytwarzany przez coś gumowego.

Kiedy mgła rozstąpiła się w końcu na chwilę, Will zobaczył stworzenia przypominające ptaki – bociany z długimi nogami – które otwierały właśnie błoniaste skrzydła. Jednak w rzeczywistości nie były to ptaki, lecz jaszczurki, jakich Will nie widział jeszcze nigdy w życiu.

– Co teraz zrobimy? – spytał ogarnięty paniką Chester, zbliżając się do Willa.

– Will! – zawołał Cal. Przez chwilę stał w miejscu, niezdeterminowany, potem jednak wszedł z powrotem do wody.

– Gdzie jest Elliott? – dopytywał się Chester. Wszyscy natychmiast zaczęli jej wypatrywać, by zobaczyć, jak ona reaguje na tę sytuację. Dziewczyna szła wzdłuż wybrzeża przez środek zbitej masy dziwnych stworzeń, zupełnie się nimi nie przejmując. Wielkie jaszczury usuwały się z drogi, rozkładając szeroko skrzydła i wydając niepokojące dźwięki; dźwięki przypominające lament małego dziecka, które cierpi straszliwy ból; piskliwe zawodzenie.

– To naprawdę straszne – podsumował Chester, który jednak nieco się uspokoił, zobaczywszy, że zwierzęta nie stanowią dla nich zagrożenia.

Kiedy Will przyjrzał się skrzydłom jaszczurów, zobaczył, że są kanciaste, a każde z nich zaopatrzone jest w chwytliwy szpon. Ciała dziwnych stworzeń wydawały się ciężkie i niezgrabne; pod zwięzającą się ku górze klatką piersiową znajdował się przysadzisty brzuch, całość zaś, podobnie jak skrzydła, połyskiwała delikatnie szarym blaskiem niczym starannie wypolerowany łupek. Głowy – osadzone na chudych szyjach – miały kształt walca o zaokrąglonych końcach, zaś szczęki były gładkie i pozbawione zębów.

Obecność Elliott zaniepokoiła zwierzęta do tego stopnia, że zaczęły się podrywać do lotu. Potrzebowały jednak rozpędu, kilku dziwnie sztywnych, mechanicznych kroków, by wzbić się w powietrze.

W ciągu bardzo krótkiego czasu wokół zaroilo się od setek tych stworzeń. Ich skrzydła łopotały ciężko, wzniecając głuchy, niemilknący pomruk. Nie ustawały również dziwne jękliwe nawoływania, które przenosiły się z jednego końca stada na drugi, jakby jaszczury informowały się w ten sposób o zagrożeniu. Kiedy już wszystkie oderwały się od podłoża, utworzyły nad wodą jedno wielkie stado. Will, oczarowany, obserwował, jak ogromna masa ptaków,

widoczna w jego okularze jako zmieniająca nieustannie kształt pomarańczowa plama, odsuwa się powoli od ładu i znika w oddali.

– Ruszajcie się! – zawołała Elliott. – Nie mamy czasu na zwiedzanie. – Machała do nich, zniecierpliwiona, pokazując, że powinni iść za nią.

Słyszając ton jej głosu, Will był niemal pewien, że jeśli spyta o te dziwne stworzenia, dziewczyna tylko go zbędzie.

– Były niesamowite, co? Szkoda, że nie mogłem zrobić im zdjęcia – trajkotał podekscytowany Will do Chestera, gdy obaj próbowali dogonić Elliott zmierzającą prosto ku ścianie jaskini.

Chester nie wyglądał na zachwyconego.

– Tak, jasne. Najlepiej by było przerobić to zdjęcie na pocztówkę i wysłać naszym rodzinom – warknął w odpowiedzi. – Szkoda, że was tu nie ma... Świetnie się bawimy... w krainie cholernych gadających smoków.

– Za dużo się naczytałeś powieści fantastycznych. To nie są żadne cholerne gadające smoki – odparł ostro Will. Był tak zachwycony ostatnim odkryciem, że nie zauważył, w jakim stanie znajduje się teraz jego przyjaciel. Chester gotował się ze złości, która wcześniej czy później musiała znaleźć jakieś ujście. – W rzeczywistości, Chester, są to cholernie niezwykle... prehistoryczne latające jaszczury, pterozaurowy – ciągnął Will.

– Wiesz... pterodaktyle...

– Posłuchaj, stary, nie obchodzi mnie wcale, czym są te paskudztwa – przerwał mu bezceremonialnie Chester, nie podnosząc głowy i omijając kolejne skalne występy. – Za każdym razem, kiedy dzieje się coś takiego, mówię sobie, że gorzej już być nie może, ale już za następnym rogiem... pokręcił głową i splunął z obrzydzeniem. – Może gdybyś czytał te książki i zajmował się normalnymi rzeczami, zamiast grzebać w ziemi jak jakiś głupek, nie wpakowalibyśmy się w

ten pasztet. Jesteś dziwakiem... nie, gorzej niż dziwakiem, jesteś przeklętym maniakiem!

– Nie ma co histeryzować, Chester – odrzekł Will, próbując załagodzić sytuację.

– Nie mów mi, co mam robić, nie ty tutaj dowodzisz! syknął z wściekłością Chester.

– Ja chciałem tylko... te jaszczury... ja... – próbował zareagować Will, choć oburzenie odebrało mu na moment głos.

‘ – Och, zamknij się! Nie możesz wbić sobie do tego tępego łba, że nikogo nie obchodzą twoje paskudne skamieliny i gówniane zwierzaki?! Wszystkie są po prostu ohydne i powinno się je rozgnieść jak robaki! – wściekał się Chester, wbijając piętę w piach i wciskając ją mocno dla podkreślenia swych słów.

– Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować, Chester powiedział Will łagodzącym tonem.

– Zdenerwować mnie?! – krzyknął histerycznie chłopiec. -Zrobiłeś mi coś znacznie gorszego. Mam już tego wszystkiego po dziurki w nosie! Niedobrze mi, jak na ciebie patrzę!

– Mówiłem ci już, jak mi przykro – odparł Will słabym głosem.

Chester rozłożył szeroko ręce w agresywnym geście.

– Więc to takie proste, tak? Naprawdę myślisz, że wystarczy jedno „przepraszam” czy „przykro mi”, a ja zaraz odpuszczę... i wszystko ci wybaczę, tak? – Spojrzał na Willa z taką pogardą, że ten aż zaniemówił. – Słowa są tanie, szczególnie twoje – oświadczył Chester cichym, drżącym głosem i odszedł.

Will był zdruzgotany tym, co powiedział przyjaciel. Poczucie koleżeństwa, które jeszcze przed chwilą zdawało mu się realne, prysło jak bańka mydlana. Łudził się nadzieją, że ich przyjaźń znów ma mocne podstawy, teraz widział jednak, że żartobliwe uwagi wymieniane wcześniej na plaży i w łódce nic w gruncie rzeczy nie

znaczyły. Will żył do tej pory iluzją. I choć starał się zbytnio nie przejmować, wybuch Chestera dotknął go do żywego. Nikt nie musiał mu przypominać, że to on jest wszystkiemu winny. Oderwał Chestera od rodziny i spokojnego życia w Highfield, a na dodatek wpakował w tę koszmarną sytuację, która pogarszała się z każdą chwilą.

Ruszając ponownie naprzód, Will znów czuł się przytłoczony poczuciem winy.

Próbował sobie wmawiać, że reakcja Chestera to wynik ogromnego zmęczenia – wszyscy byli rozdrażnieni, bo ostatnio prawie w ogóle nie spali w gruncie rzeczy jednak uważał, że nie jest to przekonujące usprawiedliwienie dla takiego zachowania.

Chester – kiedyś jego przyjaciel – mówił to, co naprawdę czuł; sytuacja była jednoznaczna.

Choć niespodziewany atak Chestera był naprawdę przykrym przeżyciem, i bez tego Will czuł się fatalnie. Oddałby wszystko za gorącą kąpiel i czyste łóżko ze świeżą pościelą – wydawało mu się, że mógłby spać przez miesiąc. Odszukał wzrokiem Cala i spostrzegł, że jego brat przy każdym kroku opiera się ciężko na lasce, a przestawianie chorej nogi jest dla niego ogromnym problemem, jakby lada moment miał się przewrócić.

Nie, żaden z nich nie był w formie. Will miał nadzieję, że wkrótce nadarzy się okazja do odpoczynku, choć z drugiej strony zdawał sobie sprawę, iż na razie nie mogą sobie na to pozwolić – nie w chwili, gdy Granicznicy deptali im po piętach.

Zebraли się wokół Elliott pod ścianą jaskini. Stała przed skalną szczeliną kilkumetrowej wysokości, otwierającą się u podstawy ściany. Najwyraźniej właśnie ta dziura była źródłem mgły; z jej wnętrza bez ustanku wypływały gęste opary. Will trzymał się z dala od Chestera, udając, że cała jego uwaga skupiona jest na skalnej szczelinie, choć mgła przesłaniała ją do tego stopnia, że trudno było

nawet określić jej szerokość.

– Mamy przed sobą długą drogę – ostrzegła Elliott, rozwijając linę. Wszyscy obwiązali się sznurem w pasie. Dziewczyna szła jako pierwsza, potem Cal, następnie Chester, a na końcu Will. – Nie chcę, żeby ktoś się zgubił – wyjaśniła. Przystanęła na moment i przeniosła wzrok z Willa na Chestera.

– Wszystko w porządku? – spytała.

„Słyszała to wszystko... Słyszała wszystko, co powiedział Chester” – pomyślał Will z zażenowaniem.

– Bo nie będzie to łatwa przeprawa i wszyscy musimy trzymać się razem – dodała.

Will wymamrotał coś, co przypominało „tak”, Chester zaś milczał, unikając spojrzenia Willa.

– A ty? – Elliott zwróciła się do Cala. – Muszę wiedzieć... Jesteś w stanie to zrobić?

– Poradzę sobie – odparł chłopiec, kiwając optymistycznie głową.

– Mam nadzieję – powiedziała Elliott i nim jeszcze znikła w skalnej szczelinie, spojrzała na nich po raz ostatni, dodając: – Do zobaczenia po drugiej stronie.

Część piąta

Czeluść

Rozdział czterdziesty czwarty



Niezwykłe! – wykrzyknął doktor Burrows. Jego głos odbijał się przez chwilę echem od skalnych ścian, aż ucichł, zagłuszony pluskiem wody, która niczym przelotny deszcz opadała od czasu do czasu ze sklepienia jaskini.

Mężczyzna stał przed dwiema potężnymi kolumnami z kamienia na końcu ścieżki, która doprowadziła go do tego miejsca. Kręcił się na wszystkie strony, próbując w jednej chwili objąć wzrokiem okolice.

Najpierw zaintrygował go symbol trójzębu wyryty w zworniku na szczycie kamiennego łuku. Podczas długiej wędrówki przez Głębie badacz kilkakrotnie widział ten znak umieszczony na różnych kamiennych obiektach, a także na kilku tabliczkach, które przerysował do dziennika. Symbol ten nie miał nic wspólnego ze znakami z kamienia doktora Burrowsa, dlatego też mężczyzna bez ustanku zachodził w głowę, co właściwie może oznaczać.

Kwestia ta jednak zeszła na drugi plan, gdy doktor Burrows wszedł między kolumny, a ścieżka zamieniła się w szeroki plac wyłożony kamiennymi płytami.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy, po czym roześmiał się z niedowierzaniem.

Przystanął i znów się uśmiechnął, kiedy jego spojrzenie padło na rozciągającą się przed nim czarną otchłań. Była to naprawdę olbrzymia dziura sięgająca w głąb Ziemi. A on stał na czymś w rodzaju pomostu zawieszzonego nad tym otworem.

Doktor zrobił jeszcze kilka małych kroków i stanął na samej krawędzi pomostu, a z góry doleciał do niego łagodny powiew wiatru.

Wielkość otworu przyprawiła doktora Burrowsa o szybsze bicie serca i wzbudziła niejasny niepokój. Mężczyzna nawet nie widział drugiej strony dziury, ukrytej gdzieś daleko, w ciemnościach. Żałował, że nie ma ze sobą mocniejszego źródła światła, które pozwoliłoby mu ocenić rozmiary przepaści. Przypuszczał jednak, że można by do jej wnętrza wrzucić całkiem potężną górę, a i tak zostałyby sporo wolnej przestrzeni.

Podniósłszy powoli głowę, doktor Burrows przekonał się, że równie wielki otwór znajduje się w sklepieniu jaskini to właśnie z niego wiał wiatr i kapłała woda, które od czasu do czasu dolatywały w miejsce, gdzie stał. Doktor poruszył bezdźwięcznie ustami, zastanawiając się, gdzie kończy się ten niezwykły wytwór natury – być może kiedyś sięgał powierzchni Ziemi, później jednak został zepchnięty w dół w wyniku ruchów tektonicznych lub działalności wulkanicznej.

Długo się nad tym nie rozwodząc, doktor porzucił wkrótce te rozmyślenia i mimowolnie spojrział w dół. Czuł się tak, jakby czarna otchłań próbowała go zahipnotyzować, przyciągnąć do siebie. Kiedy wpatrywał się w nieprzeniknioną ciemność, kątem oka dostrzegł schody odchodzące od pomostu po lewej stronie.

– Czy to właśnie jest to? – zapytał samego siebie z zapartym tchem.
– Czy to mój bilet do Interioru?

Natychmiast zrzucił na ziemię plecak i ruszył w dół po splekanych stopniach.

– A niech to...! – syknął i zgarbił się, dokonawszy odkrycia, że schody kończą się tuż poniżej. Przykląkł i wbił wzrok w ciemność, sprawdzając, czy nie zawalił się jedynie fragment zejścia. – Koniec zabawy... – mruknął, zniechęcony.

Nic nie wskazywało na to, że schody rzeczywiście ciągną się dalej

w dół – była tylko jedna, szczątkowa kondygnacja, składająca się z siedmiu stopni, na których właśnie stał. Oczekiwał czegoś zupełnie innego. Może jego wyprawa naprawdę dobiegła już końca... Doktor nie poddawał się jednak, licząc, że gdzieś dalej, na obrzeżu otworu, znajdzie inne, nienaruszone schody. Alternatywną drogę do wnętrza.

Wrócił na górę i podniósł plecak, wciąż próbując ogarnąć wszystko rozumem. Więc to właśnie był otwór zaznaczony na mapie Koproliatów, a także przedstawiony na środkowej części tryptyku w świątyni paskudnych robali.

Teraz doktor Burrows rozumiał już, dlaczego dawni mieszkańcy tych obszarów przywiązywali tak ogromną wagę do wielkiej rozpadliny. Jednak musiało się kryć za tym coś więcej; oni – cywilizacja, która zbudowała świątynię – najwyraźniej wierzyli, że jest coś świętego, coś godnego boskiej czci. Doktor pomasażował sobie kark i powrócił do rozmyślań. Czy te maleńkie postacie na głównym obrazie tryptyku rzucały się do otworu, bo była to część jakiegoś rytuału? Czy po prostu członkowie ludu składali ofiarę z własnych ciał? A może miało to jakieś inne, głębsze znaczenie?

Te i inne pytania kłębiły się w jego głowie, krążyły po niej niczym uwięzione w trąbie powietrznej; każde domagało się uwagi Burrowsa, każde prosiło się o odpowiedź. Nagle całe ciało doktora zadrżało konwulsyjnie, jakby rażone piorunem.

– Tak! Już mam! – wykrzyknął mężczyzna, choć niewiele brakowało, a zawołałby: „Eureka!”.

Jednym szarpnięciem otworzył plecak, wyciągnął błyskawicznie dziennik i dosłownie rzucił się na niego, przypadając do ziemi i zapisując to, co właśnie sobie przypomniał.

Ostatnie dwa słowa ze środkowej tablicy wreszcie wypłynęły na wierzch jego pamięci – widział oczami wyobraźni niemal każdy detal; może nie tak dokładnie jak na fotografii, ale wystarczająco dobrze, by

z pomocą kamienia doktora Burrowsa dokończyć tłumaczenie.

Po dziesięciu minutach gorączkowej pisaniny uśmiechnął się wreszcie szeroko.

– Ogród... drugiego Słońca! – wykrzyknął. Potem jednak uśmiech znikł z jego twarzy, a czoło zmarszczyło się w grymasie niezrozumienia. – Ogród drugiego Słońca? Co to, u diabła, miało oznaczać? Jakiego drugiego Słońca?

Przetoczył się na bok i raz jeszcze spojrzął na ogromny otwór.

– Fakty, fakty, fakty i tylko fakty – powiedział, używając tej samej mantry, do której odwoływał się zawsze, gdy ponosiła go wyobraźnia. Starał się myśleć logicznie i choć w chwilach podniecenia nie było to łatwe, wiedział, że musi się zdyscyplinować, jeśli chce stworzyć sensowną konstrukcję z wszystkich dokonanych dotychczas odkryć. Dopiero wtedy na podstawie tych przemyśleń można by tworzyć rozmaite teorie i poddawać je następnie konstruktywnej krytyce.

Na początek doktor Burrows przyjął bez wahania, że wszyscy geologowie i geofizycy grubo się mylili. On przecież ciężko znajdował się teraz wiele kilometrów pod powierzchnią i według wszelkich teorii naukowych powinien już dawno spalić się na popiół. Choć pokonywał czasem obszary podwyższonej temperatury, gdzie znajdowały się prawdopodobnie roztopione skały, z pewnością nie potwierdzało to powszechnie uznawanych teorii dotyczących budowy Ziemi i rosnącego gradientu temperatury.

Tak, z pewnością miał rację w tej kwestii, ale to wcale nie pomogło mu znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Zaczął gwizdać przez zęby, myśląc i myśląc...

Kim byli ludzie ze świątyni?

Bez wątplenia była to jakaś rasa, która przed wieloma tysiącami lat znalazła schronienie pod powierzchnią planety.

Jednak, jak wynikało z tryptyku opisującego rajski ogród, wrócili

później na powierzchnię Ziemi; co się z nimi stało?

Kompletnie zbity z tropu, doktor wydał z siebie ostatni, fałszywy gwizd i wstał.

Przeszedł ponownie pod łukiem i w dół schodów.

Może jednak się mylił. Może stopnie ciągnęły się dalej w dół, tylko on ich nie zauważył. Wyjął zza pasa młotek geologiczny i przykucnąwszy na najniższym stopniu, wbił jego czubek w skalną szczelinę na ścianie otworu. Kilkakrotnie uderzył dłonią w rękojeść młotka, by sprawdzić, czy dobrze się trzyma, potem zaś chwycił ją mocno i wychylił się najdalej jak mógł, wyciągając przed siebie zawieszoną na sznurku kulę i sprawdzając, co się kryje niżej.

Kiedy doktor wpatrywał się w ciemność, kula kołysała się lekko, a on wciąż krążył myślami wokół tryptyku. Wtedy do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

Czy skacząc do tej dziury, ludzie ze świątyni wierzyli, że dotrą do ziemi obiecanej?

Czy tędy właśnie prowadziła droga do ich rajskiego ogrodu, nirwany, czy jak to tam nazywali?

Uczepił się tej sugestii, gdy nagle, niczym grom z jasnego nieba, razła go pewna myśl.

Może przez cały czas patrzył w niewłaściwą stronę? Był tak pochłonięty patrzeniem w górę, że nawet nie pomyślał, by spojrzeć w dół!

Może istniał całkiem logiczny powód, dla którego przez tyle tysięcy lat ten starożytny lud nie miał nic wspólnego z kulturami żyjącymi na powierzchni. Nawet jeśli kiedyś uciekli stamtąd, zabierając ze sobą umiejętność pisania i ogromną wiedzę, być może nigdy już tam nie wrócili. Może właśnie dlatego nie mógł zrozumieć, co się z nimi stało – dlatego nie mógł znaleźć w historii starożytnych cywilizacji niczego, co mogłoby się z nimi wiązać. Więc...

Oderwał się na moment od rozmyślań, by wziąć głęboki oddech, po czym znów powrócił do rozważań.

... czy znali odpowiedź na pytanie: co leży głębiej, w środku Ziemi? Czy rzeczywiście w Interiorze istnieje „ogród drugiego Słońca”? I czy naprawdę wierzyli, że mogą tam trafić, rzucając się do tej wielkiej dziury? Dlaczego mieliby w to wierzyć? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Może mieli rację!

Cały ten pomysł wydawał się zbyt fantastyczny, wyglądało jednak na to, że ci prymitywni ludzie naprawdę wierzyli, iż w ten sposób dostaną się do raju. I wierzyli w to naprawdę mocno.

Czy to z powodu ogromnego zmęczenia, czy też niedożywienia doktorowi nagle przysłała do głowy niedorzeczna myśl.

Może powinien położyć wszystko na jedną szalę i wskoczyć w otchłań?

– Chyba żartujesz! – upomniał się głośno.

Nie, to czyste szaleństwo! Co on sobie wyobrażał?

Jak on, człowiek wielkiej wiedzy, mógł wziąć na poważnie pradawne zabobony i uwierzyć, że jakimś cudem przeżyje upadek z ogromnej wysokości, a potem znajdzie pod ziemią rajskie ogrody i drugie Słońce?

Słońce w środku Ziemi?

Nie, naprawdę zachowywał się jak głupiec. Tak niby miała wyglądać jego logiczna, naukowa dedukcja?!

Odrzuciwszy stanowczo tę teorię, Burrows wciągnął się z powrotem na schody i odwrócił.

Wrzasnął z przerażenia.

Tuż za nim stał olbrzymi pajęczak – przerośnięte roztocze – i machał mu żuwaczkami przed twarzą.

Ogarnięty panicznym strachem, doktor Burrows cofnął się

odruchowo. Stracił równowagę i runął do tyłu, wymachując rozpaczliwie rękami.

Lecąc w dół, nie wydał z siebie żadnego heroicznego krzyku, a jedynie krótki skrzek zdumienia. Jego maleńka postać wirowała w powietrzu, znikając w czarnej, nieodgadnionej Czeluści.

Rozdział czterdziesty piąty



Chester szarpnął linę z taką siłą, że zaczepiła się o rękę Willa i pociągnęła go w dół.

Upadł w gorące, lepkie błoto. Chłopak słyszał w oddali stłumiony i niewyraźny głos kolegi, który wypowiadał coś, co brzmiało jak przekleństwa, skierowane zapewne pod jego adresem. Chester ponownie szarpnął, tym razem jeszcze mocniej. Mając w pamięci ich niedawną rozmowę, Will był przekonany, że Chester właśnie jego wini za trudności, jakich nastęczał ten etap wędrówki, a także za wszystkie inne nieszczęścia i niedogodności, które przytrafiały się im po drodze. Will czuł do niego coraz większy żal – czyż nie cierpiał tak samo jak wszyscy pozostali?

– Idę! Idę, cholerny świat! – odkrzyknął z wściekłością i zaczął podciągać się do przodu, głośno przy tym klnąc i plując.

Wydawało mu się, że już dogania Chestera, nadal jednak nie widział go w gęstej mgle. Dopiero gdy pociągnął za linę, zrozumiał, że musiała się o coś zaczepić i zaklinować na dobre.

Chester znów na niego wrzeszczał.’ Will nie rozumiał poszczególnych słów, ale ton głosu chłopaka z pewnością nie był przyjazny.

– Zamkniesz się wreszcie?! Lina się o coś zaczepiła! odkrzyknął Will, kładąc się na boku i świecąc latarką, by sprawdzić, co się stało. Choć starał się jak mógł, nie dojrzał niczego w gęstej mgle. Przypuszczając, że lina po prostu zaklinowała się w jakiejś szczelinie,

szarpnął nią kilkakrotnie, aż poczuł, że znów jest luźna. Wtedy zaczął wspinać się jak szalony w górę zbocza i już po chwili dogonił Chestera, który po raz kolejny także się zatrzymał – podobnie jak pełznący przed nim Cal.

Od kiedy weszli do skalnej szczeliny, grunt piął się nieustannie pod kątem około trzydziestu stopni. Ponieważ korytarz był wyjątkowo niski, musieli przez cały czas iść na czworakach. Po gładkim jak szkło dnie jaskini spływały znaczne ilości wody, która potem wpadała zapewne do morza. W miarę jak posuwali się coraz wyżej, woda zamieniała się stopniowo w ciepłe błocko o konsystencji ropy naftowej, które było nieprawdopodobnie śliskie i dodatkowo utrudniało wspinaczkę.

Nieco wyżej dotarli do miejsca, w którym skała robiła się gorąca, a tu i ówdzie widać było kałuże bulgoczącego błota. Potem przeszli przez obszar, gdzie z dna tryskały małe strumienie pary, wyglądające jak miniaturowe gejzery bez wątplenia to właśnie one były źródłem wszechobecnej mgły, która wypełniała wnętrze korytarza.

Warunki panujące w tunelu przypominały wnętrze sauny – było tam nieprawdopodobnie gorąco i wilgotno. Will dyszał ciężko i raz za razem odsuwał kołnierz koszuli od szyi, próbując się w ten sposób ochłodzić. Od czasu do czasu powietrze wypełniało się także smrodem siarki, tak mocnym, że przyprawiał Willa o zawroty głowy. Zastanawiał się wtedy, jak pozostali dają sobie radę w tej sytuacji.

Elliott pozwoliła im ustawić latarki na największą moc, uważała bowiem, że nikt nie zauważy światła we wnętrzu wąskiej szczeliny, tym bardziej że gęsta mgła i tak skutecznie wszystko przesłaniała. Will był jej za to ogromnie wdzięczny, gdyż ciasnota panująca w tunelu w połączeniu z ciemnościami przyprawiała go o klaustrofobię.

Kilka razy Will słyszał głos swego brata dochodzący gdzieś z przodu. Sądząc po niewyszukanych przekleństwach, Cal był w

naprawdę kiepskim nastroju. Właściwie wszyscy trzej chłopcy dawali upust frustracji, przeplatając posapywania i jęki siarczystymi przekleństwami. Najwięcej hałasu robił Chester, który wściekał się i klął jak szewc. Tylko Elliott, jak zawsze małomówna, zachowywała całkowite milczenie.

Gdy Chester ponownie szarpnął za linę, Will uświadomił sobie, że omal nie zasnął, i natychmiast ponownie ruszył w drogę. Wkrótce jednak znów musiał się zatrzymać i gdy ocierał pot z czoła, zauważył, że na pobliskiej kałuży błota tworzą się wielkie bąble, pękające z głośnym trzaskiem, który najlepiej można było opisać jako nieustające plask, plask.

I znów kolejne, niepotrzebne szarpnięcie. – Dzięki, przyjacielu! – krzyknął w górę zbocza, w stronę Chestera.

Te bolesne, nadzwyczaj częste szarpnięcia bez ustanku przypominały Willowi, z kim łączy go lina. Znudzony wyczerpującą, zmudną wędrówką, zaczął rozmyślać o tym, co przyjaciel powiedział mu wcześniej.

„Słowa są tanie, szczególnie twoje!

Niedobrze mi, jak na ciebie patrzę!”.

Zdania te wciąż dźwięczały głośno i wyraźnie w uszach Willa.

Jak on śmiał powiedzieć coś takiego?

Will nie chciał, by doszło do tego wszystkiego. Kiedy w Highfield wyruszał z Chesterem na poszukiwania doktora Burrowsa, nie przypuszczał, że czekają ich takie niebezpieczeństwa. Przed kilkoma miesiącami, gdy szli razem wzdłuż torów w pobliżu Stacji Górników przeprosił przyjaciela z głębi serca.

Wówczas Chester dał mu wyraźnie do zrozumienia, że przyjmuje przeprosiny bez najmniejszych zastrzeżeń. „Słowa są tanie, szczególnie twoje!”.

Teraz Chester wykrzyczał mu to prosto w twarz, a on nie mógł

zrobić nic, by wynagrodzić przyjacielowi całe to wydarzenie.

Zupełnie n i c.

Sytuacja była naprawdę beznadziejna, co skłoniło Willa do rozmyślań o tym, jak się sprawy potoczą, gdy odnajdzie przybranego ojca. Widać było gołym okiem, że Chester sprzymierzył się z Elliott – być może częściowo po to, by dokuczyć Willowi.

Jednak nawet nie w tym tkwiła przyczyna; tych dwoje bardzo się do siebie zbliżyło, a Will czuł się wykluczony z ich towarzystwa.

A gdyby jednak udało im się w końcu odnaleźć jego przybranego ojca, jak zareagowałyby na to Elliott? I jak doktor Burrows przyjąłby Elliott? Czy zostaliby wszyscy razem: on, ojciec, Chester, Cal i Elliott? Will nie potrafił wyobrazić sobie, by wszyscy zgodnie ze sobą współdziałali – doktor Burrows byłby w oczach Elliott zdecydowanie zbyt roztargniony i niezaradny. Właściwie trudno było sobie wyobrazić ludzi bardziej odmiennych od siebie niż ta dwójka – gdyby brać pod uwagę ich charaktery, znaleźliby się na przeciwległych końcach skali.

No, a jeśli się podzielili, co by się stało z Chesterem? Granice zostały wyznaczone, a Chester z pewnością nie był już po stronie Willa. Chłopak gotów był nawet przyznać przed samym sobą, że po ostatnich wydarzeniach nie miałby nic przeciwko temu, by Chester odszedł z Elliott. Z drugiej jednak strony wiedział, że zarówno on, jak i ojciec potrzebowaliby Elliott, szczególnie że Styksowie wciąż dybali na życie Willa.

Z rozmyślań o bliższej i dalszej przyszłości wyrwało go kolejne ostre szarpnięcie, a także ponaglący, gardłowy głos Chestera.

Przez dłuższy czas wspinali się w milczeniu po błotnistym stoku, aż Will zauważył, że mgła się przerzedza, a do wnętrza tunelu docierają nikiłe fale świeżego powietrza.

Wkrótce okazało się jednak, że wcale nie ułatwia to marszu;

warstwa błota okrywająca ubrania całej czwórki zaczęła wysychać i zamieniać się w twardą skorupę, która ocierała boleśnie ich ciała.

Gdy pokonali spory odcinek, lekkie podmuchy zamieniły się w silny wiatr, a Will, zniósłszy w milczeniu ostatnie, bolesne szarpnięcia, zorientował się, że dotarli w końcu na szczyt. Odetchnął z ulgą, prostując przy tym obolałe plecy. Przetarłszy oczy z błota, przekonał się, że pozostali także doszli, a teraz stoją i jak on rozluźniają zmęczone kończyny – wszyscy prócz Cala, który przysiadł na pobliskiej skale i masował chorą nogę z wyrazem krańcowego cierpienia na twarzy. Will spojrzał na siebie, a potem na pozostałych. Wyglądali jak nieboskie stworzenia, okryci grubą warstwą zaschniętego błota.

Will przesunął się nieco dalej, na środek otwartej prze-, strzeni, a wtedy wiatr uderzył w niego z taką siłą, że chłopiec z trudem łapał oddech. Najpierw pomyślał, że znaleźli się przed lasem stalagmitów lub stalaktytów, albo jednych i drugich. Dopiero gdy włączył okular i otarł go z błota, zrozumiał, że to zupełnie co innego. Znajdowali się w wielkim tunelu o wysokości dwudziestu lub trzydziestu metrów, od którego odchodziło mnóstwo mniejszych korytarzy było ich tak wiele, że Will natychmiast poczuł się nieswojo, wyobraziwszy sobie Styksów czających się w ich spowitych ciemnością wnętrzach.

– Już nie potrzebujesz liny, możesz ją odwiązać! – krzyknęła do niego Elliott.

Will próbował pozbyć się sznura, lecz węzeł był tak mocno zlepiony błotem, że dziewczyna musiała mu pomóc. Kiedy wreszcie się udało, Elliott zwinęła linę i przywołała wszystkich do siebie. Will zauważył, że Chester wciąż unika jego wzroku.

– Wy pójdziecie tędy – oznajmiła, wskazując w głąb głównego tunelu. Wiatr porywał jej słowa, chłopcy więc nie zrozumieli za pierwszym razem, co miała na myśli.

– Co?! – krzyknął Will, przykładając do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń.

– Powiedziałam, że pójdziecie tędy! – wrzasnęła Elliott, cofając się już w stronę jednego z bocznych tuneli. Wszystko wskazywało na to, że nie zamierza iść z nimi.

Chłopcy spojrzeli na nią pytająco, a na ich twarzach malował się niepokój.



Sara zbliżała się z każdym krokiem. Pomimo cuchnących siarkowych wyziewów niemal czuła ich zapach.

Łowca był wreszcie w swoim żywiole – do tego właśnie został stworzony. Unosząca się w powietrzu świeża woń sprawiała, że kot pędził jej śladem jak oszalały. Z pyska zwisały mu pasma mętnej śliny, a uszy poruszały się bez ustanku, gdy biegł pochylony nisko nad ziemią. Przebierał łapami w śliskim błocie z taką prędkością, że kończyny zlewały się w jedną niewyraźną plamę. Dosłownie ciągnął Sarę za sobą, ona zaś musiała wyęźać wszystkie siły, by go utrzymać. Gdy przystanął na moment, by oczyścić nozdrza z mazi, parskając przy tym jak prosiak, zawołała: – Gdzie jest twój pan?

Choć zwierzak nie potrzebował słów zachęty, powtórzyła śpiewnym głosem, prowokując go do dalszych poszukiwań: – Gdzie jest Cal? No, gdzie jest Cal?

Kot zerwał się ponownie do biegu, a zaskoczona Sara poleciała prosto w śliskie, śmierdzące błoto. Ślizgała się na brzuchu przez dobrych dwadzieścia metrów, wrzeszcząc na rozpędzone stworzenie, nim wreszcie zwolniło ono na tyle, by mogła się podnieść.

– Czy w końcu nauczę się milczeć? – mruknęła do siebie, ścierając z twarzy warstwę błota.

Kiedy kilka godzin wcześniej zobaczyła stado latających

jaszczurów, od razu domyśliła się, kto je wystraszył, i wraz z Bartlebym błyskawicznie pokonała ostatni odcinek plaży dzielący ich od ściany jaskini. Gdy tylko się tam znaleźli, kot natychmiast pochwycił trop prowadzący do skalnej szczeliny i podniósł płaski łeb, wydając głośne, triumfalne miauknięcie.

Teraz, gdy wspinali się po błotnistym zboczu, Sara przyglądała się śladom pozostawionym przez uciekinierów – pojawiający się tu i ówdzie odcisk dłoni stanowił dla niej informację, że z Willem i Calem jest ktoś jeszcze, ktoś mniejszy od nich. „Jakieś dziecko?” – przemknęło jej przez głowę.

Rozdział czterdziesty szósty



Wiatr dmący głównym korytarzem nie ustawał ani na chwilę, czasami tylko zmieniał kierunek i wypływał z bocznych tuneli, uderzając w plecy wędrowców z taką siłą, że pchał ich naprzód. Po kilkugodzinnej podróży przez duszną i parną szczelinę chłopcy przyjęli tę odmianę z radością, choć powietrze wokół wciąż było ciepłe.

Sufit tunelu ciągnął się wysoko w górze, a powierzchnia ścian była niesłychanie gładka, jakby wypolerowana drobinami piasku i żwiru unoszonymi przez wiatr.

Właśnie ze względu na te drobiny chłopcy pochylali nisko głowy i chowali je w ramionach, by nic nie wpadło im do oczu.

Jeszcze przez jakiś czas po tym, jak Elliott zostawiła ich samych, utrzymywali szybkie tempo. Później jednak, gdy wciąż do nich nie wracała, stracili poczucie celu i zapał, a żwawy marsz zmienił się w leniwą przechadzkę.

Przed rozstaniem Elliott powiedziała im, że mają pozostać w głównym korytarzu, ona zaś wybierze się na zwiady i sprawdzi coś, co nazywała „stanowiskami nasłuchowymi”. Chester i Cal przyjęli to wyjaśnienie bez słowa sprzeciwu, Will jednak był nieufny i próbował się dowiedzieć, jakie są jej prawdziwe zamiary.

– Nie rozumiem... dlaczego musisz iść przodem? – spytał, patrząc uważnie w jej oczy.

– O ile pamiętam, mówiłaś, że Granicznicy są z a nami?

Elliott nie odpowiedziała od razu, lecz szybko odwróciła wzrok i przekrzywiła głowę, jakby usłyszała coś w wyciu wiatru. Nasłuchiwała przez sekundę, po czym znów na niego spojrzała.

– Ci żołnierze znają teren równie dobrze, jak znamy go ja i Drake. Jak znał go Drake – poprawiła się szybko, krzywiąc się mimowolnie. – Mogą czaić się wszędzie, a my nie możemy być niczego pewni.

– Chcesz powiedzieć, że mogą tu gdzieś na nas czyhać? spytał Chester, rozglądając się nerwowo dokoła. – Ze możemy wejść prosto w pułapkę?

– Tak. Więc pozwólcie, że zajmę się tym, co robię najlepiej – odrzekła Elliott.

Teraz, gdy pozbawieni zostali jej przewodnictwa, na czele grupy szedł Chester, a Will i Cal podążali tuż za nim. Bez swej przewodniczki i jednocześnie przywódczyni czuli się zagubieni i całkowicie bezbronni.

Niesłabnący wiatr skutecznie ich chłodził, ale i odwadniał, nikt więc nie zaprotestował, gdy Will zgłosił propozycję, by zrobić krótką przerwę. Oparci o ściany tunelu, chłopcy z ulgą popijali wodę z manierek.

Ponieważ Will i Chester wciąż byli na siebie obrażeni, żaden z nich nawet nie próbował się odzywać. Cal zmagął się ciągle z chorą nogą i także nie miał ochoty na rozmowę.

Will zerknął na towarzyszy. Z zachowania pozostałych wnioskował, że i oni zastanawiali się, czy Elliott ich nie porzuciła. On sam był na to przygotowany, uważał bowiem za całkiem prawdopodobne, że zostawiła ich w końcu na pastwę losu. Pozbawiona balastu, mogłaby znacznie szybciej dostać się do Pustkowi, czy dokąd tam się wybierała.

Chłopak był ciekaw, jak zachowałyby się Chester, gdyby rzeczywiście tak ich potraktowała. Wydawało się, że bezgranicznie jej

ufa i byłby to dla niego straszliwy cios. Nawet teraz, gdy Will przyglądał mu się ukradkiem, Chester wpatrywał się w ciemność, wyczekując jej powrotu.

Nagle nad wycie wiatru wybił się potworny dźwięk, niski zwierzęcy skowyt.

Gdy tylko Will go usłyszał, zrozumiał, co zmierza w ich stronę. Kiedyś już słyszał ten odgłos i miał wielką nadzieję, że nie usłyszy go nigdy więcej. Ogarnięty przerażeniem, krzyknął: – Pies! Styksowie!

Cal i Chester patrzyli na niego w bezgranicznym zdumieniu, gdy nagle wypuścił z dłoni manierkę i rzucił się w ich stronę. Chwycił chłopców za ubrania i zaczął ciągnąć za sobą, próbując w ten sposób zmusić ich do biegu.

– Uciekajcie! – wrzasnął, ogarnięty ślełą paniką.

W ciągu paru sekund wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy.

Najpierw rozległo się ciche skowytanie, a z ciemności wyskoczył jakiś rozmazany kształt. Oderwał się od ziemi i wylądował prosto na Calu. Gdyby chłopiec nie stał tak blisko ściany, z pewnością runąłby na ziemię. Will został odepchnięty na bok, szybko jednak odzyskał równowagę. Dojrzał tylko zarys wielkiego zwierzęcia i umocnił się w przekonaniu, że to pies Styksów. Był pewien, że wszystko stracone, dopóki nie usłyszał okrzyków brata: – Bartleby! – wołał Cal, uszczęśliwiony. – Bart! To naprawdę ty!

W tej samej chwili z dala dobiegł ich przytłumiony huk. Kątem oka Will dostrzegł rozbłyśki w głębi tunelu.

– Jest tam! – krzyknął Chester. – Elliott!

Will i Chester patrzyli w milczeniu, jak dziewczyna wynurza się z ciemności i staje pośrodku przejścia.

– Zostańcie tam! – krzyknęła do nich, ruszając w głąb korytarza.

Cal nie posiadał się ze szczęścia. Przytulony do kota w ogóle nie zwracał uwagi na to, co się dzieje dokoła.

– Kto ci to założył? – spytał zwierzaka, po czym natychmiast odpiął skórzaną obrozę i odrzucił ją na bok. Jeszcze raz uścisnął swego ulubieńca, ten zaś w rewanżu polizał go po twarzy. – Nie mogę uwierzyć, że cię odzyskałem, Bart powtarzał raz za razem.

– Ja też nie mogę w to uwierzyć. Skąd on się tutaj, u diabła, wziął? – powiedział Will do Chestera, zapominając na moment o dzielących ich różnicach.

– Wbrew poleceniu Elliott obaj ruszyli powoli w jej stronę. Will włączył okular, by widzieć, co robi ukryta w ciemnościach dziewczyna. Trzymała w dłoni strzelbę, skierowaną lufą w dół. Will wciąż nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia wywołanego powrotem Bartleby ego, zrozumiał więc, co się stało, dopiero gdy Chester mu to wyjaśnił: – Elliott strzeliła do kogoś – oświadczył beznamiętnie.

– O Boże... – szepnął Will, uświadomiwszy sobie, co oznaczał odległy huk i rozbłyski.

Zatrzymał się raptownie. Nie miał najmniejszej ochoty iść do miejsca, gdzie, być może, czaili się Styksowie.

Tymczasem nieco dalej, w głębi tunelu, Elliott odrzuciła kopniakiem strzelbę leżącą przy nieruchomym ciele i pochyliła się nad nim. Nie musiała sprawdzać pulsu – widziała ciemną plamę krwi rozlewającą się powoli po piasku – jeśli Styks jeszcze nie umarł, była to tylko kwestia minut.

Pierwszy strzał, skierowany w tułów, miał powstrzymać napastnika, drugi zaś uderzył w jego skroń. Unieruchomić... potem zabić. Nie trafiła może tak czysto, jak by chciała, ale rezultat był ten sam. Elliott pozwoliła sobie na uśmiech samozadowolenia.

Styks pokryty był warstwą zaschniętego błota, co oznaczało, że szedł za nimi przez skalną szczelinę. Elliott dotknęła czubkami palców nawoskowanej powierzchni długiego płaszcza, pokrytego tak dobrze jej znanym brązowo-beżowym wzorem.

Cóż, jednego Granicznika mniej – nie będzie już sprawiał im problemów.

– To dla ciebie, Drake – wyszeptała, potem jednak na jej twarzy pojawił się grymas zakłopotania. ‘ Coś się tutaj nie zgadzało. Niedoszły zabójca pędził w stronę chłopców z bronią na ramieniu. Elliott była pewna, że zamierza strzelić w biegu, a jednak tego nie zrobił. W jego zachowaniu brakowało też precyzji i zręczności, jakich Elliott spodziewałaby się po żołnierzu należącym do formacji Graniczników. Słynęli z niezwykłych umiejętności, które pozwalały im podkraść się niepostrzeżenie do wroga, jednak ten człowiek pędził jak szalony, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Elliott zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tą zagadką, szybko jednak doszła do wniosku, że są to czysto akademickie rozważania – nieprzyjaciel leżał martwy na ziemi, a ona nie mogła zostać tu dłużej. Najprawdopodobniej w ich stronę zmierzali już kolejni Granicznicy, należało więc jak najszybciej ruszać w dalszą drogę.

Zaczęła przeglądać rzeczy żołnierza, by zabrać ze sobą to, co mogło im się jeszcze przydać. Westchnęła z rozczarowaniem, zobaczywszy, że Granicznik nie ma plecaka – musiał porzucić go po drodze, by szybciej się poruszać. Miał jednak pas ze sprzętem; Elliott odpięła go szybko i położyła obok strzelby. Kiedy przeszukiwała kieszenie żołnierza, trafiła na złożoną kartkę papieru. Przekonana, że to mapa, otworzyła ją szybko, zostawiając na powierzchni smugi krwi Granicznika, którą poplamiała sobie dłonie. Była to ulotka upamiętniająca jakieś wydarzenie – widziała kiedyś podobne w Kolonii. Na środku znajdował się portret jakiejś kobiety, w rogach zaś cztery mniejsze obrazki przedstawiające różne sceny z udziałem tej samej osoby. Elliott spojrzała na nie przelotnie i już miała wyrzucić kartkę, gdy jej uwagę przykuł pewien szczegół.

Na dole znajdował się piąty rysunek, dodany zapewne później,

gdyż sporządzony został ołówkiem. Elliott przyglądała się mu ze zdumieniem, nie wierząc własnym oczom.

Była to podobizna Willa, choć na obrazku wyglądał nieco lepiej niż w rzeczywistości, miał bowiem krótko przycięte włosy.

Elliott przysunęła latarkę do kartki i przyjrzała się uważniej. Tak, to z pewnością był Will, teraz jednak dostrzegła na obrazku jeszcze jeden element, który aż zaparł jej dech w piersiach. Jego szyję oplatał stryczek. Drugi koniec sznura tworzył zaś nad jego głową wielki znak zapytania.

Tuż za podobizną Willa znajdowała się jeszcze jedna, mniej wyraźna postać, która przypominała Cal'a. Podczas gdy Will miał niezbyt szczęśliwą minę, jaką zapewne miałby każdy, kto może zostać za chwilę powieszony, Cal uśmiechał się pogodnie.

Emocje malujące się na obu twarzach różniły się od siebie diametralnie, co dawało dość niepokojący efekt.

Elliott przyjrzała się teraz uważniej pozostałym rysunkom na kartce, szczególnie zaś portretowi kobiet, a potem przeczytała napis na fladze umieszczonej nad jej głową.

„Sara Jerome”.

Dziewczyna natychmiast pochyliła się nad ciałem i obróciła jego głowę, by przyrzeć się twarzy. Pomimo sporej ilości krwi wypływającej z rany na skroni trupa, natychmiast zrozumiała, że nie jest to Granicznik.

To była kobieta!

Z długimi brązowymi włosami ściągniętymi z tyłu głowy. Wśród Graniczników nie było kobiet – nikt nie mógł wiedzieć tego lepiej niż Elliott.

jakiejś kobiety, w rogach zaś cztery mniejsze obrazki przedstawiające różne sceny z udziałem tej samej osoby. Elliott spojrzała na nie przelotnie i już miała wyrzucić kartkę, gdy jej uwagę

przykuł pewien szczegół.

Na dole znajdował się piąty rysunek, dodany zapewne później, gdyż sporządzony został ołówkiem. Elliott przyglądała się mu ze zdumieniem, nie wierząc własnym oczom.

Była to podobizna Willa, choć na obrazku wyglądał nieco lepiej niż w rzeczywistości, miał bowiem krótko przycięte włosy.

Elliott przysunęła latarkę do kartki i przyjrzała się uważniej. Tak, to z pewnością był Will, teraz jednak dostrzegła na obrazku jeszcze jeden element, który aż zaparł jej dech w piersiach. Jego szyję oplatał stryczek. Drugi koniec sznura tworzył zaś nad jego głową wielki znak zapytania.

Tuż za podobizną Willa znajdowała się jeszcze jedna, mniej wyraźna postać, która przypominała Calę. Podczas gdy Will miał niezbyt szczęśliwą minę, jaką zapewne miałby każdy, kto może zostać za chwilę powieszony, Cal uśmiechał się pogodnie.

Emocje malujące się na obu twarzach różniły się od siebie diametralnie, co dawało dość niepokojący efekt.

Elliott przyjrzała się teraz uważniej pozostałym rysunkom na kartce, szczególnie zaś portretowi kobiet, a potem przeczytała napis na fladze umieszczonej nad jej głową.

„Sara Jerome”.

Dziewczyna natychmiast pochyliła się nad ciałem i obróciła jego głowę, by przyrzeć się twarzy. Pomimo sporej ilości krwi wypływającej z rany na skroni trupa, natychmiast zrozumiała, że nie jest to Granicznik.

To była kobieta!

Z długimi brązowymi włosami ściągniętymi z tyłu głowy. Wśród Graniczników nie było kobiet – nikt nie mógł wiedzieć tego lepiej niż Elliott.

W tym momencie uświadomiła sobie, kto leży przed nią. Kogo

zabiła. Matkę Willa i Cala... To była Sara Jerome.

Elliott obróciła głowę trupa twarzą do ściany, uznawszy, że powinna ją jednak schować, na wypadek gdyby zbliżył się któryś z chłopców.

– Potrzebujesz pomocy? – zawołał Will.

– E... nie, zostańcie tam, gdzie jesteście! – odkrzyknęła Elliott.

– To jakiś cholerny Styks, prawda? – ponownie zawołał Will, nieco drżącym głosem.

– Chyba tak – odpowiedziała Elliott po chwili.

Zawahała się. Patrząc na zakrwawioną głowę, zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Willowi czy też nie. Ze ściśniętym sercem powróciła myślami do wspomnień ze swego domu w Kolonii. Pamiętała dobrze tę rozdzierającą chwilę, gdy musiała zostawić matkę; dobrze wiedziała, że najprawdopodobniej już nigdy jej nie zobaczy.

Wciąż niezdecydowana, Elliott spojrzała ponownie na kartkę papieru. Nie powinna trzymać tego w sekrecie. Nie potrafiłaby żyć z czymś takim na sumieniu.

– Will, Cal, chodźcie tutaj!

– Jasne! – odkrzyknął Will i podbiegł do niej. – Załatwiłaś gnojka, nie ma co – stwierdził, spoglądając nieco lękliwie na nieruchome ciało.

– Chyba powinieneś to zobaczyć – powiedziała Elliott szybko, wciskając mu w rękę ulotkę.

Will przebiegł wzrokiem po obrazkach umieszczonych na kartce. Rozpoznał swą podobiznę, pokręcił głowę z niedowierzaniem.

– Co to jest? – Potem jego wzrok spoczął na napisie u góry ulotki. – „Sara... Sara Jerome” – przeczytał głośno. Odwrócił się do Chestera. – Sara Jerome? – powtórzył.

– Chyba nie twoja matka? – spytał Chester, pochylając się nad

kartką.

Elliott uklękła przy ciele. Bez słowa obróciła powoli głowę kobiety i delikatnie odgarnęła wilgotne włosy z jej twarzy. Potem wstała.

– Myślałam, że to Granicznik, Will.

– O Boże! To ona! To naprawdę ona! – wykrzyknął Will, wodząc spojrzeniem od obrazka do leżącej na ziemi kobiety. Nie potrzebował zresztą żadnego potwierdzenia; podobieństwo między jego własną twarzą a twarzą kobiety było wręcz uderzające, zupełnie jakby patrzył na własne odbicie w zakurzonej lustrze.

– Co ona tu robi? – spytał Chester. – I dlaczego miała ze sobą to? – dodał, wskazując na strzelbę.

Will pokręcił głową. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Przyrowadź tu Cala! – warknął do Chestera, a potem podszedł do Sary. Przykucnął obok niej i wyciągnął rękę, dotykając twarzy tak bardzo podobnej do jego własnej.

Szybko cofnął dłoń, gdy nagle kobieta wydała z siebie cichy jęk.

– Elliott, ona żyje – wykrztusił Will.

Powieki Sary drgnęły lekko, nadal jednak pozostawały zamknięte.

Nim Elliott zdążyła zareagować, Sara otworzyła usta i wzięła głęboki, drżący oddech.

– Will? – spytała, ledwie poruszając wargami. Jej głos był tak cichy, że z trudem przebijał się przez szum wiatru.

– Ty jesteś Sara Jerome? Naprawdę jesteś moją matką? spytał łamiącym się głosem, targany sprzecznymi emocjami i myślami. Oto po raz pierwszy w życiu spotykał swoją biologiczną matkę, ta jednak ubrana była w mundur żołnierzy, którzy dybali na jego życie. Co więcej, na rysunku, który miała w kieszeni, na jego szyi widniał strychezek.

O co w tym wszystkim chodziło? Czy chciała go zastrzelić?

– Tak, jestem twoją matką – jęknęła. – Musisz mi powiedzieć... – zaczęła, potem jednak straciła głos.

– Co? Co mam ci powiedzieć? – dopytywał się Will.

– Czy zabiłeś Tama?! – krzyknęła nagle Sara, dysząc ciężko i otwierając raptownie oczy.

Will był tak zszokowany, że cofnął się o krok i omal nie przewrócił.

– Nie, nie zrobił tego – odparł Cal w jego imieniu. Will był tak przejęty, że nawet nie zauważył, gdy młodszy brat stanął u jego boku.

– To naprawdę ty, mammo?

– Cal – wyszeptała Sara, kaszląc ciężko i zaciskając mocno powieki, spod których wypłynęły strumienie łez. Dopiero po kilku sekundach znów była w stanie mówić. – Powiedzcie mi, co się stało w Wiecznym Mieście... Powiedzcie mi, jak zginął Tam.

Muszę to wiedzieć.

Cal także z trudem wydobywał z siebie słowa.

– Wuj Tam zginął, ratując nas... – przemówił drżącym głosem. – Nas obu – dodał.

– O mój Boże! – zaszlochała Sara. – Okłamywali mnie.. Wiedziałam. Styksowie przez cały czas mnie okłamywali! -Próbowała usiąść, nie miała jednak dość sił.

– Nie powinnaś się ruszać bez potrzeby – zwróciła się do niej Elliott. – Mocno krwawisz. Myślałam, że jesteś Granicznikiem. Strzeliłam...

– Teraz nie ma to już znaczenia – przerwała jej Sara, kręcąc głową i pojękując boleśnie.

– Mogę opatrzyć twoje rany – zaproponowała Elliott i przestąpiła niepewnie z nogi na nogę, gdy Will podniósł na nią wzrok.

Sara próbowała odmówić, znów jednak zaniósła się kaszlem. Gdy wreszcie doszła do siebie, mówiła dalej: – Will, przepraszam, że kiedykolwiek w ciebie wątpiłam. Bardzo, bardzo przepraszam.

– E... w porządku – wyjąkał chłopak, nie wiedząc właściwie, o co jej chodzi.

– Podejdźcie bliżej, obaj – przywołała ich do siebie. – Posłuchajcie.

Kiedy chłopcy pochyłili się, by wysłuchać słów matki, Elliott przyłożyła do jej biodra opatrunek z gazy i obwiązała go bandażem.

– Styksowie mają śmiertelnie niebezpieczny wirus i zamierzają rozsiać go w Górnoziemiu – umilkła na moment, zaciskając zęby i pojękując cicho, po czym przemówiła ponownie: – Wypróbowali już łagodniejszą wersję na powierzchni... ale to była tylko próba... Prawdziwy wirus nazywa się Dominionum... Wywoła straszliwą zarazę.

– Więc to właśnie widzieliśmy w bunkrze... – wyszeptał Cal, spoglądając na Elliott.

– Will... Will – mówiła dalej Sara, wpatrując się w niego z desperacją. – Rebeka nosi ten wirus przy sobie... i chce cię wyeliminować. Granicznicy... – Sara napięła całe ciało, a potem rozluźniła je ponownie – ... nie spoczną, dopóki cię nie zabiją.

– Ale dlaczego właśnie mnie? – Will omal się nie zatoczył, usłyszawszy tę wiadomość. Oto miał potwierdzenie tego, czego się obawiał. Styksowie naprawdę polowali właśnie na niego.

Sara nie odpowiedziała. Z największym trudem spojrziała na Elliott, która kończyła właśnie opatrywać jej skroń.

– Chcą zabić was wszystkich. Musicie stąd uciekać. Czy jest tu jeszcze ktoś, kto mógłby wam pomóc?

– Nie, zostaliśmy tylko my – odparła Elliott. – Większość renegatów zabili albo uwięzili.

Sara milczała przez chwilę, próbując uspokoić oddech.

– W takim razie... Will, Cal, musicie się ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu... gdzie nie będą mogli was dopaść.

– Właśnie to robimy – skinęła głową Elliott. – Idziemy do Pustkowi.

– Dobrze – wychrypięła Sara. – Potem musicie się dostać do

Górnoziemia i ostrzec ich.

– Jak... ? – zaczął Will.

– Och, jak to boli... – jęknęła Sara, opuszczając głowę, jakby traciła świadomość.

Tylko lekkie drzenie powiek świadczyło o tym, że wciąż jest przytomna.

– Mamo... – przemówił Will niepewnie. Czuł się bardzo dziwnie, zwracając się w ten sposób do zupełnie obcej osoby. Chciałby zapytać ją o tysiąc rzeczy, wiedział jednak, że nie jest to właściwe miejsce ani czas. – Mamo, musisz pójść z nami.

– Możemy cię nieść – dodał Cal.

– Nie – odparła stanowczo Sara. – Stracilibyście tylko czas i siły. Jeśli pójdziecie sami, będziecie mieli znacznie większe szanse.

– Ona ma rację – odezwała się Elliott, podnosząc rzeczy Sary i podając je Chesterowi.

– Musimy już iść.

– Nie, ja nie pójdę nigdzie bez mamy – oświadczył Cal, chwytając bezwładną dłoń kobiety.

Kiedy zapłakany Cal rozmawiał z matką, Will wziął Elliott na bok.

– Na pewno możemy jakoś jej pomóc – upierał się. – Może zabierzemy ją po prostu gdzieś dalej i ukryjemy?

– Nie – odparła Elliott z naciskiem. – Poza tym i tak na niewiele by się to zdało. Ona i tak wkrótce umrze, Will. Przykro mi.

Sara wymówiła jego imię, a chłopiec natychmiast dołączył do Cala siedzącego u jej boku.

– Nigdy nie zapominajcie... – zaczęła kobieta, zwracając się do obu chłopców. Widać było, że wypowiedzenie każdego słowa sprawia jej ogromną trudność; grymas bólu bez ustanku wykrzywiaił wilgotną twarz. – Jestem dumna z was o... – nie dokończyła. Zamknęła powoli oczy i znieruchomiała. Była nieprzytomna.

– Musimy iść – powtórzyła Elliott. – Granicznicy będą tu lada moment!

– Nie! – krzyknął Cal. – Ty jej to zrobiłaś. Nie możemy...

– Nie zmienię tego, co się stało – odparła Elliott spokojnie. – Ale wciąż mogę pomóc wam. Sami zdecydujcie, czy tego chcecie czy nie.

Cal miał ponownie zaprotestować, gdy Elliott odwróciła się i ruszyła w głąb tunelu.

Chester szedł za nią jak cień.

– Tylko spójrz na swoją matkę, Cal. Zaszкодzilibyśmy jej, próbując ją stąd ruszać – dorzuciła jeszcze na odchodnym, zerkając na chłopca przez ramię.

Choć Cal wciąż nie mógł pogodzić się z taką decyzją, zarówno on, jak i Will wiedzieli w głębi serca, że Elliott ma rację. W żadnym razie nie byliby w stanie zabrać Sary ze sobą. Ruszyli więc powoli śladem dziewczyny, a ta tłumaczyła, że ich matka będzie miała większe szanse na przeżycie, jeśli znajdzie ją jakiś inny renegat i odpowiednio się nią zajmie. Jednak obaj chłopcy wiedzieli, iż to mało prawdopodobny scenariusz. Domyślali się, że w ten sposób Elliott stara się choć trochę ich pocieszyć.

Kiedy doszli do zakrętu tunelu, Will przystanął i odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na Sarę. Żałosne, nieustające wycie wiatru zlewało się w jedno z przerażającą myślą, która go teraz dręczyła – że jego matka może umrzeć tu, w ciemnościach, zupełnie sama. A może i on miał podobnie dokonać żywota; wydać ostatnie tchnienie w odległym zakamarku Ziemi, w samotności.

Mimo że chłopiec odczuwał ogromne przygnębienie wywołane ostatnimi wydarzeniami, wiedział, że powinien czuć coś więcej.

Powinien czuć głęboki żal, że jego prawdziwa matka wykrwawia się właśnie na śmierć w ciemnym tunelu, lecz w miejscu przeznaczonym na ten smutek wisiła chmura kłębiących się emocji.

Powinien płakać z rozpaczy, jednak Sara Jerome wciąż była dla niego niemalże nieznaną osobą, która została postrzelona wskutek niefortunego zbiegu okoliczności.

– Will – ponagliła Elliott, ciągnąc go za rękę.

– Nie rozumiem. Co ona tutaj robi? – zastanawiał się głośno chłopak. – I dlaczego dali jej Bartleby ego?

– Ten Łowca należał kiedyś do Cala? – spytała Elliott. Will skinął głową.

– Więc to bardzo proste. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Białe Szyje wiedziały, że jesteś razem z Calem. Cóż więc łatwiejszego, niż dać Sarze zwierzaka i pozwolić, by doprowadził ją do was?

– Pewnie masz rację – odparł Will, marszcząc brwi. – Ale dlaczego w ogóle tutaj trafiła? Co też Styksowie...

– Nie rozumiesz? Chcieli, żeby cię odnalazła i zabiła wtrącił Chester beznamiętnym głosem. Do tej pory milczał, najwyraźniej jednak zdążył sobie to wszystko dobrze przemyśleć. – Próbowali jej wmówić, że to ty jesteś odpowiedzialny za śmierć Tama.

Jeszcze jeden podły spisek tych szubrawców. Podobnie jak to Dominium, o którym mówiła Sara.

– Moglibyśmy trochę przyspieszyć? – przerwała im Elliott, rozrzucając parzydła na dnie tunelu.

Ruszyli w głąb głównego korytarza. Cal szedł kilka kroków z tyłu w towarzystwie uradowanego kota, który nie przestawał skakać wokół chłopca i się łąsić.

Wkrótce dotarli do wąskiej półki skalnej smaganej mocnym wiatrem. Zatrzymali się.

Zarówno przed nimi, jak i po bokach rozciągała się mroczna, nieodgadniona pustka.

Rozdział czterdziesty siódmy



Co teraz? – spytał Will, starając się uciec myślami od Sary i skupić na obecnej sytuacji.

Pozbawiony pomocy okularu, chłopak nie widział zbyt wiele w gęstym mroku. Miał jednak wrażenie, że gdzieś przed nimi kryją się ciemniejsze plamy. Mogły one oznaczać górskie grzbiety lub obecność skalnych występów na podobnej wysokości.

Bez wątpienia Elliott zaprowadziła ich na skraj jakiejś szczeliny, jednak Will nie miał pojęcia, co znajduje się dalej.

Czuł na sobie zimne spojrzenie Chestera, co ogromnie go irytowało. Wciąż miał wrażenie, że były przyjaciel właśnie jego obarcza całą winą za zło, które spotykało ich po drodze. Wydawało mu się, że – choćby ze względu na niedawne przeżycia – chłopak powinien choć trochę odpuścić. Najwyraźniej oczekiwał zbyt wiele.

– Więc co, będziemy skakać? – spytał Will, spoglądając tam, gdzie jak sądził, znajdowała się głęboka przepaść.

– Jasne, droga wolna. To tylko kilkaset metrów w dół odparła Elliott. – Ale możesz spróbować też tędy.

Wszyscy spojrzeli na wskazane przez nią miejsce przy samej krawędzi półki i zobaczyli dwa metalowe pręty wystające ze ściany. Ruszyli do przodu, ostrożnie stawiając krcki i chwytając się skalnej ściany. Zbliżywszy się nieco do zagadkowego przedmiotu, przekonali się, że jest to szczyt starej żelaznej drabiny, nieco już zardzewiałej, lecz wciąż solidnej.

– Drabina Koproliłów. Alternatywny sposób zejścia. Może nie tak szybki jak skok, ale znacznie mniej bolesny oświadczyła Elliott. – To miejsce nosi nazwę: „Ostrza”; sami się przekonacie dlaczego, kiedy już będziemy na dole.

– A co z Bartleby? – odezwał się nagle Cal. – Nie zdoła zejść po drabinie, a ja na pewno nie zostawię go tutaj! Dopiero co go odzyskałem!

Cal klęczał obok kota i obejmował zwierzę za szyję, ono zaś pocierało pyskiem o głowę chłopca i mruczało głośno niczym mały traktor.

– Każ mu iść wzdłuż krawędzi. Sam znajdzie drogę w dół – odparła Elliott.

– Nie zamierzam ponownie go stracić – powtórzył Cal z uporem.

– Już to słyszałam! – warknęła dziewczyna. – Jeśli to prawdziwy Łowca, odnajdzie nas na dole.

Cal parsknął z oburzeniem.

– Co ty wygadujesz?! To najlepszy Łowca w całej Kolonii! Prawda, Bart? – Pogłaskał czule łysy łeb zwierzęcia, a pomruk przybrał jeszcze na sile, jakby ktoś w traktorze dodał gazu.

Elliott poszła pierwsza. Tuż za nią ruszył Chester, przepychając się do przodu obok Willa.

– Przepraszam – mruknął szorstko.

Will postanowił to przemilczeć i gdy tylko Chester znikł mu z oczu, wszedł na drabinę. Początkowo czuł się dość niepewnie, gdyż chwyciwszy się dwóch prętów wystających ze ściany, nie mógł przez moment znaleźć oparcia dla stóp. Później jednak ruszył w dół i było już całkiem nieźle. Jako ostatni szedł Cal, który wcześniej wyprawił Bartleby ego w długą drogę wzdłuż skalnej półki. Zdawało się, że najmłodszy chłopiec porusza się z wielkim trudem, stąpa sztywno i powoli.

Była to czasochłonna i męcząca wędrówka. Drabina trzęsa się i skrzypiała przy każdym ruchu, jakby niektóre z mocowań oderwały się od ściany. Wkrótce dłonie wędrowców okryły się warstwą rdzy i zrobiły tak suche, że musieli bardzo uważać, by nie stracić kontaktu ze szczeblami. Im niżej schodzili, tym słabsze stawały się podmuchy wiatru. Po jakimś czasie Will uzmysłowił sobie, że nie widzi ani nie słyszy Cala.

– Nic ci nie jest?! – krzyknął w górę. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Powtórzył pytanie, tym razem głośniej.

– Nie – dobiegło burkliwe warknięcie z dołu, od Chestera.

– Nie ciebie pytam, idioto! Chodzi mi o Cala.

Kiedy Chester mamrotał coś w odpowiedzi, obok Willa przemknęła ze świstem laska Cala.

– O kurde! – krzyknął Will, przerażony, że jego brat się poślizgnął i zaraz polecą w ślad za laską. Wstrzymał oddech i czekał. Okazało się, że te obawy się nie ziściły, jednak Will wciąż nie widział Cala. Uznał, że lepiej będzie, jeśli sprawdzi, co się dzieje z najmłodszym chłopcem, i ruszył z powrotem w górę. Wkrótce dotarł do brata, który tkwił w bezruchu i obiema rękami obejmował mocno drabinę.

– Upuściłeś laskę. Co się dzieje?

– Nie dam rady – wydyszał Cal – ... niedobrze mi... Zostaw mnie na chwilę w spokoju.

– To przez nogę? – spytał Will, zatroskany i zarazem zadziwiony ostrym tonem brata.

– Czy ciągle martwisz się o Sarę? O co chodzi?

– Nie... tylko trochę kręci mi się w głowie...

– Ach... – mruknął Will, uświadomiwszy sobie, na czym polega kłopot. Cal, który całe życie spędził w Kolonii, nie był przyzwyczajony do dużych wysokości. Podobne problemy miał już wcześniej, kiedy byli w Górnoziemiu. – To kwestia wysokości, tak? Cal potwierdził

niewyraźnym mruknięciem.

– Nie ma się czego bać, stary. Nie chcę, żebyś patrzył w dół, ale jesteśmy prawie u celu, zaufaj mi... Widzę już Elliott.

– Naprawdę? – spytał Cal trochę nieufnie.

– Oczywiście. Chodź.

Mały podstęp Willa sprawdzał się przez nie więcej niż trzydzieści metrów; później Cal znów się zatrzymał.

– Kłamiesz. Powinniśmy już być na dole.

– Nie, już naprawdę niedaleko – zapewniał brata Will. -I nie patrz w dół!

Taka sama sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie, a Cal za każdym razem przyjmował słowa Willa z coraz większym niedowierzaniem i irytacją. Wreszcie Will naprawdę dotarł na sam dół.

– Jesteśmy na miejscu! – oświadczył.

– Okłamałeś mnie! – oskarżył go brat, gdy tylko stanął na ziemi.

– Tak, ale poskutkowało, prawda? Teraz już jesteś bezpieczny – odparł Will, wzruszając ramionami. Był zadowolony, że udało mu się sprowadzić chłopca na dół, nawet jeśli w tym celu musiał się uciec do kłamstwa.

– Już nigdy więcej cię nie posłucham – burknął Cal i obrażony, szukał swej laski. – Jesteś obrzydliwym kłamcą.

– Jasne, proszę bardzo, możesz się wyżyć na mnie do woli... jak wszyscy inni – odpowiedział Will, kierując te słowa bardziej do Chestera niż do Cala.

Will był tak zajęty bratem, że nie zdążył jeszcze się rozejrzeć po okolicy. Kiedy odwrócił się od drabiny i zrobił kilka kroków, spod jego stóp dobiegł głośny chrzęst, jakby stapał po rozbitym szkłe. Podobny odgłos towarzyszył krokom wszystkich jego towarzyszy.

Do świadomości chłopca docierało powoli, co znajduje się przed

nim. Na podstawie tego, co widział w ciemnościach, mógł przypuszczać, że jest to rząd stojących blisko siebie olbrzymich kolumn; ich wierzchołki nikły wysoko w górze, a każda miała około siedemdziesięciu metrów w obwodzie.

– Zrobię to tylko dlatego, że Granicznicy są prawdopodobnie jeszcze dość daleko, a chcę, byście wiedzieli, w co się pakujemy – oświadczyła Elliott, włączając latarkę i kierując jej promień do przodu.

– Super! – zawołał Will.

Miał wrażenie, że patrzy na morze ciemnych luster. Promień lampy odbił się od najbliższej powierzchni i padł na drugą, która z kolei przekazała go ku następnej i tak dalej. W rezultacie dokoła pojawiło się mnóstwo promieni światła, jakby ktoś zapalił nie jedną, lecz dziesiątki latarek. Efekt był naprawdę zdumiewający. W czarnych taflach Will dostrzegł także odbicia swoje i innych, ułożone pod różnymi kątami.

– Ostrza – powiedziała Elliott. – Zbudowane są z obsydianu.

Will westchnął głośno z zachwytu i zaczął przyglądać się najbliższej kolumnie. Jej powierzchnia nie była całkiem gładka, jak mu się początkowo wydawało, lecz złożona z wielu wąskich płaszczyzn, które bieging pionowo na całej długości. Kiedy Will zadarł głowę, wydawało mu się, że kolumna wcale się nie zwęża, lecz zachowuje przez cały czas tę samą średnicę.

Rozejrzawszy się dokoła, Will zauważył nieco inny twór. Tutaj wąskie powierzchnie wyginały się lekko, upodabniając obsydianowy słup do olbrzymiego wydłużonego cukierka ustawionego w pionie. Chłopiec przeszedł dalej i zorientował się, że wśród zupełnie prostych kolumn znajduje się też sporo lekko zaokrąglonych, a także kilka wyjątkowo pękatek.

Will przypomniał sobie, że w plecaku wciąż ma aparat

fotograficzny Zastanawiał się przez moment, czy udałoby mu się zrobić dobre zdjęcie tego niezwykłego krajobrazu.

Szybko jednak doszedł do wniosku, że ze względu na liczne odbicia byłoby to niemożliwe. Tymczasem umysł chłopca pracował już na pełnych obrotach, a Will zastanawiał się, jakie czynniki mogły doprowadzić do powstania tak unikatowego zjawiska.

Choć miał ogromną ochotę powiedzieć coś na ten temat, powstrzymał się w porę, przypomniawszy sobie, jak potraktował go Chester, gdy Will zachwycił się latającymi jaszczurami. Gdyby jednak przyszło mu szukać scenerii pasującej do uwielbianych przez Chestera książek fantastycznych, chyba nie znalazłby lepszej.

„Sekretna kraina mrocznych zjaw” – pomyślał cierpko. Albo jeszcze lepiej: „Sekretna kraina mrocznych i wyjątkowo próżnych zjaw”. Stłumił chichot, postanowiwszy zachować to spostrzeżenie tylko dla siebie. Wolał nie narażać się jeszcze bardziej byłemu przyjacielowi; i bez tego ich stosunki pozostawiały wiele do życzenia.

W tym samym momencie Chester zwrócił się do Elliott, przemawiając wyjątkowo znudzonym tonem, jakby fantastyczny krajobraz nie zrobił na nim żadnego wrażenia; Will był pewien, że robi to specjalnie, by mu dokuczyć.

– Tak. I co teraz? – spytał.

Elliott w końcu wyłączyła latarkę. Gęsta sieć promieni i odbić znikła, co Will przyjął z ulgą, gdyż ów piękny skądinąd efekt wprowadzał ogromny zamęt.

– To jest prawdziwy labirynt, więc róbcie dokładnie to, co wam powiem – odparła dziewczyna. – Urządziliśmy tu z Drakiem kryjówkę, zatem po drodze będziemy mogli uzupełnić zapasy wody, jedzenia i amunicji. Uwiniemy się z tym dość szybko, a potem ruszymy w stronę Czułości. Stamtąd zostanie nam jeszcze kilka dni drogi do Pustkowi.

– A co z Bartleby? – spytał Cal, nie pozwalając Willowi rozwinąć

tematu. – Jeszcze go tu nie ma.

– Daj mu szansę. Wiesz, że nas znajdzie – odparła Elliott pełnym zrozumienia głosem, próbując udobruchać chłopca, który znów zaczął się denerwować.

– Mam nadzieję – burknął Cal.

– Ruszajmy wreszcie – westchnęła Elliott. Widać było, że i jej cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

Mimo szczerych chęci chłopcy nie byli w stanie stąpać cicho po chrzęszczącym szklanym żwirze, choć Elliott udawało się to bez trudu, jakby płynęła nad ziemią.

– Robicie taki hałas, że pewnie słyszą nas w promieniu mili. Naprawdę nie potraficie chodzić ciszej? – prosiła ich, lecz bez rezultatu.

Choć chłopcy starali się z całych sił, wciąż jednak hałasowali jak stado nosorożców pędzące przez zakład szklarski.

– Kryjówka jest już niedaleko. Sprawdź, czy wszystko w porządku, a potem pójdziecie ze mną. Jasne? – oświadczyła Elliott, po czym znikła w mroku.

Stali przez jakiś czas w milczeniu, czekając na jej powrót. Nagle odezwał się Cal: – Chyba słyszę Barta. Idzie tu.

Zostawiwszy Willa i Chestera, chłopiec ruszył powoli naprzód, przytrzymując się kolumny.

Nagle słaby promień jego latarki napotkał coś na swej drodze.

Nie był to Bartleby.

Pierwsza myśl, jaka przemknęła przez umysł Cala, była taka, że to jego własne odbicie. W tej samej jednak chwili zrozumiał, że tak nie jest.

Naprzeciw niego stał Granicznik.

Obchodził kolumnę w przeciwnym kierunku. Miał na sobie długi płaszcz, a na wysokości pasa trzymał strzelbę.

Przez krótką chwilę Granicznik był równie zaskoczony jak Cal, który wydał z siebie tylko nieartykułowany skrzek, usiłując w ten sposób ostrzec Willa i Chestera.

Spojrzenia chłopca i żołnierza skrzyżowały się ze sobą, po czym górna warga Granicznika uniosła się w paskudnym grymasie, odsłaniając zęby. Jego wychudła, odrażająca twarz przybrała szalony, zwierzęcy wyraz. Tak wyglądała twarz zabójcy.

Cal otrząsnął się wreszcie ze zdumienia i wykorzystał jedyną rzecz, jaką miał pod ręką. Podniósł laskę i niemal cudem udało mu się zahaczyć nią o strzelbę, wyrywając broń z rąk Granicznika, nim ten zdążył złożyć się do strzału.

Broń odskoczyła na bok i opadła z chrzęstem na obsydianowy żwir.

I znów Cal i Granicznik zastygli na moment w bezruchu, bardziej chyba zdumieni tym, co się właśnie stało, niż samym spotkaniem. Nie trwało to jednak długo. W mgnieniu oka żołnierz wysunął do przodu dłoń, w której lśnił sztylet w kształcie kosy. Była to standardowa broń każdego żołnierza Styksów, lekko zakrzywione ostrze o długości około piętnastu centymetrów. Granicznik obrócił je w dłoni i rzucił się na Cal.

Jednak Will już tam był; nim Styks zdążył zadać cios, rozpędzony chłopiec wpadł na niego z boku i przewrócił go, chwytając jednocześnie uzbrojoną w sztylet rękę mężczyzny. Kiedy obaj runęli na ziemię, Will zorientował się, że leży na Graniczniku. Wciąż trzymał jego dłoń i wykorzystując ciężar własnego ciała, powstrzymywał wroga od użycia ostrza.

Odgadnąwszy zamierzenia brata, Cal poszedł w jego ślady i rzucił się na nogi Granicznika, opasując je ramionami w kostkach i ściskając z całych sił. Tymczasem Styks walił wolną ręką w plecy i kark Willa i próbował sięgnąć jego twarzy. Plecak chłopca przesunął się w górę i spoczął na ramionach, co znacznie utrudniało żołnierzowi zadanie.

Will, z nisko pochyloną głową, wołał do Chestera: – Strzel do niego! – krzyczał stłumionym głosem, wciskając twarz w ramię Granicznika.

– Chester, strzelba! – powtarzał chrapliwie Cal. – Zastrzel go!

Oszołomiony nieco blaskiem latarek Cala i Willa, który odbijał się od obsydianowych kolumn i tańczył po ich czarnej powierzchni, Chester podniósł strzelbę i próbował wymierzyć.

– Strzelaj! – krzyknęli Cal i Will jednym głosem.

– Nie widzę was! – odkrzyknął z przestachem Chester.

– Zrób to!

– Strzel wreszcie!

– Nie mogę dobrze wycelować! – wrzeszczał zdesperowany Chester.

Granicznik rzucał się jak szalony pod Willem i Cal. Will zamierzał właśnie raz jeszcze krzyknąć na Chestera, kiedy nagle spadło nań coś ciężkiego. Żołnierz przestał go bić, a mimo to chłopiec wciąż słyszał odgłosy ciosów.

Musiał zobaczyć, co się dzieje.

Odwrócił głowę i podniósł ją nieco, jednak wystarczająco wysoko, by zobaczyć, iż dołączył do nich Chester. Najwyraźniej porzucił próby oddania celnego strzału i uznał, że jedyne, co może zrobić, to przyłączyć się do walki. Runął na kolana, wbijając jedno z nich w brzuch Styksa, i zasypywał mężczyznę gradem ciosów. Co jakiś czas usiłował też przygnieść do ziemi drugą rękę żołnierza, by tym samym całkowicie go obezwładnić. Kiedy przy kolejnej próbie pochylił się nisko do przodu, Granicznik postanowił wykorzystać okazję; napiął kark i uderzył Chestera czołem w twarz.

– TY GNOJKU! – wrzasnął Chester przeraźliwie i znów zaczął okładać Styksa pięściami; tym razem trzymał się w bezpiecznej odległości i unikał chaotycznych ciosów. – ZDYCHAJ, SUKINSYNU! ZDYCHAJ! – szalał Chester, tłukąc żołnierza z coraz większą siłą i

zajadłością.

Gdyby Chester zobaczył w tej chwili swoje odbicie w pobliskiej kolumnie, z pewnością nie poznałby samego siebie. Grymas szaleństwa i determinacji zniekształcił jego twarz, zamieniając ją w przerażającą maskę. Chłopiec na pewno nigdy nie przypuszczał, że jest zdolny do takiego aktu przemocy i brutalności. Cały gniew i żal, które wzbierały w nim od czasu, gdy został brutalnie potraktowany w Kolonii, znalazły wreszcie ujście i wylewały się szerokim, niepowstrzymanym strumieniem. Chester wciąż bił Styksa po twarzy, przerywając tylko wtedy, gdy sam musiał unikać jego ciosów.

Cała czwórka wiła się i szarpała w śmiertelnej walce, klnąc i sapiąc ciężko; przygnieciony do ziemi mężczyzna charczał niczym dzik, na wszelkie sposoby próbując się wyswobodzić. Chester wciąż okładał go pięściami, wydawało się jednak, że nie robi to większego wrażenia na żołnierzu. Połączony ciężar ciał chłopców znacznie ograniczał jego ruchy, jednak od czasu do czasu udawało mu się zadać cios łokciem wolnej ręki, choć były to uderzenia słabe i nieefektywne. Zrozumiawszy, że nic w ten sposób nie wskóra, próbował wbić szponiaste palce w ich twarze, ale i to było niewykonalne; Chester skutecznie bronił się przed każdym atakiem, a Will trzymał głowę poza zasięgiem mężczyzny.

– ZABIJCIE GO! – krzyczał Cal, wciąż obejmując ramionami nogi Granicznika.

Chłopcy bili się bez wytchnienia, wiedząc, że muszą powstrzymać żołnierza, wykorzystując wszelkie możliwe sposoby. Czuli się tak, jakby walczyli z tygrysem; parszywym, ale jednak śmiertelnie niebezpiecznym tygrysem. Nie mieli innego wyjścia, jak zмагаć się z nim do końca. Nie mogli odpuścić. Gra toczyła się o najwyższą stawkę. Albo on, albo oni.

Podczas tej szamotaniny, kiedy siłowali się ze sobą, szarpiąc i

uderzając, paradoksalnie łączyła ich obsceniczna bliskość. Chester czuł zapach potu mężczyzny i jego kwaśny oddech. Will wyczuwał napinające się mięśnie ręki Granicznika, gdy ten próbował wyciągnąć ją spod ciała chłopca.

– NIE! NIE MA MOWY! – krzyczał Will, robiąc wszystko, co w jego mocy, by utrzymać ramię Styksa pod sobą.

Nagle Granicznik zmienił taktykę, zrozumiał, że jego ciosy nie robią większej krzywdy ani Chesterowi, ani Willowi. Podniósł głowę najwyżej jak mógł, po czym zaczął pluć i kłapać zębami, jakby próbował ich ugryźć, wydając przy tym dźwięki zbliżone do tych, jakie wydawały atakujące psy Styksów.

Jednak ten akt desperacji miał tylko odwieść uwagę chłopców od prawdziwych intencji żołnierza, który odkrył w końcu słaby punkt zmasowanego ataku. Z triumfalnym wrzaskiem podniósł kolana i zepchnął Cala na tyle, by wyswobodzić jedną nogę. Podciągnął ją do góry i kopnął zaskoczonego chłopca piętą w brzuch.

Kopniak odrzucił Cala do tyłu i na moment pozbawił oddechu. Sapiąc ciężko, chłopak zwinął się w kłębek i z trudem usiłował łapać powietrze.

Teraz Granicznik miał więcej swobody. Odpychając się nogami od ziemi, zaczął się wyginać i wić z taką siłą, że Chester nie mógł go dłużej utrzymać. Chłopiec próbował nadal walczyć, lecz Granicznik wymierzył mu potężny cios w głowę, tak że ogłuszony osunął się na ziemię.

Will nie miał pojęcia, co się dzieje z jego towarzyszami. Nie śmiał podnieść głowy w obawie, że Granicznik uderzy go w twarz albo wbije palce w oczy. Leżał więc kurczowo uczepony jego ręki, gotów zrobić wszystko, by nie pozwolić mężczyźnie użyć sztyletu, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu – miał pełną świadomość, że tak właśnie może być.

Teraz Granicznik, mając już wolne nogi i jedną rękę, mógł uderzać Willa ze znacznie większą siłą, raz za razem tłukł więc pięścią w szyję i głowę chłopca. Will krzyknął z bólu. Wiedział, że nie wytrzyma długo takiej męczarni.

Na szczęście żołnierz zdołał wymierzyć tylko kilka ciosów, nim Chester włączył się ponownie do walki. Odzyskawszy świadomość, natychmiast chwycił wielki kawał obsydianu i wrzeszcząc przeraźliwie, zaczął nim walić w głowę Granicznika.

Żołnierz przeklinał Chestera w skrzekliwym języku Styksów. Sięgnął ręką w górę i zacisnął dłoń na zuchwie chłopca. Potem wsunął mu palec w kącik ust i wykorzystując bolesny chwyt, odciągnął Chestera na bok. Ten nie miał innego wyjścia, jak tylko poddać się sile Granicznika. Gdy znalazł się na ziemi, żołnierz uderzył go z ogromną siłą w głowę. Tym razem Chester nie miał szans, by szybko dojść do siebie. Leżał nieruchomo, półprzytomny, a przed jego oczami tańczyły świetlne smugi latarek.

Pozbywszy się Cala i Chestera, Styks mógł zająć się wyłącznie Willem. Zacisnął dłoń na jego szyi i wbijał w nią palce, zgniatając tchawicę chłopca. Żołnierz paplał coś radośnie w swoim języku, przekonany, że wygrał już tę potyczkę.

Will jęczał z bólu i krztusił się z braku powietrza, jednak wciąż próbował się bronić, choć widział, że koniec jest już blisko. Właściwie szczególnie go to zaskoczyło. W końcu stanęli do walki z wyszkolonym żołnierzem; oni, trójka dzieciaków.

Granicznik był dla nich kimś zupełnie nieznanym, istotą z innego świata. Jakie szanse mieli w tym starciu? Will pogodził się już z bolesną porażką, kiedy nagle Granicznik zwolnił ucisk na jego szyi. Krztusząc się i kaszląc, chłopiec pozwolił sobie na myśl, że coś się zmieniło, być może na lepsze. Nie mógł się bardziej pomylić.

Rozległ się cichy trzask, jakby Granicznik strzelił palcami, a w jego

wolnej dłoni pojawił się nagle, nie wiadomo skąd, drugi nóż. Ostrze błysnęło w świetle latarki, gdy żołnierz, jednym płynnym ruchem, chwycił mocno rękojeść broni.

Will obrócił lekko głowę, próbując zobaczyć, co się dzieje, i sprawdzić, czy Cal lub Chester są dość blisko, by przyjść mu z pomocą. Nigdzie ich nie widział.

– Nie! – krzyknął przerażony, ujrawszy zakrzywione ostrze. Nie mógł absolutnie nic zrobić. Nie miał czasu, żeby odskoczyć lub rzucić się do ucieczki, zdany całkowicie na łaskę i niełaskę Granicznika. Ostrze rozbłysło ponownie, gdy żołnierz zaczął poruszać sztyletem, wciągając głośno powietrze przez rozkwaszone wargi.

Straciwszy wszelką nadzieję, Will zacisnął zęby. Czekał tylko, aż ostrze Styksa rozpląta jego niczym nieosłoniętą szyję.

W przerażającą, martwą ciszę wdarł się ogłuszający huk.

Kula przemknęła tak blisko, że Will poczuł na policzku bijący od niej żar.

Podniesiona dłoń Granicznika zawisała w powietrzu na ułamek sekundy, który chłopcu zdawał się wiecznością, a potem otworzyła się powoli, wypuszczając broń.

Will nie ruszał się z miejsca, sparaliżowany strachem i zdumieniem, a łoskot wystrzału wciąż dźwięczał mu w uszach. Nie patrzył prosto na żołnierza, jednak to, co widział, zdecydowanie mu wystarczyło. Twarz Granicznika przedstawiała makabryczny widok. Chłopiec usłyszał długi wydech, gdy powietrze na zawsze opuściło płuca żołnierza. Ciało mężczyzny wygięło się w przedśmiertnym spazmie, a z jego ust wypłynęła krwawa mgiełka, wypełniając powietrze dokoła. Will poczuł osadzające się na twarzy kropelki. Miał już dość – odepchnął się w pośpiechu od ciała Styksa i zerwał na równe nogi, wyrzucając z siebie potok niezrozumiałych słów i krztusząc się z grozy i obrzydzenia.

Dyszając ciężko, Will bez ustanku ocierał twarz rękawami kurtki. Wreszcie przestał i odwrócił się. Cal trzymał w rękach strzelbę Chestera i wpatrywał się w martwego Granicznika.

– Strzeliłem do niego – powiedział cicho, nie opuszczając strzelby ani wzroku.

Will zbliżył się do brata, podobnie jak Chester.

– Strzeliłem mu w twarz – powtórzył jeszcze ciszej. Jego wzrok był pusty, twarz pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

– Wszystko dobrze, Cal – powiedział Will, wyjmując strzelbę z jego sztywnych dłoni i podając ją Chesterowi. Potem objął chłopca ramieniem i poprowadził powoli na bok, z dala od martwego żołnierza. Will był wstrząśnięty i ledwo trzymał się na nogach, jednak w tej chwili bardziej niepokoił się o Cala niż o siebie. Kiedy zaproponował, by usiedli, młodszy brat bez słowa wykonał polecenie.

Gdy Will spojrział jeszcze raz na nieruchome ciało Granicznika, uświadomił sobie z ponurą satysfakcją, co właściwie zrobili. Nie patrzył na twarz żołnierza; bardziej przerażał go widok dłoni Styksa oświetlonej blaskiem latarki. Lekko wygięte palce leżały nieruchomo na żwirze, jakby żołnierz odpoczywał. Z jakiegoś powodu Will chciał, by dłoń się poruszyła, jakby to wszystko nie było rzeczywistością, lecz mroczną sceną przedstawienia. Wiedział jednak dobrze, że ręka się nie poruszy – ani teraz, ani nigdy.

Czując, że przytulony do niego Cal drży na całym ciele, Will oderwał wzrok od zwłok żołnierza. Nie mógł pozwolić, by jego brat pograżył się w prawdziwym szoku.

– Ale mu dałeś! Załatwiłeś go! Własnoręcznie załatwiłeś Granicznika! – paplał Chester w podnieceniu i śmiał się głośno. Słowa płynące spomiędzy jego spuchniętych warg były nieco zniekształcone, ale wciąż zrozumiałe. – Strzeliłeś mu prosto w ryj! Strzał w dziesiątkę! Dobrze mu tak! Hahahaha!

– Na litość boską, Chester, zamknij się! – warknął na niego Will. Cal zaczął się krztusić, a potem gwałtownie zwymiotował; płakał i mamrotał coś o Graniczniku.

– Już dobrze, już dobrze – powtarzał Will, wciąż tuląc go do siebie.
– Już po wszystkim.

Nagle z ciemności wybiegła Elliott.

– Matko! Naprawdę musicie tak hałasować?

Zobaczyła martwego Granicznika i skinęła głową z aprobatą. Potem spojrzała na chłopców. Wciąż napompowany adrenaliną, Chester przeskakiwał z nogi na nogę, podczas gdy Will i Cal wyglądali na kompletnie przybitych.

Elliott przeniosła wzrok na szkliste kolumny.

– Białe Szyje są bliżej, niż myślałam.

– Co ty nie powiesz... – mruknął Will.

Dziewczyna odwróciła się do Chestera, który wycierał nos, próbując zatamować sączącą się z niego krew. Uśmiechnęła się.

– Zastrzeleń go. Dobra robota – stwierdziła.

– E... ja... nie... – jąkał się Chester. – Nie mogłem...

– Cal to zrobił – wtrącił krótko Will.

– Przecież to ty miałeś strzelbę – zwróciła się Elliott do Chestera, skonsternowana i nieco rozczarowana. Chester nie odpowiedział, mierząc Willa gniewnym, ponurym spojrzeniem. Dziewczyna odwróciła się do pozostałej dwójki.

– Wstawajcie. Musimy iść... natychmiast. Ktoś jest ranny?

– Moja szczęka... mój nos... – zaczął Chester.

– Cal potrzebuje chwili odpoczynku. Spójrz tylko na niego – przerwał mu Will, odsuwając się nieco, by Elliott mogła zobaczyć otepiałe, nieobecne oczy najmłodszego chłopca.

– Nie ma mowy. Nawet nie wiecie, jakiego narobiliście hałasu...

– Czy on naprawdę nie może...? – błagał Will.

– Nie – warknęła. – Posłuchajcie!

Wszyscy nadstawili uszu. W oddali słyhać było szczekanie, choć trudno było określić odległość, z jakiej dochodziło.

– Psy! – wykrzyknął Will, czując, jak włoski na posiniaczonym karku stają mu dęba.

– Tak, i to całe stado – skinęła głową Elliott. Potem spojrzała na chłopców z lekkim uśmieszkiem. – Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy się stąd jak najszybciej wynosić – dodała.

– Jaki? – spytał szybko Will.

– Odpaliłam ładunek w skrytce. Cały arsenał wyleci w powietrze za sześćdziesiąt sekund.

Ta ostatnia informacja podziałała na Cala motywująco i skłoniła go do działania.

Elliott zabrała rzeczy martwego Granicznika, a następnie wszyscy poderwali się do szalonego biegu. Will trzymał się blisko Cala, który wciąż zmagał się z chorą nogą.

Niespodziewane pojawienie się Bartleby ego sprawiło, że w chłopca wstąpiły nowe siły, i biegł równie szybko jak pozostali.

W pewnej odległości od uciekających rozległa się seria trzasków, przypominająca odgłos odpalanych fajerwerków. Grad pocisków uderzył w kolumny wokół nich, odłupując tu i ówdzie wielkie jak talerze fragmenty, które wylatywały wysoko w powietrze. Will odruchowo schował głowę w ramiona i zaczął zwalniać.

– Nie! Nie zatrzymuj się! – wrzasnęła na niego Elliott. Kule odbijały się ze świstem od szklistych powierzchni.

Will poczuł szarpnięcia na wysokości łydki, nie miał jednak czasu ani możliwości, by się zatrzymać i sprawdzić, co się dzieje.

– Przygotujcie się! – zawołała głośno Elliott, przekrzykując świst kul.

Zaczęło się.

Eksplozja była naprawdę potężna. Oślepiający blask odbijał się po wielokroć w lustrzanych powierzchniach kolumn, a gdy echa wybuchu zaczęły powoli cichnąć, rozległ się potworny łoskot.

Połamane kolumny przewracały się i uderzały w sąsiednie, pociągając je za sobą niczym kostki domina. Olbrzymi fragment pękniętej podpory runął na ziemię tuż za plecami uciekających, wyrzucając w powietrze chmurę szklistych drobin, które skrzyły się w świetle latarek niczym czarne diamenty. Pył zatykał gardła i kłuł w oczy. Po upadku każdej z kolumn drżała ziemia. Olbrzymie masy skalne przemieszczające się w powietrzu wywoływały podmuchy wiatru, który uderzał w pędzącą grupkę z różnych stron. Ogłuszający huk i łoskot nie ustawały ani moment.

Kiedy chłopcy i kot wbiegli za Elliott do wnętrza tunelu, Will obejrzał się za siebie.

W tej samej chwili jedna z kolumn runęła na wejście do korytarza, całkowicie je blokując. Jeszcze przez kilkaset metrów wszyscy musieli znosić gęsty, szklisty pył, aż w końcu powietrze zaczęło się oczyszczać. Po chwili Elliott kazała się im zatrzymać.

– Musimy biec, musimy biec – nalegał Chester.

– Nie, mamy teraz chwilę. Nie wejdą tu za nami – odparła dziewczyna, zdejmując z twarzy drobne odłamki skały. – Napijcie się trochę i odpocznijcie. – Wzięła łyk wody, by opłukać usta, i podała manierkę pozostałym. – Ktoś jest ranny? – spytała, potem zaś przyjrzała się każdemu z nich z osobna.

Chester nie mógł oddychać przez nos, jednak Elliott, stwierdziła, że nie jest on złamany. Usta chłopca były spuchnięte i naderwane w miejscu, gdzie Granicznik chwycił go z całej siły; miał też wiele guzów i otarć po ciosach żołnierza. Kiedy Elliott przyglądała się mu uważnie w świetle latarki, zauważyła, że knykcie chłopca są czerwone i posiniaczone, a rękawy przesiąknięte krwią.

– W porządku. To nie twoja – oznajmiła po bliższych oględzinach.

– Granicznika? – spytał Chester, spoglądając na dziewczynę szeroko otwartymi oczyma. Zadrżał, przypomniawszy sobie, jak uderzał Styksa kawałkiem obsydianu. – To straszne... Jak mogłem to zrobić... Jak mogłem to zrobić drugiemu człowiekowi? – wyszeptał, zdruzgotany.

– Inaczej on zrobiłby tobie coś gorszego – przerwała mu ostro Elliott, nim zajęła się Caleb.

. Wyglądało na to, że prócz poobijanych żeber najmłodszy z chłopców nie odniósł żadnych obrażeń. Wciąż jednak nie mógł się pogodzić z tym, co zrobił. Na pytania Elliott odpowiadał bardzo powoli albo wcale.

Dziewczyna położyła mu dłonie na ramionach i przemówiła łagodnym głosem: – Posłuchaj. Po tym, jak kiedyś spotkało mnie coś straszego, Drake dał mi pewną radę.

Chłopiec spojrzał na nią z roztargnieniem.

– Powiedział, że na wierzchu naszej skóry znajduje się martwa warstwa.

Cal zmarszczył brwi i popatrzył na nią nieco przytomniejszym wzrokiem.

– To niesamowita rzecz. Górna warstwa skóry obumiera i złuszcza się, chroniąc nas w ten sposób przed infekcjami. – Elliott zdjęła rękę z ramion Cala i przesunęła jedną dłońią po wierzchu drugiej, ilustrując w ten sposób swe słowa. – Bakterie albo zarazki, jak je nazywacie, osiadają na nas, ale nie mogą zatrzymać się na dłużej.

– Więc? – spytał Cal, zaintrygowany.

– Więc teraz część ciebie obumiera jak stary naskórek. To może trochę potrwać – tak jak i w moim przypadku ale w końcu umrze, by cię uratować. Następnym razem będziesz twardszy i wytrzymalszy.

Cal skinął głową.

– Pozwól więc temu umrzeć i żyj dalej. Cal ponownie skinął głową.

– Chyba rozumiem – odezwał się. Jego twarz rozluźniła się trochę, a oczy ożywiły. – Tak, rozumiem.

Will przysłuchiwał się rozmowie i był pod ogromnym wrażeniem tego, jak Elliott umiejętnie pocieszyła chłopca. Cal niemal natychmiast odzyskał wigor i zaczął przemawiać do ukochanego kota.

W następnej kolejności Elliott zajęła się Willem. Biorąc pod uwagę, jak niewiele dzieliło go od śmierci, wyszedł z bijatyki niemal bez szwanku, jeśli nie liczyć kilku siniaków i otarć na karku, zadrapań na twarzy oraz mnóstwa guzów z tyłu głowy.

Kiedy ich dotykał, pomyślał o dziwnych szarpnięciach, które poczuł podczas biegu.

Pochylił się, by obejrzeć swoją łydkę, i dostrzegł kilka małych rozdarć w nogawce spodni.

– Co to jest? – spytał Elliott. Wiedział, że wcześniej ich tam nie było.

Dziewczyna przyjrzała się im uważnie.

– To dziury po kulach. Możesz uważać się za szczęściarza. Pociski przebiły w kilku miejscach materiał spodni; Will mógł włożyć palec do pozostawionych przez nie dziur. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu, a być może po prostu z ulgi, że nie został trafiony, chłopak wybuchł nagle niepowstrzymanym śmiechem. Cal spojrzał na brata ze zdumieniem, Chester zaś tylko cmoknął lekceważąco. Elliott przyglądała się mu z dezaprobatą.

– Weź się w garść, Will – zganiła chłopca.

– O tak, trzymam się w garści – odparł, zanosząc się śmiechem. – Wbrew wszelkim przeciwnościom.

– No dobrze, ruszamy do Czeluści – oświadczyła. – A potem do Bagien.

– Gdzie będzie sucho i przyjemnie? – spytał Will, wciąż chichocząc.

Rozdział czterdziesty osmy



To ty, Will? – jęknęła Sara, czując, jak ktoś chwyta ją za rękę. Potem przypomniała sobie, że Will, Cal i pozostali dawno już poszli, do czego zresztą sama ich zachęcała.

Gdyby ktoś mógł wyobrazić sobie wszystkie cierpienia i dolegliwości, wszystkie bóle zębów i głowy, wszystkie boleści, których człowiek doznaje w ciągu całego życia, zebra-•ne w jeden moment straszliwego, nieznośnego cierpienia, to zrozumiałby, jak czuła się w tamtej chwili Sara. To było. tysiąc razy gorsze niż poród.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie, próbując zachować przytomność. Nie zamykała oczu, mimo to nie miała pojęcia, kto przed nią stoi. Nie wiedziała też, jak długo leżała bez świadomości. Czuła się tak, jakby usiłowała wepchnąć się pomiędzy dwie części kurtyny, a jakaś ogromna siła ciągnęła ją uparcie do tyłu, by ciężkie zasłony mogły zejść się z powrotem. Była to naprawdę straszliwa walka, gdyż ból pchał ją na drugą stronę, gdzie czekały spokój i ciepło. Sara z najwyższym trudem opierała się pokusie, by się tam udać. Uważała jednak, że jeszcze nie nadeszła chwila na ostatni ukłon, i z każdym oddechem oddalała się od kuszącej zasłony.

Ktoś zacisnął mocniej dłoń na nadgarstku kobiety. Usłyszała chrapliwy język Styksów i jęknęła głucho, rozczarowana. Kątem oka dostrzegła światło, usłyszała także głosy innych Styksów i zobaczyła przesuwające się obok sylwetki.

– Granicznik – powiedziała, rozpoznając kamuflaż na trzymającej

ją rękę.

– Wstawaj! – warknął chrapliwy głos, jakby chciał potwierdzić jej spostrzeżenie.

– Nie mogę – odparła Sara, próbując skupić wzrok w jednym punkcie.

Obok niej stało czterech Graniczników; została odnaleziona przez patrol. Dwaj żołnierze poderwali Sarę na równe nogi. Poczuli straszliwy ból w biodrze i krzyknęła – głos odbił się echem od ścian tunelu, jednak kobieta miała wrażenie, że krzyk ten należy do kogoś innego. Znow omal nie straciła przytomności, gdy dwie części zasłony rozsunęły się lekko, zapraszając ją na drugą stronę.

Granicznicy trzymali Sarę pod rękę i zmuszali do marszu. Ból był nie do zniesienia.

Nagle kobieta poczuła, jak pogruchotana kość w biodrze ociera o inną, także uszkodzoną, i znow omal nie zemdląła. Strużki potu ściekały jej po czole i wpadały do oczu, zmuszając ją do zaciśnięcia powiek.

Umierała i wiedziała o tym. Ale jeszcze nie umarła.

Dopóki oddychała, wciąż miała szansę pomóc Willowi i Calowi.

Drake mknął przez tunel równie szybko i bezgłośnie jak towarzyszący mu wiatr. Od czasu do czasu przystawał, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie szedł niedawno tą samą drogą. Nieustająca wichura podrywała z ziemi piasek i żwir, nie było więc niebezpieczeństwa, że mężczyznę zmylą stare ślady.

Nie zatrzymując się, Drake dotknął ramienia draśniętego przez pocisk. Była to tylko powierzchowna rana – miewał już znacznie gorsze. Przesunął dłoń niżej, na rękę noża przymocowanego do pasa, a potem na ładownicę z pistoletami rurowymi. Bez strzelby i plecaka pełnego amunicji, które stracił przy wejściu do bunkra, czuł się niemal całkowicie bezbronny. Wybuch mózdzierza uszkodził też

lekkiego jego słuch; wciąż słyszał jednostajny, głuchy gwizd.

Mimo wszystko mężczyzna postrzegał to jako naprawdę niską cenę za ocalenie życia.

Śmierć była blisko – bliżej niż kiedykolwiek. Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego go nie dopadła. Granicznicy mogli go zabić sto razy, a jednak tego nie zrobili.

Najwyraźniej chcieli pojmać go żywcem, choć to zupełnie nie w ich stylu. Kiedy moździerz wywołał zamęt w szeregach atakujących żołnierzy i wzbił w górę obłok gęstego kurzu, Drake wykorzystał okazję i rzucił się do ucieczki w głąb bunkra.

Potem sprawa była już dziecinnie prosta. Mógł chodzić po bunkrze z zamkniętymi oczami, choć eksplozje Elliott zamknęły kilka najdogodniejszych dróg ucieczki.

Musiał też uważać na liczne patrole Graniczników, szczególnie te z psami. Na jakiś czas zaszył się w kryjówce, którą przygotował wcześniej na taką właśnie okazję.

Miał szczęście, że wywołane przez Elliott wybuchy wypełniły budynek gryzącym dymem i pyłem, które uniemożliwiały zwierzętom odszukanie tropu.

Drake wymknął się z bunkra przez kanał kanalizacyjny, jednak nawet gdy dotarł z powrotem na Wielką Równinę, miał jeszcze przed sobą długą i trudną wędrówkę.

Musiał zostawiać fałszywe tropy, by pozbyć się patroli Styksów i stad psów deptających mu po piętach. Uciekł im dosłownie sprzed nosa, korzystając z wszelkich znanych mu metod.

Teraz, pokonawszy kolejny odcinek tunelu, znowu przykucnął, by sprawdzić ślady.

Był trochę zaniepokojony, że do tej pory nic nie znalazł. Elliott mogła wybrać kilka różnych tras, w zależności od poczynań ścigających ją Graniczników, ta jednak wydawała się mężczyźnie

najbardziej prawdopodobna.

Wstał i szedł nisko pochylony przez kolejne trzydzieści metrów, aż natrafił na to, czego szukał.

– Otóż to – oświadczył głośno, przyglądając się śladom odcisniętym w pyle. Były na tyle świeże i wyraźne, że mógł określić, do kogo należały.

– Chester i... to musi być Will! Więc jednak mu się udało! – mruknął mężczyzna, kręcąc głową i uśmiechając się lekko, zadowolony, że chłopiec najwyraźniej się odnalazł i ponownie przyłączył do grupy. Drake wyciągnął dłoń w lewo i dotknął następnego śladu. Potem pochylił się niżej, by przyrzeć mu się z większą uwagą. – Cal... noga ciągle ci dokucza, co? – Pokiwał głową, widząc nierówne odbicia jednej ze stóp chłopca.

Nagle obok śladów Cala dojrzał coś jeszcze.

– Pies? – zapytał sam siebie, zastanawiając się, czy w pobliżu są jakieś oznaki stoczony walki, a może nawet krew. Przesuwał się powoli wzdłuż śladów, które prowadziły do ściany po przeciwnej stronie tunelu. Wyglądało na to, że stamtąd właśnie odchodziły pozostałe ślady, jednak w tej chwili interesowały go wyłącznie odciski łap zwierzęcia.

Wreszcie znalazł wyjątkowo wyraźny, głęboki odcisk łapy.

– To nie pies, ale kot. To musi być Łowca. Zastanawiając się, co to może oznaczać, Drake podniósł się z ziemi, zamierzając rozszerzyć krąg poszukiwań. Cofnął się w kierunku, z którego przyszedł.

– Elliott, gdzie jesteś? – mówił do siebie, próbując odszukać jej ślady. Wiedział, że sposób poruszania się dziewczyny znacznie komplikuje sprawę.

Dalsze poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu, a Drake uznał, że nie może już poświęcić na nie więcej czasu. Z każdą kolejną sekundą Elliott i chłopcy oddalali się od niego. Ruszył ponownie w

głęb tunelu.

Kilkaset metrów dalej przykucnął raz jeszcze, by przyjrzeć się ziemi.

– Au! A niech to...! – krzyknął nagle.

Mężczyzna czuł, jak parzydła palą go w rękę, widział też delikatny blask, który zaczęły z siebie wydzielać. Natychmiast wytarł dłoń w spodnie, by usunąć bakterie.

Wiedział, że musi zrobić to szybko, nim wchłoną wilgoć z jego skóry i ożyją na dobre. Kilka sekund dłużej, a nie mógłby już zatrzymać reakcji; obrażenia byłyby równie poważne i bolesne, jak gdyby zanurzył dłoń w kwasie. Dość się naoglądał psów wyjących i szamoczących się w bólu, z nosami świeącymi jak światło górnoziemskiego roweru, by wiedzieć, jakie mogą być skutki działania zdradliwej pułapki.

Szczęśliwie udało się mu usunąć wszystkie bakterie na czas. Wiedząc, że Elliott nie używałaby ich, gdyby nie uznała tego za naprawdę konieczne, poderwał się do biegu.

Właśnie wtedy gdzieś z przodu dobiegł go huk potężnej eksplozji.

– To brzmi zupełnie tak, jakby wyleciał w powietrze mój magazyn z amunicją – mruknął do siebie.

Potem rozległ się głuchy pomruk, który przypominał do złudzenia górnoziemski grzmot, choć o wiele, wiele dłuższy. Wiatr w tunelu osłabł na moment, a potem zmienił kierunek.

Jeśli Drake do tej pory biegł, to teraz dosłownie leciał w głęb tunelu, przerażony, że w końcu przybędzie za późno.

Rozdział czterdziesty dziewiąty



Masz coś? – spytał Chester Elliott, gdy oboje spoglądali na horyzont przez lunety strzelb.

– Tak... coś się dzieje po lewej – odparła. – Widzisz ich?

– Nie – oznajmił Chester. – Nic nie widzę.

– To dwaj Granicznicy, może trzej – powiedziała Elliott. Po drodze kilkakrotnie już natykali się na Styksów i za każdym razem musieli zmieniać kierunek wędrówki. Działo się tak, od momentu gdy weszli do wielkiej jaskini wypełnionej dziwnymi formacjami skalnymi. Były to menhiry w kształcie łez, które wcześniej widział doktor Burrows. Jednak w odróżnieniu od niego, trzymali się z dala od ścieżki – dziewczyna uważała, że to zbyt niebezpieczne.

– Musimy się zbierać – oświadczyła Elliott. Choć Granicz-‘ nicy byli jeszcze dość daleko, zarówno ona, jak i Chester przekradali się po cichu między głazami, wracając do miejsca, gdzie czekali na nich Will i Cal.

– Co się dzieje? – spytał Will.

– Kolejni Granicznicy – odparł krótko Chester, unikając jego wzroku.

– Nie wygląda to najlepiej – powiedziała Elliott, kręcąc głową. – Nie możemy pójść drogą, którą chcieliśmy, zejdziemy więc do Czułości, a potem... dalej...

Zawahała się, gdy z dala dobiegło szczekanie psa, poprzedzone głośnym wyciem.

Bartleby miauknął cicho i postawił wielkie uszy niczym tarcze radarów, obracając się jednocześnie całym ciałem w stronę, z której dochodziły niepokojące dźwięki.

– Mają psy – rzuciła krótko Elliott. – Chodźmy.

Ruszyli w dalszą drogę, zaniepokojeni, lecz nie przerażeni, jak byliby zapewne jeszcze kilka dni wcześniej. Działo się tak z dwóch powodów: po pierwsze – Styksowie byli jeszcze na tyle daleko, że nie stanowili bezpośredniego zagrożenia, a po drugie – wygrana walka z Granicznikiem miała ogromny wpływ na morale chłopców. Słowa, którymi Elliott pocieszała Cala, wciąż dźwięczały im w uszach; czuli się teraz tak, jakby zostali częściowo znieczuleni na nieustający strach towarzyszący im do tej pory. Elliott miała rację – to doświadczenie, choć naprawdę przerażające, wzmocniło ich wszystkich.

Chłopcy przekonali się również, że przeciwnicy nie są niezwycięzonymi wojownikami, za jakich kiedyś ich uważali. Można ich było pokonać. Poza tym mieli po swojej stronie Elliott. Kiedy szli w dół zbocza, Will zaczął wyobrażać ją sobie jako nowy rodzaj superbohatera. „Niesamowita, wybuchowa dziewczyna – rozmyślał – w palcach łaski dynamitu, a we krwi nitrogliceryna”. Zachichotał pod nosem.

Potrafiła wybrnąć z każdej sytuacji; gdy wydawało się, że koniec jest już bliski, zawsze wyciągała z rękawa jakiś magiczny ładunek i ratowała ich z opresji. „I niech już tak zawsze będzie” – pomyślał.

Wszyscy byli więc zaskoczeni, gdy po kolejnym przystanku, podczas którego oglądali przez lunety okolice, dziewczyna wyraźnie się zaniepokoiła. Zwykle wyciszona i opanowana, zaczęła się coraz bardziej denerwować, a jej nietypowy nastrój udzielił się także chłopcom. Elliott wszędzie widziała Graniczników.

– Niedobrze. Musimy zejść jeszcze niżej – powiedziała, po czym obróciła się szybko i ponownie zbadła horyzont przez lunetę

strzelby. Bezzwłocznie ruszyła w dół, obierając nowy kurs.

Will nie zdawał sobie sprawy z wagi tej zmiany, dopóki nie dotarli do samej Czeluści.

Z góry co jakiś czas spadały na nich krople wody niesionej tym samym wiatrem, który smagał doktora Burrowsa.

Will aż gwizdnął ze zdumienia.

– Ale wielka dziura! – wykrzyknął, natychmiast podchodząc do krawędzi i zerkając w dół.

Nękanie lękiem wysokości, Cal trzymał się z dala od olbrzymiej przepaści. Will przyglądał się Czeluści przez okular.

– A niech mnie, to jest naprawdę wielkie.

– Tak – skinęła głową Elliott. – Można tak powiedzieć.

– Nie widzę nawet drugiej strony – mruknął Chester, raczej do siebie niż do któregokolwiek z towarzyszy.

– Ma około milę średnicy – wyjaśniła Elliott, biorąc łyk wody z manierki. – A kto wie, jaka jest głęboka... Nikt, kto wpadł do środka, nie powrócił jeszcze na górę, żeby o tym opowiedzieć... Podobno tylko raz, dawno temu, jakiś człowiek wdrapał się tutaj z powrotem.

– Słyszałem o nim. Abraham ktoś tam – powiedział Will, przypominając sobie, co mówił na ten temat wuj Tam.

– Wielu ludzi uważało go za oszusta – kontynuowała Elliott. – Albo że choroba pomieszała mu zmysły – zamilkła na moment, wpatrzona w ciemną otchłań. – Ale istnieje mnóstwo starych legend, które mówią o jakimś... – zawahała się na chwilę, jakby to, co zamierzała powiedzieć, brzmiało wyjątkowo absurdalnie – ... jakimś miejscu na dole.

– Co masz na myśli? – spytał Will, natychmiast odwracając się w jej stronę. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej, bez względu na to, jak zareaguje na to Chester. – Jakie miejsce?

– Oho, znowu się zaczyna, zabawa w dwadzieścia pytań mruknął

Chester, jakby czytał w myślach Willa, ten jednak nie zwracał uwagi na byłego przyjaciela.

– Mówią, że istnieje tam inny świat, ale Drake uważał, że to brednie – odparła Elliott, zakręcając manierkę.

Ponownie ruszyli w drogę, maszerując wzdłuż krawędzi Czeluści. Na razie nie widzieli nigdzie żadnych Granicz-ników ani śladów ich działalności. Po jakimś czasie Will dostrzegł w okularze zarysy jakiejś regularnej struktury, jakby wielkiego budynku. Kiedy podeszli jeszcze bliżej, zrozumiał, że nie jest to budynek, lecz olbrzymi łuk.

Gdy dotarli bezpośrednio do budowli, uwagę chłopca przykuły dwie rzeczy. Na szczycie, mocno już nadgryzionym zębem czasu, a dokładnie na jego zworniku, znajdował się wyryty w kamieniu symbol. Był to dobrze im znany trójząb, taki sam jak na jadeitowym wisiorze, który podarował mu wuj Tam tuż przed swą ostatnią walką ze Styksami w Wiecznym Mieście.

Drugą zaskakującą rzeczą były kartki papieru rozrzucone na ziemi po drugiej stronie łuku. Chester i Elliott podnieśli już kilka i przyglądali się im z uwagą.

– Co to jest? – spytał Will, podchodząc bliżej. Chester bez słowa włożył mu w dłoń kilka arkuszy. Wystarczyło jedno spojrzenie.

– Tata! – wykrzyknął Will. – Mój tata!

Chłopak zobaczył, że na niektórych kartkach znajdują się rysunki dziwnych kamieni i starannie odwzorowanych symboli, długich szeregów złożonych i tajemniczych znaków. Na marginesach ciągnęły się zapiski sporządzone bez wątplenia ręką jego ojca. Inne strony były gęsto zapisane notatkami.

Odsunąwszy luźne kartki czubkiem buta, Will spojrział na ziemię. Znalazł tam parę sfatygowanych wełnianych skarpet z wielkimi dziurami na palcach, a także szczoteczkę do zębów z Myszka Miki, mocno już zużyta.

– Zastanawiałem się, co się z nią stało! – uśmiechnął się Will, przesuając kciukiem po brudnym i powyginanym włosiu. – Niemądry tata... wziął ze sobą moją szczoteczkę!

Cała radość wyparowała, gdy Will znalazł marmurkową, niebieskofioletową okładkę notatnika. Wiadomo już było, skąd pochodzą leżące na ziemi kartki. Chłopak podniósł szybko obwolutę i obejrzał naklejkę z wizerunkiem sowy w okularach oraz kaligrafowanym napisem „Ex libris”, umieszczoną z przodu okładki. Na naklejce znajdował się jeszcze jeden napis.

– „Dziennik trzeci... doktor Roger Burrows” – przeczytał głośno Will.

Natychmiast pobiegł z powrotem do łuku i dalej, na kamienny pomost. Niemal od razu zauważył skalne schody odchodzące z lewej strony pomostu i bez zastanowienia wszedł na nie. Zatrzymał się na ostatnim stopniu i spojrzał w dół. Nic nie widział.

Kiedy podniósł wzrok i otarł twarz z kropel deszczu, które spadły właśnie dj Czeluści, coś przykuło nagle jego uwagę.

Dokładnie naprzeciwko, w skalnej szczelinie, tkwił niebieski młotek geologiczny jego przybranego ojca. Will pochylił się, by wyjąć narzędzie ze skały, i po krótkich zmaganiach udało mu się. Przyglądał się przez chwilę znalezisku, po czym raz jeszcze zajrzał do wnętrza Czeluści’ i powiódł uważnym wzrokiem po jej ścianach.

Nawet przez okular Drake’a chłopiec widział jedynie pustkę, kompletną nicość.

Głęboko zamyślony, wrócił niespiesznym krokiem do pozostałych.

– Co się tu wydarzyło? – spytał lekko drżącym głosem, pełen najgorszych przeczuć.

Elliott i Chester milczeli – żadne z nich nie było w stanie udzielić mu odpowiedzi.

– Mój tata...? – zwrócił się Will do Chestera.

Chester wpatrywał się uparcie w mrok, zaciskając mocno usta, jakby postanowił, że nie będzie się w ogóle odzywał.

– Myślę, że nic mu nie jest – przemówiła Elliott. – Jeśli ruszymy zaraz w drogę, może...

– ... go dogonimy – dokończył Will, czepiając się kurczowo tej sugestii i szukając w niej pocieszenia. – Pewnie zostawił te rzeczy przez nieuwagę... upuścił je... Czasami bywa trochę roztargniony... – Umysł chłopca pracował pełną parą, szukając jakiegoś wyjaśnienia nieobecności doktora Burrowsa. Will spojrział ponownie na łuk. – Roztargniony... ale nie... nieostrożny – dodał powoli. – To znaczy... nie widzę tu nigdzie jego plecaka ani...

Nie dokończył zdania, gdyż w tym momencie rozległ się przeraźliwy wrzask Cala.

Chłopiec opierał się do tej pory o spory głaz leżący w pewnej odległości od krawędzi Czeluści, teraz jednak podskoczył w górę, jakby użądliła go pszczoła.

– To się ruszyło! Przysięgam, że ten cholerny kamień się ruszył! – krzyczał.

Skąła rzeczywiście się poruszyła – i wciąż się ruszała. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, podniosła się na grubych nogach i obracała w miejscu. Po chwili znieruchomiła ponownie, ukazując zadziwionej czwórce olbrzymie falujące czułki. Zuwaczki, przypominające część jakiejś upiornej maszyny, zaklekotały głośno.

– O mój Boże! – wrzasnął Chester.

– Och, zamknij się – skarciła go Elliott. – To tylko krowa jaskiniowa.

Chłopcy przyglądali się w niemym zdumieniu, jak olbrzymie „roztocze” doktora Burrowsa, jego niegdysiejszy towarzysz podróży, klekoce wielkimi zuwaczkami, a potem ostrożnie przesuwa się do przodu. Bartleby biegał dokoła wielkiego stworzenia, dopadał

pancerza i wachał go przez moment, a potem odskakiwał ponownie do tyłu, jakby nie wiedział, o co chodzi.

– Zastrzel to! – ponaglał Elliott Chester, chowając się za jej plecami. – Zabij to! Jest straszne!

– Och, to jeszcze maluch – odparła Elliott, podchodząc bez wahania do olbrzymiego pajęczaka i klepiąc go po twardym pancerzu. – Są nieszkodliwe. Żywią się glonami, a nie mięsem. Nie musicie...

Urwała raptownie, dojrzawszy jakiś obiekt nabity na żuwaczkę krowy jaskiniowej.

Poklepawszy ją ponownie, niczym potulną jałówkę, pochyliła się i sięgnęła po ów przedmiot.

Był to plecak doktora Burrowsa, rozerwany i wywinięty na lewą stronę.

Will podszedł powoli do Elliott i wyjął plecak swojego taty z jej dłoni.

Wzrok chłopca był bardzo wymowny.

– Więc to stworzenie... ta krowa jaskiniowa... mówisz, że jest nieszkodliwa... ale czy mogła zranić mojego ojca?

– Nie ma mowy. Nawet dorosłe osobniki nie zrobiłyby ci najmniejszej krzywdy, chyba że któryś przypadkiem usiadłby na tobie. Mówiłam ci już: one nie jedzą mięsa.

– Elliott położyła dłoń na rękę Willa, w której wciąż ścisnął kurczowo plecak swego ojca, i podniosła rozszarpane płótno do twarzy, wachając je uważnie. – Tak myślałam... W środku było jedzenie. Tego właśnie szukała krowa.

Will wcale się nie uspokoił; nadal wodził wzrokiem od kamiennego łuku do nieruchomej krowy jaskiniowej, marszcząc przy tym brwi.

Sytuacja nie wyglądała dobrze i wszyscy o tym wiedzieli.

– Przykro mi, Will, ale nie możemy dłużej tu zostać – powiedziała Elliott. – Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej.

– Tak, masz rację – zgodził się z nią chłopiec.

Kiedy Elliott, Chester i Cal ruszyli już w drogę. Will biegał jeszcze przez chwilę wzdłuż krawędzi Czeluści, zbierając porozrzucane dokoła kartki i wpychając je pod kurtkę. Potem, wystraszony, że zostanie sam, pobiegł śladem pozostałych, ściskając w dłoni odnalezioną szczoteczkę z Myszka Miki.



– Te... buty... są...

Słowa piosenki przepływały przez otumaniony umysł Sary. Wyrzucała je z siebie co jakiś czas, jęcząc i charcząc, podczas gdy Granicznicy nieprzerwanie zmuszali ją do marszu. Każdy krok wywoływał straszliwy ból w zranionym biodrze, jakby ktoś obracał powoli drut kolczasty wbity w ciało kobiety.

Sara powoli umierała i Granicznicy o tym wiedzieli. Nie udzielili jej pomocy; w ogóle ich nie obchodziła. Rebeka prawdopodobnie i tak by ich pochwaliła, nawet gdyby przynieśli tylko martwe ciało.

Wiedząc, że musi zachować przytomność, Sara bezustannie zmagala się z ciemnością, która próbowała zawładnąć jej umysłem.

– ... stworzone do chodzenia... któregoś dnia...

Jeden z Graniczników syknął coś do niej, Sara zignorowała go jednak i śpiewała dalej: – ... któregoś dnia... przejdą po tobie...

Krew Sary zostawiała na dnie tunelu nieregularny, rozbryzgany ślad. Zupełnie przypadkowo raz czy dwa spadła na parzydła, które Elliott rozsypała na drodze, gdy pędzili z chłopcami tym samym szlakiem. Ożywione krwią Sary, bakterie świeciły z taką mocą, jakby pomarańczowy blask wypływał prosto z podłoża, z ukrytego tuż pod nim zewnętrznego kręgu piekieł.

Sara jednak nawet tego nie zauważała. Jej umysł skupiał się całkowicie na jednym jedynym celu. Kobieta przypuszczała, że

Granicznicy prowadzą ją w tym samym kierunku, w którym poszli Cal i Will. Miało to swoje dobre i złe strony. Oznaczało, że Styksowie są na właściwym tropie, a jej synom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo; ale i dawało cię nadziei, że być może zdoła im jeszcze pomóc, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Podejrzewała, że tak się właśnie stanie.

Nie miała pojęcia, że już wkrótce sprawy przybiorą zupełnie niespodziewany obrót.

Rozdział pięćdziesiąty



Drake musiał zwolnić, kiedy dogonił patrol Graniczników. Klął cicho pod nosem, bo byli przed nim i w żaden sposób nie mógł ich wyprzedzić, chyba że wybrałby okreśną, wielokrotnie dłuższą drogę.

Podając spore ryzyko, podkraść się do nich jeszcze bliżej, by sprawdzić, z czym właściwie ma do czynienia. Widział, że ciągną kogoś ze sobą, nie zakładał jednak od razu, że jest to Elliott lub któryś z chłopców. „Może to jakiś pechowy renegat, który wpadł w łapy żołnierzy” – rozmyślał, zniecierpliwiony. Dotknął ładownicy z pistoletami rurowymi przymocowanej do uda, wiedział jednak, że tym razem z nich nie skorzysta – podejmowałyby zbyt wielkie ryzyko, stając do walki z czterema żołnierzami naraz, poza tym obawiał się, że mogłby trafić ich więźnia.

Chcąc nie chcąc, musiał więc znacznie zwolnić, aż wreszcie patrol wciągnął pojmanego na skalną półkę przy Ostrzach i ruszył w dół dłuższą drogą, wzdłuż ściany. Gdy tylko Granicznicy znikli mu z oczu, Drake zszedł błyskawicznie po drabinie Koproliarów. Powietrze skrzyło się milionem drobiny szkła, które oblepiały mu oczy i zatykały gardło. Kiedy przemykał się między szklistymi kikutami i popękanymi fragmentami kolumn, raz po raz musiał przystawać i się chować. Zauważył sporo martwych Graniczników, ale też wielu żywych, którzy najwyraźniej przeszukiwali cały teren.

Drake dotarł w końcu do korytarza, który najprawdopodobniej

wybrała Elliott, lecz wejście blokowała zwalona kolumna. Mężczyzna nie miał innego wyjścia, jak tylko iść wzdłuż ściany jaskini i wykorzystać pierwszy dostępny tunel.

Kiedy to robił, zobaczył ponownie patrol Graniczników z więźniem. Schodzili właśnie z ostatniego odcinka skalnej półki. Dwaj żołnierze natychmiast wysforowali się do przodu, by – co było wielce prawdopodobne – skontaktować się ze swoimi towarzyszami przeszukującymi wnętrze jaskini. Dwaj pozostali puścili ręce więźnia, pozwalając mu opaść na ziemię. Drake usłyszał pełen niewypowiedzianego bólu krzyk kobiety. Nie miał pojęcia, kim ona była, wiedział jednak, że choć śpieszy się do Elliott, nie może zostawić nieznajomej na pastwę Styksów.

Podniósł więc kawałek obsydianu i rzucił go z całej siły, trafiając jakieś dwadzieścia metrów na lewo od Graniczników. Żołnierze natychmiast zareagowali na podejrzany dźwięk, podnieśli strzelby i ruszyli w kierunku, z którego dochodził. Drake odczekał chwilę i rzucił kolejny duży fragment skały, by odciągnąć Styksów jeszcze dalej, po czym podbiegł natychmiast do leżącej na ziemi kobiety. Zakrył jej usta dłonią, żeby nie krzyknęła ze strachu, i ruszył w stronę tunelu. Kiedy odszedł już na bezpieczną odległość, położył nieznajomą na ziemi.

Zastanawiało go, dlaczego ma ona na sobie mundur Graniczników, lecz jeszcze bardziej intrygujący był fakt, że jej twarz wydawała się mu dziwnie znajoma. Kobieta próbowała coś powiedzieć, kazał jej jednak milczeć i uważnie przyjrzał się obrażeniom. Stwierdził ze zdumieniem, że opatrunki wyglądają identycznie jak te zakładane przez niego i Elliott.

przystawać i się chować. Zauważył sporo martwych Graniczników, ale też wielu żywych, którzy najwyraźniej przeszukiwali cały teren.

Drake dotarł w końcu do korytarza, który najprawdopodobniej

wybrała Elliott, lecz wejście blokowała zwalona kolumna. Mężczyzna nie miał innego wyjścia, jak tylko iść wzdłuż ściany jaskini i wykorzystać pierwszy dostępny tunel.

Kiedy to robił, zobaczył ponownie patrol Graniczników z więźniem. Schodzili właśnie z ostatniego odcinka skalnej półki. Dwaj żołnierze natychmiast wysforowali się do przodu, by – co było wielce prawdopodobne – skontaktować się ze swoimi towarzyszami przeszukującymi wnętrze jaskini. Dwaj pozostali puścili ręce więźnia, pozwalając mu opaść na ziemię. Drake usłyszał pełen niewypowiedzianego bólu krzyk kobiety. Nie miał pojęcia, kim ona była, wiedział jednak, że choć śpieszy się do Elliott, nie może zostawić nieznajomej na pastwę Styksów.

Podniósł więc kawałek obsydianu i rzucił go z całej siły, trafiając jakieś dwadzieścia metrów na lewo od Graniczników. Żołnierze natychmiast zareagowali na podejrzany dźwięk, podnieśli strzelby i ruszyli w kierunku, z którego dochodził. Drake odczekał chwilę i rzucił kolejny duży fragment skały, by odciągnąć Styksów jeszcze dalej, po czym podbiegł natychmiast do leżącej na ziemi kobiety. Zakrył jej usta dłonią, żeby nie krzyknęła ze strachu, i ruszył w stronę tunelu. Kiedy odszedł już na bezpieczną odległość, położył nieznajomą na ziemi.

Zastanawiało go, dlaczego ma ona na sobie mundur Graniczników, lecz jeszcze bardziej intrygujący był fakt, że jej twarz wydawała się mu dziwnie znajoma. Kobieta próbowała coś powiedzieć, kazał jej jednak milczeć i uważnie przyjrzał się obrażeniom. Stwierdził ze zdumieniem, że opatrunki wyglądają identycznie jak te zakładane przez niego i Elliott.

- Te bandażę... kto je, założył? – spytał kobietę.
- Jesteś renegatem, prawda? – odpowiedziała pytaniem Sara.
- Powiedz mi tylko; zrobiła to Elliott? – powtórzył szorstkim

tonem, nie mieli bowiem czasu na uprzejmości.

– Mała dziewczyna z wielką strzelbą? – znów spytała Sara.

Drake skinął głową, wciąż zastanawiając się, skąd zna twarz tej kobiety.

– Rozumiem, że to twoja przyjaciółka? – powiedziała Sara. Zobaczyła, jak Drake unosi lekko brwi. Doznała nagle przedziwnego uczucia; przez moment miała wrażenie, że patrzy na Tama, może jego nieco szczuplejszą wersję, ale obdarzoną tą samą mimiką. Natychmiast zrozumiała, że może zaufać nieznanemu mężczyźnie o poważnych niebieskich oczach i dziwnym urządzeniu na głowie. – Cóż, kiepski z niej strzelec – zachichotała ponuro.

Drake był kompletnie zaskoczony zachowaniem kobiety, która pomimo ciężkich obrażeń wykazywała się niezwykłą brawurą i odpornością. Nie miał jednak czasu na dłuższe rozmowy, tracił cenne sekundy.

– Muszę iść – oświadczył przepraszającym tonem. – Moja przyjaciółka Elliott potrzebuje pomocy.

– A ja muszę pomóc moim synom, Calowi i Willowi – odparła Sara.

– Ach, więc to t y – uświadomił sobie Drake. – Legendarna Sara Jerome. Wydawało mi się, że skądś cię znam...

– A jeśli chcesz wiedzieć, co szykują Styksowie... – przerwała mu Sara – ... opowiem ci wszystko po drodze.



Elliott doprowadziła chłopców do następnego łuku, który nie wytrzymał próby czasu równie dobrze jak poprzedni.

Jedna kolumna stała wciąż na swoim miejscu, zaś reszta konstrukcji leżała strzaskana na wyłożonym kamiennymi płytami placu, na którym została wzniesiona.

Will i pozostali zeszli właśnie z tych wielkich płyt, gdy znów

dobiegło ich ujadanie psów. Tym razem wydawało się niepokojąco bliskie. Elliott, która narzuciła im szaleńcze tempo biegu, zatrzymała się raptownie i odwróciła do chłopców.

– Jak mogłam być tak nieprawdopodobnie głupia! – wyszeptała gwałtownie.

– O czym ty mówisz? – spytał Chester.

– Nie rozumiecie?! – zapytała łamiącym się z bezsilnej złości głosem.

Zebrani wokół niej Will, Cal i Chester wymienili pełne zdumienia spojrzenia.

– Ścigają nas już przez tyle mil... a ja tego nie zauważyłam. – Elliott zacisnęła dłoń na strzelbie z taką siłą, że jeden z jej kłyci trzasnął głośno. – Ależ jestem głupia!

– Czego nie zauważyłaś? – wypytywał Chester. – O czym ty w ogóle mówisz?

– Ten sam schemat... za każdym rogiem wpadaliśmy na Graniczników i szliśmy dokładnie tam, gdzie chcieli nas zapędzić, jak kury spychane w kąt zagrody.

Przeganiali nas raz za razem.

Elliott była na siebie tak wściekła, że wydawało się, iż za moment wybuchnie płaczem.

– Weszłam prosto w ich sidła... – Strzelba ześlizgnęła się w dół i opadła kolbą na ziemię, a Elliott oparła się o lufę, zwieszając nisko głowę. Była załamana i przybita, jakby nagle zupełnie straciła poczucie celu. – Po tym wszystkim, czego nauczył mnie Drake. On nie...

– Och, daj spokój, świetnie nam idzie – przerwał jej Cal, starając się zachować spokój, choć wcale nie wydawał się spokojny. Nie chciał słuchać tego, co ma do powiedzenia Elliott. Był krańcowo wyczerpany, bliski omdlenia. Pragnął jedynie dojść tam, dokąd mieli

dojść, i udać się na zasłużony odpoczynek. – Nie możemy po prostu iść dalej .

tą drogą? – spytał błagalnym tonem, wskazując na brzeg Czeluści.

– Nie ma mowy – odparła Elliott słabo.

– Dlaczego? – Cal nie ustępował.

Dziewczyna milczała przez chwilę, obserwując Bartleby ego. Kot trzymał łeb w górze i strzygł czujnie uszami; po chwili podniósł głowę jeszcze wyżej i wciągnął powietrze w nozdrza. Elliott skinęła głową z rezygnacją i w końcu odpowiedziała Calowi: – Gdzieś tam jest cały oddział Graniczników ze strzelbami gotowymi do strzału. – Widząc, że chłopcy wciąż jej nie wierzą, wzięła się w garść i posłała każdemu z nich gniewne spojrzenie. – A tam... – mówiła dalej, wskazując kciukiem w lewą stronę – ...

jest dość Białych Szyj, żeby zapełnić cały kościół. Może spytasz o to swojego Łowcę? On już o tym wie...

Cal zerknął na kota, a potem spojrzął z powątpiewaniem na Elliott. Will i Chester podeszli kilka kroków we wskazanych przez nią kierunkach, by przyjrzeć się uważniej okolicy.

Dzięki okularowi Will sięgał spojrzeniem wysoko w górę zbocza, na którym leżały porozrzucane bezładnie menhiry.

– Ale... tam nikogo nie ma – oświadczył.

– Tutaj też nie – dodał Chester. – Robisz się nerwowa, to wszystko. Naprawdę, nic nam nie będzie, Elliott – powtarzał z uporem, gdy ponownie dołączył do niej razem z Willem. Podobnie jak Cal, i on chciał, by powiedziała, że wszystko jest w porządku.

– Jeżeli rozerwanie na strzępy to dla ciebie nic, mogę się zgodzić – odparła cierpko, podnosząc strzelbę jednym zręcznym ruchem i przykładając ją do ramienia.

– Posłuchaj, tam naprawdę nie ma żadnych Styksów niemal błagał ją Will, przekonany, że dziewczyna histeryzuje. – To czysta głupota.

Nic nie mogło przygotować go na to, co wydarzyło się chwilę potem.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy



Drake bombardował Sarę pytaniami, wyciągając od niej wszystkie informacje, jakimi dysponowała. Kobieta z coraz większym trudem zachowywała przytomność umysłu i często odpowiadała w chaotyczny, niezorganizowany sposób, czasem też myliła kolejność wydarzeń, opowiadając Drake'owi o Rebecce i Dominium.

W końcu oboje zamilkli; Drake, bo chciał zachować siły potrzebne do niesienia Sary, Sara zaś dlatego, że coraz częściej wpadała w stan zamroczenia. Czuła, że życie ucieka z niej jak woda z dziurawego wiadra, i wiedziała, że jeśli nadal będzie tracić krew w takim tempie, te stany zamroczenia przerodzą się w końcu w coś znacznie gorszego. Nie próbowała się nawet oszukiwać; prawdopodobieństwo, że uda się jej zrealizować ostatni cel i dogonić synów, było naprawdę niewielkie.

– Te buty kiedyś... – wyrzęziła, gdy Drake niósł ją na rękach. Ból promieniujący ze strzaskanego biodra był tak ogromny i wszechogarniający, że czasami widziała samą siebie jako korek kołyszący się na powierzchni lśniącego, rozgrzanego do czerwoności oceanu, który w każdej chwili mógł zakryć ją falami i wciągnąć w głębinę. Walczyła bez ustanku, by utrzymać się na górze, lecz otumaniony umysł nie ułatwiał zadania – ból wypływający ze zranionej skroni obejmował całą głowę, przeszywał ją do głębi, jakby ktoś rozplątał jej mózg. – Kłamiesz, kiedy...

Choć dyszał już ciężko, Drake nie zwalniał ani na moment, aż w końcu dotarli do zbrocza prowadzącego prosto ku Czeluści. Jakby

przeczuwając, co się za chwilę wydarzy, mężczyzna ruszył biegiem w dół stoku, mimo że dobrze wiedział, co to oznacza dla Sary.

Nad rozciągającym się przed nimi obszarem przetoczył się krzyk.

– Och, Will!

Chłopiec zamarł w bezruchu.

– Wiem, że tam jesteś, słonko! – wołał radośnie dobrze mu znany głos.

Will natychmiast go rozpoznał. Wymienił spojrzenia z Elliott.

– Rebeka – wyszeptał.

Przez sekundę wszyscy stali nieruchomo, milcząc.

– Chyba mamy kłopoty – oświadczył w końcu Will bezradnym tonem.

Elliott skinęła głową.

– Nie inaczej – zgodziła się dziewczyna, przemawiając głosem zupełnie wyzuty z emocji.

Will czuł się jak królik oślepiiony reflektorami olbrzymiej ciężarówki, zmierzającej prosto na niego.

Uświadomił sobie, że w głębi duszy wiedział od dawna, iż ta chwila nadejdzie; że od samego początku było to nieuniknione, a mimo to pociągnął za sobą ich wszystkich.

Chłopiec spojrzał oszołomionym wzrokiem na Chestera, ten jednak popatrzył na niego z takim wyrzutem i pogardą, że Will musiał się odwrócić.

– Nie stójcie tak! Schowajcie się! – warknęła na nich Elliott. Na szczęście kilka metrów dalej znajdowały się dwa wielkie menhiry. Grupa rozdzieliła się; Elliott i Chester podbiegli do jednego kamienia, Will i Cal do drugiego.

– Och, Wiiiiiiil! – rozległ się znów znajomy głos, dziewczęcy i słodki. – Wyjdź, chodź tutaj, gdziekolwiek jesteś!

– Nic nie rób – przykazała ruchem ust Elliott, gwałtownie kręcąc

przy tym głową.

– Hej, braciszku, nie wygłupiaj się! – wołała Rebeka. – Chodź, pogadamy trochę o starych, dobrych czasach.

Stosując się do polecenia Elliott, Will milczał. Wyrzwał jednym okiem zza głązu, lecz widział tylko ciemność.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, Rebeka mówiła dalej: – W porządku, jeśli chcesz bawić się ze mną w jakieś głupie gierki, najpierw ustalmy zasady.

Znów zapadła cisza – Rebeka najwyraźniej czekała na odpowiedź Willa. Ponieważ ten wciąż milczał, kontynuowała: – Dobrze... zasady. Po pierwsze... ponieważ wydajesz się trochę nieśmiały, zejdę do ciebie. Po drugie... jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy strzelać do mnie, skończymy za! bawę i zrobimy, co następuje: najpierw spuszczę ze smyczy psy; moje ślicznotki nie jadły już od paru dni, więc uwierz mi, naprawdę byś tego nie chciał. A jeśli zdarzy się jakiś cud i nie wykończą cię psy, zrobią to moi snajperzy. I jeszcze jedno – tam, na górze, stacjonuje dywizja z artylerią... Ich broń zmiecie stąd wszystko, łącznie z tobą. Jeśli więc spróbujesz jakichś sztuczek, będziesz musiał ponieść konsekwencje. Zrozumiałeś?

Rebeka znów zrobiła pauzę, po czym przemówiła ostrzejszym, bardziej władczym tonem: – Will, chcę, byś mi obiecał, że nie spróbujesz do mnie strzelać.

Will przestał spoglądać w górę zbocza i opadł z powrotem za menhir. Miał wrażenie, że nawet tutaj Rebeka doskonale go widzi, jakby dzieliła ich tylko gruba szyba.

Strużka potu pociekła mu po karku, nie mógł zapanować nad drżeniem rąk. Zamknął oczy i uderzając tyłem głowy o kamień, jęczał: – Nie, nie, nie...

Dlaczego wszystko tak się potoczyło? Zmierzali w dobrym tempie w stronę Bagien, mieli przed sobą mnóstwo wolnej przestrzeni i wiele

dróg do wyboru. A teraz znaleźli się w tej koszmarnej sytuacji, osaczeni i zagnani na skraj ogromnej przepaści. Jak mogło do tego dojść?

Jakby tego było mało, ich przeciwnikiem była Rebeka osoba pozbawiona jakichkolwiek ludzkich odruchów, bezlitosna i brutalna, a do tego znająca go tak dobrze jak własną kieszeń.

Will nie miał najmniejszego pojęcia, co mógłby zrobić, by wyciągnąć swych towarzyszy z opresji. Zerknął na Elliott, ta jednak kłóciła się o coś z Chesterem. W ogóle nie słyszał, o czym mówią. Wydawało się, że po chwili osiągnęli porozumienie, a ich rozmowa dobiegła końca. Elliott szybko zsunęła z ramion plecak i zaczęła w nim grzebać.

– Hej, pokrako! – zawołała znów Rebeka. – Czekam na twoją odpowiedź.

– Elliott! – syknął Will. – Co mam robić?

– Graj na czas. Rozmawiaj z nią – warknęła Elliott, nie podnosząc wzroku znad plecaka, z którego zaczęła wyciągać linę.

Podniesiony nieco na duchu faktem, że Elliott zaczęła realizować jakiś plan, Will wziął kilka głębokich oddechów i wysunął głowę zza krawędzi głazu.

– Tak! W porządku! – krzyknął w stronę Rebeki.

– Zuch chłopak! – odparła Rebeka radośnie. – Wiedziałam, że dasz się skusić.

Przez kilka kolejnych sekund Rebeka milczała. Elliott i Chester obwiązali się liną, a potem Chester rzucił jej drugi koniec do Willa. W tym czasie Elliott położyła się na ziemi i podniosła strzelbę do oka.

Will złapał linę i spoglądając na Chestera, wzruszył ramionami, a ten odpowiedział mu tym samym. Will pomyślał, że nie widząc innego wyjścia, Elliott postanowiła zejść po ścianie do Czeluści. Prawdę mówiąc, on także nie widział innej możliwości.

Odwrócił się w stronę Cala. Jego brat jęczał cicho, wciskając głowę w kark Bartlebyego i tuląc pobudzone zwierzę do siebie. Wyglądało na to, że chłopiec ostatecznie się załamał, lecz Will nie mógł mieć o to do niego pretensji. Obwiązał się starannie liną, a potem oplótł nią w talii Cala i zacisnął mocno węzeł. Brat nie protestował; nie zapytał nawet, dlaczego to robi.

Will zerknął ponownie w stronę Czeluści. Tak, to była jedyna droga ucieczki. Jeśli jednak Elliott nie miała czegoś w zanadru, to nie było to szczególnie atrakcyjne rozwiązanie. Co ta dziewczyna kombinowała? Will sam przecież widział, że ściany Czeluści są gładkie jak szkło, pozbawione jakichkolwiek punktów zaczepienia.

Przyszłość całej ich czwórki rysowała się w naprawdę ciemnych barwach.

Will usłyszał, jak nadchodząca z ciemności Rebeka gwizdże coś pod nosem.

– Jesteś moim Słonkiem⁹ – mruknął, natychmiast rozpoznawszy melodię. – Nienawidzę tej piosenki.

Kiedy dziewczynka przemówiła ponownie, była już znacznie bliżej, nie więcej niż trzydzieści metrów od niego.

– No dobrze, dalej nie idę.

Nagle rozbłysły olbrzymie reflektory ustawione na zboczu.

⁹ You Are My Sunshine – popularna piosenka, po raz pierwszy nagrana w latach 40 XX wieku.

– Cholera! Zastona świetlna! – krzyknęła Elliott, odsuwając gwałtownie głowę od strzelby, gdy blask reflektorów uderzył w lunetę. Mrugnęła kilkakrotnie, oślepiona jaskrawym blaskiem. – Po prostu cudownie! – piekliła się. – Teraz nie mogę namierzyć niczego!

Promienie światła krążyły bezustannie wokół menhirów, dających schronienie Willowi i pozostałym; rzucały na ziemię wąskie, ruchome cienie.

Chłopak wysunął głowę nieco dalej za krawędź głazu. Musiał wyłączyć okular, by nie uszkodzić elementu światłoczułego. Blask reflektorów był tak silny, że uniemożliwiał Willowi dostrzeżenie, co dzieje się przed nim. Chłopiec widział jednak jakąś sylwetkę – tak, bez wątplenia była to Rebeka. Stała na otwartym polu, między dwoma menhirami. Will schował się z powrotem za kamień i spojrzał na Elliott, która wciąż leżała wyprostowana na ziemi, w otoczeniu całego arsenału materiałów wybuchowych i pistoletów rurowych. Poprawiła lekko pozycję, jakby zamierzała strzelić do samotnej sylwetki nawet bez użycia lunety.

– Nie rób tego, nie strzelaj do niej – mówił Will błagalnym szeptem. – Psy!

Elliott nie odpowiedziała, ukryta za strzelbą.

– Will! Mam dla ciebie małą niespodziankę! – zawołała ponownie Rebeka. Nim skończyła mówić, jej głos rozległ się ponownie, jakby była brzuchomówcą. – A właściwie całkiem dużą niespodziankę!

Will zmarszczył brwi i nie mogąc oprzeć się pokusie, wyjrzał ponownie zza kamienia.

– Poznaj moją siostrę bliźniaczkę – oświadczył głos Rebeki. A właściwie oświadczyły dwa głosy jednocześnie.

– Uważaj! – ostrzegła go Elliott, gdy Will podniósł się z ziemi i wysunął głowę jeszcze dalej.

Otworzył szeroko oczy, gdy pojedyncza postać w jednej chwili rozpadła się na dwie; okazało się, że były to dwie osoby, skryte jedna za drugą. Obie odwróciły się do siebie twarzami, a Will zobaczył dwa identyczne profile; lustrzane odbicia.

– Nie! – wyszeptał z niedowierzaniem, chowając się na moment za kamień, a potem wyglądając zza niego ponownie.

– Niezła sztuczka, co, braciszku? – krzyknęła Rebeka stojąca po lewej.

– Przez cały czas byłyśmy dwie, mogłyśmy wymieniać się do woli.
– Rebeka po prawej zarechotała jak młoda wiedźma.

Nie, wzrok go nie mylił.

Były dwie... dwie Rebeki stojące ramię przy ramieniu! Jak to możliwe?

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, Will próbował sobie wmówić, że to tylko jakaś sztuczka – złudzenie optyczne albo idealnie dopasowana maska na twarzy jednej z dziewczynek. Jednak im dłużej im się przyglądał, tym bardziej był przekonany, że to prawda. Obie Rebeki nie tylko tak samo wyglądały, ale również zachowywały się tak samo i miały takie same głosy – były identyczne w każdym calu.

Mówiły dalej tak szybko, że Will nie był w stanie stwierdzić, które słowa wypowiadała jedna, a które druga: – Twój najgorszy koszmar; dwie irytujące siostrzyczki, co?

– Jak sądzisz, jak dałybyśmy sobie radę, skoro jedna z nas bez ustanku musiała być w Górnoziemiu?

– Opiekowałyśmy się tobą na zmianę.

– Raz jedna, raz druga, dyżurowałyśmy przez wszystkie te lata.

– Obie znamy cię tak dobrze...

– Obie gotowałyśmy twoje paskudne jedzenie...

– ... zbierałyśmy twoje brudne ubrania...

– ... prałyśmy twoje wstrętne, śmierdzące gacie...

– Ty brudasie! – warknęła jedna z nich pogardliwie.

– ... i słuchałyśmy, jak mażesz się przez sen i wołasz m a musie...

– ...ale mamusia miała to w nosie...

Choć znajdował się w tragicznej sytuacji, w której takie sprawy nie miały większego znaczenia, Will aż skulił się ze wstydu. Byłby zażenowany, gdyby to wszystko mówiła tylko jedna Rebeka, ale dwie fałszywe siostry, znające najintymniejsze szczegóły z jego życia i, co gorsza, rozmawiające o tym głośno... Nie, tego już było za wiele.

– Zamknij się, ty wstrętne ździro! – wrzasnął.

– Oj, chyba trafiłyśmy w czuły punkt – oznajmiła jedna z bliźniaczek, udając troskę.

Will przeniósł się nagle myślami do rodzinnego domu w Highfield. Przypomniał sobie, jak wyglądało jego życie przez wszystkie te lata przed zaginięciem doktora Burrowsa. Bez ustanku ścierał się z siostrą o najmniejsze nawet drobiazgi. Tocząca się teraz rozmowa wyglądała identycznie jak jedna z ich niezliczonych kłótni, kiedy Rebeka doprowadzała go do pasji uszczypliwymi i celnymi szyderstwami. Rezultat był zawsze ten sam – on wpadał we wściekłość, a ona stała z boku i patrzyła na niego z triumfującym, pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy.

– I chciałeś chyba powiedzieć: „wy wstrętne z d z i r y” – poprawiła go Rebeka po prawej, podczas gdy druga ciągnęła szyderczą przemowę: – Ale mamusia nie miała czasu dla swojego małego Willa... nie było go w programie telewizyjnym...

– ... nie mieścił się w cotygodniowym planie... Dwa wybuchy gromkiego śmiechu.

– Jasiu bez Kolegów, który kopie bez przerwy te swoje głupie dołki sam jak palec.

– ... prałyśmy twoje wstrętne, śmierdzące gacie...

– Ty brudasio! – warknęła jedna z nich pogardliwie.

– ... i słuchałyśmy, jak mażesz się przez sen i wołasz m a musie...

– ... ale mamusia miała to w nosie...

Choć znajdował się w tragicznej sytuacji, w której takie sprawy nie miały większego znaczenia, Will aż skulił się ze wstydu. Byłby zażenowany, gdyby to wszystko mówiła tylko jedna Rebeka, ale dwie fałszywe siostry, znające najintymniejsze szczegóły z jego życia i, co gorsza, rozmawiające o tym głośno... Nie, tego już było za wiele.

– Zamknij się, ty wstrętne ździro! – wrzasnął.

– Oj, chyba trafiłyśmy w czuły punkt – oznajmiła jedna z bliźniaczek, udając troskę.

Will przeniósł się nagle myślami do rodzinnego domu w Highneld. Przypomniawszy sobie, jak wyglądało jego życie przez wszystkie te lata przed zaginięciem doktora Burrowsa. Bez ustanku ścierał się z siostrą o najmniejsze nawet drobiazgi. Tocząca się teraz rozmowa wyglądała identycznie jak jedna z ich niezliczonych kłótni, kiedy Rebeka doprowadzała go do pasji uszczypliwymi i celnymi szyderstwami. Rezultat był zawsze ten sam – on wpadał we wściekłość, a ona stała z boku i patrzyła na niego z triumfującym, pełnym samozadowolenia uśmiechem na twarzy.

– I chciałeś chyba powiedzieć: „wy wstrętne z d z i r y” – poprawiła go Rebeka po prawej, podczas gdy druga ciągnęła szyderczą przemowę: – Ale mamusia nie miała czasu dla swojego małego Willa... nie było go w programie telewizyjnym...

– ... nie mieścił się w cotygodniowym planie... Dwa wybuchy gromkiego śmiechu.

– Jasiu bez Kolegów, który kopie bez przerwy te swoje głupie dołki sam jak palec.

– I szuka w tych dołkach miłości tatusia – szydziła druga Rebeka, po czym obie zaniósł się gromkim rechotem.

Will zamknął oczy – czuł się tak, jakby bliźniaczki grzebały we wnętrzu jego głowy i wyciągały na światło dzienne najgłębiej skrywane lęki i sekrety. Nic nie było już święte -Rebeki ogłaszały to wszystkim, wszem i wobec.

Później bliźniaczka po lewej przemówiła śmiertelnie poważnym tonem: – Tak naprawdę chciałyśmy powiedzieć tobie i temu grubemu wieprzowi Chesterowi, że wkrótce nie będzie już żadnego domu, do którego moglibyście wrócić.

– Nie będzie żadnych Górnoziemców – szczebiotała radośnie druga

siostra.

– No, może będzie niezbyt wielu – poprawiła ją siostra śpiewnym głosem.

– O czym one mówią? – spytał Chester. Ociekał potem, a jego twarz, pokryta ciemnymi łatami brudu, była blada jak ściana.

Will miał już dosyć.

– Bzdury! To wszystko kłamstwa! – wrzasnął, trzęsąc się ze strachu i złości.

– Sam widziałeś, że uwijaliśmy się w Wiecznym Mieście jak pszczołki – powiedziała jedna z bliźniaczek. – Dywizja od lat prowadziła tam poszukiwania.

– Aż w końcu znaleźli dokładnie ten zarazek, o który nam chodziło. Nasi naukowcy popracowali trochę, a oto owoce ich trudu.

Will obserwował z ukrycia, jak bliźniaczka po lewej stronie zdejmuje zawieszony na szyi przedmiot i podnosi go na wysokość twarzy. Tajemniczy obiekt rozbłysnął na moment w promieniach reflektora. Wydawało się, że jest to mała szklana fiolka, jednak z takiej odległości Will nie widział jej wystarczająco wyraźnie.

– Numer jeden w swoim gatunku... Ludobójstwo zamknięte w szkle... Prapoczątek wszystkich pandemii sprzed stuleci. Nazywamy go Dominium.

– Dominium – powtórzyła druga bliźniaczka.

– Zamierzamy wypuścić go w Górnoziemiu i...

– ... i Kolonia odbierze wreszcie to, co się jej należy. Rebeka podała fiolkę drugiej Rebecce takim gestem, jakby wznosiła toast.

– Za nowy Londyn.

– Za nowy świat – dodała druga.

– Tak, świat.

– Nie wierzę wam, wy ścierwa! To wszystko bzdury! – syknął Will.
– Kłamiecie!

– A po co miałybyśmy sobie zadawać tyle trudu? – odparowała Rebeka stojąca z lewej, machając drugą fiolką. –Widzisz... mamy tu szczepionkę, stary przyjacielu.

Twoi Górnoziemcy nie zdążą stworzyć jej na czas. Cały kraj będzie sparaliżowany, całkowicie zdany na naszą łaskę i niełaskę.

– I nie pochlebiaj sobie, że zjechaliśmy tutaj tylko ze względu na ciebie.

– Przeprowadzaliśmy wiosenne porządki w Głębi, oczyszczając ją z brudnych renegatów i zdrajców naszej sprawy.

– Przeprowadzaliśmy też ostatnie testy Dominium, ale zdaje się, że niektórzy z twoich nowych znajomych widzieli to na własne oczy.

– Spytaj swoją koleżankę Elliott.

Usłyszawszy swoje imię, Elliott podniosła głowę znad strzelby.

– Bunkier – wyszeptała do Willa, przypominając sobie zaspawane cele, które oglądała z Calem.

Umysł Willa pracował na pełnych obrotach. Wiedział, że Rebeka, a właściwie Rebeki, poprawił się myślach, zdolne są do aktów najgorszej przemocy i okrucieństwa. Czy to mogła być prawda? Czy naprawdę chciały wywołać zarazę? Oderwał się nagle od tych rozmyślań, kiedy bliźniaczki przemówiły ponownie: – Do rzeczy, braciszku – zaczęła Rebeka po lewej. – Chcemy złożyć ci jedyną, niepowtarzalną ofertę.

– Ale najpierw wrócimy na swoje miejsce – dodała cicho druga.

Will obserwował zza kamienia, jak bliźniaczki obracają się na piętach i ruszają w górę zbocza.

– Mogłabym sprzątnąć jedną... – wyszeptała Elliott zza strzelby.

– Nie, poczekaj! – błagał ją Will.

– ... ale nie obie – dokończyła Elliott.

– Nie. Tylko pogorszysz sytuację. Posłuchajmy, co mają do powiedzenia – prosił Will.

Oblał się zimnym potem, wyobraziwszy sobie stado psów opadających ich czwórkę, oddzielających kończynę po kończynie od tułowi i rozszarpujących ich ciała na kawałki. Obserwował z niepokojem sylwetki bliźniaczek niknące za menhirami i wciąż starał się nie tracić nadziei. Nie mógł pogodzić się z myślą, że zbliża się koniec. I to dla nich wszystkich.

Ale co one kombinowały? Co te paskudne kreatury chciały mu zaproponować?

Wiedział, że nie będzie musiał długo czekać, by się tego dowiedzieć, i rzeczywiście, wkrótce bliźniaczki zaczęły krzyczeć do niego na zmianę: – Jakoś tak się składa, że każdy, kogo spotkasz, zaraz umiera, co?

– Uroczy wuj Tam pocięty na kawałki przez naszych wiernych ludzi.

– I ten gruby głupiec Imago. Mała rybka powiedziała mi, że zrobił się nieostrożny...

– ... a teraz jest martwy jak kamień – dodała druga bliźniaczka.

– A tak przy okazji, spotkałeś już swoją prawdziwą matkę? Sara jest tutaj, na dole, i cię szuka.

– Coś jej się pomieszało w głowie i uważa, że to ty jesteś winny śmierci Tama, więc...

– Nie! Wie, że to nieprawda! – przerwał im Will drżącym głosem.

Rebeki umilkły na moment, jakby zbite z tropu.

– Cóż, następnym razem nam nie ucieknie – oświadczyła jedna z bliźniaczek, choć teraz nie wydawała się już tak pewna siebie.

– Nie, nie ucieknie. A skoro mamy tu już takie rodzinne spotkanie, siostrzyczko, to powiedz mu o babci Macaulay zaproponowała druga bliźniaczka. Wyglądało na to, że doszły już do siebie po krótkiej chwili konsternacji.

– O tak, całkiem o niej zapomniałam. Nie żyje – stwierdziła krótko

druga Rebeka. – I nie umarła śmiercią naturalną.

– Rozsypałyśmy ją na polu borowików – obie bliźniaczki zarechotały paskudnie. Will słyszał, jak Cal mruczy coś płacząco, wciąż wtulony w Bartleby ego.

– Nie – wychrypiął Will, bojąc się nawet spojrzeć na Cal, dla którego musiał to być prawdziwy cios. – To nieprawda dodał słabo. – One kłamią. – Potem krzyknął udreńczonym głosem: – Dlaczego to robicie? Nie możecie po prostu zostawić mnie w spokoju?

– Niestety, to niemożliwe – odparła jedna z bliźniaczek.

– Oko za oko – dodała druga.

– A tak z ciekawości, dlaczego wpakowaliście kulkę w tego traper, którego przesłuchiwaaliśmy na Wielkiej Równinie? – natychmiast odezwała się jedna z Rebek.

– Ty to zrobiłaś, prawda, Elliott?

– Pomylił ci się z Drakiem, czy co? – Obie dziewczyny roześmiały się głośno. – Szybko chwytasz za broń, nie?

Elliott i Will wymienili zdumione spojrzenia.

– O nie... – wyszeptała dziewczyna w stronę Willa.

– A co do tego starego durnia, doktora Burrowsa, pozwoliłyśmy mu kręcić się po okolicy...

Will zeszywniał, usłyszawszy nazwisko przybranego ojca, a serce zamarło mu na chwilę w piersiach.

– ... był jak przynęta w pułapce...

– ... i nawet nie musiałyśmy go wykończyć. . – Wygląda na to, że zrobił to za nas.

Piskliwy chichot bliźniaczek odbił się echem od wielkich głazów.

– Nie, nie tata – wyszeptał Will, kręcąc głową i chowając się za menhir. Osunął się po jego szorstkiej powierzchni i usiadł ciężko, zwieszając głowę.

– Oto jak wygląda nasza propozycja! – krzyknęła ponownie któraś

z bliźniaczek, tym razem śmiertelnie poważnym tonem. – Jeśli chcesz, żeby twoi ukochani przyjaciele żyli...

– ... to się poddaj.

– A my potraktujemy ich łagodnie – dodała druga siostra. Bawiły się z nim! Zupełnie, jakby uczestniczyły w jakiejś dziecinnej zabawie, tyle że była ona czystą torturą.

Bliźniaczki mówiły dalej, przekonywały go, że poddając się, pomoże przyjaciołom.

Will słyszał głosy Rebek, ale wydawały mu się tylko pozbawionym znaczenia hałasem, jakby nie rozumiał już ich słów.

Czuł się zupełnie zdezorientowany. Niczym spowity gęstą mgłą, siedział nieruchomo pod głazem i wpatrywał się tępo w przestrzeń. Potem opuścił wzrok, spojrzął na ziemię obok swych nóg i powoli nabrał trochę pyłu w dłoń, po czym zacisnął ją w pięść. Kiedy podniósł głowę, jego wzrok spoczął na twarzy Cala. Po policzkach chłopca płynęły strumienie łez.

Will nie miał pojęcia, co mu powiedzieć – nie potrafił nawet wyrazić słowami, jak bardzo dotknęła go śmierć babci Macaulay – odwrócił więc głowę w drugą stronę.

Wtedy dopiero zauważył, że Elliott opuściła swoją pozycję za menhirem. Pełzła jak wąż po kamieniach okalających krawędź Czeluści, była już prawie przy pierwszym ze schodów prowadzących donikąd. Połączony z Elliott liną, Chester wyruszył już w tę samą krótką podróż i był niedaleko za nią.

Próbując zebrać myśli, Will wyrzucił pył, który trzymał w garści. Spojrzął ponownie na Chestera. Wiedział, że powinien iść za nim, ale nie mógł się przemóc – uświadomił sobie, że w ogóle nie może się ruszyć, uwięziony w wirze niezdecydowania. Czy powinien uznać tę grę za skończoną i poddać się? Poświęcić życie, by ocalić brata, Chestera i Elliott? Nic więcej nie mógł dla nich zrobić... W końcu to

on ich w to wszystko wpakował. Jeśli się nie podda i tak wszyscy prawdopodobnie zginą.

– Więc jak, braciszku? – ponaglała go jedna z bliźniaczek. – Zrobisz w końcu to, co należy?

Elliott znikła już za krawędzią Czeluści, najwyraźniej jednak słyszała doskonale, co mówiły Rebeki.

– Nie rób tego, Will! To niczego nie zmieni! – zawołała do niego.

– Czekamy! – krzyknęła druga Rebeka głosem pozbawionym wszelkiej wesołości. – Dajemy ci dziesięć sekund! – Zaczęły na zmianę odliczać upływające sekundy.

– Dziesięć!

– Dziewięć!

– O Boże... – wymamrotał Will, zerkając ponownie na Calą.

– Osiem!

Wstrząsany szlochem, Cal bełkotał coś niezrozumiale do Willa, a ten w odpowiedzi mógł tylko rozpaczliwie kręcić głową.

– Siedem!

Ukryta za krawędzią Czeluści, Elliott nakłaniała ich, by dołączyli do niej.

piero zauważył, że Elliott opuściła swoją pozycję za menhirem. Pełzła jak wąż po kamieniach okalających krawędź Czeluści, była już prawie przy pierwszym ze schodów prowadzących donikąd. Połączony z Elliott liną, Chester wyruszył już w tę samą krótką podróż i był niedaleko za nią.

Próbując zebrać myśli, Will wyrzucił pył, który trzymał w garści. Spojrzał ponownie na Chestera. Wiedział, że powinien iść za nim, ale nie mógł się przemóc – uświadomił sobie, że w ogóle nie może się ruszyć, uwięziony w wirze niezdecydowania. Czy powinien uznać tą grę za skończoną i poddać się? Poświęcić życie, by ocalić brata, Chestera i Elliott? Nic więcej nie mógł dla nich zrobić... W końcu to

on ich w to wszystko wpakował. Jeśli się nie podda i tak wszyscy prawdopodobnie zginą.

– Więc jak, braciszku? – ponaglała go jedna z bliźniaczek. – Zrobisz w końcu to, co należy?

Elliott znikła już za krawędzią Czeluści, najwyraźniej jednak słyszała doskonale, co mówiły Rebeki.

– Nie rób tego, Will! To niczego nie zmieni! – zawołała do niego.

– Czekamy! – krzyknęła druga Rebeka głosem pozbawionym wszelkiej wesołości. – Dajemy ci dziesięć sekund! – Zaczęły na zmianę odliczać upływające sekundy.

– Dziesięć!

– Dziewięć!

– O Boże... – wymamrotał Will, zerkając ponownie na Calą.

– Osiem!

Wstrząsany szlochem, Cal bełkotał coś niezrozumiale do Willa, a ten w odpowiedzi mógł tylko rozpaczliwie kręcić głową.

– Siedem!

Ukryta za krawędzią Czeluści, Elliott nakłaniała ich, by dołączyli do niej.

– Sześć!

Chester, który dotarł już na schody, trajkotał coś szybko, zwrócony do Willa.

– Pięć!

– Chodź wreszcie, Will! – warknęła Elliott, wysuwając głowę nad skraj przepaści.

– Cztery!

Nagle dokoła zapanował okropny hałas, wszyscy próbowali mówić do niego jednocześnie, jednak ponad tym wszystkim słyhać było zimne głosy bliźniaczek, zbliżające się już do końca odliczania.

– Trzy!

– Will! – wrzasnął Chester, szarpiąc za linę i próbując przyciągnąć go do siebie.

– Will! – krzyczał Cal. -Dwa!

Will podniósł się powoli.

– Jeden!

– Zero! – powiedziały obie bliźniaczki jednocześnie.

– Twój czas się skończył.

– Umowa jest już nieważna.

– I znów niepotrzebnie skazałeś na śmierć kilku ludzi, Will!

Wydawało się, że wszystko, co wydarzyło się potem, trwało zaledwie ułamki sekund.

Will usłyszał krzyk Cala i obrócił się w jego stronę.

– NIE! CZEKAJCIE! – krzyczał jego brat. – CHCĘ WRÓCIĆ DO DOMU!

Wyskoczył zza głazu i wymachiwał rękami, zupełnie odświetlony, obłany światłem reflektorów. Dokładnie na linii ognia.

W tej samej chwili rozległ się huk wystrzałów karabinowych, który dochodził ze wszystkich stron zbocza. Jednocześnie wypaliło tyle strzelb, że odgłos strzałów brzmiał jak przyspieszony warkot werbla.

Salwa uderzyła w ciało Cala ze straszliwą, śmiertelną precyzją. Nie miał najmniejszych szans. Jakby pchnięty olbrzymią niewidzialną ręką, oderwał się od ziemi i poleciał do tyłu, zostawiając w powietrzu czerwone ślady.

Will mógł tylko patrzeć, jak jego brat opada bezwładnie na krawędź Czeluści niczym marionetka, której odcięto wszystkie sznurki. Wyglądało to tak, jakby odbywało się w zwolnionym tempie – Will rejestrował najdrobniejsze nawet szczegóły, widział, jak ręka brata opada na wilgotne podłoże i odbija się od niego bezwładnie niczym ręka manekina; zauważył też, że Cal ma tylko jedną skarpetkę. „Musiał ubierać się w takim pośpiechu, że zapomniał o

drugiej” – pomyślała jakaś odległa, nieobecna część umysłu chłopaka.

Potem ciało Cala po prostu zsunęło się z krawędzi. Lina oplatająca Willa w pasie naprężyła się nagle i pociągnęła go do przodu, zmuszając do zrobienia kilku kroków.

Bartleby, który czekał posłusznie tam, gdzie zostawił go Cal, poderwał się nagle do biegu i rzucił za swoim panem, znikając za krawędzią Czeluści. Will poczuł kolejne szarpnięcie i zrozumiał, że kot uczepił się ciała Cala.

Will był częściowo wystawiony na widok snajperów Styk-, sów. Pociski przecinały ze świstem przesuwane się na boki promienie światła migoczące w szalonym tempie, niczym światło stroboskopu. Wszędzie dokoła spadał grad kul, które odbijały się z głuchym jękiem od menhirów i podnosiły fontanny kurzu u stóp chłopca.

Lecz Will wcale nie próbował się ukrywać. Przyciskając obie dłonie do skroni, krzyczał z całych sił, aż zabrakło mu powietrza w płucach, a jego głos zamienił się w ochrypy skrzek. Chłopak zaczerpnął powietrza i znów zaczął wrzeszczeć, choć teraz w jego krzyku można było doszukać się słowa „Dość!”. Gdy skończył, nad brzegiem Czeluści zapadła nagle martwa cisza.

Granicznicy przerwali ogień, a Elliott i Chester zamilkli, nie próbując już krzykiem ściągnąć na siebie uwagi Willa.

Chłopak chwiał się na nogach. Był całkiem odrętwiały, nie czuł ucisku liny, która wbijała się mu w talię i ciągnęła krok po kroku do przodu.

Nie czuł nic.

Cal nie żył.

Tym razem Will nie miał co do tego żadnych wątpliwości. A on mógł ocalić życie brata, gdyby poddał się bliźniaczkom. Ale nie zrobił tego.

Kiedyś już myślał, że Cal odszedł na zawsze, lecz Drake dokonał

cudu i wskrzesił go.

Tym razem jednak nie mógł liczyć na ułaskawienie, na happy end.

Czuł, jak przygniata go ogromny ciężar odpowiedzialności. On i tylko on był odpowiedzialny za śmierć tak wielu osób widział ich twarze. Wuj Tam. Babcia Macaulay. Ludzie, którzy oddali za niego wszystko, ludzie, których kochał.

I choć próbował, nie potrafił odrzucić przekonania, że jego przybrany ojciec, doktor Burrows, także odszedł, od niego na zawsze. Już nigdy go nie zobaczy. Marzenia Willa legły w gruzach.

Chwila ciszy zakończyła się gwałtownie, gdy Granicznicy znów otworzyli ogień, atakując z jeszcze większą zaciekłością niż wcześniej, a Chester i Elliott ponownie zaczęli krzyczeć w panice, przywołując Willa do siebie.

Jednak chłopiec nie słyszał niczego, jakby ktoś wyłączył w jego głowie dźwięk.

Szkliste spojrzenie Willa spoczęło na zdesperowanej i przerażonej twarzy Chestera, który stał zaledwie kilka metrów od niego i darł się wniebogłosy. Na Willu nie robiło to żadnego wrażenia – los pozbawił go nawet przyjaźni z Chesterem.

Wszystko, w co wierzył – pewniki podpierające jego niepewne życie – zostało mu odebrane, zniszczone – jedno po drugim.

Umysł chłopca płonął przerażającym, wyraźnym wspomnieniem śmierci Cała. Ta jedna chwila wymazała wszystko inne.

– Dość – powiedział, tym razem całkiem wyraźnie. Cał stracił życie przez niego.

Nie mógł temu zaprzeczyć, nie miał gdzie przed tym uciec, nie miał się gdzie schować.

Will wiedział, że to on powinien tam leżeć podziurawiony kulami, a nie jego brat.

Czuł się tak, jakby coś w jego umyśle rozciągało się coraz bardziej i

bardziej; trzeszcząc i wyginając się na boki, zbliżało się do momentu, w którym pęknie i rozsypie się na maleńkie ostre fragmenty i nigdy już nie da się poskładać w całość.

Chłopiec starał się utrzymać w pionie, choć ciało Cala ciągnęło go ku krawędzi Czeluści. Granicznicy wciąż do niego strzelali, jednak on był gdzie indziej i już nic nie miało znaczenia.

Chester przykucnął na najwyższym z kamiennych stopni, gestykulował gorączkowo i krzyczał coś do Willa. Jednak do chłopca nic nie docierało.

Wszystko już było stracone.

Will zrobił kolejny sztywny krok w stronę Czeluści, pozwalając, by ciało Cala ciągnęło go za sobą.

Chester szedł w jego stronę, wyciągając rękę i wykrzykując chrapliwie imię Willa.

Chłopak podniósł wzrok i popatrzył na Chestera tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– TAK MI PRZYKRO, WILL! – wykrzyczał Chester. Potem, gdy zobaczył, że Will go słucha, jego głos stał się nagle dziwnie łagodny i cichy. – Chodź tutaj. Już dobrze.

– Naprawdę? – spytał Will.

Pomimo straszliwych okoliczności, przez tę jedną chwilę czuli się tak, jakby zostali odizolowani od otaczającej ich grozy. Chester skinął głową i uśmiechnął się przelotnie. ‘ – Tak. I między nami też jest dobrze – odparł. – Przepraszam – najwyraźniej przeproszał Willa za to, jak go ostatnio traktował; jakby uświadomił sobie, że i on ponosi część odpowiedzialności za stan psychiczny chłopca.

W sercu Willa zatliła się maleńka iskierka nadziei.

Wciąż miał przyjaciela – jeszcze nie wszystko było stracone. I może istniała pewna szansa, by się z tej sytuacji wykaraskać.

Will zrobił kolejny krok, wyciągając rękę do Chestera.

Potem znów przesuwał się do przodu, coraz szybciej i szybciej, ciągnięty liną, na której wisiało bezwładne ciało Cala. Zbliżał się do krawędzi Czeluści, gdzie już miał złapać Chestera za rękę.

Stojące na szczycie zbocza bliźniaczki krzyknęły jednocześnie: – Do piekła z nim!

– Otworzyć ogień!

Do akcji wkroczyła ciężka artyleria, o której Rebeki mówiły kilka chwil wcześniej.

Bateria haubic Graniczników wypluła potężne pociski, które pomknęły w stronę Willa i Chestera, zostawiając w powietrzu ogniste, półkoliste ślady. Cale zbocze zapłonęło nagle oślepiającym blaskiem, a nad ziemią przetoczył się ogłuszający huk.

Pociski uderzyły w ziemię, niszcząc wszystkie menhiry na swej drodze i wyrzucając w powietrze olbrzymie fontanny ziemi. Jeden z ładunków uderzył w plac wyłożony kamiennymi płytami, przewracając samotną kolumnę i podnosząc kamienne tafle niczym wiatr, który rozrzuca po stole karty do gry.

Potężny wybuch wyrzucił Willa do przodu i ogłuszył. Lecąc prosto w czarną otchłań, tuż nad głową przyjaciela, chłopiec stracił przytomność.

W innym wypadku widziałaby, jak Chester wymachuje rękami i nogami, próbując rozpaczliwie chwycić się czegoś i nie pozwolić, by lina przywiązana do jego ciała pociągnęła go w dół.

Słyszałby też krzyki Elliott, która poleciała w Czeluść za Chesterem.

Gdyby Will był w stanie myśleć, czułby powiew czarnego powietrza, które smagało go, gdy leciał coraz dalej i dalej w dół. Miałby świadomość obecności zwłok swego brata opadającego poniżej i przeraźliwie krzyczącej i zawodzącej dwójki przyjaciół nad sobą. Byłby przerażony, widząc spadające dokoła kawałki menhirów i

skalne odłamki.

W jego umyśle nie było jednak żadnych myśli, tylko czarna nicość, nieróżniąca się niczym od tej, w którą chłopiec właśnie spadał.

Will leciał nieustająco w dół. Ciśnienie zatykało mu uszy, a pęd powietrza raz po raz zapierał dech w piersiach, podczas gdy ciało wciąż nabierało prędkości.

Co jakiś czas Will zderzał się z Elliott, Chesterem, a nawet z bezwładnym ciałem Cala. Lina oplatała się na moment wokół ich kończyn i tułowi, a potem znów rozplatała, gdy oddalali się od siebie, jakby brali udział w makabrycznym balecie powietrznym. Większa część tej niezwyklej podróży w dół wyglądała właśnie tak, choć od czasu do czasu trajektoria lotu zahaczała o ściany niekończącej się na pozór Czeluści. Will uderzał wtedy o twardą skałę albo – co zdumiewające – o jakąś miękką substancję, co z pewnością ogromnie zadziwiłoby chłopca, gdyby tylko był przytomny.

Lecz w stanie nieświadomości nie zdawał sobie sprawy z żadnego z tych doznań. Był ponad to.

Gdyby jego umysł nie został chwilowo odłączony od wszystkiego, od sygnałów, jakie wysyłały mu zmysły, zauważyłby, że choć nadal opada w ciemną otchłań, tempo tego opadania stopniowo maleje.

Początkowo niemal niewyczuwalnie, ale zdecydowanie zwalniał...
zwalniał...

zwalniał...

Rozdział pięćdziesiąty drugi



Kiedy rozbłysło światło reflektorów należących do A aJstyksów, Drake wolał nie ryzykować dalszego marszu. Ciągnąc za sobą Sarę, przeczołgał się do punktu położonego w połowie drogi między siłami Graniczników a krawędzią Czeluści, gdzie najwyraźniej skryła się Elliott z chłopcami.

Mężczyzna przykucnął za menhirem, Sara zaś leżała na ziemi w bezruchu. Była zbyt wyczerpana, by cokolwiek robić, mogła jedynie słuchać. Z głową opartą o kamień, okryta lepką warstwą własnej krwi, słuchała strzępów wykrzykiwanej rozmowy, jaką prowadzili między sobą Will i bliźniaczki. Fakt, że w rzeczywistości istniały dwie Rebeki, nie był dla niej wielkim zaskoczeniem. Od dawna już plotkowano w Kolonii, że Styksowie interesują się eugeniką – manipulują materiałem genetycznym, chcąc ją wykorzystać do udoskonalenia własnej rasy – i że bliźnięta, trojaczki, a nawet czworaczki stały się wśród nich niemal normą. Kolejny mit, który okazał się prawdą.

Powinna była się domyślić, że w rzeczywistości są dwie Rebeki, kiedy jedna z nich twierdziła w pociągu, że rankiem była w górnoziemskim szpitalu. Okazało się, że dziecko Styksów mówiło prawdę.

Leżąc tak, Sara łowiła uchem, jak bliźniaczki szydziły z Willa i groziły, że uśmiercą wszystkich Górnoziemców przy pomocy Dominium.

– Słyszałaś to? – wyszeptał do niej Drake.

– Tak – odparła pośpiesznie, kiwając głową w ciemności.

Słowa wykrzykiwane przez Willa i Rebeki docierały do Sary dziwnie zniekształcone, jakby znajdowała się na dnie głębokiej studni; często niektórych nie rozumiała.

Jednak mimo coraz większego osłabienia, jakaś część mózgu kobiety była jeszcze dość sprawna, by przetworzyć i zrozumieć, choć bardzo powoli, fragmenty zasłyszanej rozmowy.

Usłyszała swoje imię, a potem to, co bliźniaczki mówiły o śmierci Tama i babci Macaulay. Ciało Sary stężało z wściekłości. Styksowie likwidowali wszystkich członków jej rodziny, jednego po drugim. Po chwili dotarły do niej groźby skierowane pod adresem Willa, Cala i ich towarzyszy.

– Musisz im pomóc! – powiedziała do Drake’a. Spojrzał na nią bezradnie.

– Co mogę zrobić? Jestem całkiem sam i mam tylko trochę pistoletów rurowych. Tam stoi cała armia Styksów.

– Musisz coś zrobić! – zaklinała go Sara.

– Co proponujesz? Mam rzucać do nich kamieniami? spytał mężczyzna głosem przesyconym cierpieniem i bezsilną złością.

Sara musiała przynajmniej podjąć próbę przyjscia z pomocą swoim synom.

Wykorzystując nieuwagę Drakea, który przyglądał się rozwojowi wypadków zza wielkiego menhira, zaczęła czołgać się w stronę Czeluści. Pragnęła za wszelką cenę dostać się do Willa i Cala, nawet jeśli wiązało się to z koniecznością przystawania i odpoczynku co kilka metrów.

Wzrok Sary był osłabiony, wszystko wydawało się jej rozmazane i zamglone. Nie poddawała się jednak i co jakiś czas podnosiła drżącą głowę, by spojrzeć przez przymrużone oczy na zbocze zalane blaskiem reflektorów.

Słyszała głośne odliczanie i zdesperowane krzyki nad brzegiem Czeluści.

Wypatrzyła drobną postać, która pojawiła się nagle w świetle reflektorów. Matczyna intuicja podpowiedziała jej, że to Cal. Serce waliło jej w piersiach, gdy wyciągnęła dłoń w stronę stojącego w oddali syna. Patrzyła, jak szaleńczo wymachuje rękami, i słyszała jego rozpaczliwe krzyki.

Potem rozległy się strzały.

Widziała jego śmierć. Wyciągnięta ręka Sary opadła bezwładnie na ziemię.

Ktoś krzyczał przeraźliwie, później krzyk rozpląnął się w ogłuszającym huku, a powietrze wypełniło się czymś, co oszołomiony umysł kobiety uznał za deszcz ognistych komet. Ziemia zatrzęsała się z taką gwałtownością, jakby cała jaskinia miała za moment zwalić się na głowę Sary. Potem hałas i blask znikły, a dokoła zapanowała straszliwa cisza.

Spóźniła się. Prawdopodobnie nie zdążyła pomóc żadnemu z nich. Chciała przedtem zawołać Cala, ale tego nie zrobiła.

Łzy spływały strumieniami po jej brudnej twarzy.

Sara uświadomiła sobie, jaka była głupia. Nigdy nie powinna była zwątpić w Willa.

Styksowie próbowali nakłonić ją do popełnienia największego błędu w jej bezwartościowym, żalonym życiu. Przekonali nawet babcię Macaulay, że Will był winny. Biedna, naiwna staruszka uwierzyła w ich kłamstwa.

Teraz Sara widziała jak na dłoni, że Styksowie robili porządek ze wszystkimi, których uznawali za niewygodnych lub niepotrzebnych – zawsze działali w ten sposób i że czekali tylko, aż ona spełni swoje zadanie, by pozbyć się także jej.

czas podnosiła drżącą głowę, by spojrzeć przez przymrużone oczy

na zbocze zalane blaskiem reflektorów.

Słyszała głośne odliczanie i zdesperowane krzyki nad brzegiem Czeluści.

Wypatrzyła drobną postać, która pojawiła się nagle w świetle reflektorów. Matczyna intuicja podpowiedziała jej, że to Cal. Serce waliło jej w piersiach, gdy wyciągnęła dłoń w stronę stojącego w oddali syna. Patrzyła, jak szaleńczo wymachuje rękami, i słyszała jego rozpaczliwe krzyki.

Potem rozległy się strzały.

Widziała jego śmierć. Wyciągnięta ręka Sary opadła bezwładnie na ziemię.

Ktoś krzyczał przeraźliwie, później krzyk rozplynał się w ogłuszającym huku, a powietrze wypełniło się czymś, co oszołomiony umysł kobiety uznał za deszcz ognistych komet. Ziemia zatrzęsała się z taką gwałtownością, jakby cała jaskinia miała za moment zwalić się na głowę Sary. Potem hałas i blask znikły, a dokoła zapanowała straszliwa cisza.

Spóźniła się. Prawdopodobnie nie zdążyła pomóc żadnemu z nich. Chciała przedtem zawołać Cala, ale tego nie zrobiła.

Łzy spływały strumieniami po jej brudnej twarzy.

Sara uświadomiła sobie, jaka była głupia. Nigdy nie powinna była zwątpić w Willa.

Styksowie próbowali nakłonić ją do popełnienia największego błędu w jej bezwartościowym, żalonym życiu. Przekonali nawet babcię Macaulay, że Will był winny. Biedna, naiwna staruszka uwierzyła w ich kłamstwa.

Teraz Sara widziała jak na dłoni, że Styksowie robili porządek ze wszystkimi, których uznawali za niewygodnych lub niepotrzebnych – zawsze działali w ten sposób i że czekali tylko, aż ona spełni swoje zadanie, by pozbyć się także jej.

Dlaczego nie zaufała instynktowi? Powinna była odebrać sobie życie w podziemnej komnacie w Highfield. Czuła, że robi coś niewłaściwego, gdy opuściła rękę i pozwoliła, by ta mała żmija namówiła ją do współpracy ze Styksami. Jedna chwila słabości wprowadziła ją na drogę zła, pchnęła do udziału w obławie na własnych synów, uczyniła z niej bezmyślny trybik w wielkiej maszynie nikczemnych planów Styksów. Tego nie mogła nigdy wybaczyć – ani sobie, ani Styksom.

Zamknęła oczy. Czuła, jak serce trzepocze jej w piersiach niczym ptak uwięziony w klatce.

Może tak właśnie byłoby najlepiej; jedną stanowczą decyzją zakończyć to tu i teraz.

Uniosła raptownie powieki.

Nie!

Nie mogła pozwolić sobie na luksus śmierci, jeszcze nie. Nie mogła tego zrobić, dopóki istniała choćby najmniejsza szansa, że zdoła naprawić przynajmniej część tego, co sama pomogła zepsuć.

W sercu Sary wciąż tliła się iskierka nadziei, że Will nadal żyje i że może zdoła się do niego dostać – nie widziała, by został zastrzelony jak jego brat, choć trudno było przypuszczać, by przeżył ostrzał artyleryjski. Gdyby jednak rzeczywiście żył i gdyby naprawdę zdołała dotrzeć do niego, cóż mogła zrobić? Te myśli i wątpliwości przeszywały umysł kobiety niczym rozpalone igły; sprawiały niemal taki sam ból jak obrażenia fizyczne, a zarazem pchały ją nieustannie naprzód.

Używając tylko rąk, Sara pełzła wytrwale do miejsca, gdzie wcześniej ukrywał się Will. Każdy ruch sprawiał jej coraz większą trudność, jakby przedzierała się przez gęsty syrop. Nie poddawała się jednak. Pokonała dobrych kilkaset metrów, nim znów straciła przytomność.

Ocknęła się, nie mając pojęcia, jak długo leżała bez świadomości. Nigdzie w pobliżu nie widziała Drakea, słyszała jednak czyjeś głosy dobiegające z niewielkiej odległości. Podniosła głowę i zobaczyła bliźniaczki. Stojąc na samym skraju Czeluści, wydawały rozkazy oddziałowi Graniczników.

Sara wiedziała, że jest już za późno, by ocalić Willa. Czy jednak w takim stanie mogła zrobić coś jeszcze? Czy mogła pomścić śmierć Tama, swej matki i synów?

Dominium!

Tak, prawdopodobnie mogła czegoś dokonać. Była pewna, że przynajmniej jedna Rebeka wciąż ma przy sobie fiołki z Dominium. Wiedziała też, jak niezmiernie ważnym elementem planów Styksów był ten właśnie wirus.

Tak!

W tamtej właśnie chwili Sara zrozumiała, co musi zrobić. Gdyby udało się jej pokrzyżować plany Styksów i ocalić zarazem życie wielu Górnoziemców, odkupiłaby częściowo swoje winy. Zwątpiła we własnego syna. Wyrządziła tyle zła. Czas, by zrobiła wreszcie coś dobrego.

Opierając się o strzaskany menhir, kobieta zdołała podnieść się z ziemi. Krew pulsowała jej w skroniach, wybijając głośny, nierówny rytm. Świat kołysał się przed oczami Sary, gdy stała w cieniu kamienia, nie pozwalając, by ogarnął ją gromadzący się wokół inny rodzaj ciemności – mrok, którego nie mogło rozproszyć żadne światło.

Bliźniaczki tkwiły obok sporej dziury w ziemi, znaczącej miejsce, gdzie o ile Sara dobrze pamiętała, do niedawna wznosiła się samotna kolumna. Obie dziewczynki patrzyły w Czeluść i na zmianę wskazywały na nią palcami.

Dokonując nadludzkiego wręcz wysiłku, Sara zebrała resztki sił kryjących się w sponiewieranym ciele. Rozłożyła szeroko ręce i

pobiegła w stronę bliźniaczek, ostatnie kilka metrów pokonując tak szybko, jak tylko pozwalało jej na to strzaskane biodro.

Ujrzała identyczne grymasy zaskoczenia na twarzach dwóch Rebek, gdy odwróciły się w jej stronę; usłyszała identyczne okrzyki, gdy swym ciałem zmiotła bliźniaczki z krawędzi. Manewr ten nie wymagał wiele siły, lecz Sara nie miała jej ani odrobinę więcej.

W ostatnich chwilach życia Sara się uśmiechała.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci



Pani Burrows siedziała samotnie w pokoju dziennym Humphrey House. Było już dobrze po północy, a ona, pozbywszy się wreszcie paskudnego wirusa, mogła bez problemu oglądać telewizję. Wcale jednak nie śledziła kolejnego odcinka jednej z ulubionych telenowel: na ekranie widniał niewyraźny, czarnobiały obraz. Pani Burrows po raz kolejny zatrzymała taśmę, przewinęła ją i odtworzyła ponownie.

Na nagraniu widać było, jak drzwi recepcji otwierają się gwałtownie, a do holu wpada rozpedzona postać. Nim jednak znika z ekranu, odsłania na moment twarz; spogląda w górę, a potem pospiesznie opuszcza głowę, jakby zrozumiała, że została sfilmowana przez kamerę ochrony.

Naciskając guzik na pilocie, pani Burrows zatrzymała taśmę. Podeszła do telewizora, chcąc przyjrzeć się z bliska twarzy o zdenerwowanych oczach i rozczochranych włosach. Kobieta dotknęła ekranu, wodząc palcem wokół znajomego oblicza, które migotało nieregularnie i raz po raz ztracało ostrość, jakby kamera przypadkowo sfilmowała ducha, a nie istotę z krwi i kości.

– Panie i panowie, przedstawiam państwu jedyną i неповtarzalną Kate O’Leary, mistrzynię intrygi – mruknęła pani Burrows, mrużąc oczy i cmokając głośno, wciąż wpatrzona w twarz Sary. – Cóż, panno Kate, kimkolwiek jesteś, nie ma na ziemi miejsca, w którym mogłabyś się przede mną ukryć. – Zamyśliła się na chwilę, pogwizdując pod nosem chaotyczną melodię. Przejęła ten zwyczaj od doktora

Burrowsa, choć, paradoksalnie, sama go nieraz za to karciała. – I odbiorę ci moją rodzinę, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej dokonam w tym życiu.

Na zewnątrz pohukiwała sowa. Odwróciwszy się do okna, pani Burrows spojrzała na pogrążony w ciemnościach ogród.

W tej samej chwili mężczyzna w wełnianej czapce z daszkiem i długim płaszczu odsunął się bezgłośnie od szyby, by nie zostać zauważonym. Nie sądził, by ta górnoziemska kobieta dostrzegła cokolwiek w gęstym mroku, wołał jednak nie ryzykować.

Sowa poderwała się do lotu i przemknęła między drzewami, podczas gdy barczysty mężczyzna czekał cierpliwie, aż będzie mógł ponownie zająć pozycję pod oknem.

W tym samym czasie inny mężczyzna, znajdujący się trzysta metrów dalej na szczycie niewielkiego pagórka, przyglądał się mu przez ustawioną na trójnogu lunetę.

– Widzę cię – mruknął Drake, chroniąc się przed chłodnym, nocnym wiatrem za kołnierzem płaszcza. Obrócił lekko pierścień w lunecie, wyostrzając obraz mężczyzny ukrytego w mroku, i mruknął do siebie: – A któż upilnuje tych, co pilnują?

Pół kilometra dalej przemknął jakiś samochód, omiatając światłami Humphrey House i pobliskie wzgórza. Z tej odległości błysk zdawał się niewielki, lecz przetworzony przez element zamknięty w lunecie, okazał się wystarczająco jasny, by na moment oślepić mężczyznę. Drake, kompletnie zaskoczony, wciągnął głośno powietrze. Ten krótki rozbłysk przywołał wspomnienie oślepiającego blasku eksplozji, które zmiotły z powierzchni ziemi Elliott i chłopców; ostatnich chwil nad Czeluścią, kiedy mógł tylko przyglądać się z boku rozwojowi wydarzeń.

Drake odsunął się od lunety. Odchyliwszy się do tyłu, wyprostował zeszywniałe plecy i wbił wzrok w otchłań nocnego nieba.

Nie, nie zdołał ocalić Elliott ani chłopców, ale zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, by powstrzymać Styksów. Jeśli sądzili, że uda im się wprowadzić w życie misterny plan i wykorzystać Dominium, to czekało ich srogie rozczarowanie. Wyjął z kieszeni komórkę i wystukał numer, po czym ruszył w stronę swojego range rovera, czekając, aż ktoś odezwie się w słuchawce.

Ciąg dalszy nastąpi w trzeciej części cyklu Tunele. Otchłań.

– Chester – odezwał się Will, odzyskując powoli dawną pewność siebie. – Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Co takiego?

– Zauważyłeś tu coś dziwnego? – spytał Will, spoglądając zagadkowo na przyjaciela.

. Nie wiedząc, od czego zacząć, Chester potrząsnął energicznie głową. Kosmyk długich, tłustych włosów przykleił się mu do twarzy i wślizgnął do ust. Chłopak wypluł go natychmiast z pełną obrzydzenia miną i splunął kilkakrotnie.

– Nie, prócz tego, że to świństwo, na którym wylądowaliśmy, okropnie śmierdzi i ma obrzydliwy smak.

– Podejrzewam, że to jakiś wstrętny grzyb – odparł Will. - Wylądowaliśmy na czymś w rodzaju półki wystającej ze ściany Czeluści. Widziałem kiedyś coś podobnego w telewizji – w Ameryce wyrósł olbrzymi grzyb, który ciągnął się pod ziemią na przestrzeni ponad tysiąca mil.

– Czy to właśnie chciałeś mi...

– Nie – przerwał mu Will. – Chodziło mi raczej o to. Patrz uważnie. – Will rzucił do góry świetlną kulę, którą trzymał w ręce. Chester obserwował w zdumieniu, jak ta opada powoli na jego dłoń. Wyglądało to tak, jakby oglądał scenę w zwolnionym tempie.

– Hej, jak to zrobiłeś?

– Sam spróbuj – powiedział Will, wręczając mu kulę. -Tylko nie

rzucaj za mocno, bo ją zgubisz.

Chester wykonał polecenie przyjaciela, pchając przedmiot do góry. Włożył w to trochę za dużo siły i kula poleciała na wysokość około dwudziestu metrów, oświetlając coś, co wyglądało na kolejny grzyb zawieszony nad ich głowami, a następnie popłynęła powoli w dół.

– Jak...? – zdumiał się Chester, otwierając szeroko oczy.

– Nie czujesz tej... e... lekkości? – spytał Will, szukając właściwego słowa. – To słaba grawitacja. Przypuszczam, że około jednej trzeciej tego, do czego przyzwyczailiśmy się na powierzchni – mówił Will, wskazując palcem w górę. – To właśnie dzięki temu i miękkiemu podłożu, na którym wylądowaliśmy, nie jesteśmy teraz płascy jak naleśniki. Ale uważaj, jak się poruszasz, bo możesz oderwać się od tej półki i polecieć dalej w głąb Czeluści.

– Słaba grawitacja – powtórzył Chester, próbując ogarnąć myślami to, co właśnie usłyszał od przyjaciela. – Co to właściwie oznacza?

– To oznacza, że musieliśmy spadać bardzo, bardzo długo.

Chester spojrzał na Willa pustym wzrokiem, wciąż niczego nie rozumiejąc.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co jest w środku Ziemi? – spytał Will.

Chcielibyśmy podziękować



Barry emu Cunninghamowi, Rachel Hickman, Imogen Cooper, Mary Byrne, Elinor Bagenal, Ianowi Butteworthowi i Gemmie Fletcher z wydawnictwa Chicken House za to, że cierpliwie znosili nasze napady złości, oraz Catherine Pellegrino z Rogers, Coleridge & White za wysłuchiwanie ich narzekań.

Dziękujemy szczególnie Stuartowi Webbowi, koledze po fachu, za ogromny wkład w tę książkę, oraz Markowi Carnallowi z Wielkiego Muzeum Zoologii i Anatomii Porównawczej, który zapoznał nas z owadami i wymarłymi stworzeniami, a także Katie Morrison i Cathrin Preece z Colman Getty, które trzymały nasze drżące dłonie.

Na koniec chcielibyśmy podziękować naszym rodzinom, które wciąż czekają, aż wreszcie wyjdziemy na światło dzienne. Już niedługo...

Uwaga dla entomologów:

by uniknąć wszelkich nieporozumień, wyjaśniamy, że roztocze doktora Burrowsa jest pajęczakiem (a więc stworzeniem spokrewnionym z pajakami), a nie owadem. Bez wątpienia jednak procesy ewolucyjne zachodzące w Głębi doprowadziły do znaczących zmian w budowie tych stworzeń: tak zwane krowy jaskiniowe mają trzy pary odnóży (co jest dość powszechne w przypadku roztoczy), podczas gdy czwarta para mogła zamienić się w coś, co doktor Burrows postrzega jako „czułki” lub „żuwaczki”. Autorzy postarają się schwytać okaz tego gatunku, by przeprowadzić dalsze badania, których wyniki zostaną w odpowiednim czasie umieszczone na stronie www.ksiazkatunele.pl.

Dziękujemy.

Trzeci tom **ŚWIATOWEGO BESTSELLERA**
Jest jeszcze mroczniej i niebezpieczniej!



TUNELE
OTCHŁAN

Roderick Gordon & Brian Williams

Spis treści



Część pierwsza Wyjście z cienia

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Część druga Powrót do domu

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Część trzecia Drake i Elliott

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci

Część czwarta Wyspa

Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty
Rozdział czterdziesty
Rozdział czterdziesty pierwszy
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci

Część piąta Czeluść

Rozdział czterdziesty czwarty
Rozdział czterdziesty piąty
Rozdział czterdziesty szósty
Rozdział czterdziesty siódmy
Rozdział czterdziesty osmy
Rozdział czterdziesty dziewiąty
Rozdział pięćdziesiąty
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy
Rozdział pięćdziesiąty drugi
Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Chcielibyśmy podziękować